

George R.R. Martin

Retrospektywa Tom III

Wędrowny rycerz

Przekład:

Michał Jakuszewski

Tomasz S. Gałazka

2008

trident

Wydanie oryginalne

Data wydania:

2003

Tytuł oryginału:

GRRM: A RRetrospective. Vol. 3

Wydanie polskie

Data wydania:

2008

Przekład:

Michał Jakuszewski

Tomasz S. Gałązka

Na okładce wykorzystano obraz Antona Brzezinskiego

Warriors Riding Pterosaurs

Wydawca:

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
www.zysk.com.pl

ISBN 978-83-7506-040-2 (całość)

ISBN 978-83-7506-112-3 (tom III)

Wydanie elektroniczne:

Trident eBooks

Dla Phipps, oczywiście,

jest taka ścieżka, nie zwyczajna droga,
między świtem a ciemną nocą.

Cieszę się, że wędrujesz nią ze mną.

O George'u R.R. Martinie

Gardner Dozois

Choć George R.R. Martin już od z górą trzydziestu lat jest ważną postacią w kilku różnych gatunkach literackich, zdobywał nagrody Hugo, Nebula i World Fantasy, dopiero w tej chwili można bez cienia wątpliwości stwierdzić, że odniósł wielki sukces.

Z całą pewnością świadczy o tym fakt, że niedawno powieść innego autora reklamowano jako „utrzymaną w tradycji George'a R.R. Martina”. Gdy książki jakiegoś pisarza sprzedają się na tyle dobrze, że wydawcy próbują przekonać czytelników do kupowania książek innych autorów, mówiąc, iż są podobne do nich, znaczy to, że stał się on naprawdę sławny. Nie sposób temu zaprzeczyć.

Jeśli wątpicie w moje słowa, przypomnijcie sobie innych pisarzy, których nazwisk używa się w takim kontekście: J.R.R. Tolkiena; Roberta E. Howarda; H.R. Lovecrafta; Stephena Kinga; J.K. Rowling. To naprawdę imponująca lista, ale nie ma wątpliwości, że George – który dzięki swej epickiej serii *Pieśń lodu i ognia* stał się jednym z najpopularniejszych, a jednocześnie najwyżej ocenianych przez krytykę współczesnych pisarzy fantasy – zasłużył na miejsce wśród nich... choć gdyby ktoś powiedział młodemu George'owi, pełnemu entuzjazmu nowicjuszowi, który nic jeszcze nie opublikował, że pewnego dnia jego nazwisko znajdzie się wśród takich sław, z pewnością by w to nie uwierzył... nie odważyłby się uwierzyć w spełnienie podobnie nierealnego marzenia.

Młody George z pewnością nie uwierzyłby też w coś, o czym wielu spośród legionów jego obecnych fanów nawet nie wie, a mianowicie w to, że odniesie sukces w kilku różnych dziedzinach literatury. To między innymi ma zademonstrować niniejszy zbiór. George osiągnął powodzenie jako autor science fiction, horrorów, fantasy, scenarzysta i producent telewizyjny, a także redaktor, kompilator i pomysłodawca ukazującej się już od dłuższego czasu serii *Wild Cards*. Składa się ona z powieści i nowel wielu różnych autorów. Wydano już szesnaście tomów, a wkrótce ma się ukazać siedemnasty. Osiągnięcia George'a w każdej

z tych dziedzin z osobna wielu twórców uznałoby za satysfakcjonujący dorobek całego życia, a nawet powód do chwały.

Ale nie George, ta chciwa świnia – on koniecznie musiał zdobyć zasłużoną sławę na wszystkich tych polach!

George R.R. Martin urodził się w Bayonne w stanie New Jersey, pierwsze opowiadanie sprzedał w roku 1971 i wkrótce został jednym ze stałych autorów „Analogu” pod redakcją Bena Bovy, gdzie ukazały się barwne, pobudzające wyobraźnię i poruszające utwory, takie jak *Mgły odpływają o świcie*, *Nie wolno zabijać człowieka*, *Drugi rodzaj samotności*, *Planeta burz* – to napisane na spółkę z Lisą Tuttle opowiadanie stało się zaczątkiem ich powieści *Przystań wiatrów*, *Override*, oraz wiele innych, choć Martin sprzedawał też opowiadania do „Amazing”, „Fantastic”, „Galaxy”, „Orbit”, a także innych magazynów i antologii. Za jeden z opublikowanych w „Analogu” tekstów, znakomitą mikropowieść *Pieśń dla Lyanny*, George otrzymał w roku 1974 swą pierwszą nagrodę Hugo.

Pod koniec lat siedemdziesiątych osiągnął szczyt powodzenia jako autor science fiction. Wtedy właśnie powstały jego najznakomitsze utwory w tej kategorii, a niektóre z nich należały do najlepszych opowiadań fantastycznonaukowych napisanych w owych latach – na przykład sławne *Piaseczniki*, być może najbardziej znane opowiadanie George’a, za które otrzymał w roku 1980 nagrody Hugo i Nebula, *Droga krzyża i smoka*, która zdobyła nagrodę Hugo w tym samym roku (George był pierwszym autorem, który otrzymał w jednym roku dwie nagrody Hugo za utwory literackie), *Mrożne kwiaty*, *Kamienne miasto*, *Gwiazdna pani* i inne. Te opowiadania weszły w skład zbioru *Piaseczniki*, jednego z najlepszych w tamtym okresie. George właściwie opuścił już wówczas „Analog”, choć w latach osiemdziesiątych, gdy naczelnym tego magazynu był Stanley Schmidt, miała się w nim jeszcze ukazać długa sekwencja opowiadań o zabawnych międzygwiazdnych przygodach Havilanda Tufa (później wydana w formie książkowej pod tytułem *Tuf Wędrowiec*), a także kilka innych znakomitych utworów, takich jak mikropowieść *Żeglarze nocy*. Większość tekstów pisanych przez George’a na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ukazywała się jednak w „Omni”. W owych czasach to właśnie pismo płaciło najlepiej za opowiadania SF i znajdowało się na szczycie łańcucha pokarmowego tej gałęzi literatury. W późnych latach siedemdziesiątych ukazała się również zapadająca w pamięć książka *Światło się mroczy*, jedyna powieść SF, którą Martin napisał samodzielnie.

W latach osiemdziesiątych kariera George’a wkroczyła jednak na inne ścieżki, dalekie od tych, których można było od niego oczekiwać w poprzedniej dekadzie. We wczesnych latach osiemdziesiątych horror zdobył popularność jako odrębna kategoria wydawnicza i to właśnie George stworzył dwie najoryginalniejsze powieści w okresie wielkiego boomu na ten gatunek literatury. W roku 1982 ukazał się *Ostatni rejs „Fevre Dream”*, inteligentna i pełna napięcia książka osadzona w realistycznie oddanym historycznym tle. Nadal jest to jedna z najlepszych nowoczesnych powieści o wampirach. W roku 1983 wydano natomiast *Rockowy Armagedon*,

„rockandrollowy horror apokaliptyczny”. Choć niektórzy nadal uważają tę książkę za kultową, pod względem komercyjnym była poważnym rozczarowaniem i właściwie położyła kres karierze George’a jako autora powieści z tego gatunku, choć przez pewien czas nadal tworzył on krótkie formy i zdobył nagrodę Brama Stokera za opowiadanie *Człowiek w kształcie gruszki* oraz nagrodę World Fantasy za mikropowieść o wilkołakach *Obrót skórą*. Mimo że większość horrorów napisanych przez George’a zawierała elementy nadnaturalne, stworzył on również trochę interesujących hybryd horroru z science fiction, w tym dwa wyżej wymienione opowiadania – *Piaseczniki* i *Żeglarze nocy*. Oba należą do najlepszych tego rodzaju hybryd, jakie kiedykolwiek napisano, i znakomicie sprawdzają się zarówno jako literatura grozy, jak i jako fantastyka naukowa.

Wielki boom na horror już się wówczas kończył, w księgarniach demontowano odrębne półki na literaturę tego gatunku, które umieszczono tam kilka lat wcześniej, a wydawcy likwidowali poświęcone jej serie. Fakt ten zapewne pomógł George’owi w podjęciu decyzji o rezygnacji z pisania horrorów. W coraz większym stopniu odchodził on w ogóle od słowa drukowanego, zwracając się ku światu telewizji. W latach osiemdziesiątych stał się scenarzystą nowej serii *Strefy mroku*, a później również producentem bardzo popularnego serialu fantasy *Piękna i bestia*.

George odniósł spory sukces jako scenarzysta oraz producent i miał w owych latach tylko niewielki kontakt ze światem słowa drukowanego (choć w roku 1985 zdobył kolejną nagrodę Nebula za *Portrety jego dzieci*). Sytuacja ta utrzymywała się przez większą część lat dziewięćdziesiątych, choć George był wówczas redaktorem serii umieszczonych we wspólnym świecie antologii *Wild Cards*, która dotarła do piętnastu tomów, nim w późnych latach dziewięćdziesiątych zaprzestano jej wydawania. W nowym stuleciu seria ożyła jednak i po siedmioletniej przerwie *Wild Cards* wróciły do życia. Martin zniechęcił się do telewizji, gdy nie udało się zrealizować zaprojektowanego przez niego serialu *Nie z tego świata* i w roku 1996 wrócił do książek, wydając powieść fantasy *Gra o tron*, która zdobyła ogromną popularność.

Reszta, jak mówią, należy do historii. Ściśle mówiąc, do historii literatury fantasy.

Popularność powieści i opowiadań należących do cyklu *Pieśń lodu i ognia* nie przestawała rosnać przez końcówkę lat dziewięćdziesiątych oraz pierwsze lata nowego stulecia. Wszystkie trzy tomy cyklu zdobyły nagrodę Locusa dla najlepszej powieści fantasy oraz były nominowane do nagrody Nebula. *Gra o tron* otrzymała również nominację do nagrody World Fantasy, a *Nawalnica mieczy* do nagrody Hugo. W roku 1997 Martin zdobył też kolejną nagrodę Hugo za opublikowaną w „Asimov’s Science Fiction” mikropowieść *Blood of the Dragon*, która jest fragmentem *Gry o tron*.

Co pozwoliło George’owi zdobyć uznanie czytelników tak wielu różnych gałęzi literatury? Jakie cechy jego prozy zyskują sympatię odbiorcy bez względu na rodzaj opowiadanej historii?

Przede wszystkim George zawsze był głęboko romantycznym autorem. Gdy ktoś sięga po napisany przez niego utwór, nie znajdzie tam suchego minimalizmu ani chłodnych ironicznych gier postmodernizmu, tak lubianych przez wielu współczesnych pisarzy i krytyków, lecz opartą na konflikcie emocji opowieść o świetnie skonstruowanej fabule, skomponowaną przez urodzonego narratora. Opowieść, która przykuje jego uwagę już od pierwszej strony i nie uwolni jej aż do samego końca. Znajdzie przygodę, akcję, konflikt, romantyzm oraz pełne, barwne ludzkie uczucia: obsesyjną, beznadziejną miłość, nieprzejednaną nienawiść, niezaspokojone pożądanie, wierność obowiązkowi nawet w obliczu śmierci, niespodziewane perły humoru... a także coś rzadko spotykanego w dzisiejszej science fiction i fantasy (nie wspominając już o głównym nurcie) – miłość do przygody dla samej przygody, zachwyt barwną niezwykłością, dziwaczne rośliny i zwierzęta, egzotyczną scenerię, obce kraje i jeszcze bardziej obce ludy, a wszystko to wsparte nienasyconym pragnieniem ujrzenia, co kryje się za najbliższym wzgórzem albo na innym świecie.

George z całą pewnością jest dziedzicem tradycji „Planet Stories”. Zapewne podstawowym źródłem inspiracji byli dla niego Jack Vance i Leigh Brackett, choć można zauważyć również wpływ takich pisarzy jak Roger Zelazny i Poul Anderson. Choć przez wiele lat był stałym autorem „Analogu”, nauka i technika nie grają w jego utworach zbyt wielkiej roli. Nacisk położony jest na barwę, przygody, egzotykę i wybujały romantyzm. Jego wszechświat pełen jest obcych gatunków oraz ludzkich społeczeństw, które ewoluowały w izolacji, nabierając niezwykłych cech. Dramat często opiera się na fackie, że jedna z tych kultur nie jest w stanie pojąć psychologii, wartości i motywacji innej. „Barwny” jest słowem, którego nie sposób użyć zbyt często, gdy opisuje się któryś ze stworzonych przez George’a światów. Jeśli czytelnik pozwoli mu się porwać, Martin zaprowadzi go do niektórych z najbardziej zapadających w pamięć miejsc we współczesnej SF i fantasy: do Odpływu Mgieł w Zamku Chmur na Świecie Widm, na bezkresne wietrzne stepy zwane Morzem Dothraków, do zimnego starożytnego labiryntu Kamiennego Miasta, na śmiercionośne oceany Namoru, nad spowite w półmroku Górskie Jeziora Kabarajianu...

Najważniejszym powodem, dla którego utwory George’a tak silnie oddziałują na wielu czytelników, są jednak występujące w nich postacie. Udało mu się stworzyć całą galerię bohaterów – czasami wzruszających, innym razem groteskowych, a jeszcze innym i takich, i takich – o bogactwie nieosiągalnym dla większości innych autorów, tak urozmaiconą, że przychodzi na myśl Dickensa: Damien Har Veris, rozdarty, udęczony inkwizytor Wojującego Zakonu Rycerzy Jezusa Chrystusa z *Drogi krzyża i smoka* i jego szef, ogromny, żyjący w wodzie, czwororęki, wielki inkwizytor Torgathon Dziewiąty Klariis Tün; Shawn z *Mroźnych kwiatów*, zdesperowana uciekinierka, kryjąca się przed lodowymi wilkami i wampirami, która wędrowała przez pośępny krajobraz wiecznej zimy ku bardziej niezwykłemu i subtelniejszemu niebezpieczeństwu; Tyrion Lannister, makiaweliczny karzeł, który kształtuje przeznaczenie narodów w *Starciu królów*; obsesyjny, bezlitosny gracz, Simon Kress z

Piaseczników, smętny duch z *Pamiętki po Melody*, groteskowy, niesamowity, niezapomniany człowiek w kształcie gruszki z opowiadania pod tym samym tytułem; Lya i Robb, skazani na klęskę telepatyczni kochankowie z *Pieśni dla Lyanny*; Haviland Tuf, sprytny, neurotyczny albinos, inżynier ekolog dysponujący boską mocą z opowiadań zebranych w *Tufie Wędrowcu*; Daenerys Zrodzona w Burzy, córka królów i niechętna *khaleesi khalasaru* dothrackich władców koni, zmierzająca ku swemu przeznaczeniu Matki Smoków... oraz dziesiątki innych.

George czuje się głęboko związany ze wszystkimi swoimi postaciami, nawet trzecioplanowymi czy czarnymi charakterami. Dlatego właśnie potrafi sprawić, że czytelnik również się z nimi identyfikuje.

Gdy już autor opanuje tę magiczną sztuczkę, właściwie nie potrzebuje innych. To przede wszystkim ona zapewniła George'owi miejsce wśród wyżej wymienionych pisarzy, w których „tradycji” powstają kolejne książki. I to ona powoduje, że bez względu na to, jakiego rodzaju literaturę tworzy, ludzie pragną ją czytać i do niej wracać.

Przełożył Michał Jakuszewski

Część VIII

Tasując Dzikie Karty

Tasując dzikie karty

Można zabrać chłopaka z Bayonne, ale nie można zabrać Bayonne z chłopaka. To samo dotyczy śmiesznych książeczek. Przyznaję to bez oporu. Jeśli mnie skaleczyć, nadal krwawię czterokolorowym tuszem.

Może i nie wiem, jak się nazywa obecny Green Lantern, ale wciąż jeszcze potrafię wyrecytować przysięgę Hala Jordana i powiedzieć, czym się ona różniła od tej, którą składał Alan Scott, gdy łądował swój pierścień. Potrafię wymienić wszystkich bohaterów *Challengers of the Unknown*, a także pierwszy skład bohaterów *The Avengers*, *X-Men* oraz *Justice League of America* (czy naprawdę muszę uwzględnić Snappera Carra?). Nie wątpię, że w jakimś alternatywnym wszechświecie Marvel Comics przyjęły mnie do pracy, gdy wysłałem do nich podanie w roku 1971, i w tamtym świecie siedzę teraz w domu, mamrocząc pod nosem i gryząc palce na widok, że kasowe filmy oparte na stworzonych przeze mnie postaciach i wątkach zarabiają setki milionów dolarów, a ja nie dostaję z tego ani grosza.

W naszym świecie oszczędzono mi tego losu. W naszym świecie pisałem opowiadania, nowele i powieści, a w późniejszych latach również scenariusze, zamiast tworzyć śmieszne książeczki. Nigdy jednak nie opuściła mnie miłość do superbohaterów, nawet gdy byłem już znanym pisarzem. Żywiłem przekonanie, że mam w sobie jeszcze przynajmniej jedno „opowiadanie tekstowe”. Być może więcej, ale jedno z całą pewnością: mroczną, realistyczną historię o losie, jaki mógłby czekać kandydata na superbohatera w rzeczywistym świecie.

Zalążek tego pomysłu zrodził się przed wielu laty, ale przez większość tego czasu pozostawał jedynie kilkoma linijkami w moich notatkach. Dzieciak taki jak ja, wychowany na komiksach, otrzymał nagle błogosławieństwo (czy może było to przekleństwo?) mocy superbohatera. Co by z nią zrobił? Zignorował ją? Wykorzystał? Spróbowałby przywdziać spandeksowy kostium i walczyć ze zbrodnią? Czy zmieniłoby to jego życie? Jak rzeczywisty świat zareagowałby na kogoś, kto naprawdę posiadałby moce i możliwości daleko wykraczające poza zdolności śmiertelników?

(To był mój tytuł roboczy: „Moce i możliwości daleko wykraczające poza zdolności śmiertelników”. To oczywiście cytaty ze starego telewizyjnego serialu o Supermanie. Później

się dowiedziałem, że DC Comics zastrzegły sobie do niego prawa, więc dobrze się stało, że go nie wykorzystałem).

Nigdy nie ustaliłem, jakie właściwie miałyby to być moce i możliwości. Pewnie dlatego nie napisałem w końcu tego opowiadania. Przez pewien czas skłaniałem się ku pirokinezii, ale w roku 1980 Stephen King napisał *Podpalaczkę*. W powieści Kinga występowała nie tylko dziewczynka, która potrafiła rozpalać ogień siłą umysłu, lecz również jej ojciec także władający nadnaturalną mocą, czymś w rodzaju panowania nad umysłem. Choć ja potraktowałbym ten temat zupełnie inaczej, nie potrafiłem się oprzeć wrażeniu, że King mnie ubiegł.

W roku 1980 w moim życiu zaszły też ważniejsze zmiany. Pod koniec roku 1979 rzuciłem pracę nauczyciela w Clarke College i przeniósłem się z Iowa do Nowego Meksyku, żeby spróbować zarabiać na życie jako pisarz. Jednocześnie skończyło się moje małżeństwo, więc przybyłem do Zaczarowanej Krainy jako człowiek samotny. Od tej pory mieszkam w Santa Fe. Choć spędziłem całe lata w Los Angeles, pracując dla filmu i telewizji, nigdy się tam nie przeprowadziłem. Wynajmowałem tylko umeblowane mieszkanie w jednym z osiedli mieszkaniowych Oakwood albo zatrzymywałem się u kogoś w domku gościnnym, a gdy skończyłem pracę nad bieżącym projektem, natychmiast wracałem do Nowego Meksyku. To w Santa Fe miałem swoje rzeczy i płaciłem podatki. Tam trzymałem książki, śmieszne książeczki i tę starą musztardowożółtą dwurzędową sportową kurtkę w czarne prążki, która już od dziesięciu lat była na mnie za mała.

I to w Santa Fe była Parris, która strzegła naszego fortu. Poznaliśmy się w tym mieście kilka miesięcy przed początkiem mojego niefortunnego małżeństwa. Wiedziałem, że ją polubię, już od chwili, gdy powiedziała mi, że płakała przy *Pieśni dla Lyanny* (no, była też naprawdę śliczna, a do tego oboje byliśmy nadzy, ale mniejsza z tym, to nie wasz interes). Po tym konwencie nie straciliśmy ze sobą kontaktu. Wymienialiśmy od czasu do czasu listy, gdy ja uczyłem katolickie dziewczęta, a ona sprzedawała lody i sprzątała słoniowy gnój w cyrku Ringling Brothers. W roku 1981 spotkaliśmy się na kolejnym konwencie, a potem przyjechała do Santa Fe, żeby zostać ze mną na chwilę. Ta „chwila” trwa już dwadzieścia dwa lata. Od czasu do czasu któryś z czytelników pyta mnie, dlaczego nie piszę już smutnych opowiadań o nieodwzajemnionej miłości, jakie często tworzyłem w latach siedemdziesiątych. To wina Parris. Takie rzeczy może pisać tylko ktoś, kto ma złamane serce.

Gdy po rozwodzie przeniósłem się do Santa Fe, nie znałem w mieście nikogo poza Rogerem Zelaznym, a i jego niezbyt dobrze. Roger wziął mnie pod swoje skrzydła. W pierwszy piątek każdego miesiąca jeździliśmy do Albuquerque, żeby zjeść obiad z Tonym Hillermanem, Normem Zollingerem, Fredem Saberhagenem oraz innymi pisarzami z Nowego Meksyku. Zaglądałem też do tamtejszego klubu miłośników fantastyki, gdzie spotykałem się z miejscowymi fanami, a także z wieloma pisarzami i kandydatami na pisarzy. Wkrótce zaczęliśmy razem grać w gry RPG.

Choć od siódmej klasy aż do końca college'u byłem aktywnym szachistą i lubiłem też *Ryzyko*, *Dyplomację* oraz inne gry planszowe, przed przybyciem do Nowego Meksyku nigdy nie zetknąłem się z *Dungeons & Dragons* ani żadną inną grą fabularną. Za to Parris w nie grała i namówiła mnie, żebym spróbował. Nasza grupa składała się głównie z zagorzałych fanów. Połowa z nich również była pisarzami. W chwili, gdy przyłączyliśmy się z Parris do grupy, grali właśnie w *Zew Cthulhu* wydawnictwa Chaosium, grę opartą na utworach H.P. Lovecrafta, czułem się więc jak w domu. Ponieważ reszta drużyny składała się ze śmiałych poszukiwaczy przygód, zdeterminowanych uratować świat przed kultem Cthulhu, mnie przypadła rola bojaźliwego dziennikarza. Gdy moi przyjaciele ginęli z krzykiem albo popadali w obłęd, ja uciekałem, żeby zadeszować do „Heralda”. Nasze sesje przypominały szalony, improwizowany teatr, z dodatkiem shoggothów.

Nim rok się skończył, wciągnąłem się w RPG tak bardzo, że sam prowadziłem własną kampanię. Przekonałem się, że rola mistrza gry sprawia mi jeszcze więcej radości niż rola gracza.

Przejdźmy do września roku 1983, gdy Vic Milan podarował mi na urodziny nową grę. *SuperWorld* przebudził we mnie niespełnionego komiksiarza i wkrótce zastąpił *Zew Cthulhu* jako ulubiona gra grupy. Oddawaliśmy się tej grze pasjami przez z górą rok, urządzając sesje dwa albo trzy razy w tygodniu. Nikt nie był bardziej zapalonym graczem ode mnie. Odkurzyłem swoje stare postacie, takie jak Manta, tworzyłem też nowe, głównie czarne charaktery... a także jednego bohatera, który unosił się nad ziemią, zamknięty w żelaznej skorupie, i nadał sobie imię Wielkiego i Potężnego Żółwia. Moi gracze, z których połowa była pisarzami, również stworzyli sporo niezapomnianych postaci. Pospolitek, Kryptograf, Sokolica, Dziewczyna Słoń, Modułowy Człowiek, Kapitan Trips, Szczere Usta, Czarny Cień, Gwiazdor i Młot Harlemu to byli tylko niektórzy z niezwykłych, cudownych ludzi, którzy narodzili się podczas naszych sesji *SuperWorld*.

O tym, jak *Super World* przерodził się w serię *Wild Cards*, opowiadałem już nieraz, zwłaszcza w posłowiach do wczesnych tomów serii wznowionych przez wydawnictwo iBooks. Nie będę się tutaj powtarzał. Te wydania są łatwo osiągalne i zainteresowani mogą tam znaleźć budzące grozę szczegóły. Wystarczy, że powiem, iż niektórzy z nas zakochali się w swoich postaciach i doszli do wniosku, że można je wykorzystać w czymś więcej niż gra.

We wczesnych latach osiemdziesiątych antologie opowiadań umieszczonych w dzielonych światach były szalenie modne. Powodem tego był wielki sukces serii antologii *Thieves World*, redagowanej przez Boba Asprina i Lynn Abbey. Ten format idealnie nadawał się do tego, co chcieliśmy zrobić z naszymi postaciami z gry, podzieliłem się więc swym pomysłem z innymi graczami, powiększyłem nasze szeregi, rekrutując Rogera Żelaznego, Howarda Waldropa, Lew Shinera, Stephena Leigha oraz kilku innych pisarzy z całego kraju, a potem przedstawiłem formalną ofertę stworzenia trzytomowej antologii pod tytułem *Wild*

Cards. Shawna McCarthy zdecydowała się ją kupić już pierwszego dnia swej pracy w Bantam Books.

Antologie opowiadań umieszczonych w dzielonych światach zawsze są w mniejszym lub większym stopniu zbiorowym dziełem. Przyglądając się *Thieves World* i jego naśladowcom, uświadomiłem sobie, że najbardziej udane są te antologie, których twórcy dzielili ze sobą najwięcej, a fabuły i postacie poszczególnych opowiadań są ściśle powiązane. Dlatego już od pierwszej chwili zdecydowaliśmy, że *Wild Cards* będą czymś więcej niż tylko zbiorem luźno połączonych opowiadań rozgrywających się we wspólnym świecie. Pragnęliśmy podnieść sztukę pisarskiej współpracy na nowy, wyższy poziom. Daliśmy temu wyraz, nazywając swoje książki „mozaikowymi powieściami” zamiast po prostu antologiami.

Jestem przekonany, że ten zamiar w znacznej części się udał... ale jak zawsze, gdy tworzy się coś zupełnie nowego, napotkaliśmy na swej drodze sporo przeszkód. Wielu rzeczy musieliśmy się nauczyć na własnych błędach. Redagując serię, często czułem się jak pogromca w cyrku, zmuszony utrzymywać porządek biczem ukreconym ze spaghetti. Czasami było to zabawne, a czasami przyprawiało o frustrację, ale nigdy nie było nudne. Kiedy wszystko szło gładko, lubiłem nas porównywać do orkiestry symfonicznej, a siebie do dyrygenta, ale lepszą metaforą byłoby stado kotów. Wszyscy wiemy, jak łatwo jest zapędzić koty w stado.

Wznoszę więc toast za wszystkich członków naszego konsorcjum, najbardziej utalentowaną i zwariowaną zgraję kotów, z jaką zdarzyło się pracować jakimkolwiek redaktorowi: za Rogera Zelaznego, Howarda Waldropa, Waltera Jona Williamsa, Stephena Leigha, Gail Gerstner Miller, Lewisa Shinera, Johna J. Millera, Victora Milana, Waltona (Buda) Simonsa, Arthura Byrona Covera, Williama F. Wu, Laurę J. Mixon, Michaela Cassutta, Sage Walker, Edwarda Bryanta, Leanne C. Harper, Kevina Andrew Murphy’ego, Steve’a Perrina, Parris, Royce’a Widemana, Pat Cadigan, Chrisa Claremonta, Boba Wayne’a i Daniela Abrahama. A przede wszystkim za Melinę M. Snodgrass, moją niestrudzoną asystentkę, bez której dyplomatycznych zabiegów z pewnością zamordowałbym i poćwiartował przynajmniej czworo z wyżej wymienionych.

Wild Cards od samego początku okazały się sukcesem i to nie tylko jak na antologię. Pierwszy tom sprzedawał się lepiej niż wszystkie moje dotychczasowe powieści, pomijając tylko *Ostatni rejs „Fevre Dream”*. Następne książki wypadły niewiele gorzej, a recenzje były w większości znakomite. Opowiadanie Waltera Jona Williamsa z pierwszego tomu otrzymało nominację do Nebuli. Tylko bardzo nieliczne opowiadania umieszczone w dzielonych światach spotkał podobny zaszczyt. Natomiast całą serię nominowano do nagrody Hugo, ale w roku 1988 w Nowym Orleanie przegrała ze znakomitą komiksową serią *Watchmen*, stworzoną przez Alana Moore’a.

Po wydaniu trzech pierwszych tomów Bantam Books z radością podpisały umowę na trzy następne. Nasze zaliczki nie przestawały rosnąć. Seria stała się popularnym tematem paneli

na Worldconach, a dwa regionalne konwenty wybrały sobie *Wild Cards* jako temat przewodni i zaprosiły wszystkich autorów jako gości honorowych. Marvel Comics wydały krótką serię komiksową *Wild Cards*, a Steve Jackson Games grę RPG. W ten sposób zatoczyliśmy pełen krąg. Odezwało się również Hollywood. Disney Studios zakupiły opcje i wspólnie z Melindą Snodgrass napisaliśmy we wczesnych latach dziewięćdziesiątych kilka wstępnych wersji scenariusza.

Seria zaczęła się mniej więcej w tym samym czasie, co moja współpraca ze *Strefą mroku* i nie przestawała się ukazywać, gdy pracowałem nad trzema sezonami *Pięknej i bestii*, a także nad pilotami seriali telewizyjnych. Ten ciągły strumień książek z moim nazwiskiem na okładkach z pewnością pomógł podtrzymać moją popularność w świecie science fiction i fantasy. Przez wszystkie lata spędzone w Hollywood musiałem od czasu do czasu wracać do Santa Fe, żeby nie zapomnieć, kim jestem i gdzie mieszkam. Musiałem też wydawać książki i opowiadania. Gdybym tego nie robił... no cóż, czytelnicy mają krótką pamięć, a w ostatnich latach staje się ona coraz krótsza.

Bohater w skorupie, mój zasadniczy wkład do pierwszego tomu, miał długi rodowód. Opowiadanie wspierało się na tych samych kościach, które ogryzałem w latach, gdy jeszcze nie słyszałem o *SuperWorldzie*. To były „Moce i możliwości daleko wykraczające poza zdolności śmiertelników”, przerobione i dopasowane do naszego nowego dzielonego wszechświata. (Nigdy nic nie wyrzucam). Przed ukazaniem się *Podpalaczki* mocą mojego bohatera miała być pirokineza, ale telekineza nadawała się równie dobrze. Wielki i Potężny Żółw rozpoczął życie jako drugoplanowa postać w naszej kampanii *SuperWorldu*, ale w *Wild Cards* wkrótce stał się jedną z głównych postaci. Opowieść i gra mają różne potrzeby i to, co świetnie sprawdza się w pierwszej, może nie mieć zastosowania w drugiej. Dlatego Żółw musiał znacznie się zmienić, nim pojawił się na kartkach książki.

Bohater w skorupie nie opowiada wyłącznie o nim. Żółw dzieli scenę z doktorem Tachionem, który jest dzieckiem Melindy Snodgrass. Praca z postaciami stworzonymi przez innych jest jednym z wyzwania, które stają przed autorem piszącym opowiadania rozgrywane w dzielonych światach. Czasami jest to świetna zabawa, czasami powoduje wielki ból głowy, a czasami i jedno, i drugie. W swym opowiadaniu *Degradation Rites*, które poprzedza w zbiorze moje, Melinda opowiada, jak doktor Tachion mimo woli zniszczył umysł kobiety, którą kochał, starając się ukryć tożsamość jej pacjentów, asów, przed Komisją ds. Działalności Antyamerykańskiej. To przeżycie stało się katastrofą również dla doktora, który stoczył się w trwającą dziesięć lat orgię wyrzutów sumienia, samooskarżania się i alkoholizmu. Moim zadaniem było wyciągnąć go z tego stanu w *Bohaterze w skorupie* i skierować na drogę wiodącą z powrotem ku normalności. Musiałem też jednocześnie wprowadzić własne postacie.

Jeśli przeczytaliście wszystko, co tu do tej pory napisałem, szybko zdacie sobie sprawę, że Thomas Tudbury to postać zdecydowanie najbardziej oparta na mej biografii ze

wszystkich, jakie w życiu stworzyłem. Są też jednak między nami zasadnicze różnice. Chociaż wykorzystałem przy opisie dzieciństwa Toma wiele elementów zaczerpniętych z własnego, wprowadziłem także trochę zasadniczych zmian. W rzeczywistości nigdy nie miałem takiego przyjaciela, jak Joey Złomiarz DiAngelis, choć często pragnąłem go mieć (zwłaszcza takiego przyjaciela, jak Joey ze scenariusza, gdzie zmieniliśmy go z Melindą w dziewczynę). Miałem też wspaniałe siostry, a Tom był jedynakiem. Aha, i w prawdziwym życiu nie udało mi się, niestety, opanować telekinezy.

Nie wszystkie postacie występujące w *Wild Cards* miały swe pierwowzory w kampaniach *SuperWorld*. Wiele z nich było całkowicie oryginalnych. Należał do nich Odrzutowiec Howarda Waldropa, bohaterski alfons Fortunato Lew Shintera, złowrogi Marionetkarz Steve'a Leigha oraz Śpioch Rogera Żelaznego, Croyd Crenson, który wyciągnął pewnego dnia dziką kartę podczas długiej drogi powrotnej ze szkoły do domu i w rezultacie nigdy nie nauczył się algebry. Zaliczał się do nich również Jay Ackroyd (znany jako Fircyk), moja druga główna postać w serii. Po raz pierwszy wspomniano o nim w drugim tomie, *Aces High*, ale pojawił się na scenie dopiero w trzecim, *Jokers Wild*, gdzie przez większą część opowiadania łączy swe siły z Hiramem Worchesterem. Z upływem czasu Ackroyd przesuwiał się na plan pierwszy i stał się głównym bohaterem kilku utworów. Pod koniec naszej współpracy z Bantam Books stał się niemal tak samo popularny jak Żółw.

Tom i Jay nie byli jedynymi strzałami w moim kołczanie. Od czasu do czasu zdarzało mi się napisać opowiadanie z punktu widzenia jednego z moich licznych drugoplanowych bohaterów. Stworzona przeze mnie opowieść łącznikowa do *Aces High* skupiała się na postaci Jube'a Morsa, kosmity, który nosił hawajską koszulę i kapelusz z szerokim rondem. Bohaterem mojego opowiadania w *Jokers Wild* był natomiast Hiram Worchester, wytworny, korpulentny właściciel restauracji na szczycie Empire State Building. W *Dealer's Choice* wykorzystałem postać stworzoną przez Buda Simonsa, porywaczkę ciał Zeldę, żeby dać czytelnikom obraz tego, co knują czarne charaktery w Rox.

Z *dziennika Xaviera Desmonda* opowiada historię innej mojej drugoplanowej postaci, obrońcy praw dzokerów, która po raz pierwszy pojawia się w *Bohaterze w skorupie*, jako maître d'hôtel w Gabinecie Luster. Od tego czasu Des zrobił sporą karierę i stał się de facto burmistrzem miasta dzokerów. W związku z tym wydawał się naturalnym kandydatem na jednego z delegatów reprezentujących dzokerów w globalnej ekspedycji rozpoznawczej, która stanowi trzon czwartego tomu, *Aces Abroad*. Żółw raczej nie mógłby wyruszyć na tę wyprawę, jako że nigdy nie opuszczał skorupy. Nie wydawało się też prawdopodobne, by Jay Ackroyd miał otrzymać zaproszenie. Hiram Worchester rzecz jasna wchodził w grę i mógłbym zdecydować się na niego... ale pisałem o Hiramie w trzecim tomie i chciałem tym razem spróbować perspektywy dzokera.

Opowieść łącznikowa stanowiła najtrudniejsze zadanie w każdym tomie *Wild Cards*. W mozaikowej powieści całość powinna być czymś więcej niż sumą części. Jeśli opowiadania

były cegłami, opowieść łącznikowa była zaprawą, która robiła z nich mur. Ten, kto ją pisał, musiał zaczekać, aż wszystkie opowiadania będą gotowe, przeczytać je, żeby się przekonać, gdzie są wolne miejsca, a potem spróbować je wypełnić... opowiadając jednocześnie ciekawą historię. Gdyby opowieść łącznikowa była tylko wypełniaczem, książka rozpadłaby się na luźne fragmenty.

W późniejszych latach historii *Wild Cards* opowieści łącznikowe często tworzyli inni autorzy. Spróbował tego Bud Simons, a Steve Leigh dał się do tego zmusić kilkakrotnie. W początkowych tomach owo zadanie przypadało jednak z reguły mi jako redaktorowi. Z *dziennika Xaviera Desmonda* jest moją ulubioną opowieścią łącznikową i jednym z najlepszych utworów, jakie napisałem dla *Wild Cards*. Tu po raz pierwszy zaprezentowano ją w całości, pozbawioną opowiadań, wokół których się oplatała.

Nic nie trwa wiecznie. Po długim czasie seria zaczęła tracić impet. Książki stawały się coraz mroczniejsze (a od początku należały do mrocznych) i sprzedaż spadała z każdym tomem, powoli, lecz nieubłaganie. Niektórzy z naszych najlepszych autorów odeszli do innych projektów. Kolejne tomy nadal sprzedawały się lepiej niż przeciętne książki w miękkiej oprawie, ale tendencja była zdecydowanie zniżkowa. Gdy nadszedł czas na przedłużenie umowy, Bantam Books zaoferowały nam za trzy następne książki takie same warunki, jak za poprzednie dwie.

Być może postąpiliśmy nierozsądnie, ale odrzuciliśmy tę propozycję i przeszliśmy z serią do mniejszego wydawnictwa, które zaoferowało nam znaczną podwyżkę. Okazało się to fatalnym błędem. Choć na krótką metę otrzymaliśmy więcej pieniędzy, nowe wydawnictwo nie miało potencjału Bantam Books i nie było w równym stopniu zainteresowane serią. Ponieważ Bantam Books nie miały już dostać nowych tytułów, szybko pozwoliły, by nakłady pierwszych dwunastu książek zostały wyczerpane. Nie tylko utraciliśmy wpływy z ich sprzedaży, ale nowi czytelnicy nie mogli już znaleźć łatwego wprowadzenia do świata serii, jakie dawał tom pierwszy. Próbowaliśmy obejść tę trudność, zmieniając numerację i reklamując tom trzynasty jako „pierwszy tom nowej serii”, ale *Card Sharks* przyprawiły o dezorientację czytelników, którzy nie wiedzieli, co się wydarzyło wcześniej. Sprzedaż spadła gwałtownie i po wydaniu piętnastego tomu w roku 1995 zostaliśmy bez wydawcy.

I to był koniec.

Ale czy na pewno? Nawet śmierć może umrzeć wraz z dziwnymi eonami, jak powiedział H. P. Lovecraft. W roku 2001 *Wild Cards* znalazły nowego wydawcę, iBooks. Po siedmioletniej przerwie, w roku 2002, ukazał się szesnasty tom, *Deuces Down*, zawierający wyłącznie nowe opowiadania. Tom siedemnasty jest już w produkcji, a stare tomy są wznawiane, by mogło się z nimi zapoznać nowe pokolenie czytelników. Znowu mówi się o grach, komiksach i opcjach filmowych.

Czy cokolwiek z tego wyjdzie? Czy ukaże się tom osiemnasty, dziewiętnasty, dwudziesty? Nie mam pojęcia.

Ale nie zakładałbym się, że tak się nie stanie. Znam pewnego żółwia, który już do tej chwili miał więcej żyć niż najfartowniejszy z kotów.

Przełożył Michał Jakuszewski

Bohater w skorupie

Gdy we wrześniu Thomas Tudbury przeniósł się do akademika, natychmiast powiesił na ścianie zdjęcie z autografem prezydenta Kennedy'ego oraz wystrzępioną okładkę „Time'a” z roku 1944, kiedy Odrzutowca ogłoszono Człowiekiem Roku.

W listopadzie w zdjęciu Kennedy'ego było już pełno dziur po strzałkach Rodneya. Rodney udekorował swoją stronę pokoju flagą Konfederacji oraz kilkunastoma rozkładówkami z „Playboya”. Nienawidził Żydów, czarnuchów, dzokerów i Kennedyego. Za Tomem też zbytnio nie przepadał. Przez cały jesienny semestr zatruwał mu życie. Smarował mu łóżko kremem do golenia, podwijał prześcieradło, chował okulary, podrzucał do szuflady biurka psie kupy.

W dniu, gdy Kennedy'ego zabito w Dallas, Tom wrócił do pokoju, starając się powstrzymać łzy, i zobaczył, że Rod zostawił mu prezent. Użył do tego celu czerwonego długopisu. Cały szczyt głowy Kennedy'ego ociekał krwią, a między jego oczyma Rod narysował małe, czerwone X. Język prezydenta wysuwał się z kącika ust.

Thomas Tudbury patrzył na to przez bardzo długi czas. Nie płakał, nie pozwolił sobie na to. Zaczął pakować walizki.

Parking dla studentów pierwszego roku znajdował się na drugim końcu kampusu. Bagażnik jego mercury'ego z roku 1954 miał zepsuty zamek, Tom rzucił więc torby na tylne siedzenie. Potem włączył silnik, żeby samochód mógł się rozgrzać, bo jesień była chłodna. Musiał wyglądać śmiesznie: ostrzyżony na jeża grubasek w okularach w rogowej oprawie, opierający głowę o szczyt kierownicy, jakby dręczyły go mdłości.

Wyjeżdżając z parkingu, zauważył lśniącego oldsmobile'a cutlass Rodneya.

Wrzucił luz i zatrzymał się na chwilę, żeby się zastanowić. Rozejrzał się wokół. Nie zauważył nikogo. Wszyscy siedzieli w środku, oglądając wiadomości. Obliznął nerwowo wargi, po czym spojrzął na oldsmobile'a. Kostki zaciśniętych na kierownicy dłoni zbierały mu całkowicie. Wbił spojrzenie w samochód, zmarszczył czoło i nacisnął.

Najpierw ustąpiły szyby, które ugięły się powoli do środka. Reflektory eksplodowały z cichym trzaskiem, jeden po drugim. Chromowane listwy spadły na ziemię, a tylna szyba

stłukła się nagle, zasypując okolicę odłamkami szkła. Błotniki poddały się naciskowi i pękły z głośnym zgrzytem metalu. Obie tylne opony strzeliły jednocześnie, boczne szyby wgniotły się, maska zrobiła to samo, a przednia szyba rozsypała się na drobne kawałki. Potem ustąpiła skrzynia korbowa, a po niej ściany baku. Olej i benzyna utworzyły pod samochodem kałużę. Tom Tudbury z każdą chwilą zyskiwał na pewności siebie, co ułatwiało mu zadanie. Wyobraził sobie, że ściska samochód w wielkiej niewidzialnej, mocnej pięści, a potem zacisnął ją jeszcze silniej. Trzask pękającego szkła i zgrzyt udręczonego metalu wypełnił cały parking, ale nie było tam nikogo, kto by to usłyszał. Tom metodycznie przerobił oldsmobile'a na kulę zgniecionego metalu.

Kiedy skończył, wrzucił bieg i na zawsze zostawił za sobą college, Rodneya oraz dzieciństwo.

* * *

Gdzieś płakał olbrzym.

Tachion obudził się chory i zdezorientowany. Wywołany kacem ból głowy pulsował w rytm potężnego łkania. Wypełniające ciemny pokój kształty wydawały się dziwne i nieznajome. Czyżby w nocy znowu przybyli skrytobójcy? Czy zaatakowano rodzinę? Musi odnaleźć ojca. Podniósł się chwiejnie. Zakręciło mu się w głowie i był zmuszony oprzeć się o ścianę.

Ściana była za blisko. To nie był jego pokój, wszystko było nie tak, zapach... i nagle pamięć mu wróciła. Wołałby skrytobójców.

Uświadomił sobie, że znowu śniła mu się Takis. Głowa go bolała, a w gardle czuł straszliwą suchość. Poruszając się po omacku, znalazł zwisający z sufitu sznurek. Gdy za niego szarpnął, by zapalić światło, żarówka pod sufitem zakołysała się gwałtownie. Cienie zatańczyły jak szalone. Tachion zamknął oczy, żeby uspokoić mdłości. Czuł w ustach obrzydliwy posmak, włosy miał brudne i pozlepiane, a co gorsza butelka była pusta. Rozejrzał się wokół bezradnie. Mały pokoik, sześć na dziesięć stóp, na pierwszym piętrze pensjonatu o nazwie POKOJE, przy ulicy zwanej Bowery. Co dziwne, ta dzielnica również nazywała się kiedyś Bowery. Tak mu powiedziała Anielska Buzia. To jednak było dawno. Teraz nosiła inną nazwę. Tachion podszedł do okna i podciągnął żaluzję. Pomieszczenie wypełniło żółte światło latarni. Po drugiej stronie ulicy ujrzał olbrzyma, który wyciągał rękę po księżyc i płakał, ponieważ nie mógł go dosięgnąć.

Nadano mu imię Malutki. Tachion przypuszczał, że był to przykład ludzkiego poczucia humoru. Malutki miałby czternaście stóp wzrostu, gdyby tylko mógł stanąć na nogach. Twarz miał niewinną i wolną od zmarszczek, a włosy ciemne i delikatne. Jego nogi były szczupłe i miały doskonałe proporcje. Na tym właśnie polegał żart: szczupłe nogi o doskonałych proporcjach nie miały szans utrzymać ciężaru czternastostopowego olbrzyma. Malutki

siedział w drewnianym wózku inwalidzkim, wielkim, zmechanizowanym urządzeniu, które toczyło się po ulicach Miasta Dżokerów na czterech łyśch oponach z rozbitej ciężarówce. Kiedy zobaczył w oknie Tacha, z jego ust wyrwał się nieartykułowany krzyk. Mogłoby się niemal zdawać, że Malutki go poznał. Tachion odsunął się z drżeniem od okna. To tylko kolejna noc w Mieście Dżokerów. Musiał się napić.

W jego pokoju śmierdziało pleśnią i wymiocinami. Było tu też bardzo zimno. POKOJE nie miały tak dobrego ogrzewania jak hotele, w których zwykł się zatrzymywać w dawnych latach. Niespodziewanie przypomniał sobie Mayflower w Waszyngtonie, gdzie razem z Blythe... nie, lepiej o tym nie myśleć. Która to godzina? Było już wystarczająco późno. Słońce skłaniało się ku zachodowi, a Miasto Dżokerów budziło się do życia nocą.

Podniósł leżący na podłodze płaszcz i włożył go. Choć był brudny, nadal wyglądał pięknie. Miał śliczny, intensywnie różowy kolor, złote epoety z frędzlami oraz pętle ze złotego szamerunku do zapinania długiego szeregu guzików. Facet ze sklepu z używaną odzieżą powiedział mu, że to płaszcz muzyka. Tachion usiadł na brzegu zapadającego się materaca, żeby włożyć buty.

Łazienka była na końcu korytarza. Z moczu doktora buchała para. Strumień padał na krawędź sedesu. Ręce drżały mu tak bardzo, że nie mógł nawet porządnie wycelować. Tachion opłukał sobie twarz zimną wodą koloru rdzy i wytarł ręce w brudny ręcznik.

Wyszedł na dwór i zatrzymał się na chwilę pod poskrzypującym szyldem z napisem POKOJE, żeby popatrzeć na Malutkiego. Czuł się rozgoryczony i zawstydzony. A także zdecydowanie za trzeźwy. W sprawie Malutkiego nie mógł nic zrobić, ale z trzeźwością potrafi sobie poradzić. Odwrócił się plecami do płaczącego olbrzyma, wsadził ręce głęboko w kieszenie i oddalił się szybkim krokiem.

W zaułkach dżokerzy i menele przekazywali sobie z rąk do rąk brązowe papierowe torebki, kierując na przechodniów zubożniałe spojrzenia. W knajpach, lombardach i sklepach z maskami panował ożywiony ruch. Sławne Dziesięciocentowe Muzeum Dżokerów przy Bowery (nadal tak się nazywało, mimo że wstęp kosztował teraz dwadzieścia pięć centów) zamykało już podwoje. Tachion odwiedził je kiedyś, dwa lata temu, gdy poczucie winy dokuczało mu szczególnie mocno. Oprócz kilku dżokerów o szczególnie dziwnym wyglądzie, około dwudziestu słoików z „monstrualnymi dżokerskimi dziećmi” zakonserwowanymi w formalinie oraz sensacyjnej kroniki filmowej o Dniu Dzikiej Karty można tam było zobaczyć wystawę figur woskowych, wyobrażających Odrzutowca, Czterech Asów, Orgię w Mieście Dżokerów... oraz jego.

Obok przejechał autobus obwozący po mieście turystów. Do szyb przyklejały się różowe twarze. Pod neonem pobliskiej pizzerii stało czterech młodzieńców w czarnych skórzanych kurtkach i gumowych maskach na twarzach. Wszyscy przyglądali się Tachionowi z otwartą wrogością. Zaniepokoił go ten widok. Odwrócił spojrzenie i zajrzał w myśli najbliższego z nich: „Co za ciota patrz no na te farbowane włosy pewnie se myśli że gra w orkiestrze dętej

trzeba by mu kurwa przywalić ale nie chwileczkę cholera lepiej se znajdzmy dziś naprawde paskudnego takiego co to sie rozmašli jak oberwie”. Tach zerwał z niesmakiem kontakt i przyspieszył kroku. To była stara bajka, ale nowy sport: przyjść do Bowery, kupić maski i pobić dzokera. Policję nic to nie obchodziło.

W Klubie Chaosu z jego sławną Rewią Dżokerów jak zwykle zebrał się tłum. Gdy Tachion przechodził obok, do krawężnika podjechała długa szara limuzyna. Portier, który na swe piękne białe futro zarzucił czarny smoking, otworzył drzwi ogonem i pomógł wysiąść również noszącemu smoking grubasowi. Jego towarzyszką była piersiasta nastolatka w wieczorowej sukni bez ramiączek. Na szyi nosiła perły, a blond włosy upięła wysoko w tapirowaną fryzurę.

Przecznicę dalej kobieta-waż wykrzykiwała swe propozycje z pobliskiego ganku. Pokrywały ją lśniące tęczowe łuski.

– Nie bój się, kolego – zachęcała go. – W środku nadal jestem miękka.

Tachion potrząsnął głową.

Gabinet Luster mieścił się w długim budynku o wielkich panoramicznych oknach wychodzących na ulicę. Zwykle szyby zastąpiono w nich jednak szkłem weneckim. Randall stał przed wejściem, drżąc z zimna. Miał na sobie frak i maskę zasłaniającą oczy. Wyglądał zupełnie normalnie, dopóki nie zauważyło się, że nigdy nie wyjmuje prawej ręki z kieszeni.

– Hej, Tacky – zawołał do niego. – I jak ci się podoba Ruby?

– Przykro mi, ale jej nie znam – odparł Tachion.

Randall skrzywił się.

– Nie, chodzi mi o faceta, który wykończył Oswalda.

– Oswalda? – zdziwił się Tach. – Jakiego Oswalda?

– Lee Oswalda. Tego gościa, co zabił Kennedy’ego. Dziś po południu pokazywali w telewizji, jak go zastrzelił.

– Kennedy nie żyje? – zdumiał się Tachion. To Kennedy pozwolił mu wrócić do Stanów Zjednoczonych. Tach podziwiał całą ich rodzinę. Mogliby niemal być Takisianami. Niemniej każdy przywódca musiał się liczyć z ryzykiem zamachu.

– Bracia go pomszczą – stwierdził. Przypomniawszy sobie jednak, że na Ziemi panują inne zwyczaje, zresztą wyglądało na to, że ten Ruby już pomścił Kennedy’ego. To bardzo dziwne, że Tachionowi śnili się skrytobójcy.

– Wsadzili tego Ruby’ego do paki – mówił Randall. – Gdyby to ode mnie zależało, dałbym skurwysynowi medal. – Przerwał na chwilę. – Uściskał mi kiedyś dłoń – dodał. – Podczas kampanii wyborczej przyjechał tu i wygłosił mowę. Zanim wyszedł, uściskał wszystkim dłonie. – Portier wyjął z kieszeni prawą dłoń. Była twarda i pokryta owadzią chityną, a pośrodku miała skupisko obrzękłych, ślepych oczu. – Nawet się nie wzdrygnął – ciągnął Randall. – Uśmiechnął się i powiedział, że ma nadzieję, że nie zapomnę zagłosować.

Tachion znał Randalla już od roku, ale nigdy jeszcze nie widział jego dłoni. Pragnął postąpić tak samo jak Kennedy, złapać ten wypaczony szpon, objąć go i uścisnąć. Próbował wyjąć rękę z kieszeni płaszcza, ale żółć podeszła mu do gardła. Mógł tylko odwrócić wzrok i powiedzieć:

– To był dobry człowiek.

Randall schował rękę.

– Wejdz, Tacky – rzekł łagodnym tonem. – Anielska Buzia musiała pójść na spotkanie z jednym facetem, ale powiedziała Desowi, żeby zatrzymał dla ciebie stolik.

Tachion skinął głową i pozwolił, żeby Randall otworzył przed nim drzwi. Zostawił płaszcz i buty w szatni. Szatniarka była szczupłą, drobną dziewczyną noszącą pierzastą maskę sowy, która zasłaniała to, co dzika karta zrobiła z jej twarzą. Potem Tachion otworzył wewnętrzne drzwi. Miał na nogach tylko skarpetki i stopy ślizgały mu się po znajomej lustrzanej podłodze. Kiedy spuścił wzrok, spojrzał na niego drugi Tachion, widoczny między jego stopami; obleśnie tłusty Tachion z głową jak piłka plażowa.

Zawieszony pod zwierciadlanym sufitem kryształowy żyrandol skrzył się setką maleńkich światełek, które odbijały się w płytkach podłogi, ścian oraz lustrzanych nisz, w posrebrzanych kielichach i kubkach, a nawet w noszonych przez kelnerów tacach. Niektóre lustra odbijały wiernie, a inne zniekształcały obraz jak w wesołym miasteczku. Gdy człowiek oglądał się za siebie w Gabinetie Luster, nigdy nie mógł przewidzieć, kogo zobaczy. To był jedyny lokal w Mieście Dżokerów odwiedzany równie często przez dżokerów i normalnych. Normalni mogli tu ujrzeć swe zniekształcone odbicia i śmiać się z nich, a dżoker, jeśli miał wielkie szczęście, mógł spojrzeć we właściwe lustro i ujrzeć siebie takim, jakim był kiedyś.

– Pańska loża czeka, doktorze Tachion – przywitał go Desmond, maître d'hôtel. Des był potężnym, rumianym mężczyzną. Grubą trąbę, różową i pomarszczoną, owinał wokół karty win. Uniósł ją i skinął na Tachiona jednym ze zwisających z końca trąby palców. – Życzy pan sobie dziś ten sam koniak co zawsze?

– Tak – potwierdził Tach, żałując, że nie ma pieniędzy na napiwek.

Dzisiaj, jak zwykle, pierwszą kolejkę wypił za Blythe, ale drugą za Johna Fitzgeralda Kennedy'ego. Następne były tylko dla niego.

* * *

Na końcu Hook Road, za nieczynną rafinerią i magazynami importowo-eksportowymi, za bocznkami kolejowymi z ich smętnymi czerwonymi wagonami towarowymi, za przejściem pod biegnącą górą autostradą, za pustymi placami pełnymi zielska i odpadków, za wielkimi zbiornikami oleju sojowego, Tom miał swoje schronienie. Kiedy tam dotarł, było już prawie ciemno i w silniku jego mercedesa coś stukało złowieszczo. Joey będzie wiedział, co w tej sprawie zrobić.

Złomowisko rysowało się wyraziście na tle zanieczyszczonych wód New York Bay. Gdy Tom jechał wzdłuż wysokiego na dziesięć stóp płotu z trzema pasmami drutu kolczastego na szczycie, dotrzymywała mu towarzystwa cała sfera psów. Wszystkie witały go ochryplym szczekaniem, które przeraziłoby każdego, kto ich nie znał. W blasku zachodzącego słońca góry rozbitych, pokancerowanych, zardzewiałych samochodów, stosy przeznaczonej na złom blachy i sterty rozmaitych odpadków lśniły dziwnym odcieniem polerowanego brązu. Po chwili Tom dotarł do szerokiej dwuskrzydłowej bramy. Po jednej jej stronie widniał metalowy szyld z napisem: NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY, a po drugiej następny, ostrzegający: UWAGA ZŁE PSY. Brama była zamknięta na klucz i zabezpieczona łańcuchem.

Tom zatrzymał się i nacisnął klakson.

Tuż za płotem widział czteroizbowy barak, który Joey zwał domem. Na dachu z blachy falistej umieszczono wielki szyld, podświetlony żółtymi reflektorami. Napis głosił: DI ANGELIS – ZŁOM I CZĘŚCI SAMOCHODOWE. Farba wyblakła i obłaziła po dwudziestu latach narażenia na słońce i deszcz, drewno popękało, a jeden z reflektorów się przepalił. Pod barakiem stały stara żółta wywrotka, samochód pomocy drogowej oraz duma i radość Joeya, krwawoczerwony cadillac coupe z roku 1959. Miał tylne płetwy jak u rekina, a pod jego maską ukrywał się monstrialny, podrasowany silnik.

Tom zatrał po raz drugi. Tym razem to był ich umówiony sygnał, oparty na zawołaniu: „Nadchodzi, niosąc ratunek!” z kreskówki *Mighty Mouse*, którą oglądali w dzieciństwie.

Na plac padło żółte światło i pojawił się Joey, niosący w obu rękach po butelce piwa.

Tom i Joey różnili się od siebie pod każdym względem. Pochodzili z innych środowisk i żyli w odmiennych światach, ale byli przyjaciółmi już od trzeciej klasy, od dnia, gdy Tom nauczył się, że żółwie nie umieją latać; kiedy uświadomił sobie, kim jest i czego potrafi dokonać.

Stevie Bruder i Josh Jones złapali go na szkolnym boisku. Rzucali do siebie jego żółwiami, a Tommy biegał między nimi z czerwoną twarzą i łzami w oczach. Kiedy im się znudziło, cisnęli żółwiami o ścianę. Jednego zjadł owczarek niemiecki Stewiego. Kiedy Tommy próbował złapać psa, Stevie przyłożył mu i zostawił go na ziemi z pękniętymi okularami i krwawiącą wargą.

Mogłoby być gorzej, gdyby nie Joey Złomiarz, chudy chłopak o czarnych kudłach, dwa lata starszy od swych kolegów z klasy. Repetował już dwukrotnie, nie bardzo umiał czytać i wszyscy zawsze mówili, że brzydko pachnie, bo jego ojciec, Dom, był właścicielem złomowiska. Joey nie był taki duży jak Stevie Bruder, ale wcale się tym nie przejmował. Złapał Stewiego za tył koszuli, obrócił i kopnął w jaja. Kopnął też psa i zrobiłby to samo z Joshem Jonesem, gdyby ten nie zwał. Kiedy Josh rzucił się do ucieczki, martwy żółw uniósł się z boiska i walnął go mocno w gruby, czerwony kark.

Joey to widział.

– Jak to zrobiłeś? – zapytał zdumiony. Do tej pory nawet sam Tommy nie zdawał sobie sprawy, że to dzięki niemu jego żółwie potrafią latać.

Stało się to ich wspólną tajemnicą, klejem, który połączył ich osobliwą przyjaźń. Tommy pomagał Joeyowi odrabiać lekcje i rozwiązywał za niego testy, a Joey bronił Tommy'ego przed nieprzewidywalną brutalnością na podwórku i boisku szkolnym. Tommy czytał Joeyowi komiksy, aż wreszcie Joey nauczył się czytać na tyle dobrze, że nie potrzebował już pomocy. Dom, mężczyzna o czarnych, upstrzonych siwizną włosach, piwnym brzuszku i złotym sercu, był z tego dumny, gdyż sam nie umiał czytać, nawet po włosku. Ich przyjaźń przetrwała szkołę podstawową i średnią której Joey nie zdołał ukończyć. Przetrwała chwilę, gdy obaj odkryli dziewczyny, śmierć Doma DiAngelisa i przeprowadzkę rodziny Toma do Perth Amboy. Joey DiAngelis nadal pozostawał jedynym człowiekiem na świecie, który wiedział, kim naprawdę jest Tom.

Joey zdjął kapsel z kolejnej butelki rheingolda otwieraczem, który nosił na szyi. Pod białym podkoszulkiem bez rękawów uwidaczniał się już piwny brzusek, taki sam, jaki kiedyś miał jego ojciec.

– Kurwa, jesteś za mądry, żeby pracować w gównianym punkcie naprawy telewizorów – mówił.

– Zawsze to jakaś robota – sprzeciwił się Tom. – Pracowałem tam w zeszłe wakacje i mogę to robić na stałe. Nieważne, jaką będę miał pracę. Liczy się to, co zrobię ze swoim, hmm, talentem.

– Talentem? – zadrwił Joey.

– Wiesz, o co mi chodzi, ty dumny makaroniarzu. – Tom postawił pustą butelkę na skrzynce po pomarańczach stojącej obok fotela. Meble w domu Joeya nie należały do luksusowych. Wszystkie znalazł na złomowisku. – Dużo myślałem o tym, co powiedział na końcu Odrzutowiec. Zastanawiałem się, co to znaczy. Doszedłem do wniosku, że chciał powiedzieć, iż są rzeczy, których jeszcze nie dokonał. Cholera, ja nic nie dokonałem. Zadałem sobie wtedy pytanie, co mogę zrobić dla kraju. Kurwa, obaj znamy odpowiedź.

Joey zakołysał się na krześle, ssąc butelkę rheingolda i potrząsając głową. Ścianę za jego plecami pokrywały regały, które Dom zrobił dla swoich dzieci prawie dziesięć lat temu. Dolną półkę zajmowały wyłącznie czasopisma dla mężczyzn. Resztę poświęcono na komiksy. Ich komiksy. *Supermany* i *Batmany*, *Action Comics* i *Detective*, liczne *Classics Illustrated*, dzięki którym Joey nie musiał czytać lektur szkolnych, komiksy kryminalne, horrory i komiksy antywojenne, a także najlepsze ze wszystkich, ich skarb – prawie kompletny zbiór *Odrzutowca*.

Joey zauważył, na co patrzy przyjaciel.

– Nawet o tym nie myśl – ostrzegł go. – Nie jesteś pierdolonym Odrzutowcem, Tuds.

– Nie – zgodził się Tom. – Jestem kimś więcej niż on. Jestem...

– Głębem – zasugerował Joey.

– Asem – poprawił go z powagą Tom. – Takim jak Cztery Asy.

– To była grupa kolorowych doo-wopowców, tak?

Tom zaczerwienił się.

– Ty durny makaroniarzu, to nie byli piosenkarze...

Joey przerwał mu ostrym gestem.

– Kurwa, wiem, kim oni byli, Tuds. Za kogo mnie masz? To były głupie kutasy, tak samo jak ty. Wszyscy poszli do pierdła, zastrzelili ich albo coś w tym rodzaju, zgadza się? Oprócz tego pierdolonego kapusia, jak to on się zwał? – Strzelił palcami. – No wiesz, tego, co grał w *Tarzanie*.

– Jack Braun – odpowiedział mu Tom. Pisał kiedyś pracę semestralną o Czterech Asach.

– Założę się, że są jeszcze inni, którzy się ukrywają. Jak ja. Ja również się ukrywałem. Ale z tym już koniec.

– Wyobrażasz sobie, że pójdziesz do „Bayonne Times” i urządzisz pierdolone przedstawienie? Ty głupi dupku. Równie dobrze mógłbyś im powiedzieć, że jesteś komuchem. Każą ci przeprowadzić się do Miasta Dżokerów, a twojemu tacie wybiją wszystkie cholerne okna. Mogą cię nawet wcielić do wojska, przygłupie.

– Nie – sprzeciwił się Tom. – Wszystko sobie przemyślałem. Cztery Asy były łatwym celem. Ja nie pozwolę, żeby się dowiedzieli, kim jestem i gdzie mieszkam. – Uniósł butelkę i wskazał nią regały. – Zachowam swoje nazwisko w tajemnicy. Jak w komiksach.

Joey ryknął głośnym śmiechem.

– Kurwa, rewelacja. Będziesz też nosił długie gacie, ty baranie?

– Cholera – mruknął Tom, który zaczął się wkurzać. – Zamknij się, do chuja – warknął i wstał z fotela. – Podnieś to tłuste dupsko i chodź na dwór, to pokażę ci, kto tu jest przygłupem. No jazda, mądralo.

Joey DiAngelis wstał.

– Muszę to zobaczyć.

Gdy wyszli na dwór, Tom zatrzymał się przed barakiem, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę. Jego oddech zamieniał się w parę w zimnym listopadowym powietrzu. Joey podszedł do metalowej skrzynki zamontowanej z boku baraku i nacisnął przełącznik, zapalając umieszczone na wysokich słupach lampy. Psy zgromadziły się wokół nich, węsząc z zainteresowaniem. Gdy mężczyźni ruszyli przed siebie, podążyły za nimi. Z kieszeni czarnej skórzanej kurtki Joeya wystawała butelka piwa.

To było tylko złomowisko, pełne starej blachy, odpadków i rozbitych samochodów, ale dzisiejszej nocy wydawało się Tomowi równie magiczne jak wtedy, gdy miał dziesięć lat. Na wzgórku tuż obok czarnych wód New York Bay majaczył stary, biały packard, przywodzący na myśl widmowy fort. To właśnie tu mieli w dzieciństwie swoją kryjówkę, swoją twierdzę, swoją placówkę kawalerii, stację kosmiczną i zamek połączone w jedną całość. Samochód lśnił w blasku księżyca, a pluskające o brzeg wody zatoki były pełne obietnic. Złomowisko

spowijały mrok i cienie, zmieniające sterty odpadków i metalu w tajemnicze czarne wzgórza oddzielone od siebie labiryntem szarych zaułków. Tom ruszył pierwszy do tego labiryntu; minął wielką stertę, na której bawili się w króla góry i pojedynkowali na zrobione ze złomu miecze; minął skarbcę, w których znaleźli tak wiele zepsutych zabawek, kolorowych szkiełek i butelek, które mogli odnieść do skupu, a raz nawet cały karton pełen komiksów.

Mijali szeregi zniszczonych, przerdzewiałych samochodów ułożonych jeden na drugim: fordów i chevrolety, hudsony i de soto, jedną corvette ze zdruzgotaną maską, całe stadko zdechłych chrabąszczy i wreszcie czarny, dystygowany karawan, tak samo teraz martwy jak ludzie, których ongiś woził. Tom przyglądał się im wszystkim z uwagą. W końcu się zatrzymał.

– Ten – oznajmił, spoglądając na wypatroszone resztki starego studebakera hawka. Samochód nie miał silnika ani kół, a przednia szyba zamieniła się w pajęczynę splekanego szkła. Nawet po ciemku widzieli, że błotniki i boczne osłony nadgryzła korozja. – Nie jest nic wart, prawda?

Joey otworzył piwo.

– Rób z nim, co chcesz. Jest twój.

Tom zaczerpnął głęboko tchu i spojrzał na samochód. Zacisnął w pięści luźno zwisające dłonie i wbił wzrok w maszynę, skupiając się. Studebaker zakołysał się lekko. Jego przód uniósł się niepewnie na wysokość paru cali.

– Brawooo – zawołał drwiąco Joey, uderzając lekko Toma w bark. Studebaker padł z brzękiem na ziemię i odleciał mu zderzak. – Cholera, to mi zaimponowało – dodał Joey.

– Cholera, siedź cicho i daj mi spokój – zdenerwował się Tom. – Potrafię to zrobić. Pokażę ci, tylko, kurwa, zamknij się na chwilę. Ćwiczyłem. Nie masz pojęcia, jak wiele potrafię.

– Nic już, kurwa, nie powiem – obiecał z uśmiechem Joey, pociągając łyk piwa.

Tom ponownie zajął się autem. Spróbował usunąć ze swego umysłu wszystko, zapomniać o Joeyu, o psach i o złomowisku. Cały świat wypełnił mu studebaker. Żołądek Toma skurczył się w małą, twardą kulę. Nakazał mu się rozluźnić, wziął kilka głębokich oddechów i otworzył pięści. „Spokojnie, spokojnie, tylko się nie denerwuj, nie ma się czego bać, zrób to, robiłeś już trudniejsze rzeczy, to łatwe, łatwe”.

Samochód uniósł się powoli. Na ziemię posypał się deszcz rdzy. Tom zaczął go obracać, coraz szybciej i szybciej. Potem, z triumfalnym uśmiechem, cisnął nim na odległość pięćdziesięciu jardów. Studebaker uderzył w stos martwych chevroleatów i obalił go na ziemię w lawinie metalu.

Joey dokończył rheingolda.

– Nieźle. Kilka lat temu ledwie mogłeś przenieść mnie przez płot.

– Z każdą chwilą staję się coraz silniejszy – pochwalił się Tom.

Joey DiAngelis skinął głową i odrzucił na bok pustą butelkę.

– Świetnie – powiedział. – W takim razie ze mną nie będziesz miał problemów, prawda?

Popchnął mocno Toma obiema rękami.

Tom zatoczył się lekko do tyłu. Zmarszczył brwi.

– Przestań, Joey.

– Zatrzymaj mnie – odparł Joey. Pchnął go ponownie, tym razem silniej. Tom omal się nie przewrócił.

– Przestań, do cholery. To nie jest zabawne.

– Nie? – zapytał z uśmiechem Joey. – A ja, kurwa, uważam, że bardzo. Ale, hej, przecież potrafisz mnie powstrzymać, nie? Użyj swojej cholerycznej mocy. – Podeszedł do Toma i uderzył go lekko w twarz. – Powstrzymaj mnie, asie. – Uderzył go mocniej. – No, Odrzutowcu, pokaż, co potrafisz. – Trzeci policzek był najsilniejszy. – Hej, superbohaterze, na co czekasz?

Czwarte uderzenie było naprawdę bolesne, a po piątym głowa Toma odskoczyła do tyłu. Joey przestał się uśmiechać. Tom czuł w jego oddechu odór piwa.

Spróbował złapać go za rękę, ale Joey był silniejszy i szybszy. Wyrwał się z jego uścisku i spoliczkował go po raz kolejny.

– Chcesz się boksować, asie? Zrobię z ciebie siekane mięso. Głęb. Dupek. – Od uderzenia Tomowi omal nie odpadła głowa. Oczy zapiekły go od łez. – Powstrzymaj mnie, koniotrzepie! – wrzasnął Joey. Zaciśnął dłoń w pięść i walnął Toma w żołądek tak mocno, że biedak aż zgiął się wpół, niezdolny zaczerpnąć oddechu.

Tom usiłował się skoncentrować, złapać i pociągnąć, ale znowu było tak, jak na szkolnym boisku. Joey był wszędzie, zasypywał go ciosami, a on mógł jedynie unieść ręce i próbować się zasłonić. Nic mu to jednak nie dało. Joey był znacznie silniejszy. Okładał go i popychał, ani na moment nie przestając wrzeszczeć. Tom nie był w stanie myśleć, nie potrafił się skupić, ból nie pozwalał mu nic zrobić. Cofnął się, chwiejąc się na nogach, ale Joey podążył za nim, unosząc pięści, i przyładował mu hakiem w zęby. Tom padł nagle na ziemię. Usta wypełniała mu krew.

Joey stał nad nim z zasepioną miną.

– Kurwa – mruknął. – Nie chciałem ci rozciąć wargi.

Wyciągnął rękę, złapał Toma za dłoń i pociągnął mocno, pomagając mu wstać.

Tom otarł usta z krwi grzbietem dłoni. Miał krew również na koszuli.

– Popatrz, jak wyglądam – wymamrotał z niesmakiem. Łypnął spode łba na Joeya. – To nie było uczciwe. Jak mogę coś zrobić, jeśli ciągle mnie okładasz, do cholery?

– Aha – zgodził się Joey. – Wydaje ci się, że będziesz się spokojnie skupiał i mrużył oczy, a złoczyńcy ci na to pozwolą, tak? – Klepnął Toma po plecach. – Kurwa, wybija ci wszystkie zęby. Jeśli będziesz miał szczęście i po prostu cię nie zastrzelą. Nie jesteś Odrzutowcem, Tuds. – Zadrżał. – Chodźmy. Jest kurewski ziąb.

* * *

Gdy Tach obudził się w ciepłym mroku, pamiętał bardzo niewiele z wczorajszego pijaństwa. To mu odpowiadało. Usiadł z wysiłkiem. Pościel, w której leżał, była atlasowa, gładka i przyjemna w dotyku, a przez odór starych wymiocin nadal przebijała się słaba woń kwiatowych perfum.

Odrzucił niepewnym ruchem pościel i przesunął się na brzeg łoża z baldachimem. Pod bosymi stopami poczuł dywan. Był nagi, a w pomieszczeniu panowała nieprzyjemnie wysoka temperatura. Wyciągnął rękę, znalazł wyłącznik i jęknął cicho, oślepiiony jaskrawym blaskiem. Zagracony, różowo-biały pokój umeblowano w stylu wiktoriańskim. Miał dźwiękoszczelne ściany. Znad kominka do Tachiona uśmiechał się olejny portret Johna F. Kennedy'ego, a w kącie stał gipsowy posąg Najświętszej Paniency wysokości trzech stóp.

Anielska Buzia siedziała w różowym fotelu przy zimnym kominku. Spojrzała zaspianym wzrokiem na doktora i ziewnęła, zasłaniając usta dłonią.

Tach poczuł się zawstydzony. Ogarnęły go mdłości.

– Znowu wygryzłem cię z łóżka, tak? – zapytał.

– Nie ma sprawy – uspokoiła go.

Jej stopy spoczywały na maleńkim podnóżku. Ich podeszwy były brzydkie, czarne od siniaków i obrzęknięte, mimo że używała butów ze specjalnymi wkładkami. Poza tym była śliczna. Czarne, rozpuszczone włosy opadały do talii, a jej skóra zdawała się promieniować ciepłą aurą życia. Oczy miała ciemne i błyszczące, ale najbardziej niezwykle było widoczne w nich ciepło, blask uczucia. Nigdy nie przestawało to zdumiewać Tachiona. Czuł się tego zupełnie niegodny. Wyrządził jej, im wszystkim, tak wiele złego, a mimo to kobieta zwana Anielską Buzią wybaczyła mu i nadal myślała o nim z sympatią.

Tach dotknął dłonią skroni. Czuł się tak, jakby ktoś próbował odciąć mu piłą tarczową tylną połowę czaszki.

– Moja głowa – jęknął. – Przy takich cenach mogłabyś chociaż usuwać żywice i toksyny z trunków, które tu podają. Na Takis...

– Wiem – przerwała mu. – Na Takis wyhodowaliście winorośl, z której produkuje się trunki nie wywołujące kaca. Już mi o tym opowiadałeś.

Tachion rozciągnął usta w znużonym uśmiechu. Kobieta wyglądała niewiarygodnie świeżo w krótkiej atlasowej koszuli nocnej, sięgającej zaledwie do ud. Miała ona kolor ciemnego, czerwonego wina i pięknie kontrastowała z jej skórą. Ale gdy Anielska Buzia wstała, zauważył drugą stronę jej twarzy, miejsce, gdzie opierała się przez sen policzkiem o fotel. Siniak ciemniał już. Wyglądało to tak, jakby na jej policzku zakwitł fioletowy kwiat.

– Buzio... – zaczął.

– Nie ma sprawy – odparła, poprawiając włosy, żeby zasłonić plamę. – Miałeś brudne ubranie. Mal zabrał je do prania, więc na pewien czas zostałeś moim więźniem.

– Jak długo spałem? – zapytał Tachion.

– Cały dzień – odparła. – Nie przejmuj się tym. Miałam kiedyś klienta, który upił się tak bardzo, że przespał pięć miesięcy.

Przysiadła na toaletce, uniosła słuchawkę i zamówiła śniadanie: grzanki i herbatę dla siebie, jajecznicę na boczku i mocną kawę z brandy dla Tachiona. A do tego aspirynę.

– Nie – sprzeciwił się. – Nie zjem tyle. Porzygam się.

– Musisz coś zjeść. Nawet kosmici nie mogą żyć samym koniakiem.

– Proszę...

– Jeśli chcesz pić, musisz jeść – oznajmiła bez ogródek. – Taką zawarliśmy umowę, pamiętasz?

Tak jest, umowa. Pamiętał. Anielska Buzia zapewniała mu pieniądze na czynsz, wyżywienie i dowolną ilość alkoholu – tyle, ile tylko będzie potrzebował, by wypłukać wspomnienia. W zamian za to musiał tylko jeść i opowiadać jej historie. Uwielbiała słuchać jego opowieści. Powtarzał jej rodzinne anegdoty, udzielał wykładów na temat takisiańskich zwyczajów, wypełniał jej głowę historią, legendami i romansami, opowieściami o balach, intrygach i pięknie tak bardzo odległym od szpetoty Miasta Dżokerów.

Czasami, po zamknięciu lokalu, tańczył dla niej, kreśląc na zwierciadlanej podłodze nocnego klubu starożytne, skomplikowane takisiańskie pawany. Patrzyła na to z uwagą i prosiła o więcej. Pewnego dnia, gdy oboje wypili stanowczo za dużo wina, namówiła go na zademonstrowanie Baletu Weselnego, erotycznego tańca, który większość Takisian wykonywała tylko raz, w noc poślubną. To był jedyny raz, gdy z nim zatańczyła. Powtarzała jego kroki, najpierw niepewnie, a potem coraz szybciej i szybciej, kołysała się i wirowała po parkiecie, aż wreszcie jej boscie stopy posiniały i popękały, zostawiając na lustrzanych płytkach krwawe ślady. W Balcie Weselnym tańcząca para łączyła się ze sobą na koniec, osuwając się na podłogę w długim, triumfalnym uścisku. To jednak było na Takis; tutaj, gdy nadeszła ta chwila, Anielska Buzia złamała rytm i uciekła od Tachiona, po raz kolejny przypominając mu, że jego ojczysty świat jest daleko.

Przed dwoma laty Desmond znalazł doktora w zaułku w Mieście Dżokerów, nagiego i nieprzytomnego. Ktoś ukradł mu ubranie podczas snu. Dręczyła go gorączka i majaczył. Des wezwał pomoc i kazał go zanieść do Gabinetu Luster. Kiedy Tachion się ocknął, leżał na łóżku w pokoiku na zapleczu, otoczony beczułkami piwa oraz półkami zastawionymi butelkami z winem.

– Wiesz, co piłeś? – zapytała go Anielska Buzia, kiedy przyprowadzili go do jej gabinetu. Nie wiedział. Pamiętał tylko, iż musiał się napić tak bardzo, że aż czuł ból, i jakiś stary Murzyn w zaułku podzielił się z nim szczerze. – To się nazywa Sterno – poinformowała go. Potem kazała Desowi przynieść butelkę najlepszej brandy, jaką miała w swych zapasach. – Jeśli ktoś chce pić, to jego prywatna sprawa, ale przynajmniej możesz się zabić z odrobiną klasy.

Brandy wypełniła mu klatkę piersiową witkami ciepła i powstrzymała drzenie rąk. Opróżniwszy szklaneczkę, Tach podziękował wylewnie Anielskiej Buzi, ale kiedy próbował jej dotknąć, odsunęła się od niego. Zapytał ją dlaczego.

– Pokażę ci – odparła, wyciągając do niego rękę. – Leciutko – ostrzegła. Jego pocałunek był zaledwie muśnięciem warg, nie na grzbiecie dłoni, ale na nadgarstku, gdyż chciał poczuć jej tętno, płynący w niej nurt życia, dlatego, że była tak bardzo piękna i dobra, i dlatego, że jej pragnął.

Chwilę później przyglądał się z bliską mdłości trwogą, jak jej skóra staje się fioletowa, a potem czarna. „Jeszcze jedna z moich ofiar” – pomyślał.

Mimo to zostali w jakiś sposób przyjaciółmi. Nie kochankami, oczywiście, chyba że w jego marzeniach; jej naczynia włosowate pękały przy najlżejszym nacisku, a dla nadwrażliwego układu nerwowego nawet najdelikatniejszy dotyk był bolesny. Czula pieszczota wywoływała u niej ciemne siniaki, a akt miłosny zapewne by ją zabił. Byli jednak przyjaciółmi. Nigdy nie prosiła go o nic, czego nie mógłby dać, i dzięki temu nigdy jej nie zawiódł.

Śniadanie przyniosła czarnoskóra garbuska imieniem Ruth, która zamiast włosów miała jasnoniebieskie pióra.

– Przyniósł ci to dziś rano – poinformowała Anielską Buzię, gdy już zastawiła stół. Podała jej nad blatem grubą, kwadratową paczuszkę owiniętą w brązowy papier. Anielska Buzia przyjęła ją bez słowa komentarza. Tachion zaczął popijać kawę z dodatkiem brandy, spoglądając z bliską mdłości trwogą na jajecznicę na boczku.

– Nie rób takiej przerażonej miny – poprosiła Anielska Buzia.

– Chyba jeszcze ci nie opowiadałem o tym, jak na Takis przyleciał gwiazdolot Sieci, i o tym, co moja prababcia Amurath musiała powiedzieć posłowi z Ly’bahr – zaczął.

– Nie opowiadałeś – potwierdziła. – No to mów. Lubię twoją prababcie.

– Za to ja boję się jej panicznie – odparł Tachion i zaczął opowieść.

* * *

Tom obudził się długo przed świtem. Joey chrapał w pokoju na zapleczu. Zaparzył kawę w starym ekspresie i włożył bułkę do opiekacza. Gdy kawa się parzyła, wsunął w ścianę składany tapczan. Posmarował bułki masłem i truskawkowymi konfiturami, a potem rozejrzał się za czymś do poczytania. Jego wzrok przyciągnęły komiksy.

Przypomniawszy sobie dzień, kiedy je uratował. Większość była pierwotnie jego własnością, w tym również cały komplet *Odrzutowca*, który dostał od ojca. Kochał je. I nagle, pewnego dnia w roku 1954, po powrocie ze szkoły przekonał się, że wszystkie zniknęły. Cały regał i dwie skrzynki po pomarańczach pełne śmiesznych książeczek. Matka powiedziała mu, że przyszły jakieś kobiety z komitetu rodzicielskiego, które jej wyjaśniły, jak okropną rzeczą są

komiksy. Pokazały jej książkę doktora Werthama mówiącą tym, że od ich czytania dzieci stają się młodocianymi przestępcami i homoseksualistami, a do tego komiksy gloryfikują asów oraz dzokerów. Dlatego pozwoliła im zabrać całą kolekcję Toma. Chłopak wrzeszczał głośno i dostał ataku hysterii, ale to nic nie pomogło.

Komitet rodzicielski zbierał komiksy od wszystkich dzieci w szkole. Śmieszne książeczki miały być spalone w sobotę na boisku szkolnym. Podobnie działo się w całym kraju. Mówiono nawet, że zostanie wprowadzone prawo zakazujące komiksów, a przynajmniej tych kryminalnych, horrorów i opisujących ludzi obdarzonych niezwykłymi mocami.

Okazało się, że Wertham i komitet rodzicielski mieli rację. W piątkową noc Tommy Tudbury i Joey DiAngelis weszli z powodu komiksów na drogę przestępstwa.

Tom miał dziewięć lat, Joey – jedenaście, ale prowadził ciężarówkę ojca już od siódmego roku życia. Zwinął ją w samym środku nocy, a Tom wykraść się z domu, żeby się z nim spotkać. Gdy już dotarli na miejsce, Joey otworzył łomem okno, a Tom wspiął mu się na ramiona, zajrzał do ciemnej klasy, skoncentrował się, uniósł karton ze swoimi komiksami i przeniósł go na skrzynię ciężarówki. Potem zwędził jeszcze cztery czy pięć innych kartonów. Ludzie z komitetu rodzicielskiego niczego nie zauważyli. I tak mieli pod dostatkiem materiału do spalenia. Jeśli nawet Dom DiAngelis zastanawiał się, skąd się wzięły te wszystkie komiksy, nigdy o nic nie zapytał. Zrobił tylko na nie półki, dumny jak paw z syna, który umiał czytać. Od tej pory to była ich wspólna kolekcja.

Tom zostawił kawę i bułkę na skrzyni, podszedł do regału i wziął sobie kilka numerów *Odrzutowca*. Przeczytał wszystkie przy śniadaniu. *Odrzutowiec na Wyspie Dinozaurów*, *Odrzutowiec i Czwarta Rzesza*, i jego ulubiony, ostatni numer, ten autentyczny, *Odrzutowiec i kosmici*. Tytuł umieszczony w środku brzmiał *Trzydzieści minut nad Broadwayem*. Tom przeczytał go dwukrotnie, popijając stygnącą kawę. Nad najlepszymi stronami zatrzymywał się dłużej. Na ostatniej stronie pokazano, jak przybysz z kosmosu, Tachion, płacze. Tom nie wiedział, czy to wydarzyło się naprawdę. Zamknął komiks i zjadł resztę bułki, a potem przez długi czas siedział bez ruchu, pogrążony w myślach.

Odrzutowiec był bohaterem. A kim był on? Nikim. Ofermą, tchórzem. Jego moc gównu komukolwiek pomogła. Była do niczego, tak jak on sam.

Włożył z przygnębieniem płaszcz i wyszedł na dwór. Złomowisko wyglądało brzydko i nieprzyjemnie w świetle wschodzącego słońca. Dał zimny wiatr. W odległości kilkuset jardów na wschód widać było zielone, wzburzone wody zatoki. Tom wspiął się na niewysokie wzgórze, do starego packarda. Drzwi zaskrzypiały, kiedy je otwierał. Siedzenia samochodu były popękane i cuchnęły stęchlizną, ale przynajmniej nie docierał tu wiatr. Tom zgarbił się, opierając kolana o tablicę z przyrządami, i wbił wzrok we wschód słońca. Siedział tak nieruchomo przez długi czas, a na złomowisku kołpaki i stare opony unosiły się w powietrze, potem zaś wpadały z pluskiem do zielonych wód New York Bay. Widział stąd Statuę Wolności oraz zamglone zarysy wieżowców Manhattanu na północnym wschodzie.

Było już prawie wpół do ósmej, kończyły mu zeszywniały i dawno stracił rachubę kołpaków, które wrzucił do wody, gdy wyprostował się nagle z dziwnym wyrazem twarzy. Lodówka, którą żonglował na wysokości czterdziestu jardów, spadła na ziemię z głośnym łoskotem. Przesunął palcami po włosach, uniósł lodówkę, przemieścił ją jakieś dwadzieścia jardów i spuścił na dach baraku. Potem zrobił to samo ze starą oponą, rowerem o skrzywionej ramie, sześcioma kołpakami i małym, czerwonym samochodem kombi.

Drzwi baraku otworzyły się z głośnym trzaskiem i na dwór wypadł Joey, ubrany tylko w bokserki i podkoszulek bez rękawów. Wyglądał na zdrowo wkurzonego. Tom złapał go za boscie nogi i obalił na tyłek. Joey zaklął.

Tom pochwycił go znowu i uniósł nad ziemię do góry nogami.

– Gdzie się, kurwa, chowasz, Tudbury? – wrzeszczał Joey. – Przestań, ty głąbie. Wypuść mnie.

Tom wyobraził sobie dwie ogromne, niewidzialne dłonie i zaczął przerzucać Joeya z jednej do drugiej.

– Jak tylko zejdziesz na dół, to, kurwa, tak ci przyładuję, że do końca życia będziesz jadł przez słomkę – zapowiedział Joey.

Korbka poruszała się z trudem, bo od lat jej nie używano, ale w końcu Tomowi udało się otworzyć szybę packarda. Wystawił głowę na zewnątrz.

– Hej, dzieci, hej, hej, hej – wychrypiął ze śmiechem.

Wiszący dwanaście stóp nad ziemią Joey zacisnął rękę w pięść.

– Kurwa, już ja pociągnę za twój magiczny wihajster, ty debilu! – zawołał.

Tom ściągnął mu bokserki i zawiesił je na słupie telegraficznym.

– Nie żyjesz, Tudbury – zagroził Joey.

Tom zaczerpnął głęboki oddech i bardzo ostrożnie postawił Joeya na ziemi. Nadeszła chwila prawdy. Joey biegł w jego stronę, wykrzykując obsceniczne wyrazy. Tom zamknął oczy, położył dłonie na kierownicy i pociągnął w górę. Packard poruszył się lekko. Na czoło Toma wystąpiły kropelki potu. Odciał się od całego świata, skoncentrował i policzył do dziesięciu, powoli, wspak.

Gdy wreszcie otworzył oczy, spodziewał się ujrzeć pięść Joeya, uderzającą go w nos, ale nie zobaczył nic poza mewą, która przysiadła na masce samochodu. Ptak przechylał głowę, zaglądając do środka przez pękniętą szybę. Packard unosił się w powietrzu. W powietrzu!

Tom wystawił głowę przez okno. Joey stał dwadzieścia stóp pod nim, spoglądając na niego ze złością. Wsparł ręce na biodrach i miał zde gustowaną minę.

– Co to mówiłeś mi wczoraj? – zawołał z uśmiechem Tom.

– Mam nadzieję, że będziesz tam wisiał cały dzień, skurczybyku – odgryzł się Joey. Zacisnął bezsilnie dłoń w pięść i pomachał nią. Czarne, pozlepiane włosy opadały mu na oczy.

– Cholera, czego to dowodzi? Gdybym miał pistolet, i tak byłbyś trupem.

– Gdybyś miał pistolet, nie wystawiałbym łba przez okno – zauważył Tom. – Właściwie to chyba lepiej by było, gdybym nie miał okna. – Zastanawiał się nad tym przez chwilę, ale trudno mu było myśleć, kiedy tak wisiał. Packard był ciężki. – Schodzę na dół – poinformował Joeya. – Czy, hmm, już ci przeszło?

Joey wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Sam się przekonaj, Tuds.

– To zejź mi z drogi. Nie chcę cię rozmaścić tym cholerstwem.

Joey odsunął się na bok. Jego goły tyłek pokrył się gęsią skórką. Tom opuścił powoli packarda na ziemię. Samochód opadał tak łagodnie, jak jesienny liść w bezwietrzny dzień. Ledwie zdążył uchylić drzwi, gdy Joey złapał go, wyciągnął na zewnątrz i przycisnął do boku samochodu, zaciskając drugą dłoń w pięść.

– Powinienem... – zaczął. Potem potrząsnął głową, parsknął i puknął Toma lekko w ramię. – Oddaj mi te pierdolone gacie, asie – zażądał.

Kiedy wrócili do domu, Tom odgrzał resztę kawy.

– Będę potrzebował twojej pomocy – oznajmił, gdyż już zrobił sobie jajecznicę z szynką i wziął jeszcze parę bułek. Telekineza zawsze pobudzała jego apetyt. – Uczyłeś się naprawy samochodów, spawania i całego tego syfu. Ja zajmę się elektryką.

– Elektryką? – zdziwił się Joey, ściskając kubek w dłoniach. – Na chuj ci elektryka?

– Światła i kamery telewizyjne. Nie chcę mieć żadnych okien, przez które można by do mnie strzelać. Wiem, gdzie można tanio dostać kamery, a ty masz tu mnóstwo starych telewizorów. Naprawię parę i już. – Usiadł i zaatakował jajecznicę z zaciętością wygłodniałego wilka. – Będę też potrzebował głośników. Jakiegoś rodzaju systemu nagłaśniającego. Generatora. Ciekawe, czy zostanie mi miejsce na lodówkę?

– Ten packard to wielki skurwysyn – zauważył Joey. – Jak wyjmiesz siedzenie, wepchniesz tam trzy kurewskie lodówki.

– Nie chcę packarda – oznajmił Tom. – Znajdę lżejszy samochód. Możemy zasłonić okna starymi płatami poszycia albo czymś w tym rodzaju.

Joey odgarnął włosy z oczu.

– Pierdolić płaty poszycia. Mam blachę pancerną. Jeszcze z czasów wojny. W czterdziestym szóstym i czterdziestym siódmym w bazie marynarki zdali na złom kupę okrętów. Dom stanął do przetargu o metal i kupił dwadzieścia ton. To była kurewska strata pieniędzy. Na chuj komu blacha z pancerników? Mam jeszcze wszystko. Leży tam sobie i rdzewieje. Żeby przebić to cholerstwo, potrzebne by było szesnastocalowe działo. Będziesz bezpieczny, jak... kurwa, nie wiem, jak kto. W każdym razie bezpieczny.

Tom wiedział.

– Bezpieczny jak żółw w skorupie – oznajmił głośno.

* * *

Do Bożego Narodzenia zostało tylko dziesięć dni roboczych. Tach siedział w jednej z nisz przy oknach, ściskając w dłoniach filiżankę kawy po irlandzku i spoglądając przez weneckie okna na Bowery. Gabinet Luster zaczynał działalność dopiero za godzinę, ale tylne drzwi zawsze były otwarte dla przyjaciół Anielskiej Buzi. Na scenie para żonglujących dzokerów, którzy używali imion Kosmos i Chaos, przerzucała się kulami do kręgli. Kosmos unosił się trzy stopy nad sceną w pozycji lotosu, a jego bezoka twarz miała pogodny wyraz. Był całkowicie ślepy, ale nigdy nie zdarzało mu się upuścić kuli. Jego partner, sześcioreki Chaos, skakał po scenie jak szaleniec, chichotał i opowiadał kiepskie dowcipy. Dwie ręce trzymał za plecami, żonglując kaskadą płonących żagwi, a pozostałymi czterema rzucał kulami do kręgli w Kosmosa. Tach zerknął na nich tylko przelotnie. Choć byli utalentowani, widok ich kalectwa sprawiał mu ból.

Do jego boksu wcisnął się Mal.

– Ile ich już wypileś? – zapytał wykidajło, spoglądając ze złością na kawę po irlandzku. Witki zwisające mu z górnej wargi powiększały się i kurczyły, pulsując jak ślepe robaki. Potężna, zniekształcona, czarnoniebieska żuchwa nadawała jego twarzy wyraz agresywnej pogardy.

– Nie rozumiem, czemu miałby to być twój interes.

– Nie ma z ciebie za cholereę pożytku, prawda?

– Nigdy nie twierdziłem, że jest.

Mal chrząknął.

– Jesteś wart mniej więcej tyle, co worek gówna. Nie wiem, po jakiego grzyba Buzi potrzeba cholernego, cykorowatego kosmity, który tylko wypija jej gorzałę...

– Nie potrzeba. Sam jej to powiedziałem.

– Ona nigdy nikogo nie słucha – zgodził się Mal i zacisnął dłoń w pięść. Bardzo wielką pięść. Przed Dniem Dzikiej Karty zajmował ósme miejsce w rankingu zawodowych pięściarzy wagi ciężkiej. Potem wspiął się aż na trzecie... ale wkrótce zabronili dzikim kartom uprawiania zawodowego sportu i tą decyzją przekreślili wszystkie jego marzenia. To prawo miało rzekomo być wymierzone przeciwko asom, którzy byliby bezkonkurencyjni, ale nie przewidziano żadnych wyjątków dla dzokerów. Mal był teraz starszy, włosy mu się przeredziły i nabrały stalowosiwego koloru, ale nadal sprawiał wrażenie wystarczająco silnego, żeby złamać Floyda Pattersona na kolanie, i dostatecznie groźnego, żeby zmusić Sonny'ego Listona do odwrócenia wzroku.

– Popatrz na niego – warknął z niesmakiem, wyglądając przez okno. Malutki sterczał na ulicy na swym fotelu. – Cholera, co on tu robi? Mówiłem mu, żeby więcej się tu nie kręcił.

Mal ruszył ku drzwiom.

– Nie możesz zostawić go w spokoju? – zawołał za nim Tachion. – On jest nieszkodliwy.

– Nieszkodliwy? – obruszył się Mal. – Jego wrzaski wyplaszają wszystkich turystów. Kto, kurwa, płaci za twoją darmową gorzałę?

Drzwi otworzyły się nagle i stanął w nich Desmond. Płaszcz miał przewieszony przez ramię, a trąbę uniesioną do wysokości ust.

– Zostaw go, Mal – polecił znużonym głosem maître d'hôtel. – Zajmij się swoją robotą.

Mal oddalił się, mrużąc coś pod nosem.

Desmond usiadł w boksie obok Tachiona.

– Dzień dobry, doktorze – przywitał go.

Tachion skinął głową i dokończył kawę. Cała whisky opadła na dno filiżanki i ogrzała go po drodze do żołądka. Wbił spojrzenie w twarz odbijającą się w zwierciadlanym blacie: znużoną, rozwiązłą, prostacką facjatę o poczerwieniałych, podpuchniętych oczach i długich rudych włosach, splecionych i przetłuszczonych. Obrzękłą gębę o rysach zniekształconych przez alkohol. To nie był on. To nie mógł być on, on był przystojny, dystyngowany, miał wyraziste rysy, a jego twarz...

Desmond wyciągnął trąbę, oplótł mocno jej palcami nadgarstek Tachiona i pociągnął go ku sobie.

– Nie słyszałeś ani słowa z tego, co powiedziałem, prawda? – zapytał Des cichym, przepojonym gniewem głosem. Tach uświadomił sobie niejasno, że Desmond coś do niego mówił. Zaczął mamrotać słowa przeprosin.

– Mniejsza z tym – mruknął Des, puszczać jego rękę. – Wysłuchaj mnie. Prosiłem cię o pomoc, doktorze. Może i jestem dzokerem, ale to nie znaczy, że nie mam wykształcenia. Czytałem o tobie. Posiadasz pewne... nazwijmy to – zdolności.

– Nie – przerwał mu Tach. – Nie takie, jak myślisz.

– Twoje moce są dobrze udokumentowane – upierał się Des.

– Już nie... – zaczął ze skrepowaniem Tach. Rozpostarł dłonie. – To było dawno. Utraciłem... to znaczy, nie potrafię, już nie.

Popatrzył na własną zrujnowaną twarz. Pragnął spojrzeć Desowi prosto w oczy, wytłumaczyć mu wszystko, ale nie był w stanie znieść widoku jego zdeformowanego oblicza.

– To znaczy, że nie chcesz tego zrobić – skwitował Des. Wstał. – Myślałem, że jeśli pogadam z tobą przed otwarciem, uda mi się złapać cię trzeźwego. Widzę, że się pomyliłem. Zapomnij o wszystkim, co ci mówiłem.

– Pomógłbym ci, gdybym potrafił – zaczął Tach.

– Nie prosiłem o pomoc dla siebie – odparł ostro Des.

Kiedy maître d'hôtel się oddalił, Tachion podszedł do długiego, srebrnego, chromowanego baru i zamówił całą butelkę koniaku. Po pierwszym kieliszku poczuł się lepiej, a po drugim dłonie przestały mu drżeć. Po trzecim zaczął płakać. Mal przyszedł i spojrzał na niego z niesmakiem.

– Nigdy nie znalazłem faceta, który płakałby tyle co ty – stwierdził. Wepchnął Tachionowi w dłoń brudną chusteczkę i poszedł pomóc otworzyć lokal.

* * *

Unosił się w powietrzu przez cztery i pół godziny, gdy nagle usłyszał w trzeszczącym policyjnym radiu, które miał przy prawej stopie, wiadomość o pożarze. Co prawda, nie wisiał zbyt wysoko, tylko jakieś sześć stóp nad ziemią, ale to wystarczało. Przekonał się, że sześć czy sześćdziesiąt stóp to w sumie niewielka różnica. Cztery i pół godziny, a on w ogóle nie czuł się zmęczony. W gruncie rzeczy, czuł się rewelacyjnie.

Przypiął się bezpiecznie do lotniczego siedzenia, które Joey wyjął z rozbitego triumpha TR-3 i umieścił na niskim czopie pośrodku volkswagena. Jedynym źródłem światła był tu błyśki blask różnorodnych ekranów telewizyjnych otaczających go ze wszystkich stron. Wewnątrz znajdowały się kamery i poruszające nimi silniki, generator, system wentylacji, sprzęt nagłaśniający, tablice rozdzielcze, skrzynka z zapasowymi lampami i mała lodówka, więc Tom miał bardzo mało wolnego miejsca. To mu jednak nie przeszkadzało. Zawsze był raczej klaustrofilem niż klaustrofobem i podobało mu się tutaj. Joey pokrył karoserię chrabąszcza dwiema nachodzącymi na siebie warstwami grubej, pancernej blachy. To było lepsze niż cholerny czołg. Joey wypróbował pancerz kilkoma strzałami z lugera, którego Dom zdobył na niemieckim oficerze podczas wojny. Szczęśliwe trafienie mogło zniszczyć jedną z kamer albo jeden z reflektorów, ale ukryty w skorupie Tom był całkowicie bezpieczny. A nawet więcej niż bezpieczny, był nietykalny, gdy zaś czuł się tak pewnie, nie było granic tego, co mógł osiągnąć.

Kiedy skończyli pracę nad skorupą, zrobiła się cięższa od packarda, ale to nie miało dla Toma znaczenia. Cztery i pół godziny bez dotykania ziemi. Tom unosił się nad złomowiskiem bezgłośnie i niemal bez wysiłku. Nawet się przy tym nie spocił.

Gdy usłyszał w radiu tę wiadomość, ogarnęło go nagle podniecenie. „To jest to!” – pomyślał. Powinien zaczekać na Joeya, ale jego przyjaciel pojechał do Pompeii Pizza po kolację (pizza pepperoni z cebulą i podwójnym serem), a on nie miał czasu do stracenia. To była jego szansa.

Tom uniósł skorupę wyżej nad ziemię: osiem stóp, dziesięć, dwanaście. W blasku pierścienia reflektorów zamontowanych pod jej spodem wzgórza złomu i śmieci rzucały ostro rysujące się cienie. Przenosił nerwowo spojrzenie z jednego ekranu na drugi, patrząc, jak grunt się oddala. Na jednym z ekranów, którego kineskop wymontowano ze starej sylvanii, obraz zaczął się powoli przesuwać w kierunku pionowym. Tom pokręcił gałką, żeby to powstrzymać. Dłonie pokrył mu pot. Na wysokości piętnastu stóp zaczął się powoli przesuwać naprzód, aż wreszcie dotarł do brzegu. Przed nim była tylko ciemność. Noc była zbyt pochmurna, by było stąd widać Nowy Jork, wiedział jednak, że miasto tam jest. Musiał

tylko do niego dotrzeć. Na małych, czarno-białych ekranach wody New York Bay wydawały się jeszcze mroczniejsze niż zwykle. Majaczył przed nim bezkresny ocean pokrytego białymi grzywaczami atramentu. Będzie musiał pokonać zatokę na oślep, póki nie ujrzy przed sobą świateł miasta. Jeśli utraci moc, dołączy do Odrzutowca i JFK znacznie prędzej, niż było to jego zamiarem. Nawet gdyby zdążył otworzyć pokrywę wystarczająco szybko, żeby nie utonąć razem ze skorupą, i tak nie umiał pływać.

Nagle jednak przyszła mu do głowy myśl, że nie utraci mocy. Czemu, kurwa, się wahał? Nigdy już nie utraci mocy. Musiał w to uwierzyć.

Zacisnął mocno usta, popchnął skorupę siłą umysłu i pomknął gładko nad wodą. Na dole przetaczały się słone fale. Nigdy jeszcze nie musiał odpychać się od wody. To było inne wrażenie. Na krótką chwilę ogarnęła go panika. Skorupa zakołysała się i opadła trzy stopy w dół, nim Tom wziął się w garść i wyrównał lot. Uspokoił się z wysiłkiem i znowu wzbił wyżej. „Wysoko” – pomyślał. Poleci wysoko, jak Odrzutowiec, jak Czarny Orzeł, jak pierdolony as. Skorupa mknęła coraz szybciej, sunęła nad zatoką bystro i spokojnie. Tom był coraz pewniejszy siebie. Nigdy nie czuł się tak niewiarygodnie potężny, tak bardzo na miejscu.

Kompas działał prawidłowo. Po niespełna dziesięciu minutach przed Tomem zamajaczyły światła Battery oraz Wall Street. Wznosił się coraz wyżej, mknąc ku środkowi miasta wzdłuż brzegów Hudson River. Minął Mauzoleum Odrzutowca. Niejeden raz stał u jego stóp, spoglądając w twarz wielkiego metalowego posągu. Zadał sobie pytanie, co by pomyślał ten kolos, gdyby mógł unieść wzrok i zobaczyć go w tej chwili.

Miał ze sobą plan Nowego Jorku, ale dzisiaj go nie potrzebował. Pożar było widać z odległości blisko mili. Gdy nad nim przeleciał, nawet wewnątrz skorupy poczuł muskające go fale gorąca. Zaczął ostrożnie zniżać lot. Wentylatory furkotały, a kamery poruszały się na jego rozkaz. Na dole panowały chaos i kakofonia, słyszał syreny i krzyki, widział tłum gapiów, krzątających się pośpiesznie strażaków, policyjne barykady i karetki pogotowia, wielkie strażackie samochody lejące wodę na gorejące inferno. Z początku nikt go nie dostrzegł, gdyż Tom unosił się na wysokości pięćdziesięciu stóp nad chodnikiem. Potem zszedł niżej i jego światła padły na ściany budynku. Zauważył, że ludzie podnoszą wzrok i wyciągają ręce. Zakreśliło mu się w głowie z podniecenia.

Mógł jednak napawać się tym wrażeniem tylko przez chwilę. Nagle ujrzał kącikiem oka na jednym z ekranów kobietę. Pojawiła się niespodziewanie w oknie na czwartym piętrze. Zgięła się w pół i kasłała. Jej suknię ogarnęły już płomienie. Nim zdążył cokolwiek zrobić, rozjarzyły się jaśniej. Kobieta krzyknęła i skoczyła.

Złapał ją w locie, bez zastanowienia, bez wahania, bez pytania, czy potrafi. Po prostu to zrobił. Złapał ją, zatrzymał i postawił delikatnie na ziemi. Strażacy ją otoczyli, zerwali z niej suknię i zaprowadzili kobietę do karetki. Tom zauważył, że teraz już wszyscy patrzą na niego, na niezwykle mroczną sylwetkę unoszącą się wysoko pośród nocy, na pierścień jasnych

świateł. Odezwało się policyjne radio i Tom usłyszał, że policjanci meldują o pojawieniu się latającego spodka. Uśmiechnął się.

Jeden z gliniarzy wspiął się na dach radiowozu, uniósł megafon i zaczął coś do niego wołać. Tom wyłączył radio, żeby lepiej słyszeć głos z trudem przebijający się przez huk płomieni. Policjant wzywał Toma, żeby wylądował i zidentyfikował się, pytał go, kim i czym jest.

To było łatwe. Tom włączył mikrofon.

– Jestem Żółw – oznajmił. Volkswagen nie miał kół. W otworach na nie Joey zainstalował największe głośniki, jakie udało im się znaleźć. Podłączyli do nich najsilniejszy wzmacniacz dostępny na rynku. Po raz pierwszy świat usłyszał głos Żółwia, nad ulicami i zaułkami poniosło się donośne: „JESTEM ŻÓŁW”, brzmiące jak huk gromu pełen trzasków i zniekształceń. Tom miał jednak wrażenie, że czegoś tu brakuje. Podkreślił głośność jeszcze bardziej i dodał trochę więcej basów.

– JESTEM WIELKI I POTĘŻNY ŻÓŁW – oznajmił obecnym.

Potem odleciał na zachód do odległych o przecznicę, mrocznych i zanieczyszczonych wód Hudson River, i wyobraził sobie dwie ogromne, niewidzialne dłonie o rozpiętości czterdziestu stóp. Zanurzył je w rzece, wypełnił wodą i uniósł. Gdy wracał do pożaru, na ziemię ściekały drobne strumyczki. Kiedy spuścił na płomienie pierwszą kaskadę wody, tłum wybuchł ochryplym aplauzem.

* * *

– Wesołych Świąt – wybełkotał pijackim głosem Tach, gdy zegar wybił północ. Rekordowo wielki tłum gości zaczął krzyczeć, wrzeszczeć i walić w stoły. Na scenie Humphrey Bogart powiedział trudnym do rozpoznania głosem kiepski dowcip. Wszystkie światła przygasały na chwilę, a gdy rozjarzyły się znowu, Bogarta zastąpił tęgi mężczyzna o okrągłej twarzy i czerwonym nosie.

– Kim jest tym razem? – zapytał Tach bliźniaczkę siedzącą po lewej.

– W.C. Fieldsem – odpowiedziała i wsunęła mu język do ucha. Bliźniaczka siedząca po prawej robiła pod stołem coś jeszcze bardziej interesującego. Jej dłoń trafiła w jakiś sposób do jego spodni. Bliźniaczki były świątecznym upominkiem od Anielskiej Buzi.

– Możesz sobie wyobrażać, że to ja – oświadczyła, choć oczywiście w niczym jej nie przypominały. To były miłe dzieciaki, dorodne, radosne i absolutnie bezpruderyjne, choć raczej niezbyt bystre. Przypominały mu takisiańskie zabawki seksualne. Ta po prawej wyciągnęła dziką kartę, ale nawet w łóżku nie zdejmowała kociej maski, więc Tachion nie widział żadnych zniekształceń, które zakłóciłyby mu słodką przyjemność wzrodu.

W.C. Fields, kimkolwiek był, wygłosił kilka cynicznych uwag na temat Bożego Narodzenia i małych dzieci. Widzowie przegnali go ze sceny buczeniem. Projektjonista

dysponował zdumiewającym zestawem twarzy, ale nie miał pojęcia o opowiadaniu kawałów. Tachionowi to jednak nie przeszkadzało. Nie narzekał na brak rozrywek.

– Gazetę, doktorze? – Sprzedawca rzucił na stół „Herald Tribune”. Miał grubą, trójpalczystą dłoń, a jego niebieskoczarna skóra połyskiwała tłusto. – Bożonarodzeniowe wiadomości – oznajmił, poprawiając trzymany niezgrabnie pod pachą plik gazet. Z kącików jego szerokich, uśmiechniętych ust sterczały dwa krótkie, zakrzywione kły. Na rozdętej czaszce porośniętej kosmykami szczeciniastych, rudych włosów nosił kapelusz z szerokim rondem. Na ulicach zwano go Morsem.

– Nie, dziękuję, Jube – odparł z pijacką godnością Tach. – Dzisiaj nie mam nastroju do pławienia się w ludzkim szaleństwie.

– Hej, zobacz – odezwała się bliźniaczka po prawej. – Żółw!

Tachion rozejrzał się wokół, na moment zbity z tropu. Zastanawiał się, w jaki sposób wielka, opancerzona skorupa mogła się dostać do Gabinetu Luster. Ale oczywiście dziewczyna mówiła o gazecie.

– Lepiej kup ją dla niej, Tacky – poradziła mu z chichotem bliźniaczka z lewej. – Bo inaczej się obrazi.

Tachion westchnął.

– Wezmę jedną. Ale pod warunkiem, że nie będę musiał słuchać twoich kawałów, Jube.

– Słyszałem nowy, o tym, jak dzoker, Polaczek i Irlandczyk znaleźli się na bezludnej wyspie, ale za jedną ci nie opowiem – odparł Mors, rozciągając usta w uśmiechu, jakby były z gumy.

Tachion wsadził dłoń do kieszeni w poszukiwaniu monet, ale nie znalazł tam nic poza małą, damską rączką. Jube mrugnął do niego znacząco.

– Wezmę zapłatę od Desa – oznajmił.

Tachion rozłożył gazetę na stole. Audytorium buchnęło gromkimi brawami, witając wychodzących na scenę Kosmosa i Chaosa.

Ziarniste zdjęcie Żółwia zajmowało dwie szpalty. Tachion pomyślał, że wygląda on jak latający ogórek; wielki kiszony ogórek pokryty małymi brodawkami. Żółw ujął pirata drogowego, który zabił w Harlemie dziewięcioletniego chłopca. Dopadł go podczas ucieczki i uniósł samochód dwadzieścia stóp nad ziemię. Silnik warczał, a koła kręciły się jak szalone, ale nic to nie pomogło. Po chwili zjawiała się policja. W powiązanej z głównym artykułem notatce napisano, że rzecznik lotnictwa zdementował pogłoski głoszące, iż skorupa jest eksperymentalnym automatycznym czołgiem latającym.

– Można by pomyśleć, że w końcu znajdą jakieś ważniejsze tematy – mruknął Tachion. To był już trzeci w tym tygodniu duży artykuł o Żółwiu. Dział listów od czytelników, komentarze redakcyjne, wszędzie tylko Żółw, Żółw i Żółw. Nawet w telewizji snuto szalone spekulacje na jego temat. Kim był? Czym był? Jak to robił?

Pewien reporter dotarł z tym pytaniem do Tachiona.

– Telekineza – wyjaśnił mu Tach. – To nic nowego. Właściwie to bardzo powszechne.

TK była zdolnością, która najczęściej ujawniała się u ofiar wirusa w czterdziestym szóstym. Widział kilkunastu pacjentów, którzy potrafili poruszać ołówkami i przyciskami do papieru, a nawet kobietę, która utrzymywała w powietrzu własny ciężar przez całe dziesięć minut. Także umiejętność latania, jaką posiadał Earl Sanderson, wywodziła się z telekinezy. Tachion nie dodał jednak, że TK na taką skalę jest czymś bezprecedensowym. Oczywiście, w gazecie i tak przekręcili połowę jego wypowiedzi.

– No wiesz, on jest dzokerem – wyszeptała bliźniaczka siedząca po prawej, ta w srebrnoszarej masce kota. Opierała się o ramię doktora, czytając artykuł o Żółwiu.

– Dzokerem? – powtórzył Tach.

– Ukrywa się w skorupie, tak? Czemu miałby to robić, jeśli nie z powodu ohydnych wyglądu? – Wyjęła rękę z jego spodni. – Możesz mi dać tę gazetę?

Tach przesunął gazetę w jej stronę.

– Teraz go uwielbiają – rzekł ostrym tonem. – Tak samo jak uwielbiali Czterech Asów.

– To była grupa kolorowych muzyków, prawda? – zapytała dziewczyna, skupiając uwagę na nagłówkach.

– Ona prowadzi album z wycinkami – poinformowała go jej siostra. – Wszyscy dzokerzy myślą, że on jest jednym z nich. Głupie, co? Założę się, że to po prostu maszyna, jakiś latający spodek wyprodukowany na potrzeby lotnictwa.

– Nieprawda – sprzeciwiła się jej siostra. – Tak tu napisali.

Wskazała na artykuł długim, polakierowanym na czerwono paznokciem.

– Nie zwracaj na nią uwagi – powiedziała bliźniaczka siedząca z lewej. Przynęła się bliżej do Tachiona i ugryzła go lekko w szyję. Jej ręka powędrowała pod stół. – Hej, co się stało? Jesteś zupełnie miękki.

– Wybacz – mruknął Tachion ponurym tonem. Kosmos i Chaos przerzucali się na scenie toporkami, maczetami oraz nożami. Błyszczącą kaskadę pomnażały w nieskończoność otaczające ich ze wszystkich stron lustra. Miał pod ręką butelkę znakomitego koniaku, a po obu jego bokach siedziały piękne, chętne kobiety, lecz nagle, z jakiegoś powodu, którego nie potrafił określić, wydało mu się, że to wcale nie jest taka dobra noc. Nappełnił sobie kieliszek niemal po brzegi i wciągnął w płuca wonne alkoholowe opary.

– Wesołych Świąt – mruknął, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

* * *

Przytomność wróciła wraz z gniewnym głosem Mała. Tach uniósł z wysiłkiem głowę z lustrzanego blatu, spoglądając spod przymrużonych powiek na swe obrzękłe, czerwone odbicie. Żonglerzy, bliźniaczki i tłum gości dawno już zniknęli. Policzek miał lepki od

leżenia w kałuży rozlanego trunku. Bliźniaczki rozweselały go i pieściły, a jedna zeszła nawet pod stół, ale nic to nie dało. W końcu Anielska Buzia podeszła do stolika i je odesłała.

– Idź spać, Tacky – powiedziała. Mal zapytał, czy ma go zanieść do łóżka. – Nie dzisiaj – odparła. – Wiesz, jaki dzień dziś mamy. Niech sobie pośpi tutaj.

Nie pamiętał, w którym momencie zasnął. Miał wrażenie, że głowa zaraz mu eksploduje. Krzyki Mala w najmniejszym stopniu nie poprawiały sytuacji.

– Chuj mnie obchodzi, co wam obiecała, ty śmieciu. Nie zobaczysz się z nią – wrzeszczał wykidajło. Cichszy głos coś mu odpowiedział. – Dostaniecie tę pierdoloną forszę, ale na tym koniec – warknął Mal.

Tach uniósł wzrok i ujrzał w lustrach ich mroczne odbicia: dziwne, wypaczone sylwetki rysujące się w bladym świetle brzasku, odbicia odbić, całe setki, piękne, potworne, niezliczone, jego dzieci, jego dziedzice, efekt jego porażek, żywe morze dzokerów. Cichy głos powiedział coś jeszcze.

– Całuj mnie w moją dzokerską dupę – odparł Mal. Miał ciało jak wykręcony patyk, a głowę jak dynia. Tach uśmiechnął się na ten widok. Mal odepchnął kogoś i sięgnął za plecy, szukając pistoletu.

Odbicia i odbicia odbić, cienie chude i opasłe, pucółowate i cienkie jak noże, czarne i białe, wszystkie poruszyły się jednocześnie, wypełniając klub hałasem. Mal krzyknął ochryple; potem rozległy się strzały. Tach rzucił się instynktownie pod stół, uderzając mocno czołem o jego kant. Usunął mruganiem łzy bólu z oczu i zwinął się w kłębek na podłodze, spoglądając na odbicia stóp. Świat rozplątał się w ostrej kakofonii. Szkło pękało i sypało się na podłogę, wszędzie tłukły się lustra, posrebrzane noże przeszywały powietrze, tak wiele noży, że nawet Kosmos i Chaos nie mogliby wszystkich złapać, czarne drzazgi wgryzały się w odbicia, pochłaniając kawałki wszystkich wypaczonych cieni, na popękane lustra pryskała krew.

Skończyło się równie nagle, jak się zaczęło. Cichy głos coś powiedział, rozległ się tupot stóp i chrzęst deptanego szkła. Po chwili gdzieś z tyłu dobiegł stłumiony krzyk. Tach leżał pod stołem, pijany i przerażony. Bolał go palec. Zobaczył, że krwawi z niego, skaleczony kawałkiem lustra. Mógł wówczas pomyśleć tylko o głupim ludzkim przesądzie mówiącym, że stłuczone lustra przynoszą pecha. Skrył głowę w ramionach, żeby odpędzić ten straszliwy koszmar. Kiedy się obudził, potrząsał nim policjant.

* * *

Któryś z gliniarzy powiedział Tachionowi, że Mal nie żyje. Pokazali mu fotografię wykidajły leżącego w kałuży krwi pośród rozbitego szkła. Zginęła również Ruth oraz jeden ze sprzętaczy, słaby na umyśle cyklop, który nigdy nie zrobił nikomu krzywdy. Pokazali

Tachionowi gazetę. Dziennikarze nazwali to wydarzenie Masakrą Świętego Mikołaja. Artykuł mówił o trzech dzokerach, którzy w bożonarodzeniowy poranek znaleźli pod choinką śmierć.

Drugi z policjantów powiedział mu, że panna Fascetti zniknęła i zapytał, czy wie coś na ten temat? Czy uważa, że była zamieszana w tę sprawę? Czy była winowajczynią, czy ofiarą? Co mógł im powiedzieć na jej temat? Odpowiedział, że nie zna nikogo takiego, ale wyjaśnili mu, że pytają o Angelę Fascetti, być może znaną mu jako Anielska Buzia. Buzia zniknęła, Mala zastrzelono, a najgorsze było to, że Tach nie wiedział, gdzie teraz będzie mógł czegoś się napić.

Przetrzymywali go cztery dni, przesłuchując go bez ustanku. Powtarzali raz po raz te same pytania, aż wreszcie Tach zaczął krzyczeć, błagać, powoływać się na swoje prawa, domagać się adwokata, domagać się czegoś do picia. Dostał tylko adwokata. Ten powiedział, że nie mogą go przetrzymywać, jeżeli nie postawią mu zarzutów, więc oskarżyli go o bycie kluczowym świadkiem, włóczęgostwo i stawianie oporu podczas aresztowania, a potem zaczęli przesłuchiwać go od nowa.

Trzeciego dnia ręce mu drżały i zaczęły się halucynacje. Jeden z policjantów, ten dobry, obiecał mu butelkę w zamian za współpracę, ale z jakiegoś powodu nigdy nie uznawali jego odpowiedzi za zadowalające i nie doczekał się butelki. Zły glina zagroził, że nigdy go stąd nie wypuszczą, jeśli nie powie prawdy. Myślałem, że to koszmar, powtarzał ze łzami Tach. Byłem pijany. Spałem. Nie, nie widziałem ich. Tylko odbicia, wypaczone i zwielokrotnione. Nie wiem, ilu ich było. Nie wiem, o co chodziło. Nie, nie miała wrogów. Wszyscy kochali Anielską Buzię. Nie, nie zabiła Mala. To by nie miało sensu. Mał ją kochał. Jeden z nich mówił cichym głosem. Nie, nie wiem który. Nie, nie pamiętam, co mówili. Nie, nie wiem, czy byli dzokerami, czy nie, wyglądali jak dzokerzy, ale lustra zniekształcają odbicia. Nie wszystkie, niektóre z nich, nie widzieliście tego? Nie, nie potrafiłbym ich rozpoznać podczas konfrontacji. Właściwie w ogóle ich nie widziałem. Musiałem się schować pod stołem. Rozumiecie, przyszli skrytobójcy. Tak zawsze uczył mnie ojciec. Nie mogłem nic zrobić.

Gdy wreszcie zrozumieli, że powiedział im wszystko, co wie, wycofali zarzuty i zwolnili go. Wrócił do ciemnych zaułków Miasta Dżokerów i zimnej nocy.

* * *

Szedł wzdłuż Bowery, drżąc z zimna. Mors sprzedawał popołudniowe gazety na swym stoisku na rogu Hester Street.

– Czytajcie o tym! – wołał. – Żółw terroryzuje Miasto Dżokerów.

Tachion zatrzymał się i wbił tępy wzrok w nagłówki. POLICJA POSZUKUJE ŻÓŁWIA – informował „Post”. ŻÓŁW OSKARŻONY O NAPAŚĆ – głosił „World-Telegram”. A więc uwielbienie już się skończyło. Zerknął na tekst. Żółw od dwóch nocy grasował po Mieście Dżokerów. Unosił ludzi sto stóp nad ziemię i zadawał im pytania, grożąc, że ich puści, jeśli

nie spodobają mu się odpowiedzi. Ostatniej nocy policja próbowała go aresztować, ale on postawił dwa czarno-białe radiowozy na dachu Salonu Odmieńców przy Chatham Square. POWSTRZYMAĆ ŻÓŁWIA – domagał się wstępniak w „World-Telegram”.

– Dobrze się czujesz, doktorze? – zapytał Mors.

– Nie – odparł Tachion, odkładając gazetę. I tak nie miał czym za nią zapłacić.

Wejście do Gabinetu Luster blokowały policyjne bariery. Drzwi zamknięto na kłódkę. Tablica głosiła: ZAMKNIĘTE NA CZAS NIEOKREŚLONY. Musiał się napić, ale w kieszeniach jego płaszcza szefa orkiestry było pusto. Pomyślał o Desie i Randallu i uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, gdzie obaj mieszkają ani nawet jak brzmią ich nazwiska.

Powlókł się do POKOJÓW i wspiał się ciężko na schody. Gdy wszedł do ciemnej izby, zdążył sobie uświadomić, że jest tu piekielnie zimno. Okno było otwarte i lodowaty wiatr wywiewał zastarzały odór moczu, pleśni i alkoholu. Czy to on je tak zostawił? Ruszył niepewnie ku niemu, gdy nagle ktoś wyszedł zza drzwi i go złapał.

Stało się to tak szybko, że ledwie miał czas zareagować. Jego tchawicę ucisnęło twarde jak żelazo przedramię, które stłumiło krzyk. Dłoń wykręciła mu mocno prawą rękę za plecami. Dusił się, ręka w każdej chwili mogła mu się złamać. Potem napastnik popchnął go biegiem ku otwartemu oknu. Był znacznie silniejszy od niego i Tach mógł tylko szarpać się bezradnie. Uderzył brzuchem w parapet tak silnie, że zaparło mu dech, po czym zaczął spadać na łeb, na szyję, unieruchomiony w stalowym uścisku napastnika. Obaj mknęli w stronę chodnika.

Zatrzymali się na wysokości pięciu stóp nad cementem z wstrząsem tak nagłym, że mężczyzna, którego miał za plecami, stęknął z bólu.

Tach na chwilę przed nadchodzącym upadkiem zamknął oczy, ale otworzył je, gdy tylko zaczął się unosić w górę. Nad żółtą poświatą latarni unosił się pierścień znacznie jaśniejszych świateł, umieszczony pośrodku plamy ciemności, która przesłaniała zimowe gwiazdy.

Ucisk na gardło zelżał nieco i Tachion mógł jęknąć.

– Hej – odezwał się ochrypłym głosem, gdy okrążyli skorupę i wylądowali delikatnie na jej szczycie.

Metal był lodowato zimny. Jego chłód z łatwością przenikał przez tkaninę spodni Tachiona. Gdy Żółw zaczął się unosić w noc, napastnik puścił doktora. Ten zaczerpnął z drzeniem w płuca haust lodowatego powietrza, przetoczył się i ujrzał mężczyznę w zapinanej na ekspres skórzanej kurtce, czarnych drelachach i gumowej zielonej masce żaby.

– Kim...? – wydyszał.

– Jestem wrednym pomagierem Wielkiego i Potężnego Żółwia – wyjaśnił z satysfakcją w głosie mężczyzna.

– DOKTOR TACHION, JAK SĄDZĘ – zagrzmiały głośniki skorupy. Ich dźwięk poniósł się echem nad zaułkami Miasta Dżokerów. – ZAWSZE CHCIAŁEM PANA POZNAĆ. CZYTAŁEM O PANU JESZCZE W DZIECIŃSTWIE.

– Niech pan to ściszy – wychrypiał słabo Tachion.

– OCH. OCZYWIŚCIE. Tak lepiej? – Głośność zmniejszyła się znacznie. – Okropny tu hałas, a przez ten pancerz nie zawsze potrafię określić, jak głośno mówię. Przykro mi, jeśli pana przestraszyliśmy, ale nie mogliśmy ryzykować, że nam pan odmówi. Potrzebujemy pana.

Tach nie ruszał się z miejsca. Drżał pod wpływem szoku.

– Czego pan ode mnie chce? – zapytał ze znużeniem w głosie.

– Pomocy – oznajmił Żółw.

Nie przestawali się wznosić. Pod nimi rozpościerały się światła Manhattanu. W śródmieściu widać było wieżowce Empire State Building i Chrysler Tower, ale oni byli już wyżej niż ich szczyty. Wicher był zimny i porywisty. Tach uczeplił się rozpaczliwie skorupy.

– Niech pan mnie zostawi w spokoju – mówił. – Nie potrafię panu pomóc. Nie potrafię pomóc nikomu.

– Kurwa, on płacze – odezwał się człowiek w masce żaby.

– Nic pan nie rozumie – nie ustępował Żółw. Skorupa zaczęła przesuwac się powoli na zachód, poruszając się bezgłośnie i miarowo. – Musi pan nam pomóc. Próbowałem to zrobić o własnych siłach, ale nie potrafię do niczego dojść. Tylko pana moce mogą tu coś zdziałać.

Tachion pograżył się w uzalaniu nad sobą. Był zbyt zmarznięty, zmęczony i zrozpaczony, żeby odpowiedzieć.

– Chcę się napić – oznajmił.

– Niech to chuj – warknął Żabia Gęba. – Dumbo miał rację. To tylko cholerny moczomorda.

– Nie rozumie, w czym rzecz – sprzeciwił się Żółw. – Kiedy mu wszystko wytłumaczymy, na pewno się zgodzi. Doktorze Tachion. Mówimy o pańskiej przyjaciółce, Anielskiej Buzi.

Musiał się napić tak bardzo, że aż sprawiało mu to ból.

– Była dla mnie dobra – przyznał, przypominając sobie słodką woń perfum jej atlasowej pościeli i krwawe ślady stóp na lustrzanej posadzce. – Ale nie potrafię jej pomóc. Powiedziałem policji wszystko, co wiem.

– Cykorowaty dupek – skwitował Żabia Gęba.

– Kiedy byłem małym chłopcem, czytałem o panu w *Odrzutowcu* – zaczął Żółw. – *Trzydzieści minut nad Broadwayem*, pamięta pan? Podobno jest pan inteligentny jak Einstein. Mógłbym uratować pana przyjaciółkę Anielską Buzię, ale nie dam rady tego zrobić bez pańskich mocy.

– Już ich nie mam. Nie mogę wam pomóc. Zrobiłem komuś krzywdę, komuś bliskiemu. Zawładnałem jej umysłem, tylko na krótką chwilę, miałem dobry powód, a przynajmniej tak mi się zdawało, ale... to ją zniszczyło. Nie mogę tego zrobić po raz drugi.

– E tam – rzucił drwiącym tonem Żabia Gęba. – Zostawmy go, Żółwiu. Nie jest wart wiadra ciepłych szczyń.

Wyjął coś z jednej z kieszeni skórzanej kurtki. Tach ujrzał ze zdumieniem, że to butelka piwa.

– Proszę – powiedział Tachion, gdy mężczyzna zdjął kapsel wiszącym na szyi otwieraczem. – Łyczek – mówił. – Tylko łyczek. – Nie znosił smaku piwa, ale musiał się czegoś napić, czegokolwiek. Minęło już wiele dni. – Proszę.

– Spierdalaj – rzucił Żabia Gęba.

– Tachion – odezwał się Żółw. – Może pan go zmusić.

– Nie mogę – zaprzeczył Tach. Mężczyzna unióś butelkę do zielonych gumowych ust. – Nie mogę – powtórzył Tach. Żabia Gęba spokojnie pił. – Nie. – Słyszał, jak płyn przepływa przez jego gardło. – Proszę. Troszeczkę.

Mężczyzna opuścił butelkę i poruszył nią lekko, pluskając piwem.

– Został tylko łyk.

– Proszę.

Tachion wyciągnął drżące ręce.

– Nie – odparł Żabia Gęba. Zaczął powoli odwracać butelkę do góry dnem. – Oczywiście, gdyby naprawdę chciało ci się pić, zawładnąłbyś moim umysłem, prawda? Zmusiłbyś mnie, żebym dał ci tę cholerną flaszkę. – Przechylił butelkę jeszcze trochę bardziej. – Zrób to. No, proszę, spróbuj.

Tach przyglądał się, jak ostatni łyk piwa spływa na skorupę Żółwia i znika w dole.

– Kurwa – rzucił mężczyzna w żabiej masce. – Naprawdę zdrowo cię trzepie, co?

Wyciągnął z kieszeni drugą butelkę, otworzył ją i podał Tachionowi, który ujął ją w obie dłonie. Piwo było zimne i kwaśne, ale nic nigdy nie wydawało mu się tak słodkie. Osuszył całą butelkę jednym długim łykiem.

– Masz jakieś mądre pomysły? – zapytał Żółwia Żabia Gęba.

Przed nimi rozciągała się czarna płachta Hudson River, a na zachodzie mieli światła Jersey. Zniżali lot. Pod nimi, nad rzeką, wznosiła się rozległa konstrukcja ze stali, szkła i marmuru. Tachion nagle ją poznał, mimo że nigdy nie postawił nogi w jej wnętrzu. To było Mauzoleum Odrzutowca.

– Dokąd lecimy? – zapytał.

– Pogadać z jednym facetem na temat ratunku – odparł Żółw.

Mauzoleum zajmowało całą przecznicę, w miejscu, gdzie na ziemię posypały się szczątki samolotu Odrzutowca. Wypełniało wszystkie ekrany Toma, który siedział w ciepłej, ciemnej skorupie, skąpany w blasku ekranów. Kamery poruszały się z furkotem silników. Potężne, wyposażone w lotki skrzydła grobowca unosiły się ku górze, jakby budynek chciał się zerwać do lotu. Przez wysokie, wąskie okna widział fragmenty zawieszonych u sufitu repliki JB-1, wykonanej w skali jeden do jednego. Jej szkarłatne lotki lśniły w blasku ukrytych światel.

Nad drzwiami widniały ostatnie słowa bohatera. Każdą literę wykuto w czarnym włoskim marmurze i wypełniono nierdzewną stalą. Metal rozbłysnął, gdy przesunęły się po nim gorejące białym blaskiem reflektory skorupy:

NIE MOGĘ JESZCZE UMRZEĆ NIE WIDZIAŁEM *HISTORII JOLSONA*

Tom zatrzymał skorupę przed pomnikiem i zawisnął na wysokości pięciu stóp nad wyłożonym marmurem placykiem u szczytu schodów. Tuż obok wysoki na dwadzieścia stóp Odrzutowiec spoglądał na West Side Highway i na Hudson River, unosząc zaciśnięte pięści. Tom wiedział, że metal, z którego wykonano posąg, pochodził z rozbitych samolotów. Znał jego twarz lepiej niż twarz własnego ojca.

Człowiek, z którym mieli się tu spotkać, wyłonił się z cienia u podstawy posągu: masywna, mroczna sylwetka opatulona w gruby płaszcz. Ręce wcisnął głęboko w kieszenie. Tom skierował na niego reflektor oraz kamerę, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Dzoker był tęgim mężczyzną o zaokrąglonych barkach. Był dobrze ubrany. Miał płaszcz z futrzanym kołnierzem, a kapelusz nacisnął sobie głęboko na głowę. Zamiast nosa miał wyrastającą pośrodku twarzy słoniową trąbę, zakończoną palcami skrytymi w małej skórzanej rękawiczce.

Doktor Tachion zsunął się ze skorupy, potknął i upadł na tyłek. Tom usłyszał śmiech Joeya. Potem jego przyjaciel również zeskoczył i pomógł Tachionowi wstać.

Dzoker zerknął na kosmitę.

– A więc udało się wam nakłonić go do przyjścia. Jestem zaskoczony.

– Byliśmy kurewsko przekonujący – stwierdził Joey.

– Des – odezwał się Tachion ze zdziwieniem w głosie. – Co ty tutaj robisz? Znasz tych ludzi?

Człowiek-słoń poruszył lekko trąbę.

– Tak, można powiedzieć, że znam. Od przedwczoraj. Skontaktowali się ze mną. Było późno, ale telefon od Wielkiego i Potężnego Żółwia wzbudziłby zainteresowanie każdego. Zaoferował mi pomoc, a ja się zgodziłem. Nawet powiedziałem mu, gdzie mieszkasz.

Tachion przesunął dłonią po brudnych, skołtunionych włosach.

– Przykro mi z powodu Mala. Czy słyszałeś coś o Anielskiej Buzi? Wiesz, ile dla mnie znaczyła.

– Wiem dokładnie. W dolarach i centach – odparł Des.

Tachion rozdziawił szeroko usta. Wyglądał na urażonego. Tomowi było go żal.

– Chciałem cię odnaleźć – stwierdził Tachion. – Ale nie wiedziałem, gdzie cię szukać.

Joey wybuchnął śmiechem.

– W książce telefonicznej, pierdolony głąbie. Nie ma znowu tak wielu facetów nazwiskiem Xavier Desmond. – Spojrzał na skorupę. – Jak, kurwa, ma znaleźć tę kobietę, jeśli nie potrafił nawet odszukać własnego kumpla?

Desmond skinął głową.

– Bardzo celna uwaga. To się nie uda. Spójrzcie na niego! – Wskazał trąbą na Tachiona. – Do czego on się nadaje? Tracimy tylko cenny czas.

– Już próbowaliśmy twojego sposobu – odparł Tom. – I do niczego nie doszliśmy. Nikt nie chce nic powiedzieć. Tylko on może dla nas zdobyć potrzebne informacje.

– Nic z tego nie rozumiem – przerwał mu Tachion.

Joey mruknął z niesmakiem. Znalazł gdzieś piwo i właśnie otwierał butelkę.

– Co tu się dzieje? – dopytywał się Tachion.

– Gdybyś choć trochę interesował się czymkolwiek poza koniakiem i tanimi dziwkami, to pewnie byś wiedział – odparł lodowatym tonem Des.

– Powiedz mi to samo, co powiedziałeś nam – polecił Tom. Pomyślał, że kiedy Tachion dowie się o wszystkim, z pewnością zgodzi się im pomóc. Musi się zgodzić.

Des westchnął ciężko.

– Anielska Buzia jest uzależniona od heroiny. No wiesz, to przez ból. Może czasem udawało ci się go zauważyć, doktorze? Tylko narkotyk pozwalał jej normalnie funkcjonować. Bez niego ból doprowadziłby ją do obłądu. I to nie był taki sobie zwyczajny nałóg. Brała takie ilości czystej hery, że normalny ćpun padłby od tego trupem. Widziałeś, jak słabo to na nią wpływało. Metabolizm dzokerów to ciekawa rzecz. Masz pojęcie, ile kosztuje heroina, doktorze Tachion? Mniejsza z tym, widzę, że nie masz. Anielska Buzia zarabiała na Gabinecie Luster sporo forsy, ale to nadal było za mało. Diler dawał jej narkotyk na kredyt, aż zebrała się suma nie do spłacenia, a potem zażądał... nazwijmy to wekslem. Albo prezentem bożonarodzeniowym. Nie miała wyboru. W przeciwnym razie odciałby jej dostawy. Jako wieczna optymistka liczyła, że znajdzie gdzieś forszę. Nie udało jej się. Rankiem w Boże Narodzenie diler przyszedł po spłatę ze swymi ludźmi. Mał nie miał zamiaru pozwolić im jej zabrać, ale oni nalegali.

Tachion mrużył powieki, oślepiiony jasnym blaskiem reflektorów. Jego obraz zaczął się przesuwać w górę.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziała?

– Pewnie nie chciała cię tym obarczać, doktorze. To mogłoby ci przeszkodzić w pijaństwie i użalaniu się nad sobą.

– Zawiadomiliście policję?

– Policję? Ach, tak. Wspaniałą nowojorską policję. Tę samą, która wykazuje tak niezwykle brak zainteresowania, gdy ktoś pobije albo zamorduje dzokera, ale jest nadzwyczaj pilna, gdy turysta padnie ofiarą rabunku. Która regularnie aresztuje, nęka i prześladowuje każdego z nas, kto dopuszcza się czegoś tak niegustownego, jak zamieszkanie poza Miastem

Dżokerów. Być może powinniśmy się zwrócić do tego funkcjonariusza, który powiedział, że gwałt na dżokerskiej kobiecie to raczej przejaw złego gustu niż zbrodnia. – Des prychnął pogardliwie. – Doktorze Tachion, jak ci się wydaje, od kogo Anielska Buzia kupowała narkotyki? Sądzisz, że zwykły diler z ulicy miałby dostęp do tak wielkich ilości czystej heroiny? To policja była jej dilerem. Szef wydziału narkotyków z Miasta Dżokerów, ściśle mówiąc. Och, przyznaję, że nie jest prawdopodobne, żeby była w to zamieszana cała miejscowa policja. Wydział zabójstw może nawet prowadzić uczciwe śledztwo. Jak ci się wydaje, co zrobią, jeśli im powiemy, że mordercą jest Bannister? Myślisz, że aresztują jednego ze swoich? Na podstawie moich zeznań albo zeznań jakiegokolwiek dżokera?

– Spłacimy jej dług – nie ustępował Tachion. – Damy temu facetowi forszę albo Gabinet Luster, czy czego tam żąda.

– Weksel nie opiewał na Gabinet Luster – odrzekł znużonym tonem Desmond.

– Wszystko jedno. Daj mu to, czego żąda!

– Obiecała mu jedyną rzecz, jakiej jeszcze od niej pragnął – wyjaśnił Desmond. – Siebie. Swoją urodę i swój ból. Po ulicach krążą już wieści, jeśli ktoś wie, jak słuchać. Gdzieś w mieście odbędzie się bardzo szczególne przyjęcie sylwestrowe. Wstęp tylko za zaproszeniem. Będzie drogie i zapewni jedyne w swoim rodzaju wrażenia. Bannister będzie ją miał pierwszy. Pragnął tego już od dawna. Potem przyjdzie kolej na innych gości. Gościnność Miasta Dżokerów.

Tachion przez chwilę poruszał bezgłośnie ustami.

– Policja? – zdołał wreszcie wykrztusić. Wyglądał na równie wstrząśniętego, jak Tom w chwili, gdy Desmond powiedział o wszystkim jemu i Joeyowi.

– Wydaje ci się, że gliny nas kochają, doktorze? Jesteśmy dziwolągami. Jesteśmy chorzy. Miasto Dżokerów to piekło. Pułapka bez wyjścia. Tutejsza policja jest najbrutalniejsza, najbardziej skorumpowana i nieudolna w całym Nowym Jorku. Nie sądzę, żeby ktokolwiek zaplanował to, co się wydarzyło w Gabinetecie Luster, ale co się stało, to się nie odstanie, a Anielska Buzia wie za dużo. Nie mogą pozwolić jej żyć, więc postanowili przynajmniej wyruchać dżokerską pizdę.

Tom Tudbury pochylił się w stronę mikrofonu.

– Mogę ją uratować – zapewnił. – Te skurwysyny w życiu nie widziały nic w rodzaju Wielkiego i Potężnego Żółwia. Ale nie potrafię jej znaleźć.

– Buzia ma mnóstwo przyjaciół – ciągnął Desmond – ale żaden z nas nie umie czytać w myślach ani zmusić człowieka do zrobienia czegoś wbrew jego woli.

– Nie mogę – sprzeciwił się Tachion. Wydawało się, że zapadł się w siebie, oddalił od nich. Przez chwilę Tom myślał, że mały człowieczek rzuci się do ucieczki. – Nic nie rozumiecie.

– Co za kurewska dupa wołowa – oznajmił głośno Joey.

Tom Tudbury obserwował na ekranach cierpienia Tachiona, aż wreszcie zabrakło mu cierpliwości.

– Jeśli się panu nie uda, to trudno – zaczął. – Ale jeśli pan nie spróbuje, też się panu nie uda, więc co to, kurwa, za różnica? Odrzutowcowi się nie udało, ale przynajmniej próbował. Nie był asem, nie był cholernym Takisianinem, a tylko facetem z samolotem, ale zrobił, co mógł.

– Chcę wam pomóc. Ale... po prostu... nie mogę.

Des wyraził swój niesmak głośnym trąbieniem. Joey wzruszył ramionami.

Ukryty w skorupie Tom zamarł w bezruchu, porażony niedowierzaniem. Tachion nie zamierzał im pomóc. Tom nie chciał dotąd w to uwierzyć. Joey go ostrzegał i Desmond również, ale on nalegał, był pewien. Przecież to był doktor Tachion, pewnie, że im pomoże, nawet jeśli miał jakieś problemy, to gdy już wyjaśni mu sytuację, wytłumaczy, jak wysoka jest stawka i jak bardzo go potrzebują, będzie musiał się zgodzić. Ale on powiedział „nie”. Ta kropla przepełniła czarę.

Tom przekreślił gałkę, zwiększając maksymalnie głośność.

– TY SUKINSYNU – zagrział. Jego głos uniósł się nad placykiem z siłą uderzenia gromu. Tachion skulił się trwożnie. – TY PIERDOLONY BEZUŻYTECZNY MAŁY CYKOROWATY KOSMITO! – Tachion zaczął cofać się chwiejnie po schodach, ale Żółw podążał za nim, nie przestając wrzeszczeć. – TO WSZYSTKO BYŁO KŁAMSTWO, ZGADZA SIĘ? WSZYSTKO, O CZYM PISALI W KOMIKSACH I W GAZETACH, TO BYŁO GŁUPIE KŁAMSTWO. PRZEZ CAŁE ŻYCIE BILI MNIE I NAZYWALI PIERDOLONYM OFERMĄ I TCHÓRZEM, ALE TO TY JESTEŚ TCHÓRZEM, TY DUPKU, TY MAŁY, ZASRANY BEKSO, NAWET NIE CHCESZ SPRÓBOWAĆ, NIKT CIĘ NIC NIE OBCHODZI, ANI TWOJA PRZYJACIÓŁKA ANIELSKA BUZIA, ANI KENNEDY, ANI ODRZUTOWIEC, ANI W OGÓLE NIKT, WŁADASZ WSZYSTKIMI TYMI CHOLERNYMI MOCAMI I JESTEŚ NICZYM, NIE CHCESZ NIC ZROBIĆ, JESTEŚ GORSZY NIŻ OSWALD CZY BRAUN CZY ONI WSZYSCY. – Tachion schodził chwiejnie ze schodów, zasłaniając uszy dłońmi. Krzyczał coś niezrozumiałego, ale Tom już go nie słuchał. Jego gniew żył własnym życiem. Uderzył gwałtownie i głowa kosmity odskoczyła do tyłu, zaczerwieniona od ciosu. – DUPEK! – wrzeszczał Tom. – TO TY SIEDZISZ W SKORUPIE. – Tachiona zasypał gniewny grad niewidzialnych ciosów. Doktor zachwiał się, upadł i stoczył się w dół z jednej trzeciej wysokości schodów. Potem próbował wstać, ale Tom znowu go obalił i zrzucił na ulicę. – DUPEK! – grzmiał Żółw. – UCIEKAJ, ZASRANY GŁUPKU. ZJEŹDŹAJ STĄD ALBO WRZUCĘ CIĘ DO TEJ CHOLERNEJ RZEKI! ZWIEWAJ, MAŁY OFERMO, ZANIM WIELKI I POTEŹNY ŻÓŁW NAPRAWDĘ SIĘ WKURZY! ZWIEWAJ, DO CHOLERY! TO TY SIEDZISZ W SKORUPIE! TO TY SIEDZISZ W SKORUPIE!

I Tachion zwiął, przebiegając na oślep od jednej latarni do drugiej, aż wreszcie skrył się w cieniu. Tom Tudbury śledził go wzrokiem na swych licznych ekranach telewizyjnych. Czuł się pokonany, dręczyły go mdłości, a głowę rozsadzał mu ból. Przydałoby mu się piwo albo aspiryna. Albo i jedno, i drugie. Kiedy usłyszał dźwięk syren, podniósł Joeya i Desmonda, postawił ich na swej skorupie, wyłączył światła i uniósł się prosto w noc, wysoko, wysoko w ciemność, chłód i ciszę.

* * *

Tej nocy Tach spał snem potępionych. Miotał się jak człowiek mający w gorączce, płakał, budził się raz po raz z koszmarów tylko po to, żeby pogрузić się w nich na nowo. Śniło mu się, że wrócił na Takis i jego znieawidzony kuzyn Zabb chciał się przed nim pochwalić nową zabawką seksualną, ale kiedy ją przyprowadził, okazało się, że to Blythe, i zgwałcił ją na jego oczach. Tach przyglądał się temu i nie mógł w żaden sposób jej pomóc. Jej ciało wiło się pod ciałem tamtego, a z ust, uszu i pochwy płynęła krew. Potem zaczęła się przeobrażać, przybierając kolejno postacie tysiąca dzokerów, każdą z nich okropniejszą od poprzedniej, a Zabb zgwałcił wszystkie po kolei, nie zważając na ich krzyki i opór. Ale później, gdy Zabb wstał z trupa umazany krwią, Tach zamiast oblicza kuzyna ujrzał własną twarz: znużoną, rozwiązłą, prostacką facjatę o poczerwieniałych, podpuchniętych oczach i długich rudych włosach, splątanych i przetłuszczonych. Obrzękłą gębę o rysach zniekształconych przez alkohol albo może przez zwierciadło z Gabinetu Luster.

Około południa obudził go straszliwy głos Malutkiego, który płakał pod jego oknem. Tego już nie był w stanie znieść. Nie był w stanie znieść tego wszystkiego. Powlókł się do okna, otworzył je i wrzasnął na olbrzyma, każąc mu przestać, zamknąć się, iść stąd, dać mu trochę spokoju. Malutki jednak płakał dalej. Tyle bólu, tyle poczucia winy, tyle wstydu, dlatego nie mogli zostawić go w spokoju, nie potrafił już tego znieść, nie, zamknij się, zamknij się, proszę, zamknij się. Nagle Tach wrzasnął przeraźliwie, sięgnął swym umysłem do głowy Malutkiego i kazał mu się zamknąć.

Cisza była ogłuszająca.

* * *

Najbliższy automat telefoniczny był w sklepie ze słodyczami odległym o jedną przecnicę. Wandale podarli książkę telefoniczną na strzępy. Tachion zadzwonił do informacji i podano mu numer oraz adres Xaviera Desmonda, który mieszkał przy Christie Street, całkiem niedaleko stąd. Mieszkanie znajdowało się na trzecim piętrze, nad sklepem z maskami, a w domu nie było windy. Tach zdyszał się, gdy dotarł na górę.

Gdy zapukał po raz piąty, Des wreszcie otworzył drzwi.

– To ty? – zdziwił się.

– Czy Żółt dowiedział się czegoś wczoraj? – zapytał Tach, czując suchość w ustach.

– Nie – odparł Desmond, poruszając lekko trąbą. – Było tak samo, jak poprzednio. Już go przejrżeli, wiedzą, że ich nie zrzuci. Sprawdzają jego blef. Nie może nic zrobić, chyba że naprawdę kogoś zabije.

– Powiedz mi, kogo mam zapytać – zażądał Tach.

– Tobie?

Tach nie mógł mu spojrzeć w oczy. Skinął tylko głową.

– Poczekaj, wezmę płaszcz – rzucił Desmond. Po chwili wyszedł z mieszkania w zimowym ubraniu. Przyniósł też futrzaną czapkę i wystrzępiony beżowy szynel. – Schowaj włosy pod czapkę – polecił Tachionowi. – I zostaw tu ten śmieszny płaszcz. Nie chcemy, żeby ktoś cię rozpoznał.

Tach wykonał polecenie. Kiedy zeszli na dół, Des zajrzał do sklepu z maskami, żeby uzupełnić strój.

– Kurczak? – zapytał Tach, kiedy Des wręczył mu maskę. Miała jaskrawożółte pióra, wydatny, pomarańczowy dziób i obwisły czerwony grzebień na szczycie.

– Jak tylko ją zobaczyłem, zaraz wiedziałem, że to ty – stwierdził Des. – Włóż ją.

Na Chatham Square wjeżdżał właśnie wielki żuraw, który miał zdjąć policyjne radiowozy z dachu Salonu Odmieńców. Klub był otwarty. Bramkarz był wysokim na siedem stóp, bezwłosym dzokerem. Z ust sterczały mu kły. Gdy Des i Tach próbowali przejść między neonowymi udami tancerki o sześciu piersiach, która wiała się nad wejściem, złapał Desa za ramię.

– Nie wpuszczamy dzokerów – oznajmił bez ogródek. – Zjeżdżaj, Trąbalu.

„Sięgnij do jego umysłu i przejmij kontrolę” – pomyślał Tachion. Kiedyś, przed Blythe, zrobiliby to instynktownie, ale teraz zawahał się i chwila minęła.

Des sięgnął do tylnej kieszeni, wydobyl portfel i wyciągnął z niego banknot pięćdziesięciodolarowy.

– Patrzyłeś, jak zdejmują te wozy policyjne – wyjaśnił bramkarzowi. – Nie widziałeś, jak wchodzi.

– Aha – zgodził się dzoker. Banknot zniknął w szponiastej dłoni. – Taki żuraw to bardzo ciekawa rzecz.

– Czasami to pieniądze mają najpotężniejszą moc – zauważył Des, gdy weszli do wielkiego, ciemnego wnętrza.

Było południe i nieliczni goście siedzieli, jedząc darmowy obiad i patrząc, jak striptizerka płąsa na długim wybiegu za barierą z drutu kolczastego. Cała była porośnięta jedwabistymi szarymi włosami, z wyjątkiem piersi, które miała ogolone. Desmond przesunął wzrokiem po łóżach usytuowanych pod tylną ścianą. Potem złapał Tacha za łokieć i skierował go w ciemny kąt. Mężczyzna w dwurzędowej marynarskiej kurtce siedział tam nad kuflem piwa.

– Wpuszczają tu teraz dzokerów? – burknął, gdy podeszli bliżej. Miał posepną, naznaczoną dziobami twarz.

Tach zajął w jego myśli. „Kurwa co to ten człowiek słoń z Gabinetu Luster a kto to ten drugi ci cholerni dzokerzy mają tupet”.

– Gdzie Bannister trzyma Anielską Buzię? – zapytał Des.

– Anielska Buzia to ta zdzira z Gabinetu Luster, zgadza się? Nie znam żadnego Bannistera. Czy to jakaś gra? Spierdalaj, dzokerze, nie bawię się z tobą.

W jego myślach pojawiła się seria obrazów. Tach ujrzał pękające lustro, srebrne noże przeszywające powietrze, poczuł, że Mal go popchnął, i zobaczył, jak sięga po pistolet. Dojrzał, jak wykidajło zadrżał i obrócił się wkoło, gdy trafiły go kule, usłyszał cichy głos Bannistera, który rozkazał im zabić Ruth, zobaczył magazyn nad Hudson River, gdzie ją przetrzymywali, fioletowe siniaki na jej ramieniu w miejscu, w którym ją uścisnęli, poczuł strach tego człowieka, strach przed dzokerami, przed zdemaskowaniem, przed Bannisterem, strach przed nimi. Tach wyciągnął rękę i złapał Desmonda za ramię.

Des odwrócił się, gotów do odejścia.

– Hej, chwileczkę – odezwał się mężczyzna z dziobami na twarzy. Wszedł z boksu i wyciągnął odznakę policyjną. – Wydział narkotyków – oznajmił. – Jesteś pod wpływem, kolego. Tylko ćpuny zadają takie popierdolone pytania. – Des stał spokojnie, gdy gliniarz go przeszukiwał. – Proszę, proszę – oznajmił mężczyzna, wyciągając torebkę białego proszku z jednej z kieszeni Desmonda. – Ciekawe, co to jest? Jesteś aresztowany, dziwolągu.

– To nie należy do mnie – oznajmił ze spokojem Desmond.

– Akurat – warknął policjant. W jego głowie jedna myśl ścigała drugą. „Mały wypadek wskutek stawiania oporu przy aresztowaniu co mogłem poradzić hę? Dzokerzy będą wrzeszczeć ale kto słucha pierdolonych odmieńców? Tylko co mam zrobić z tym drugim? – Zerknął na Tachiona. – Jezu kurczak cały się trzęsie może skurwysyn faktycznie jest pod wpływem to by było świetnie”.

Tach uświadomił sobie z drżeniem, że nadeszła chwila prawdy.

Nie był pewien, czy potrafi tego dokonać. To było inaczej niż z Malutkim. Wtedy kierował nim ślepy instynkt, ale teraz był w pełni świadomy i wiedział, co robi. Kiedyś było to dla niego łatwe, jak posługiwanie się rękami. Ale teraz ręce mu drżały i miał na nich krew. Miał krew na rękach i w myślach... przypomniał sobie Blythe i chwilę, gdy jej umysł rozprysnął się pod jego dotykiem, zupełnie jak zwierciadła w Gabinetu Luster. Przez długi, straszliwy moment nic się nie działo, aż do gardła podszedł mu strach, a usta wypełnił znajomy smak porażki.

Wtem mężczyzna z dziobami na twarzy rozciągnął usta w uśmiechu idioty, usiadł w łóżku, wsparł głowę na stole i zasnął grzecznie jak dziecko.

– To twoja robota? – zapytał z pełnym spokojem Des.

Tachion skinął głową.

– Drżysz – zauważył Des. – Dobrze się czujesz, doktorze?

– Chyba tak – odparł Tachion. Policjant zaczął głośno chrapać. – Chyba wreszcie czuję się dobrze, Des. Po raz pierwszy od wielu lat. – Popatrzył w twarz dzokera i ujrzał ukrytego za zniekształceniami człowieka. – Wiem, gdzie ją trzymają – oznajmił. Ruszyli w stronę wyjścia. W klatce hermafrodyta z brodą i w pełni rozwiniętymi piersiami rozpoczął taniec erotyczny. – Będziemy musieli działać szybko.

– Mogę w godzinę zebrać dwudziestu ludzi.

– Nie – sprzeciwił się Tachion. – To nie jest w Mieście Dżokerów.

Des zatrzymał się z dłonią na klamce.

– Rozumiem – powiedział. – Poza miastem dżokerzy i ludzie w maskach raczej rzucają się w oczy.

– Właśnie – zgodził się Tach.

Nie wyraził na głos drugiego powodu swych obaw, strachu przed karą, jaka z pewnością nie ominęłaby dżokerów, gdyby ośmielili się otwarcie przeciwstawić policjantom, nawet tak skorumpowanym jak Bannister i jego wspólnicy. Sam był gotów podjąć to ryzyko, bo nie miał już nic do stracenia, ale nie mógł na to pozwolić innym.

– Możesz się skontaktować z Żółwiem? – zapytał.

– Mogę cię do niego zaprowadzić – odparł Desmond. – Kiedy?

– Teraz.

Za godzinę czy dwie śpiący policjant się ocknie i pójdzie prosto do Bannistera. I co mu powie? Że Des i człowiek w masce kurczaka zadawali mu pytania, a on chciał ich aresztować, ale nagle zrobił się bardzo senny? Czy odważy się do tego przyznać? A jeśli tak, to co o tym pomyśli Bannister? Czy to wystarczy, żeby przeniósł Anielską Buzię gdzie indziej? Albo nawet ją zabił? Nie mogli podejmować takiego ryzyka.

Gdy wychodzili z ciemnego lokalu, dźwig właśnie stawiał drugi radiowóz na chodniku. Wiał zimny wiatr, ale pod pierzastą maską twarz doktora Tachiona zlewał pot.

* * *

Toma Tudbury'ego obudził stłumiony łoskot. Ktoś pukał w jego skorupę.

Zrzucił z siebie wystrzępiony koc i uderzył się w głowę, siadając.

– Cholera jasna – zaklął, szukając po ciemku włącznika światła. Walenie nie ustawało, głuche bum, bum, bum wypełniało pancierz swym echem. Tom poczuł nagłe ukłucie paniki. „To policja” – pomyślał. „Znaleźli mnie, wyciągną mnie stąd i aresztują”. Bolała go głowa. W środku było zimno i duszno. Włączył ogrzewanie, wentylatory i kamery. Zapaliły się ekrany.

Na zewnątrz był zimny, pogodny, grudniowy dzień. Brudne cegły świeciły jasno w słonecznym blasku. Joey pojechał pociągiem do Bayonne, ale Tom został na miejscu. Nie

miał innego wyjścia. Zaczynało im brakować czasu. Des znalazł mu bezpieczną kryjówkę, podwórko w głębi Miasta Dżokerów, otoczone ze wszystkich stron walącymi się czteropiętrowymi kamienicami. Kamienie brukowe cuchnęły tu ściekami, ale za to podwórka nie było widać z ulicy. Kiedy na nim wylądował, tuż przed świtem, w kilku ciemnych oknach zapaliły się światła i zza rolet wyjrzały ostrożnie wystraszone, niepewne, nie w pełni ludzkie twarze. Pojawiły się na chwilę i natychmiast zniknęły, gdyż mieszkańcy zdecydowali, że to, co znalazło się na podwórku, nie powinno ich obchodzić.

Tom ziewnął, zajął miejsce na siedzeniu i zaczął poruszać kamerami, aż wreszcie dojrzał źródło zamieszania. Des stanął przy otwartych drzwiach piwnicy, krzyżując ręce na piersiach, a doktor Tachion walił w skorupę kijem od miotły.

Zdumiony Tom włączył mikrofony.

– TO PAN.

Tachion skrzywił się boleśnie.

– Proszę.

Tom zmniejszył głośność.

– Przepraszam. Zaskoczył mnie pan. Nie spodziewałem się, że jeszcze kiedyś pana zobaczę. Nie po ostatniej nocy. Mam nadzieję, że nic się panu nie stało. Nie chciałem zrobić panu krzywdy, po prostu...

– Rozumiem to – przerwał mu Tachion. – Nie mamy teraz czasu na wyrzuty ani przeprosiny.

Obraz Desa zaczął się przesuwać ku górze. Niech szlag trafi tę synchronizację pionową.

– Wiemy, gdzie ją trzymają – oznajmił dżoker w tej samej chwili, gdy jego obraz przeskoczył. – O ile doktor Tachion rzeczywiście potrafi czytać w myślach.

– Gdzie? – zapytał Tom. Des nie przestawał migać.

– W magazynie nad Hudson River – odparł Tachion. – Tuż przy wejściu na molo. Nie potrafię podać adresu, ale wyraźnie widziałem to miejsce w jego umyśle. Poznam je.

– Świetnie! – ucieszył się Tom. Dał sobie spokój z kręceniem gałką i walnął mocno w ekran. Obraz znieruchomiał. – W takim razie dorwiemy ich. Ruszajmy. – Wyraz twarzy Tachiona ostudził go nieco. – Polecisz ze mną, prawda?

Tachion przełknął ślinę.

– Tak – potwierdził i włożył maskę, którą trzymał w dłoni.

Tom poczuł ulgę. Przez krótką chwilę obawiał się, że będzie musiał lecieć sam.

– No to niech pan włączy – polecił.

Kosmita wspiął się na skorupę z głębokim westchnieniem rezygnacji. Jego buty skrobały o pancierz. Tom złapał mocno za poręcze fotela i popchnął skorupę w górę. Uniosła się nad ziemię łatwo jak bańka mydlana. Wypełniła go ekstaza. Pomyślał, że do tego właśnie jest stworzony. Odrzutowiec z pewnością czuł się tak samo.

Joey zainstalował w skorupie monstrualnie potężny klakson. Gdy wzniesli się ponad dachy, Tom zatrąbił donośnie, płosząc stado gołębi, kilku meneli oraz Tachiona swym charakterystycznym sygnałem głoszącym: „Nadchodzi, niosąc ratunek”.

– Być może rozsądniej byłoby postępować trochę subtelniej – powiedział dyplomatycznie Tachion.

Tom parsknął śmiechem.

– Nie wierzę własnym uszom. Człowiek z kosmosu, który z reguły ubiera się jak Pinky Lee, siedzi na moim grzbiecie i mówi mi, że powinienem być subtelny.

Roześmiał się ponownie, spoglądając z góry na ulice Miasta Dżokerów.

* * *

Zbliżali się do celu labiryntem przybrzeżnych zaułków. Ostatni z nich był ślepy, kończył się ceglany murem upstrzonym nazwami gangów oraz imionami młodych kochanków. Żółw przeleciał nad nim i znalazł się w strefie załadunku pod magazynem. Na brzegu pomostu załadunkowego siedział mężczyzna w krótkiej skórzanej kurtce, który podskoczył w górę na ich widok. W rezultacie tego skoku znalazł się dobre dziesięć stóp wyżej, niż się tego spodziewał. Otworzył usta, ale zanim zdążył krzyknąć, Tach już go miał. Zasnął w powietrzu i Żółw położył go na pobliskim dachu.

W strefie były cztery wielkie hale załadunkowe, wszystkie zamknięte na kłódki i łańcuchy. Na drzwiach z blachy falistej było widać szerokie brązowe smugi rdzy. Napis na wąskich bocznych drzwiach głosił: NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY.

Tach zeskoczył ze skorupy i wylądował lekko na palcach. Czuł mrowienie w całym ciele.

– Wchodzę – powiedział Żółwiowi. – Daj mi minutę, a potem idź za mną.

– Minutę – powtórzyły głośniki. – Zgoda.

Tach ściągnął buty, uchylił leciutko drzwi i wsunął się do magazynu. Miał na nogach tylko fioletowe skarpetki i poruszał się z całą płynną, ukradkową gracją, jakiej nauczono go ongiś na Takis. Wewnątrz znajdowały się bele ciętego papieru, powiązane cienkim drutem i ułożone w stosy wysokie na dwadzieścia, trzydzieści stóp. Tachion skradał się krętym przejściem między nimi w kierunku, z którego dobiegały głosy. Nagle drogę zagroził mu wielki, żółty wózek widłowy. Doktor padł na ziemię, przeczołgał się pod nim i wyjrzał zza potężnej opony.

Naliczył ich pięciu. Dwaj grali w karty, siedząc na składanych krzesłach. Zamiast stolika używali stosu książek w miękkich oprawkach ze zdartymi okładkami. Oblesny grubas regulował gigantyczną niszczarkę do papieru, ustawioną pod tylną ścianą. Dwaj pozostali stali przy długim stole, na którym ułożono w równe szeregi torebki białego proszku. Wysoki mężczyzna we flanelowej koszuli ważył coś na małej wadze. Drugi – szczupły, łysy i ubrany w drogi płaszcz przeciwdeszczowy – obserwował go z uwagą. Trzymał w ręku papierosa, a

jego głos był cichy i delikatny. Tachion nie mógł rozróżnić słów. Nigdzie nie było śladu Anielskiej Buzi.

Zanurzył się w rynsztok, którym był umysł Bannistera, i zobaczył ją. Była między niszczarką a prasą do belowania. Nie widział jej spod wózka widłowego, bo zasłaniały ją maszyny, ale była tam. Na betonową podłogę rzucono brudny materac, na którym leżała. Jej obrzęknięte kostki krwawiły w miejscach, gdzie kajdanki wbijały się w skórę.

* * *

– ... pięćdziesiąt osiem hipopotamów, pięćdziesiąt dziewięć hipopotamów, sześćdziesiąt hipopotamów – liczył Tom.

Hale załadunkowe były wystarczająco wielkie. Nacisnął i kłódka rozsypała się na kawałki rdzy oraz powykręcane metalu. Łańcuchy spadły z brzękiem, a drzwi uniosły się w górę ze zgrzytem zardzewiałych szyn. Tom włączył wszystkie światła i ruszył naprzód. Gdy znalazł się w środku, drogę zagroziły mu sterty papieru. Popchnął je mocno, ale gdy zaczęły się przewracać, przyszło mu do głowy, że mógłby przelecieć nad nimi. Uniósł się pod sufit.

* * *

– Kurwa, co to? – odezwał się jeden z grających w karty, gdy usłyszeli zgrzyt otwierających się drzwi.

W mgnieniu oka wszyscy ruszyli się z miejsc. Obaj karciarze wstali, a jeden z nich wyciągnął broń. Mężczyzna we flanelowej koszuli oderwał wzrok od wagi. Grubas odwrócił się od niszczarki. Krzyczał coś, ale nie sposób było zrozumieć jego słów. Pod przeciwległą ścianą bele papieru runęły nagle w dół, uderzając w sąsiednie stopy i przewracając je również. Ta reakcja łańcuchowa wkrótce objęła cały magazyn.

Bannister bez chwili wahania popędził ku Anielskiej Buzi. Tach zapanował nad jego umysłem i powstrzymał go w pół kroku z wyciągniętą bronią.

Nagle bele ciętego papieru runęły na tył wózka widłowego. Pojazd przesunął się lekko, miażdżąc wielką czarną oponą lewą dłoń Tachiona. Doktor krzyknął z bólu i szoku, tracąc panowanie nad Bannisterem.

* * *

Widział na dole dwóch małych ludzików, którzy strzelali do niego. Pierwszy strzał przestraszył go tak bardzo, że Tom na mgnienie oka utracił koncentrację i skorupa spadła cztery stopy w dół, nim znowu nad nią zapanował. Kule odbijały się bez szkody od pancerza, rykoszetując po całym magazynie. Tom uśmiechnął się.

– JESTEM WIELKI I POTĘŻNY ŻÓŁW – oznajmił na pełnej głośności. Wszędzie wokół przewracały się stosy papieru. – NIE MACIE SZANS, DUPKI. PODDAJCIE SIĘ.

Najbliższy dupek nie zamierzał się poddawać. Wystrzelił po raz kolejny i jeden z ekranów zgasł.

– O KURWA – powiedział Tom, zapominając o wyłączeniu mikrofonu. Złapał faceta za ramię i wyrwał mu broń, a sądząc z tego, jak głąb krzyknął, zapewne również kończynę ze stawu, niech to szlag. Będzie musiał na to uważać. Drugi facet rzucił się do ucieczki, przeskakując nad stosem zwalonego papieru. Tom złapał go w locie, uniósł pod sufit i zawiesił na krokwi. Przesuwał wzrok od jednego ekranu do drugiego, ale jeden z nich nie działał, a na sąsiednim znowu nawaliła cholerna synchronizacja pionowa, więc ni chuj po tej stronie nie widział. Nie miał czasu tego naprawić. Na dużym ekranie zobaczył, że jakiś typek we flanelowej koszuli ładuje torebki do walizki, a kącikiem oka dostrzegł grubasa wążącego na wózek widłowy.

* * *

Opona zmiądzzyła mu dłoń i Tachion wił się z porażającego bólu. Starał się nie krzyczeć. Bannister – musiał powstrzymać Bannistera, zanim ten dotrze do Anielskiej Buzi. Zaciśnął mocno zęby, próbując pokonać ból siłą woli, zebrać go w kulę i odepchnąć od siebie, tak jak go uczono, ale to było trudne, utracił dyscyplinę, czuł, że ma połamane kości ręki, a oczy zachodziły mu łzami. Nagle usłyszał silnik wózka widłowego. Pojazd ruszył naprzód i przejechał po jego ramieniu, zмирzając ku głowie, bieżniki wielkiej opony były czarną ścianą śmierci, która sunęła ku niemu... i przemknęła cal nad jego głową, unosząc się w powietrze.

* * *

Wózek widłowy pięknie przeleciał przez cały magazyn i wbił się w tylną ścianę z drobną pomocą Wielkiego i Potężnego Żółwia. Grubas spadł z niego w locie i wylądował na stercie książek ze zdartymi okładkami. Dopiero wtedy Tom zauważył Tachiona, który leżał na podłodze w miejscu, gdzie przed chwilą był wózek. Ręka doktora zginała się pod dziwnym kątem, a jego maska kurczaka była podarta i brudna. Tachion podniósł się i zaczął coś krzyczeć, a potem popędził przed siebie, chwiejąc się na nogach. Gdzie mu się, kurwa, tak śpieszyło?

Tom zmarszczył brwi i grzmotnął na odlew w migający ekran. Obraz ustabilizował się nagle i na krótką chwilę stał się wyraźny. Mężczyzna w przeciwdeszczowym płaszczu stał nad leżącą na materacu kobietą. Była bardzo ładna i uśmiechnęła się dziwnie – smutno, ale jakby z akceptacją – gdy przystawił rewolwer do jej czoła.

* * *

Tach obiegł wkoło niszczarkę. Kostki miał jak z gumy, cały świat stał się czerwoną plamą, a połamane kości uderzały o siebie przy każdym kroku. Znalazł ich tam. Bannister dotykał jej lekko lufą rewolweru. Skóra już pociemniała w miejscu, gdzie miała wejść kula. Tachion sięgnął przez łzy, obawy i mgiełkę bólu ku umysłowi Bannistera i zapanował nad nim... akurat na czas, by poczuć, jak mężczyzna naciska spust. Wzdrygnął się, czując w swym umyśle odrzut broni. Usłyszał strzał dwiema parami uszu.

– Neeeeeeeeeeeeeeeeee! – zawołał.

Zamknął oczy i osunął się na kolana. Zmusił Bannistera do odrzucenia broni, ale co to mogło teraz pomóc, nic, było już za późno, znowu się spóźnił, zawiódł, znowu zawiódł, Anielską Buzię, Blythe, siostrę, wszystkie je kochał i wszystkie zginęły. Zgiął się wpół na podłodze, a jego umysł wypełniły obrazy pękających luster, Baletu Weselnego tańczonego we krwi i bólu. To było ostatnie, co ujrzał, zanim zapadł w ciemność.

* * *

Ocknął się, czując ostry zapach szpitalnego pokoju. Pod głową miał poduszkę w mocno wykrochmalonej poszewce. Otworzył oczy.

– Des – powiedział słabo.

Spróbował usiąść, ale coś krępowało jego ruchy. Świat wokół niego był niewyraźny i zamazany.

– Jesteś na wyciągu, doktorze – wyjaśnił Des. – Prawe ramię masz złamane w dwóch miejscach, a z kośćmi ręki jest jeszcze gorzej.

– Przykro mi – mruknął Tachion. Rozpłakałby się, ale zabrakło mu już łez. – Tak mi przykro. Próbowaliśmy. Tak... tak mi przykro... nie...

– Tacky – usłyszał jej cichy, ochrypły głos.

Stała nad nim, ubrana w szpitalną koszulę, i uśmiechała się z przekąsem. Czarne włosy zaczesła do przodu, żeby zasłonić czoło. Ukrywał się pod nimi ohydny, fioletowozielony siniak. Skóra wokół jej oczu była zaczerwieniona i sączyła krwią. Przez chwilę myślał, że nie żyje, postradał rozum albo śni.

– Wszystko w porządku, Tacky. To ja. Nic mi nie jest.

Spojrzał na nią tępo.

– Ty nie żyjesz – mruknął pozbawionym wyrazu głosem. – Spóźniłem się. Słyszałem strzał. Miałem go już, ale było za późno. Czułem, jak pistolet odskoczył w jego dłoni.

– A czy czułeś, jak nim szarpnęło? – zapytała.

– Szarpnęło?

– Tylko parę cali, nie więcej. W chwili, gdy wystrzelił. Ale to wystarczyło. Mam paskudne oparzenia od prochu, ale kula wbiła się w materac stopę nad moją głową.

– Żółw – wychrypiał Tach.

Skinęła głową.

– Szarpnął rewolwerem w bok w tym samym momencie, gdy Bannister nacisnął spust. A ty zmusiłeś skurwysyna do odrzucenia broni, nim zdążył wystrzelić po raz drugi.

– Dorwaliście ich – dodał Des. – Paru udało się zbiec w zamieszaniu, ale Żółw ujął trzech, w tym również Bannistera. A do tego walizkę z dwudziestoma funtami czystej heroiny. Okazało się też, że magazyn był własnością mafii.

– Mafii? – powtórzył Tach.

– To organizacja przestępcza, doktorze Tachion.

– Jeden z ludzi aresztowanych w magazynie już się zgodził zeznawać – poinformowała go Anielska Buzia. – Potwierdzi w sądzie wszystko. Łapówki, handel narkotykami, morderstwa w Gabinecie Luster.

– Może nawet będziemy w końcu mieli w Mieście Dżokerów przyzwoitą policję – dodał Des.

Uczucia, które wypełniły w tej chwili Tachiona, daleko wykraczały poza ulgę. Pragnął im podziękować i zapłakać nad nimi, ale ani łzy, ani słowa nie chciały nadejść. Czuł się słaby i szczęśliwy.

– Nie zawiodłem – zdołał wreszcie wykrztusić.

– Nie zawiodłeś – potwierdziła Anielska Buzia. Popatrzyła na Desa. – Zechcesz zaczekać chwilę na zewnątrz? – zapytała. Kiedy zostali sami, usiadła na brzegu łóżka. – Chcę ci coś pokazać. Powinnam to zrobić już dawno temu. – Podsunęła mu złoty medalionik. – Otwórz go.

Trudno to było zrobić jedną ręką, ale jakoś mu się udało. W środku było małe okrągłe zdjęcie przedstawiające starą kobietę leżącą w łóżku. Kończyny miała chude jak szkielet i uschnięte, patyki pokryte plamistym ciałem, a twarz straszliwie zniekształconą.

– Co jej się stało? – zapytał Tach, obawiając się odpowiedzi. Pomyślał, że to kolejny dżoker, jeszcze jedna ofiara jego niepowodzeń.

Anielska Buzia spojrzała z westchnieniem na kalekę staruszkę i zamknęła z trzaskiem medalion.

– Kiedy miała cztery lata, w Małych Włoszech wpadła pod wóz. Koń nadepnął jej na twarz, a koło zmiażdżyło kręgosłup. To było, hmm, w 1886. Została całkowicie sparaliżowana, ale przeżyła. Jeśli można to nazwać życiem. Ta dziewczynka spędziła sześćdziesiąt następnych lat w łóżku, mając za towarzystwo tylko święte siostry, które ją karmiły, kąpały i czytały jej. Czasami pragnęła jedynie umrzeć. Marzyła o tym, jakby to było być piękną, kochaną i pożądaną, umieć tańczyć, być w stanie czuć. Och, jak bardzo pragnęła czuć. – Uśmiechnęła się. – Powinnam była ci podziękować już dawno temu, Tacky, ale

trudno mi pokazywać komukolwiek to zdjęcie. Jednak jestem ci wdzięczna, a teraz mam u ciebie podwójny dług. Nigdy nie będziesz musiał płacić za alkohol w Gabinecie Luster.

Spojrzał na nią.

– Nie chcę już więcej pić – oznajmił. – Skończyłem z tym. – Wiedział, że to prawda. Jeśli ona mogła żyć ze swym bólem, w jaki sposób on mógł usprawiedliwić marnowanie swego życia i uzdolnień? – Anielska Buzio – dodał nagle. – Mogę zrobić dla ciebie coś lepszego od heroiny. Byłem... jestem biochemikiem, na Takis istnieją takie farmaceutyki, potrafię je zsyntetyzować, środki przeciwbólowe, blokery nerwów. Jeśli pozwolisz mi przeprowadzić na sobie kilka testów, może uda mi się stworzyć coś dopasowanego do twojego metabolizmu. Będzie mi oczywiście potrzebne laboratorium. Jego wyposażenie będzie drogie, ale sam lek powinien kosztować grosze.

– Mam trochę pieniędzy – zapewniła. – Sprzedaję Gabinet Luster Desowi. Ale to, o czym mówisz, jest nielegalne.

– Do diabła z głupimi prawami – wybuchnął Tach. – Ja nic nikomu nie powiem.

Potem słowa popłynęły strumieniem z jego ust: plany, marzenia, nadzieje, wszystko, co utracił i co utopił w koniaku albo sterno. Anielska Buzia patrzyła na niego, uśmiechnięta i zdumiona. Gdy działanie leków w końcu osłabło i doktor Tachion znowu poczuł ból w ramieniu, przypomniał sobie swe dawne umiejętności i odesłał ból. Z jakiegoś powodu wydawało mu się, że część poczucia winy i żalu odeszła razem z nim. Znowu był kompletny i żywy.

* * *

Nagłówek głosił: **ŻÓŁW I TACHION ROZBIJAJĄ GANG HANDLARZY HEROINĄ.** Tom właśnie wklejał wycinek do albumu, gdy wrócił Joey z piwem.

– Zapomnieli dodać „Wielki i Potężny” – zauważył, stawiając butelkę przy łokciu przyjaciela.

– Ale wreszcie znalazłem się na pierwszej stronie. – Tom wytarł chusteczką z palców gęsty biały klej i odsunął album na bok. Pod spodem było kilka prostych rysunków jego autorstwa przedstawiających skorupę.

– A teraz powiedz mi, gdzie postawimy ten kurewski gramofon, dobra?

Przełożył Michał Jakuszewski

Z dziennika Xaviera Desmonda

30 listopada – Miasto Dżokerów

Nazywam się Xavier Desmond i jestem dżokerem.

Dżokerzy wszędzie są obcy, nawet na ulicy, przy której się urodzili, a ten dżoker ma odwiedzić cały szereg egzotycznych krajów. W ciągu pięciu najbliższych miesięcy zobaczę sawanny i góry, Rio i Kair, przełęcz Khyber i Cieśninę Gibraltarską, australijski busz i Champs Elysees. Wszystko to są bardzo odległe miejsca dla człowieka, którego często zwano burmistrzem Miasta Dżokerów. Rzecz jasna, Miasto Dżokerów nie ma burmistrza. To tylko dzielnica, w dodatku getto, a nie prawdziwe miasto. Jest ono jednak czymś więcej niż miejscem. To sytuacja, stan umysłu. Być może w tym sensie zasłużyłem sobie na ów tytuł.

Byłem dżokerem od samego początku. Przed czterdziestu laty, gdy Odrzutowiec zginął na niebie nad Manhattanem, wypuszczając na świat dziką kartę, miałem dwadzieścia dziewięć lat, pracowałem w banku inwestycyjnym, miałem piękną żonę, dwuletnią córkę i czekała mnie świetlana przyszłość. Miesiąc później, gdy w końcu wypuszczono mnie ze szpitala, byłem monstrem z różową słoniową trąbą wyrastającą pośrodku twarzy zamiast nosa. Na końcu tej trąby mam siedem w pełni funkcjonalnych palców i z biegiem lat nauczyłem się bardzo sprawnie posługiwać tą swoją „trzecią ręką”. Jestem przekonany, że gdybym nagle odzyskał tak zwaną normalną ludzką postać, stałoby się to dla mnie przeżyciem równie traumatycznym jak amputacja kończyny. O ironio, trąba czyni mnie czymś nieco lepszym od człowieka... a zarazem czymś nieskończenie gorszym.

Piękna żona opuściła mnie niespełna dwa tygodnie po moim wyjściu ze szpitala. Mniej więcej w tym samym czasie bank Chase Manhattan poinformował mnie, że nie będzie już potrzebował moich usług. Dziewięć miesięcy później przenieśliem się do Miasta Dżokerów, gdyż eksmitowano mnie z mieszkania przy Riverside Drive „z powodów zdrowotnych”. Ostatni raz widziałem córkę w roku 1948. Wyszła za mąż w czerwcu 1964, rozwiodła się w roku 1969 i ponownie wyszła za mąż w czerwcu 1972. Wygląda na to, że lubi czerwcowe śluby. Nie zaprosiła mnie jednak na żaden z nich. Prywatny detektyw, którego wynająłem,

poinformował mnie, że mieszka obecnie z mężem w Salem w stanie Oregon i że mam dwoje wnucząt, chłopca i dziewczynkę, po jednym z każdego małżeństwa. Szczerze wątpię, by któreś z nich wiedziało, że ich dziadek jest burmistrzem Miasta Dżokerów.

Jestem założycielem i emerytowanym prezesem Ligi Przeciw Zniesławieniu Dżokerów, czyli LPZD, najstarszej i największej organizacji walczącej o prawa obywatelskie ofiar wirusa dzikiej karty. LPZD poniosła kilka porażek, ale w sumie zrobiła wiele dobrego. Odniosłem również umiarkowany sukces w biznesie. Jestem właścicielem jednego z najsławniejszych i najbardziej eleganckich klubów nocnych w Nowym Jorku, Gabinetu Luster, w którym już od z górą dwóch dziesięcioleci dżokerzy, naci i asy mogli wspólnie oglądać występy najlepszych dżokerskich artystów kabaretowych. Od pięciu lat Gabinet Luster regularnie przynosi straty, ale nie wie o tym nikt poza mną i moim księgowym. Nie zamykam lokalu, bo to w końcu Gabinet Luster i gdyby przestał funkcjonować, Miasto Dżokerów stałoby się uboższe.

W przyszłym miesiącu skończę siedemdziesiąt lat.

Lekarz mówi mi, że nie dożyję do siedemdziesiątych pierwszych urodzin. Przerzuty pojawiły się, nim udało się rozpoznać raka. Jednakże nawet dżokerzy uparcie czepiają się życia. Już od pół roku poddaję się chemio – i radioterapii, ale nowotwór nie wykazuje oznak remisji.

Lekarz mówi mi, że wyprawa, na którą się wybieram, zapewne skróci moje życie o całe miesiące. Przepisano mi leki i będę pilnie połykać tabletki, ale podróż dookoła świata wyklucza radioterapię. Pogodziłem się z tym.

Często rozmawialiśmy z Mary o takiej wyprawie w dniach przed dziką kartą, gdy byliśmy młodzi i zakochani. Nigdy by mi się nie śniło, że wyruszę w tę podróż bez niej, u schyłku życia, na koszt rządu, jako delegat uczestniczący w rozpoznawczej ekspedycji zorganizowanej i sfinansowanej przez Senacką Komisję do spraw Zasobów i Projektów Związanych z Asami, oficjalnie sponsorowanej przez ONZ i Światową Organizację Zdrowia. Dotrzemy na każdy kontynent oprócz Antarktydy i odwiedzimy trzydzieści dziewięć różnych krajów, choć w niektórych zatrzymamy się tylko na kilka godzin. Naszym oficjalnym zadaniem jest zbadanie sposobów traktowania ofiar dzikiej karty w różnych kulturach na całym świecie.

W sumie jest dwudziestu jeden delegatów, w tym pięciu dżokerów. Przypuszczam, że ten wybór to wielki zaszczyt, wyraz uznania moich zasług oraz mojego statusu jako przywódcy naszej społeczności. Podejrzewam, że powinienem za to podziękować mojemu dobremu przyjacielowi doktorowi Tachionowi.

Ale z drugiej strony powinienem podziękować temu mojemu przyjacielowi za bardzo wiele rzeczy.

1 grudnia – Nowy Jork

Podróż zaczęła się pechowo. Już całą godzinę czekamy na pasie startowym na lotnisku Tomlin International na pozwolenie startu. Poinformowano nas, że do problemów doszło nie tutaj, ale w Hawanie, czekamy więc cierpliwie.

Nasz samolot to wykonany na zamówienie boeing 747, przewany przez prasę „Ułożoną Talią”. Całą centralną kabinę przebudowano stosownie do naszych potrzeb, siedzenia ustąpiły miejsca małemu laboratorium medycznemu, sali redakcyjnej dla dziennikarzy z prasy oraz miniaturowemu studiu telewizyjnemu dla ich odpowiedników z mediów elektronicznych. Samych dziennikarzy zakwaterowano w tylnej części. Czuli się tam jak w domu. Zajrzałem do ich pomieszczenia przed dwudziestoma minutami i zauważyłem, że już zaczęli grać w pokera. W kabinie klasy biznesowej siedzi cała zgraja asystentów, sekretarek, rzeczników prasowych oraz ochroniarzy. Pierwsza klasa miała być przeznaczona wyłącznie dla delegatów.

Ponieważ jest nas tylko dwudziestu jeden, ludzie co chwila zmieniają miejsca. Nawet tu utrzymują się jednak getta. Dżokerzy siedzą z dżokerami, naci z natami, a asy z asami.

Hartmann jest jedynym człowiekiem na pokładzie, który czuje się w pełni swobodnie w towarzystwie wszystkich trzech grup. Na konferencji prasowej przywitał mnie serdecznie, a parę chwil po wejściu na pokład przysiadł się do mnie i do Howarda, żeby opowiedzieć nam z powagą o nadziejach, jakie wiąże z tą podróżą. Trudno byłoby nie lubić senatora. Wygrywał w Mieście Dżokerów przygniatającą większością podczas wszystkich swych kampanii, nawet wtedy, gdy był jeszcze burmistrzem. Nic w tym dziwnego, bo żaden inny polityk nie zrobił tak wiele dla obrony praw dżokerów. Hartmann daje mi nadzieję. Jest żywym dowodem na to, że między dżokerami a natami mogą istnieć zaufanie i wzajemny szacunek. To porządny, honorowy człowiek, a w obecnych czasach, gdy fanatycy tacy jak Leo Barnett ożywiają stare nienawiści i uprzedzenia, dżokerzy bardzo potrzebują przyjaciół w sferach władzy.

Doktor Tachion i senator Hartmann współprzewodniczą delegacji. Tachion przybył ubrany jak zagraniczny korespondent z jakiegoś klasycznego czarnego filmu: tencz pełen pasów, guzików i epoletów, a na głowie zawadiacko przekrzywiona fedora z zawiniętym rondem. Ale ten kapelusz zdobi długie na stopę czerwone pióro, a nie potrafię sobie wyobrazić, gdzie można kupić jasnoniebieski tencz z weluru gnieczonego. Szkoda, że te wszystkie filmy o zagranicznych korespondentach były czarno-białe.

Tachion lubi sobie wyobrażać, że jest równie wolny od uprzedzeń wobec dżokerów jak Hartmann, ale nie jest to do końca prawda. Trudzi się bezustannie w swej klinice i nikt nie może wątpić, że jest głęboko zaangażowany w swoją pracę... wielu dżokerów uważa go za świętego, za bohatera... ale gdy ktoś znał doktora tak długo jak ja, na jaw wychodzą głębiej ukryte prawdy. W jego umyśle skrywa się nigdy nie ubrane w słowa przekonanie, że jego praca w Mieście Dżokerów stanowi pokutę. Ze wszystkich sił stara się to ukryć, ale nawet po

tylu latach wciąż można dostrzec w jego oczach odrazę. Jesteśmy z doktorem Tachionem „przyjaciółmi”, znamy się od dziesięcioleci i wierzę z całego serca, że szczerze mnie lubi, ale nigdy, nawet na sekundę, nie poczułem, że uważa mnie za równego sobie, tak jak Hartmann. Senator traktuje mnie jak człowieka, i to wpływowego, zabiega o moje względy, jak o względy każdego polityka, który może zapewnić mu głosy. Dla doktora Tachiona zawsze będę tylko dzokerem.

Czy to jego tragedia, czy moja?

Tachion nic nie wie o raku. Czy to znak świadczący, że nasza przyjaźń jest równie chora jak moje ciało? Być może. Nie jest moim osobistym lekarzem już od wielu lat. Mój lekarz jest dzokerem, tak samo jak mój księgowy, mój adwokat, mój makler, a nawet mój bankier. Świat zmienił się od czasów, gdy zwolniono mnie z Chase Manhattan, a jako burmistrz Miasta Dżokerów mam obowiązek praktykować własną wersję akcji afirmacyjnej.

* * *

Właśnie zezwolono nam na start. Skończyło się przesiadanie z fotela na fotel i wszyscy zapięli pasy. Wygląda na to, że wszędzie, dokąd się udam, towarzyszy mi Miasto Dżokerów, jako że najbliżej mnie siedzi Howard Mueller. Jego fotel przebudowano, by pomieścić wysoką na dziewięć stóp postać o ogromnie długich ramionach. Jest powszechnie znany jako Troll i pracuje jako szef ochrony w szpitalu Tachiona, zauważyłem jednak, że nie usiadł razem z doktorem wśród asów. Pozostała trójka dżokerskich delegatów – Ojciec Kałamarnica, Poczwarzka i poeta Dorian Wilde – również zajęła miejsca w środkowej części kabiny pierwszej klasy. Czy to przypadek, przesady, czy wstyd sprawił, że usiedliśmy tutaj, na miejscach najbardziej oddalonych od okien? Obawiam się, że dżokerzy wykazują na tym punkcie lekką paranoję. Politycy zarówno krajowi, jak i z ONZ, skupili się po prawej stronie, a asy z przodu (asy do przodu, no jasne) i z lewej. Muszę przestać pisać, bo stewardesa poprosiła mnie, żebym złożył stolik.

Lecimy. Nowy Jork i Lotnisko Tomlin International zostały daleko za nami. Czeka na nas Kuba. Sądząc z tego, co słyszałem, nasz pierwszy postój będzie łatwy i przyjemny. Hawana jest prawie tak samo amerykańska jak Las Vegas czy Miami Beach, choć jest tam zdecydowanie więcej dekadencji i występku. Niewykluczone, że mam tam przyjaciół, bo niektórzy z czołowych dżokerskich artystów, którzy rozpoczynali karierę w Gabinecie Luster albo w Klubie Chaosu, występują potem w kasynach Hawany. Muszę jednak pamiętać, by trzymać się z dala od hazardu, bo dżokerzy słyną z braku szczęścia.

* * *

Gdy tylko zgasł napis nakazujący zapiąć pasy, grupka asów udała się na górę, do baru pierwszej klasy. Słyszę ich śmiech dobiegający ze szczytu spiralnych schodów: Sokolica, młoda ładna Mistral – gdy zdejmie swój strój do latania, wygląda jak studentka college'u, którą faktycznie jest – hałaśliwy Hiram Worchester oraz Asta Lenser, tancerka z Amerykańskiego Teatru Baletowego, która jako as nosi imię Fantazja. Zdążyli już stworzyć ciasną grupę „rozrywkowych” osób, których nie może spotkać nic złego. Złoci ludzie, a Tachion bardzo do nich pasuje. Zastanawiam się, czy przyciągają go asy, czy kobiety? Nawet moja droga przyjaciółka Angela, która po dwudziestu paru latach nadal bardzo go kocha, przyznaje, że gdy w grę wchodzi kobiety, doktor Tachion myśli głównie penisem.

Jednakże i wśród asów zdarzają się outsiderzy. Jones, czarny siłacz z Harlemu (podobnie jak Troll, Hiram W. i Sokolica potrzebuje specjalnego fotela, w jego przypadku z powodu olbrzymiego ciężaru), siedzi sobie z piwem w ręku, czytając „Sports Illustrated”. Radha O'Reilly również jest sama i wygląda przez okno. Robi wrażenie bardzo cichej. Billy Ray i Joanne Jefferson, dwoje asów z Departamentu Sprawiedliwości, którzy dowodzą naszą grupą ochrony, nie są delegatami i w związku z tym siedzą w drugiej sekcji.

Jest jeszcze Jack Braun. Otaczające go napięcie jest niemal dotykalne. Większość pozostałych delegatów traktuje go uprzejmie, ale nikt nie okazuje mu przyjaźni, a niektórzy otwarcie go unikają, na przykład Hiram Worchester. Dla doktora Tachiona Braun najwyraźniej nie istnieje. Zastanawiam się, kto wpadł na pomysł, żeby zrobić go delegatem? Z pewnością nie Tachion, wydaje się też, że to zbyt politycznie niebezpieczne, żeby odpowiedzialny mógł być Hartmann. Być może to gest mający ułagodzić konserwatystów ze SCARE. A może w grę wchodzi jakieś inne czynniki, których nie uwzględniłem?

Braun od czasu do czasu spogląda na schody do baru, jakby gorąco pragnął dołączyć do spędzającej tam przyjemnie czas grupy. Nie rusza się jednak z miejsca. Trudno uwierzyć, że ten chłopak o gładkiej twarzy i blond włosach ubrany w szytą na zamówienie kurtkę w stylu safari naprawdę jest osławionym Judaszowym Asem z lat pięćdziesiątych. Jest w moim wieku albo niewiele młodszy, ale wygląda najwyżej na dwadzieścia lat... taki chłopak mógłby przed paru laty zaprowadzić młodą, ładną Mistral na pierwszy bal, a potem odprowadzić ją do domu długo przed północą.

Jeden z reporterów, człowiek nazwiskiem Downs z magazynu „Aces”, był tu niedawno i próbował namówić Brauna na udzielenie wywiadu, ale ten stanowczo odmówił i po pewnym czasie Downs dał za wygraną. Rozdał tylko obecnym egzemplarze najnowszego numeru „Aces” i poszedł do baru, z pewnością zawracać głowę komuś innemu. Nie jestem regularnym czytelnikiem tego pisma, ale przyjąłem numer i zasugerowałem Downsowi, że jego wydawca powinien rozważyć pomysł założenia siostrzanego magazynu pod nazwą „Jokers”. Nie wyglądał na zbyt zachwyconego tym pomysłem.

Na okładce jest przyciągające wzrok zdjęcie skorupy Żółwia, widocznej na tle czerwono-pomarańczowego zachodu słońca. Napis głosi: „Żółw – martwy czy żywy?”. Nikt nie widział

Żółwia od września, od Dnia Dzikiej Karty, kiedy rzucono na niego napalm i wpadł do Hudson River. Na dnie rzeki odkryto później spalone i powykręcane fragmenty skorupy, ale nie udało się odnaleźć ciała. Kilkuset ludzi rzekomo widziało Żółwia przed świtem następnego dnia, jak leciał w starszej skorupie nad Miastem Dżokerów, ale ponieważ od tego czasu już się nie pojawił, niektórzy uważają, że była to tylko zbiorowa histeria i pobożne życzenia.

Nie mam żadnego zdania w tej sprawie, choć bardzo bym się zmartwił, gdyby Żółw naprawdę zginął. Wielu dżokerów wierzy, że to jeden z nas, a jego skorupa ukrywa jakąś straszliwą dżokerską deformację. Bez względu na to, czy to prawda, czy nie, przez bardzo wiele lat był dobrym przyjacielem Miasta Dżokerów.

Nasza wyprawa ma jednak pewien aspekt, o którym nikt nie wspomina, choć artykuł Downsa odnosi się do tej sprawy. Być może to mnie przypadnie w udziale poruszyć temat tabu. Prawda wygląda tak, że cały ten śmiech dobiegający z baru brzmi nieco nerwowo i nie jest przypadkiem, że naszą podróż, o której mówiono już od wielu lat, zorganizowano tak szybko w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Chcą się nas pozbyć z miasta na pewien czas. Nie tylko dżokerów, lecz również asów. Można by nawet powiedzieć, że zwłaszcza asów.

Ostatni Dzień Dzikiej Karty był katastrofą dla Nowego Jorku i dla wszystkich ofiar wirusa na całym świecie. Przemoc sięgnęła szokujących rozmiarów. Gazety w całym kraju pisały tylko o tym. Nadal nierozwiązana sprawa zabójstwa Wyjca, rozszarpanie na strzępy dziecka-asa pośrodku wielkiego tłumu pod Mauzoleum Odrzutowca, atak na Gniazdo Asów, zniszczenie Żółwia (a przynajmniej jego skorupy), masowa rzeź w Klauzurze, gdzie znaleziono kilkanaście poćwiartowanych ciał, poprzedzająca świt bitwa powietrzna, której blask padł na całą East Side... Po wielu dniach, a nawet tygodniach władze nadal nie były pewne, czy znają pełną liczbę ofiar.

Pewnego staruszka znaleziono dosłownie wtopionego w gruby ceglany mur. Kiedy zaczęto go stamtąd wykuwać, okazało się, że nie sposób stwierdzić, gdzie kończy się jego ciało, a zaczyna ściana. Sekcja wykazała, że wewnątrz również panował makabryczny chaos. Narządy wewnętrzne stopiły się w jedną całość z ceglami, które je przeniknęły.

Reporterowi „New York Post” udało się zrobić zdjęcie uwięzionego w murze staruszka. Wyglądał tak słodko i niewinnie. Policja ogłosiła później, że on także był asem, a co więcej – osławionym przestępcą odpowiedzialnym za zabójstwo Dinochłopca i Wyjca, usiłowanie zabójstwa Żółwia, zaatakowanie Gniazda Asów, bitwę nad East River, makabryczne krwawe rytuały odprawione w Klauzurze oraz cały szereg pomniejszych przestępstw. Grupa asów potwierdziła tę relację, ale opinia publiczna chyba nie dała się przekonać. Sondaże wskazują, że większość ludzi wierzy w teorię spiskową wysuniętą przez „National Informer”. Mówi ona, że zabójstwa były niepowiązаныmi ze sobą incydentami, a winnymi są potężne asy, znane i nieznane, które wykorzystały okazję do załatwienia prywatnych porachunków, używając swych mocy z pełnym lekceważeniem dla prawa i bezpieczeństwa publicznego. Te

same asy miały później na spółkę z policją zatuszować swe zbrodnie, zwalając całą winę na kalekiego staruszka, który szczęśliwym dla nich zbiegiem okoliczności również zginął, z pewnością z rąk jakiegoś asa.

Zapowiedziano już wydanie kilku książek na ten temat, a każda z nich ma rzekomo ujawniać całą prawdę o wydarzeniach. Niemoralny oportunizm wydawców nie zna granic. Koch, jak zwykle świadomy, skąd wieje wiatr, rozkazał wznowić śledztwo w kilku sprawach i polecił IAD zbadać rolę policji.

Dżokerzy są żałośni i wstrętnei. Asy dysponują wielką mocą i po raz pierwszy od wielu lat znacząca część społeczeństwa zaczęła się ich obawiać i nie ufać ich możliwościom. Nic dziwnego, że demagodzy w rodzaju Leo Barnetta zdobyli ostatnio tak silną pozycję.

Jestem więc przekonany, że nasza wyprawa ma również ukryty cel: zmycie krwi odrobiną „dobrego atramentu”, jak to mówią, złagodzenie obaw, odzyskanie zaufania i sprawienie, że ludzie zapomną o Dniu Dzikiej Karty.

Przyznaję, że mam mieszane uczucia co do asów. Niektórzy z nich z pewnością nadużywają swych mocy. Niemniej jednak jako dżoker żywię rozpaczliwą nadzieję, że nam się uda... i rozpaczliwie obawiam się konsekwencji niepowodzenia.

8 grudnia 1986 – Meksyk

Dziś wieczór czeka nas kolejna uroczysta kolacja, ale udało mi się wymówić pod pretekstem choroby. Bardzo się ucieszyłem z możliwości kilkugodzinnego relaksu w pokoju hotelowym oraz uzupełnienia dziennika. Co więcej, moje dolegliwości nie są bynajmniej wyimaginowane. Obawiam się, że przeładowany program oraz napięcia towarzyszące podróży dają się odczuć. Nie udało mi się zatrzymać w żołądku wszystkich posiłków, ale robię, co tylko mogę, żeby nikt nie zauważył moich dolegliwości. Gdyby Tachion zaczął coś podejrzewać, zażądałby, żebym pozwolił mu się zbadać, a gdyby prawda wyszła na jaw, mogliby mnie odesłać do domu.

Nie pozwolę na to. Pragnęłam zobaczyć wszystkie te odległe, baśniowe krainy, o których ongiś marzyliśmy wspólnie z Mary, ale nie ulega już wątpliwości, że to, czym się zajmujemy, jest znacznie ważniejsze od wszelkiej turystyki. Kuba nie była Miami Beach, nie dla tych, którym chciało się wystawić nos poza Hawanę. Więcej dżokerów umiera na polach trzciny cukrowej niż występuje na scenach kabaretów. A Haiti i Dominikana są nieporównanie gorsze, o czym już pisałem na kartach tego dziennika.

Reprezentacja dżokerów, ich wyraźnie słyszalny głos – nasza wyprawa rozpaczliwie tego potrzebuje, jeżeli ma cokolwiek osiągnąć. Nie pozwolę, żeby wyeliminowano mnie ze względów medycznych. Już w tej chwili jest nas mniej. Dorian Wilde wrócił do Nowego

Jorku, zamiast jechać z nami do Meksyku. Przyznaję, że mam w tej sprawie mieszane uczucia. Już od samego początku żywiłem niewiele szacunku dla „poety laureata z Miasta Dżokerów”, którego tytuł jest równie wątpliwy jak moje burmistrzostwo. Za to jego nagroda Pulitzera z pewnością jest autentyczna. Wilde zdaje się czerpać perwersyjną radość z wymachiwania wilgotnymi, lepkimi witkami przed twarzami ludzi, popisywania się swą deformacją w świadomym celu sprowokowania reakcji. Podejrzewam, że motywem owej agresywnej nonszalancji jest ten sam wstręt do samego siebie, który tak wielu dżokerom każe nosić maski, a w kilku smutnych przypadkach skłonił ich do amputowania zniekształconych części ciała. Co więcej, Wilde ubiera się prawie tak samo niegustownie jak Tachion. Ta jego edwardiańska poza jest naprawdę śmieszna, a nigdy nie wyrażony w słowach fakt, że woli perfumy od mydła, sprawia, że jego towarzystwo jest uciążliwe dla każdego, kto posiada zmysł węchu. Niestety, mój węch jest bardzo czuły.

Wątpię, by został delegatem, gdyby nie uznanie, jakie zdobył dzięki nagrodzie Pulitzera. Bardzo niewielu dżokerom udało się uzyskać podobne zaszczyty. Jego poezja również nie wzbudza we mnie zbytniego entuzjazmu, a ciągle afektowane recytacje wydają mi się wręcz odrażające.

Niemniej jednak muszę wyznać, że czuję dla niego pewien podziw z powodu improwizowanego występu przed Duvalierami. Podejrzewam, że otrzymał z tego powodu surową reprimendę od polityków. Gdy opuszczaliśmy Haiti, Hartmann odbył długą rozmowę w cztery oczy z „Boskim Wilde’em”, i Dorian sprawiał potem wrażenie mocno przygnębionego.

Choć nie zgadzam się z większością tego, co Wilde ma do powiedzenia, uważam, że powinien mieć prawo wyrażania swych poglądów. Będzie go nam brakowało. Żałuję, że nie wiem, dlaczego wyjechał. Zapytałem go o to i próbowałem namówić, żeby został, dla dobra wszystkich dżokerów, ale jego odpowiedzią była obraźliwa sugestia dotycząca seksualnych zastosowań mojej trąby, ubrana w formę małego, plugawego wierszyka. Osobliwy człowiek.

Pod nieobecność Wilde’a pozostaliśmy z Ojcem Kałamarnicą jedynymi autentycznymi wyrazicielami punktu widzenia dżokerów. Howard M. (dla świata Troll) wygląda bardzo imponująco, ma dziewięć stóp wzrostu, jest niewiarygodnie silny, a jego zielonkawa skóra jest twarda jak róg, wiem też, że to bardzo porządny i kompetentny człowiek, któremu nie brakuje inteligencji, ale... jest z natury podwładnym, nie przywódcą a także ma w sobie pewną nieśmiałość, powściągliwość, która nie pozwala mu zabierać głosu publicznie. Wzrost uniemożliwia mu wtopienie się w tłum, ale czasami odnoszę wrażenie, że tego właśnie pragnie najbardziej.

Natomiast Poczworka nie ma żadnych tego rodzaju problemów i jest obdarzona niezwykłą charyzmą. Nie mogę zaprzeczyć, że należy do szanowanych przywódców naszej społeczności, jest jednym z najbardziej widzialnych (to nie jest zamierzona gra słów) i najpotężniejszych dżokerów. Mimo to nigdy jej zbytnio nie lubiłem. Być może to tylko

uprzedzenia wynikające z interesowności. Rosnąca popularność Kryształowego Pałacu ma bardzo wiele wspólnego ze schyłkiem Gabinetu Luster. Są też jednak ważniejsze powody. Poczwarzka ma w Mieście Dżokerów znaczną władzę, ale korzysta z niej wyłącznie we własnym interesie. Zawsze była agresywnie apolityczna, starannie dystansowała się od LPZD i wszystkich ruchów walczących o prawa dżokerów. Gdy czasy wymagały pasji i zaangażowania, ona pozostawała chłodna i zdystansowana, ukrywała się za swymi cygarniczkami, alkoholami i arystokratycznym brytyjskim akcentem.

Poczwarzka przemawia wyłącznie we własnym imieniu, a Troll w ogóle rzadko się odzywa, więc reprezentować dżokerów musimy ja i Ojciec Kałamarnica. Robiłbym to z chęcią ale jestem tak strasznie zmęczony...

* * *

Zasnąłem wcześniej i obudziły mnie głosy wracających z kolacji delegatów. Jak rozumiem, poszło im raczej dobrze. To znakomicie. Potrzeba nam paru triumfów. Howard powiedział mi, że Hartmann wygłosił przy posiłku piękną mowę, która zrobiła duże wrażenie na prezydencie de la Madrid Hurtado. Uwagę reszty obecnych mężczyzn przyciągnęła ponoć Sokolica. Zastanawiam się, czy pozostałe kobiety są zazdrosne. Mistral jest całkiem ładna, taniec Fantazji wywiera hipnotyzujące wrażenie, a Radha O'Reilly jest naprawdę fascynująca. Zawdzięcza egzotyczną urodę mieszance krwi indyjskiej i irlandzkiej. Jednakże Sokolica przyćmiewa je wszystkie. Co o niej sądzą?

Mężczyznom wśród asów z pewnością się podoba. „Ułożona Talia” jest ciasnym światkiem i plotki szybko wędrują jej korytarzami. Podobno doktor Tachion i Jack Braun czynili już jej propozycje, ale spotkali się ze stanowczą odmową. Sokolica wydaje się najbliższej związana ze swym kamerzystą, natem, który jest zakwaterowany z resztą reporterów. Mają kręcić film dokumentalny o naszej podróży. Hiram również blisko się z nią przyjaźni, ale choć w ich nieustannym przekomarzaniu się widać lekko zalotną nutę, ich związek ma raczej platoniczny charakter. W życiu Worchestera jest tylko jedna prawdziwa miłość – jedzenie. W tę sprawę jest zaangażowany bardzo głęboko. Wydaje się, że zna wszystkie najlepsze restauracje w każdym odwiedzanym przez nas mieście. Miejscowi szefowie kuchni ciągle zawracają mu głowę, zakradają się do jego pokoju hotelowego o każdej porze dnia i nocy, błagając, żeby poświęcił im choć chwilę, raczył skosztować, wyraził uznanie. Hiram nie tylko się nie sprzeciwia, ale jest wręcz zachwycony.

Na Haiti znalazł kucharza, którego sztuka przypadła mu do gustu tak bardzo, że natychmiast go zatrudnił i przekonał Hartmanna do wykonania paru telefonów do Urzędu do spraw Imigrantów celem załatwienia mu wizy i pozwolenia na pracę. Widzieliśmy przelotnie tego człowieka na lotnisku w Port-au-Prince, gdy taszczył wielką skrzynię pełną żeliwnych naczyń kuchennych. Hiram zmniejszył ciężar skrzyni, tak by jego nowy pracownik (który nie

mówi po angielsku, ale Worchester zapewnia, że przyprawy są uniwersalnym językiem) mógł ją nieść na jednym ramieniu. Howard opowiadał mi też, iż podczas dzisiejszej kolacji Hiram uparł się, że musi odwiedzić kuchnię, by dostać od kucharza przepis na kurę w sosie mole, a gdy już tam się znalazł, przyrządził jakiś płonący deser na cześć gości.

W zasadzie nie powinienem lubić Hiram Worchestera, który popisuje się swymi mocami asa bardziej niż ktokolwiek, kogo znam, ale trudno mi nie czuć sympatii do kogoś, kto tak bardzo cieszy się życiem i dzieli się swą radością z tymi, którzy go otaczają. Poza tym dobrze wiem, że łoży anonimowo na wiele dobroczynnych instytucji działających w Mieście Dżokerów, choć bardzo stara się to ukryć. Hiram czuje się w towarzystwie takich jak ja podobnie skrepowany jak Tachion, ale jego serce jest równie wielkie jak reszta jego postaci.

Jutro nasza grupa znowu się podzieli. Senatorzy Hartmann i Lyons, kongresman Rabinowitz oraz Ericsson ze Światowej Organizacji Zdrowia spotkają się z przywódcami PRI, partii rządzącej w Meksyku, natomiast Tachion i nasza ekipa medyczna odwiedzą klinikę, która ponoć odniosła nadzwyczajne sukcesy w zwalczaniu wirusa letrylem. Nasze asy mają zjeść obiad w towarzystwie trojga swych meksykańskich odpowiedników. Z zadowoleniem przyjąłem fakt, że zaproszono również Trolła. Przynajmniej w niektórych częściach świata nadludzka siła i niemal całkowita niewrażliwość na ciosy powodują, że jest uważany za asa. To oczywiście niewielki postęp, ale zawsze coś.

Reszta delegatów pojedzie na Jukatan i do Quintana Roo obejrzeć ruiny miast Majów oraz kilka miejsc, w których ponoć doszło do masowych pogromów dżokerów. Wygląda na to, że meksykańska wieś nie jest tak oświecona jak stolica kraju. Reszta grupy dołączy do nas pojutrze w Chichen Itza i ostatni dzień pobytu w Meksyku poświęcimy na zwiedzanie.

A potem polecimy do Gwatemali... być może. Dzienniki pełne są doniesień o powstaniu, które tam wybuchło. Indianie zbuntowali się przeciw centralnemu rządowi. Kilku z naszych dziennikarzy już się tam udało, wyczuwając, że to będzie większa sensacja niż nasza podróż. Jeśli sytuacja będzie wyglądała na zbyt niestabilną, zapewne zostaniemy zmuszeni do pominięcia tego etapu.

15 grudnia 1986 – w drodze do Limy, Peru

Zaniedbałem ostatnio prowadzenie tego dziennika. Wczoraj i przedwczoraj nie napisałem nic. Jedynym usprawiedliwieniem, jakie mogę przedstawić, jest wyczerpanie, a także lekkie zniechęcenie.

Obawiam się, że Gwatemala okazała się potężnym ciosem dla mojego ducha. Rzecz jasna, zachowujemy ścisłą neutralność, ale gdy zobaczyłem w telewizji relacje z powstania i usłyszałem niektóre z haseł głoszonych ponoć przez majańskich rewolucjonistów,

pozwoiliem sobie poczuć nadzieję. Kiedy spotkaliśmy się z indiańskimi przywódcami, na krótką chwilę ogarnęło mnie nawet uniesienie. Uważali moją obecność w pokoju za zaszczyt i dobry znak, odnosili się do mnie z takim samym szacunkiem (czy brakiem szacunku) jak do Hartmanna i Tachiona, a to, jak traktowali własnych dzokerów, natchnęło mnie optymizmem.

No cóż, jestem starym człowiekiem – a nawet starym dzokerem – i chwytam się byle czego. Majańscy rewolucjoniści ogłosili powstanie nowego państwa, ojczyzny Indian, w którym wszyscy indiańscy dzokerzy będą mile widzianymi, otoczonymi szacunkiem gośćmi. Innych dzokerów nie potrzebują. Co prawda, i tak raczej nie chciałbym zamieszkać w dżunglach Gwatemali. Nawet niezależna ojczyzna naszego rodzaju położona w tych okolicach nie wywołałaby w Mieście Dzokerów większego zainteresowania, nie wspominając już o jakimś znaczącym exodusie. Niemniej jednak na świecie jest tak mało miejsc, gdzie dzokerzy są mile widziani, gdzie możemy mieszkać w spokoju... im dłużej podróżujemy, im więcej widzimy, tym bardziej czuję się zmuszony przyznać, że Miasto Dzokerów jest dla nas najlepszym miejscem, naszym jedynym prawdziwym domem. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo zasmuca mnie to i przeraża.

Dlaczego zawsze musimy kreślić linie, wprowadzać podziały, naklejać etykiety i wznosić bariery? Asy, naci i dzokerzy, kapitaliści i komuniści, katolicy i protestanci, Arabowie i Żydzi, Indianie i Latynosi, i tak dalej. Tak jest wszędzie, i oczywiście prawdziwe człowieczeństwo można znaleźć tylko po naszej stronie i uważamy, że wolno nam swobodnie gnębić, gwałcić i zabijać „tamtych”, kimkolwiek by byli.

Niektórzy na pokładzie „Ułożonej Talii” sądzą, że Gwatemalczyki dopuszczali się systematycznego ludobójstwa na swej indiańskiej ludności, i uważają powstanie nowego państwa za bardzo korzystne wydarzenie. Nie jestem tego taki pewien.

* * *

Majowie wierzą, że dzokerzy są dotknięci przez bogów, szczególnie pobłogosławieni. Z pewnością lepiej jest być otaczanym czcią, niż spotykać się z pogardą z powodu licznych kalectw i deformacji. Z pewnością.

Ale...

Odwiedzimy także kraje islamskie... ktoś mi powiedział, że to jedna trzecia świata. Niektórzy muzułmanie są bardziej tolerancyjni od innych, ale prawie wszyscy uważają deformacje za oznakę niezadowolenia Allaha. Poglądy prawdziwych fanatyków, takich jak irańscy szyici czy sekta Nura w Syrii, są przerażające, godne Hitlera. Ilu dzokerów zamordowano, gdy ajatollah zastąpił szacha? W oczach części Irańczyków największym grzechem obalonego monarchy była tolerancja wobec dzokerów i kobiet.

A czy my, w oświeconych Stanach Zjednoczonych, gdzie fundamentaliści tacy jak Leo Barnett głoszą, że dzokerów spotkała zasłużona kara za grzechy, jesteśmy wiele lepsi? Och,

jest pewna różnica, muszę o tym pamiętać. Barnett mówi, że nienawidzi grzechów, ale kocha grzeszników, i wystarczy, że wyrazimy skruchę, będziemy mieć wiarę i pokochamy Jezusa, a z pewnością zostaniemy uzdrowieni.

Nie, obawiam się, że w ostatecznym rozrachunku Barnett, ajatollah i majańscy kapłani głoszą takie samo credo – że nasze ciała są w jakimś sensie odbiciem duszy, a jakaś boska istota celowo wypaczyła nasze kształty, by okazać swe zadowolenie (Majowie) albo niezadowolenie (Nur al-Allah, ajatollah, Ogniousty). A przede wszystkim każdy z nich twierdzi, że dzokerzy są inni.

Moje osobiste credo jest przygnębiająco proste. Uważam, że dzokerzy, asy i naci są po prostu ludźmi i powinni być traktowani stosownie do tego. W chwilach najczarniejszego przygnębienia zastanawiam się, czy jestem jedynym człowiekiem na świecie, który jeszcze w to wierzy.

* * *

Nadal czuję się przygnębiony z powodu Gwatemali i Majów. Jest jeszcze coś, o czym zapomniałem wspomnieć wcześniej. Nie mogłem nie zauważyć, że tą chwalebłą, idealistyczną rewolucją kieruje dwóch asów i jeden nat. Nawet tam, gdzie dzokerów uważa się ponoć za wybrańców bogów, asy rozkazują, a dzokerzy słuchają.

Przed kilkoma dniami – chyba wtedy, gdy zwiedzaliśmy Kanał Panamski – Kopacz Downs zapytał mnie, czy wierzę, że dzoker zostanie kiedyś prezydentem Stanów Zjednoczonych. Odpowiedziałem mu, że zadowolilibym się kongresmanem (obawiam się, że Nathan Rabinowitz, w którego okręgu leży Miasto Dżokerów, usłyszał moją uwagę i uznał ją za krytykę jego reprezentatywności). Potem Kopacz zainteresował się, czy wierzę, że prezydentem może zostać as. Muszę przyznać, że to bardziej interesujące pytanie. Downs zawsze wygląda, jakby zaraz miał zasnąć, ale jest bystrzejszy, niżby się zdawało, choć nie dorównuje niektórym z innych reporterów na pokładzie „Ułożonej Tali”, jak Herrmann z AP czy Morgenstern z „Washington Post”.

Odpowiedziałem Downsowi, że przed ostatnim Dniem Dzikiej Karty mogłoby to być możliwe... choć bardzo mało prawdopodobne. Niektórzy z asów, jak Żółw (najnowsze nowojorskie gazety potwierdzają, że nadal się nie odnalazł), Sokolica, Cyklon i garstka innych, są gwiazdami pierwszej kategorii i cieszą się powszechną sympatią. Jak wiele z tej sympatii można by przenieść na arenę publiczną i w jakim stopniu mogłaby ona przetrwać brutalną kampanię prezydencką, to już trudniejsze pytanie. Bohaterstwo łatwo się ulatnia.

Jack Braun stał obok nas i usłyszał pytanie Kopacza oraz moją odpowiedź. Nim zdążyłem dokończyć – chciałem powiedzieć, że we wrześniu sytuacja się zmieniła i jedną z ofiar Dnia Dzikiej Karty była również maleńka nadzieja na to, że as mógłby mieć szanse jako kandydat na prezydenta – Braun mi przerwał.

- Rozerwaliby go na strzępy – oznajmił.
- A co, jeśli to byłby ktoś, kogo kochają? – zapytał Kopacz.
- Kochali Czterech Asów – usłyszał w odpowiedzi.

Braun nie jest już takim wyrzutkiem jak na początku podróży. Tachion nadal nie raczy zauważać jego istnienia, a Hiram traktuje go ze zdawkową uprzejmością, ale reszta asów sprawia wrażenie, że nie wie, kim on jest, albo ich to nie obchodzi. W Panamie często widywano go w towarzystwie Fantazji. Prowadzał się z nią tu i tam, a słyszałem też plotki o związku między Złotym Chłopcem a sekretarką prasową senatora Lyonsa, młodą, atrakcyjną blondynką. Z pewnością Braun jest w konwencjonalnym sensie zdecydowanie najatrakcyjniejszym mężczyzną spośród naszych asów, choć Mordecai Jones także robi wrażenie ze względu na otaczającą go posępną aurę. Obaj przyciągnęli również uwagę Downsa, który powiedział mi, że w następnym numerze „Aces” ukaże się artykuł porównujący Złotego Chłopca z Młotem Harlemu.

29 grudnia 1986 – Buenos Aires

Nie płacz po Jacku, Argentyno...

Zguba Evity przybyła do Buenos Aires. Kiedy musical po raz pierwszy wystawiono na Broadwayu, zastanawiałem się, co myślał Jack Braun, słuchając, jak Lupone śpiewa o Czterech Asach. Teraz to pytanie stało się jeszcze bardziej bolesne. Braun reaguje na przyjęcie, z jakim tu się spotkał, bardzo spokojnie, niemal ze stoicyzmem, ale co czuje?

Peron nie żyje, Evita tym bardziej, nawet Isabel jest już tylko wspomnieniem, ale peroniści pozostają ważnym elementem argentyńskiej sceny politycznej. Oni nie zapomnieli. Wszędzie pełno jest napisów szydzących z Brauna i każących mu wracać do domu. Jest żywym symbolem *gringo* (zastanawiam się, czy używają tu tego słowa), brzydkiego, ale straszliwie potężnego Amerykanina, który przybył do Argentyny bez zaproszenia i obalił jej prawowity rząd tylko dlatego, że nie podobała mu się jego polityka. Stany Zjednoczone robiły takie rzeczy, odkąd istnieje Ameryka Łacińska, i nie wątpię, że w wielu innych miejscach spotyka się podobne resentymy. Jednakże Stany Zjednoczone, a nawet budzące lęk „tajne asy” pracujące dla CIA, to abstrakcyjne pojęcia, które nie mają twarzy i są trudno uchwytnie. Natomiast Złoty Chłopiec jest realnym człowiekiem z krwi i kości i łatwo go zauważyć. Co więcej, jest blisko.

Ktoś z obsługi hotelu wygadał, w którym pokoju go zakwaterowano, i gdy tylko Jack wyszedł pierwszego dnia na balkon, zasypała go kaskada gnoju i zgniłych owoców. Od tej pory nie wychyla nosa z hotelu, pomijając oficjalne spotkania. Nawet na nich nie jest jednak bezpieczny. Wczoraj wieczorem, gdy staliśmy w rzędzie osób witających gości w Casa

Rosada, żona działacza związkowego – piękna młoda kobieta o drobnej, smagłej twarzy i gęstych, lśniących, czarnych włosach – podeszła do niego ze słodkim uśmiechem, spojrzała mu prosto w oczy i splunęła w twarz.

To wywołało spore zamieszanie. Mam wrażenie, że senatorzy Hartmann i Lyons złożyli jakiegoś rodzaju protest. Sam Braun zareagował nadzwyczaj spokojnie, niemal z galanterią. Po spotkaniu Kopacz bezlitośnie zwracał mu głowę, bo miał za chwilę przekazać relację o incydencie do „Aces” i chciał uzyskać od niego jakiś komentarz. Braun w końcu się zgodził.

– Zrobiłem w życiu parę rzeczy, z których nie jestem dumny – powiedział – ale pozbycie się Juana Perona do nich nie należy.

– Tak, tak – zgodził się Downs – ale co pan czuł, kiedy pana opluła?

Jack wykrzywił twarz w grymasie niesmaku.

– Nie biję kobiet – odparł tylko, po czym odszedł i usiadł z dala od wszystkich.

Kiedy się oddalił, Downs zwrócił się w moją stronę.

– Nie biję kobiet – powtórzył, imitując śpiewną intonację głosu Złotego Chłopca. – Co za mięczak... – dodał.

Świat zbyt łatwo doszukuje się tchórzostwa i zdrady we wszystkim, co mówi albo robi Jack Braun. Podejrzewam, że prawda jest bardziej skomplikowana. Młodzieńczy wygląd sprawia, że czasami trudno jest sobie przypomnieć, ile naprawdę lat ma Złoty Chłopiec. Jego osobowość kształtowała się w okresie wielkiego kryzysu i drugiej wojny światowej. Dorastał, słuchając radia NBC Blue Network, nie MTV. Nic dziwnego, że niektóre z wyznawanych przez niego wartości wydają się nieco staromodne.

Judaszowy As często robi wrażenie niewiniątka, człowieka zagubionego w świecie, który stał się dla niego zbyt skomplikowany. Podejrzewam, że przyjęcie, z jakim spotkał się w Argentynie, zabolowało go bardziej, niż chce to przyznać. Braun jest ostatnim reprezentantem utraconego marzenia, które rozkwitło na krótko po drugiej wojnie światowej i umarło w Korei, na przesłuchaniach Komisji ds. Działalności Antyamerykańskiej i podczas zimnej wojny. Archibald Holmes i jego Czterech Asów wierzyli, że mogą zmienić świat. Nie mieli wątpliwości, podobnie jak ich kraj. Moc istniała po to, by z niej korzystać, a oni byli w pełni przekonani, że zawsze potrafią odróżnić dobrych od złych. Demokratyczne ideały i nieskalana czystość intencji były jedynym usprawiedliwieniem, jakiego potrzebowali. Dla garstki wczesnych asów z pewnością był to złoty wiek i nic dziwnego, że w jego centrum stał Złoty Chłopiec.

Złote wieki zawsze z czasem przechodzą w ciemne. Wie o tym każdy, kto zna historię, a teraz wszyscy możemy ujrzyć ten proces na własne oczy.

Braun i jego towarzysze potrafili robić rzeczy, jakich nie dokonał nikt przed nimi: latać, unosić w górę czołgi, pochłonać umysł człowieka wraz ze wszystkimi jego wspomnieniami. Dlatego ulegli iluzji, że rzeczywiście są w stanie naprawić świat, a gdy to złudzenie prysło,

upadli naprawdę bardzo nisko. Od tej pory żaden as nie odważył się już na tak wspaniałe marzenia.

Nawet w obliczu więzienia, rozpacz, obłędu, hańby i śmierci Czterech Asów mogło się jednak pocieszać wspomnieniem swych triumfów, a Argentyna była być może najwspanialszym z nich. To musiał być bardzo gorzki powrót dla Jacka Brauna.

Jakby tego było mało, tuż przed odlotem z Brazylii dotarła do nas poczta, a wraz z nią kilkanaście egzemplarzy najnowszego numeru „Aces” z obiecany artykułem Kopacza. Na okładce umieszczono zdjęcia Jacka Brauna i Mordecaia Jonesa z profilu, łypiących na siebie złowrogo. (Rzecz jasna, był to fotomontaż. Nie sądzę, żeby ci dwaj spotkali się kiedykolwiek przed naszą wyprawą). Napis pod spodem głosił: „Najsilniejszy człowiek na świecie”.

Sam artykuł jest obszernym omówieniem publicznych karier ich obu, ubarwionym licznymi anegdotami opisującymi ich wyczyny oraz spekulacjami na temat tego, który z nich jest najsilniejszym człowiekiem na świecie.

Obaj sprawiają wrażenie zażenowanych tym tekstem, być może Braun bardziej niż Jones. Żaden z nich nie chce na ten temat dyskutować, a z pewnością nie zanoszą na to, by mieli wkrótce rozstrzygnąć tę kwestię. Jak rozumiem, po ukazaniu się tego artykułu wśród naszych dziennikarzy doszło do licznych sporów, a nawet zakładów (Kopaczowi choć raz udało się wyrzucić wpływ na swych kolegów), ale te zakłady zapewne przez długi czas pozostaną nierozstrzygnięte. Gdy tylko przeczytałem artykuł, powiedziałem Downsowi, że uważam go za kłamliwy i obraźliwy. Sprawiał wrażenie zdziwionego.

– Nie rozumiem – odparł. – Co pan do niego ma?

Wyjaśniłem mu, że to bardzo proste. Braun i Jones z pewnością nie są jedynymi ludźmi, u których pod wpływem dzikiej karty objawiła się nadludzka siła. W gruncie rzeczy, to dość często spotykana moc. W sporządzonych przez Tachiona tabelach częstości występowania zajmuje trzecie miejsce tuż za telekinezą i telepatią. To ma chyba coś wspólnego z maksymalizacją siły skurczu mięśni. Chodziło mi o to, że wielu dzokerów również może się pochwalić nadludzką siłą. Od ręki mogłem wymienić Elma (karła, który jest wykidajką w Kryształowym Pałacu), Erniego z Baru i Smażalni Erniego, Kuriozum, Quasiczłowieka i przede wszystkim Howarda Muellera. Troll może nie dorównywać siłą Złotemu Chłopcu i Młotowi Harlemu, ale z pewnością nie ustępuje im wiele. O żadnym z tych dzokerów nie wspomniano w artykule ani słowem, choć wymieniono nazwiska kilkunastu innych supersilnych asów. Zapytałem Downsa dlaczego.

Niestety, nie mogę twierdzić, by moje słowa wywarły na nim wielkie wrażenie. Kiedy skończyłem, Downs zatoczył tylko oczyma i powiedział:

– Jesteście cholernie przewrażliwieni.

Próbował mnie pocieszyć, zapewniając, że jeśli artykuł okaże się popularny, może napisać dalszy ciąg, tym razem o najsilniejszym dzokerze na świecie, i nie potrafił zrozumieć,

dlatego to „ustępstwo” poirytowało mnie jeszcze bardziej. A potem się dziwią, że jesteśmy przewrażliwieni.

Howard uważał cały ten spór za bardzo zabawny. Czasami zastanawiam się, co o nim sądzić.

Szczerze mówiąc, moje wzburzenie było niczym w porównaniu z reakcją Billy’ego Raya, naszego szefa ochrony. Ray był jednym z tych wspomnianych mimochodem asów, ale w artykule stwierdzono, że jego siła należy do „pierwszorzędnych”. Wszyscy w samolocie słyszeli, jak zasugerował, że może Downs zechciałby wyjść z nim na zewnątrz, skoro jest taki drugorzędny. Kopacz nie skorzystał z tej propozycji. Sądząc z uśmiechu na jego twarzy, nie przypuszczam, by Carnifex mógł w najbliższym czasie liczyć na dobrą prasę w „Aces”.

Od tej pory Ray uskarżał się na ten artykuł każdemu, kto chciał go słuchać. Powtarzał, że siła to nie wszystko, że może nie jest aż tak silny jak Braun czy Jones, ale wystarczająco silny, żeby poradzić sobie z każdym z nich w walce, i jeśli chcą, może się o to założyć.

Muszę przyznać, że obserwacja tej burzy w szklance wody sprawiła mi przewrotną satysfakcję. Ironia polega na tym, że spierają się o to, który z nich ma więcej mocy o w sumie niewielkich możliwościach. Pamiętam, że we wczesnych latach siedemdziesiątych urządzono pokaz w stoczni remontowej w Bayonne w stanie New Jersey, gdzie remontowano pancernik „New Jersey”. Żółw podźwignął okręt telekinetycznie kilka stóp nad wodę i utrzymywał go tam przez prawie pół minuty. Braun i Jones unoszą nad głowę czołgi i rzucają samochodami, ale żaden z nich nie mógłby się nawet zbliżyć do wyczynu Żółwia.

Prosta prawda brzmi tak, że siłę ludzkich mięśni można zwiększać tylko w pewnych granicach, dyktowanych prawami fizyki. Doktor Tachion mówił, że możliwości ludzkiego umysłu również mogą mieć granice, ale do tej pory ich nie osiągnięto.

Jeśli Żółw rzeczywiście jest dzokerem, jak sądzi wielu, ta ironia wydałaby mi się szczególnie satysfakcjonująca.

Przypuszczam, że w głębi duszy jestem tak samo małostkowy jak każdy.

16 stycznia – Addis Abeba, Etiopia

To był trudny dzień w dotkniętym katastrofą kraju. Przedstawiciele miejscowego Czerwonego Krzyża pokazali niektórym z nas, co robią, by pomóc ofiarom głodu. Rzecz jasna, przed przybyciem tutaj wszyscy słyszeliśmy o suszy i klęsce głodu, ale oglądania czegoś takiego w telewizji nie można porównywać z zobaczeniem tego na własne oczy.

Podobne dni zawsze boleśnie przypominają mi o moich własnych winach i zaniedbaniach. Odkąd zachorowałem na raka, straciłem sporo na wadze (niektórzy niczego nie podejrzewający przyjaciele mówią mi nawet, że świetnie wyglądam), ale widok tych ludzi

spowodował, że zacząłem się wstydzić małego brzuszka, który mi jeszcze pozostał. Umierali z głodu na moich oczach, a na nas czekał samolot, który miał nas zabrać z powrotem do Addis Abeby... do naszego hotelu, na kolejne spotkanie i z pewnością wykwinny etiopski posiłek. Poczucie winy i bezradności było obezwładniające.

Mam wrażenie, że dotknęło ono nas wszystkich. Nie potrafię sobie wyobrazić, co musiał czuć Hiram Worchester. Trzeba przyznać, że wyglądał niezdrowo, a w pewnej chwili zaczął drżeć tak gwałtownie, że musiał na jakiś czas usiąść w cieniu. Pot spływał zeń strumieniami. Potem jednak wstał, z pobielałą twarzą i zaciśniętymi wargami, i wykorzystał swą moc panowania nad grawitacją, żeby pomóc w rozładowaniu dostarczonych przez nas zapasów.

Tak wielu ludzi dało tak wiele i pracowało tak ciężko nad akcją pomocy humanitarnej, ale tutaj wydaje się, że nic to nie zmieniło. W obozach jedyną rzeczywistością są chude jak szkielety ciała o straszliwie rozdętych brzuchach, martwe spojrzenia dzieci i nieustanny żar spływający z nieba na spieczoną, spękaną ziemię.

Niektóre ze wspomnień zostaną ze mną przez długi czas – a przynajmniej taki długi, jaki jeszcze mi pozostał. Ojciec Kałamarnica udzielił ostatniego namaszczenia umierającej kobiecie, która miała na szyi koptyjski krzyż. Sokolica i jej kamerzysta nakręcili znaczną część tej sceny dla jej filmu dokumentalnego, ale po chwili Sokolica miała dość i wróciła do samolotu, by zaczekać tam na nas. Słyszałem, że zwymiotowała całe śniadanie.

Potem spotkaliśmy młodą matkę, najwyżej siedemnasto-, osiemnastoletnią. Była tak chuda, że można było policzyć każde żebro, a jej oczy wydawały się niewiarygodnie stare. Przyciskała dziecko do pustej, wyschniętej piersi. Nie żyło już od tak dawna, że zaczynało śmierdzieć, ale nie pozwalała nikomu go zabrać. Doktor Tachion zapanował nad jej umysłem i przytrzymał ją, a potem wyjął delikatnie dziecko z jej uścisku i oddał jednemu z pracowników obozu. Następnie usiadł na ziemi i rozplakał się tak mocno, że aż drżał.

Mistral również zakończyła dzień we łzach. Po drodze do obozu uchodźców przebrała się w swój niebiesko-biały kostium do latania. Jest młodą dziewczyną i potężnym asem, nic więc dziwnego, że wydawało jej się, iż może pomóc. Gdy przywołała do siebie wiatry, wielka peleryna, którą nosi spiętą w nadgarstkach i kostkach, wydeła się i uniosła ją pod niebo. Wprawdzie niezwykle widok chodzących między nimi dzokerów nie wzbudzał w uchodźcach większego zainteresowania, ale kiedy Mistral zerwała się do lotu, większość – nie wszyscy, ale większość – uniosła spojrzenia i śledziła ją wzrokiem, gdy dziewczyna wzbiła się wysoko pod gorący, błękitny firmament. Wkrótce jednak głodujący zapadli z powrotem w zubożniały letarg. Myślę, że Mistral miała nadzieję, iż jej moc panowania nad wiatrem zdoła w jakiś sposób przygnąć tu chmury i wywołać deszcz, który uzdrowi krainę. Cóż za pocziwe, pyszałkowe marzenie...

Mistral latała prawie dwie godziny, czasami zapuszczając się tak wysoko i daleko, że traciliśmy ją z oczu. Jednakże bez względu na wszystkie jej moce wiatr, który wywołała,

przyniósł tylko obłoki pyłu. Gdy wreszcie dała za wygraną, była wykończona, jej słodka, młoda twarz była brudna od piasku i pyłu, a oczy miała czerwone i podpuchnięte.

Na krótko przed naszym odjazdem doszło do okropnego wydarzenia, które podkreśliło jeszcze rozpaczliwą sytuację uchodźców. Wysoki młodzieniec z bliznami od trądziku na policzkach wpadł w amok, zaatakował jedną z kobiet, wydłubał jej oko i zjadł je na oczach niczego niepojmujących ludzi. O ironio, spotkaliśmy tego chłopaka wkrótce po przybyciu. Chodził cały rok do chrześcijańskiej szkoły i znał parę słów po angielsku. Robił wrażenie silniejszego i zdrowszego niż większość pozostałych uchodźców. Gdy Mistral zerwała się do lotu, wstał nagle i zawołał coś do niej.

– Odrzutowiec! – powiedział silnym, wyraźnym głosem.

Ojciec Kałamarnica i senator Hartmann próbowali z nim rozmawiać, ale znał po angielsku tylko kilka słów, takich jak „czekolada”, „telewizja” i „Jezus Chrystus”. Był jednak bardziej żywy niż większość mieszkańców obozu – otworzył szeroko oczy na widok Ojca Kałamarnicy, wyciągnął rękę i dotknął ze zdumieniem witek u jego twarzy, a potem naprawdę się uśmiechnął, gdy senator poklepał go po ramieniu i oznajmił, że jesteśmy tu po to, żeby im pomóc, aczkolwiek nie sądzę, by zrozumiał choć słowo. Wszyscy byliśmy wstrząśnięci, gdy zobaczyliśmy, jak go wyprowadzają. Wciąż jeszcze krzyczał, a zapadnięte, brązowe policzki miał usmarowane krwią.

To był naprawdę potworny dzień. Gdy wieczorem wróciliśmy do Addis Abeby, nasz kierowca zawiózł nas do portu. Skrzynie z pomocą humanitarną stoją tam w stosach sięgających gdzieś wysokość dwóch pięter. Hartmannem zawładnął zimny gniew. Jeśli ktokolwiek potrafi zmusić ten zbrodniczy rząd do podjęcia jakichś działań celem nakarmienia głodujących mieszkańców, to tylko on. Modłę się za niego, a przynajmniej modliłbym się, gdybym wierzył w Boga... ale jaki Bóg pozwoliłby na okropności, które widzieliśmy podczas naszej podróży...?

* * *

Afryka jest być może najpiękniejszym lądem na całej Ziemi. Powinienem opisać cuda, jakie oglądaliśmy w ostatnim miesiącu. Wodospad Wiktorii, śniegi Kilimandżaro, tysiąc zebr pędzących przez wysoką trawę, jakby wiatr miał paski. Zwiedzałem ruiny dumnych starożytnych królestw, których nazw dziś nie znamy, trzymałem w dłoni artefakty wykonane przez Pigmejów, widziałem, jak twarz Buszmena rozjaśniła się ciekawością zamiast grozy, gdy zobaczył mnie po raz pierwszy. Pewnego razu, gdy byliśmy w parku narodowym, obudziłem się wcześniej, a kiedy wyjrzałem przez okno o świcie, dostrzegłem dwa ogromne słonie, które podeszły pod sam budynek. Radha stała między nimi, naga w blasku poranka, a one dotykały jej trąbami. Odwróciłem się, nie chcąc naruszać jej prywatności.

Tak jest, widzieliśmy piękno – piękno przyrody i bardzo wielu ludzi, których twarze pełne były ciepła i współczucia.

Mimo to Afryka bardzo mnie przygnębiła i zasmuciła. Cieszę się, że już ją opuszczam. Obóz jest tylko jedną z przyczyn. Przed Etiopią były Kenia i Afryka Południowa. To nie jest Święto Dziękczynienia, ale sceny, których świadkami byliśmy, sprawiły, że mam znacznie większą ochotę wznosić dzięki, niż kiedykolwiek zdarzyło mi się to w Ameryce, podczas pełnego samozadowolenia listopadowego święta, którego osi są futbol i obżarstwo. Nawet dzokerzy mają za co dziękować. Zdawałem sobie z tego sprawę już przedtem, ale Afryka uświadomiła mi to z całą wyrazistością.

Afryka Południowa była nieprzyjemnym punktem startowym tego etapu podróży. Rzecz jasna, u nas w domu istnieją te same nienawiści i uprzedzenia, ale bez względu na nasze winy jesteśmy przynajmniej na tyle cywilizowani, że utrzymujemy fasadę tolerancji, braterstwa i równości wobec prawa. Kiedyś mógłbym nazwać to zwykłą sofistyką, ale wówczas nie poznałem jeszcze rzeczywistości Kapsztadu i Pretorii, gdzie cała ta szpetota występuje otwarcie, uświęcona przez prawo egzekwowane żelazną ręką, której aksamitna rękawiczka dawno już się wytarła i podziurawiła.

Niektórzy twierdzą, że Afryka Południowa przynajmniej nienawidzi otwarcie, podczas gdy Ameryka kryje się za fasadą hipokryzji. Być może, być może... ale w takim przypadku stanowczo wolę hipokryzję.

Przypuszczam, że Afryka nauczyła nas przede wszystkim tego, że są na świecie miejsca gorsze niż Miasto Dżokerów. Druga lekcja przekonała nas, że są gorsze rzeczy niż represje. Tego nauczyła nas Kenia.

Podobnie jak większość państw centralnej i wschodniej Afryki, Kenia uniknęła najgorszych skutków dzikiej karty. Trochę zarodników mogło tu dotrzeć z wiatrem, więcej przez porty, z zakażonym towarem w ładowniach, których nie wysterylizowano, jak należy, czy nawet nie sterylizowano ich w ogóle. W niektórych częściach świata na transporty przysyłane przez CARE spogląda się bardzo podejrzliwie i nie bez powodu. Wielu kapitanów nauczyło się biegle ukrywać fakt, że portem, do którego zawijali poprzednio, był Nowy Jork.

W głębi lądu przypadki dzikiej karty prawie się nie zdarzają. Niektórzy twierdzą, że zmarły Idi Amin był czymś w rodzaju obłąkanego dżokeroasa obdarzonego siłą Trolla czy Młota Harlemu oraz umiejętnością przeobrażania się w jakiegoś rodzaju zwierzołaka – lamparta, lwa albo jastrzębia. Sam Amin utrzymywał, że potrafi wykrywać wrogów telepatycznie, a jego nieliczni wrogowie, którzy przeżyli, zapewniają, iż był kanibalem i uważał, że potrzebuje ludzkiego mięsa, by nie opuściły go moce. Wszystko to jednak tylko plotki i propaganda. Bez względu na to, czy Amin był dżokerem, asem, czy też po prostu obłąkanym natem, z pewnością już nie żyje, a w tej części świata udokumentowane przypadki zarażenia wirusem dzikiej karty są nadzwyczaj rzadkie.

Jednakże Kenia i otaczające ją kraje padły ofiarą innej koszarnej zarazy. Dzika karta jest tu tylko chimera, a AIDS jest epidemią. Podczas gdy senator Hartmann z większością delegatów był gościem prezydenta, garstka pozostałych wybrała się z wyczerpującą wizytą do kilku klinik na kenijskiej prowincji, latając helikopterem od wioski do wioski. Przydzielono nam tylko jedną, wysłużoną maszynę, a i to po naleganiach Tachiona. Rząd wolałby, żebyśmy spędzili czas wizyty, wykładając na uniwersytecie, rozmawiając z wykładowcami i przywódcami politycznymi czy odwiedzając parki narodowe i muzea.

Większość delegatów z radością spełniła to życzenie. Dzika karta ma już czterdzieści lat i zdążyliśmy się do niej przyzwyczaić, AIDS jest zaś nowym przekleństwem, które dopiero zaczynamy rozumieć. W domu uważa się, że ta choroba dotyczy wyłącznie homoseksualistów, i muszę przyznać, że sam ulegałem temu przeświadczeniu, ale tutaj, w Afryce, łatwo się przekonać, że to fałsz. Tylko na tym kontynencie liczba ofiar AIDS jest już większa niż liczba osób zakażonych takisiańskim ksenowirusem od chwili, gdy przed czterdziestu laty po raz pierwszy uwolniono go nad Manhattanem.

AIDS wydaje się też okrutniejszym demonem. Dzika karta zabija dziewięćdziesiąt procent tych, którzy ją wyciągną, a ich śmierć jest często bolesna i straszliwa, ale odległość między dziewięćdziesięcioma a stoma procentami nie jest pozbawiona znaczenia, jeśli jest się jednym z dziesięciu procent ocalonych. To odstęp między życiem a śmiercią, między nadzieją a rozpaczą. Niektórzy mówią, że lepiej jest umrzeć, niż żyć jako dzoker, ale ja z pewnością się do nich nie zaliczam. Być może moje życie nie zawsze było szczęśliwe, ale zachowałem wiele miłych wspomnień i mam powody do dumy ze swych osiągnięć: cieszę się, że żyłem, i nie chcę umierać. Pogodziłem się z myślą o śmierci, ale to nie znaczy, że jestem zadowolony z jej nadejścia. Zostało mi jeszcze zbyt wiele niedokończonych spraw. Podobnie jak Robert Tomlin jeszcze nie widziałem *Historii Jolsona*. Nikt z nas nie widział tego filmu.

W Kenii oglądaliśmy całe umierające wioski. Żywych, uśmiechniętych, mówiących ludzi, zdolnych jeść, wydalać, kochać się, a nawet płodzić dzieci, pod każdym istotnym względem żywych, a mimo to martwych. Ci, którzy wyciągną Damę Pik, mogą umierać pośród cierpień wywołanych niewyobrażalnymi transformacjami, ale istnieją środki przeciwbólowe, a do tego przynajmniej umierają szybko. AIDS jest mniej łaskawe.

Dzokerzy i ofiary AIDS mają ze sobą wiele wspólnego. Nim opuściłem Miasto Dżokerów, planowaliśmy pod koniec maja urządzać w Gabinetce Luster koncerty charytatywne na rzecz LPZD. To miało być wielkie wydarzenie, chcieliśmy ściągnąć tylu sławnych artystów, ilu tylko się da. Po pobycie w Kenii wysłałem do Nowego Jorku telegram z zaleceniem podzielenia zysków z jakąś odpowiednią grupą pomagającą ofiarom AIDS. Pariasi muszą trzymać się razem. Być może uda mi się wznieść kilka niezbędnych mostów, zanim sam ujrzę na blacie przed sobą Damę Pik.

30 stycznia – Jerozolima

Jerozolimę nazywają miastem otwartym. To międzynarodowa metropolia, zarządzana wspólnie przez komisarzy z Izraela, Jordanii, Palestyny i Wielkiej Brytanii, obdarzonych mandatem Narodów Zjednoczonych, święte miasto trzech wielkich religii świata.

Niestety, trafne określenie to nie tyle „miasto otwarte”, ile „otwarta rana”. Jerozolima od czterech dekad nie przestaje krwawić. Jeśli to ma być święte miasto, to bardzo bym nie chciał zobaczyć przekłętego.

Senatorzy Hartmann i Lyons oraz inni polityczni delegaci zjedli dziś obiad w towarzystwie komisarzy miejskich, ale reszta grupy spędziła popołudnie na zwiedzaniu tego wolnego międzynarodowego miasta w zamkniętych limuzynach z kuloodpornymi szybami i specjalnymi pancernymi spodami, mającymi się oprzeć wybuchom bomb. Najwyraźniej w Jerozolimie lubią witać sławnych gości zamachami bombowymi. Nie ma znaczenia, kim są ci goście, skąd pochodzą, jaką religię wyznają ani jakie są ich poglądy polityczne. W mieście działa tyle frakcji, że każdego z pewnością ktoś nienawidzi.

Jeszcze przedwczoraj byliśmy w Bejrucie. Bejrut i Jerozolima mają się do siebie jak dzień do nocy. Liban to piękny kraj, a Bejrut jest uroczym, spokojnym, niemal pogodnym miastem. Wygląda na to, że różne części kraju nauczyły się żyć ze sobą we względnej harmonii, choć rzecz jasna zdarzają się incydenty. Nigdzie na Bliskim Wschodzie (ani na całym świecie, skoro już o tym mowa) nie jest całkowicie bezpiecznie.

Ale w Jerozolimie przemoc jest endemiczna już od trzydziestu lat, a każdy rok jest gorszy od poprzedniego. Całe kwartały ulic wyglądają jak Londyn po wielkich nalotach, a ludność, która jeszcze tu została, przyzwyczała się do odległego dźwięku karabinów maszynowych tak bardzo, że niemal nikt już nie zwraca na niego uwagi.

Zatrzymaliśmy się na krótko pod szczątkami Ściany Płaczu (w większej części zniszczonej w roku 1967 przez palestyńskich terrorystów w odwecie za zamordowanie al-Haziza przez izraelskich terrorystów rok wcześniej) i nawet odważyliśmy się wysiąść z pojazdów. Hiram rozglądał się wokół ze złością i zaciskał pięści, jakby szukał kogoś, kto odważyłby się z nim zacząć. Ostatnio jest w dziwnym stanie: łatwo się irytuje i wpada w gniew, ulega ponurym nastrojom. Niemniej wszyscy jesteśmy pod wpływem tego, co widzieliśmy w Afryce. Ocalały fragment ściany nadal wywiera imponujące wrażenie. Dotknąłem go, próbując poczuć jego historię, ale wymacałem tylko dziury po kulach.

Większość grupy wróciła potem do hotelu, ale Ojciec Kałamarnica i ja nadłożyliśmy drogi, żeby zajrzeć do dzielnicy dżokerów. Słyszałem, że to drugie skupisko naszego rodzaju na świecie, po samym Mieście Dżokerów... znacznie mniej liczne od niego, ale zawsze drugie. Nie dziwi mnie to. Islam nie traktuje nas z wyrozumiałością, więc dżokerzy z całego Bliskiego Wschodu zjeżdżają tutaj, w poszukiwaniu wątpliwej osłony, jaką zapewnia im

sprawująca władzę nad miastem ONZ oraz nieliczny, zdemoralizowany i kiepsko uzbrojony międzynarodowy kontyngent sił pokojowych.

Dzielnica jest niewyobrażalnie nędzna. Ludzkie cierpienie wisi nad nią niczym niemal wyczuwalny całun. O ironio, ulice są tu jednak ponoć najbezpieczniejsze w całym mieście. Dzielnicę otacza odrębny mur, zbudowany za pamięci żyjących. Pierwotnie jego celem było ukrycie żywych okropieństw, jakimi jesteśmy, przed wzrokiem porządnych obywateli, ale te mury zapewniają też pewien stopień bezpieczeństwa tym, którzy mieszkają pod ich osłoną. Nie widziałem w dzielnicy ani jednego nata, tylko džokerów – džokerów wszystkich ras i wyznań żyjących razem we względnym pokoju. Kiedyś mogli być muzułmanami, Żydami albo chrześcijanami, zelotami, syjonistami bądź zwolennikami Nura, ale po wyciągnięciu karty są tylko džokerami. Dzika karta to potężny wyrównywacz, który niszczy wszelkie inne nienawiści i uprzedzenia, jednoczy całą ludzkość w nowym braterstwie bólu. Dżoker to tylko dżoker i nie ma znaczenia, kim jeszcze mógłby być.

Gdybyż tylko z asami było tak samo.

Sekta Jezusa Chrystusa Dżokera ma w Jerozolimie swój kościół i Ojciec Kałamarnica zaprowadził mnie do niego. Budynek przypomina raczej meczet niż chrześcijańską świątynię, przynajmniej z zewnątrz, ale w środku nie różni się aż tak bardzo od kościoła, który znam z Miasta Dżokerów, poza tym, że jest dużo starszy i w gorszym stanie. Ojciec Kałamarnica zapalił świecę i odmówił modlitwę, a potem poszliśmy do ciasnego, zrujnowanego probostwa, gdzie mój towarzysz porozmawiał chwilę z pastorem w łamanej łacinie i wypiliśmy razem butelkę kwaśnego, czerwonego wina. Podczas rozmowy usłyszałem dobiegający gdzieś z oddali odgłos strzałów z broni maszynowej. Typowy wieczór w Jerozolimie.

* * *

Nikt nie przeczytał tej książki przed moją śmiercią a wtedy żadne dochodzenia już mi nie zagrozą. Długo się zastanawiałem, czy powinienem opisać to, co się stało dziś w nocy, ale w końcu postanowiłem to zrobić. Świat musi pamiętać o lekcjach płynących z wydarzeń roku 1976. Trzeba mu też od czasu do czasu przypominać, że LPZD nie przemawia w imieniu wszystkich džokerów.

Gdy wychodziliśmy z Ojcem Kałamarnicą z kościoła, jakaś stara džokerka wcisnęła mi w rękę kartkę. Pewnie ktoś mnie rozpoznał.

Kiedy przeczytałem notatkę, wymówiłem się od pójścia na oficjalne przyjęcie. Jak zwykle tłumaczyłem się chorobą ale tym razem nie była to prawda. Zjadłem kolację we własnym pokoju z poszukiwanym przestępcą, człowiekiem, którego mogę opisać jedynie jako osławionego międzynarodowego džokerskiego terrorystę, choć w Dzielnicy Dżokerów uważa się go za bohatera. Nie podam jego prawdziwego nazwiska nawet na kartach tego dziennika,

gdyż, jak rozumiem, nadal odwiedza niekiedy mieszkającą w Tel Awiwie rodzinę. Podczas swych „misji” zakłada czarną maskę psa i prasie, Interpolowi oraz rozmaitym frakcjom utrzymującym porządek w Jerozolimie jest znany jako Czarny Pies albo Piekielny Ogar. Dzisiejszej nocy założył jednak zupełnie inną maskę-kaptur w kształcie motyla pokryty srebrnym brokatem – więc nie miał trudności z poruszaniem się po mieście.

– Trzeba pamiętać o jednym – wyjaśnił mi. – Naci są z zasady głupi. Jeśli ktoś założy dwa razy tę samą maskę i pozwoli się w niej sfotografować, zaczynają uważać, że to jego twarz.

Ogar, jak będę go nazywał, urodził się w Brooklynie, ale w wieku dziewięciu lat wyemigrował z rodziną do Izraela i przyjął izraelskie obywatelstwo. Gdy stał się dzokerem, miał dwadzieścia lat.

– Przemierzyłem pół świata po to, żeby wyciągnąć dziką kartę – powiedział mi. – Równie dobrze mogłem zostać w Brooklynie.

Spędziliśmy kilka godzin na rozmowie o Jerozolimie, Bliskim Wschodzie oraz zagadnieniach politycznych związanych z dziką kartą. Ogar jest przywódcą czegoś, co uczciwość każe mi nazwać dzokerską organizacją terrorystyczną. Nazwa tej organizacji brzmi Wypaczone Pięści, a jej działalność została zdelegalizowana zarówno w Izraelu, jak i w Palestynie, co jest niemałym osiągnięciem. Nie kwapił się, by mi powiedzieć, ilu mają członków, ale bez owijania w bawełnę wyznał, że niemal całe wsparcie finansowe, jakie otrzymują, pochodzi z nowojorskiego Miasta Dżokerów.

– Może nas pan nie lubić, panie burmistrzu – oznajmił – ale pańscy ludzie są innego zdania.

Dał mi nawet mimochodem do zrozumienia, że jeden z dzokerskich delegatów uczestniczących w naszej wyprawie należy do ich sponsorów, choć oczywiście nie chciał podać jego nazwiska.

Ogar jest przekonany, że na Bliskim Wschodzie wkrótce wybuchnie wojna.

– Już na nią najwyższy czas – mówił. – Ani Izrael, ani Palestyna nigdy nie miały nadających się do obrony granic. Żadne z tych państw nie jest samodzielne ekonomicznie. Oba są przekonane, że to drugie jest winne wszelkiego rodzaju terrorystycznym atakom, i oba mają rację. Izrael pragnie zdobyć Negew i Zachodni Brzeg, a Palestyna pożąda portu nad Morzem Śródziemnym. W obu państwach pełno jest uchodźców po podziale z czterdziestego ósmego, którzy marzą o odzyskaniu domów. Wszyscy chcą Jerozolimy, poza jedną ONZ, która ją ma. Cholera, potrzebna im porządna wojna. Izraelczycy chyba w czterdziestym ósmym wygrywali, dopóki Nasr nie skopał im tyłków. Wiem, że Bernadotte dostał Pokojową Nagrodę Nobla za traktat jerozolimski, ale mówiąc między nami, lepiej byłoby, gdyby walczyli do gorzkiego końca... bez względu na wynik.

Zapytałem go, co ze wszystkimi ludźmi, którzy by zginęli, ale on tylko wzruszył ramionami.

– To by zginęli. Ale kiedy wszystko by się skończyło, naprawdę skończyło, może choć niektóre rany zaczęłyby się goić. A tak dostaliśmy dwa wkurzone na siebie półpaństwa, które dzielą ze sobą jedną małą pustynię i nie chcą nawet uznać nawzajem swego istnienia. Dostaliśmy cztery dziesięciolecia nienawiści, terroryzmu i strachu, a wkrótce dostaniemy też wojnę. Nie potrafię zrozumieć, jak Bernadotte’owi udało się doprowadzić do zawarcia pokoju jerozolimskiego, chociaż nie dziwię się, że go w nagrodę zabito. Jedynymi ludźmi, którzy nienawidzą tego traktatu bardziej od Izraelczyków, są Palestyńczycy.

Wskazałem, że pokój jerozolimski może być niepopularny, ale przetrwał prawie czterdzieści lat.

– To było czterdzieści lat wzajemnego pata, nie prawdziwego pokoju – odparł lekceważąco. – Tylko strach powstrzymuje obie strony przed zerwaniem pokoju. Izraelczycy zawsze mieli lepszą armię, ale Arabowie mieli asów z Port Saidu. Myśli pan, że Izraelczycy o tym zapomnieli? Gdy tylko Arabowie zbudują pomnik Nasr, gdziekolwiek od Bagdadu po Marrakesz, Izraelczycy zaraz go wysadzają. Niech mi pan wierzy, oni pamiętają. Ale teraz całą tę równowagę zaczyna szlag trafiać. Wiem z pewnego źródła, że Izraelczycy przeprowadzają eksperymenty z dziką kartą na ochotnikach z sił zbrojnych i udało im się stworzyć kilku własnych asów. To dopiero jest fanatyzm. Zgłosić się na ochotnika do wyciągnięcia dzikiej karty. A po arabskiej stronie jest Nur al-Allah, który zwie Izrael „bękarim państwem dzokerów” i poprzysiągł zniszczyć go całkowicie. W porównaniu z nim wszystkie asy z Port Saidu były niewiniątkami, nawet stary Khôf. Mówię panu, niedługo się zacznie.

– I co wtedy? – zapytałem.

Miał ze sobą broń, jakiś mały pistolet maszynowy o długiej rosyjskiej nazwie. Wyjął go i położył na stole między nami.

– Kiedy się zacznie – odpowiedział – mogą się zabijać nawzajem do woli, ale lepiej niech zostawią dzielnicę w spokoju, bo inaczej będą mieli do czynienia z nami. Udzieliliśmy już Nurowi kilku nauczek. Jak tylko zabiją dzokera, likwidujemy pięciu jego ludzi. Można by pomyśleć, że w końcu do niego dotrze, ale Nurowi nauka przychodzi z trudem.

Powiedziałem mu, że senator Hartmann ma nadzieję spotkać się z Nurem al-Allahem celem rozpoczęcia rozmów, które miałyby doprowadzić do pokojowego rozwiązania miejscowych problemów. Roześmiał się tylko. Rozmawialiśmy potem jeszcze długo o dzokerach, asach i natch, o przemocy i powstrzymaniu się od niej, o wojnie i pokoju, o braterstwie i zemście, nadstawianiu drugiego policzka i dbaniu o swoich. Nie doszliśmy jednak do porozumienia.

– Dlaczego pan tu przyszedł? – zapytałem wreszcie.

– Uważałem, że powinniśmy się spotkać. Przydałaby się nam pańska pomoc. Pańska znajomość Miasta Dżokerów, kontakty wśród natów, pieniądze, które mógłby pan zebrać.

– Nie pomogę wam – odparłem. – Widziałem już, dokąd prowadzi ta droga. Przed dziesięć laty wkroczył na nią Tom Miller.

– Gimli? – Ogar wzruszył ramionami. – Po pierwsze, on był szalony jak marcowy zając. Ja jestem zdrowy na umyśle. Gimli chciałby, żeby wszyscy padli sobie w ramiona i pocałowali się na znak zgody. Ja walczę tylko po to, by bronić swoich. Bronić pana, Des. Niech pan się modli o to, żeby pańskie Miasto Dżokerów nigdy nie potrzebowało Wypaczonych Pięści, ale gdyby miało jednak nas potrzebować, będziemy gotowi. Czytałem w „Time” artykuł o Leo Barnecie. Niewykluczone, że nie tylko Nurowi nauka przychodzi z trudem. Gdyby tak miało się stać, może Czarny Pies wróci do domu i znajdzie to drzewo w Brooklynie, tak? Nie byłem na meczu Dodgersów, odkąd skończyłem osiem lat.

Serce podeszło mi do gardła, gdy patrzyłem na leżącą na stole broń, ale mimo to wyciągnąłem rękę i dotknąłem słuchawki.

– Mógłbym zadzwonić po naszą ochronę i uniemożliwić panu zabijanie niewinnych ludzi.

– Ale nie zrobi pan tego – odparł ze spokojem Ogar. – Mamy ze sobą zbyt wiele wspólnego.

Odpowiedziałem mu, że nie mamy ze sobą nic wspólnego.

– Obaj jesteśmy dżokerami – skwitował. – Cóż więcej mogłoby się liczyć?

Schował broń, poprawił maskę i spokojnie wyszedł.

Niech mi Bóg wybaczy, ale siedziałem tam jeszcze kilka ciągnących się bez końca minut, nim wreszcie usłyszałem, że drzwi windy się otworzyły, i zdjąłem rękę ze słuchawki.

7 lutego – Kabul, Afganistan

Ból dokucza mi dzisiaj bardzo. Większość delegatów wybrała się na jednodniową wycieczkę, żeby zwiedzać różne zabytki, ale ja znowu zostałem w pokoju.

Nasza podróż... cóż mogę powiedzieć? To, co wydarzyło się w Syrii, znalazło się na pierwszych stronach gazet na całym świecie. Liczba towarzyszących nam dziennikarzy zwiększyła się dwukrotnie i wszyscy oni chcą usłyszeć relację naocznych świadków. Choć raz nie martwię się, że mnie pominięto. Sokolica opowiadała mi, jak to wyglądało.

Wydarzenia w Syrii dotknęły nas wszystkich, w tym również mnie. Rak nie jest jedyną przyczyną mojego bólu. Są chwile, gdy czuję się dogłębnie wyczerpany, gdy – spoglądając wstecz na swe życie – zadaję sobie pytanie, czy dokonałem czegoś dobrego, czy też wszystkie moje wysiłki poszły na marne. Starłem się przemawiać w imieniu naszego ludu, apelować do rozumu, przyzwoitości i człowieczeństwa, które łączy nas wszystkich. Zawsze byłem przekonany, że spokojna siła, upór i powstrzymanie się od użycia przemocy pomogą nam więcej osiągnąć. Po pobycie w Syrii zacząłem się jednak zastanawiać... jak mamy przemówić

do rozumu komuś takiemu, jak Nur al-Allah, jak można z nim zawrzeć kompromis, prowadzić rozmowy? Jak możemy apelować do jego człowieczeństwa, jeśli on w ogóle nie uważa nas za ludzi? Jeśli Bóg istnieje, modłę się, by mi wybaczył, ale szczerze żałuję, że nie zabito Nura.

Hiram nas opuścił, choć tylko na pewien czas. Obiecał, że wróci do nas w Indiach, ale na razie przebywa w Nowym Jorku. Poleciał z Damaszku do Rzymu, a tam złapał concorde'a do Ameryki. Powiedział nam, że w Gnieździe Asów doszło do kryzysu, który wymaga jego obecności, ale podejrzewam, że prawda wygląda tak, iż wydarzenia w Syrii wstrząsnęły nim bardziej, niż chciałby to przyznać. Po samolocie krążą plotki, że Hiram stracił na pustyni panowanie nad sobą i uderzył w generała Sayyida znacznie większym ciężarem, niż było to konieczne, żeby go powstrzymać. Billy Ray rzecz jasna uważa, że Hiram zareagował zbyt słabo.

– Na jego miejscu naciskałbym tak długo, aż zostałyby tylko brązowo-czerwona plama na podłodze – oznajmił.

Worcester nie chce rozmawiać o tym incydencie i uparcie twierdzi, iż opuszcza nas tylko dlatego, że „ma po dziurki w nosie faszerowanych liści winogron”. Zauważyłem jednak, że gdy wypowiadał ten żart, na szerokie, łyse czoło wystąpiły mu kropelki potu, a jego dłoń zaczęła lekko drżeć. Mam nadzieję, że krótki odpoczynek pozwoli mu dojść do siebie. Im lepiej poznaję Hiramę Worcestera, tym bardziej go szanuję.

Jeśli każdy medal faktycznie ma dwie strony, to być może ze strasznego incydentu w Syrii wyniknie jednak coś dobrego. Gregg Hartmann cudem uniknął śmierci i, jak się zdaje, znacznie zwiększyło to jego popularność. Już od dziesięciu lat nad jego polityczną karierą wisiał cień Wielkich Zamieszek w Mieście Dżokerów z roku 1976, kiedy to publicznie „stracił głowę”. Dla mnie była to normalna ludzka reakcja; w końcu przed chwilą na jego oczach tłum rozszarpał kobietę na strzępy. Jednakże kandydatom na prezydenta nie wolno płakać, rozpaczać ani wpadać w gniew, jak zwyczajnym ludziom. Muskie dowiódł tego w siedemdziesiątym drugim, a Hartmann potwierdził to w siedemdziesiątym szóstym.

Syryjski incydent może spowodować, że ludzie wreszcie zapomną o tym tragicznym wydarzeniu. Wszyscy świadkowie zgadzają się, że Hartmann zachował się wzorcowo: był stanowczy, spokojny i odważny, nie zachwiał się w obliczu barbarzyńskich gróźb Nura. Każda gazeta w Ameryce zamieściła zdjęcie agencji AP, wykonane w chwili, gdy się wycofywali: w tle Hiram pomaga Tachionowi wsiąść do helikoptera, a z przodu stoi senator Hartmann. Twarz ma brudną od pyłu, ale jest spokojny i nieustępliwy, mimo że z rękawa jego białej koszuli skapuje krew.

Gregg nadal zapewnia, że nie zamierza startować w wyborach w roku 1988. W rzeczy samej wszystkie sondaże wskazują, że Gary Hart ma przygniatającą przewagę nad innymi kandydatami do nominacji Partii Demokratycznej, ale Syria i to zdjęcie z pewnością zrobią cuda dla popularności i statusu Hartmanna. Nie mam nic przeciwko Gary'emu Hartowi, ale

Gregg Hartmann jest kimś szczególnym. Dla tych z nas, których dotknęła dzika karta, może być ostatnią i najlepszą nadzieją.

Jeśli Hartmann przegra, wszystkie moje nadzieje poniosą klęskę razem z nim. Któż nam wtedy pozostanie, jeśli nie Czarny Pies?

* * *

Przypuszczam, że powinienem napisać coś o Afganistanie, ale właściwie nie ma o czym opowiadać. Nie mam sił na oglądanie atrakcji Kabulu. Wszędzie jest pełno Sowietów, ale zachowując się bardzo uprzejmie i poprawnie. Na czas naszego krótkiego pobytu wojnę odsunięto na dalszy plan. Zaprezentowano nam dwóch afgańskich dzokerów, którzy przysięgają (za pośrednictwem sowieckich tłumaczy), że życie dzokera jest tu prawdziwą idyllą. Z jakiegoś powodu nie jestem jednak przekonany. Jeśli dobrze zrozumiałem, ci dwaj byli jedynymi dzokerami w całym Afganistanie.

„Ułożona Talia” przyleciała do Kabulu prosto z Bagdadu. Wizyta w Iranie nie wchodziła w grę. Ajatollah podziela znaczną część poglądów Nura na temat dzikich kart, a w przeciwieństwie do niego sprawuje w swym kraju nie tylko faktyczną, lecz również nominalną władzę, więc nawet ONZ nie mogła dla nas zdobyć pozwolenia na lądowanie. Ajatollah jednak przynajmniej nie widzi różnicy między asami a dzokerami. Wszyscy jesteśmy dla niego demonicznymi dziećmi Wielkiego Szatana. Najwyraźniej nie zapomniał niefortunnej próby uwolnienia zakładników przeprowadzonej przez Jimmy’ego Cartera. Sześciu asów pracujących dla rządu wyruszyło wówczas na tajną misję, która zakończyła się straszliwą kląpą. Krążą plotki twierdzące, że jednym z tych asów był Carnifex, ale Billy Ray stanowczo temu zaprzecza.

– Gdybym tam był, uwolnilibyśmy naszych ludzi i na dodatek skopali staruchowi tyłek – zapewnia.

Jego koleżanka z Departamentu Sprawiedliwości, Czarna Dama, otula się tylko szczelniej swym czarnym płaszczem i uśmiecha tajemniczo. Z ową nieszczęsną misją często wiąże się również ojca Mistral, Cyklona, ale Mistral też nie chce o tym mówić.

Jutro rano przelecimy nad przełęczą Khyber i dotrzemy do Indii. To zupełnie inny świat, cały ogromny subkontynent o najliczniejszej populacji dzokerów poza Stanami Zjednoczonymi.

12 lutego – Kalkuta

Indie są najbardziej niezwykłym i baśniowym krajem, jaki odwiedziliśmy podczas naszej podróży... o ile w ogóle można je zwać krajem. Wydaje się raczej, że to sto krajów zjednoczonych w jeden organizm. Trudno mi jest połączyć Himalaje i pałace Mogołów ze slumsami Kalkuty i dżunglami Bengalu. Sami Indusi żyją w kilkunastu różnych światach: od postarzałych Brytyjczyków, którzy próbują udawać, że ich niewielkimi enklawami wciąż jeszcze włada wicekról, poprzez maharadzów i nababów, którzy są królami we wszystkim oprócz nazwy, aż po żebraków żyjących na ulicach wielkiego, brudnego miasta, w którym obecnie przebywamy.

Indie są zbyt ogromne.

W Kalkucie wszędzie na ulicy można spotkać dzokerów. Są oni równie pospolici jak żebracy, nagie dzieci i trupy. Zbyt często też należą do jednej z tamtych grup. Wygląda na to, że w tym pseudonarodzie złożonym z hindusów, muzułmanów i Sikhów zdecydowaną większość stanowią ci pierwsi. Raczej nie jest to niespodzianką, biorąc pod uwagę stosunek islamu do dzokerów. Ortodoksyjni hindusi stworzyli dla nich nową kastę, stojącą jeszcze znacznie niżej od niedotykalnych, ale przynajmniej pozwalają im żyć.

Co ciekawe, nie znaleźliśmy w Indiach miast dzokerów. W tutejszej kulturze występują ostre podziały na tle rasowym i etnicznym, a między różnymi grupami istnieje głęboko zakorzeniona wrogość, o czym wyraźnie świadczą choćby zamieszki na tle dzikiej karty, do jakich doszło w Kalkucie w roku 1947, oraz masowa rzeź towarzysząca podziałowi subkontynentu w tym samym roku. Mimo to można dziś spotkać hindusów, muzułmanów i Sikhów żyjących obok siebie przy tej samej ulicy, a także dzokerów, natów oraz garstkę żalonych dwojek dzielących te same odrażające slumsy. Niestety, nie kochają się nawzajem bardziej z tego powodu.

Indie mogą się również pochwalić sporą liczbą rodzimych asów, a kilku z nich dysponuje znacznymi mocami. Kopacz świetnie się bawi, jeżdżąc po całym kraju i przeprowadzając wywiady z tymi z nich, którzy się na to zgodzą.

Z drugiej strony, Radha O'Reilly wyraźnie czuje się tu bardzo nieszczęśliwa. Wygląda na to, że pochodzi z indyjskiej arystokracji, przynajmniej po stronie matki... choć jej ojciec był irlandzkim poszukiwaczem przygód. Jej pobratymcy praktykują gałąź hinduizmu opartą na kulcie Ganesza, boga-słonia, oraz czarnej matki Kali, i talenty dzikiej karty czynią z niej w ich oczach żonę przeznaczoną Ganeszowi czy coś w tym rodzaju. Radha jest głęboko przekonana, że może zostać porwana i zmuszona do powrotu w rodzinne strony. Dlatego, pomijając oficjalne przyjęcia w New Delhi i w Bombaju, cały czas przebywa zamknięta w pokojach hotelowych w towarzystwie Carnifeksa, Czarnej Damy i reszty naszych ochroniarzy. Nie wątpię, że bardzo się ucieszy, gdy wreszcie opuścimy Indie.

Doktor Tachion, Sokolica, Mistral, Fantazja, Troll i Młot Harlemu wrócili właśnie z polowania na tygrysy w Bengal. Ich gospodarzem był jeden z indyjskich asów, maharadza pobłogosławiony formą dotknięcia Midasa. Jak rozumiem, tworzone przez niego złoto jest

niestabilne i po dwudziestu czterech godzinach wraca do pierwotnej postaci, ale sam proces transmutacji wystarcza, by zabić każdą żywą istotę, której dotknie. Mimo to jego pałac jest ponoć bardzo spektakularnym miejscem. Maharadża rozwiązał tradycyjny mityczny dylemat w ten sposób, że kazał służącym, żeby go karmili.

Tachion wrócił z wyprawy w świetnym nastroju, najlepszym od czasu incydentu w Syrii. Ma na sobie złotą kurtkę Nehru oraz turban w tym samym kolorze, spięty zapinką z rubinem wielkości mojego kciuka. Maharadża najwyraźniej hojnie obdarował gości. Nawet perspektywa, że kurtka i turban za kilka godzin znowu zmienią się w zwyczajną tkaninę, nie studzi entuzjazmu naszego kosmity. Wspaniałe widowisko, jakim było polowanie, splendor pałacu i harem maharadży, wszystko to z pewnością przypomniało Tachowi o przyjemnościach i prerogatywach, jakie były jego udziałem, gdy był księciem Ilkazamu w swym ojczystym świecie. Przyznał, że nawet na Takis nie widział nic, co mogłoby się równać z zakończeniem polowania. Gdy osaczono ludojada, maharadża podszedł do niego spokojnie, zdjął jedną złotą rękawiczkę i przeobraził wielkie zwierzę w posąg ze szczerego złota.

Podczas gdy nasze asy przyjmowały dary pod postacią zaczarowanego złota i łowów na tygrysy, ja oddawałem się skromniejszym zajęciom w nieoczekiwanym towarzystwie Jacka Brauna. Jego również zaproszono na polowanie, ale odmówił. Wybrał się razem ze mną na drugi koniec Kalkuty, żeby obejrzeć pomnik Earla Sandersona, wzniesiony w miejscu, gdzie ocalił on Mahatmę Gandhiego przed zamachem.

Pomnik przypomina hinduską świątynię, a stojący w środku posąg wygląda raczej na jakieś pomniejsze miejscowe bóstwo niż na amerykańskiego Murzyna, który grał w futbol w Rutgersach. Ale z drugiej strony... Sanderson faktycznie stał się dla miejscowych czymś w rodzaju boga. U stóp jego posągu walają się rozmaite dary pozostawione przez wyznawców. Wewnątrz panował straszliwy tłok i musieliśmy czekać dość długo, zanim nas wpuszczono. Mahatmę nadal otacza się w Indiach powszechnym szacunkiem i wygląda na to, że część jego popularności przeszła na amerykańskiego asa, który stanął między nim a kulą zamachowca.

Kiedy byliśmy w środku, Braun mówił bardzo niewiele. Patrzył tylko na posąg, jakby chciał go w jakiś sposób obudzić do życia. Wizyta w świątyni była wzruszająca, ale zdarzały się również mniej przyjemne momenty. Moja widoczna deformacja przyciągała nieprzyjazne spojrzenia hindusów z wyższych kast, a gdy ktoś otarł się zbyt mocno o Brauna – co w takim tłoku musiało zdarzać się często – otaczające go biologiczne pole siłowe rozjarzało się upiorną złotą poświatą. Obawiam się, że uległem niepokoju, wyrwałem Brauna z zamyślenia i powiedziałem, że musimy jak najszybciej stąd wyjść. Być może zareagowałem przesadnie, ale gdyby choć jedna osoba w tym tłumie uświadomiła sobie, kim jest Jack Braun, sytuacja mogłaby się zrobić naprawdę nieprzyjemna. Przez całą drogę powrotną do hotelu Braun był bardzo cichy i zamyślony.

Gandhi jest moim osobistym bohaterem i choć mam mieszane uczucia wobec asów, muszę przyznać, że jestem wdzięczny Earlowi Sandersonowi za interwencję, która ocaliła

życie Mahatmy. Gdyby wielki prorok niestosowania przemocy zginął od kuli zamachowca, byłoby to groteskową tragedią. Podejrzewam, że Indie rozdarłyby się wówczas na strzępy w bratobójczej krwawej łaźni, jakiej świat dotąd nie widział.

Gdyby Gandhi zginął i nie mógł doprowadzić do reunifikacji subkontynentu po śmierci Jinnaha w roku 1948, to czy dziwne dwugłowe państwo zwane Pakistanem miałyby szansę przetrwania? Czy Kongres Wszechindyjski obaliłby wszystkich lokalnych władców i wchłonąłby ich posiadłości, jak planował zrobić? Mozaikowa postać tego zdecentralizowanego, nieskończonego różnorodnego kraju jest unaocznieniem marzeń Mahatmy. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak wyglądałaby historia Indii, gdyby jego zabrakło. Przynajmniej tutaj Czterech Asów rzeczywiście zostawiło po sobie trwałe ślady i być może również dowiodło, że jeden zdeterminowany człowiek może zmienić bieg historii na lepsze.

Powiedziałem to wszystko Jackowi Braunowi, gdy wracaliśmy do hotelu, gdyż wydawał się bardzo przygnębiony. Obawiam się, że nie pomogło to wiele. Wysłuchał mnie cierpliwie, a gdy skończyłem, mruknął:

– To Earl go uratował, nie ja.

Potem znowu umilkł.

* * *

Hiram Worchester wrócił dzisiaj do nas, tak jak obiecał. Przyleciał concorde'era z Londynu. Wygląda na to, że krótki pobyt w Nowym Jorku bardzo mu pomógł. Hiram odzyskał dawny entuzjazm i bezzwłocznie przekonał Tachiona, Mordecaia Jonesa i Fantazję, żeby wybrali się z nim na poszukiwania najbardziej pikantnego vindaloo w Kalkucie. Próbował namówić do przyłączenia się do tej ekspedycji również Sokolicę, ale ona na samą myśl o tym zrobiła się zielona.

Jutro rano Ojciec Kałamarnica, Troll i ja wybierzemy się nad Ganges. Według legendy dzoker może się wykapać w jego świętych wodach i uwolnić się od swych deformacji. Przewodnicy zapewniają, że istnieją setki udokumentowanych przypadków, ale szczerze w to powątpiewam, mimo że Ojciec Kałamarnica powtarza, iż w Lourdes również doszło do cudownych uzdrowień dzokerów. Być może jednak ulegnę namowom i skoczę do świętych wód. Człowieka, który umiera na raka, raczej nie stać na luksus sceptycyzmu.

Poczwarkę także zaproszono, ale odmówiła. Wygląda na to, że ostatnio najlepiej czuje się w hotelowych barach, gdzie popija amaretto i bez końca stawia pasjanse. Zaprzyjaźniła się z dwójgiem naszych reporterów, Sarą Morgenstern i Kopaczem Downsem. Słyszałem nawet plotki, że sypia z Kopaczem.

Wróciłem znad Gangesu. Muszę coś wyznać. Zdjąłem but i skarpetkę, podwinąłem nogawkę i zanurzyłem stopę w świętych wodach. Niestety, nadal byłem dzokerem... tyle że z moką nogą.

Swoją drogą, święte wody są okropnie brudne, a do tego, kiedy czekałem na cud, ktoś ukradł mi but.

14 marca – Hongkong

Z przyjemnością stwierdzam, że ostatnio poczułem się lepiej. Być może zawdzięczam to krótkiemu pobytowi w Australii i Nowej Zelandii. Po wizycie w Singapurze i Dżakarcie czułem się w Sydney niemal jak w domu, a potem dziwnie zachwyciło mnie Auckland oraz względny dostatek i czystość panujące w tamtejszym maleńkim mieście dzokerów. Pomijając nieprzyjemną tendencję do nazywania siebie „brzydalami”, co jest określeniem jeszcze bardziej obraźliwym niż „dzoker”, moi bracia wśród Kiwich zdają się wieść całkiem przyzwoite życie. Udało mi się nawet kupić w hotelu numer „Jokertown Cry” z zeszłego tygodnia. Wieści z domu pokrzepiły mnie na duszy, nawet jeśli zbyt wiele nagłówków dotyczyło wojny gangów, która trwa na naszych ulicach.

W Hongkongu również jest miasto dzokerów, skomercjalizowane do cna jak cała reszta kolonii koronnej. Jak rozumiem, tu właśnie kontynentalne Chiny zsyłają większość swych dzokerów. Delegacja czołowych dzokerskich kupców zaprosiła nawet Poczwarkę i mnie na lunch, który ma odbyć się jutro. Omówimy podczas niego „możliwości nawiązania stosunków handlowych między dzokerami z Hongkongu i Nowego Jorku”. Czekam na to z niecierpliwością.

Szczerze mówiąc, dobrze będzie uwolnić się na kilka godzin od towarzystwa reszty delegatów. Na pokładzie „Ułożonej Talii” daje się obecnie wyczuć powszechną irytację, głównie dzięki Thomasowi Downsowi i jego nadmiernie rozwiniętym instynktom dziennikarskim.

W Christchurch, tuż przed odlotem do Hongkongu, dogoniła nas poczta. W paczce znajdowały się też sygnałne egzemplarze najnowszego numeru „Aces”. Kopacz jak zwykle chodził po starcie między fotelami, rozdając gratisy. Powinien był najpierw przeczytać, co w nich napisano. Obawiam się, że on i jego obrzydliwe czasopismo upadli niżej niż kiedykolwiek dotąd.

Tematem z okładki jest ciąża Sokolicy. Rozbawiła mnie myśl, że redakcja pisma najwyraźniej uważa to dziecko za główne wydarzenie naszej podróży, jako że poświęcono mu dwukrotnie więcej miejsca niż któremukolwiek z poprzednich artykułów Kopacza, nawet temu, który opisywał straszliwy incydent w Syrii. Być może jednak miało to po prostu być usprawiedliwieniem dla zamieszczenia czterostronicowej rozkładówki z dawnymi i współczesnymi zdjęciami Sokolicy w mniej lub bardziej skąpych strojach.

Szepty o jej ciąży zaczęły krążyć już w Indiach, a oficjalnie potwierdziła te pogłoski, gdy byliśmy w Tajlandii, nie można więc mieć pretensji do Kopacza, że napisał o tym artykuł. W końcu „Aces” żyją właśnie z takich wiadomości. Downs najwyraźniej jednak nie zgodził się z opinią Sokolicy, która uważa swój „delikatny stan” za prywatną sprawę. Okazało się to niefortunne dla jego zdrowia i naszego wzajemnego koleżeństwa. Tym razem Kopacz kopął zbyt głęboko.

Tytuł na okładce brzmi: *Kto jest ojcem dziecka Sokolicy?* W środku umieszczono dwustronicową rozkładówkę z obrazem przedstawiającym Sokolicę tulącą w ramionach niemowlę. Dziecko jest jednak tylko czarną sylwetką ze znakiem zapytania zamiast twarzy. Podtytuł głosi: *Tachion utrzymuje, że tata jest asem.* Poniżej umieszczono znacznie większy pomarańczowy nagłówek ze słowami: *Przyjaciele namawiają ją do aborcji monsturalnego dżokerskiego płodu.* Krążą plotki, że Kopacz napił Tachiona brandy, gdy obaj wybrali się, by poznać atrakcyjniejszą stronę singapurskiego nocnego życia, i zdołał go skłonić do kilku spektakularnych niedyskrecji. Nie udało mu się poznać nazwiska ojca, ale gdy Tachion już się upił, bez oporów wyjawiał powody, dla których uważa, że najlepszym rozwiązaniem byłaby aborcja. Pierwszym z tych powodów była dziewięć procentowa szansa, że dziecko okaże się dżokerem.

Przyznaję, że po przeczytaniu artykułu ogarnął mnie zimny gniew. Jeszcze bardziej niż dotąd cieszę się, że Tachion nie jest już moim osobistym lekarzem. W takich chwilach zadaję sobie pytanie, jak może udawać mojego przyjaciela czy przyjaciela jakiegokolwiek dżokera. Jak powiadają, *in vino veritas*; słowa Tachiona nie pozostawiają wątpliwości, że jest przekonany, iż aborcja jest jedyną opcją dla każdej kobiety, która znajdzie się w sytuacji Sokolicy. Takisianie gardzą deformacjami i tradycyjnie „eliminują” (cóż za uprzejme słowo) własne zdeformowane dzieci (jest ich bardzo niewiele, jako że nie zostali jeszcze pobłogosławieni wirusem, którym tak szczerze raczyli się z nami podzielić) wkrótce po urodzeniu. Możecie mnie uważać za nadwrażliwego, ale ze słów Tachiona płynie wyraźna implikacja, że śmierć jest lepszym losem od życia dżokera.

Kiedy odłożyłem pismo, byłem tak wściekły, że wiedziałem, iż nie stać mnie na rozsądną rozmowę z Tachionem, wstałem więc i poszedłem do przedziału dla prasy, żeby powiedzieć Downsowi coś do słuchu. Chciałem przynajmniej wspomnieć, że reguły gramatyki pozwalają na pominięcie przymiotnika „monsturalny” przed frazą „dżokerski płód”, nawet jeśli redaktorzy „Aces” uważają jego użycie za obowiązkowe.

Kopacz zobaczył mnie jednak i wyszedł mi na spotkanie. Udało mi się już obudzić w nim wrażliwość przynajmniej do tego stopnia, że wiedział, iż z pewnością będę niezadowolony, gdyż natychmiast zaczął się usprawiedliwiać.

– Hej, ja tylko napisałem artykuł – mówił. – Nagłówki dołączyli w Nowym Jorku, ilustracje też, nie mam na to wpływu. Posłuchaj, Des, następnym razem powiem im...

Nie zdążył wypowiedzieć obietnicy, którą zamierzał mi złożyć, bo w tej samej chwili Josh McCoy zaszedł go od tyłu i puknął w ramię zwiniętym w rulon egzemplarzem „Aces”. Gdy Downs się odwrócił, McCoy mu przyłożył. Pierwszy cios rozbił Kopaczowi nos z nieprzyjemnym dźwiękiem, od którego zrobiło mi się słabo. Potem McCoy rozkwaśił mu jeszcze wargę i naruszył kilka zębów. Złapałem go obiema rękami i owinąłem trąbę wokół jego szyi, ale gniew dodał mu sił, toteż odtrącił mnie z łatwością. Obawiam się, że nigdy nie byłem zbyt silny, a w obecnym stanie jestem żałośnie słaby. Na szczęście Billy Ray zainterweniował na czas i powstrzymał McCoya, nim ten zdążył spowodować poważne obrażenia.

Kopacz spędził resztę lotu z tyłu boeinga, nafaszerowany środkami przeciwbólowymi. Udało mu się podpaść również Billy’emu Rayowi, gdyż poplamił krwią jego biały kostium Carnifeksa. Billy ma obsesję na punkcie wyglądu i ciągle teraz powtarza: „Te kurewskie plamy nigdy się nie spiorą”. McCoy poszedł na przód, pomóc Hiramowi, Mistral i panu Jayewardene pocieszać Sokolicę, która była bardzo podenerwowana artykułem. W tej samej chwili, gdy z tyłu samolotu McCoy zaatakował Kopacza, z przodu ona dobrała się do doktora Tachiona. Howard opowiadał mi, że choć ich konfrontacja nie miała charakteru fizycznego, była równie dramatyczna. Tachion przeproszał Sokolicę raz po raz, ale żadne przeprosiny nie mogły pohamować jej furii. Howard mówił, że całe szczęście, iż zostawiła szpony bezpiecznie zapakowane w bagażu.

Tachion spędził resztę lotu w barze pierwszej klasy, mając za towarzystwo jedynie butelkę remy martin. Wyglądał żałośnie jak szczenię, które przed chwilą nasikało na perski dywan. Gdybym miał okrutniejszą naturę, mógłbym tam pójść i wyłuszczyć mu swe żale, lecz po prostu nie miałem serca. To bardzo dziwne, ale doktor Tachion ma w sobie coś, co sprawia, że trudno jest gniewać się na niego dłużej, nawet jeśli wykaże się skandalicznym brakiem wrażliwości.

Mniejsza z tym. Z niecierpliwością oczekuję następnego etapu podróży. Z Hongkongu mamy się udać na kontynent, do Kantonu, Szanghaju, Pekinu i innych, równie egzotycznych miejsc. Cieszę się na myśl, że wejdę na Wielki Mur i zobaczę Zakazane Miasto. Daleki Wschód zawsze wydawał mi się szczególnie atrakcyjny. Podczas drugiej wojny światowej wybrałem służbę w marynarce, w nadziei, że zwiedzę świat, ale przydzielono mi pracę za biurkiem w Bayonne, w stanie New Jersey. Zamierzaliśmy z Mary to potem nadrobić, gdy dziecko trochę podrośnie, a my osiągniemy większą stabilizację finansową.

No cóż, my mieliśmy swoje plany, a Takisianie swoje.

Z upływem lat Chiny stały się dla mnie symbolem wszystkiego, czego nie udało mi się osiągnąć, dalekich stron, których nie zdołałem odwiedzić. Były moją osobistą *Historią Jolsona*. A teraz wreszcie widzę je na horyzoncie. To wystarczy, bym uwierzył, że koniec jest blisko.

21 Marca – w drodze do Seulu

W Tokio ujrzałem twarz z przeszłości i jej wspomnienie nie przestaje mnie prześladować. Przedwczoraj postanowiłem, że zignoruję tego człowieka i kwestie wiążące się z jego obecnością, że nie wspomnę o nim w dzienniku.

Poczyliłem plany mające po mojej śmierci doprowadzić do opublikowania tego tekstu. Nie liczę na to, że stanie się bestsellerem, ale sądzę, że liczna grupa sław podróżujących na pokładzie „Ułożonej Tali” oraz wiele sensacyjnych wydarzeń, których przyczyną się staliśmy, powinny wywołać choć niewielkie zainteresowanie szerokiej amerykańskiej publiczności, więc mój dziennik ma szanse znaleźć odbiorców. Jeśli otrzymam za niego jakieś skromne honorarium, zasili ono fundusze LPZD, której zapisałem cały swój majątek.

Choć jednak będę już bezpiecznie pochowany, zanim ktokolwiek przeczyta te słowa, i w związku z tym żadne osobiste wyznania nie mogą mi zaszkodzić, mam opory przed pisaniem o Fortunacie. Jeśli chcecie, możecie to nazwać tchórzostwem. To typowa przywara dzokerów, jeśli wierzyć kawałom, tym okrutnym, których nie pozwalają opowiadać w telewizji. Z łatwością mógłbym uzasadnić decyzję, że pomnę Fortunata milczeniem. Nasze kontakty zawsze miały czysto prywatny charakter, nic ich nie łączyło z polityką, sprawami światowymi ani innymi kwestiami poruszonymi w tym dzienniku, a już z pewnością nie miały nic wspólnego z naszą podróżą.

Z drugiej strony, bez zahamowań przytaczałem na tych stronicach plotki, które krążyły po samolocie, pisałem o rozmaitych słabostkach i niedyskrecjach doktora Tachiona, Sokolicy, Jacka Brauna, Kopacza Downsa i całej reszty. Czy naprawdę mógłbym udawać, że ich słabości interesują opinię publiczną, a moje nie? Może bym i mógł... ludzie zawsze byli zafascynowani asami, a brzydzili się dzokerów... nie zrobię tego jednak. Chcę, żeby ten dziennik był autentyczny i szczery. Pragnę też, by czytelnicy choć w niewielkim stopniu uświadomili sobie, co to znaczyło przeżyć czterdzieści lat jako dzoker. A w tym celu muszę opowiedzieć o Fortunacie, choć napawa mnie to głębokim wstydem.

Fortunato mieszka obecnie w Japonii. Pomógł Hiramowi w jakiś tajemniczy sposób, gdy ten zniecka opuścił nas w Tokio. Nie będę udawał, że znam szczegóły sprawy, gdyż starannie ją wyciszono. Kiedy Hiram wrócił do nas w Kalkucie, mogło się niemal wydawać, że znowu jest sobą, ale potem jego stan pogorszył się szybko. Worcester z każdym dniem wygląda gorzej. Stał się porywczy, niesympatyczny i skryty. Nie chodzi mi jednak o Hiram, o którego problemach nic nie wiem. Rzecz w tym, że Fortunato włączył się w jakiś sposób w tę sprawę i przyszedł do naszego hotelu. Rozmawiałem z nim przez chwilę na korytarzu. Na tym był koniec... w tej chwili. W minionych latach Fortunato i ja spotykaliśmy się częściej.

* * *

Wybaczcie. To trudne. Jestem starym człowiekiem, a do tego dzokerem. Wiek i zniekształcenia uczyniły mnie nadwrażliwym. Godność jest wszystkim, co mi pozostało, a za chwilę mam się jej wyrzec.

Pisałem o wstępie do samego siebie.

Nadeszła pora na kilka trudnych prawd. Pierwsza z nich brzmi tak, że wielu natów brzydzi się dzokerów. Niektórzy z nich to fanatycy, zawsze gotowi nienawidzić każdego, kto jest inny od nich. Pod tym względem dzokerzy nie różnią się od pozostałych uciskanych mniejszości. Wszystkich nas nienawidzą ze szczerą jadowitością ci, którzy są skłonni do nienawiści.

Wśród normalnych są też jednak ludzie skłonni do tolerancji i starający się dostrzec ukrytego pod powierzchownym wyglądem człowieka. Ludzie dobrej woli, którzy nie nienawidzą, chcą dobrze i są wspaniałomyślni. Tacy ludzie jak... powiedzmy... doktor Tachion i Hiram Worchester, żeby podać dwa przykłady będące pod ręką. Obaj ci dżentelmeni dowiedli z upływem lat, że bardzo współczują dzokerom – Hiram za pomocą swej anonimowej działalności dobroczynnej, a Tachion pracą w klinice. Lecz jestem przekonany, że obaj czują na widok prostych fizycznych zniekształceń większości dzokerów obrzydzenie równie silne, jak Nur al-Allah czy Leo Barnett. Widać to w ich oczach, nawet jeśli udają nonszalanckich światowców. Niektórzy z ich najlepszych przyjaciół są dzokerami, ale nie chcieliby, żeby ich siostra wyszła za dzokera.

To pierwsza z niewypowiedzianych prawd o życiu dzokerów.

Jakże łatwo byłoby wściekać się na ten fakt, potępiać ludzi takich jak Tach i Hiram za hipokryzję i „formizm” (ohydne słowo ukute przez jakiegoś szczególnie kretyńskiego dzokerskiego aktywistę i podchwyczone przez organizację Toma Millera Dżokerzy na rzecz Sprawiedliwego Społeczeństwa w dniach jej największego rozkwitu). To byłoby łatwe, ale błędne. To porządni ludzie, są jednak tylko ludźmi i nie można ich potępiać za to, że ulegają normalnym ludzkim uczuciom.

Ponieważ, rozumiecie, druga niewypowiedziana prawda o życiu dzokerów brzmi tak, że bez względu na to, jak bardzo naci brzydzą się nas, sami brzydzimy się sobie jeszcze bardziej.

Pogarda do samego siebie jest w Mieście Dżokerów szczególnie powszechną psychologiczną plagą, chorobą, która nierzadko prowadzi do śmierci. Najczęstszą przyczyną zgonu wśród dzokerów przed pięćdziesiątym rokiem życia zawsze było samobójstwo, pomimo faktu, że niemal każda znana człowiekowi choroba ma u nas poważniejszy przebieg, gdyż nasza biochemia, a nawet sam kształt ciał są bardzo różnorodne, reakcja zaś organizmów nieprzewidywalna, co powoduje, że żadna terapia nie może być do końca bezpieczna.

W Mieście Dżokerów długo trzeba by szukać miejsca, gdzie można by kupić lustro, za to sklepy z maskami widzi się przy każdej ulicy.

Jeśli to nie jest dla was wystarczającym dowodem, rozważcie kwestię imion. Nazywają je ksywkami, ale są one czymś więcej. Światłem padającym na prawdziwą głębokość naszego wstępu do siebie samych.

Jeśli ten dziennik ma zostać opublikowany, będę nalegał, by ukazał się pod tytułem *Dziennik Xaviera Desmonda*, nie *Dziennik dzokera* czy coś w tym rodzaju. Jestem człowiekiem, konkretną osobą, nie przykładem ogólnego typu. Nazwy są ważne, to coś więcej niż tylko słowa, nadają kształt i barwę rzeczom, które określają. Feministki uświadomiły to sobie już dawno, a dzokerzy nadal nie potrafią tego pojąć.

W ciągu minionych lat zawsze pamiętałem, by nie reagować na żadne miano poza moim własnym imieniem i nazwiskiem, znam jednak dzokerskiego dentystę, który używa imienia Rybia Gęba, sławnego ragtimowego pianistę, który reaguje na przydomek Skrzynka dla Kota, oraz znakomitego dzokerskiego matematyka, który podpisuje swe prace „Gnida”. Nawet podczas tej podróży towarzyszy mi troje ludzi, którzy nazywają się Poczwarzka, Troll i Ojciec Kałamarnica.

Rzecz jasna, nie jesteśmy pierwszą mniejszością, która zaznała tej szczególnej postaci ucisku. Z pewnością czarni znają ją świetnie. Całe pokolenia wychowywały się w przeświadczeniu, że „najładniejsze” są te czarne dziewczyny, które mają najjaśniejszą cerę, a ich rysy najbardziej się zbliżają do ideału typowego dla rasy białej. W końcu jednak niektórzy z nich przejrzeni to kłamstwo i ogłosili, że czarne jest piękne.

Od czasu do czasu jacyś pełni dobrych chęci, ale głupi dzokerzy próbują zrobić to samo. Salon Odmieńców, jedna z najbardziej niemoralnych instytucji w Mieście Dżokerów, urządza co roku na walentynki wybory „Miss Wypaczonych”. Bez względu na to, czy organizatorzy tej imprezy są szczerzy, czy cyniczni, z pewnością jest to chybiony pomysł. Zawdzięczamy to naszym przyjacielom Takisianom, którzy wzbogacili splątany nam figiel dodatkową sprytną sztuczką.

Problem polega na tym, że każdy dzoker jest jedyny w swoim rodzaju.

Nawet przed transformacją nigdy nie byłem przystojny, a po niej trudno nie nazwać mnie ohydny. Mój „nos” jest trąbą długości około dwóch stóp, zakończoną palcami. Przekonałem się, że większość ludzi po kilku dniach znajomości przyzwyczaja się do mojego wyglądu. Lubię sobie powtarzać, że po jakimś tygodniu prawie nikt ze znajomych nie zauważa, że różnię się od innych. Być może tkwi w tym ziarenko prawdy.

Gdyby wirus był tak łaskawy, żeby dać wszystkim dzokerom trąbę zamiast nosów, nasza sytuacja zapewne byłaby znacznie łatwiejsza, a kampania głosząca, że trąby są piękne, mogłaby naprawdę nam pomóc.

O ile mi jednak wiadomo, jestem jedynym dzokerem z trąbą. Nawet gdybym ze wszystkich sił starał się ignorować estetykę kultury natów, w której żyję, i przekonać samego siebie, że jestem diabelnie przystojnym skurczybykiem, a to cała reszta wygląda dziwnie, w niczym mi to nie pomoże, gdy znowu zobaczę żalosne stworzenie zwane Smarkiem, śpiące w

zsypane za Gabinetem Luster. Okropna rzeczywistość wygląda tak, że na widok skrajnych przypadków dzokerskich deformacji robi mi się tak samo niedobrze, jak zapewne robi się doktorowi Tachionowi, tyle że mnie dręczą z tego powodu jeszcze większe wyrzuty sumienia.

I tak, okrężną drogą, dotarłem z powrotem do Fortunata. Fortunato jest... a przynajmniej był... stręczycielem. Oferował na sprzedaż usługi luksusowych prostytutek. Wszystkie jego dziewczyny reprezentowały najwyższy poziom; były piękne, zmysłowe i opanowały wszelkie arkana sztuki miłosnej. Były też sympatyczne i poza łóżkiem ich towarzystwo dostarczało równie wiele radości jak w nim. Fortunato nazywał je gejszami.

Przez z górą dwa dziesięciolecia byłem jednym z jego najlepszych klientów.

Jestem przekonany, że osiągał w Mieście Dżokerów wielkie zyski. Wiem, że Poczwaraka często sprzedaje informacje w zamian za seks. Robi to na górze w swym Kryształowym Pałacu, gdy tylko spodoba się jej mężczyzna, który potrzebuje jej usług. Znam też garstkę naprawdę bogatych dżokerów. Żaden z nich nie jest żonaty, ale prawie wszyscy mają naturalne kochanki. Gazety z Miasta Dżokerów, które widzieliśmy, podają, że Pięć Rodzin toczy na ulicach wojnę z Pięściami Cienia. Znam jej powody. Doszło do niej dlatego, że w Mieście Dżokerów prostytucja to wielki biznes, podobnie jak narkotyki i hazard.

Pierwszą rzeczą, którą traci dżoker, zawsze jest seksualność. Niektórzy wyzbywają się jej całkowicie, stają się impotentami albo osobami aseksualnymi. Nawet jednak ci, których genitalia i popęd seksualny nie zmieniły się pod wpływem dzikiej karty, tracą płciową tożsamość. Gdy stan ofiary się stabilizuje, nie jest już mężczyzną albo kobietą, tylko dżokerem.

Normalny popęd seksualny, nienormalny wstręt do samego siebie i tęsknota za tym, co utracone... męskością, kobiecością, urodą, czymkolwiek. Wszystkie te demony są pospolite w Mieście Dżokerów i znam je dobrze. Rak i późniejsza chemioterapia zabiły we mnie zainteresowanie seksem, ale pamięć o mojej hańbie pozostaje. Wstydzę się wspomnienia o Fortunacie. Nie dlatego, że korzystałem z usług prostytutek czy złamałem głupie prawa natów – gardzę tymi prawami. Wstydzę się dlatego, że przez wszystkie te lata nie zdobyłem się na to, żeby pożądać dzokerskiej kobiety. Znałem kilka, które były godne miłości – dobre, czułe, uczuciowe kobiety, które potrzebowały bliskości, czułości i, tak jest, seksu, równie mocno jak ja. Niektóre z nich zostały moimi bliskimi przyjaciółkami, ale nigdy nie potrafiłem reagować na nie seksualnie. Były w moich oczach nieatrakcyjne, a i ja z pewnością nie byłem pociągający dla nich.

Tak to wygląda w Mieście Dżokerów.

Właśnie kazali zapinać pasy i nie czuję się w tej chwili za dobrze, więc chyba na razie skończę.

10 kwietnia – Sztokholm

Jestem bardzo zmęczony. Obawiam się, że mój lekarz miał rację. Ta podróż może się okazać tragiczną pomyłką – przynajmniej jeśli chodzi o stan mojego zdrowia. Mam wrażenie, że przez pierwszych kilka miesięcy trzymałem się całkiem nieźle. Wszystko wydawało mi się wtedy nowe, świeże i ekscytujące. Jednakże w ostatnim miesiącu dało się odczuć nagromadzone zmęczenie, a codzienna rutyna stała się niemal nie do zniesienia. Loty, kolacje, niekończące się powitania, wizyty w szpitalach, gettach dzokerów i instytutach badawczych – wszystko to przerodziło się dla mnie w jedną zamazaną plamę złożoną z dygnitarzy, lotnisk, tłumaczy, autobusów i hotelowych jadalni.

Coraz trudniej jest mi utrzymać jedzenie w żołądku i wiem też, że straciłem na wadze. Rak, wysiłek związany z podróżą, mój wiek... kto wie? Podejrzewam, że w grę wchodzi wszystkie te przyczyny.

Na szczęście podróż już się prawie kończy. Dwudziestego dziewiątego kwietnia mamy wylądować na lotnisku Tomlin International. Zostało nam do odwiedzenia jeszcze tylko kilka krajów. Przyznaję, że czekam z niecierpliwością na chwilę powrotu i chyba nie jestem w tym odosobniony. Wszyscy czujemy się zmęczeni.

Niemniej jednak, choć wysiłek był straszny, nie wyrzekłbym się tej podróży za nic na świecie. Widziałem piramidy i Wielki Mur, chodziłem po ulicach Rio, Marrakeszu i Moskwy, a wkrótce dodam do tej listy również Rzym, Paryż i Londyn. Ujrzałem na własne oczy sceny wywodzące się z marzeń i z koszmarów. Sądzę też, że wiele się nauczyłem. Mogę się teraz tylko modlić o to, bym pożył wystarczająco długo, żeby wykorzystać choć część owej wiedzy.

Szwecja jest mile widzianą odmianą po Związku Sowieckim i innych krajach Układu Warszawskiego, które odwiedziliśmy. Nie mam właściwie wyrobionej opinii na temat socjalizmu, ale bardzo mnie znużyły modelowe „schroniska medyczne” dla dzokerów, które nam pokazywano, i mieszkający w nich modelowi dzokerzy. Raz po raz powtarzano nam, że socjalistyczna medycyna i socjalistyczna nauka z pewnością zatriumfują nad dziką kartą i że już udało się poczynić wielkie kroki naprzód, ale nawet jeśli uwierzy się w te zapewnienia, ceną dla garstki dzokerów, do których istnienia przyznają się Sowieci, jest trwająca całe życie „terapia”.

Billy Ray zapewnia, że w rzeczywistości żyją ich tam tysiące, ale Rosjanie zamknęli większość z dala od oczu populacji, w wielkich, szarych „przechowalniach dzokerów”, które nominalnie są szpitalami, a w praktyce niczym się nie różnią od więzień. Jest tam ponoć mnóstwo strażników, a za to bardzo niewielu lekarzy i równie mało pielęgniarek. Ray mówi też, że istnieje kilkunastu sowieckich asów i wszyscy potajemnie pracują dla rządu, armii, policji albo partii. Jeśli to wszystko prawda – Sowieci, rzecz jasna, zaprzeczają podobnym oskarżeniom – nie udało nam się nawet zbliżyć do żadnego z nich. Inturist i KGB śledziły z

uwagą wszystkie nasze kroki, pomimo oficjalnych zapewnień, że usankcjonowanej przez ONZ wizycie przyzna się „wszelkie możliwe ułatwienia”.

Oznajmić, że doktor Tachion nie zdołał nawiązać przyjaznych kontaktów ze swymi sowieckimi kolegami, byłoby poważnym niedopowiedzeniem. Jego pogarda dla sowieckiej medycyny ustępuje intensywnością jedynie pogardzie Hiram dla sowieckiej kuchni. Obaj jednak najwyraźniej polubili sowiecką wódkę, gdyż spożyli jej znaczne ilości.

W Pałacu Zimowym doszło do małej, zabawnej debaty. Jeden z naszych gospodarzy tłumaczył doktorowi Tachionowi zasady dialektyki historycznej, mówiąc, że w miarę jak cywilizacja dojrzeje, feudalizm musi ustąpić miejsca kapitalizmowi, a kapitalizm socjalizmowi. Tachion wysłuchał go z zaskakującą uprzejmością.

– Mój drogi kolego – powiedział potem – w naszym małym sektorze Galaktyki istnieją dwie potężne cywilizacje, które opanowały sztukę lotów międzygwiazdnych. Na mojej rodzinnej planecie według waszych pojęć z pewnością panuje feudalizm, a Sieć jest formą kapitalizmu bardziej drapieżną i bezwzględną niż wszystko, o czym wam się śniło. Obie te cywilizacje szczęśliwie nie wykazują też żadnych oznak dojrzewania do socjalizmu. – Przerwał na chwilę. – Choć jeśli spojrzeć na to pod odpowiednim kątem, być może Rój można by uznać za komunistyczny, choć raczej niezbyt cywilizowany.

Muszę przyznać, że była to niezłe przemyślana mówka, aczkolwiek mogłaby zapewne wyrzucić na Sowiech większe wrażenie, gdyby Tachion nie był akurat ubrany w kompletny strój kozaka. Skąd on bierze takie ubrania?

* * *

O innych krajach socjalistycznych nie mam zbyt wiele do powiedzenia. W Jugosławii było najcieplej, Polska była najbardziej przygnębiająca, a Czechosłowacja najbardziej przypominała dom. Downs napisał dla „Aces” nadzwyczaj interesujący artykuł, w którym snuł spekulacje, że krążące wśród chłopów na Węgrzech i w Rumunii opowieści o działających wspólnie wampirach mają swój początek w przypadkach zarażenia dziką kartą. To był jego najlepszy kawałek, świetnie napisany i szczególnie fascynujący, jeśli weźmie się pod uwagę, że Kopacz oparł go wyłącznie na pięciominutowej rozmowie z cukiernikiem w Budapeszcie. W Warszawie znaleźliśmy niewielkie dzokerskie getto oraz zetknęliśmy się z szeroko rozpowszechnioną wiarą w ukrytego „solidarnościowego asa”, który wkrótce poprowadzi zdelegalizowany związek zawodowy do zwycięstwa. Niestety, nie pojawił się on podczas naszego dwudniowego pobytu w Polsce. Senatorowi Hartmannowi udało się z wielkim trudem załatwić spotkanie z Lechem Wałęsą. Mam wrażenie, że relacja agencji AP z tej rozmowy zwiększyła jego popularność w Stanach. Hiram opuścił nas na chwilę na Węgrzech – powiedział nam, że to kolejny „kryzys” w Nowym Jorku – a gdy przybyliśmy do Szwecji, wrócił do nas w nieco lepszym nastroju.

W porównaniu z wieloma innymi miejscami, które odwiedziliśmy, Sztokholm jest bardzo gościnnym miastem. Prawie wszyscy spotkani przez nas Szwedzi mówią świetnie po angielsku, możemy chodzić, dokąd chcemy (w granicach nakreślonych przez niemiłosiernie przeładowany program, rzecz jasna), a król był dla nas bardzo uprzejmy. Tak daleko na północy dzokerzy są wielką rzadkością, ale on przywitał nas z całkowitym spokojem, jakby całe życie spotykał się z przedstawicielami naszego rodzaju.

Choć nasza krótka wizyta była przyjemna, doszło podczas niej do tylko jednego zdarzenia, które warto zachować dla potomności. Jestem przekonany, że odkryliśmy coś, co mogłoby przyciągnąć uwagę historyków na całym świecie, nieznanym dotąd fakt, który rzuca nowe, zdumiewające światło na znaczną część najnowszej historii Bliskiego Wschodu.

Wydarzyło się to podczas zupełnie zwyczajnego, popołudniowego spotkania między grupą delegatów a członkami Komitetu Nagrody Nobla. Sądzę, że to z senatorem Hartmannem chcieli się spotkać. Choć jego próba podjęcia rozmów z Nurem zakończyła się aktem przemocy, tutaj słusznie uważa się, że jest szczerym i odważnym człowiekiem podejmującym działania na rzecz pokoju i zrozumienia. Sądzę, że czyni go to poważnym kandydatem do przyszłorocznej Pokojowej Nagrody Nobla.

Tak czy inaczej, kilku delegatów wybrało się z Greggiem na spotkanie, które przebiegło w serdecznej atmosferze, ale nie należało do zbyt interesujących. Okazało się, że jeden z naszych gospodarzy był sekretarzem hrabiego Folkego Bernadotte'a podczas rozmów, które doprowadziły do zawarcia pokoju jerozolimskiego. Co smutne, towarzyszył mu również dwa lata później, gdy zastrzelili go izraelscy terroryści. Opowiedział nam kilka fascynujących historii o Bernadotcie, którego wyraźnie darzył wielkim podziwem, i pokazał kilka osobistych pamiątek z tych trudnych negocjacji. Oprócz notatek, dzienników i roboczych wersji dokumentu był tam również album ze zdjęciami.

Zerknąłem na niego pobieżnie i przekazałem dalej, podobnie jak większość moich towarzyszy. Doktor Tachion, który siedział koło mnie na kanapie, sprawiał wrażenie znudzonego rozmową i obejrzał album z większą uwagą. Rzecz jasna, na większości zdjęć uwieczniono Bernadotte'a – w towarzystwie jego grupy negocjatorów, podczas rozmowy z Davidem Ben Gurionem na jednym zdjęciu i z królem Fajsalem na następnym. Na kolejnych fotografiach widać było innych członków zespołu, w tym również naszego gospodarza, przedstawionych w mniej oficjalnych pozach – ściskali dłonie izraelskim żołnierzom, spożywali posiłek w namiocie pełnym Beduinów i tak dalej. To, co zwykle ogląda się na podobnych zdjęciach. Na najciekawszej fotografii uwieczniono Bernadotte'a w otoczeniu Nasr, asów z Port Saidu, którzy tak dramatycznie odwrócili losy wojny, gdy połączyli siły z elitarnym jordańskim Legionem Arabskim. Khôf siedzi obok Bernadotte'a pośrodku zdjęcia. Cały jest ubrany na czarno i wygląda jak żywe wcielenie śmierci. Otaczają go młodsze asy. O ironio, ze wszystkich przedstawionych na tym zdjęciu ludzi żyje jeszcze tylko trzech, w tym wiecznie młody Khôf. Nawet niewypowiedziana wojna pochłania liczne ofiary.

To jednak nie owo zdjęcie przyciągnęło uwagę Tachiona, lecz zupełnie inne. Było bardzo nieoficjalne. Bernadotte siedział z garstką członków swej grupy w jakimś pokoju hotelowym, a na stole przed nimi wały się papiery. Przy samym brzegu zdjęcia stał młody mężczyzna, którego nie zauważyłem na innych fotografiach. Był szczupły, ciemnowłosy, miał niezwykle skupione spojrzenie i raczej miły uśmiech. Nalewał kawę do filiżanki. Wyglądało to bardzo niewinnie, ale Tachion wpatrywał się w zdjęcie przez długi czas. Potem zawołał naszego gospodarza, żeby porozmawiać z nim na osobności.

– Nie chciałbym zbytnio obciążać pańskiej pamięci, ale bardzo mnie interesuje, czy przypomina pan sobie tego człowieka? – zapytał, wskazując palcem młodzieńca. – Czy był członkiem waszej grupy?

Nasz szwedzki przyjaciel przyjrzał się uważnie fotografii i zachichotał.

– Ach, on – odparł w świetnej angielszczyźnie. – Był... jak brzmi to wasze slangowe określenie na kogoś, kto wykonuje różne drobne zlecenia?

– Przynieś-wynieś-pozamiataj – zasugerowałem.

– Ach, dokładnie tak, jak pan mówi. W rzeczywistości był młodym studentem dziennikarstwa. Nazywał się Joshua, Joshua... coś tam. Mówił, że chce się przyjrzeć negocjacjom z bliska, żeby móc potem o nich napisać. Bernadotte z początku myślał, że to śmieszny pomysł, a nawet odmówił mu bezceremonialnie, ale ten młody człowiek był nieustępliwy. W końcu udało mu się porozmawiać z hrabią w cztery oczy i wyluszczyć mu swe argumenty. W jakiś sposób zdołał go przekonać. Nie był więc oficjalnym członkiem zespołu, ale towarzyszył nam przez cały czas. O ile sobie przypominam, to noszenie i zamiatanie nie wychodziło mu za dobrze, ale był na tyle sympatyczny, że i tak wszyscy go lubili. Nie sądzę, żeby w końcu napisał ten artykuł.

– Nie napisał – zgodził się Tachion. – I nic w tym dziwnego. Był szachistą, nie pisarzem.

Nasz rozmówca ożywił się wyraźnie pod wpływem tego wspomnienia.

– Tak jest! Teraz sobie przypominam, że ciągle grał w szachy. Był w tym naprawdę dobry. Zna go pan, doktorze Tachion? Często się zastanawiałem, co się z nim stało.

– Ja również – odparł po prostu Tachion z wielkim smutkiem. Potem zamknął album i zmienił temat.

Znam doktora Tachiona już tak długo, że wolę o tym nie myśleć. Tego wieczoru, kierowany ciekawością, usiadłem obok Jacka Brauna i zadałem mu podczas posiłku kilka niewinnych pytań. Jestem pewien, że niczego nie podejrzewał. Nie miał nic przeciwko temu, żeby powspominać Czterech Asów, opowiedzieć o tym, czego dokonali i czego próbowali dokonać, o krajach, które odwiedzali, i, co ważniejsze, o tych, których nie odwiedzali. Przynajmniej oficjalnie.

Potem poszedłem do doktora Tachiona, który pił samotnie w swym pokoju. Zaprosił mnie do środka. Nie ulegało wątpliwości, że jest w ponurym nastroju, zagłębił się w

nieszczęśliwych wspomnieniach. Żył przeszłością chyba w większym stopniu niż ktokolwiek, kogo znałem. Zapytałem go, kim był młodzieniec z fotografii.

– Nikim ważnym – odparł. – Po prostu chłopakiem, z którym grałem kiedyś w szachy.

Nie jestem pewien, dlaczego uważał, że musi mnie okłamać.

– Nie miał na imię Joshua – powiedziałem. Tachion zrobił zdumioną minę. Zastanawiam się, czy sądzi, że deformacja uszkodziła mój umysł i pamięć? – Na imię miał David i nie powinno go tam być. Czterech Asów nigdy oficjalnie nie ingerowało w sprawy Bliskiego Wschodu, a Jack Braun mówi, że pod koniec czterdziestego ósmego wszyscy członkowie grupy poszli już swoimi drogami. Braun kręcił filmy.

– Kiepskie filmy – dodał Tachion z pewną dozą jadu w głosie.

– A Poseł pomagał w zawarciu pokoju.

– Nie było go przez dwa miesiące. Pamiętam, że powiedział Blythe i mnie, iż chce sobie zrobić wakacje. Nigdy mi nie przyszło do głowy, że mógł być w to zamieszany.

Nikomiu innemu również nie przyszło to do głowy, choć być może powinno. David Harstein nie był szczególnie religijny, sądząc z tego, co o nim wiem, był jednak Żydem i gdy asy z Port Saidu oraz arabskie armie zagroziły istnieniu nowego państwa, postanowił zadziałać na własną rękę.

Jego moc służyła pokojowi, nie wojnie. Nie był to strach, burze piaskowe czy gromy bijące z jasnego nieba, lecz feromony, które sprawiały, że ludzie go lubili, rozpaczliwie pragnęli zdobyć jego sympatię i zgadzali się z jego opiniami. Dlatego właśnie sama obecność asa zwanego Posłem była de facto gwarancją powodzenia negocjacji. Jednakże ci, którzy wiedzieli o jego zdolnościach, wykazywali niepokojącą tendencję do zrywania zawartych umów, gdy tylko działanie feromonów się skończyło. Harstein z pewnością rozważył starannie tę sytuację, a ponieważ stawka była bardzo wysoka, postanowił sprawdzić, co się stanie, jeśli jego rola w procesie negocjacyjnym pozostanie tajemnicą. Odpowiedzią był pokój jerozolimski.

Zastanawiam się, czy sam Folke Bernadotte wiedział, kim był jego młody pomocnik. Zadaję też sobie pytanie, gdzie jest teraz Harstein i co sądzi o pokoju, który z takim wysiłkiem pomógł zawrzeć. Przypomina mi się to, co usłyszałem od Czarnego Psa w Jerozolimie.

Co by się stało z kruchym pokojem jerozolimskim, gdyby okoliczności jego uzgodnienia wyszły na jaw? Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej jestem przekonany, że powinienem wyrwać te strony z dziennika, zanim wyślę go do wydawcy. Jeśli nikt nie upije Tachiona, być może sekret się nie wyda.

Ciekawe, czy powtórzył kiedyś ten numer? Czy po Komisji do spraw Działalności Antyamerykańskiej, po więzieniu i hańbie, osławionym wcieleniu do wojska i równie osławionym zniknięciu Poseł uczestniczył jeszcze w jakichś negocjacjach, o czym świat nie wiedział? Zastanawiam się, czy kiedykolwiek się tego dowiemy.

Uważam jednak, że to mało prawdopodobne, choć bardzo tego żałuję. Sądząc z tego, co widziałem podczas tej podróży, w Gwatemali i w Afryce Południowej, w Etiopii i w Syrii, w Jerozolimie, w Indiach, w Indonezji i w Polsce, świat potrzebuje dziś Posła bardziej niż kiedykolwiek.

27 kwietnia – gdzieś nad Atlantykiem

Światła w samolocie wyłączono przed kilkoma godzinami i większość moich towarzyszy dawno już śpi. Mnie jednak ból nie pozwala zasnąć. Wziąłem kilka tabletek i trochę mi pomogły, ale sen nadal nie przychodzi. Mimo to czuję dziwną euforię... niemalże spokój ducha. Zbliża się koniec mojej podróży zarówno tej dużej, jak i tej małej. Pokonałem długą drogę i wreszcie mogę powiedzieć, że jestem z niej zadowolony.

Czeka nas jeszcze jeden postój – krótka wizyta w Kanadzie, szybkie jak błyskawica odwiedziny w Montrealu i Toronto, a potem spotkanie z rządem w Ottawie. Później wracamy do domu. Lotnisko Tomlin International, Manhattan, Miasto Dżokerów. Dobrze będzie znowu zobaczyć Gabinet Luster.

Chciałbym móc powiedzieć, że nasza wyprawa osiągnęła wszystkie cele, jakie sobie stawiała, ale to raczej nie byłoby prawdą. Zaczęliśmy niezłe, lecz akty przemocy, do których doszło w Syrii, Niemczech Zachodnich i we Francji, położyły kres naszemu niewypowiedzianemu marzeniu o tym, że dzięki nam opinia publiczna zapomni o rzezi w Dzień Dzikiej Karty. Mogę tylko mieć nadzieję, że większość uświadomi sobie, iż terroryzm jest złowrogim elementem świata, w którym żyjemy, i że istniałby również bez dzikiej karty. Krwawą łaźnię w Berlinie zgotowała grupa składająca się z dżokerów, asów i natów. Powinniśmy o tym pamiętać i z naciskiem przypominać o tym światu. Jeśli obciążymy całą winą za rzeź Gimlego i jego żalonych zwolenników albo dwóch zbiegłych asów, wciąż jeszcze poszukiwanych przez niemiecką policję, skorzystają na tym jedynie Leo Barnett, Nur al-Allah i inni, im podobni. Nawet gdyby Takisianie nie obdarzyli nas swoją klątwą, na świecie nie zabrakłoby zdesperowanych, szalonych i złych ludzi.

Osobiście dostrzegam złowrogą ironię w fakcie, iż to odwaga i współczucie, jakimi cechuje się Gregg, spowodowały, że jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie, a uratowała go nienawiść, która kazała porywaczom zwrócić się przeciwko sobie i doprowadziła do bratobójczej rzezi.

Ten świat jest naprawdę dziwny.

Modłę się o to, byśmy już nigdy nie ujrzeli Gimlego, mam też jednak powody do radości. Po Syrii nie wydawało się prawdopodobne, by ktokolwiek mógł wątpić, że Gregg Hartmann potrafi zachować odwagę w obliczu nieprzyjaciela, ale jeśli byli tacy ludzie, bez wątpienia

Berlin uspokoił ich obawy. Po tym, jak „Post” opublikował wyłączny wywiad przeprowadzony przez Sarę Morgenstern, poparcie dla Hartmanna wzrosło w sondażach o dziesięć procent. Idzie teraz prawie łeb w łeb z Hartem. W samolocie uważa się, że Gregg z pewnością wystartuje.

Powiedziałem to Kopaczowi w dublińskim hotelu, gdy siedzieliśmy przy guinnessie i świetnym irlandzkim chlebie sodowym. Downs zgodził się ze mną. Posunął się nawet dalej i przepowiedział, że Hartmann zdobędzie nominację. Nie byłem tego taki pewien i przypomniałem mu, że Gary Hart nadal wydaje się bardzo poważną przeszkodą, ale Downs potarł tylko złamany nos, uśmiechnął się w ten swój irytująco tajemniczy sposób i powiedział:

– No wiesz, mam takie przeczucie, że Gary spieprzy sprawę i zrobi coś naprawdę głupiego. Nie pytaj mnie dlaczego.

Jeśli zdrowie pozwoli, zrobię wszystko, co w mojej mocy, by zorganizować w Mieście Dżokerów poparcie dla kandydatury Hartmanna. A nie sądzę, bym był osamotniony w swych poglądach. Po wszystkim, czego świadkami byliśmy w kraju i za granicą, z pewnością wielu wpływowych asów i dżokerów zechce poprzeć senatora. Hiram Worchester, Sokolica, Mistral, Ojciec Kałamarnica, Jack Braun... być może nawet doktor Tachion, pomimo jego osławionej pogardy dla polityki i polityków.

Bez względu na terroryzm i rozlew krwi jestem przekonany, że udało nam się osiągnąć trochę dobrego. Mogę tylko mieć nadzieję, że nasz raport otworzy oczy niektórych osób w kręgach rządowych, a fakt, że przyciągnęliśmy spojrzenia prasy na wszystkich kontynentach, zwrócił uwagę opinii publicznej na problem losu dżokerów w trzecim świecie.

Jeśli zaś chodzi o bardziej osobiste sprawy, Jack Braun zrobił wiele, by się zrehabilitować, a nawet zdołał położyć kres trwającej trzydzieści lat wrogości wobec Tachiona. Sokolica wręcz promienieje radością spowodowaną ciężką; udało nam się też, choć późno, uwolnić biednego Jeremiaha Straussa z trwającej dwadzieścia lat małpiej niewoli. Pamiętam Straussa z dawnych dni, gdy Gabinet Luster należał do Angeli, a ja pracowałem tam jako maître d’hôtel. Zaproponowałem mu angaż, jeśli zechce wznowić artystyczną karierę jako projekcjonista. Ucieszył się, ale nie chciał się do niczego zobowiązywać. Nie zazdroścę mu okresu adaptacji, który go czeka. Można go właściwie uznać za podróżnika w czasie.

Natomiast doktor Tachion... no cóż, jego nowa punkowa fryzura jest niezwykle brzydka, nadal utyka na zranioną nogę i teraz cały samolot już wie o jego seksualnej niesprawności, ale to mu zupełnie nie przeszkadza od chwili, gdy we Francji na pokład wsiadł mały Blaise. Wypowiadając się publicznie, Tachion zawsze udzielał wymijających odpowiedzi na jego temat, ale oczywiście wszyscy znają prawdę. Nie jest tajemnicą państwową, że spędził we Francji kilka lat, a jeśli nawet kolor włosów chłopca nie stanowi wystarczającego dowodu, jego zdolność panowania nad umysłami nie pozostawia wątpliwości, czym jest synem.

Blaise jest dziwnym dzieckiem. Początkowo wydawał się zachwycony widokiem dżokerów, zwłaszcza Poczwarzki, której przezroczysta skóra wyraźnie go zafascynowała. Z drugiej strony, nie brak mu okrucieństwa typowego dla dzieci, których nie wychowano w odpowiedni sposób (a uwierzcie mi, każdy dżoker wie, jak okrutne potrafią być bachory). Podczas naszego pobytu w Londynie ktoś zadzwonił do Tachiona i doktor musiał nas opuścić na kilka godzin. Pod jego nieobecność Blaise zaczął się nudzić i dla rozrywki zapanował nad umysłem Mordecaia Jonesa, kazał mu wejść na stół i recytować wierszyk *Jestem małym czajniczkiem*, którego przed chwilą nauczył się na lekcji angielskiego. Stół załamał się pod ciężarem Młota Harlemu i nie sądzę, by Jones miał zapomnieć o tym upokorzeniu. Już przedtem raczej nie przepadał za doktorem Tachionem.

Rzecz jasna, nie wszyscy zachowali z podróży miłe wspomnienia. Nie da się ukryć, że dla niektórych z nas była ona bardzo ciężkim przeżyciem. Sara Morgenstern napisała kilka znakomych artykułów, być może najlepszych w całej swej karierze, ale mimo to z każdym dniem staje się coraz bardziej wybuchowa i znerwicowana. Jeśli zaś chodzi o kolegów po fachu podróżujących razem z nią z tyłu samolotu, Josh McCoy chwilami sprawia wrażenie zakochanego do szaleństwa w Sokolicy, a czasami bezgranicznie na nią wściekłego. Z pewnością nie jest mu łatwo, jako że cały świat wie, iż nie jest ojcem jej dziecka. Natomiast profil Kopacza nigdy już nie będzie wyglądał tak samo.

Downs jest jednak w takim samym stopniu niespożyty, jak nieodpowiedzialny. Nie dalej jak przedwczoraj powiedział Tachionowi, że jeśli udzieli mu wyłącznego wywiadu na temat Blaise'a, może uda mu się nie wspomnieć o impotencji doktora. Tachion nie przyjął tej propozycji zbyt dobrze. Kopacz zakumpłował się też ostatnio z Poczwarzką. Pewnej nocy w londyńskim barze podsłuchałem bardzo dziwną rozmowę między nimi.

– Wiem, że jest – zapewniał Kopacz.

Poczwarzka odpowiedziała mu, że wiedzieć coś, a móc to udowodnić, to dwie zupełnie różne sprawy. Kopacz powiedział potem, że pachną dla niego inaczej i wiedział już od chwili, kiedy się spotkali; Poczwarzka roześmiała się tylko i odparła, że wszystko to pięknie, ale zapachy, których nikt inny nie czuje, nie mają żadnej wartości jako dowód, a poza tym zdradziłby się, gdyby o tym wspomniał publicznie. Kiedy wyszedłem z baru, nadal rozmawiali na ten temat.

Myślę, że nawet Poczwarzka ucieszy się z powrotu do Miasta Dżokerów. Z pewnością świetnie się czuła w Anglii, ale biorąc pod uwagę jej anglofilskie tendencje, trudno to uznać za niespodziankę. Doszło tylko do jednego nerwowego incydentu. Podczas przyjęcia przedstawiono ją Churchillowi, a ten bez ogródek zapytał ją czego właściwie próbuje dowieść swym afektowanym brytyjskim akcentem. Z jej niepowtarzalnej twarzy trudno jest cokolwiek wyczytać, ale przez chwilę byłem pewien, że Poczwarzka zabije staruszka na oczach królowej, pani premier i kilkunastu brytyjskich asów. Na szczęście zgrzytnęła tylko zębami i złożyła te

słowa na karb zaawansowanego wieku sir Winstona. W końcu nawet gdy był młodszy, raczej nie miał oporów przed dobitnym wyrażeniem swego zdania.

Hiram Worchester być może wycierpiał podczas podróży najwięcej z nas wszystkich. Wszelkie rezerwy sił, jakie jeszcze w nim pozostały, wypaliły się w Niemczech. Od tej pory sprawia wrażenie do cna wyczerpanego. Kiedy odlatywaliśmy z Paryża, pękło pod nim specjalne siedzenie. Podejrzewam, że popełnił jakiś błąd w panowaniu nad grawitacją ale odlot opóźnił się przez to o prawie trzy godziny, gdyż musieliśmy czekać, aż naprawią fotel. Hiramowi również puszczają ostatnio nerwy. Podczas tego incydentu z fotelem Billy Ray powiedział jeden dowcip o grubasach za dużo i Worchester w końcu stracił cierpliwość. Naskoczył na Raya w gniewie, nazywając go (między innymi) „małym niekompetentnym pyskaczem”. To wystarczyło. Carnifex wykrzywił usta w tym swoim niewyraźnym uśmiešku.

– Za to skopię ci tyłek, grubasie – oznajmił i zaczął się podnosić z fotela.

– Nie powiedziałem, że wolno ci wstać – odparł Hiram.

Potem zacisnął pięść i potroił ciężar Billy’ego, spychając go z powrotem na fotel. Billy uparcie próbował wstać, a Hiram wciąż zwiększał jego ciężar. Nie potrafię zgadnąć, na czym by się skończyło, gdyby doktor Tachion nie uspił ich obu za pomocą kontroli umysłu.

Kiedy widzę, że sławne na cały świat asy klóczą się jak niegrzeczne dzieci, nie wiem, czy się śmiać, czy czuć niesmak. Hiram przynajmniej usprawiedliwia zły stan zdrowia. Wygląda teraz okropnie: błądy na twarzy, opuchnięty, spocony, zdyszany. Ma na karku, tuż poniżej kołnierza, wielkiego, ohydneho strupa i drapie się po nim, kiedy myśli, że nikt go nie widzi. Poradziłbym mu, żeby poszukał pomocy lekarza, ale jest ostatnio w tak nieprzyjemnym nastroju, że wątpię, by posłuchał mojej rady. Niemniej jednak podczas naszej podróży krótkie wizyty w Nowym Jorku zawsze bardzo mu pomagały, możemy więc mieć nadzieję, że powrót do domu przywróci mu zdrowie i podniesie na duchu.

* * *

Na koniec muszę napisać o sobie.

Obserwacja moich towarzyszy i pisanie o tym, co zyskali, a co stracili, było łatwym zadaniem, trudniej jest podsumować własne doświadczenia. Jestem teraz starszy i mam nadzieję, że również mądrzejszy niż przed rozpoczęciem podróży. Nie sposób też zaprzeczyć, że jestem o pięć miesięcy bliżej śmierci.

Pan Ackroyd zapewnia, że bez względu na to, czy ten dziennik zostanie opublikowany, osobiście dostarczy jego egzemplarze moim wnukom i uczyni wszystko, co w jego mocy, by się upewnić, że je przeczytają. Być może więc to właśnie do nich piszę te ostatnie słowa... do nich i do innych, takich jak one.

Robertcie, Cassie, nigdy się nie spotkaliśmy, i wina spada w równym stopniu na mnie, co na waszą matkę i babcię. Jeśli się zastanawiacie dlaczego, przypomnijcie sobie, co napisałem o wstępie do samego siebie i zrozumcie, proszę, że nie byłem wyjątkiem. Nie osądzajcie mnie zbyt surowo... podobnie jak waszej matki i babci. Joanna była stanowczo za mała, żeby zrozumieć, co się stało, gdy jej tata się zmienił, a jeśli chodzi o Mary... kiedyś się kochaliśmy, i nie mogę pójść do grobu z nienawiścią do niej. Prawda wygląda tak, że gdyby sytuacja była odwrotna, równie dobrze mógłbym postąpić tak samo. Wszyscy jesteśmy ludźmi i musimy grać kartami, jakie nam rozdano.

Wasz dziadek był dzokerem, to prawda. Mam jednak nadzieję, że czytając te słowa, uświadomicie sobie, iż był również kimś więcej. Że osiągnął to i owo, bronił swego ludu, zrobił trochę dobrego. LPZD jest zapewne dziedzictwem, z którego można być dumnym. Uważam, że to lepszy pomnik niż piramidy, Tadż Mahal czy Mauzoleum Odrzutowca. Zważywszy wszystko razem, nie spisałem się najgorzej. Zostanie po mnie kilku przyjaciół, którzy mnie kochali, wiele miłych wspomnień i mnóstwo niedokończonych spraw. Zanurzyłem stopę w Gangesie, słyszałem, jak Big Ben wybija godziny, i chodziłem po Wielkim Murze. Widziałem swą nowo narodzoną córkę i trzymałem ją w ramionach, spotykałem się z asami i gwiazdami telewizji, prezydentami i królami.

Co najważniejsze, wydaje mi się, że świat stał się dzięki mnie odrobinę lepszy. To wszystko, czego naprawdę można wymagać od któregokolwiek z nas.

Opowiedzcie o mnie swoim dzieciom, jeśli zechcecie.

Nazywałem się Xavier Desmond i byłem człowiekiem.

Przełożył Michał Jakuszewski

Część IX

Serce w konflikcie

Serce w konflikcie

Najstarsi i najwierniejsi z fanów po dziś dzień przechowują w czułej pamięci wspomnienie o Bacie Durstonie, nieulekłym postrachu kosmicznych szlaków, którego przygody tak często pojawiały się w „Galaxy” we wczesnych latach pięćdziesiątych.

Bat zawsze trafiał na okładkę. Tylną. Pod wielkim napisem TEGO NIE ZOBACZYCIE W „GALAXY” umieszczano dwie kolumny:

Bat Durston przemknął z tętentem kopyt przez ciasny wąwóz w Eagle Gulch, maleńkiej kolonii poszukiwaczy złota oddalanej czterysta mil na północ od Tombstone. Spiał mocno konia ostrogami, zmierzając ku niskiemu nawisowi skalnemu... i nagle zza wielkiego głazu wysunął się wysoki, chudy kowboj. W opalanej dłoni trzymał sześciostrzałowiec.

– Zsiadaj z konia, Bacie Durston – wysyczał nieznajomy przez zaciśnięte usta. – Jeszcze o tym nie wiesz, ale to twoja ostatnia konna przejażdżka po tych okolicach.

Bat Durston przemknął z wizgiem raketowych silników przez atmosferę Bblzznaj, maleńkiej planety oddalonej siedem miliardów lat świetlnych od Sol. Wyłączył superhipernapęd, by przygotować się do lądowania... i nagle zza usterzenia ogonowego wysunął się wysoki, chudy astronauta. W opalonej od kosmicznych promieni dłoni trzymał protonowy blaster.

– Odsuń się od sterownicy, Bacie Durston – wysyczał wysoki nieznajomy przez zaciśnięte usta. – Jeszcze o tym nie wiesz, ale to twój ostatni lot przez tę część kosmosu.

Pod bliźniaczymi kolumnami znajdował się komentarz redaktora naczelnego, H.L. Golda:

„Brzmi podobnie? I nic w tym dziwnego. Jedna z tych historii to po prostu western przeniesiony na jakąś niewiarygodną, obcą planetę. Jeśli tak wyobrażacie sobie science fiction, to proszę bardzo. ALE W «GALAXY» TEGO NIE ZNAJDZIECIE! My publikujemy wyłącznie prawdziwą fantastykę naukową... autentyczną wiarygodną i skłaniającą do myślenia... pisaną przez autorów, którzy nie przestawiają się automatycznie z historii kryminalnych na opowiadania o inwazji kosmitów; pisaną przez autorów, którzy znają i kochają science fiction... dla czytelników, którzy również ją znają i kochają”.

Ten tekst ukazał się na okładce pierwszego numeru „Galaxy” we wrześniu 1950 roku, a także w wielu następnych numerach. Byłem wtedy dwuletnim chłopczykiem (mam zdjęcia, które tego dowodzą) i nawet *Rocky Jones* leżał jeszcze w mojej przyszłości (Rocky i Bat z pewnością chodzili do tej samej szkoły dla kosmicznych zwiadowców), nie wspominając już o Heinleinie, Howardzie, Tolkienie, Lovecraftie i Fantastycznej Czwórce.

Gdy sam zacząłem pisać SF, w „Galaxy” dawno już minęły czasy H.L. Golda. W roku 1961, po wypadku samochodowym, przekazał on ster (wodze? sterownicę gwiazdolotu?) Frederikowi Pohlowi, który okazał się znakomitym redaktorem. Pod koniec lat sześćdziesiątych miejsce Pohla zajął Ejler Jakobsson, który przyjął do pracy Gardnera Dozois, zlecając mu czytanie niezamówionych tekstów. Reszta to już historia, jak wiecie, jeśli czytaliście moje poprzednie komentarze.

Nie udało mi się sprzedać do „Galaxy” następnego opowiadania za kadencji Jakobssona, choć raz czy dwa byłem blisko. Natomiast sprzedałem ich sporo Tedowi White’owi, choć po *Zjeździe do San Breta* większość moich utworów ukazywała się w „Amazing”, nie w „Fantastic”. Magazynem, dzięki któremu zdobyłem pozycję, w którym ukazały się wszystkie moje wczesne nominowane do nagród opowiadania, a potem pierwszy utwór nagrodzony nagrodą Hugo, był jednak „Analog”, wówczas czołowe pismo publikujące fantastykę. Przez całe dziesięciolecie pod kierownictwem legendarnego redaktora naczelnego Johna W. Campbella jr. było ono symbolem „prawdziwie naukowej fantastyki”.

JWC zmarł mniej więcej w tym samym czasie, gdy zaczynałem karierę, i w „Analogu” zastąpił go Ben Bova. Campbell jest słusznie uważany za wielkiego redaktora. Zmienił oblicze fantastyki, gdy w latach trzydziestych przejął kierownictwo nad „Astounding” i dał początek złotemu wiekowi science fiction. Zasłynął również z tego, że ułatwiał start nowym pisarzom, ale z jakiegoś powodu wątpię, by melancholijne, romantyczne, smutne opowiadania, jakie pisałem we wczesnych latach siedemdziesiątych, spodobały mu się tak samo jak Benowi. Podejrzewam, że gdyby Campbell żył dłużej, moja kariera mogłaby się potoczyć zupełnie innymi torami, i kariera wielu innych pisarzy również.

Gdy Bova przejął fotel redaktora naczelnego, był już uznanym autorem. Pisał hard SF, prawdziwie naukową fantastykę, co było ważne w owych zamierzchłych latach, gdy wciąż jeszcze trwała wojna między Starą a Nową Falą. Mimo to natychmiast po przejęciu kierownictwa otworzył pismo na nowe prądy i na uświęconych stronicach „Analogu” zaczęły się pojawiać opowiadania, które nie miałyby szans ukazać się tam za czasów JWC... w tym również moje.

Nie był to całkowicie bezbolesny proces. Żeby się o tym przekonać, wystarczy spojrzeć na listy od czytelników. W każdym numerze zamieszczano jeden albo dwa listy z żądaniem anulowania prenumeraty. Pisali je starzy czytelnicy, oburzeni pojawieniem się nieprzyzwoitego słowa, sceny erotycznej albo nie do końca kompetentnego bohatera. Na szczęście byli w mniejszości. Odrodzony „Analog” stał się najlepszym magazynem lat

siedemdziesiątych, a Ben Bova zdobywał nagrodę Hugo dla najlepszego redaktora pięć razy z rzędu w latach 1973-1977, a potem znowu w 1979.

Pierwszy tekst, który sprzedałem Bovie – trzeci, jaki udało mi się sprzedać w ogóle, i pierwszy, który nigdzie przedtem nie zaginął – nie był opowiadaniem, ale artykułem popularnonaukowym o szachach komputerowych. Byłem w Northwestern College kapitanem reprezentacji szachowej, a paru moich kolegów napisało program szachowy dla uczelnianego komputera, wielkiego CDC 6400, który zajmował oddzielny budynek o kontrolowanej temperaturze. Kiedy ich program Chess 4.0 pokonał konkurencyjne programy z kilku innych college'ów, zwyciężając w pierwszych na świecie szachowych mistrzostwach komputerów, zrozumiałem, że mam temat na artykuł.

Był to jedyny tekst popularnonaukowy, jaki sprzedałem do „Analogu”, a nawet jedyny, jaki w życiu napisałem. Byłem dziennikarzem, nie naukowcem. Skoro jednak miałem na koncie artykuł popularnonaukowy, nikt nie mógł podważać moich kwalifikacji, jak to robiono z wszystkimi tymi nieznanymi się na rzeczy autorami Nowej Fali, których utwory ukazywały się w „Orbit” i „New Dimensions”. Choć Bova poszerzył horyzonty „Analogu”, pismo nadal miało opinię trzeźwego, rygorystycznego, naukowo wiarygodnego i być może też nieco purytańskiego. Gardner Dozois powiedział kiedyś kobiecie, którą próbowałem poderwać, że nie ma sensu iść ze mną do łóżka, bo gdy ktoś sprzedaje opowiadanie do „Analogu”, pod jego dom podjeżdża biała furgonetka i wysiada z niej dwóch facetów w srebrnych kombinezonach, którzy konfiskują delikwentowi penisa. (Nie będę się wypowiadał na temat prawdziwości tych słów; dodam tylko, że Gardner w późniejszych latach również publikował opowiadania w tym piśmie, a obecnie dzieli biuro z jego redaktorem naczelnym. Nigdy nie pytałem, co Stan Schmidt trzyma w tej wielkiej zamkniętej szafce za swoim biurkiem).

Mój artykuł popularnonaukowy o Davidzie Slacie i jego zwycięskim programie szachowym nosił tytuł *The Computer Was a Fish*. Wkrótce potem ukazały się *Mgły odplywają o świecie*, *Drugi rodzaj samotności*, *Pieśń dla Lyanny* i cała reszta. Rzecz jasna, publikowałem też w innych pismach. Ted White kupił ode mnie nie mniej opowiadań niż Bova; „Amazing” i „Fantastic” pod jego redakcją były wspaniałymi magazynami. Sprzedałem także kilka opowiadań do „Magazine of Fantasy and Science Fiction” i udało mi się umieścić swoje utwory w wielu ukazujących się wówczas seriach antologii.

Jednakże zdarzały mi się też odmowy. Żaden pisarz ich nie lubi, choć są nieodłączną częścią tego zajęcia i trzeba się do nich przyzwyczaić. Przytrafiło mi się jednak kilka, które były szczególnie irytujące. Redaktorzy nie mieli problemów z fabułą postaciami czy stylem, a nawet nadmieniali, że opowiadania im się podobały. Mimo to nie chcieli ich przyjąć... bo nie były prawdziwą science fiction.

Night Shift opowiadał o nocnej zmianie w ruchliwym kosmoporcie, w którym co chwila lądowały i startowały gwiazdoloty. Redaktor stwierdził, że równie dobrze mogłyby to być

ciężarówki. Inny wyznał, że *Mgły odpływają o świcie* przywiodły mu na myśl poszukiwania potwora z Loch Ness. Nawet *Drugi rodzaj samotności* spotkał się z podobną reakcją. Do odmowy przyjęcia dołączono list z uwagą że równie dobrze mogłoby to być opowiadanie o latarniku. Uwaga nie skupia się na gwiazdnym pierścieniu i wirze zeroprzestrzeni, ale na „raczej żalonym” bohaterze, jego marzeniach i obawach.

No, nie. Co ci redaktorzy próbowali mi powiedzieć? Byłem autorem publikującym w „Analogu”, napisałem artykuł popularnonaukowy... a oni próbowali mi wmówić, że piszę Baty Durstony?

Oczywiście, było prawdą że oparłem *Night Shift* na doświadczeniach mojego ojca, który pracował jako doker, oraz na wspomnieniach z kilku tygodni, które przepracowałem w dyspozytorni ciężarówek.

Było też prawdą, że ziarno, z którego wyrosło opowiadanie *Mgły odpływają o świcie*, zostało zasiane w chwili, gdy przeczytałem w gazecie artykuł o uczonej, który wybierał się na Loch Ness z flotą łodzi wyposażonych w sonary, zdecydowany wypłoszyć Nessie z ukrycia albo dowieść, że nie istnieje...

Było również prawdą, że *Drugi rodzaj samotności* był pełen moich osobistych demonów i opierał się na wydarzeniach i postaciach z mojego życia, podobnie jak *Pieśń dla Lyanny*.

Nawet *Piaseczniki*, które napisałem kilka lat później, zaczęły się od faceta, którego znałem w college’u, i jego akwarium z piraniami.

I co z tego? Pisząc te opowiadania, przeniosłem akcję na inne planety, a także umieściłem w nich obcych i statki kosmiczne. Czego jeszcze potrzeba, żeby były science fiction, niech to szlag?

W młodości czytałem mnóstwo fantasy, science fiction oraz horroru i ani przez chwilę nie zaprzętałem sobie głowy pytaniem które jest którym, gdzie są granice między nimi i czy dane opowiadanie jest prawdziwą science fiction, fantasy albo horrorem. W latach pięćdziesiątych moja czytelnicza dieta składała się z komiksów oraz książek w miękkich oprawkach. Wiedziałem, że istnieją magazyny publikujące fantastykę, ale rzadko je widywałem, więc szczęśliwie nie wiedziałem o Bacie Durstonie ani o filipikach Horace’a Golda przeciwko niemu. W dzieciństwie nie znałem nawet właściwych nazw wszystkich gatunków i podgatunków. Dla mnie były to opowiadania o potworach, historie kosmiczne i opowiadania miecza i magii. Albo po prostu „dziwne historie”. Tak je nazywał mój ojciec. Rozumiecie, on lubił westerny, a jego syn wołał „dziwne historie”.

Gdy jednak zostałem zawodowym pisarzem, i to piszącym do „Analogu” (ale nadal miałem penisa, niech wam się nie zdaje), wypadało, żebym się dowiedział, na czym polega prawdziwa science fiction. Dlatego przeczytałem ponownie *In Search of Wonder* Damona Knighta, *The Issue at Hand* Jamesa Blisha oraz *Science Fiction Handbook* L. Sprague de Campa. Przejrzałem numery „Locusa” i „Science Fiction Review”. Uważnie przeczytałem „SF in Dimension”, felietony Alexeia Panshina w „Amazing”. Z zainteresowaniem

przyjrzałem się debacie między Starą i Nową Falą ponieważ ten nowofalowy syf również nie był prawdziwą SF w opinii facetów ze Starej Fali. Rzecz jasna, zapoznałem się też z różnymi definicjami science fiction.

Było ich bardzo wiele, często wzajemnie sprzecznych. Sprague de Camp podawał jedną definicję w *Science Fiction Handbook*, a Kingsley Amis inną w *New Maps of Hell*. Ted Sturgeon miał swoją definicję, Fred Pohl swoją, Reginald Bretnor swoją, David G. Hartwell swoją, Alexei Panshin swoją, a w kącie stał Damon Knight i wskazywał na coś ręką. Stara Fala i Nowa Fala broniły swych odmiennych wizji tego, czym powinna być fantastyka naukowa. H.L. Gold również musiał mieć swoją definicję, skoro wiedział, że Bat Durston do niej nie pasuje. Przyswoiłem sobie to wszystko najlepiej, jak potrafiłem, i w końcu zrozumiałem, jak powinno wyglądać prawdziwe opowiadanie SF, w przeciwieństwie do tych, które pisałem.

Idealnym wzorcem Prawdziwego Opowiadania SF jest pierwszy opublikowany utwór Isaaca Asimova *Marooned off Vesta*, który ukazał się w „Amazing” w roku 1939. Asimov pisał później popularniejsze i lepsze utwory – prawdę mówiąc, prawie wszystko, co napisał później, było lepsze – ale *Marooned off Vesta* jest przykładem stuprocentowo czystej science fiction, gdyż cała jego fabuła opiera się na fakcie, że w próżni woda wrze w niższej temperaturze.

Ta świadomość mnie otrzeźwiła. Miałem wiele stron notatek dotyczących historii, które chciałem napisać w następnym roku, za dwa i za trzy lata, ale nie było w nich zupełnie nic na temat temperatury wrzenia wody. Prawdę mówiąc, wydawało mi się, że Asimov powiedział już wszystko, co można powiedzieć na ten temat, nie zostawiając dla swych następców nic oprócz... no cóż, Bata Durstona.

Rzecz w tym, że im dłużej zastanawiałem się nad staruszkami Batem, nad Asimovem, Heinleinem, Campbellem, Wellsem, Verne’em, Vance’em, Andersonem, Le Guin, Brackett, Williamsonem, de Campem, Kuttnerem, Moore, Cordwainerem Smithem, Dokiem Smithem, George’em O. Smithem, Northwestern Smithem i całą resztą Smithów, a także Jonesów, tym dobitniej uświadamiałem sobie coś, czego H.L. Gold nie rozumiał.

Chłopaki i dziewczyny, to wszystko są Baty Durstony.

Wszystkie moje opowiadania oraz utwory innych autorów. *Handlarze kosmosem* (którzy szli w odcinkach w „Galaxy” Golda pod tytułem *Gravy Planet*) opowiadają o Madison Avenue z lat pięćdziesiątych minionego wieku, *Wieczna wojna* – o konflikcie wietnamskim, *Neuromancer* jest powieścią o oszustach zamaskowaną wymyślną prozą a Imperium Galaktyczne Asimova podejrzanie przypomina to stworzone przez Rzymian. W końcu dlaczego Bel Riose tak mocno kojarzy się nam z Belizariuszem? A jeśli przyjrzeć się naprawdę uważnie *Marooned off Vesta*, okazuje się, że nie jest to wcale opowiadanie o temperaturze wrzenia wody, ale o kilku zdesperowanych ludziach, którzy próbują ocalić życie.

Jeśli odsuniecie się na odległość kilku kroków i przyjrzyjecie z daleka pierwszemu numerowi „Galaxy”, z pewnością uświadomicie sobie, że te dwie kolumny łatwo można by zamienić miejscami. Redaktor mógłby triumfalnie obwieścić: „TEGO NIE ZOBACZYCIE W «SIX-GUN STORIES»». Brzmi podobnie? I nic w tym dziwnego. Jedna z tych historii to po prostu sci-fi przeniesiona na Dzikie Zachód. Jeśli tak wyobrażacie sobie western, to proszę bardzo. ALE W «SIX-GUN STORIES» TEGO NIE ZNAJDZIECIE! My publikujemy wyłącznie prawdziwe westerny... autentyczne, wiarygodne i skłaniające do myślenia... pisane przez autorów, którzy znają i kochają dawny Zachód... dla czytelników, którzy również go znają i kochają”.

Niech pan pokaże swojego Bata Durstona, panie Gold. Ja mam w kartach Williama Faulknera, *Casablanke* i Szekspira.

W filmie *The Goodbye Girl* Richard Dreyfuss grał aktora zmuszonego przez „genialnego” reżysera do przedstawienia Ryszarda III jako sepleniącej, zniewieściałej cioty. W dzisiejszych czasach nie wydaje się to już tak absurdalną parodią jak kiedyś. Edward Jarman stworzył w Londynie osławioną wersję *Edwarda II* Marlowe’a graną we współczesnych kostiumach, w której podstawowym elementem garderoby Piersa Gavestona jest wysadzany ćwiekami skórzany ochraniacz na genitalia. Kiedy ostatnio byłem na West Endzie, wystawiano tam *Koriolana* osadzonego w okresie terroru podczas rewolucji francuskiej. Najnowsza filmowa wersja *Romea i Julii* jest opowieścią o walczących ze sobą gangach ulicznych. Występują w niej samochody, helikoptery i reżyserzy telewizyjni. A jeśli nie widzieliście filmu Iana McClellana *Ryszard III*, rozgrywającego się w faszystowskiej Anglii w latach trzydziestych XX wieku, ominął was wspaniały pokaz reżyserii i scenografii, a także wspaniałe aktorstwo McClellana, który zagrał garbatego Dicka nie gorzej od Oliviera.

Można by twierdzić, że *Ryszard III* mówi o wojnie Dwóch Róż, nie o ruchach faszystowskich z lat trzydziestych. Można się też upierać, że *Koriolan* powinien się rozgrywać w Rzymie, nie w Paryżu. Można by również wskazać z naciskiem, że Merkuccio w rzeczywistości nie był czarnym transwestytą. Wszystko to w zasadzie jest prawdą.

Ale... czasami... a nawet całkiem często... sztuki Barda zachowują swą siłę bez względu na to, w jak dziwny sposób postanowią je wystawić genialni reżyserzy. Niekiedy, jak w przypadku filmu Iana McClellana o Ryszardzie III, rezultat jest nawet znakomity.

A skoro już o tym mowa, mój ulubiony film science fiction to nie *2001: Odyseja kosmiczna*, *Obcy*, *Gwiezdne wojny* ani *Blade Runner* czy (brr) *Matrix*, ale *Zakazana planeta*, lepiej znana wtajemniczonym jako *Burza na Altairze-4*, film z udziałem Leslieego Nielsena, Anne Francis, Waltera Pidgeona i Bata Durstona.

Jak to możliwe? Jak krytycy, widzowie i znawcy Szekspira mogli polubić te wszystkie Baty Durstony, bezwstydnie przeniesione z właściwych miejsc i czasów?

Odpowiedź jest prosta. Samochody czy konie, trójgraniaste kapelusze czy togi, blastery czy rewolwery, nic z tego nie ma znaczenia, dopóki ludzie zostają tacy sami. Czasami tak bardzo angażujemy się w kreślenie granic i nalepienie etykiet, że tracimy z oczu tę prawdę.

Najprościej wyrażono to w *Casablance*: „To wciąż ta sama historia, walka o miłość i chwałę, kwestia życia lub śmierci”.

William Faulkner powiedział to samo, odbierając Literacką Nagrodę Nobla. Mówił wówczas o „starych prawdach i pewnikach serca, uniwersalnych prawdach, bez których każda opowieść jest efemeryczna i skazana na zapomnienie – miłości, honorze, litości, dumie, współczuciu i poświęceniu”. Faulkner powiedział, że jedynie wówczas, gdy skupiamy się na problemach ludzkiego serca będącego w konflikcie z samym sobą, możliwe jest dobre pisanie, gdyż tylko o tym warto pisać.

Możemy tworzyć takie definicje science fiction, fantasy albo horroru, jakie tylko zechcemy. Wytyczamy granice i nalepiamy etykiety, ale w ostatecznym rozrachunku to wciąż ta sama historia, mówiąca o ludzkim sercu w konflikcie z samym sobą.

Reszta, przyjaciele, to umeblowanie.

Gmach Fantasy jest zbudowany z kamienia i drewna, a umeblowany w stylu średniowiecznym. Ludzie podróżują tam konno i na pokładach galer, wykorzystują do walki miecze, zaklęcia i topory, porozumiewają się za pomocą palantirów albo kruków i dzielą się chlebem z elfami oraz smokami.

Gmach Science Fiction jest zbudowany z ultraodpornego metalu i plastiku, a umeblowany w stylu pseudoprzyszłościowym. Ludzie podróżują tam gwiazdolotami i autolotami, walczą przy użyciu pocisków nuklearnych i stworzonych przez inżynierię genetyczną zarazków, porozumiewają się za pomocą ansibli oraz laserów i spożywają batony proteinowe w towarzystwie kosmitów.

Gmach Horroru jest zbudowany z kości i pajęczyn, i umeblowany w stylu upiornego gotyku. Ludzie podróżują tam tylko nocą używają w walce wszystkiego, co może zadać okropną śmierć, porozumiewają się za pomocą krzyków, wrzasków oraz bełkotu i chlepczą krew razem z wampirami bądź wilkołakami.

Nazywam to zasadą umeblowania.

Zapomnijcie o definicjach. O wszystkim decyduje umeblowanie.

Zapytajcie Phyllis Eisenstein, która napisała serię świetnych opowiadań o minstrelu wędrującym przez średniowieczne królestwo, którego nazwy nigdy nie wymienia... ale jeśli zagadnąć ją na konwencie, może ją wyszeptać pytającemu do ucha: „Niemcy”. Jedynym fantastycznym elementem w opowiadaniach o Alaricu jest teleportacja, zdolność psioniczna zwykle uważana za trop charakterystyczny dla SF. Ach, ale Alaric gra na lutni, sypia w zamkach i otaczają go uzbrojeni w miecze feudalowie, więc dziewięćdziesięciu dziewięciu czytelników na stu uważa tę serię za fantasy, podobnie jak większość wydawców. O wszystkim decyduje umeblowanie.

Zapytajcie Waltera Jona Williamsa. W swych książkach *Metropolita* i *Miasto w ogniu* opisuje on fantastyczny świat równie bogaty w szczegóły co Śródziemie Tolkiena. Źródłem energii w tym świecie jest magia, którą Walter zwię „plazmą”. Ale ponieważ cały ten świat jest jednym wielkim, niszczącym miastem, pełnym skorumpowanych polityków i napięć na tle rasowym, zaopatrzeniem w owo źródło energii zajmuje się Urząd do spraw Plazmy, a czarodzieje mieszkają w wieżowcach, nie w zamkach, krytycy, recenzenci i czytelnicy uparcie uważają tę serię za science fiction. O wszystkim decyduje umeblowanie.

Peter Nicholls napisał: „... jeśli SF i fantasy w ogóle są odrębnymi gatunkami, to z pewnością nie w czystej postaci... owoce mogą być fantastyką naukową, ale korzenie należą do fantasy, a kwiaty i liście mogą być czymś jeszcze innym”. Można powiedzieć, że Nicholls nie posunął się dostatecznie daleko, gdyż western, kryminał, romans, powieść historyczna i tak dalej również nie są czystymi gatunkami. Jeśli przejdziemy do sedna sprawy, wszystko to są opowieści. Po prostu opowieści.

I to właśnie opowieści wypełniają ostatnią część książki. Garstka opowieści mojego autorstwa. Trochę tego i odrobina tamtego. Dziwne historie, moi drodzy, po prostu dziwne historie.

Weźmy na przykład opowiadanie *W oblężonej twierdzy*. To historia o podróżach w czasie. Z definicji oznacza to, że należy do gatunku science fiction (choć, jeśli się nad tym zastanowić, to czy pomysł podróży w czasie nie jest raczej nienaukową fantazją?), ale zaczął życie jako głównonurtowe opowiadanie historyczne. Jeśli czytaliście tę książkę od początku (a powinniście!) i nie pominęliście moich młodzieńczych opowiadań, pewne aspekty tego utworu wydadzą się wam dziwnie znajome. Tak jest, to nasza stara przyjaciółka, *Forteca*, której zawdzięczam bardzo dobrą ocenę od Franklina D. Scotta i pierwszą odmowę od Erika J. Friisa. W roku 1968 *Forteca* powędrowała do szuflady i zapadła w długi sen. W roku 1984 wyjąłem ją stamtąd, dodałem karła i podróż w czasie, nadałem opowiadaniu tytuł *W oblężonej twierdzy* i sprzedałem je Ellen Datlow do „Omni”. (Nigdy nic nie wyrzucam.)

Jest tu też *Obrót skórą*, pierwszy (i jedyny) utwór w mojej serii o prywatnej detektyw Randi Wade i Williem, wilkołaku i odzyskiwaczu długów. Napisałem go do kolejnego tomu dorocznej antologii horroru wydawanej przez Dark Harvest. Przebywałem wówczas w Los Angeles, pracując nad *Piękną i bestią*. Miałem dzielić *Night Visions 5* ze Stephenem Kingiem i Danem Simmonsem. Wiedziałem, że jeśli chcę grać na tym samym boisku, co ci dwaj, muszę się nieźle przyłożyć. Siedziałem zgarbiony nad swoim komputerem w starym gabinecie Sewarda, długo po tym, jak wszyscy już poszli do domu, wypijałem mnóstwo filiżanek kawy i wracałem do domu tak pobudzony, że nie mogłem zasnąć długo po położeniu się do łóżka. Termin przyszedł i minął, a ja pisałem dalej, mimo że King i Simmons oddali swoje utwory już przed miesiącami. Nie wątpię, że Paul Mikol i Dark Harvest mieli wielką ochotę oddać moje miejsce komuś szybszemu. Ale gdy w końcu wysłałem Paulowi gotowy utwór, napisał mi: „No dobra. Przyznaję to z wielką niechęcią, ale warto było czekać”. W

roku 1989 *Obrót skórą* zdobył World Fantasy Award dla najlepszej mikropowieści. Mogłem postawić nad kominkiem jedno ze wspaniałe posępnych popiersi H. P. Lovecrafta autorstwa Gahana Wilsona. Czasami zakładam mu mały kapelusz.

Słabe warianty są moim szachowym opowiadaniem. Tu również znajdziemy podróże w czasie, ale to przede wszystkim opowiadanie o szachach. Niedługo po przeprowadzce do Santa Fe wpadłem na znakomity pomysł wydania antologii fantastycznych opowiadań o tej grze. Mógłbym w niej zamieścić *Midnight by the Morphy Watch* Fritza Leibera, *The Marvelous Brass Chessplaying Automaton* Gene'a Wolfe'a oraz *Gambit Von Gooma*, cudownie niesamowite krótkie opowiadanko w stylu Lovecrafta, które po raz pierwszy ukazało się w „Chess Review”. Resztę wypełniłyby niepublikowane dotąd utwory. Znałem mnóstwo pisarzy, którzy kochali szachy.

Jednym z nich był Fred Saberhagen. Niestety, kiedy mu napisałem o swoim pomysle, odpisał mi, że właśnie sprzedał Ace Books szachową antologię i zamierza w niej zamieścić *Midnight by the Morphy Watch*, *The Marvelous Brass Chessplaying Automaton* oraz *Gambit Von Gooma*. W rezultacie więc nie on napisał opowiadanie do mojej antologii, ale ja do redagowanej przez niego *Pawn of Infinity*. Utwór opiera się na doświadczeniach, które zebrałem jako kapitan szachowej reprezentacji Northwestern College. Oczywiście, to fikcja literacka i wszelkie podobieństwo do realnych osób, żywych czy umarłych, jest przypadkowe... ale chciałbym przypomnieć, że kiedyś rzeczywiście prowadziłem sześć drużyn podczas Panamerykańskich Drużynowych Mistrzostw College'ów, co było rekordem niepoprawionym przez blisko trzydzieści lat.

Szklany kwiat ma inny, smutniejszy, tytuł do chwały. To ostatni utwór, w którym wróciłem do swej starej fantastycznonaukowej historii przyszłości. Kleronomas był jedną ze sztandarowych postaci tej historii, podobnie jak Stephen Cobalt Northstar, Erika Stormjones czy Tomo i Walberg. Pomyślałem sobie, że już najwyższy czas, by któryś z tych mitycznych bohaterów pojawił się na scenie. *Szklany kwiat* ukazał się w „Asimov's” we wrześniu roku 1986. Pomijając *Avalon*, niedokończoną powieść, którą zacząłem pisać, nim pochłonęła mnie *Gra o tron* oraz *Nie z tego świata*, nie odwiedziłem już więcej żadnego z moich tysiąca światów. Czy jeszcze kiedyś do nich wrócę? Nie mogę nic obiecać. Być może. To wszystko, co mogę powiedzieć. Być może.

Wędrowny rycerz jest prequelem do mojej epickiej serii fantasy *Pieśń lodu i ognia*. Jego akcja rozgrywa się w Siedmiu Królestwach Westeros, mniej więcej dziewięćdziesiąt lat przed wydarzeniami opisanymi w *Grze o tron*. Ponieważ sama seria jest jeszcze nieukończona, nigdy by mi nie przyszło do głowy napisanie prequela, gdyby nie Robert Silverberg, który zadzwonił do mnie z prośbą o opowiadanie do *Legend*, jego nowej, gigantycznej antologii fantasy. Rzecz jasna, wielkie antologie fantasy ukazywały się już przedtem, ale Silverberg zaprosił do *Legend* wszystkie największe gwiazdy: Stephena Kinga, Terry'ego Pratchetta, Ursulę K. Le Guin i innych czołowych autorów fantasy. Było oczywiste, że ta książka

odniesie wielki sukces, i wiedziałem, że muszę umieścić w niej swój utwór. Ponieważ nie chciałem zdradzać zakończenia *Pieśni lodu i ognia*, zdecydowałem się na prequel. (Później się okazało, że kilku innych autorów wybrało tę samą drogę).

Wędrowny rycerz jest opowiadaniem high fantasy, nic nie mogłoby być bardziej oczywiste. Ale czy na pewno? Czy w fantasy nie powinna występować, hmm, magia? W utworze są smoki, owszem... na hełmach i chorągwiach. A także jeden wypchany trocinami, który tańczy na sznurkach. Och, i Dunk przypomina sobie, że stary ser Arian opowiadał mu, iż kiedyś widział prawdziwego, żywego smoka. Być może to powinno wystarczyć. A jeśli nie... no cóż, można powiedzieć, że *Wędrowny rycerz* jest raczej przygodową opowieścią historyczną niż prawdziwą fantasy, tyle że rozgrywa się w wymyślonej historii. Więc do jakiego gatunku należy w końcu ten utwór? Mnie o to nie pytajcie, ja tylko go napisałem. Później powstała druga część tej opowieści *Wierny miecz*. Szukajcie jej w antologii *LEGENDY II*, która ukaże się w najbliższe święta. Zamierzam też napisać następne opowiadania o Dunku i Jaju, chyba że wpadnę pod autobus albo na lepszy pomysł.

Ostatni utwór w książce to *Portrety jego dzieci*, nowela, która w roku 1986 zdobyła Nebulę i była nominowana do nagrody Hugo. Ta historia mówi o pisarstwie i o cenie, jaką pisarze muszą zapłacić, gdy czerpią inspirację ze swych marzeń, lęków i wspomnień. Gdy *Portrety* nominowano do obu nagród, wybuchła gwałtowna debata, czy powinny być dopuszczone. Czy są opowiadaniem fantasy, czy po prostu opowieścią o szaleństwie? A może oboma tymi rzeczami naraz albo ani jedną ani drugą? Osądźcie sami. Mnie wystarcza, że to dobre opowiadanie.

Opowieści o ludzkim sercu będącym w konflikcie z samym sobą wykraczają poza ograniczenia czasu, miejsca i tła. Dopóki są w nich obecne miłość, honor, litość, duma, współczucie i poświęcenie, nie ma najmniejszego znaczenia, czy ten wysoki, chudy nieznajomy trzyma w ręku protonowy blaster, czy sześciostrzałowiec. Albo miecz...

Bat Durston pomknął ze szczękiem zbroi ku staremu, rozsypującemu się zamkowi, wznoszącemu się na brzegach Jeziora Straszliwego, w posępnej krainie oddalonej trzy tysiące mil od królestw ludzi. Gdy był już blisko, ściągnął mocno wodze... i nagle z wylotu jaskini wysunął się wysoki, chudy elf szlachetnej krwi. W bladej jak blask księżycy dłoni trzymał lśniący pałasz.

– Odrzuć miecz, Bacie Durston – wysyczał nieznajomy przez zaciśnięte usta. – Jeszcze o tym nie wiesz, ale to twoja ostatnia konna przejażdżka po krainie elfów.

Fantasy? Science fiction? Horror?

Moim zdaniem wszystko to po prostu opowieści i do diabła z resztą.

Przełożył Michał Jakuszczyński

W obleżonej twierdzy

Stojący na wysokich murach Vargönu pułkownik Bengt Anttonen obserwował mknące nad lodem śniegowe zjawy.

Świat wypełniły śnieg, wiatr i okrutny, palący mróz. Morze zamarzło wokół Helsinek, ściskając w swym lodowym uścisku sześć położonych na wyspach cytadel fortecy zwanej Sveaborgiem. Wiatr był jak nóż wyjęty z pochwy lodu. Przedostawał się pod mundur Anttonena, smagał jego policzki. Sprawiał, że z jego oczu ciekły łzy, które natychmiast zamarzały na policzkach. Wokół wyniosłych murów z szarego granitu zawodził wicher, który wnikał do środka przez drzwi, szczeliny i stanowiska dział, docierając wszędzie. Daleko nad zamrzniętym morzem uderzał ze świstem w rosyjską artylerię i unosił z zasp obłoki śniegu, które tańczyły nad lodem niczym dziwne białe zwierzęta połyskujące w blasku słońca, zmieniając co chwila kształt podczas biegu.

Nie miały stałej postaci, podobnie jak myśli Anttonena. Pułkownik zastanawiał się, jaką formę przybiorą za chwilę te mgliste dzieci śniegu i wiatru i dokąd właściwie tak pędzą. Być może zdołałby je nauczyć atakowania Rosjan. Uśmiechnął się na myśl o śnieżnych bestiach uderzających szarżą na nieprzyjaciela. To był dziwny, szalony koncept. Pułkownik Bengt Anttonen nie był do tej pory człowiekiem obdarzonym bujną wyobraźnią ale ostatnio w jego głowie zaczęły się lęgnąć osobliwe pomysły.

Ponownie skierował twarz pod wiatr, ciesząc się jego niosącym odrętwienie zimnem. Chciał, by ostudził on jego furie, dotarł do serca i zamroził kipiące tam namiętności. Pragnął odrętwienia. Chłód zdołał nawet burzliwe morze przeobrazić w cichy, nieruchomy lód; niech teraz zatriumfuje nad wzburzeniem w duszy Bengta Anttonena. Pułkownik otworzył usta i wypuścił z płuc długi oddech, który otulił jego zaczerwienione policzki obłokiem pary. Potem wciągnął haust lodowatego powietrza, które wypełniło jego płuca niczym płynny tlen.

Ta myśl zrodziła jednak panikę. Znowu, to działo się znowu! Co to był płynny tlen? Wiedział skądś, że to coś zimnego; zimniejszego niż lód i ten wiatr. Płynny tlen był przeraźliwie zimny i biały, był ciecżą buchającą parą. Wiedział to z taką samą pewnością, z jaką znał własne imię. Ale skąd?

Anttonen odwrócił się i zszedł z murów. Posuwał się naprzód długimi, szybkimi krokami, trzymając dłoń na rękojeści szabli, jakby mogła ona zapewnić mu ochronę przed demonami, które wtargnęły do jego umysłu. Inni oficerowie mieli rację. Z pewnością popadał w obłąd. Dowiódł tego dziś po południu, na naradzie sztabowej.

Narada przybrała bardzo nieprzyjemny obrót, jak wszystkie ostatnio. Jak zwykle Anttonen sprzeciwiał się głośno zdaniu pozostałych, trwając w głupim, beznadziejnym oporze. Wiedział, że ma rację, ale wiedział również, że nie zdoła ich przekonać, a każde kolejne słowo umniejsza tylko jego pozycję i szkodzi jego karierze.

Jägerhorn ponownie poruszył tę kwestię. Pułkownik F. A. Jägerhorn był wszystkim, czym nie był Anttonen: ciemnowłosa i przystojny, obyty i uprzejmy, arystokrata cechujący się typowym dla swej sfery opanowaniem. Jägerhorn miał znajomości wśród wpływowych ludzi i jego kariera toczyła się gładko. I, co najważniejsze, cieszył się zaufaniem wiceadmirała Carla Olofa Cronstedta, komendanta Sveaborgu.

Jägerhorn przyniósł na spotkanie cały plik meldunków.

– Te meldunki mówią nieprawdę – upierał się Anttonen. – Rosjanie nie mają przewagi liczebnej. Mają najwyżej czterdzieści dział, admirale. Dziesięć razy mniej niż Sveaborg.

Cronstedt sprawiał wrażenie zdumionego tonem Anttonena, jego pewnością siebie i natarczywością. Jägerhorn uśmiechnął się tylko.

– Czy mogę zapytać, skąd pan ma te dane, pułkowniku Anttonen?

Na to pytanie Anttonen w żadnym wypadku nie mógł odpowiedzieć.

– Wiem o tym – powtórzył.

Jägerhorn potrząsnął trzymanymi w dłoni papierami.

– Moje informacje pochodzą od porucznika Klicka, który przebywa w Helsinkach i ma bezpośredni dostęp do wiarygodnych raportów o planach, posunięciach i liczebności nieprzyjaciela. – Popatrzył na wiceadmirała Cronstedta. – Śmiem twierdzić, admirale, że te dane są znacznie bardziej wiarygodne niż tajemnicza pewność pułkownika Anttonena. Według Klicka Rosjanie już w tej chwili osiągnęli przewagę liczebną a wkrótce generał von Suchtelen otrzyma dalsze posiłki, które pozwolą mu na przeprowadzenie szturm. Co więcej, nieprzyjaciel dysponuje też potężną artylerią. Z pewnością ma więcej niż czterdzieści dział, jak próbuje nam wmówić pułkownik Anttonen.

Cronstedt pokiwał głową na znak zgody, ale Anttonen nawet w takiej chwili nie potrafił utrzymać języka za zębami.

– Admirale – nalegał – raporty Klicka nie są wiarygodne. Temu człowiekowi nie wolno ufać. Albo jest na żołdzie nieprzyjaciela, albo dał mu się oszukać.

Cronstedt zmarszczył brwi.

– To poważne oskarżenia, pułkowniku.

– Klick to głupiec i cholerny zdrajca z Ligi z Anjala!

Jägerhorn obruszył się na te słowa, a Cronstedt i niektórzy młodszy rangą oficerowie byli wręcz oburzeni.

– Pułkownik – odezwał się komendant – wszystkim wiadomo, że pułkownik Jägerhorn ma krewnych w Lidze z Anjala. Pańskie słowa są obraźliwe. Nasza sytuacja i tak jest już trudna i nie pozwolę, żeby moi oficerowie dodatkowo pogarszali ją politycznymi sporami. Ma pan natychmiast przeprosić pułkownika Jägerhorna.

Anttonen nie miał wyboru. Wymamrotał niezgrabne przeprosiny i Jägerhorn zaakceptował je wyniosłym skinieniem głowy. Cronstedt ponownie zajął się papierami.

– To brzmi bardzo przekonująco – mruknął. – I jest też nader niepokojące. Moje obawy się potwierdzają. Znaleźliśmy się w wyjątkowo trudnej sytuacji.

Nie ulegało wątpliwości, że już podjął decyzję. Dalsze spory nie miały sensu. To właśnie w takich chwilach Bengt Anttonen najczęściej zadawał sobie pytanie, jakiego rodzaju obłąd właściwie go opętał. Gdy szedł na narady sztabowe, miał stanowczy zamiar zachowywać się oględnie i uprzejmie, ale gdy tylko zajął miejsce, pojawiała się w nim dziwna arogancja. Wykraczał w sporach daleko poza granice rozsądku; zaprzeczał oczywistym faktom, potwierdzonym w pisemnych raportach pochodzących z wiarygodnych źródeł; odzywał się w najmniej odpowiednich chwilach i wszędzie robił sobie wrogów.

– Nie, admirale – odezwał się – błagam, niech pan nie wierzy w informacje Klicka. Sveaborg ma kluczowe znaczenie dla szans wiosennej kontrofensywy. Nie mamy się czego obawiać, jeśli tylko zdołamy się utrzymać do chwili stopnienia lodu. Gdy szlaki morskie się otworzą, ze Szwecji przybędzie odsiecz.

Twarz wiceadmirała Cronstedta była zapadnięta, znużona i stara.

– Ile razy musimy powtarzać tę samą rozmowę? Zmęczył mnie pański upór. Zdaję sobie sprawę ze znaczenia Sveaborgu dla wiosennej ofensywy. Fakty są jednak oczywiste. W naszych fortyfikacjach są luki, a lód sprawia, że do murów można dotrzeć ze wszystkich stron. Szwedzkie armie ponoszą klęski...

– Wiemy o tym tylko z gazet, które pozwalają nam czytać Rosjanie – przerwał mu Anttonen. – Francuskich i rosyjskich gazet, admirale. To nie są wiarygodne źródła.

Cronstedt w końcu stracił cierpliwość.

– Cisza! – zawołał, uderzając otwartą dłoń w stół. – Mam już dosyć pańskiego uporu, pułkowniku Anttonen. Szanuję pański patriotyczny zapał, ale nie pańskie opinie. Od tej pory, jeśli będę pragnął usłyszeć pańskie zdanie, zapytam o nie. Czy to jasne?

– Tak jest – odparł Anttonen.

– Czy mogę mówić dalej? – zapytał z uśmiechem Jägerhorn.

Ta nagana smagnęła Anttonena z siłą zimowego wichru. Nic dziwnego, że potem zapragnął poszukać samotności na szczycie murów.

Po powrocie na kwaterę Bengt Anttonen był przygnębiony i zdezorientowany. Wiedział, że zapada noc. Nad zamrzniętym morzem, nad Sveaborgiem, nad Szwecją i Finlandią. I nad

Ameryką pomyślał. Nad Ameryką cóż to było za szaleństwo? Jakie znaczenie mogła mieć wojna między Szwecją a Rosją dla tego nowo powstałego kraju, położonego tak daleko stąd?

Wstał, zapalił lampę, jakby światło mogło odegnać niepokojące myśli, a potem obmył twarz zastygłą wodą z miski stojącej na skromnym kredensie. Nad miską wisiało lustro, w którym się przeglądał podczas golenia, nieco skrzywione i zmatowiałe od korozji, ale wciąż nadające się do użytku. Wycierając wielkie, kościste dłonie, spojrzął na własną twarz. Jej tak znajome rysy wydały mu się nagle dziwnie, przerażająco obce. Miał rozczochrane, siwiejące włosy, ciemnoszare oczy, wąski prosty nos, lekko zapadnięte policzki i kwadratowy podbródek. Był też wychudzony. To była uparta, zwyczajna, nieładna gęba. Nosił ją przez całe życie. Dawno już pogodził się ze swym wyglądem. Do niedawna prawie w ogóle o nim nie myślał. Teraz jednak wbił wzrok we własne oblicze, czując, że narasta w nim dziwaczna fascynacja, poczucie satysfakcji z obcych i niepokojących rysów twarzy, którą obserwował w lustrze.

Podobna próżność była niezdrowa, niegodna mężczyzny, stanowiła kolejny symptom obłądzenia. Anttonen oderwał wzrok od lustra i nakazał sobie położyć się z powrotem do łóżka.

Nie mógł zasnąć jeszcze przez długi czas. Pod jego zamkniętymi powiekami tańczyły niezwykle wizje, równie fantastyczne, jak białe zwierzęta rzeźbione ze śniegu przez wiatr: nieznane mu flagi, ściany z gładkiego metalu, wielkie burze ogniowe, mężczyźni i kobiety ohydni jak demony, śpiący w łóżach z płonącej cieczy. Nagle jednak wszystkie te myśli zniknęły, złuszczyły się jak warstwa oparzonej skóry. Bengt Anttonen westchnął niespokojnie i obrócił się przez sen...

* * *

...przed odzyskaniem przytomności zawsze przychodzi ból. To on jest pierwszy, jest jedyną rzeczywistością w cichym, pustym i nieruchomym świecie, który leży poza granicą zmysłowych wrażeń. Przez sekundę, przez godzinę nie wiem, gdzie jestem, i ogarnia mnie strach. Potem nadchodzi wiedza: wracam, wracam, a powrotowi zawsze towarzyszy ból, nie chcę wracać, ale nie mam wyboru. Pragnę słodkiej czystości lodu i śniegu, orzeźwiającego dotyku zimowego wichru, zdrowych rysów twarzy Bengta. Ale to wszystko zanika, zanika, mimo że krzyczę i czepiam się tego z głośnym płaczem. Zanika i po chwili rozplywa się bez śladu.

Wyczuwam ruch, wszędzie wokół. To opada poziom płynu immersyjnego. Najpierw wynurza się moja twarz. Wciągam łapczywie powietrze przez szerokie nozdrza, wypływam rurki z krwawiących ust. Gdy poziom płynu opada poniżej uszu, dochodzi mnie bulgoczący odgłos chciwego ssania. To wampiryczne maszyny karmią się sokami mojej macicy, czarną krwią mojego drugiego życia. Zimny dotyk powietrza na skórze sprawia mi ból. Staram się nie krzyczeć i udaje mi się stłumić wyrywający się z gardła głos do zwykłego skomlenia.

Górną klapę zbiornika pokrywa cienka, czarna jak heban błonka, która przylega do lśniącego metalu. Widzę własne odbicie. Wyglądam okropnie: włoski nozdrzowe drżą na beznosej twarzy, a na prawym policzku widać obrzękły, zielonkawy guz. Przystojny ze mnie skurczybyk. Uśmiecham się, odsłaniając potrójny szereg zepsutych zębów. Nowe siekacze wyrzynają się między nimi niczym zaostrome kołki na polu porośniętym żółtymi muchomorami. Czekam na uwolnienie. Zbiornik jest cholernie mały, jak trumna. Pochowano mnie żywcem; ten strach leży na mnie dotykającym ciężarem. Nie lubią mnie. Co, jeśli po prostu zostawią mnie tu, żebym się udusił na śmierć?

– Wypuście mnie! – szepczę, ale nikt mnie nie słyszy.

W końcu pokrywa się unosi i widzę sanitariuszy. Rafaela i Slima. To potężnie zbudowani mężczyźni, niewyraźnie widoczne białe kolosy z flagami wszytymi nad kieszeniami mundurów. Nie mogę skupić spojrzenia na ich twarzach. Mam kiepski wzrok, a zaraz po powrocie moje oczy funkcjonują jeszcze gorzej niż zwykle. Wiem jednak, że ten ciemnoskóry to Rafe. To on wyciąga rękę i odłącza kroplówkę oraz urządzenia telemetryczne, a Slim robi mi zastrzyk. Ochchch. Dobrze. Ból ustępuje. Zaciskam dłonie na bokach zbiornika. Metal wydaje się dziwny w dotyku. Moje ręce poruszają się niezgrabnie i ostrożnie, ciało reaguje powoli.

– Dlaczego to trwało tak długo? – pytam.

– Nagła sytuacja – wyjaśnia Slim. – Rollins.

Jest drażliwy i małowówny, a do tego mnie nie lubi. Żeby dowiedzieć się czegoś więcej, musiałbym mu zadać całą serię pytań. Nie mam na to siły. Skupiam się na próbach podniesienia się do pozycji siedzącej. Pokój jest skąpany w jaskrawym, niebieskobiałym, fluorescencyjnym świetle. Oczy zachodzą mi łzami po tak długim okresie przebywania w ciemności. Być może sanitariusze myślą, że płaczę z radości wywołanej powrotem. Są potężni, ale niezbyt bystrzy. Powietrze przesyca ostra woń środków odkażających oraz chłód wywołany klimatyzacją. Rafe unosi mnie z trumny, piątej w szeregu sześciu srebrzystych pojemników. Wszystkie są podłączone do stojących wokół komputerów. Pozostałe trumny są puste. Przemyka mi przez głowę myśl, że jestem ostatnim wampirem, który przebudził się dziś w nocy. Potem sobie przypominam. Czterech z nich już nie ma, nie ma już od dawna. Zostaliśmy tylko Rollins i ja, a Rollinsowi coś się stało.

Sadzają mnie na moim wózku, Slim staje z tyłu i wiezie mnie obok pustych trumien, a potem w górę rampy, żebym jak najszybciej złożył raport.

– Co z Rollinsem? – pytam.

– Straciliśmy go.

Nie lubiłem Rollinsa. Był jeszcze brzydszy ode mnie – mały, zasuszony homunkulus o zbyt wielkiej czaszce i wykreconym tułowiu, pozbawiony rąk i nóg. Jego oczy były naprawdę ogromne i nie miał powiek, więc nigdy nie mógł ich zamknąć.

Nawet kiedy spał, wydawało się, że się na ciebie gapi. Do tego nie miał poczucia humoru. Nawet za grosz. Kiedy jest się gachem, trzeba mieć poczucie humoru. Jednakże bez względu na swe wady Rollins był ostatni oprócz mnie. A teraz go straciliśmy. Nie czuję żalu, tylko odrętwienie.

Pokój raportowy jest zagrożony, ale z jakiegoś powodu robi bezosobowe wrażenie. Czekają na mnie po drugiej stronie stołu. Sanitariusze zatrzymują wózek naprzeciwko nich i odchodzą. Błat z plastikowego laminatu jest barierą oddzielającą mnie od przełożonych, być może to *cordon sanitaire*. W końcu nie mogą pozwolić, żebym zanadto się zbliżył. To może być zaraźliwe. Oni są normalni, a ja jestem... kim właściwie jestem? Komisja poborowa przyznała mi kategorię LM3, Ludzka Mutacja Trzeciej Kategorii. Potocznie elem trzy. Elem jeden to niefunkcjonalne mutacje, ci, którzy rodzą się martwi, umierają w dzieciństwie albo są żywymi roślinami. Mamy ich miliony. Elem dwa to ludzie zdolni do życia, ale beużyteczni. To wszyscy ci faceci z dodatkowymi palcami u nóg, błonami pławnymi na dłoniach albo dziwnymi oczyma. Są ich tysiące. Ale elem trzy to pierdolona elita. Tak przynajmniej nam mówią, kiedy nas biorą do wojska. Tu, wewnątrz bunkra Projektu Grahama, otrzymujemy nową nazwę. Staruszek Charlie Graham nazywał nas „jeźdźcami czasu”, ale dla majora Salazara to było zbyt romantyczne. Salazar woli oficjalne rządowe określenie „Grahamowski Chrononauta”. Sanitariusze i żołnierze przewalali nas „gachami” od skrótu GCh, ale my przyjęliśmy to określenie za swoje – ja, Nan i Creeper, kiedy jeszcze byli z nami. Oni mieli świetne poczucie humoru. Przewalaliśmy samych siebie „supergachami”. Sześciu supergachów jadących na fali czasu, by przyprawić gębę samemu prawdopodobieństwu. Hej ho!

A teraz został tylko jeden.

Salazar przesuwając papiery po blacie. Robi wrażenie chorego. Spod jego smagłej cery przebija niezdrowy, zielonkawy odcień, a na nosie widać ślady pękniętych naczyń krwionośnych. Nikt z nas, żyjących pod ziemią, nie jest w zbyt dobrym stanie, ale Salazar wygląda gorzej niż większość. Przybrał na wadze i nie jest mu z tym do twarzy. Wszystkie mundury są teraz na niego za ciasne, a nowych już nie dostanie. Zamknięto kantyny i tkalnie, więc za kilka lat wszyscy będziemy nosili łachmany. Mówiłem Salazarowi, że powinien pomyśleć o diecie, ale nikt nigdy nie słucha gachów, chyba że mówią o rogaczach.

– Słucham – warczy.

Świetny sposób na rozpoczęcie przesłuchania. Przed trzema laty, kiedy zaczynał, był kwaśny jak ocet, sztywny jak nakrochmalony i po wojskowemu poprawny, ale teraz nawet Majuś nie ma czasu na zachowywanie pozorów.

– Co się stało z Rollinsem? – pytam.

Doktor Veronica Jacobi siedzi obok Salazara. Była tu głównym psychoanalitykiem, ale odkąd Hakerów Grahama szlag trafił, kieruje całą naukową stroną projektu.

– Uraz towarzyszący śmierci – wyjaśnia profesjonalnym tonem. – Zapewne zabito jego gospodarza.

Kiwam głową. To stara historia. Zdradzeni mężowie czasem się mszczą.

– Udało mu się coś osiągnąć?

– Nic takiego nie zauważyliśmy – odpowiada ponurym tonem Salazar.

Takiej odpowiedzi się spodziewałem. Rollins nawiązał kontakt z jakimś ciemnym piechurem z armii Karola XII. Przed oczyma mojej duszy pojawia się absurdalny obraz Rollinsa każącego podejść biednemu żołdakowi do swego świeżowatego, małoletniego króla i powiedzieć mu, żeby trzymał się z dala od Połtawy. Karol zapewne kazałby go natychmiast powiesić. Choć, jeśli się zastanowić, to musiało zdarzyć się szybciej, bo w przeciwnym razie Rollins zdążyłby się wycofać.

– Czekam na meldunek – popędza mnie Salazar.

– Dobra, Majuś – odpowiadam leniwie. Nie znosi, kiedy mówi się na niego „Majuś”, choć nie wkurza go to aż tak bardzo jak „Sally”; tak mówił na niego Creeper. Supergachy to niewychowana zgraja. – Nic z tego nie będzie – odzywam się. – Cronstedt spotka się z generałem von Suchtelenem i rozpocznie negocjacje w sprawie kapitulacji. Nic z tego, co mówi Bengt, nie zmieni jego opinii. Za mocno naciskałem na Bengta. Myśli, że popada w obłąd. Obawiam się, że może się załamać.

– Wszyscy jeźdźcy czasu podejmują to ryzyko – stwierdza Jacobi. – Im dłużej utrzymujesz kontakt, tym silniejszy wpływ wywierasz na gospodarza i tym większe prawdopodobieństwo, że wyczuje on twoją obecność. Tylko nieliczni gospodarze potrafią znieść tę świadomość.

Ronnie ma miły głos i zawsze była dla mnie uprzejma. Czysta, wysoka, spokojna, sympatyczna i nade wszystko niewiarygodnie dobrze wychowana. Zastanawiam się, czy byłaby równie miła, gdyby wiedziała, że odkąd tu jesteśmy, zawsze zajmowała poczesne miejsce w moich masturbacyjnych fantazjach. W Skrzynce Hakerów zamknięto pięć kobiet razem z trzydziestoma dwoma mężczyznami i sześciorgiem gachów, a ze wszystkich tych osób ona jest zdecydowanie najatrakcyjniejsza.

Creeper również uważał ją za atrakcyjną. Umieścił nawet w jej pokoju pluskwy, żeby podglądać ją w akcji. Nigdy się nie zorientowała. Creeper miał talent do takich rzeczy. Montował małe audiowizualne nadajniki na swoim stole warsztatowym i podrzucał je wszędzie. Mówił, że skoro nie może mieć własnego życia, to chce przynajmniej popatrzeć na życie innych. Pewnej nocy zaprosił mnie do swojego pokoju, żeby oglądać, jak Ronnie zabawia się z wysokim, rudowłosym kapitanem Halliburtonem, szefem ochrony bazy i jej towarzyszem w tych wczesnych dniach. Patrzyłem na to, tak, muszę przyznać, że patrzyłem. Ale potem ogarnęła mnie złość. Powiedziałem Creeperowi, że nie ma prawa szpiegować Ronnie ani nikogo z nich.

– Oni każą nam szpiegować naszych gospodarzy – sprzeciwił się. – Kurwa, wchodzimy im do głów, ty głupi gachu.

Powiedziałem mu, że to co innego, ale wściekł się tak bardzo, że nie mogłem mu nic wytłumaczyć.

To była nasza jedyna kłótnia. W ostatecznym rozrachunku nie znaczyła zbyt wiele. Nadal ich podglądał, tylko już beze mnie. Nigdy nie złapali małego skurczybyka, ale to nie miało znaczenia, bo pewnego dnia wyruszył na wyprawę w czasie i już nie wrócił. Wielki i silny kapitan Halliburton również zmarł. Pewnie złapał za dużo radów podczas jednej z kontroli bezpieczeństwa. O ile mi wiadomo, urządzenie Creepera nadal jest na miejscu, i od czasu do czasu nachodziła mnie ochota, żeby podejrzeć Ronnie i sprawdzić, czy znalazła sobie nowego kochanka. Nie zrobiłem tego jednak. Właściwie nie chcę tego wiedzieć. Wolę swoje erotyczne fantazje. One są bez porównania lepsze od prawdy.

Salazar zabębnił pulchnymi palcami w blat.

– Zdaj nam pełen raport ze swoich poczynąń – zażądał krótko.

Wzdycham i daję im to, czego chcą opowiadając wszystko z nudnymi szczegółami.

– Kluczem do problemu jest Jägerhorn – mówię na koniec. – Cronstedt słucha jego, nie Anttonena.

Salazar marszczy brwi.

– Gdyby tylko udało ci się nawiązać kontakt z Jägerhornem – mruczy. Cóż to za bezużyteczne narzekanie. Wie, że to nierealne.

– Trzeba się zadowolić tym, co mamy – mówię mu. – Jeśli już pragniemy niemożliwego, to dlaczego zatrzymywać się na Jägerhornie? Czemu nie Cronstedt? Kurczę, czemu by nie sam cholerny car?

– On ma rację, majorze – wtrąca Veronica. – Powinniśmy się cieszyć, że udało się nawiązać kontakt z Anttonenem. On przynajmniej jest pułkownikiem. To najlepszy wynik, jaki zdołaliśmy uzyskać we wszystkich docelowych okresach.

Salazar nadal nie czuje się zadowolony. Jest z zawodu historykiem wojskowości. Kiedy przenieśli go tu z West Point czy tego, co z niego zostało, myślał, że czeka go łatwe zadanie.

– Anttonen ma marginalne znaczenie – oznajmia. – Musimy dotrzeć do kluczowych postaci. Twoi chrononauci dają mi tylko biernych widzów wymienianych drobnym drukiem w przypisach, niewłaściwych ludzi, którzy znaleźli się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. To niewykonalne.

– Wiedziałeś, że to niebezpieczna robota, kiedy się jej podjąłeś – odpowiadam. – Nie możemy wybierać.

Majuś łypie na mnie spode łba. Ziewam.

– Jestem już tym zmęczony – oznajmiam. – Chcę coś zjeść. Najlepiej lody. Lody w wysokich miseczkach. Śmieszne, co? Tam wokół jest pełno lodu, a ja wracam i domagam się lodów.

Oczywiście nie ma tu żadnych lodów. Już od połowy pokolenia nie było ich nigdzie w tym nieszczęsnym piekle, które nazywają światem. Ale Nan mi o nich opowiadała. Nan była najstarszą z gachów, jedyną która urodziła się przed wielką katastrofą i powtarzała nam mnóstwo historii o tym, jak sprawy wyglądały przedtem. Najbardziej lubiłem, jak opowiadała o lodach. Mówiła, że były gładkie, zimne i słodkie. Topiły się na języku i wypełniały usta pysznym półpłynnym chłodem. Czasami recytowała nam nazwy smaków głosem tak samo poważnym, jak kapelan Tood czytający fragmenty Biblii: waniliowe, truskawkowe, czekoladowe, toffi, pralinkowe, rumowe z rodzynkami, bananowe, pomarańczowe, miętowo-czekoladowe, pistacjowe, karmelowe, kawowe, cynamonowe i pekanowe. Creeper często wymyślał smaki, żeby sobie z niej żartować, ale Nan nie sposób było wyprowadzić z równowagi. Spokojnie dodawała jego wynalazki do listy i wspominała czule lody migdałowe z anchois, wątróbkowe i popromienne, aż w końcu nie potrafiłem już odróżnić rzeczywistych smaków od wymyślonych. Zresztą i tak było mi wszystko jedno.

To Nan straciliśmy pierwszą. Czy w Petersburgu w roku 1917 mieli lody? Mam nadzieję, że tak. Mam nadzieję, że zdążyła zjeść przed śmiercią parę porcji.

Uświadamiam sobie, że major Salazar nadal mówi. Nie przerywa już od pewnego czasu.

– ...nasza ostatnia szansa – ciągnie.

Zaczyna bredzić o Sveaborgu, o znaczeniu tego, co tu robimy, o pilnej potrzebie zmienienia czegoś w jakiś sposób, zapobieżenia powstaniu Związku Sowieckiego i również wybuchowi wojny, która spustoszyła świat. Słyszałem to wszystko już przedtem, znam to na pamięć. Majuś cierpi na nieuleczalny przypadek słownej biegunki, a ja nie jestem taki głupi, na jakiego wyglądam.

Wszystko to był pomysł Hakera Grahama, ostatnia szansa na wygranie wojny, czy może po prostu na uratowanie się przed epidemiami, bombami i zatrutym wiatrem. Ale Majuś był historykiem, więc to on wybrał cele, gdy komputery dokonały już analiz prawdopodobieństwa. Miał sześciu gachów, więc mógł sobie pozwolić na sześć prób. Mówił na to „punkty węzłowe”. Krytyczne momenty historii. Rzecz jasna, niektóre z nich były lepsze od innych. Rollins dostał wielką wojnę północną, Nan rewolucję, Creeper cofnął się aż do czasów Iwana Groźnego, a mnie przypadł w udziale Sveaborg. Niezdobyty, niezwyciężony Sveaborg. Gibraltar Północy.

– Nie ma powodu, żeby Sveaborg kapitulował – mówi Majuś. To jego odpowiednik litanii o lodach. Historia i taktyka dają mu pocieszenie, tak jak karmelowe lody dawały je Nan. – Garnizon ma siedem tysięcy żołnierzy, znacznie więcej niż oblegający fortecę Rosjanie. Również jej artyleria jest znacznie silniejsza. Amunicji i prowiantu jest pod dostatkiem. Jeśli Sveaborg utrzyma się do chwili otwarcia morskich szlaków, Szwecja przejdzie do kontrofensywy i oblężenie się skończy. Wynik wojny może się zmienić! Musisz spowodować, żeby Cronstedt posłuchał głosu rozsądku.

– Gdybym tylko mógł tam przenieść podręcznik historii i dać mu do przeczytania, co o nim pisać, z pewnością stanąłby na głowie, żeby tego uniknąć – odpowiadam. Mam już tego dość. – Jestem zmęczony – oznajmiam. – Chcę coś zjeść. – Nagle, bez wyraźnego powodu, zbiera mi się na płacz. – Chcę coś zjeść, do cholery. Nie chcę już więcej gadania, słyszysz. Chcę coś zjeść.

Salazar łypie na mnie ze złością ale Veronica słyszy napięcie w moim głosie. Wstaje i podchodzi do mnie.

– O to nie będzie trudno – mówi do mnie i do Majusia. – Nic tu już więcej nie osiągniemy. Dam mu coś do jedzenia, zgoda?

Salazar chrząka, ale nie ma odwagi się sprzeciwić. Veronica zawraca wózek i wiezie mnie w stronę kantyny.

Tam próbuje mnie pocieszać nad kawą o stęchłym zapachu oraz talerzem tajemniczego mięsa z przegotowanymi jarzynami. Radzi sobie z tym całkiem nieźle, w końcu to jej zawód. Być może w dawnych czasach nie uchodziłaby za szczególnie atrakcyjną – w końcu widziałem czasopisma sprzed wojny, nawet tu, na dole, mamy stare „Playboye”, stare taśmy wideo, stare powieści, stare płyty, stare śmieszne książeczki, oczywiście nic nowego, nic współczesnego, ale całe tony starego chłamu. Powinienem to wiedzieć, bo praktycznie oddycham tym wszystkim. Kiedy tylko nie miotam się wewnątrz czaszki Bengta, siedzę sobie przed telewizorem i oglądam jakiś stary program albo film, może czytając przy tym książkę w miękkiej oprawie, i próbuję sobie wyobrazić, jak wyglądało życie w tamtych czasach, nim jeszcze ludzie wszystko spieprzyli. Znam więc dawne standardy i niewykluczone, że Ronnie faktycznie nie może się równać z, powiedzmy, Bo, Marilyn, Brigitte czy Garbo. Ale i tak jest najładniejsza ze wszystkich w tym cholernym szambie. My również ustępujemy dawnym wzorom. Creeper nie był Groucho Marxem, bez względu na to, jak bardzo starał się mu dorównać, a ja wyglądam całkiem jak Jimmy Cagney, ale ten wielki zielony guz, dodatkowe żółte zęby oraz brak nosa psują odrobinę efekt.

Odsuwam widelec, zostawiając niedokończony posiłek.

– To nie ma smaku. W dawnych czasach jedzenie miało smak.

Veronica wybucha śmiechem.

– Masz szczęście. Możesz go skosztować. Reszta z nas musi się zadowolić tym.

– Szczęście? Ha, ha. Znam różnicę, Ronnie. Ty jej nie znasz. Czy może ci brakować czegoś, czego nigdy nie miałaś? – Mam już jednak dość rozmowy o tym. Mam dość wszystkiego. – Chcesz zagrać w szachy?

Uśmiecha się i wstaje, by poszukać naszej szachownicy. Po godzinie wygrała już pierwszą partię i właśnie zaczynamy drugą. W Skrzynce Hakerów jest kilkunastu szachistów. Teraz, gdy nie ma już Grahama i Creepera, potrafię pokonać wszystkich oprócz Ronnie. To śmieszne, ale w roku 1808 zapewne mógłbym zostać mistrzem świata. Szachy przeszły długą

drogę przez ostatnie dwieście lat, a ja znam na pamięć otwarcia, o jakich tym dawnym graczom nawet się nie śniło.

– W tej grze jest coś więcej niż książkowe otwarcia – zwraca mi uwagę Veronica i zdaje sobie sprawę, że mówiłem na głos.

– I tak bym wygrał – nie ustępuję. – Hej, oni nie żyją już od stuleci. Myślisz, że są jeszcze zdolni do walki?

Uśmiecha się i przesuwa skoczką.

– Szach – mówi.

Uświadamiam sobie, że znowu przegrałem.

– Któregoś dnia nauczę się w to grać – stwierdzam. – Ładny ze mnie mistrz świata.

Veronica zaczyna chować figury.

– Ten interes ze Sveaborgiem przypomina partię szachów – zauważa od niechcienia. – Partię szachów toczoną ponad czasem. My i Szwedzi przeciwko Rosjanom i fińskim nacjonalistom. Jak uważasz, jakie posunięcie powinniśmy wykonać przeciwko Cronstedtowi?

– Ciekawe, skąd wiedziałem, że wrócimy do tego tematu? – pytam. – Nie mam pojęcia. Pewnie Majuś wpadł na jakiś pomysł?

Kiwa głową. Ma teraz poważną minę. Jej twarz jest blada i delikatna, a włosy ciemne.

– To desperacki plan, ale żyjemy w pełnych desperacji czasach.

Zastanawiam się, co by się wydarzyło, gdyby mi się udało? Gdybym faktycznie coś zmienił? Co by się stało z Veronicą, Majusiem, Rafe'em, Slimem i całą resztą? Co by się stało ze mną leżącym w ciemnej trumnie? Mamy na ten temat tylko teorie. Nikt nie wie niczego na pewno.

– Ja również jestem zdesperowany – mówię – i gotowy podjąć wszelkie kroki. Subtelność guzik nam dała. Słucham. Co mam kazać zrobić Bengtowi? Wynaleźć karabin maszynowy? Uciec do Ruskich? Obnażyć genitalia na murach? Słucham.

Mówi mi to.

Nie jestem do końca przekonany.

– Może i się uda – odpowiadam – ale bardziej prawdopodobne jest, że zamkną Bengta w najgłębszym lochu, jaki tam mają. Naprawdę uważają go za wariata. Jägerhorn może go po prostu zastrzelić.

– Nie – zaprzecza Veronica. – Jägerhorn jest na swój sposób idealistą. Człowiekiem z zasadami. Zgadzam się, że to ryzykowne posunięcie, ale nie wygrywa się w szachy, nie podejmując ryzyka. Zrobisz to?

Ma taki miły uśmiech. Chyba mnie lubi. Wzruszam ramionami.

– Może i zrobię – potwierdzam. – Nie umiem tańczyć.

* * *

– ...pozwoli się wysłać dwóch kurierów do króla, jednego północnym, a drugiego południowym szlakiem. Posłańcom wyda się paszporty i listy żelazne, a także udzieli się im wszelkich możliwych ułatwień w podróży. Spisane na wyspie Lonan, 6 kwietnia 1808.

Monotonny głos czytającego tekst porozumienia oficera ucichł nagle. W pomieszczeniu zapadła grobowa cisza. Kilku szwedzkich oficerów poruszyło się nerwowo na krzesłach, ale nikt się nie odzywał.

Wiceadmirał Cronstedt wstał powoli.

– Tak wygląda porozumienie – oznajmił. – Ze względu na naszą niepewną pozycję oferowane nam warunki są lepsze, niż mieliśmy prawo się spodziewać. Zużyliśmy już jedną trzecią zapasów prochu, nasze fortyfikacje są narażone na atak ze wszystkich stron z uwagi na lód, przeciwnik ma przewagę liczebną a do tego jesteśmy zmuszeni karmić wielką liczbę uchodźców, którzy szybko pochłaniają nasze zapasy. Generał von Suchtelen mógłby zażądać od nas natychmiastowej kapitulacji. Dzięki Bogu, nie zrobił tego. Pozwolono nam zachować trzy z sześciu wysp Sveaborgu. Zatrzymamy też dwie następne, jeśli przed trzecim maja przybędzie tu z odsieczą pięć szwedzkich okrętów liniowych. Jeżeli Szwecja nie udzieli nam pomocy, musimy się poddać. Niemniej po zakończeniu wojny flota zawróci do Szwecji, a natychmiastowe podpisanie zawieszenia broni zapobiegnie dalszemu przelewowi krwi.

Cronstedt usiadł. Pułkownik Jägerhorn, który zajmował miejsce obok niego, poderwał się dziarskim ruchem.

– W przypadku, gdyby szwedzkie okręty nie przybyły na czas, musimy przygotować plany uporządkowanej kapitulacji garnizonu – powiedział i przystąpił do omawiania szczegółów.

Bengt Anttonen siedział cicho. Spodziewał się tej wiadomości, wiedział skądś, że nadzieje, lecz nie umniejszało to jego trwogi. Cronstedt i Jägerhorn wynegocjowali katastrofę. To była głupota. To było tchórzostwo. To było skazane na niepowodzenie. Natychmiastowa kapitulacja Wester-Svartö, Langornu i Oster-Lilla-Svartö, a poddanie się reszty garnizonu odwleczone o pozbawiony znaczenia miesiąc. Okryją się hańbą w oczach historii. Uczniowie w szkołach będą przeklinać ich nazwiska. A on był bezradny.

Kiedy narada wreszcie się skończyła, a pozostali oficerowie wstali i ruszyli ku wyjściu, Anttonen wstał razem z nimi, zdeterminowany zachować milczenie, choć raz wyjść spokojnie i pozwolić im sprzedać Sveaborg za trzydzieści srebrników, jeśli tego właśnie pragnęli. Gdy jednak spróbował się odwrócić, znowu zawładnął nim przymus. Pułkownik ruszył prosto ku Cronstedtowi i Jägerhornowi, którzy pozostali na swoich miejscach. Obaj przyglądali mu się uważnie. Anttonen miał wrażenie, że dostrzega w ich oczach znużoną rezygnację.

– Nie wolno panu tego zrobić – oznajmił ciężkim tonem.

– To już się stało – odparł Cronstedt. – Ten temat nie podlega dalszej dyskusji. Ostrzegalem pana. Proszę wrócić do swych obowiązków.

Wstał i odwrócił się ku wyjściu.

– Rosjanie pana oszukują – nie ustępował Anttonen.

Cronstedt zatrzymał się i popatrzył na niego.

– Admirale, błagam, musi mnie pan wysłuchać. Ta klauzula mówiąca, że pozwolą nam zatrzymać fortecę, jeśli do trzeciego maja dotrze do nas pięć okrętów liniowych, jest oszustwem. Do trzeciego maja lody nie stopnieją. Żaden okręt do nas nie dotrze. Warunki zawieszenia broni stwierdzają że te okręty muszą wpłynąć do portu Sveaborgu nie później niż w południe trzeciego maja. Generał von Suchtelen wykorzysta czas, jaki da mu rozejm, żeby przesunąć działa i zyskać kontrolę nad prowadzącymi tu szlakami wodnymi. Każdy okręt, który spróbuje dotrzeć do Sveaborgu, znajdzie się pod ciężkim ostrzałem. Jest też coś więcej. Admirale, posłańcy, których zamierza pan wysłać do króla...

Twarz Cronstedta była zimna jak wykuta z lodu i granitu. Wiceadmiral uniósł rękę.

– Dość już tego. Pułkowniku Jägerhorn, niech pan aresztuje tego szaleńca.

Zebrał papiery, nie patrząc Anttonenowi w twarz i wyszedł gniewnie z pokoju.

– Pułkowniku Anttonen, jest pan aresztowany – oznajmił Jägerhorn zaskakująco łagodnym tonem. – Ostrzegam, niech pan nie stawia oporu. To tylko pogorszy sytuację.

Anttonen odwrócił się i spojrzał w twarz drugiemu oficerowi. Ogarnęła go rozpacz.

– Nie chce pan mnie słuchać. Nikt z was nie chce słuchać. Czy wie pan, co robi?

– Sądzę, że tak – odparł Jägerhorn.

Anttonen wyciągnął rękę i złapał go za klapę munduru.

– Nie wie pan. Sądzi pan, że nie wiem, kim pan jest, Jägerhorn? Jest pan nacjonalistą do diabła. To wielki wiek nacjonalizmu. Pan i pańska Liga z Anjala, cała cholerna fińska szlachta to nacjonaści. Macie dość szwedzkiej dominacji. Car obiecał wam, że Finlandia będzie autonomicznym państwem pod jego protektoratem, więc postanowiliście zerwać związki ze szwedzką koroną.

Pułkownik F. A. Jägerhorn zamrugał powiekami. Jego twarz przybrała na chwilę dziwny wyraz. Potem odzyskał panowanie nad sobą.

– Nie może pan tego wiedzieć – zdumiał się. – Nikt nie zna warunków.

Anttonen potrząsnął nim.

– Staniecie się pośmiewiskiem historii, Jägerhorn. Szwecja przegra przez was tę wojnę, Sveaborg skapituluje, a wasze życzenie się spełni. Finlandia stanie się autonomicznym państwem pod panowaniem cara. Ale wcale nie będzie bardziej wolna niż teraz, pod rządami Szwedów. Zamienicie swojego króla na rzeźników z czasów Wielkiego Gniewu, jak stare krzesło na pchlim targu, i nic na tym nie zyskacie.

– Jak na... targu z pchłami? A co to takiego?

Anttonen skrzywił się.

– Pchli targ, pchły... Nie wiem – odparł. Puścił Jägerhorna i odwrócił się. – Dobry Boże, wiem. To miejsce, gdzie sprzedaje się albo wymienia różne rzeczy. Jarmark. Nie ma nic wspólnego z pchłami, ale jest pełne niezwykłych przedmiotów i dziwnych zapachów. –

Przebiegł palcami po włosach, starając się stłumić krzyk. – Jägerhorn, mam w głowie pełno demonów. Dobry Boże, muszę to komuś wyznać. Głosy, słyszę głosy w dzień i w nocy, jak ta francuska dziewczyna Joanna, dziewica-wojownik. – Popatrzył Jägerhornowi prosto w oczy, ujrzał w nich strach i uniósł otwarte dłonie w błagalnym geście. – To nie dzieje się z mojej woli, musi mi pan uwierzyć. Modłę się o ciszę, o uwolnienie, ale szepty nie milkną i mam te dziwne ataki. Nie pragnąłem tych wizji, ale one muszą czemuś służyć, muszą być prawdziwe. W przeciwnym razie dlaczego Bóg miałby tak mnie dręczyć? Niech pan się nade mną zlituje, Jägerhorn. Niech pan się nade mną zlituje i mnie wysłucha!

Pułkownik Jägerhorn rozejrzał się wokół w poszukiwaniu pomocy, ale obaj mężczyźni zostali sami.

– Tak – zgodził się. – Głosy, jak ta francuska dziewczyna. Nie wiedziałem o tym.

Anttonen potrząsnął głową.

– Słyszysz pan, ale nie chce mi uwierzyć. Jest pan patriotą i marzy pan o tym, że zostanie bohaterem. Tak się nie stanie. Zwykli Finowie nie podzielają pańskich marzeń. Pamiętają o Wielkim Gniewie. Rosjanie są dla nich tylko odwiecznymi wrogami, których nienawidzą. Pana również znienawidzą. A Cronstedt, ach, biedny admirał Cronstedt. Przez całe pokolenia jego pamięć będą przeklinać wszyscy Finowie i wszyscy Szwedzi. Dokona żywota w nowym Wielkim Księstwie Finlandii, na rosyjskiej pensji, i umrze jako złamany człowiek 7 kwietnia 1820 roku, dwanaście lat i jeden dzień po tym, jak spotkał się z von Suchtelenem na Lonanie i oddał Sveaborg Rosji. Wiele lat później człowiek nazwiskiem Runeberg napisze serię poematów o tej wojnie. Czy wie pan, co będzie miał do powiedzenia o Cronstedcie?

– Nie wiem – odrzekł Jägerhorn, uśmiechając się z zażenowaniem. – Czy te głosy to panu powiedziały?

– Zmusiły mnie do nauczenia się tego na pamięć – odparł Bengt Anttonen i zaczął recytować:

*Zwijcie go tarczą niezłomną i twardą,
która zawiodła, stchórzyła przed próbą,
zwijcie go Śmiercią, Grzechem i Pogardą,
zwijcie go Klęską i Hańbą i Zgubą,
a jego nazwisko niech zniknie z pamięci,
by tym, co je noszą, wstydu zaoszczędzić.*

– Tak wygląda chwała, którą pan i Cronstedt zdobędziecie tu dla siebie, Jägerhorn – dodał z goryczą Anttonen. – Tak wygląda wasze miejsce w historii. Spodobało się panu?

Pułkownik Jägerhorn okrążył ostrożnie Anttonena i miał już otwartą drogę ku drzwiom. Zawahał się jednak.

– Pańskie słowa świadczą o obłądnie – stwierdził. – Ale z drugiej strony... z drugiej strony... skąd mógł pan wiedzieć o obietnicach cara? Prawie mnie pan przekonał. Głosy? Jak ta francuska dziewczyna? Mówi pan, że to głos Boga?

Anttonen westchnął.

– Boga? Nie mam pojęcia. Słyszę głosy, Jägerhorn, to wszystko. Być może rzeczywiście jestem obłąkany.

Jägerhorn wykrzywił twarz.

– Mówi pan, że historia nas potępi? Że nazwą nas zdrajcami i będą pisać przeciwko nam poematy?

Anttonen nie odpowiedział. Atak obłądzenia minął i wypełniła go bezradna rozpacz.

– Nie – ciągnął Jägerhorn. – Jest już za późno. Podpisaliśmy umowę. Postawiliśmy na nią swój honor. A admirał Cronstedt jest pełen niepewności. Jest tu jego rodzina i boi się o nią. Von Suchtelen manipulował nim po mistrzowsku, a my również odegraliśmy swą rolę. Nie sposób już tego odwrócić. Nie wierzę w ten pański obłąd, a nawet gdybym uwierzył, to i tak nie ma nadziei. Nic się nie da zrobić. Okręty nie przyłyną na czas. Sveaborg musi skapitulować, a wojna musi się skończyć porażką Szwecji. Jak mogłoby być inaczej? Car jest sojusznikiem samego Bonapartego, nie sposób mu się oprzeć.

– Ten sojusz się nie utrzyma – odparł Anttonen, uśmiechając się z żalem. – Francuzi pomaszczą na Moskwę i to ich zniszczy, tak jak zniszczyło Karola XII. Zima stanie się ich Połtawą. Ale wtedy będzie już za późno dla Finlandii, za późno dla Sveaborgu.

– Już w tej chwili jest za późno – stwierdził Jägerhorn. – Nic już nie można zmienić.

Bengt Anttonen po raz pierwszy poczuł leciutką nadzieję.

– Nie jest za późno.

– Co więc pan doradza? Cronstedt już podjął decyzję. Czy mamy się zbuntować?

– W Sveaborgu i tak dojdzie do buntu, bez względu na to, czy się do niego przyłączymy. Ale ten bunt zostanie stłumiony.

– Cóż więc zostaje?

Bengt Anttonen uniósł głowę i spojrzał Jägerhornowi prosto w oczy.

– Umowa stwierdza, że możemy wysłać dwóch kurierów do króla. Mają go oni poinformować o warunkach umowy, żeby okręty mogły na czas wyruszyć w drogę.

– Tak. Cronstedt wyznaczy ich dzisiaj i wyruszą w drogę jutro. Dostaną od von Suchtelena dokumenty gwarantujące bezpieczny przejazd.

– Cronstedt pana słucha. Niech go pan przekona, żeby wyznaczył mnie na kuriera.

– Pana? – Mina Jägerhorna wyrażała niedowierzanie. – A co by to dało? – zmarszczył brwi. – A może ten głos, który pan słyszy, jest głosem pańskiego strachu? Być może spędził pan zbyt wiele czasu w obleżonej twierdzy i to pana złamało, a teraz ma pan nadzieję wyrwać się na wolność?

– Potrafię udowodnić, że moje głosy mówią prawdę – zapewnił Anttonen.

– W jaki sposób? – warknął Jägerhorn.

– Spotkam się z panem jutro o świcie przy grobowcu Ehrensvarda i podam panu nazwiska kurierów wybranych przez Cronstedta. Jeśli będę miał rację, przekona pan admirała, żeby wysłał mnie zamiast jednego z tych ludzi. Zgodzi się z chęcią. Ma wielką ochotę się ode mnie uwolnić.

Pułkownik Jägerhorn potarł żuchwę, pogrążony w głębokim zamyśleniu.

– Nikt poza Cronstedtem nie może znać tych nazwisk. To uczciwa próba. – Wyciągnął rękę. – Zgoda.

Uścisnęli sobie dłonie i Jägerhorn ruszył w stronę wyjścia. Zatrzymał się jednak w drzwiach.

– Pułkownik Anttonen – powiedział. – Zapomniałem o swych obowiązkach. Jest pan aresztowany. Niech pan się uda na kwaterę i pozostanie tam aż do świtu.

– Z chęcią – zgodził się Anttonen. – O świcie przekona się pan, że mam rację.

– Być może – przyznał Jägerhorn – ale przez wzgląd na dobro nas wszystkich żywię gorącą nadzieję, że pan się myli.

* * *

...i maszyny wysysają płynną noc, która mnie otacza, i krzyczę, krzyczę tak głośno, że Slim aż się odsuwa z niespokojną miną. Uśmiecham się do niego szeroko, odsłaniając szeregi żółtych, zepsutych zębów.

– Wyciągnij mnie stąd, głąbie! – wydieram się.

Ból jest spowijającą mnie siecią, ale tym razem nie jest tak źle, tym razem prawie jestem w stanie go znieść, tym razem ból czemuś służy.

Dają mi zastrzyk i sadzają na wózku, ale tym razem sam śpieszę się do zdania raportu. Łapię za koła i popycham je, wyrywając się z uścisku Rafe'a, i toczę się naprzód korytarzami, tak jak za dawnych czasów, kiedy ścigaliśmy się z Creeperem. Mam jednak drobny problem na jednej z ramp i tam doganiają mnie ci silni, milczący faceci w kombinezonach koloru lodów (tak przynajmniej nazywała je Nan), ale krzyczę, żeby mnie zostawili. Robią to, co mnie cholernie zaskakuje.

Majuś jest lekko zdumiony, gdy wtaczam się sam do pokoju. Zaczyna podnosić się z krzesła.

– Czy...?

– Siadaj, Sally – mówię. – Mam dobre wieści. Bengt napędził Jägerhornowi niezłego stracha. Uwierz mi, myślałem, że chłopak zleje się w gacie. Chyba mamy sprawę w rękę. Jutro o świcie mam się spotkać z Jägerhornem, żeby dobić targu. – Uśmiecham się, słuchając własnych słów. Jutro. Hej, mówię o roku 1808, ale dla mnie to jest jutro. – A teraz pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów. Muszę poznać nazwiska dwóch facetów, których

Cronstedt postanowi wysłać do szwedzkiego króla. To dowód, kapujesz? Jägerhorn obiecuje, że jeśli go przekonam, załatwi, żeby mnie wysłano. Zdobądź dla mnie te nazwiska, Majuś, a gdy tylko wypowiem magiczne słowa, przyleci święty Mikołaj i odda nam Sveaborg.

– To informacja bardzo trudna do zdobycia – skarży się Salazar. – Kurierów zatrzymano na długie tygodnie. Nie zdołali nawet dotrzeć do Sztokholmu przed dniem kapitulacji. Możliwe, że historia zapomniała ich nazwiska.

Co za beksa, myślę. On nigdy nie jest zadowolony.

– Majorze Salazar – odzywa się w moim imieniu Ronnie – lepiej, żeby historia pamiętała ich nazwiska i my również. Jesteś naszym historykiem wojskowości. Miałeś za zadanie dokładnie zapoznać się z każdym z okresów docelowych. – Przemawia do niego takim tonem, że nikt by się nie domyślił, iż to on jest tu szefem. – Projekt Grahama ma najwyższy priorytet. Masz dostęp do naszych archiwów komputerowych, naszych dossier dotyczących obrońców Sveaborgu, a także łączność z wojskowym college'em w New West Point. Może nawet uda ci się połączyć z kimś w tym, co zostało ze Szwecji. Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz, ale musisz zdobyć tę informację. Od tego może zależeć los całego projektu. Całego świata. Nasza przeszłość i nasza przyszłość. Chyba nie muszę ci o tym przypominać. – Spogląda na mnie. Biję jej brawo. Uśmiecha się. – Dobra robota – mówi. – Zechcesz podać nam szczegóły?

– Jasne – odpowiadam. – To było łatwe jak bułka z masłem. Jak ciastko z lodami. Jak to się nazywało?

– *À la mode*.

– Sveaborg *à la mode* – powtarzam i serwuję go im. Gadam przez długi czas, a gdy wreszcie kończę, nawet Majuś wygląda na zadowolonego. Niezła robota, jak na gacha, myślę. – No dobra – mówię potem. – I co teraz? Bengt zostanie kurierem, tak? A ja przekażę w jakiś sposób wiadomość. Wymknę się von Suchtelenowi, nie dam się zatrzymać, i Szwedzi przyślą kawalerię.

– Kawalerię? – pyta zdziwiony Sally.

– To takie powiedzenie – tłumaczę z niezwykłą jak na mnie cierpliwością.

Majuś kiwa głową.

– Nie – odpowiada. – To prawda, że generał von Suchtelen skłamał i zatrzymał kurierów, żeby się zabezpieczyć. W końcu lody mogły stopnieć. Okręty mogłyby wtedy przybyć na czas. Ale to nic nie zmieniło. W tamtym roku lód na morzu wokół Helsinek stopniał dopiero długo po wyznaczonej dacie. – Major spogląda na mnie z powagą. Nigdy dotąd nie wyglądał gorzej. Zielonkawy odcień skóry niweczy efekt, który stara się osiągnąć. – Konieczne jest śmiałe uderzenie. Wyślą cię jako kuriera, zgodnie z warunkami rozejmu. Obu kurierów przyprowadzą do generała von Suchtelena, który wyda im listy żelazne. W tym właśnie momencie musisz uderzyć. Podpisano porozumienie, a w owych czasach przestrzegano zasad honoru. Nikt nie będzie spodziewał się zdrady.

– Zdrady? – powtarzam. Nie podoba mi się to, co słyszę.

Przez krótką chwilę uśmiech Majusia wydaje się niemal szczery. W końcu natrafił na coś, co sprawia mu przyjemność.

– Musisz zabić von Suchtelena – mówi.

– Zabić? – powtarzam.

– Użyj do tego celu Anttonena. Wypełnij go gniewem. Każ mu wyciągnąć broń i zamordować von Suchtelena.

Teraz rozumiem. To kolejne posunięcie w naszej toczonej ponad czasem partii szachów. Gambit gacha.

– Zabiją Bengta – sprzeciwiam się.

– Zdażysz się wycofać – uspokaja mnie Salazar.

– Mogą to zrobić natychmiast – nie ustępuję. – No wiesz, na miejscu zbrodni.

– Musisz podjąć to ryzyko. Inni też oddali życie za kraj. Mamy wojnę. – Majuś marszczy brwi. – Twój sukces może oznaczać zagładę nas wszystkich. Niewykluczone, że kiedy zmieni się przeszłość, teraźniejszość po prostu przestanie istnieć, a my razem z nią. Ale nasza ojczyzna przetrwa, a wraz z nią miliony tych, którzy zginęli. Zdrowsze, szczęśliwsze wersje nas samych będą się radować pełnią życia, której nam odmówiono. Ty również urodzisz się kompletny, wolny od choroby i kalectwa.

– Albo talentu – dodaję. – A w takim przypadku nie będę mógł się cofnąć w czasie i przeszłość pozostanie niezmienną.

– Paradoks nie ma tu zastosowania. Tłumaczono ci to. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość nie istnieją jednocześnie obok siebie. Poza tym to Anttonen spowoduje zmianę, nie ty, a on wywodzi się z tamtego czasu. – Majuś jest niecierpliwy. Bębni w blat grubymi, smagłymi palcami. – Czyżbyś stchórzył?

– Pierdol się, dupku – odpowiadam. – Nic nie kapujesz. Nie zależy mi na sobie. Lepiej dla mnie będzie, jak zginę. Chodzi mi o to, że zabiją Bengta.

Marszczy brwi.

– I co z tego?

Veronica słuchała z uwagą naszej rozmowy. Pochyla się teraz nad blatem i dotyka delikatnie mojej dłoni.

– Rozumiem. Identyfikujesz się z nim, prawda?

– To dobry człowiek – odpowiadam. Czy próbuję się tłumaczyć? Niech i tak będzie. – Wystarczy, że omal nie pozbawiłem go zdrowych zmysłów. Nie chcę go doprowadzić do zguby. Jestem odmieńcem, gachem. Całe życie spędziłem w oblężonej twierdzy i tutaj też umrę, ale Bengt ma bliskich, którzy go kochają ma przed sobą życie. Gdy tylko opuści Sveaborg, cały świat stanie przed nim otworem.

– On nie żyje od prawie dwóch stuleci – przypomina Salazar.

– Dziś po południu byłem w jego głowie – warczę.

– Będzie ofiarą wojny – kwituje Majuś. – Na wojnie żołnierze giną. Tak było zawsze, wtedy i teraz.

Niepokoi mnie coś jeszcze.

– Aha, może i tak. Faktycznie jest żołnierzem, mogę się z tym zgodzić. Wiedział, że to niebezpieczna robota, kiedy się jej podejmował. Ale dla niego ważny jest honor, Sally. To taki drobiazg, o którym całkiem zapomnieliśmy. Można zginąć w walce, jasne, ale ty chcesz, żebym z niego zrobił cholernego skrytobójcę, który pogwałcił rozejm. To honorowy człowiek. Taki czyn okryje go niesławą.

– Cel uświęca środki – odpowiada bez ogródek Salazar. – Zabijesz von Suchtelena. Tak jest, zrobisz to pod flagą rozejmu. Rozejm również zostanie zerwany z tego powodu. Zastępca von Suchtelena jest znacznie mniej sprytny, bardziej skłonny do wybuchów gniewu, spragniony spektakularnego zwycięstwa. Powiesz mu, że Cronstedt rozkazał ci zabić generała, a on zerwie rozejm i przypuści gwałtowny szturm. Sveaborg to niezdojta forteca i z łatwością odeprze atak. Rosjanie poniosą ciężkie straty, a Szwedzi odzyskają determinację, ponieważ dojdą do wniosku, że to oni padli ofiarą zdrady. Jägerhorn ujrzy na własne oczy, że obietnice Rosjan są bezwartościowe, i przejdzie na drugą stronę. Cronstedt, bohater spod Ruotsinsalmi, stanie się również bohaterem ze Sveaborgu. Forteca się obroni. Na wiosnę szwedzka flota wysadzi w Sveaborgu desant za rosyjskimi liniami, a druga szwedzka armia uderzy z północy. Cały przebieg wojny się zmieni. Kiedy Napoleon pomaszeruje na Moskwę, Petersburg będzie już pod szwedzką okupacją. Car dostanie się w Moskwie do niewoli, zostanie pozbawiony tronu i stracony. Napoleon zainstaluje marionetkowy rząd, a kiedy będzie się wycofywał, pomaszeruje na północ, żeby połączyć się ze swymi szwedzkimi sojusznikami w Petersburgu. Nowy rosyjski reżim nie przetrwa upadku Bonapartego, ale carska restauracja potrwa równie krótko jak okupacja francuska, a potem Rosja będzie ewoluowała w kierunku liberalnej demokracji parlamentarnej. Związek Sowiecki nigdy nie powstanie i nie zagrozi Stanom Zjednoczonym.

Podkreśla ostatnie słowa uderzeniem pięścią w stół konferencyjny.

– To pan tak twierdzi – zauważam łagodnym tonem.

Salazar czerwienieje na twarzy.

– To symulacja komputerowa – upiera się. Odwraca jednak ode mnie wzrok. Tylko na krótką chwilę, ale to zauważam. Zabawne. Nie chce patrzeć mi w oczy.

Veronica ściska moją dłoń.

– Symulacja może być błędna – przyznaje. – W mniejszym lub większym stopniu. Ale to wszystko, co mamy. To nasza ostatnia szansa. Rozumiem twoją troskę o Anttonena, naprawdę. To naturalne. Jesteś z nim połączony już od miesięcy, żyjesz jego życiem, dzielisz jego myśli i uczucia. Twoje zastrzeżenia przynoszą ci zaszczyt. Co jednak znaczy życie jednego człowieka wobec życia milionów? Jednego, dawno już nieżyjącego człowieka.

Decyzja należy do ciebie. To być może najważniejsza decyzja w całej historii ludzkości i należy tylko do ciebie. – Uśmiecha się. – Przynajmniej zastanów się nad tym porządnie.

Kiedy ujmuje to w taki sposób, cały czas ściskając moją małą dłoń, nie jestem w stanie się jej oprzeć. Ach, Bengt. Odwracam od nich wzrok i wzdycham.

– Otwórz dziś w nocy flaszki – mówię Salazarowi. – Resztę tych przedwojennych zapasów.

Majuś ma zdziwioną niezadowoloną minę. Głębowi wydawało się, że jego mały zapasik przedwojennej Glenlivet, Irish Mist i Remy Martin jest dla wszystkich tajemnicą. Faktycznie tak było aż do chwili, gdy Creeper podrzucił mu jedną ze swoich pluskiew, hej ho.

– Nie sądzę, by pijaństwo było dziś wskazane – odpowiada Sally. Jest brzydki i złośliwy, ale nikt nie może twierdzić, by nie był samolubny.

– Zamknij się i rób, co ci mówię – warczę. Dzisiaj nikt nie może mi odmówić. Poświęcam Bengta, więc Majuś może poświęcić trochę gorzały. – Chcę się dziś narąbać. Pora wypić za cholernych umarłych i za żywych, z przeszłości i teraźniejszości. Tak mówią zasady, niech to szlag. Gach zawsze dostaje butelkę, zanim pójdzie do kochanki.

* * *

Bengt Anttonen czekał pośród poprzedzającego świt chłodu na centralnym dziedzińcu cytadeli Vargönu. Za plecami miał grobowiec Ehrensvarda, miejsce spoczynku człowieka, który zbudował Sveaborg i teraz spał bezpiecznie na łonie swego dzieła, a jego kości strzegły dzieła i grube granitowe mury potężnej twierdzy. Zaprojektował niezdobytą fortecę i rzeczywiście okazała się ona niezdobyta. Nikt nie zakłóci jego spoczynku. Tyle, że teraz chcieli poddać ją bez walki.

Dął silny wicher. Dmuchał z bezchmurnego, czarnego nieba, poruszał nagimi gałęziami drzew rosnących na dziedzińcu i docierał pod najgrubszy płaszcz Anttonena. A może to inny chłód mu dokuczał. Chłód strachu. Świt był już blisko. Gwiazdy na niebie bladły. Miał w głowie pustkę, wypełniały ją tylko drwiące echa. Niedługo na horyzoncie pojawi się słońce, a razem z nim nadejdzie pułkownik Jägerhorn, surowy, władczy i nieubłagany, Anttonen zaś nie będzie miał mu nic do powiedzenia.

Usłyszał kroki. Buty Jägerhorna uderzały o kamienie. Anttonen zwrócił się w jego stronę, patrzył, jak wchodzi na kilka stopni prowadzących na grobowiec Ehrensvarda. Zatrzymali się w odległości stopy od siebie, spiskowcy kulący się z zimna w ciemności. Jägerhorn przywitał go krótkim skinieniem głowy.

– Rozmawiałem z Cronstedtem.

Anttonen otworzył usta. Jego oddech zamieniał się w parę w lodowatym powietrzu. Gdy miał już skapitulować przed pustką przyznać, że głosy go zawiodły, w głębi jego jaźni coś zaszeptało. Wymienił dwa nazwiska.

Zapadła długa cisza. Anttonen znowu zaczął się bać. Czyżby to jednak był obłąd, a nie głos Boga? Czy się pomylił? Nagle Jägerhorn spuścił wzrok, zmarszczył brwi i złączył urękawicznione dłonie w geście świadczącym, że klamka zapadła.

– Niech Bóg nam wszystkim pomoże – rzekł. – Wierzę panu.

– A więc zostanę kurierem?

– Wspomniałem już o tym wiceadmirałowi Cronstedtowi – potwierdził Jägerhorn. – Przypomniałem mu o pańskich latach służby i nienaganej reputacji. Przekonywałem, że jest pan dobrym żołnierzem i człowiekiem honoru, któremu zaszkodził tylko patriotyzm i napięcie związane z oblężeniem. Mówiłem, że jest pan takim rodzajem wojownika, który nie może znieść bezczynności i zawsze musi coś robić. Argumentowałem, że zasługuje pan na lepszy los niż areszt i hańba. Jako kurier będzie mógł się pan zrehabilitować. Zapewniłem, że w to nie wątpię. A jeśli pozbędziemy się pana ze Sveaborgu, usuniemy zarazem źródło napięcia i niezadowolenia, które może doprowadzić do buntu. Wiceadmirał świetnie zdaje sobie sprawę, że wielu dobrych żołnierzy nie ma ochoty honorować paktu, który podpisaliśmy z von Suchtelenem. Dał się przekonać. – Jägerhorn uśmiechnął się blado. – Potrafię być przekonujący, Anttonen. Władam argumentami równie sprawnie, jak Bonaparte dowodzi swymi armiami. Zwyciężyliśmy. Zostanie pan kurierem.

– Doskonale – rzekł Anttonen. Dlaczego serce wypełniała mu taka rozpacz? Powinien triumfować.

– Co zamierza pan uczynić? – zapytał Jägerhorn. – Jakiemu celowi służy nasz spisek?

– Nie chcę pana obciążać tą wiedzą – odparł Anttonen.

Sam jej nie posiadał. Już od wczoraj wiedział, że musi zostać kurierem, ale nadal nie miał pojęcia dlaczego. Przyszłość była zimna jak kamienny grobowiec Ehrensvarda, mglista jak oddech Jägerhorna. Wypełniały go dziwne przeczucia nadciągającej zagłady.

– Niech i tak będzie – zgodził się Jägerhorn. – Modlę się o to, by okazało się, że postąpiłem rozsądnie. – Zdjął rękawiczkę i wyciągnął rękę. – Liczę na pana, na pańską mądrość i honor.

– Mój honor – powtórzył Bengt.

Powoli, zbyt powoli, zdjął rękawiczkę, by uścisnąć dłoń umarłego, który stał przed nim. Umarłego? To był żywy, ciepły człowiek. Pod bezlistnymi drzewami panował jednak srogi mróz i gdy Anttonen uścisnął rękę Jägerhorna, skóra tamtego była zupełnie zimna w dotyku.

– Były między nami spory – stwierdził Jägerhorn – ale obaj jesteśmy Finami, patriotami i ludźmi honoru, a teraz możemy zostać też przyjaciółmi.

– Przyjaciółmi – powtórzył Anttonen.

W jego głowie, głośniejsze niż kiedykolwiek dotąd, tak silnie i wyraźnie, że wydawało mu się, iż mówi ktoś za jego plecami, rozległ się szept, smutny i pełen goryczy:

– No, rogaczu. Uściśnij rękę swojego kumpla, gacha.

* * *

Zbierajcie róże, póki czas, bo życie szybko mija, a gach, który się śmieje dziś, jutro spocznie w mogile. Hej ho, znowu się upiłem, drugą noc z rzędu, wyłopałem całą dobrą gorzałę Majusia, ale co to ma za znaczenie, on już nie będzie jej potrzebował. Po tej następnej wycieczce w przeszłość nie będzie nawet istniał. Tak przynajmniej mi mówią. W gruncie rzeczy, zostanie całkowicie wymazany z historii. To naprawdę dziwaczna myśl. Nasz stary major „Sally” Salazar ze swymi wielkimi, grubymi palcami, zielonkawą cerą tym swoim uroczym narzekaniem i gderaniem. Gdy zdawałem swój ostatni raport, z pewnością wydawał się realny, a teraz okazuje się, że nigdy nie było takiej osoby. Nigdy nie było też Creepera, Rafe’a ani Slima, Nan nigdy nie opowiadała nam o lodach i nie wymieniała tych wszystkich smaków. Lody pralinkowe i rumowe z rodzynkami są jednym z Niniwą i Tyrem, hej ho. Nic z tego się nie wydarzyło, a teraz wypijam następną kolejkę, piję sam w swoim pokoju, w swojej klitce, zbawiciel na swej ostatniej, płynnej wieczerzy, a gdzie, do licha, są moi pieprzeni apostołowie? Ach, piją piją ale nie ze mną.

Nie powinni o tym wiedzieć, nie powinien wiedzieć nikt poza mną Majusiem i Ronnie, ale wiadomość jakoś się rozeszła, tak jest, rozeszła, i w korytarzach trwa szalona balanga, śpiewy, bijatyki i także trochę pieprzenia, dla tych nielicznych szczęśliwców, którzy mają partnerki. Ja się, niestety, do nich nie zaliczam. Mam ochotę wyjść z pokoju i przyłączyć się do zabawy, wysmolić kilka kielichów z chłopakami, ale Majuś mówi nie, to zbyt niebezpieczne, ktoś z tej pstrokatej zgrai mógłby dojść do wniosku, że nawet takie półzycie jest lepsze od całkowitego wymazania z kart dziejów i w związku z tym trzeba wykończyć gacha, który mógł im udaremnić zabawę. Siedzę więc sam w kąciku gachów, żłopię w swym pokoiku, otoczonym pięcioma podobnymi, a na końcu korytarza stoi najbardziej gburowaty ze strażników, wkurzony, że zamiast po raz ostatni posmakować życia, musi pilnować, żebym nie zetknął się z resztą.

Miałem odrobinę nadziei, że Ronnie do mnie zajrzy, no wiecie, wychylić pożegnalny kieliszek, po raz ostatni ograć mnie w szachy i może nawet pobawić się w całuski. To śmieszne marzenie, ale z jakiegoś powodu nie chcę umierać jako prawiczek, mimo że, kiedy już wykręcę ten numer, nie umrę, tylko po prostu nigdy nie będę istniał. To cholernie szlachetnie z mojej strony, jeśli mnie o to pytacie, a musicie mnie o to zapytać, bo nie ma tu nikogo innego, kto by to zrobił. Następna kolejka, ale butelka jest już prawie pusta. Będę musiał zadzwonić do Majusia i poprosić o jeszcze jedną. Dlaczego Ronnie nie przyjdzie? Nigdy już jej nie zobaczę, ani pojutrze, ani popojutrze, ani za dwieście lat. Mógłbym odmówić wyruszenia na tę misję, zostać tutaj i utrzymać przy życiu naszą radosną rodzinę, ale nie sądzę, by Ronnie to się spodobało. Ma znacznie więcej pewności ode mnie. Pytałem ją dziś po południu, czy symulacje Sally’ego mogą nam coś powiedzieć o skutkach ubocznych. Chodzi mi o to, że zmienimy przebieg wojny, zapobiegniemy upadkowi Sveaborgu,

pozbedziemy się cara (mamy taką nadzieję), pozbedziemy się Związku Sowieckiego (mamy taką nadzieję) i pozbedziemy się też (z pewnością mamy taką cholerną nadzieję) wielkiej wojny ze wszystkimi jej atrakcjami, bombami, radami, epidemiami, a nawet lodami popromiennymi (ulubionym smakiem Creepera), ale co będzie, jeśli znikną też inne rzeczy? Jeśli Rosja zmieni się tak bardzo, to czy stracimy Alaskę? A wódkę? George'a Orwella? Karola Marksa? Właściwie to próbowaliśmy pozbyć się Marksa. Jednemu z gachów, ślepemu Jeffeyowi, przydzielono zadanie zlikwidowania Karolka, ale nic z tego nie wyszło. Może wzrok okazał się dla niego nie do zniesienia? Tak więc Karol ocalał, ale jeśli się nad tym zastanowić, to kogo obchodzi Karol? Ważne jest, czy stracimy Groucha. Nie było Groucha, nigdy go nie było, nie podoba mi się ta myśl. Kiedyś zastrzeliłem gacha w pizamie. Nigdy się nie dowiedziałem, skąd się wziął w mojej pizamie, ale kto, do cholery, wie, skąd się biorą gachy, wszystkie te kostki domina padają jedna po drugiej, przewracając następne, ale domino nigdy nie było moją ulubioną grą. Jestem szachistą mistrzem świata na czasowym wygnaniu, oto, kim jestem, domino to cholernie głupia gra. A co, jeśli się nie uda, zapytałem Ronnie, jeśli wyeliminujemy Rosję i, na przykład, Hitler wygra drugą wojnę światową i w efekcie będziemy się przetrzucać raketami, drobnoustrojami i biotoksynami z nazistowskimi Niemcami? Albo z Anglią? Albo nawet z pierdolonymi Austro-Węgrami, kto wie? Austro-Węgry jako supermocarstwo, co za myśl. Kiedyś zastrzeliłem Habsburga w pizamie. Gachy go tam podrzuciły, hej ho.

Ronnie nic mi nie obiecywała, dzieci. Mogła tylko wrzucić ramionami i opowiedzieć mi historię o koniu. Jednemu facetowi jakiś dawny król chciał ściąć głowę, ale on wziął i powiedział temu królowi, że jeśli będzie miał rok, nauczy jego konia mówić. Królowi spodobał się ten pomysł, nie wiem dlaczego, może lubił ten serial *Koń, który mówi*, więc dał facetowi rok. A później kumple tego faceta zapytali go, hej, co ty kombinujesz, nigdy nie nauczysz konia mówić. A on im na to: no więc, mam teraz cały rok, a to kupa czasu. Wszystko może się zdarzyć. Może król umrze. Może ja umrę. Może koń umrze. A może koń nauczy się mówić.

Za bardzo się upiłem, tak jest, tak jest, i mam w głowie pełno gachów, mówiących koni, padających kostek domina i nieodwzajemnionej miłości, dlatego nagle dochodzę do wniosku, że muszę ją zobaczyć. Odstawiam butelkę, och tak, bardzo ostrożnie, mimo że jest pusta, nie chcemy w kąciku gachów stłuczonego szkła, a potem wyjeżdżam powoli na korytarz. Moje ruchy nie są w tej chwili zbyt składne. Wartownik stoi na końcu korytarza. Ma smętną minę. Znam go odrobinę. Jest z bezpieczeństwa, wielki, czarnoskóry facet imieniem Dex.

– Hej, Dex – odzywam się, podjeżdżając do niego – pieprzyć ten syf, chodźmy na imprezę. Chcę się zobaczyć z małą Ronnie. – Patrzy tylko na mnie i potrząsa głową. – Daj spokój – mówię, kierując nań piękne oczęta. Czy mnie przepuści? A czy wyglądam na gwiazdę filmową? Wała, nie przepuści.

– Rozkazano mi dopilnować, żebyś został tutaj – odpowiada mój drogi Dex.

Nagle wkurzam się jak wszyscy diabli. To niesprawiedliwe, chcę się zobaczyć z Ronnie. Zbieram całą swą siłę i próbuję przejechać obok niego. Nic z tego. Dex odwraca się, blokuje mi przejście, łapie za fotel i popycha go do tyłu. Cofam się szybko, obracam, gdy koło się blokuje, i wypadam z wózka. To boli. Cholernie boli. Założę się, że gdybym miał nos, pocięłyby mi z niego krew.

– Zostaniesz tutaj, pierdolony dziwolągu – mówi Dex.

Zaczynam płakać, niech go szlag, a on przygląda się, jak podnoszę wózek i siadam na nim. Siedzę i gapię się na niego, a on stoi i gapi się na mnie.

– Proszę – odzywam się wreszcie. Potrząsa głową. – To chociaż pójdz po nią. – Nie ustępuję. – Powiedz, że chcę się z nią zobaczyć.

Dex uśmiecha się.

– Jest zajęta – oznajmia. – Z majorem Salazarem. Nie chce się z tobą widzieć.

Gapię się na niego jeszcze przez chwilę. To naprawdę porażające, onieśmielające spojrzenie, ale on nie wygląda na porażonego ani onieśmielonego. To niemożliwe, prawda? Ona i Majuś? Ona i nasz kochany Sally Zielona Gęba? Nie ma mowy, nie jest w jej typie, Ronnie ma lepszy gust, wiem, że ma. Powiedz, że to nieprawda, Joe. Zawracam i jadę z powrotem do swego pokoiku. Dex odwraca wzrok. Hej ho, udało mi się go nabrać.

Pokój Creepera leży za moim, to ostatni w szeregu. Wszystko wygląda tam tak, jak to zostawił. Włączam aparat i kręcę cholernymi przełącznikami, próbując się zorientować, jak to działa. Mój umysł nie jest w tej chwili szczególnie sprawny, więc mija dłuższa chwila, nim w końcu mi się udaje. Zaczynam przeskakiwać od jednej rozgrywającej się w Skrzynce Hakerów sceny do drugiej, ciesząc się obrazkami z życia w naszych współczesnych Stanach Zjednoczonych, które jest mi dane oglądać dzięki sprytnemu duchowi Creepera. Każda scena ma swój indywidualny urok. W kantine trwa seks grupowy na jednym ze stołów, na których graliśmy z Ronnie w szachy. Przy śluzach dwóch wielkich ochroniarzy bije się ze sobą. Trwa to już od dłuższego czasu, mają twarze tak zakrwawione, że za cholere nie potrafię ich poznać, ale mimo to nie dają za wygraną, okładają się na oślepotę potężnymi kulakami, stękając z bólu. Kilku innych stoi wokół i zagrzewa ich do walki. Slim i Rafe palą wspólnie jointa, oparci o moją trumnę. Slim uważa, że powinni wyrwać wszystkie przewody i spierdolić aparaturę, żebym nie mógł wyruszyć w podróż w czasie. Rafe uważa, że łatwiej byłoby po prostu rozwalić mi łeb. Mam wrażenie, że już mnie nie kocha. Chyba nie wyślę mu więcej kartki na Boże Narodzenie. Na szczęście dla tego gacha, obaj są tak najarani, że nie są w stanie nic zrobić. Oglądam jeszcze kilka innych scen, aż wreszcie, z lekkimi oporami, przechodzę do pokoju Ronnie i patrzę, jak pieprzy się z majorem Salazarem.

Hej ho, jak powiedziałby Creeper, czego w końcu się spodziewałeś?

Nie mógłbym cię kochać tak mocno, miła, gdybym bardziej nie kochał honoru. Gdy stąpa, piękna, jakże przypomina gwiazdziste niebo bez śladu obłoku. Ale właściwie wcale nie jest taka ładna, w 1808 roku były ładniejsze kobiety, a Bengt jest akurat takim facetem, który

może je zaliczać, choć zapewne Jägerhorn radzi sobie jeszcze lepiej. Moja Veronica jest tylko królową pszczoł w upadłym, zatrutym ulu, to wszystko. Już skończyli. Rozmawiają. Czy raczej to Majuś mówi, niech go Bóg błogosławi, rozpoczął swą litanię o lodach, przed chwilą kochał się z Ronnie, a teraz leży w łóżku i mówi o Sveaborgu, niech go szlag...

– ...tylko trzydzieści procent szans, że dojdzie do masakry. Forteca jest bardzo silna, niewiarygodnie silna, ale Rosjanie mają więcej ludzi i jeśli sprowadzą wystarczające posiłki, obawy Cronstedta mogą się okazać uzasadnione. Ale nawet to zagra na naszą korzyść. Po zamachu, no cóż, wszelkie zasady przestaną obowiązywać i Rosjanie wyrzną wszystkich obrońców, ale w takim przypadku Sveaborg stanie się szwedzkim Alamo i obie gałęzie powinny połączyć się z powrotem. Istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że końcowe rezultaty będą takie same.

Ronnie go nie słucha. Jej twarz ma wyraz, jakiego nigdy nie widziałem: pijany, głodny, przerażony. Nagle przesuwa się w dół i robi coś, co widziałem tylko w swych fantazjach i na co nie chcę już dłużej patrzeć, nie, o nie, nie, o nie.

* * *

Generał von Suchtelen miał kwaterę na przedmieściach Helsinek. To również był sprytny pomysł. Gdy Sveaborg kierował na niego swe działa, co trzeci pocisk padał na miasto, którego miała bronić forteca, aż wreszcie Cronstedt rozkazał zaprzestać ostrzału. Von Suchtelen wykorzystał to skrzętnie, tak jak wykorzystywał wszystko. Jego mieszkanie było wielkie i wygodne, a za oknami, po drugiej stronie białej pustki, widać było potężną, szarą sylwetkę Sveaborgu. Pułkownik Bengt Anttonen gapił się na nią z przygnębieniem, czekając w przedpokoju razem z drugim kurierem oraz Rosjanami, którzy zaprowadzili ich do swego dowódcy. Wreszcie drzwi do pokoju się otworzyły i wyszedł z nich ciemnowłosy rosyjski kapitan.

– Generał was teraz przyjmie – oznajmił.

Generał von Suchtelen siedział za wielkim drewnianym biurkiem. U jego prawego boku stał adiutant, a pod drzwiami wartownik. Kapitan wszedł do środka w towarzystwie dwóch szwedzkich kurierów. Na wielkim blacie nie było nic poza kałamarzem, suszką i dwoma podpisanymi listami żelaznymi, które pozwolą im przedostać się przez rosyjskie linie do Sztokholmu i szwedzkiego króla. Jeden z kurierów miał wyruszyć drogą północną, a drugi południową. Von Suchtelen powiedział coś po rosyjsku i adiutant przetłumaczył jego słowa. Dostaną konie i będą je mogli bez przeszkód zmieniać po drodze. Wydano takie rozkazy. Anttonen przysłuchiwał się rozmowie, czując dziwną pustkę, której towarzyszyła lekka dezorientacja. Von Suchtelen pozwoli im wyruszyć w drogę. Dlaczego czuł się tym zaskoczony? W końcu takie były warunki umowy. Tłumacz mówił dalej monotonnym

głosem, a w Anttonenie narastało poczucie zagubienia połączone z apatią. Uknuł spisek, żeby tu się znaleźć, głosy kazały mu tak postąpić, a teraz tu był i nie miał pojęcia, co robić.

Wręczyli mu jeden z listów żelaznych, wsunęli mu go do wyciągniętej ręki. Być może spowodował to dotyk papieru, a może chodziło o coś innego, lecz nagle wypełnił go gniew, wściekłość tak gwałtowna, ślepa i wszechogarniająca, że na chwilę cały świat zniknął, a on znalazł się gdzie indziej, widział nagie ciała splecione ze sobą w pokoju o ścianach pokrytych jasnozielonymi płytkami. A potem wrócił i gniew nadal w nim gorzał, ale stygł, stygł już szybko. Wszyscy w pokoju gapili się na niego. Anttonen uświadomił sobie nagle, że list żelazny wypadł mu z rąk i leży na podłodze, a jego dłoń powędrowała do rękojeści szabli. Broń była już do połowy wyciągnięta z pochwy, a metal klingi błyszczał matowo w słonecznym świetle wpadającym przez okno pokoju von Suchtelena. Gdyby zareagowali szybciej, mieliby szansę go powstrzymać, ale on zaskoczył ich wszystkich. Von Suchtelen zaczął podnosić się z krzesła, poruszając się, jak na filmie puszczone w zwolnionym tempie. Film puszczone w zwolnionym tempie, zdumiał się na chwilę Bengt. Co to znaczy? Ale wiedział to, wiedział. Wyciągnął już szablę w całości. Usłyszał, że kapitan krzyknął coś za jego plecami, adiutant zaczął sięgać po pistolet, ale nie był bohaterem Dzikiego Zachodu. Bengt ubiegł ich wszystkich, hej ho. Uśmiechnął się, zakręcił szablą w dłoni i oferował ją generałowi von Suchtelenowi, rękojeścią do przodu.

– Oto moja szabla, generale. Przesyłam pozdrowienia od pułkownika Jägerhorna. – Bengt Anttonen słuchał własnych słów z uczuciem bliskim bojaźni. – Forteca jest w pańskim ręku. Pułkownik Jägerhorn sugeruje, żeby zatrzymał nas pan tu przez miesiąc. Zgadzam się z nim. Jeśli pan to zrobi, może pan być pewien zwycięstwa. Gdyby pozwolił nam pan wyruszyć dzisiaj, kto wie, czy zbieg niekorzystnych okoliczności nie sprowadziłby tu szwedzkiej floty? Do trzeciego maja zostało jeszcze sporo czasu. Wszystko może się zdarzyć. Król może umrzeć, koń może umrzeć albo ja czy pan możemy umrzeć. Albo koń może nauczyć się mówić.

Tłumacz odłożył pistolet i zaczął tłumaczyć. Drugi kurier próbował się sprzeciwić, ale bez skutku. Bengt Anttonen stał się tak elokwentny, że nawet jego przyjaciel miałby powody do zazdrości. Nie przestawał mówić. Miał chwilę dziwnej słabości, gdy nagle poczuł nudności i zawroty głowy, ale wiedział skądś, że nie ma się czego bać, że to tylko skutki działania pigułek, to tylko potwór umierał daleko stąd w metalowej trumnie pełnej nocy. I wtedy nie było już żadnego, hej ho, jedno obłężenie się kończyło, a drugie miało trwać bez końca, ale co to obchodziło Bengta, świat był wielką, chrupiącą, zimną, wysadzaną klejnotami ostrygą. Pomyślał, że to początek pięknej przyjaźni i że, a co tam, może nawet uratuje im tyłki, jeśli będzie miał na to ochotę, ale robi to po swojemu.

Po pewnym czasie generał von Suchtelen skinął głową, wyciągnął rękę i przyjął szablę.

* * *

Pułkownik Bengt Anttonen dotarł do Sztokholmu 3 maja 1808 roku z wiadomością dla Gustawa IV Adolfa, króla Szwecji. Tego samego dnia Sveaborg, niezdojyty Sveaborg, Gibraltar Północy, poddał się słabym wojskom rosyjskim.

Po zakończeniu działań wojennych pułkownik Anttonen złożył rezygnację i wyemigrował, najpierw do Anglii, a potem do Ameryki. Zamieszkał w Nowym Jorku, gdzie się ożenił, spłodził dziewięcioro dzieci i został znanym, wpływowym dziennikarzem, powszechnie szanowanym za swą niezwykle zdolność przewidywania przyszłych trendów. Gdy okazywało się, że się pomylił, co zdarzało się rzadko, zawsze był tym zaskoczony. Został jednym z założycieli Partii Republikańskiej i jego artykuły odegrały kluczową rolę w wyborze Johna Charlesa Fremonta na prezydenta w roku 1856.

W 1857, rok przed śmiercią, Anttonen zmierzył się na nowojorskim turnieju szachowym z Paulem Morphy i przegrał z nim po słynnej partii. Jego jedyny komentarz brzmiał: „Mógłbym go pokonać w domino”. Biografowie Morphy’ego lubią cytować tę frazę.

Przełożył Michał Jakuszcwski

Obrót skórą

Willie zwęszył krew o przecznicę od jej mieszkania.

Zawahał się i znów wciągnął nosem chłodne, nocne powietrze. Była jesień, wiatr od rzeki niósł w sobie zapowiedź deszczu, ale zapach, TEN zapach, był nie do pomylenia z innymi: miedź i ogień, i przyprawy korzenne. Znał zapach ludzkiej krwi.

Obok pokłusował zapalony amator joggingu, jego pomarańczowy dres lśnił w blasku księżycy w pełni. Willie usunął się głębiej w cień. Jaki idiota mógłby biegać o tak późnej porze? „Palant” – pomyślał, i dał emocjom upust w basowym warknięciu. Tamten obrócił się gwałtownie, zaskoczony. Willie skrycie zapuścił się głębiej w krzaki. Po dłuższej chwili biegacz ruszył dalej dróżką dla rowerów, ale teraz biegł szybciej.

Willie zaryzykował i zapuścił się na sam brzeg parku, gdzie spomiędzy krzewów miał widok na jej ulicę. Pod domem stały na sygnale dwa radiowozy. Co, do cholery, tam zmontowała?

Gdy w oddali usłyszał syrenę i dojrzał kolejnego, zbliżającego się koguta, migającego czerwienią i błękitem, Willie nieomal wpadł w panikę. Zapach krwi w powietrzu był tak gęsty, że aż łupało go pod czaszką. Miał dość. Obrócił się i pobiegł w głąb parku, choć raz bez troski o to, że ktoś mógłby go zauważyć, gnany tylko pragnieniem ucieczki. Biegł na południe, chyży i cichy, aż się zadyszał i wywiesił jęzor. Nie miał już formy na takie numery. Tęsknił do bezpieczeństwa własnego mieszkania, do wygodnego fotela i strzału z inhalatora dla astmatyków.

Nad samą rzeką zatrzymał się w końcu, rżąc i dygocząc, na wpół upojony krwią i strachem. Skulił się przy przyczółku mostu, wpatrując się w reflektory przejeżdżających samochodów i wsłuchując w odgłosy ruchu ulicznego, by ukoić stargane nerwy.

Kiedy wreszcie poczuł się ciut lepiej, dopadł wiewiórkę. Krew wypełniła mu usta gorącym i smakiem, a mięso przydało mnóstwo mocy, ale potem się, cholera, zrzygał od całej tej sierści.

* * *

– Willie, jeśli to tylko jakaś wariacka zagrywka, żeby dostać się do moich majątek, to nic z tego – powiedziała podejrzliwie Randi Wade.

Niewysoki mężczyzna przyjrzał się swojemu odbiciu w zabytkowym, owalnym lustrze wiszącym nad sofą, wypróbował kilka min, aż trafił na pełną urazy minę, która mu się spodobała, po czym odwrócił się, by i ona ją zobaczyła.

– Naprawdę tak myślisz? Naprawdę tak o mnie myślisz? To ja przychodzę do ciebie, bo potrzebuję twojej pomocy, i co dostaję? Jakies tanie seksualne aluzje. No, myślałem, że znasz mnie lepiej, Wade. Jezu, w końcu ile to już jesteśmy przyjaciółmi?

– Tylko trochę krócej, niż trwają twoje próby dobrania się do moich majątek – odparła Randi. – Spójrz prawdzie w oczy, Flambeaux, z ciebie jest mały napaleniec.

Willie zrećnie zmienił temat.

– Wiesz, to naprawdę amatorszczyzna, urządzić biuro we własnym mieszkaniu.

Usadził się w jednym z foteli, obitych czerwonym aksamitem.

– No wiesz, to piękne miejsce, nie zrozum mnie źle, uwielbiam takie wiktoriańskie klimaty, a już po prostu nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę sypialnię, ale czy prywatny detektyw nie powinien mieć obscurnego małego biura w parszywej dzielnicy? No, wiesz, matowe szkło w drzwiach, flaszka w szufladzie, szafki na akta obrośnięte kurzem...

Randi uśmiechnęła się.

– A wiesz, ile ci zaśpiewa właściciel za takie obskurne biuro w parszywej dzielnicy? Mam automatyczną sekretarkę, numer jest w książce telefonicznej...

– AAA-Wade Agencja Detektywistyczna – kwaśno odrzekł Willie. – Niby jak ludzie mają cię znaleźć? Wade powinno być pod W, gdyby Bóg chciał, żeby wszystkich można było znaleźć pod A, to nie wymyślałby pozostałych liter. – Odkasznął. – Coś mnie bierze – poskarżył się, jakby to była jej wina. – Pomożesz mi w końcu czy nie?

– Nie, chyba że powiesz mi wreszcie, co jest grane – powiedziała Randi, choć już zdecydowała, że w to wchodzi. Lubiła Williego, była mu też winna parę przysług. Dał jej robotę, gdy tego potrzebowała, a dołożył do tego jeszcze swoją przyjaźń. Nawet te nieustające, acz nieskuteczne próby zaciągnięcia jej do łóżka budziły w niej ciepłe uczucia, choć nigdy nie przyznałyby się do tego Williemu. – A chcesz znać moje stawki?

– Stawki? – w głosie Williego brzmiał ból. – A co z przyjaźnią? Co ze wspomnieniami starych, dobrych czasów? A ile razy postawiłem ci lunch?

– Nigdy w życiu nie postawiłeś mi lunchu – zarzuciła mu Randi.

– A to moja wina, że zawsze odmawiasz?

– Kubełek ultrapikantnego chińskiego żarcia, zabrany do motelu, gdzie program obejmuje przekąskę i szybki numer, to dla mnie nie jest żadne zaproszenie na lunch – odparła.

Willie miał pociągłą ponurą twarz, której szerokie, elastyczne rysy były w stanie przekazać zdumiewający zakres emocji. W tej chwili wyglądał tak, jakby widział, że jego ukochany szczeniaczek wpadł pod ciężarówkę.

– Wcale nie byłby taki szybki – oznajmił z wielką, urażoną godnością. Zakaszłał i odchylił się w fotelu, wyglądając dziwnie dziecinnie na tle aksamitnych poduch. – Randi, to naprawdę paskudna sprawa – dodał i zniechęca w jego głosie zabrzmiało przerażenie i zmęczenie.

Randi po raz pierwszy spotkała Williego Flambeaux, gdy odzyskiwacze długów, których zatrudniał, upomnieli się o rachunki, niezapłacone przez jej byłego. Nie miała pracy, pieniędzy ani nadziei, ale Willie ulitował się i dał jej posadę u siebie. Strasznie nie lubiła wyciskać z ludzi pieniędzy, lecz praca była jak dar z nieba, i wytrzymała tak długo, aż spłaciła swoje długi. Krzywy uśmiezek Williego, jego nieustające próby podrywu i posępny intelekt zdołały zachować ją przy zdrowych zmysłach. Nawet gdy Randi opuściła grono ogarów Piekieł, jak Wille zwykł nazywać swoją firmę, wciąż utrzymywała z nim okazjonalne kontakty.

Przez cały ten czas nigdy nie usłyszała w jego głosie przerażenia, nawet gdy debatował nad swoją rychłą śmiercią którą miała spowodować jedna z wielu upiornych, a nieznanym medycynie dolegliwości, jakie go trapiły. Usiadła na sofie.

– No to słucham – powiedziała. – W czym problem?

– Czytałaś dzisiejszego „Kuriera”? – spytał. – Pisali o kobiecie, którą zamordowano przy Parkway.

– Przejrzałam – odparła.

– To była moja przyjaciółka.

– O Boże! – zniechęca Randi pożałowała swoich docinków. – Strasznie mi przykro, Willie.

– Jeszcze dzieciak – ciągnął. – Dwadzieścia trzy lata. Spodobałaby ci się, dziarska była. I inteligentna. Od ogólniaka na wózku. W nocy po studniówce jej partner trochę za dużo wypił i szlag go trafił, gdy nie chciała pójść z nim na całość. Kiedy jechali do domu, dał gaz do dechy i wjechał prosto w ciężarówkę na drugim pasie. Faktycznie pokazał, na co go stać. Zginął na miejscu. Joanie przeżyła, ale miała przerwany rdzeń kręgowy i sparaliżowało ją od pasa w dół. Nie, żeby to ją powstrzymywało. Poszła do college’u i skończyła go w czołówce klasy, miała świetną pracę.

– Znałeś ją przez cały ten czas?

Willie pokręcił głową.

– A skąd. Spotkałem ją tak z rok temu. Trochę za bardzo poszalała z kartami kredytowymi, sama wiesz, jak to jest. No to pewnego dnia zapukałem do jej drzwi, przedstawiłem jej Pana Nożyczki i tak krok po kroku zostaliśmy przyjaciółmi. Trochę tak jak z tobą. – Uniósł wzrok i spojrział w jej oczy. – Ciało było okaleczone. Kto mógłby zrobić coś

takiego? Jakby zabicie jej nie było wystarczająco parszywe... – Zaczął rzezić. Odezwała się astma. Przerwał, wziął głęboki wdech. – I co to, do kurwy nędzy, znaczy? „Okaleczone”. Jezu, to dopiero paskudne słowo, ale co to za okaleczenia? Nowy Kuba Rozpruwacz czy jak?

– Nie mam pojęcia. Takie to ważne?

– Dla mnie tak – zwilżył wargi. – Dziś zadzwoniłem do glin, próbowałem wycisnąć z nich więcej szczegółów. Wyszedł remis. Odmówiłem podania nazwiska, oni odmówili informacji. Spróbowałem też w przedsiębiorstwie pogrzebowym. Wyprowadzenie zwłok w zamkniętej trumnie, potem kremacja. Wygląda mi na to, że coś jest ukrywane.

– Co, na przykład? – zapytała.

Willie westchnął.

– Pewnie weźmiesz mnie za czubka, ale... – Przeczesał palcami włosy. Był naprawdę nakręcony. – Na przykład, gdyby Joanie była... no, maltretowana... rozpruta, może nawet... wiesz, częściowo zjedzona... rozumiesz, jakby, no... dopadło ją jakieś zwierzę.

Willie ciągnął dalej, ale Randi już nie słuchała.

Zstąpił na nią chłód. Był stary i szary, pełen lęku i nagle znów miała dwanaście lat i stała w kuchni, słysząc, jak jej matka wydaje z siebie tamten dźwięk, potworny, wysoki, piskliwy, jęczący odgłos. Tamci panowie wciąż do niej mówili, próbując sprawić, by zrozumiała... „Jakieś zwierzę”, powiedział jeden z nich. Mama najwyraźniej ani ich nie słyszała, ani nie docierało do niej, co mówią ale do Randi i owszem. Powtórzyła te słowa na głos, i nagle wszystkie oczy zwrócone były na nią, a jeden z gliniarzy powiedział: „O Jezu, dzieciak”, i wszyscy tak się gapili, aż wreszcie mama wstała i położyła ją do łóżka. Gdy otulała ją kołdrą, zaczęła niepowstrzymanie szlochać... mama, nie Randi. Randi nie płakała. Ani wtedy, ani na pogrzebie, ani przez wszystkie kolejne lata.

– Hej! Hej! Wszystko w porządku? – dopytywał się Willie.

– Absolutnie – ucięła.

– Jezu, weź mnie tak nie strasz, mam dość własnych problemów, wiesz? Wyglądałaś, jakby... cholera, sam nie wiem, co mi przypominałaś, ale nie chciałbym spotkać się z tym w ciemnej uliczce.

Randi spojrzała na niego ostro.

– W gazecie pisali, że Joan Sorenson została zamordowana. Atak dzikiego zwierzęcia to nie morderstwo.

– Tylko mi nie cytuj prawa, Wade. Ja tam nic nie wiem, nie wiem nawet, czy faktycznie był w tym jakiś zwierzak, może mi po prostu odbiło, paranoja czy co tam chcesz. W gazecie pominęli wszystkie krwiste detale. Co za pierdolona gazeta, nic nie napiszą. – Willie gwałtownie łapał powietrze, wiercił się w fotelu, bębnił palcami o jego poręcz.

– Willie, zrobię, co będę mogła, ale gliny w takiej sprawie naprawdę się przykładają. Nie wiem, czy będę w stanie cokolwiek dołożyć.

– Policja – powiedział posepnie. – Nie ufam policjantom. – Pokręcił głową. – Randi, jeśli gliny zaczną przeszukiwać jej rzeczy, to znajdą moje nazwisko w notesie z telefonami, wiesz, czy gdzie tam bądź.

– Więc boisz się, że zostaniesz podejrzanym, tak?

– Cholera, nie wiem, może...

– A masz alibi?

Wyglądał zdecydowanie nieszczęśliwie.

– Nie. Ni cholery. Znaczy, nic takiego, co można by przedstawić w sądzie. Miałem ją... no, odwiedzić tego wieczoru. Szlag, no wiesz, przecież mogła wypisać moje imię na kalendarzu ściennym, rozumiesz. Po prostu nie chcę, żeby zaczęli koło mnie węszyć, dobra?

– A czemu nie?

Skrzywił się.

– Nawet my, skromni pożeracze ziemniaków, mamy swoje obleśne sekreciki. Przecież, cholera, mogliby znaleźć wszystkie te twoje rozbierane zdjęcia. – Nie roześmiała się. Willie pokręcił głową. – Boże, sama wiesz, wydawałoby się, że gliny mają lepsze rzeczy do roboty niż tropienie morderców – od ponad roku nie wlepili mi mandatu za parkowanie. Aż się człowiek zastanawia, w co zamienia się to miasto. – Znow zaczął rzeźić. – No i znow zbyttno się podeksycyowałem, cholera. Twoja wina, Wade. Założę się, że pod tymi dzinsami masz majtki z wycięciem w kroku, nie? – Przeszywając ją oskarżycielskim spojrzeniem, Willie wyciągnął inhalator z kieszeni płaszcza, wetknął plastikową dyszę w usta i strzelił sobie porcję, zasysając ją łapczywie.

– Widzę, że ci się poprawiło – oznajmiła Randi.

– A kiedy powiedziałaś, że zrobisz wszystko, by pomóc, miałaś na myśli także rozebranie się do naga? – spytał Willie z nadzieją.

– Nie – odparła zdecydowanie. – Ale biorę tę sprawę.

* * *

River Street to niezupełnie prestiżowa okolica, ale Williemu to absolutnie pasowało. Bogacze mieszkający na wzgórzach mieli „widok na rzekę”, jeśli wyglądali z mansard i galeryjek swoich wiktoriańskich rezydencji, ale ta sama rzeka płynęła tuż pod jego oknami. Dzień i noc słyszał jej głos, plaśnięcia fal o słupy pomostów, rogi sygnałowe, gdy zagęściła się mgła, okrzyki żeglarzy w słoneczne popołudnia. Miał blask księżyca na czarnych wodach, jak też własny, zbutwiały pomost, na którym mógł przesiadywać każdej północy, kiedy tylko nachodziła go ochota na samotność. Miał jedenaście pokoi, w których niegdyś mieściły się biura, toalety: męską (z pisuarem) i żeńską (z automatem z tampaksami), solidne drewniane podłogi, prześliczne świetliki w dachu i szczery zamiar założenia prawdziwej kuchni, jak tylko przepchnie w banku pożyczkę. Na parterze był też porzucony browar, na wypadek,

gdyby kiedykolwiek zechciał warzyć własne piwo. Ten pełen przeciągów budynek z czerwonej cegły postawiono ponad sto lat temu, mniej więcej wtedy, gdy nadrzeczne równiny stały się tą gorszą dzielnicą miasta. Obecnie, jeśli już jakieś budynki w okolicy były użytkowane, to przez przemysł, więc Willie nie miał zbyt wielu sąsiadów, co mu najbardziej pasowało.

Nie było też problemów z parkowaniem. Willie miał monstrualnego starego cadillaca w kolorze limony, ze sporą dokładką chromu i skrzydeł, którego zawsze zostawiał u nabrzeża, przy swoim pomoście, pół kroku od drzwi. Pięć minut schodziło mu na otwieraniu wszystkich zamków. Willie wierzył w ślusarstwo, szczególnie na River Street. W browarze było ciemno i cicho. Zamknął drzwi za sobą na wszystkie spusty i potruchtał na piętro, do swoich pokoi.

Był bardziej przerażony, niż przyznał Randi. Już zeszłej nocy nieźle się wystraszył, kiedy poczuł zapach krwi i doszedł do wniosku, że Joanie odwalila jakąś większą głupotę, ale gdy rano kupił gazetę i zobaczył, że właśnie ona stała się ofiarą że była katowana, zabita i okaleczona... okaleczona, Boże drogi, co to, do cholery, znaczy, czyżby któryś z pozostałych... nie, mdliło go nawet na samą myśl o tym.

Jego salon był biurem prezesa w czasach, gdy browar jeszcze funkcjonował. Okna wychodziły na rzekę, a Willie uważał, że biorąc wszystko pod uwagę, udało mu się go nawet nieźle umeblować. Meble nie pasowały do siebie nawzajem, ale to mu nie przeszkadzało. Zbierał je latami, jeden po drugim, nowe przeważnie od ludzi, którzy po prostu nie spłacali rat, antyki przejmował zamiast gotówki dla pokrycia starych, beznadziejnie przeterminowanych wierzytelności. Willie prawie zawsze potrafił coś wycisnąć z dłużników, nawet z takich, których wszyscy inni mieli za całkiem splukanych. Jeśli coś mu się spodobało, płacił klientom z własnej kieszeni, dostawali dziesięć-dwadzieścia centów za każdego dolara, którego ktoś był im winien, a Willie zatrzymywał meble. W ten sposób trafił parę naprawdę świetnych okazji.

Właśnie postawił czajnik z wodą na elektrycznym taborecie, gdy rozdzwonił się telefon.

Willie obrócił się i patrzył nań, marszcząc brwi. Niemal bał się podnieść słuchawkę. Może to policja... ale może Randi albo ktoś spośród jego pozostałych przyjaciół, ktoś zupełnie spoza tej sytuacji. Skrzywił się, podszedł i podniósł słuchawkę.

– Halo?

– Dobry wieczór, Williamie. – Willie miał wrażenie, że ktoś przeciągnął mu wzdłuż kręgosłupa lodowatym palcem. Głos Jonathana Harmona był głęboki i łagodny. Słuchając go, dostawał dreszczy. – Próbowaliśmy się z tobą skontaktować.

„Nie wątpię” – pomyślał Willie, ale powiedział tylko:

– No bo na mieście byłem.

– Oczywiście słyszałeś o tej kalekiej dziewczynie.

– O JOAN – wyrębał. – Miała na imię Joan. Owszem, słyszałem. Ale wiem tyle, ile wyczytałem w gazecie.

– To moja gazeta – przypomniał mu Jonathan. – Williamie, część spośród nas zbierze się w Blackstone na rozmowę. Zoe i Amy są już tutaj, a Michael powinien być lada chwila. Steven pojechał po Lawrence’a. Może też podjechać po ciebie, jeśli jesteś wolny.

– Nie. Może nie jestem superszybki, ale nigdy wolny – wypalił. Jego śmiech był podbarwiony paniką.

– Williamie, stawką może być twoje życie.

– A tak, na pewno, skurwysynu. Grozisz mi? Coś ci powiem, spisałem wszystko, co wiem, absolutnie wszystko, i rozdałem kopie znajomym. – To akurat zmyślił, ale pomysł wyglądał na niezły. – Jeśli skończę jak Joanie, oni już zatroszczą się o to, żeby te listy dotarły do policji, słyszysz?

Nie zdziwiłby się wcale, gdyby Jonathan oznajmił spokojnie: „To moja policja”, ale po drucie niosła się tylko cisza i biały szum, a potem westchnienie.

– Zdaję sobie sprawę, że los Joan cię wzburzył...

– Weź już, kurwa, nic o niej nie mów – przerwał. – Ni cholery nie masz prawa o niej mówić. Już ja wiem, co o niej myślałeś. Słuchaj mnie uważnie, Harmon, jeśli się okaże, że ty czy ten twój walnięty dzieciak mieliście coś wspólnego z tym, co zaszło, któreś nocy pojawię się w Blackstone i sam cię zarżnę, zobaczysz. Była naprawdę w porządku, była... była... – I nagle, po raz pierwszy od rana, Joan wypełniła jego mózg – jej twarz, śmiech, zapach, kiedy się wierciła rozgrzana, piękno ruchu jej mięśni, gdy biegła obok, odgłosy, jakie wydawała, gdy splatały się ich ciała. Wszystko to do niego wróciło i poczuł, jak po twarzy spływają mu łzy. Dusił się, jak gdyby wokół piersi zaciskały się stalowe pasy. Jonathan coś mówił, ale Willie walnął słuchawką o widełki, po czym wyrwał kabel z gniazdka. Na kuchence wesoło gotowała się woda. Po omacku wydobył z kieszeni inhalator i zaserwował sobie porządną porcję, po czym pochylił głowę w kierunku pary, aż wreszcie oddech wrócił. Łzy wyschły, ból nie.

Potem, gdy przemyślał sobie wszystko, co powiedział, czym groził, tak się rozdygotał, że zszedł na dół i dwa razy sprawdził wszystkie zamki i zasuwę.

* * *

Courier Square posunął się już daleko na drodze do ruiny. Wielkie, szykowne sklepy wyniosły się do podmiejskich centrów handlowych, wspaniałe kina przekształcono w multipleksy albo pokazywano w nich pornosy, a tam, gdzie niegdyś mieściły się ekskluzywne butik, gnieździli się chiromanci i sex-shopy. Gdyby Randi naprawdę chciała mieć obskurne małe biuro w paskudnej dzielnicy, mogłaby je sobie znaleźć właśnie przy Courier Square. Życie, jakie wciąż jeszcze tam się toczyło, plac zawdzięczał tylko gazecie.

Gmach redakcji „Kuriera” był spadkiem z lepszych czasów, kiedy to serce miasta wciąż biło w jego centrum, a gazeta była duszą metropolii. Stary Douglas Harmon, który każdemu

był gotów zaklinać się, że skrojono go z tego samego materiału co Pulitzera i Hearsta, zawsze uważał dziennikarstwo za zawód wymagający powołania. W związku z tym gmach w stylu „gotyckiego art deco”, który postawił dla własnej gazety, wyglądał jak rezultat niezbyt szczęśliwego związku między biurowcem Chryslera a jakąś wybitnie groteskową katedrą. Pięć dziesięcioleci smogu poczerśniło granitową fasadę budynku, a kwaśne deszcze przeżarły wilczopyskie gargulce, które szczyrzyły się ze ścian, ale wciąż jeszcze można było sobie regulować zegarek według monstrualnych, starych pras drukarskich w piwnicy, a Harmon wciąż miał widok na miasto ze swego biura na szczycie Żelaznej Iglicy. W ten sposób plac i miasto były obdarzone pewną ciągłością.

Czarna, marmurowa posadzka w holu gmachu była śliska od wody, gdy Randi umknęła przed padającym na zewnątrz deszczem, zawinięta w za duży dla niej o kilka numerów płaszcz Burberry, pamiątkę po ostatniej walce z byłym. Skoro już za niego zapłaciła, niech ją diabli, jeśli nie będzie go nosić. Za wielkim biurkiem w kształcie podkowy siedział umundurowany ochroniarz, a ścianę nad nim zdobiły zegary, które niegdyś podawały czas na całym świecie. Teraz większość była popsuta, ich wskazówki zastygły w chronologicznej kakofonii. W takie ponure popołudnie hol był posepnym miejscem, o przeciągach równie chłodnych jak wyraz twarzy ochroniarza. Randi zdjęła kapelusz, zarzuciła włosami i obdarzyła faceta miłym uśmiechem.

– Na spotkanie z Barrym Schumacherem.

– Redakcyjny. Trzecie piętro. – Tamten ledwie na nią spojrzął, by wrócić do rozłożonego na kolanach magazynu sadomaso. Randi skrzywiła się i przeszła obok, stukając obcasami o marmur.

Winda była otwartą klatką z kutego żelaza, która łomotała, trzęsła się i bez najmniejszego pośpiechu zabrała ją na trzecie piętro, do redakcji miejskiej. Schumacher siedział samotnie za swoim biurkiem i patrzył z okna na zalane deszczem ulice; papieros dymił mu w ustach.

– No popatrz tylko – powiedział, gdy Randi stanęła za jego plecami. Pod zaciemnioną markizą kina Castle stała mewka w skórzanej miniówce. Deszcz przemoczył jej cienką białą bluzkę, która teraz oklejała jej biust. – Równie dobrze mogłaby być w toplessie – dodał. – I to przed Castle. Pierwsze kino w stanie, które grało *Przeminęło z wiatrem*, wiesz? Tu miały premiery wszystkie wielkie filmy. – Skrzywił się, obrócił krzesło i zgasił papierosa. – Cholerna sprawa – oznajmił.

– Płakałam, gdy umarła mama Bambiego – powiedziała.

– Tu, w Castle?

Kiwnęła głową.

– Byłam z ojcem, ale on nie płakał. Tylko raz widziałam, jak płacze, ale to było później, dużo później, i wcale nie przez film.

– Z Franka był w porządku facet. – Schumacher wygłosił ocenę jak respons w litanii. Dobijał już do emerytury, łysiał i mocno przytył, ale wciąż jeszcze nienagannie się ubierał, i

Randi przypomniała sobie młodego reportera dandysa, który w swoim czasie złamał niejedno serce. Przez lata regularnie przychodził na środowe noce pokerowe do jej ojca. Udawał wtedy, że Randi to jego dziewczyna, że czeka, aż ona dorośnie, żeby mogli się pobrać. Zawsze wtedy chichotała. Ale to był inny Barry Schumacher – ten wyglądał, jakby ostatni raz roześmiał się za prezydentury Kennedy’ego. – I co mogę dla ciebie zrobić? – spytał.

– Możesz opowiedzieć mi wszystko, co pominęliście w artykule o morderstwie na Parkway – odpowiedziała i usiadła po przeciwnej stronie biurka.

Barry niemal nie zareagował. Nie widywała go zbyt często od śmierci ojca, a kiedy już się spotykali, za każdym razem wyglądał jakby bardziej szaro, coraz bardziej wyczerpany, jak gdyby wyssano z niego pasję, radość, gniew, wszystko.

– A skąd wniosek, że coś pominęliśmy?

– Mój ojciec był gliną gdybyś zapomniał. Wiem, jak działa to miasto. Czasem gliniarze proszą was, żebyście o czymś nie pisali.

– A proszą – potwierdził. – Oni proszą, a my robimy swoje. To dwie różne sprawy. Zdarza się czasem, że pominiemy jakiś kluczowy dowód rzeczowy, żeby pomóc im odsiewać fałszywe zeznania. Wiesz, jak to działa. – Zawiesił głos, żeby odpalić kolejnego papierosa.

– A tym razem?

– Makabra, cholera. Ale wydrukowaliśmy artykuł, nie? – Wzruszył ramionami.

– Według waszego artykułu ofiara została okaleczona. Co to dokładnie znaczy?

– Tam, przy biurku korektorek, jest słownik. Jak chcesz, to sobie sprawdź.

– Nie chcę nic sprawdzać – warknęła Randi nieco zbyt gwałtownie. Barry zachowywał się po chamsku; tego się nie spodziewała. – Wiem, co znaczy to słowo.

– Więc twoim zdaniem powinniśmy byli wydrukować wszystkie smakowite detale? – Barry odchylił się i głęboko zaciągnął dymem. – Wiesz, co zrobił Kuba Rozpruwacz swojej ostatniej ofierze? Między innymi obciął jej piersi. Pokroił je w plastry, śliczniutko, jakby skrawał białe mięso z indyka, po czym ułożył je jeden na drugim obok łóżka. Bardzo porządnie, sutki na wierzchu i w ogóle. – Wypuścił dym z płuc. – I co, o tego typu detale ci chodzi? Wiesz, ile dzieci czyta codziennie „Kuriera”?

– Nie obchodzi mnie, co drukujecie w „Kurierze” – odparła. – Po prostu chcę znać prawdę. Mam zatem rozumieć, że Joan Sorenson obcięto piersi?

– Tego nie powiedziałem – rzekł Schumacher.

– Ano nie. W ogóle niewiele mówisz. Czy zabiło ją jakieś zwierzę?

Celny strzał. Schumacher podniósł wzrok, spojrzął jej w oczy i przez moment w zmęczonej twarzy za szklami okularów w drucianych oprawkach dostrzegła cień dawnego przyjaciela.

– Zwierzę? – spytał cicho. – O tym myślisz? Wcale nie chodzi ci o Joan Sorenson, prawda? Myślisz o ojcu. – Barry wstał i przeszedł na jej stronę biurka. Oparł dłonie na jej ramionach i zajrzał w oczy. – Randi, kochana, odpuść sobie. Ja też kochałem Franka, ale on

nie żyje, jest martwy od... cholera, to już prawie dwadzieścia lat. Według koronera dopadł go jakiś wściekły pies i tyle.

– Sekcja nie ujawniła śladów wścieklizny i dobrze o tym wiesz. Ojciec opróżnił bębenek rewolweru. Jaki wściekły pies wciąż atakowałby po sześciu kulach z policyjnej trzydziestki ósemki, co?

– Mógł spudłować – podsunął Barry.

– NIE SPUDŁOWAŁ! – ucięła. Odwróciła się od niego. – Nie mogliśmy nawet mieć otwartej trumny, bo zbyt wiele ciała zostało... – nawet teraz ledwie mogła to z siebie wydusić, ale w końcu była już dużą dziewczynką i dała radę – ... pożarte – dokończyła cicho. – Nie znaleziono żadnego zwierzęcia.

– Frank musiał wpakować w nie kilka kul i gdy już to cholerne bydlę go zabiło, po prostu popęzło gdzieś i zdechło – powiedział, nie bez łagodności w głosie. Obrócił Randi, żeby znów spojrzeć jej w oczy. – Może tak to było, a może i nie. To była makabryczna sprawa, dziecko, ale od tego czasu minęło osiemnaście lat, i nie ma najmniejszego związku między nią a śmiercią Joan Sorenson.

– No to powiedz mi, co się jej stało – odpowiedziała.

– Słuchaj, nie powinienem... – Zawahał się, nerwowo zwilżył językiem wargi. – To był nóż – powiedział cicho. – Zabito ją nożem, to wszystko jest w raporcie policyjnym. Ot, jakiś świr z ostrym nożem. – Usiadł na krawędzi biurka i w jego głosie znów rozbrzmiał znajomy cynizm. – Czubek, który oglądał zbyt wiele tych chorych filmów wczasowych, wiesz, *Halloween*, *Piątek trzynastego*, na każde święto coś się znajdzie.

– No, świetnie. – Po głosie poznała, że nic więcej już z niego nie wycisnie. – Dzięki.

Skinał głowę, nie patrząc na nią.

– Nie wiem, skąd się biorą te wszystkie plotki. Tylko tego nam trzeba, żeby ludzie pomyśleli, że po okolicy gania jakiś dziki zwierz-ludojad. – Poklepał ją po ramieniu. – Słuchaj, odezwiąj się czasem, co? Wpadłabyś któregoś wieczoru na obiad. Adele wciąż się o ciebie dopytuje.

– Pozdrów ją ode mnie serdecznie. – Zatrzymała się przy drzwiach. – Barry... – Uniósł wzrok i zdobył się na uśmiech. – Kiedy znaleziono ciało, nic nie brakowało?

Zawahał się przez chwilę.

– Nie – odparł.

Barry zawsze był tym, który najwięcej przegrywał na pokerowych maratonach ojca. Grał nawet nieźle, pamiętała, co mówił o nim ojciec, ale gdy próbował blefować, zdradzały go oczy...

Barry Schumacher skłamał.

* * *

Dzwonek był zepsuty, więc Willie musiał pukać. Nikt nie odpowiedział, ale to go akurat nie zmyliło.

– Wiem, że pani tam jest, pani Juddiker! – krzyknął w stronę okna. – Telewizor było słyhać na sąsiedniej przecznicy. Wyłączyła go pani, jak mnie zobaczyła przed domem. Hej, proszę mnie nie brać za idiotę, dobra? – Znów zastukał w drzwi. – Proszę otworzyć, ja się nigdzie nie wybieram.

W środku odezwało się dziecko, ale zostało szybko uciszone. Willie westchnął. Nie cierpiał takich scen. Czemu zawsze stawiali go w takiej sytuacji? Wyjął kartę kredytową, otworzył drzwi i wszedł do zaciemnionego salonu, na wpeł oczekując, że powita go wrzask przerażenia. Zamiast tego spotkała go cisza, wynik totalnego zaskoczenia.

Patrzyli na niego wszyscy, kobieta z dwójką dzieci. Rolety na oknach były opuszczone, zasłony zaciągnięte. Kobieta miała na sobie biały, frotowy szlafrok i wyglądała na nawet młodszą, niż sądził po głosie w słuchawce.

– Nie może pan ot, tak tu sobie wejść – powiedziała.

– Ale właśnie wszedłem – odparł. Gdy zamknął drzwi, w pokoju zrobiło się strasznie ciemno. Działo mu to na nerwy. – Mogę włączyć światło?

Nic nie powiedziała, więc znalazł kontakt. Wszystkie meble były z Armii Zbawienia i nie wyglądały najlepiej, z wyjątkiem gigantycznego, szerokoekranowego telewizora stojącego w przeciwległym rogu pokoju. Starsze dziecko, dziewczynka, która wyglądała na jakieś cztery latka, stało przed nim na straży. Willie uśmiechnął się do małej. Nie zareagowała.

Zwrócił się z powrotem do matki. Wyglądała na jakieś dwadzieścia lat, może i mniej, śniada, może ze cztery kilo za dużo, ale wciąż ładna. W poprzek nosa biegło pasemko piegów.

– Kupi sobie pani łańcuch do drzwi, ale proszę go używać, dobra? – powiedział jej. – I da sobie pani spokój z tymi zagraniami, że nikogo nie ma w domu. Na ogary Piekieł to nie działa. – Usadowił się na fotelu obciągniętym czarnym winylem, który trzymał się w kupie tylko dzięki taśmie izolacyjnej. – Ale bym się czegoś napił. Coli, soku, mleka, nieważne. Są takie dni. – Nikt nawet nie drgnął ani się nie odezwał. – No wiecie co, dajcie sobie spokój – ciągnął. – Przecież nie chcę, żeby sprzedała pani dzieci do banku narządów, musimy tylko pogadać o pani długach, dobra?

– Zabierze pan telewizor – stwierdziła matka.

Willie spojrział na to monstrum i zadygotał.

– Ma już rok, a waży z tonę. Jak mam coś takiego ruszyć z nadwężonym kręgosłupem? A do tego jeszcze mam astmę. – Wyjął z kieszeni inhalator i pokazał jej. – Gdyby chciała mnie pani zabić, zmuszenie mnie do targania tego cholernego pudła mogłoby wystarczyć.

To chyba nieco rozładowało atmosferę.

– Bobby, przynieś panu puszkę picia – powiedziała matka. Chłopak pobiegł w głąb domu. Ona, siadając, przytrzymała szlafrok, i Willie dostrzegł, że nie miała nic pod spodem.

Zastanawiał się, czy na piersiach też ma piegi. – Jak panu mówiłam przez telefon, my w ogóle nie mamy pieniędzy. Mąż ode mnie uciekł. Zresztą i tak nie miał roboty, od kiedy zamknęli paczkarnię.

– Wiem – odpowiedział. „Paczkarnia” – tak mówiono w skrócie na zakłady paczkowania mięsa, a to z kolei była popularna nazwa wielkiej rzeźni z południowej dzielnicy, największego pracodawcy w mieście do czasu zamknięcia dwa lata temu. Wyjął z kieszeni notesik i przerzucił kilka kartek. – Więc tak, kupiliście tego grzmota na raty, dwie uiszczone na czas, potem przeprowadzka bez podania nowego adresu. Wciąż jeszcze zalegacie na dwa tysiące osiemset szesnaście dolarów. I trzydzieści jeden centów. Zapomnimy o odsetkach i karach za zwłokę. – Wrócił Bobby, niosąc mu puszkę dietetycznego napoju imbirowego o smaku czekolady. Willie powstrzymał się od dreszczu odrazy i otworzył wieczko.

– Idźcie się pobawić na podwórku za domem – powiedziała do dzieci. – Dorośli muszą pogadać. – Jednak gdy dzieci wyszły, wcale nie zostało w jej głosie zbyt wiele dorosłości. Willie zaczął się już trochę bać, że mu się rozplacze, bo naprawdę nie znosił, jak zaczęli mu płakać.

– To Ed go kupił – wyjaśniła drżącym głosem. – Ale to nie była jego wina. Kartę przysłali nam pocztą.

Willie znał tę melodię. W poczcie przychodzi karta kredytowa, więc zaraz następnego dnia grzejemy do sklepu i kupujemy największy sprzęt, jaki tylko tam stoi.

– Sam widzę, że ma pani mnóstwo problemów. Powie mi pani, gdzie znaleźć Eda, a ja wydebię pieniądze od niego.

Roześmiała się gorzko.

– Nie zna go pan. W paczkarni przenosił półtusze wołowe, więc łapy miał jak sto pięćdziesiąt. Jak mu pan zaczniesz zwracać tyłek, to ci zerwie twarz ze łba i wepchnie do dupy.

– Jakże czarująco ujęte – powiedział Willie. – Nie mogę się doczekać spotkania.

– A nie powiesz mu pan, że to ja podałam, gdzie go znaleźć? – zapytała nerwowo.

– Słowo skauta – odpowiedział. Uniósł prawą dłoń w geście, który poniekąd kojarzył mu się ze skautingiem, ale podejrzewał, że puszka z tym cholernym napojem nieco psuła efekt.

– A był pan skautem? – zapytała.

– No, nie – przyznał – ale była taka drużyna, która w dzieciństwie regularnie spuszczała mi bęcki.

Na to się uśmiechnęła.

– Pańskie ryzyko. Teraz Ed mieszka z jakąś zdzirą, nie wiem gdzie. Ale w weekendy obsługuje bar w knajpie u Squeaky’ego.

– Znam.

– To nie jest prawdziwa posada. Robi na czarno – dodała z namysłem. – W ten sposób wciąż może pobierać zasiłek. A żeby czasem podesłał coś dla dzieciaków? Skąd!

– No i ile by tak pani zalegał, jak pani myśli? – spytał Willie.

– Sporo – odrzekła.

Willie wstał.

– Wie pani, to nie mój interes, ale taki jest ten mój interes, że tak powiem. Jeśli pani chce, to jak już skończę rozmawiać z Edem o telewizorze, zobaczę, co zdołam zebrać dla pani. Czysto zawodowo, wie pani, wezmę swoją małą działkę, ale reszta dla pani. Może nie będzie tego za wiele, ale lepsze coś niż nic, prawda?

Patrzyła na niego zdumiona.

– Poważnie?

– No pewnie. Czemu nie, do cholery? – Wyciągnął portfel i wydobyl zeń dwudziestkę. – Proszę, zaliczka. – W jej spojrzeniu wciąż dominowało niedowierzenie, ale nie odmówiła przyjęcia pieniędzy. Willie zaczął kopać w kieszeni płaszcza. Zawsze nosił tam kilka par tanich nożyczek. Znalazł jedną i włożył w jej dłoń. – A ten tutaj to Pan Nożyczki. Od dziś jest pani nowym przyjacielem.

Patrzyła na niego jak na świra.

– Proszę go przedstawić kolejnej karcie kredytowej, którą znajdzie pani w skrzynce – powiedział – a będzie pani mieć spokój z takimi palantami jak ja.

Otwierał właśnie drzwi, gdy go dogoniła.

– Hej, a właściwie to jak panu na imię?

– Willie.

– Jestem Betsy.

Pochyliła się, by pocałować go w policzek, i biały szlafrok rozchylił się na moment, w sam raz, by mógł szybko rzucić okiem na jej drobny biust. Piersi były leciutko obsypane piegami, sutki szerokie i brązowe. Gdy robiła krok wstecz, znów ściśle ściągnęła poły szlafroka.

– Nie jesteś żaden palant, Willie – powiedziała, zamykając drzwi.

Ruszył chodnikiem i czuł się niemal jak człowiek, lepiej niż kiedykolwiek od czasu śmierci Joanie. Przy krawężniku stał jego cadillac, z podniesionym płóciennym dachem, aby strzec wnętrza przed przelotnymi deszczami, które od rana tropiły go po całym mieście. Willie wsiadł i uruchomił silnik, po czym zerknął we wsteczne lustro dokładnie w momencie, gdy facet leżący na tylnym siedzeniu podniósł się.

Oczy w lusterku były bladoniebieskie. Czasami, gdy kończą się roztopy, gdy rzeka znów opada w korycie, wzdłuż brzegu można było spotkać takie zatechłe jeziora, starorzecza odcięte od głównego nurtu, śmierzzące, niewzruszone i zimne. I nie można było nie zastanawiać się, jak są głębokie i czy w tych głębinach jest coś żywego. Tamten miał właśnie takie oczy, głęboko osadzone w ciemnej twarzy o zapadniętych policzkach, obramowane długimi, brązowymi włosami, które opadały aż do ramion. Willie obrócił się ku niemu gwałtownie.

– Jasna cholera, coś ty robił tam z tyłu? Naszła cię chęć na drzemkę? Boli mnie, że muszę ci to przypomnieć, Steven, ale ten wóz to naprawdę jeden z niewielu obiektów w tym mieście, które nie należą do Harmonów. Coś ci się pokreśliło, nie? A może pomyliłeś go z ławką w parku? Słuchaj, żebyś wiedział, że nie żywię urazy, zawiozę cię do parku, nawet kupię gazetę, żebyś nie zmarzł, gdy będziesz dosypiał.

– Jonathan chce cię widzieć – powiedział Steven. Jego głos był jak jego twarz, martwy, nieruchomy.

– Wiwat, hura, ale nie dotarło do niego, że może ja nie mam ochoty się z nim widzieć? Pomyślałeś kiedyś o tym? – Willie wiedział, że ma już przesrane. Musiał walczyć ze sobą, żeby nie zwiewać z tego samochodu, gdzie oczy poniosą.

– Jonathan chce cię widzieć – powtórzył Steven, jak gdyby za pierwszym razem Willie nie zrozumiał. Wyciągnął dłoń w przód i zacisnął ją na ramieniu Williego. Miał kobiece palce, długie i delikatne, ich skóra była blada i gładka. Jednak wewnątrz dłoni przecinały ślady oparzelin, które znaczyły ciało jak cechy na bydle, a opuszki palców były zakrwawione i pokryte strupami – nagie, czerwone mięso. Palce wbiły się w ramię Williego z potworną nieludzką siłą. – Jedź – powiedział Steven i Willie pojechał.

* * *

– Przykro mi – oświadczyła sekretarka na komendzie głównej – ale szef nie ma już dzisiaj wolnych terminów. Mogę umówić panią na czwartek.

– Nie chcę się z nim spotkać w czwartek. Chcę go widzieć dziś. – Randi nienawidziła tego gmachu. Zawsze roilo się tu od glin. Z jej punktu widzenia gliniarze dzielili się na trzy klasy: tych, którzy widzieli w niej niezłą laskę do wyrwania, tych, którzy mieli ją za znienawidzoną prywatną inicjatywę, i tych najstarszych, którym było jej żal, bo była córeczką Franka Wade'a. Pierwsi i drudzy byli męczący, ale ta trzecia grupa doprowadzała ją do furii.

Urażona recepcjonistka zacisnęła wargi.

– Jak już wyjaśniłam, to po prostu niemożliwe.

– Proszę mu tylko powiedzieć, że tu jestem – odparła. – Znajdzie dla mnie czas.

– W tej chwili ma gościa i jestem pewna, że nie życzy sobie, by mu przeszkadzano.

Randi miała już dość. Upłynął prawie cały dzień, a ona właściwie niczego się nie dowiedziała.

– A może po prostu sama sprawdzę? – zapytała słodziutko, dziarsko przemaszerowała obok biurka recepcjonistki i sforsowała sięgającą pasa, drewnianą barierkę.

– Tam nie wolno wchodzić! – zapiszczała oburzona sekretarka, ale Randi już otwierała drzwi.

Komendant policji James Urquhart siedział za zawalonymi aktami starym, drewnianym biurkiem, pograżony w rozmowie z panią koroner. Oboje zwrócili się ku otwartym drzwiom.

Urquhart był wysokim, krzepkim mężczyzną zaraz po sześćdziesiątce. Miał już mocno przerzedzoną czuprynę, ale jej pozostałości wciąż były rude, choć brwi komendanta całkiem posiwiały.

– Co, do diabła... – odezwał się.

– Wybacz wtargnięcie, ale Miss Społegliwości wciąż mnie zbywała – powiedziała Randi, ścigana przez recepcjonistkę.

– Młoda damo, to siedziba policji i wylecisz stąd na zbity pysk – zauważył groźnie Urquhart, wychodząc zza biurka – chyba że za pięć sekund podejdziesz i porządnie uściskasz wujka Joego.

Randi z uśmiechem przeszła po rozłożonej na podłodze niedźwiedziej skórce, objęła go i wtuliła głowę w jego tors, podczas gdy komendant usiłował ją zmiążyć w swoim uścisku. Z tyłu z demonstracyjnym trzaśnięciem zamknęły się drzwi. Randi wydostała się z uścisku.

– Tęskniłam za wami – powiedziała.

– Jasne – odpowiedział z cieniem nagany. – To pewnie dlatego tak często nas odwiedzasz.

Frank Wade i Urquhart byli przez lata partnerami, kiedy jeszcze obaj byli zwykłymi mundurowymi. Żyli ze sobą tak blisko, że rodzina Urquhartów była dla Randi jak wujostwo. Ich starsza córka opiekowała się nią pod nieobecność rodziców, a Randi odwdzięczyła się, doglądając młodszej. Po śmierci Franka Joe opiekował się nimi, pomógł matce w załatwieniu pogrzebu i wszystkich spraw prawnych, dopilnował, żeby odszkodowanie wystarczyło na college dla Randi. Jednak to już nie było to samo i rodziny zaczęły się oddalać, a proces ten jeszcze przyspieszył po śmierci jej matki. Teraz Randi widywała go góra dwa razy do roku i miała z tego powodu poczucie winy.

– Wybacz – powiedziała. – Wiesz przecież, że mam szczerą chęć, ale...

– Zawsze za mało czasu, co? – spytał.

Pani koroner odchrząknęła. Sylvia Cooney była w mieście znaną osobą. Duża, bezpośrednia kobieta, której wieku nie dałoby się określić na pierwszy rzut oka, zbudowana solidnie jak betoniarka, zawsze upinająca siwostalowe włosy w ciasny kok z dala od szerokiej twarzy pozbawionej zmarszczek.

– Powinam was zostawić?

– Muszę zapytać o coś w sprawie Joan Sorenson – zatrzymała ją Randi. – Kiedy będą dostępne wyniki autopsji?

Wzrok lekarki przeskoczył na moment do komendanta, po czym znów spoczął na Randi.

– Nie mam nic do powiedzenia – odrzekła, po czym wyszła z biura, delikatnie zamykając drzwi.

– Jeszcze nie puszczamy tego do publicznej wiadomości – wyjaśnił Joe, po czym wrócił za biurko i wskazał jej krzesło. – Siadaj.

Randi usadowiła się wygodnie, po czym zaczęła rozglądać się po biurze. Jedną ścianę pokrywały pochwały, dyplomy, oprawione fotografie. Na jednej z nich zobaczyła Joego z ojcem, kiedy obaj jeszcze byli tak strasznie młodzi, dwóch wyszczerzonych szczawi w mundurach pozujących przed swoim radiowozem. Nad fotografiami wisiał łeb łosia, zezujący szklanymi ślepiami w dół, na nią. Pozostałe ściany obwieszane były kolejnymi trofeami.

– Wciąż polujesz? – spytała.

– Już od dawna nie – odparł. – Nie mam czasu. Twój ojciec cały czas robił sobie ze mnie jaja. Mówił, że gdybym zabił kogoś na służbie, też chciałbym mieć jego wypchaną głowę na ścianie. Wreszcie przyszedł ten dzień i dowcip przestał być śmieszny. – Joe zmarszczył czoło. – Skąd zainteresowanie Joan Sorenson?

– Zawodowe.

– Chyba trochę poza twoją działką co?

– Nie wybieram sobie klientów. – Wzruszyła ramionami.

– Za dobra jesteś, żeby marnować sobie życie, tropiąc lowelasów po motelach – skomentował. Zawsze się o to sprzecjali. – Wciąż jeszcze możesz wstąpić do policji.

– Nie – odparła. Nie wdawała się w tłumaczenia, bo z doświadczenia wiedziała, że i tak nie był w stanie tego pojąć. – Dziś rano byłam w komendzie dzielnicowej, żeby zobaczyć raport o Sorenson. Znikł z akt sprawy i nikt nie wie, gdzie się podział. Dostałam nazwiska chłopaków, którzy byli na miejscu zbrodni, ale żaden nie miał czasu, żeby ze mną pogadać. Teraz słyszę, że nie ujawni się także wyników autopsji. Wyjaśnisz mi, o co w tym chodzi, czy za wiele byłoby zwracania głowy?

Joe na moment odwrócił się, by wyjrzeć przez okno. Szyby lśniły od deszczu.

– To delikatna sprawa – powiedział. – Nie chcielibyśmy, żeby bez sensu rozdmuchiwano ją w mediach.

– Ja nie jestem z mediów.

– Z policji też nie. – Obrócił się z powrotem. – I to z własnego wyboru. Randi, nie chcę, żebyś się w to mieszała, rozumiesz?

– Już się zaangażowałam, czy ci się to podoba, czy nie – odparła i ciągnęła, by nie dać mu czasu na obronę: – Jak zginęła Joan Sorenson? Czy zaatakowało ją jakieś zwierzę?

– Nie – usłyszała. – Żadne zwierzę. I na więcej pytań nie odpowiem. – Westchnął. – Randi, wiem, że śmierć Franka była dla ciebie naprawdę ciężkim ciosem. Ale pamiętaj, że mi też nie było lekko. Zadzwoił do mnie z prośbą o wsparcie. Nie zdążyłem na czas. Myślisz, że zdołam kiedyś o tym zapomnieć? – Pokręcił głową. – Przestań się tym dręczyć. I nie rób igły z widel.

– Nic sobie nie wmawiam – warknęła Randy. – Przeważnie nawet o tym nie myślę, ale ta sprawa jest inna.

– Jak sobie chcesz – odparł Joe. Na rogu biurka obok Randi piętrzył się stosik akt sprawy. Urquhart pochylił się i podniósł je, postukał teczkami w bibularz, żeby je ułożyć. – Naprawdę

chciałbym móc ci pomóc. – Otworzył szufladę i wsunął do niej akta. Randi dostrzegła nazwisko na górnej teście: Helander. – Wybacz mi – ciągnął Joe – ale gdybyś była tak miła i...

– Studiujesz akta Helandera, żeby znów poczuć się młodo, czy też ma to jakiś związek ze sprawą Sorenson? – spytała.

– Kurwa mać. – Urquhart usiadł z powrotem.

– A może zmyśliłam sobie to nazwisko na teście.

Wyglądało na to, że dopiekła Joemu, i to solidnie.

– Mamy powody, by przypuszczać, że młody Helander znów jest w mieście.

– Też mi „młody”. Był trzy lata starszy ode mnie. Podejrzewacie, że to on zabił Sorenson?

– Z jego przeszłością musimy brać to pod uwagę. Jak się okazało, zwolnili go ze stanowiska dwa miesiące temu. Psychiatrzy uznali go za wyleczonego. – Urquhart skrzywił się paskudnie. – Może tak, może nie. Zresztą to tylko jeden z listy. A lista ma setkę nazwisk.

– Gdzie mieszka?

– Nie powiedziałbym ci nawet, gdybym wiedział. To taki sam popapraniec jak cała reszta jego rodziny. Nie podoba mi się, że zaczynasz z takimi typami, Randi. Twój ojciec też nie byłby szczęśliwy.

Randi wstała.

– Mój ojciec nie żyje, a ja jestem już duża.

* * *

Willie zaparkował samochód w ślepych końcu Trzynastej Ulicy, u podnóża wzgórz. Posiadłość Blackstone leżała wysoko nad rzeką, otoczona płotem wysokości dziesięciu stóp z kutego żelaza, zwieńczonym paskudnymi szpikulcami. Dojazd do bramy byłby całkiem prosty, ale należało przejechać przez całe stare centrum, potem skręcić w Grandview na Harmon Drive, tłuc się po wzgórzach i wzdłuż skarp, na których stały zdobione niczym rzeczne parostatki starzejące się rezydencje, przypominające rentierki, co nieruchomym spojrzeniem obrzucały niziny i rzekę, wspominając minione, lepsze dni. Długa, nie najprzyjemniejsza trasa.

W czasach przed eksplozją automobilizmu podróż była jeszcze dłuższa i mniej przyjemna. Douglas Harmon, stojąc w obliczu codziennych przejazdów do i z Courier Square, uprościł sobie życie. Zbudował prywatną kolejkę górską – dwa wagoniki, pełzające w górę i w dół szarej, skalnej ściany urwiska między Trzynastą Ulicą i wznoszącą się wyżej rezydencją Blackstone.

Silnik spalinowy, limuzyny, szoferzy i asfaltowane ulice pospołu sprzysięgły się, by odciągnąć Harmonów od lokomocyjnego kaprysu Douglasa, wskutek czego kolejka stała się

czymś na kształt kuchennych drzwi, ale Williemu to pasowało. Jonathan Harmon zawsze traktował go jak kogoś, kto powinien używać drzwi dla służby.

Willie wy dostał się z cadillaca i wbił dłonie w wypchane kieszenie płaszcza przeciwdeszczowego. Uniósł wzrok. Urwisko było niemal pionowe, skała ciemna i wilgotna. Steven brutalnie chwycił go za łokieć i pchnął naprzód. W drewnianym wagoniku, dawno nie odmalowywanym, znajdowały się miejsca dla sześciu osób. Steven szarpnął za sznurek dzwonka – pojazd nagłym zrywem ruszył w górę. Z rezydencji naprzeciw wyjechał drugi wagonik, mijając ich w połowie trasy. Wagon zatrzęsł się i Willie dostrzegł na szynach ślady rdzy. Nawet tu, u wrót Blackstone, wszystko się sypało.

W pobliżu szczytu zbcza przejechali przez przerwę w żelaznym płocie i ujrzeli Nowy Dwór, o stromym dachu najeżonym wieżyczkami, zdobiony wiktoriańskimi rzeźbieniami. Harmonowie mieszkali tu już niemal od stulecia, ale wciąż był to Nowy Dwór, i tak już pozostanie. Poza domem posiadłość była mocno zalesiona, wąski podjazd wił się wśród gęstych starodrzewów. Inne stare rodziny miasta już dawno hurtem lub w kawałkach sprzedały posiadaną ziemię pod zabudowę, ale Harmonowie trzymali się swoich gruntów. Posiadłość Blackstone pozostała nietknięta; kawałek dziewiczego lasu w sercu miasta.

Na tle zachodu słońca Willie dostrzegł szczerbaty kontur wieży, części Starego Dworu, której czarne jak sadza ściany dały posiadłości nazwę. Ten gmach stał głęboko wśród drzew, jego trawniki i klomby już zarosły, ale nie trzeba było go widzieć, żeby w jakiś sposób wyczuwać jego obecność. Krzywa, wystrzępiona, czarna sylweta wieży na szaro-czerwonym zachodnim horyzoncie była sama w sobie odpychająca. To Douglas Harmon, ów dziennikarz i fundator kolejki górskiej, wybudował Nowy Dwór i zamknął Stary, który nawet w czasach królowej Wiktorii był zbyt wielki i posepny. Jednak ani on, ani jego syn Thomas, ani wnuk Jonathan nie znaleźli w sobie determinacji, by go zburzyć. W okolicy krążyły legendy, że w Starym Dworze straszy. Willie był gotów w to uwierzyć. Blackstone przyprawiało go o dreszcze, tak jak jego obecny właściciel.

Wagonik zakolebał się i stanął. Wyszli zeń na drewniany peron, z którego obłaziła spłowiła farba. Do Nowego Dworu prowadziły szerokie, weneckie drzwi. Jonathan Harmon czekał na nich, wsparty na lasce. Światło płynące z drzwi obrysowywało jego chudą sylwetkę.

– Witaj, Williamie – przemówił. Choć ledwie przekroczył sześćdziesiątkę, długie, śnieżnobiałe włosy i poskręcane artretyzmem członki nadawały mu dużo starszy wygląd. – Jakże się cieszę, że mogłeś do nas dołączyć.

– No wiesz, akurat przejeżdżałem tędy i pomyślałem sobie, a co mi tam, wpadnę – odparł Willie. – Tyle że, widzisz, właśnie mi się przypomniało, że zostawiłem otwarte okna w browarze. Muszę wiać do domu je zamknąć, bo deszcz zmyje cały ten kurz.

– Nie – odpowiedział Harmon. – Nic z tego.

Willie znów poczuł pasy zaciskające się wokół jego płuc. Zarządził, odnalazł inhalator i zaserwował sobie dwa strzały. Miał wrażenie, że mu się przydadzą.

– Dobra, dam się namówić. Zostanę, ale mam, cholera, nadzieję, że załapię się przynajmniej na drinka. Wciąż mam w ustach dietetyczny napój imbirowy o smaku czekoladowym.

– Steven, bądź tak miły i przynieś naszemu przyjacielowi Williamowi kieliszek remy martin. Dla mnie też. Chłód przenika moje kości.

Steven, cichy jak zawsze, poszedł wykonać polecenie. Willie chciał ruszyć za nim, ale Jonathan lekko dotknął jego łokcia.

– Chwileczkę – powiedział i wskazał coś dłonią. – Spójrz.

Willie obrócił się i spojrzał. Już się tak bardzo nie bał. Gdyby Jonathan pragnął jego śmierci, Steven już by chyba spróbował szczęścia, być może ze skutkiem. W oczach ojca Steven był upiorną pomyłką, ale te poblížnione dłonie skrywały nadludzką siłę. Nie, w tym spotkaniu chodziło o coś innego.

Patrzyli ponad miastem na wschód, za rzekę. Zaczął zapadać zmierzch, na dole kolejno zapalały się latarnie – sznury rozjarzonych perel, ciągnące się we wszystkich kierunkach, dokąd sięgało spojrzenie, przeskakujące rzekę trzema wielkimi mostami. Chmury odpłynęły na wschód i horyzont miał granatową barwę kobaltu. Wschodził księżyc.

– Gdy kopano doły pod fundamenty Starego Dworu, tam nie było żadnych świateł – powiedział Jonathan. – Wszędzie była puszcza. Nieposkromiona rzeka, wijąca się przez dziewiczy las... gdyby wtedy stanęło się po ciemku na szczycie wzniesienia, można by było pomyśleć, że mrok rozciąga się po krańce ziemi. Woda była czysta, powietrze nieskażone, w lasach aż gęsto od zwierza... jelenie, bobry, niedźwiedzie... ale żadnych ludzi, przynajmniej białych. Zarówno John Harmon, jak i jego syn James zanotowali, że z wieży Starego Dworu dostrzegali od czasu do czasu ognie indiańskich obozowisk, ale wszystkie szczepy unikały tego miejsca, szczególnie od czasu, gdy John zaczął budowę.

– Może z Indian nie byli tacy kompletni idioci – odezwał się Willie.

Jonathan obrzucił go szybkim spojrzeniem, zadrżała mu warga.

– Zbudowaliśmy to miasto z niczego. Poczęte z krwi i żelaza, wyrosło na krwi i żelazie, które wykarmiły też jego mieszkańców. Stare rody znały potęgę krwi i żelaza, wiedziały, jak dać miastu wielkość. Rochmontowie kuli i tłoczyli metal w kuźniach, prasach i odlewniach. Rodzina Andersów rozwioła go swoimi krypami, parowcami i kolejami, a twoi przodkowie odnajdywali żelazo i wyrywali je ziemi. Pochodzisz z żelaznych ludzi, Williamie Flambeaux, ale my, Harmonowie, zawsze żyliśmy z krwi. Mieliśmy zagrody dla bydła i rzeźnie, ale o wiele wcześniej, zanim jeszcze powstało miasto, Stary Dwór był centrum obrotu skórą. Traperzy i myśliwi przychodzili tu co sezon z futrami niedźwiedzi, skórami wilków i bobrów, by je odsprzedać Harmonom, a stąd skóry ruszały w dół rzeki. Najpierw na tratwach, potem krypami. Dopiero dużo, dużo później przyszła para.

– Zrobisz mi z tego potem sprawdzian, czy jak? – spytał Willie.

– Jakże nisko upadliśmy – odparł Jonathan, z rozmysłem mierząc go spojrzeniem. – Musimy pamiętać o naszych początkach. Czarne żelazo, czerwona krew. Musisz pamiętać. Twój dziadek był czystej, nieskalanej krwi Flambeaux.

Willie wiedział, kiedy go obrażają.

– A moja matka była z Pankowskich, więc jestem pół żabojad, pół Polaczek, stuprocentowy kundel. I wali mnie to. Znaczy, to świetnie, że mój pradziadek posiadał pół tego stanu, ale kopalnie wyczerpały się na przełomie wieków, resztę zabrał Wielki Kryzys, mój ojciec był menelem, a ja ściągam długi, jeśli nie masz nic przeciwko temu. – W tym momencie był tak wkurzony, że nie dbał o konwenanse. – Miałeś jakiś szczególny powód, kiedy posłałeś Stevena, by mnie porwał, czy nasza cię tylko chęćka na pogaduszkę o wojnie Francuzów z Indianami?

– Chodźmy – powiedział Jonathan. – W domu będzie przytulniej, ten wiatr jest chłodny. – Słowa były dość grzeczne, ale z głosu, który je wypowiedział, znikły ostatnie ślady ciepła. Harmon poprowadził Williego do Dworu; szedł powoli, ciężko wsparty na lasce. – Wybacz mi, proszę. To ta wilgoć, podsyca artretyzm i sprawia, że odzywają się stare, wojenne rany. – Odwrócił się do Williego. – Rozłączenie rozmowy telefonicznej było niewymownie bezczelne. Zgoda, są między nami pewne różnice, ale zwyczajny respekt dla mojej pozycji...

– Ostatnio mój telefon strasznie dokazuje – wtrącił Willie. – Od czasu rozbicia monopolu Bella jakość usług poszła do diabła.

Jonathan powiódł go do saloniku. W kominku buzowały płomienie. Miło było się rozgrzać po dniu włóczęgi w zimnie i deszczu. Pokój był umeblowany antykami albo po prostu starymi sprzętami – Willie miał problemy z rozróżnieniem.

Steven był tu przed nimi. Na małym stoliku stały dwa pękate kieliszki, do połowy wypełnione bursztynowym płynem. Sam Steven przycupnął przy kominku, złożony swoje wysokie i szczupłe ciało jak scyzoryk. Uniósł wzrok, gdy wchodzili, i ciut za długo patrzył na Williego, jak gdyby znieacka zapomniał, kto zacz i co tu robi. Potem jego martwe, błękitne spojrzenie wróciło do płomieni. Steven przestał reagować na zachowanie pozostałych i przebieg rozmowy.

Willie rozejrzał się za najwygodniejszym fotelem i rozsiadł się w nim. Urządzenie saloniku przypominało mu Randi Wade, ale to tylko wzbudziło poczucie winy. Podniósł swój kieliszek. Miał dość ogłady, by wiedzieć, że koniak pije się drobnymi łyżkami, ale był zbyt zmarznięty, zmęczony i zirytowany na takie zabawy. Opróżnił kieliszek jednym długim haustem, odstawił go na podłogę i odchylił się wygodnie w fotelu, podczas gdy ciepło rozlewało się po jego piersiach.

Jonathan, wyraźnie zdjęty bólem, ostrożnie opuścił się na brzeżek sofy, obie dłonie trzymając na gałce laski. Willie zapatrzył się na nią. Jonathan to dostrzegł.

– Łeb wilka – powiedział i przesunął dłonie, by Willie mógł się lepiej przyjrzeć. Lśniący metal odbijał płomień z kominka. Zwierzę miało obnażone zęby, gotowe do kłosa. Jego oczy były czerwone.

– Szkiełka? – strzelił Willie.

Jonathan uśmiechnął się tak, jak ludzie uśmiechają się do naprawdę tępych dzieci.

– Rubiny osadzone w osiemnastokaratowym złocie. – Jego duże, pokryte węzłami żyły i poskręcane artretyzmem dłonie znów otuliły gałkę, zakrywając ją.

– Idiotyzm – oznajmił Willie. – W tym mieście jest wielu ludzi, którzy zabiliby cię dla takiego gadżetu.

W uśmiechu Harmona nie było rozbawienia.

– Jeśli miałbym umrzeć, to nie przez złoto, Williamie. – Jonathan wyjrzał za okno. Już cały księżyc wychynał ponad horyzont. – Niezły księżyc dla myśliwych – stwierdził i znów zwrócił się ku Williamowi. – Ostatniej nocy praktycznie oskarżyłeś mnie o współudział w morderstwie tej kalekiej dziewczyny. – Jego głos był niebezpiecznie cichy. – Skąd przychodzą ci do głowy takie pomysły?

– Żebym to ja wiedział – odparł Willie. Niczym się nie przejmował. Koniak uderzył mu do głowy. – Może stąd, że nie możesz zapamiętać jej nazwiska. A może dlatego, że zawsze, od samego początku nienawidziłeś Joanie, ledwie o niej usłyszałeś. „Twoja nędzna skundlona suka” – tak ją nazwałeś, jeśli mnie pamięć nie myli. Śmieszna sprawa, jak takie małe teksty zostają w pamięci. Nie wiem, może jestem przewrażliwiony, ale odniosłem wrażenie, że nie życzyłeś jej najlepiej. A jeszcze nie zacząłem mówić o Stevenie.

– I nie zaczynaj – lodowato oznajmił Harmon. – Dość już powiedziałaś. Spójrz na mnie, Williamie. Powiedz, kogo widzisz.

– Ciebie – odparł Willie. Nie miał nastroju na gierki dla kretynów, ale Jonathan Harmon robił wszystko w tempie, które mu odpowiadało.

– Starca – poprawił go teraz. – Może nie aż tak posuniętego w latach, ale mimo wszystko starca. Artretyzm pogarsza się z roku na rok. Są dni, gdy boli tak bardzo, że ledwie mogę się ruszyć. Z wyjątkiem Stevena nie pozostał mi już nikt z rodziny, a bądźmy szczerzy, on nie do końca spełnia oczekiwania, jakie miałbym wobec syna. – Choć Jonathan mówił głośno i wyraźnie, Steven nie odwrócił wzroku od płomieni. – Jestem znużony, Williamie. Przyznaję, twoja kaleka dziewczyna nie przypadła mi do gustu, ty też niezbyt mi odpowiadasz. Żyjemy w czasach zepsucia i degeneracji, kiedy stare prawdy żelaza i krwi popadły w niepamięć. Tak czy inaczej, jakkolwiek silna była moja odraza do twojej Joan Sorenson i tego, co sobą przedstawiała, nie zakosztowałem jej krwi. Moim jedynym pragnieniem jest spokojne przeżycie lat, które mi pozostały.

– Bardzo cię proszę – Willie wstał – oszczędź mi tego teatryku konającego staruszka. Nasłuchałem się już o twoim artretyzmie i wojennych ranach. Wiem również, czym jesteś i

do czego jesteś zdolny. Dobra, więc nie zabiłeś Joanie. Ale on? – Kciukiem szturchnął powietrze w stronę Stevena.

– Był tu ze mną.

– Może tak, może nie – odparł Willie.

– Nie pochlebiaj sobie, Flambeaux, nie jesteś dla mnie dość ważny, bym cię okłamywał. Nawet jeśli twoje podejrzenia są słuszne, mój syn nie byłby zdolny do takiego czynu. Muszę ci przypominać, że on też jest na swój sposób kaleką?

Willie obrzucił Stevena krótkim spojrzeniem.

– Pamiętam, jak kiedyś, jeszcze w dzieciństwie, mój ojciec przyjechał do ciebie z wizytą i zabrał mnie ze sobą. Wtedy naprawdę uwielbiałem tę twoją kolejkę. Weszliście razem do domu, żeby porozmawiać, ale dzień był tak ładny, że pozwoliliście mi bawić się na dworze. W lesie spotkałem Stevena, przy zabawie z jakimś nieszczęsnym, chorym psem, który przedostał się przez twój płot. Przydepnął go stopą i wrywał mu łapy, jedną po drugiej, ot tak, gołymi rękami, jak normalny dzieciak mógłby obrywać płatki z kwiatka. Gdy wyszedłem z lasu za jego plecami, załatwił już dwie i szarpał się z trzecią. Całą twarz miał we krwi. Miał wtedy góra osiem lat.

Jonathan westchnął.

– Mój syn ma... problemy. Obaj o tym wiemy, więc nie ma sensu, żebym zaprzeczał. Wiesz też dobrze, że nie nadaje się do życia w społeczeństwie. A resztki siły, jaka mu jeszcze pozostała, są sflumione przez leki. Od lat nie przydarzył mu się żaden naprawdę gwałtowny epizod. Prawda, Steven?

Steven Harmon obrócił się do nich. Cisza przeciągnęła się aż zbyt długo, a on bez zmruczenia oka patrzył na Williego.

– Tak – powiedział w końcu.

Jonathan, zadowolony, kiwnął głową jak gdyby to faktycznie coś znaczyło.

– Widzisz więc, Williamie, że wyrządziłeś nam wielką niesprawiedliwość. Ofertę ochrony wzięłeś za groźbę. Chciałem ci zaproponować, żebyś na jakiś czas wprowadził się do jednego z pokoi gościnnych. Taką samą propozycję złożyłem Zoe i Amy.

– Nie wątpię. – Willie parsknął śmiechem. – Miałbym sypiać ze Stevenem czy to opcja zarezerwowana tylko dla dziewczyn?

Jonathan spurpurowiał, ale utrzymał nerwy na wodzy. Nieudane próby wyswatania Stevena z jedną z siostr Anders były drażliwym tematem.

– Odrzuciły moją propozycję, nad czym boleję. Mam nadzieję, że ty wykazesz więcej rozsądku. Blackstone dysponuje pewną... ochroną... ale nie mogę ręczyć za niczyje bezpieczeństwo poza jego murami.

– Bezpieczeństwo? – spytał Willie. – Co nam grozi?

– Nie wiem, ale mogę powiedzieć ci jedno: w mroku nocy czyhają ci, którzy polują na myśliwych.

– Ci, którzy polują na myśliwych – powtórzył Willie. – Fajny tekst, ma niezły rytm, ale da się przy tym tańczyć? – Miał już dosyć tej rozmowy. Ruszył do wyjścia. – Dzięki, ale nie. Podejmę ryzyko we własnych czterech ścianach.

Steven nawet nie drgnął, by go powstrzymać.

Jonathan jeszcze ciężiej wsparł się na lasce.

– Mogę ci powiedzieć, jak naprawdę zginęła – odezwał się cicho.

Willie zatrzymał się i spozjrzał starcowi w oczy. Potem usiadł z powrotem.

* * *

Dom znajdował się w południowej dzielnicy – tak zapuszczonej, że w porównaniu z nią nawet nadrzeczne równiny miały klasę – na skrawku terenu między samą rzeką a starym kanałem, który biegł wzdłuż paczkarni. Kanał, zatkany glonami i fekaliami, roztaczał odór, który było czuć całe przecznice dalej. Tutejsze parterowe domki zbudowane były z dykty i właściwie niewiele różniło je od szałasów. Randi nie odwiedzała tej okolicy od zamknięcia paczkarni. Co trzeci dom miał na trawniku trzepoczący ponuro na wietrze znak, który ogłaszał z nadzieją, że posiadłość jest na sprzedaż lub do wynajęcia. W połowie oznakowanych domostw nie paliły się światła. Wokół butwiejących skrzynek na listy w wiejskim stylu rosły chwasty wysokie po pas, zobaczyli też co najmniej dwa wypalone budynki.

Minęły lata, więc Randi zapomniała adresu, wiedziała tylko, że to był ostatni dom po lewej obok narożnej stacji benzynowej sieci Sinclaira. Taryfiarz krążył po okolicy, aż go znaleźli. Okna stacji były zabite deskami, zdemontowano nawet dystrybutory, lecz dom stał tam, gdzie pamiętała. Na trawniku postawiono tablicę „Do wynajęcia”, ale w środku dostrzegła poruszające się światło. Może latarka? Znikło, zanim zdążyła się upewnić.

Taksówkarz zaproponował, że poczeka, ale odmówiła.

– Nie, nie wiem, jak długo mi tu zejdzie.

Gdy już odjechał, przez dłuższy czas stała na zapuszczonej trawniku, wpatrzona w drzwi wejściowe, aż wreszcie do nich podeszła.

Zdecydowała, że nie zapuka, ale drzwi otworzyły się w momencie, gdy sięgała po klamkę.

– Mogę w czymś pani pomóc?

Ten wielki facet, szeroki nie tylko w talii i solidnie umięśniony, zdecydowanie nad nią górował. Nie kojarzyła jego twarzy, ale na pewno nie był to Helander. Wszyscy z jego rodziny byli mali i żyłaści, z takimi samymi wiotkimi mysioblond włosami. Włosy tego faceta były czarne jak kute żelazo i bardziej kudłate, niż to zalecał Departament Policji. Popołudniowy zarost przydawał jego żuchwie wyraźnego atramentowoczarne odcienia.

Gość miał wielkie dłonie o krótkich, grubych palcach. Mógłby mieć na czole wypisane słowo „gliniarz”.

– Szukam rodziny, która tu kiedyś mieszkała.

– Wyprowadzili się, gdy zamknięto paczkarnię – powiedział. – Może pani wejdzie? – Uchylił szerzej drzwi. Randi ujrzała gołe deski podłogi, kurz i partnera jej rozmówcy, Murzyna z piwnym brzuszyskiem, stojącego w wejściu do kuchni.

– Raczej nie.

– Nalegam – powiedział, pokazując jej przypiętą wewnątrz taniego garnituru złotą odznakę.

– Mam rozumieć, że jestem aresztowana?

– Nie, oczywiście, że nie. – Wyglądał na zaskoczonego. – Po prostu chcielibyśmy zadać pani kilka pytań. – Usiłował zachowywać się bardziej przyjacielsko. – Jestem Rogoff.

– Wydział zabójstw – powiedziała.

Przyjrzał się jej czujnie.

– Skąd...

– Kieruje pan śledztwem w sprawie Sorenson – odparła. Rano podano jej to nazwisko na komendzie. – Chyba niewiele macie śladów, skoro nie ma pan nic lepszego do roboty, niż siedzieć tu i czekać, aż pokaże się Roy Helander.

– Właśnie wychodziliśmy. Myśleliśmy, że może nostalgia ściągnie go tutaj, na stare śmieci, ale nie ma tu śladów jego bytności. – Znów się jej bacznie, z namysłem przyglądał. – Może poda mi pani swoje nazwisko?

– A cel? Areszt czy podryw?

– Jeszcze się nie zdecydowałem. – Uśmiechnął się.

– Randi Wade. – Pokazała mu licencję.

– Prywatny detektyw. – Uważnie skrywał emocje. Oddał jej papiery. – W pracy?

Kiwnęła głową.

– Ciekawe. Jak znam życie, pewnie się nie dowiem, kim jest pani klient.

– Nie.

– Może się to skończyć w sądzie, a sędziemu będzie pani musiała powiedzieć. Inaczej mogą zabrać licencję, wie pani? Utrudnianie prowadzonego przez policję śledztwa, ukrywanie dowodów rzeczowych, te rzeczy.

– Przywilej klienta – odparła.

– Prywatnym nie przysługują żadne przywileje, nie w naszym stanie – pokręcił głową Rogoff.

– Chyba, że mnie – powiedziała. – Stosunek adwokat-klient. Skończyłam też prawo. – Uśmiechnęła się do niego słodziutko. – Mój klient nie ma tu nic do rzeczy. Mogę wam za to opowiedzieć parę ciekawostek o Royu Helanderze.

Rogoff przetrawił to, co usłyszał.

– Słucham uważnie.

– Nie tu. – Randi pokręciła głową. – Znasz autoknajpę na Courier Square?

Przytaknął.

– To o ósmej – powiedziała. – Przyjdź sam. Przynies kopię raportu koronera w sprawie Sorenson.

– Normalnie dziewczyny wolą czekoladki albo kwiaty – odparł.

– Raport koronera – powiedziała nieustępliwie. – Czy stare akta spraw wciąż są składowane w centrum?

– No, w piwnicy sądu.

– Fajnie. Może więc zatrzymasz się tam po drodze i nadgonisz nieco z lekturami. Sprawa sprzed osiemnastu lat. Zaczęły znikać dzieciaki. Wśród nich młodsza siostra Roya. Inne też, Stanski, Jones, nie pamiętam już wszystkich nazwisk. Śledztwem kierował niejaki Frank Wade. Z wydziału zabójstw, tak jak ty. Zginął.

– Mam rozumieć, że to się jakoś wiąże?

– Decyzja należy do gliniarza. – Pozostawiła go w progu i szybkim krokiem ruszyła do skrzyżowania.

* * *

Steven nie zatroszczył się o odprowadzenie Williego z urwiska. Flambeaux jechał w małym wagoniku samotny, pogrążony w myślach, ponury. Rwało go w stawach, że lepiej nie pytać, z nosa też mu ciekło. Ciało odmawiało posłuszeństwa za każdym razem, gdy się zdenerwował, a Harmon zdecydowanie wyprowadził go z równowagi. Choć niby lepsze to, niż gdyby kazał go zabić, a Willie nie wykluczał takiej możliwości wtedy, gdy w swoim cadillacu ujrzał Stevena...

Gdy jechał Trzynastą do domu, znenacka dostrzegł po prawej neon baru. Bez namysłu zjechał na parking i zatrzymał wóz. Może Harmon mówił prawdę, a może srał żarem, ale Willie tak czy inaczej musiał zarobić na życie. Zamknął więc cadillaca i wszedł do knajpy.

Kiepska noc, wtorek, więc „U Squeaky’ego” świeciła pustkami. Typowa kufłoteka dla robociarzy. Dwa stoły do bilardu, w głębi jednoręki bandyta, wzdłuż jednej ściany rozdzielone przegrodami stoliki. Willie usiadł przy barze. Barman, starszy facet, twardy i węzłasty jak korzeń drzewa, wyglądał na wrednego typa. Willie miał ochotę zamówić bananowe daiquiri, ot tak sobie, żeby tylko usłyszeć, co tamten by na to powiedział. Jedno spojrzenie na tę zgryźliwą, skrzywioną starą twarz wyleczyło go z głupich pomysłów. Poprosił o lufę wódki i piwo.

– Ed będzie dziś pracował? – zapytał, gdy barman podał mu szkło.

– Nie, tylko w weekendy – odparł tamten – ale prawie codziennie przychodzi pograć trochę w bilard.

– No to poczekam.

Po wódce do oczu napłynęły mu łzy, więc pogonił ją łykiem piwa. Dostrzegł automat telefoniczny przy drzwiach do męskiej toalety. Gdy dostał resztę od barmana, podszedł tam, wrzucił ćwierćdolarówkę i zadzwonił do Randi. Nie było jej w domu – odezwała się, cholera, sekretarka. Willie nie znosił automatycznych sekretarek. Egzekutorom długów piekielnie utrudniały życie. Poczekał na sygnał, zostawił Randi zbereźną wiadomość i odwiesił słuchawkę.

W toalecie nad pisuarami zainstalowany był automat z prezerwatywami. Willie, odlewając się, przeczytał instrukcję obsługi. Rzecz jasna, kondomy sprzedawano wyłącznie dla ochrony przed wenerykami, ale jeden z asortymentów miał więcej żeberka i wypustek niż konik morski. „Może powinienem zamontować sobie taki w domu” – pomyślał. Zapiął rozpiorek, spuścił wodę, opłukał dłonie.

Gdy wrócił do baru, przy stole do bilardu stało dwóch nowych klientów, nacierając kredą kije. Willie obrzucił spojrzeniem barmana, który skinał głową.

– Jest tam Ed Juddiker? – zawołał Willie.

Ed nie był tym większym – jego kumpel rozmiarami i karnacją rywalizował z Moby Dickiem – ale i tak był duży, a z twarzy wyzierała mu szczerza, zawzięta głupota.

– A co?

– Musimy pogadać. Wisisz komuś pieniądze. – Willie podał mu swoją wizytówkę.

Ed spojrział na jego dłoń, ale wizytówki nie wziął. Parsknął śmiechem.

– Spadaj – powiedział i odwrócił się z powrotem do stołu. Moby Dick ułożył bile, Ed rozbił piramidkę.

Tak chce to rozegrać? Nie ma sprawy. Willie wrócił na swój stółek i zamówił kolejne piwo. Prędzej czy później Ed będzie musiał wyjść z knajpy i wtedy on zrobi swój ruch.

* * *

Willie wciąż nie odbierał telefonu. Randi odwiesiła słuchawkę w budce i zmarszczyła brwi. Nie miał też automatycznej sekretarki, dla Williego Flambeaux to urządzenie było zbyt rozsądne. Wiedziała, że nie ma sensu się martwić. Wiele razy powtarzał jej, że ogary Piekieł mają nienormowany czas pracy. Pewnie uganiał się po mieście za jakimś bankrutem. Będzie mogła spróbować jeszcze raz po powrocie do domu. Jeśli i wtedy nie odbierze, będzie można zacząć się przejmować.

W autoknajpie było praktycznie pusto. Głucho stukając obcasami o stare linoleum, wróciła do swojego stolika i usiadła. Kawa już wystygła. Bez celu wyjrzała przez okno. Cyfrowy zegar na budynku banku stanowego wskazywał trzynaście po ósmej. Randi zdecydowała, że da Rogoffowi jeszcze dziesięć minut.

Czerwone winylowe obicie siedzenia popękało już ze starości, ale czuła się tu dziwnie komfortowo, siorbiąc zimną kawą i patrząc na Żelazną Iglicę po drugiej stronie placu. W dzieciństwie była to jej ulubiona restauracja. Co roku na urodziny domagała się wyjścia na film w Castle i kolację w autoknajpie, a ojciec zawsze wybuchał śmiechem i spełniał jej prośbę. Uwielbiała karmić automaty drobnymi, aż otwierały się okienka z jedzeniem, i napełniać filiżankę ojca kawą ze starej mosiężnej maszyny, najeżonej gałkami i dźwigniami.

Czasami za szkłem widać było same dłonie, wkładające do automatów sandwicze czy porcje ciasta, niczym zjawy ze starego horroru. W autoknajpie nie widziało się żadnych pracowników – tylko dłonie: dłonie ludzi, którzy nie płacili rachunków w restauracjach, postraszył ją kiedyś tata. Naprawdę się zlekła, ale od tej pory ze wzmożoną przez dreszczyk strachu przyjemnością wyczekiwała corocznej wizyty. Gdy poznała prawdę, lokal stał się dużo mniej interesujący. Tak to już jest w życiu.

Ostatnimi czasy w autoknajpie nigdy nie było klientów, przez co Randi nie mogła pojąć, jakim cudem podłoga wciąż jest tak brudna. Automatyczne podajniki jedzenia przyjmowały ćwierćdolarówki zamiast pięciocentówek. Mimo to placek z masą bananową wciąż był nie do pobicia, a kawa, która płynęła z wyświeconych mosiężnych kurków, przewyższała wszystkie jej domowe wysiłki.

Rozważała nabycie kolejnej filiżanki, gdy wreszcie otworzyły się drzwi i wszedł ociekający deszczem Rogoff, ubrany w gruby, wełniany płaszcz. Miał mokre włosy. Gdy podchodził do jej stolika, Randi wyjrzała na zegar na banku. Było siedemnaście po ósmej.

– Spóźniłeś się – powiedziała.

– Wolno czytam – odrzekł, po czym przeprosił ją i poszedł kupić sobie posiłek. Randi patrzyła, jak wsuwa banknoty w automat do rozmienniania pieniędzy. Doszła do wniosku, że niektóre kobiety mogłyby uznać go za przystojniaka, ale cóż – był gliną.

Wrócił, niosąc filiżankę kawy, kanapkę z gorącą wołowiną i talerz purée ziemniaczanego z sosem i rozgotowanymi marchewkami oraz duży kawał jabłecznika.

– Lepszy jest placek bananowy – powiedziała, gdy sadowił się naprzeciw niej.

– Kiedy lubię jabłecznik – odparł, rozkładając papierową serwetkę.

– Masz raport koronera?

– W kieszeni. – Zaczął kroić kanapkę. Podszedł do tego bardzo metodycznie, tnąc ją na kawałki odpowiedniej wielkości, zanim w ogóle zaczął jeść. – Przykro mi z powodu twojego ojca.

– Mnie też to bolało. Ale to było całe lata temu. Mogę zobaczyć raport?

– Może. Powiedz mi o Royu Helanderze coś, czego nie wiem.

Randi wyprostowała się.

– Byliśmy razem w szkole. Jest starszy, ale kilka razy repetował, aż wylądował w mojej klasie. Był zadziornym dzieciakiem z kiepskiej dzielnicy, a ja córeczką gliniarza, więc nie trzymaliśmy się razem... aż znikła jego siostrzyczka.

– Byli wtedy razem – powiedział Rogoff.

– To prawda. Temu nikt nie przeczył, a już na pewno nie Roy. Miał wtedy piętnaście lat, ona osiem. Spacerowali po torach kolejowych. Wyszli z domu razem, ale Roy wrócił sam. Jego ogrodniczki i całe dłonie były wymazane krwią. Krwia siostry.

– To wszystko jest w aktach. – Rogoff skinął głową. – Znalezione też krew na torach.

– Zniknęła już trójka dzieci, z Jessie Helander w sumie czworo. Ludzie w większości myśleli tak: Roy to dziwny chłopak. Zawsze samotny, miał problemy z wypowiedaniem się, urywał się ze szkoły i wiał do swojej tajnej kryjówki gdzieś w lasach. Wolał bawić się z małymi dziećmi niż z chłopakami w swoim wieku. Degenerat z parszywej rodziny, pedofil, który zgwałcił i zabił własną siostrę, oto, co o nim mówiono. Zrobili mu masę testów, doszli do wniosku, że ma poważne zaburzenia, i zakopcowali go w jakimś kłębowisku żmij dla młodocianych. W końcu był jeszcze małoletni. Sprawę zamknięto, miasto odetchnęło.

– Jeśli nie usłyszę nic więcej, nie obejrzyś raportu – oświadczył.

– Roy twierdził, że to nie on zabił siostrę. Cały czas płakał i wrzeszczał, jego opowieść nie była zbyt spójna, ale trzymał się jej. Mówił, że szedł, balansując na szynie ze trzy kroki za Jessie, nasłuchując, czy nie nadjeżdża pociąg, gdy nagle z rury odpływowej wylazł potwór i rzucił się na nią.

– Potwór.

– Coś, jak wielki, kudłaty pies, tak to opisywał. Wszyscy wiedzieli, że mówi o wilku.

– W tej części Stanów wilków nie ma już od ponad stu lat.

– Opowiadał, jak Jessie krzyczała, gdy zwierzę zaczęło ją szarpać. Złapał siostrę za nogę, żeby ją wyrwać z paszczy zwierza, co by wyjaśniało, dlaczego był cały pokryty jej krwią. Wilk odwrócił się, spojrzał na niego i zawarczał. Miał czerwone, jakby żarzące się oczy, twierdził Roy. Naprawdę się przeraził i puścił Jessie. Zresztą wówczas już niemal na pewno nie żyła. Zwierzę jeszcze raz warknęło i pobiegło w las, niosąc w pysku zwłoki. – Randi przerwała i upiła łyk kawy. – Tej historii się trzymał. Opowiadał ją wszystkim, matce, policjantom, psychologom, sędziemu, no, po prostu wszystkim. Nikt nie uwierzył.

– Nawet ty?

– Nawet ja. W szkole wszyscy po cichu plotkowaliśmy o Royu, o tym, co zrobił ze swoją siostrą i z resztą dzieciaków. Może nie do końca wiedzieliśmy, co takiego mógł im zrobić, ale musiało to być coś strasznego. Problem w tym, że mój ojciec nigdy nie kupił wersji oficjalnej.

– A to czemu?

Wzruszyła ramionami.

– Może odezwał się instynkt. Zawsze mówił, że gliniarze powinni kierować się instynktem. Zajmował się tą sprawą, spędził z Royem więcej czasu niż ktokolwiek inny i opowieść chłopaka zrobiła na nim wrażenie. Tyle że niczego nie mógł udowodnić. Dowody wskazywały na Roya, więc chłopak trafił do psychiatryka. – Spojrzała mu w oczy, zanim powiedziała: – Miesiąc później znikło kolejne dziecko. Eileen Stanski, sześciolatka.

Widelec obładowany purée zawisł w drodze do ust. Rogoff przyjrzał się jej uważnie.

– Dyskomfort.

– Tata chciał, żeby Roya wypuszczono, ale nikt go nie poparł. Oficjalnie uznano, że sprawa Stanski nie była związana z pozostałymi. Roy załatwił czworo, jakiś inny pedofil dorwał piątą.

– To niewykluczone.

– Pierdoły. Tata to wiedział i mówił o tym wprost. Nie przysporzyło mu to przyjaciół w policji, ale miał to w nosie. Potrafił być bardzo uparty. Czytałeś akta sprawy jego śmierci?

Rogoff przytaknął. Nie wyglądał na szczęśliwego.

– Mojego ojca rozszarpało jakieś zwierzę. Według koronera pies. Chcesz w to wierzyć, proszę bardzo. – To była najtrudniejsza część historii. Randi przez lata skubała ją jak starego strupa, potem próbowała o wszystkim zapomnieć, ale nic nie pomogło. – Ktoś zadzwonił do niego w środku nocy. Jakiś trop w sprawie zaginionych dzieci. Zanim wyszedł z domu, zadzwonił do Joego Urquharta z prośbą o wsparcie.

– Do komendanta Urquharta?

Przytaknęła.

– Wtedy jeszcze nie komendanta. Gdy obaj byli jeszcze mundurowymi, Joe był jego partnerem. Potem mówił, że przez telefon tata powiedział mu, że dostał świeży cynk w tej sprawie, ale nie podał szczegółów, nawet nazwiska tego, kto zadzwonił.

– Może go nie znał.

– Znał. Mój ojciec nie pojechałby w diabły w środku nocy po odebraniu anonimowego telefonu. Samotnie pojechał do zagród dla bydła przy rzeźni. To coś tam na niego czekało. Cokolwiek to było, sześć pocisków nie zdołało tego powstrzymać. Wyrwało mu tchawicę, a gdy już nie żył, częściowo pożarło zwłoki. Zanim dojechał tam Urquhart... Joe zeznał, że z początku nie był nawet pewien, czy to, co znalazł, to szczątki człowieka.

Opowiadała spokojnie, pewnym głosem, ale czuła kotłowanie w żołądku. Gdy skończyła, Rogoff nie odrywał od niej oczu. Odłożył widelec i odepchnął talerz.

– Jakoś nie jestem już głodny.

Randi uśmiechnęła się niewesoło.

– Kocham miejscową prasę. Parę lat temu była taka sprawa – młodzieżowy gang porwał kobietę, przetrzymywali ją dwa tygodnie. Była bita, torturowana, gwałcona setki razy, także analnie. Kiedy historia trafiła do gazet, podano, że padła ofiarą cytuję, NAPAŚCI, koniec cytatu. O moim ojcu napisali, że jego ciało zostało okaleczone. To samo po śmierci Joan Sorenson. Powiedziano mi, że jej ciało było kompletne. – Pochyliła się i wpatrzyła w jego oczy. – To kłamstwo.

– Tak – przyznał. Wyjął z kieszeni na piersi arkusz papieru, rozłożył i podał jej. – Ale jest inaczej, niż myślisz.

Randi wyrwała raport koronera z jego dłoni i szybko przebiegła stronę wzrokiem. Słowa rozmazywały się, nie docierały do niej, nie układały się tak, jak powinny.

„Przyczyna zgonu: wykrwawienie”.

Gdzieś z oddali słyszała głos Rogoffa:

– To budynek chroniony, jej mieszkanie jest na czternastym piętrze. Żadnych balkonów czy schodów ewakuacyjnych na zewnątrz, a odźwierny nic nie zauważył. Drzwi były zamknięte. Na tani zamek zatrzaskowy, łatwy do podważenia, ale nie było śladu takich manipulacji.

„Narzędziem zbrodni było ostrze o długości co najmniej dwunastu cali, wyjątkowo ostre, wąskie i giętkie, być może instrument chirurgiczny”.

– Jej ubranie było porzucane po całym mieszkaniu, wręcz poszarpane w cholere, dosłownie w strzępach. Pomyślałby kto, że kobieta na wózku nie byłaby w stanie długo się opierać, ale najwyraźniej jej się udało. Nie, żeby któryś z sąsiadów coś usłyszał. Zabójca przywiązał ją nagą, łańcuchami do łóżka i zabrał się do pracy. Był szybki, wiedział, co robi, ale i tak nie umarła prędko. Łóżko było przesiąknięte jej krwią – pościel, materac, aż do pudła.

Randi podniosła ku niemu wzrok i raport koronera wypadł spomiędzy jej palców na stolik z laminatu. Rogoff ujął jej dłoń.

– Joan Sorenson nie została zaatakowana przez żadne zwierzę. Obdarto ją żywcem ze skóry i pozostawiono, by się wykrwawiła. I to skóra jest brakującą częścią jej ciała.

* * *

Gdy Willie podjechał pod dom, był kwadrans po północy. Zaparkował cadillaca przy pomoście. Na siedzeniu obok leżał portfel Eda Juddikera. Willie otworzył go, wyjął pieniądze i przeliczył. Siedemdziesiąt dziewięć dolców. Nie za wiele, ale to już początek. Tym razem połowę odda Betsy, reszta pójdzie na konto długu Eda. Willie włożył pieniądze do kieszeni i zamknął opróżniony portfel w schowku na rękawiczki. Edowi może się jeszcze przydać prawo jazdy. Trzeba będzie podjechać do Squeaky’ego w weekend, kiedy tamten będzie w pracy, i omówią kwestię rat.

Willie zamknął samochód i po śliskich od deszczu kocich łbach potruczał, zmęczony, pod drzwi. Niebo nad rzeką było ciemne, nierozświetlone gwiazdami. Wiedział, że gdzieś tam jest też już księżyc, ukryty za chmurami jak z czarnej waty. Po omacku szukał kluczy, zakopanych pod inhalatorem, fiolką z tabletkami, pół tuzinem par nożyc, chusteczką i całym pozostałym śmietniskiem, które obciążało kieszenie jego płaszcza. Po dłuższej eksploracji spróbował w kieszeni spodni. Znalazł, czego szukał, i zabrał się do otwierania zamków. Pierwszy klucz wsunął w dziurkę dwustronnego zamka zasuwowego.

Drzwi otworzyły się powoli, bezdźwięcznie.

Bladożółte światło ulicznej latarni przedzierało się przez wysokie, zakurzone okna browaru, zdobiąc podłogę w niewyraźne prostokąty i pokręcone linie. Kadłuby porzuczonej maszynerii piętrzyły się w ciemności jak wielkie, mroczne bestie. Willie stał w progu z kluczami w dłoni, a serce waliło mu jak młot pneumatyczny. Schował klucze do kieszeni, znalazł inhalator, strzelił sobie. W ciszy dobroczynny syk wydał mu się nieprzyzwoicie głośny.

Pomyślał o Joanie, o tym, jak zginęła.

„Mógłbym uciec” – pomyślał. Do cadillaca miał tylko kilka kroków i cokolwiek czaiło się na niego w mroku, nijak nie zdążyłoby go dopaść przed samochodem. Właśnie, ruszyć w trasę, jechać przez całą noc, a miał tyle benzyny, że starczyłoby do Chicago, tam by go nie dopadło. Willie zrobił pierwszy krok wstecz, zatrzymał się i zachichotał nerwowo. Nagle oczyma wyobraźni zobaczył siebie za kółkiem tego wielkiego, chromowanego krążownika, jak kręci kluczykiem w stacyjce, aż wreszcie zalewa świece, a coś mrocznego i potwornego wyłania się z browaru i zbliża się ku niemu po bruku. Co za idiotyzm, przecież silnik nie zapala tylko w kiepskich horrorach, prawda? Prawda?

Może po prostu zapomniał zamknąć browar, gdy rano wychodził do pracy. Miał na głowie mnóstwo spraw, przed sobą pracowity dzień, za sobą noc koszmarnych snów, może, kurwa, po prostu zatrzasnął tylko drzwi i poszedł, zapominając o zamkach.

Tyle że nigdy o nich nie zapominał.

Ale może dziś był ten pierwszy raz.

Willie rozważył przemianę. Pomyślał jednak o Joanie i dał sobie spokój. Stał na jednej nodze i zdjął but z drugiej, po czym powtórzył operację. Deszczówka przemoczyła mu skarpetki. Krok naprzód, głęboki wdech i wszedł do pogrążonego w ciemności browaru najciszej, jak tylko zdołał, zamykając za sobą drzwi. Żadnego ruchu wewnątrz. Willie sięgnął do kieszeni i wydobyl Pana Nożyczki. Może to i niewiele, ale lepsze niż nic. Trzymając się gęstego cienia przy ścianach, przeszedł przez halę i ruszył po schodach, wciąż w skarpetkach.

Przez okno na końcu holu przedostawał się blask latarni. Willie zatrzymał się, ledwie wystawił głowę nad poziom podłogi piętra. Widział teraz cały korytarz. Drzwi wszystkich biur były pozamykane. Spod ani znad nich nie wydostawało się światło. Cokolwiek go tu oczekiwało, czaiło się w ciemności.

Znów poczuł ucisk w klatce piersiowej. Lada chwila przyjdzie czas na użycie inhalatora. Znienacka postanowił, że musi z tym natychmiast skończyć. Pokonał resztę schodów i w dwóch krokach był przy drzwiach do salonu. Otworzył je na oścież i walnął dłonią w kontakt.

Randi Wade siedziała w fotelu zaimprovizowanym z worka fasoli. Gdy włączył światło, podniosła wzrok i zamruwała.

– Zaskoczyłeś mnie – powiedziała.

– Ja ciebie? – Willie podszedł do swojego fotela i zapadł się weń. Nożyczki wyslizgnęły się ze spoczonej dłoni i odbiły od podłogi z twardego drewna. – Chryste Jezu z majonezu,

przez ciebie niemal popuściłem w niewymowne. Co ty tu robisz, do cholery? Zapomniałem zamknąć drzwi?

– Zamknąłeś je, potem jeszcze trochę je pozamykałeś, a jak już były zamknięte, to znów je zamknąłeś. W kwestii zamykania drzwi jesteś absolutnie pierwsza klasa, Flambeaux. Straciłam ze dwadzieścia minut, zanim weszłam – uśmiechnęła się Randi.

Willie rozcierał sobie pulsujące skronie.

– No wiesz, tyle kobiet pragnie tego ciała, że muszę się jakoś chronić, nie? – Poczł swoje wilgotne skarpetki, ściągnął jedną i skrzywił się. – No popatrz. Moje buty są na ulicy i zbierają deszczówkę, mam przemoczone stopy. Jak złapię zapalenie płuc, odeślę ci rachunki za lekarza. Mogłaś poczekać.

– Padało – wytknęła mu. – Chyba nie chciałbyś, żebym czekała na deszczu, Willie. To by mnie wkurzyło, a i bez tego miałam parszywy dzień.

W jej głosie było coś takiego, że Willie przestał rozcierać sobie stopy i spojrzał na nią. Posklejane deszczem kosmyki jasnobrązowych włosów przylegały do jej czoła, w oczach nie było radości.

– Kiepsko wyglądasz – przyznał.

– Usiłowałam temu zaradzić, ale w damskiej toalecie nie ma lustra.

– Bo się stłukło. W męskiej jest.

– Ja nie jestem z tych kobiet – odpowiedziała. Mówiła twardo, beznamiętnie. – Willie, twojej przyjaciółki Joan nie zabiło żadne zwierzę. Została obdarta ze skóry, którą morderca zabrał ze sobą.

– Wiem – odparł bez zastanowienia.

Jej oczy zwięzły się w szparki. Normalnie były szarozielone, duże i piękne, ale teraz przypominały bardziej szklane kulki.

– WIESZ? – powtórzyła. Mówiła bardzo cicho, niemal szeptem, i Willie wiedział, że będą problemy. – Nagadałeś mi jakichś pierdół i posłałeś na spacer dookoła miasta, a sam WIESZ? To może jeszcze wiesz, jak zginął mój ojciec, co? Taki sobie wymyśliłeś fajny sposób, żeby przyciągnąć moją uwagę?

Williemu opadła szczeka. Z dłoni na podłogę wypadła druga skarpetka.

– Hej, Randi, wyluzuj, co? Wcale tak nie było. Sam dowiedziałem się raptem parę godzin temu, słowo. Skąd miałem wiedzieć? Nie było mnie przy tym, w gazecie też nie napisali. – Czł się winny i zamotany jednocześnie. – A co takiego miałbym wiedzieć o twoim ojcu? Gównu o nim wiem. Przez cały ten czas, kiedy dla mnie pracowałaś, może ze dwa razy wspomniałaś coś o swoich rodzicach.

Wpatrywała się uważnie w jego twarz, szukając wszelkich oznak nieszczeroci. Spróbował obdarzyć ją swoim najcieplejszym, najbardziej godnym zaufania uśmiechem. Skrzywiła się.

– Przestań. Wyglądasz jak sprzedawca używanych samochodów – powiedziała ze znużeniem. – Dobra, nie wiedziałeś o moim ojcu. Przepraszam. Jestem nieco spięta i pomyślałam... – zastanawiała się przez chwilę. – Kto powiedział ci o Sorenson?

Willie zawahał się.

– Nie mogę ci powiedzieć. Chciałbym, naprawdę, ale nie mogę. I tak byś mi nie uwierzyła. – Randi wyglądała na bardzo nieszczęśliwą. Willie nie przestawał mówić: – Dowiedziałeś się, czy jestem podejrzany? Z policji nikt nie dzwonił.

– Pewnie wydzwaniali przez cały dzień. Teraz mogli nawet dostać nakaz aresztowania. Skoro już nie masz automatycznej sekretarki, to przynajmniej powinieneś od czasu do czasu wpaść do domu. – Zmarszczyła brwi. – Rozmawiałam z Rogoffem z wydziału zabójstw. – Williemu ustała akcja serca, ale Randi dostrzegła zmianę wyrazu jego twarzy i podniosła dłoń. – Nie, twoje nazwisko nie padło. Ani z jednej, ani z drugiej strony. Pewnie będą obdzwaniali wszystkich jej znajomych, ale tylko do sztabowych przesłuchań. Nie sądzę, żeby akurat na tobie się skrupiło.

– Dobra. Słuchaj, wiszę ci przysługę, ale nie ma powodu, żebyś dalej drażyła tę sprawę. Musisz brać rzeczy, z których możesz się utrzymać, więc...

– Co za „więc”? – patrzyła na niego podejrzliwie. – Próbujesz mnie teraz spławić? Po tym, jak już mnie w to wciągnąłeś? Coś przede mną ukrywasz?

– Chyba ci się poplątało – oznajmił beztrąsko Willie. Może uda mu się z tego wykić. – To ty zawsze reagujesz jak kot na kąpiel, gdy oferuję ci pomoc przy zakupach bielizny.

– Przestań pieprzyć – ucięła ostro. Wcale jej nie rozśmieszył, to było oczywiste. – Mowa o zakatowaniu, zamordowaniu dziewczyny, która rzekomo była twoją przyjaciółką. Zapomniałeś już o niej?

– Nie – powiedział pokornie. Wstał i podszedł do kuchenki elektrycznej. – Słuchaj, chcesz herbaty? Mam earl greya, porzeczkową, zieloną...

– Według policji jest już jeden podejrzany – powiedziała.

– Kto? – Willie odwrócił się do niej.

– Roy Helander.

– O żesz. – Willie był starszym szeregowym w Hamburgu, kiedy wyszła na jaw sprawa Helandera, ale zaprenumerował „Kuriera”, żeby nie stracić więzi z rodzinnym miastem, i od nagłówek omal nie zwymiotował. – To pewne?

– Nie. Po prostu zwijają wszystkich podejrzanych w takich sprawach. Ostatnim razem Roy był świetnym kozłem ofiarnym. Czemu więc znów go nie użyć? Najpierw jednak muszą go znaleźć. Nikt nie jest pewien, czy on wciąż jest w naszym stanie, a co dopiero w mieście.

Willie odwrócił się do kuchenki, zaczął manipulować przy czajniku. Nagle poczuł, że trudno mu spojrzeć Randi w oczy.

– Ty nie wierzysz, że to Helander porywał tamte dzieciaki.

– Włącznie z własną siostrą? Jasne, że nie. Jessie była ostatnią osobą na świecie, którą by skrzywdził. Ona naprawdę go lubiła. Nie wspominając już o tym, że piąte dziecko znikło, kiedy Roy siedział. Znałam go. Miał krzywy zgryz i za rzadko się kąpał, ale to jeszcze nie robi z człowieka pedofila. Trzymał z maluchami, bo starsze dzieciaki się z niego nabijały. Nie sądzę, żeby miał jakichś przyjaciół. Za to miał kryjówkę w lesie, gdzie się chował, kiedy miał zbyt dużo problemów i...

Urwała zniecka i Willie odwrócił się do niej ze zwisającą spomiędzy palców saszetką herbaty.

– Myślisz o tym samym co ja?

Czajnik zaczął wyc.

* * *

Randi po powrocie do domu przez godzinę przewracała się w łóżku, ale za diabła nie mogła zasnąć. Gdy tylko zamykała oczy, widziała twarz ojca albo wyobrażała sobie nieszczęsną Joan Sorenson, przykutą do łóżka, podczas gdy morderca zbliżał się już z nożem w dłoni. Wciąż wracał do niej Roy Helander, Roy i jego tajna kryjówka. W jej wyobraźni nadal był on chudym nedorostkiem, jakiego pamiętała, o pozlepianych, nie umytych blond włosach, z przerażeniem i konfuzją w oczach opowiadającym po raz n-ty swoją historię, bo tak mu kazano. Zastanawiała się, co się stało z tą jego kryjówką przez lata, które spędził nafaszerowany prochami, zamknięty w stanowym zakładzie psychiatrycznym. Myślała, że na pewno czasami marzył o tym miejscu, kiedy leżał nocą w swojej celi. Jeśli Roy Helander faktycznie wrócił do domu, Randi była niemal pewna, gdzie faktycznie przebywał.

Ale jedna sprawa wiedzieć, a druga – znaleźć to miejsce. Wraz z Williem zastanawiali się nad tym długo i wytrwale, ale nie potrafili nijak zawęzić terenu poszukiwań. Randi usiłowała sobie przypomnieć, ale to było tak dawno temu, w szeptanych rozmowach na szkolnym boisku. Tajemne miejsce w lesie, mówił, miejsce, gdzie nikt nigdy nie przychodził, które było wyłącznie dla niego, dyskretne, pełne czarów. To mogło być cokolwiek – jaskinia nad rzeką dom-platforma na drzewie, może nawet coś tak prymitywnego jak szałas z dykty. Tylko w jakim lesie to mogło być? Poza miastem ciągnęły się przedmieścia i dzielnice przemysłowe, najbliższy las stanowy był sześćdziesiąt kilometrów stąd, nad rzeką. Gdyby kryjówka znajdowała się w którymś z miejskich parków, ktoś niewątpliwie natrafiłby na nią lata temu. Bez żadnych dodatkowych informacji Randi miała zerowe szanse znalezienia czegokolwiek. Ale nie przestawała się głowić.

W końcu, gdy wyświetlacz budzika pokazał trzynaście po drugiej, Randi zupełnie odpuściła sobie spanie. Wstała, zapaliła światło, poszła do kuchni i otworzyła lodówkę. W środku świeciło pustkami, ale znalazła parę butelek pabsta. Może piwo pomoże zasnąć. Otworzyła jedno i wzięła ze sobą do łóżka.

Sypialnię miała umeblowaną raczej chaotycznie. Dywan był już szczałkowy, kredens z jasnego drewna – nudny i funkcjonalny, wielkie łóżce z baldachimem było tylko repliką ale posiadała też parę autentycznych antyków: masywną szafę z dębiny, pełnowymiarowe garderobiane lustro w ozdobnej drewnianej ramie, cedrowy kuferek w nogach łóżka. Jej mama zawsze nazywała go „skrzynką nadziei”. Czy dziewczynki wciąż miały takie skrzyneczki? Chyba nie, przynajmniej nie w tym mieście. Może nadal jeszcze istniały miejsca, w których nadzieja nie była dowodem na zupełne oderwanie od rzeczywistości, ale to miasto do nich nie należało.

Randi usiadła na podłodze, postawiła piwo obok i otworzyła kuferek.

W „skrzynkach nadziei” przechowywało się własną przyszłość, fragmenty tych wszystkich marzeń, które podsuwa się małym dzieciom. Ona przestała być dzieckiem w dwunastym roku życia, kiedy matka obudziła ją potwornym, nieludzkim jękiem. Jej kuferek był pełen wspomnień.

Wyjmowała je teraz, jedno po drugim. Pamiętniki z każdego roku liceum i college’u, pakiety listów miłosnych od dawnych chłopaków, nawet od tego palanta, za którego wyszła, szkolny sygnet, ślubna obrączka, dyplomy i listy gratulacyjne, które zdobyła w lekkoatletyce i dziewczęcej drużynie softballa, oprawione zdjęcie z partnerem ze studniówki.

Na samym dnie, pod wszystkimi warstwami życia, spoczywała policyjna trzydziestka ósemka. Rewolwer ojca, ten, z którego strzelał w noc swojej śmierci. Randi wyjęła go i ostrożnie odłożyła na bok. Pod spodem tkwiła księga, stary tom z oprawą połączoną na trzy pierścienie, obciążniętą niebieską tkaniną. Rozłożyła ją sobie na podołku.

Pozótkły artykuł z „Kuriera” o śmierci jej ojca był przyklejony do pierwszej strony taśmą klejącą. Randi dłuższą chwilę wpatrywała się w znajomą fotografię, zanim wreszcie przewróciła kartkę. Tam były kolejne wycinki – artykuły o zaginionych dzieciach, które skrycie wyrywała ze starych numerów „Kuriera” w publicznej bibliotece, teksty z tygodników i miesięczników o atakach zwierząt, masowych mordercach i potworach, wszystko wciśnięte między poliniowane kartki, wypełnione metodycznym pismem dwunastolatki. Im dalej w głąb, tym charakter pisma stawał się bardziej rozlewny i niedbały – robiła tu zapiski przez lata, aż wyjechała do college’u, próbując zapomnieć. Myślała, że nieźle sobie z tym poradziła, ale teraz, przewracając strony, ujrzała, że wręcz przeciwnie. Nigdy się nie zapomina. Wystarczyło, że zobaczyła nagłówki i cała historia wróciła niczym atak mdłości.

Eileen Stanski, Jessie Helander, Diane Jones, Gregory Corio, Erwin Weiss. Nie znaleziono żadnego z nich, nawet kości czy kawałka ubrania. Policja stwierdziła, że śmierć jej ojca była przypadkowa, bez związku ze sprawą, którą się zajmował. Wszyscy to przelknęli: komendant, burmistrz, gazeta, nawet jej matka, która po prostu chciała mieć to za sobą i żyć swoim życiem. Barry Schumacher i Joe Urquhart upierali się najdłużej, ale w końcu i na nich przyszła kolej, i tylko Randi pozostała niedowiarkiem. Byle wzmianka na ten temat tak denerwowała matkę, że w końcu przestała ją pytać, ale nie zapomniała. Po prostu wypytywała

ludzi skrycie, notowała wszystko w swojej księdze, którą co noc chowała na dnie „skrzynki nadziei”.

Nie, żeby to cokolwiek dało.

Ostatnie dwadzieścia parę stron było wciąż nie zapisane, niebieskie linie na papierze wyblakły z biegiem lat. Przewracała po kolei te sztywne kartki, zawahała się jednak przy ostatniej. „Może tego tam nie będzie” – pomyślała. Może coś sobie po prostu uroiła. Przecież to i tak nie miało sensu. Zgoda, mógł wiedzieć o jej ojcu, ale przecież nie pozwoliliby mu wysłać czegoś takiego, prawda? Ich pocztę cenzurowano.

Randi przewróciła stronę.

Była na pierwszym roku w college’u, kiedy przyszedł. Zostawiła to wszystko za sobą. Ojciec nie żył od siedmiu lat, od trzech nawet nie zajrzała do księgi. Nie miała czasu – zajęcia, korporacja studencka, chłopcy, no, czasami były sny, ale przeważnie było OK, przecież dorosła, dojrzała. Jeśli w ogóle o tym myślała, to mówiła sobie, że może dorośli mieli jednak rację od samego początku: to było jakieś zwierzę...

...jakieś zwierzę...

I pewnego dnia przyszedł list. Otworzyła go w drodze na zajęcia, przeczytała, gdy obok terkotały jej przyjaciółki, roześmiała się, rzuciła jakimś dowcipem i schowała go – taka dorosła. Ale tej samej nocy, kiedy jej współlokatorka już zasnęła, Randi włączyła lampkę na stole, znów go przeczytała i zemdlilo ją. Chciała go wtedy wyrzucić. Jako śmieć, produkt chorego umysłu.

Jednak list powędrował do księgi.

Taśma klejąca pozółkła i stała się krucha, ale koperta wciąż była śnieżnobiała, z nazwą zakładu zamkniętego wydrukowaną równiutko w lewym górnym rogu. Ktoś musiał przemycić list na zewnątrz. Był nagryzmołony na kartce kiepskiego papieru maszynowego dużymi, drukowanymi literami. Nie był podpisany, ale wiedziała, kto był autorem.

Randi wyciągnęła list z koperty, wahała się przez chwilę, potem go rozłożyła.

TO BYŁ WILKOŁAK

Patrzyła na te słowa, patrzyła, patrzyła i już nie czuła się taka dorosła. Gdy zadzwonił telefon, aż podskoczyła z wrażenia.

Serce łomotało jej w piersi. Złożyła list i patrzyła na telefon z dziwnym poczuciem winy, jakby przyłapano ją na czymś wstydlwym. Była za siedem trzecia rano. Kto, do cholery, mógłby dzwonić o tej porze? Jeśli to Roy Helander, miała wrażenie, że mogłaby zacząć wrzeszczeć. Nie podnosiła słuchawki.

Po czwartym dzwonku włączyła się automatyczna sekretarka.

– Tu AAA-Wade, Agencja Detektywistyczna, mówi Randi Wade. Nie mogę teraz odebrać, ale proszę zostawić wiadomość po sygnale i oddzwonię.

Sygnal.

– Eee, dzień dobry – odezwał się męski baryton, który zdecydowanie nie należał do Roya. Randi odłożyła książkę i złapała słuchawkę.

– To ty, Rogoff?

– No. Proszę wybaczyć, jeśli obudziłem. Tak w ogóle to, co robię, jest niezgodne z przepisami i nawet, cholera, sam sobie nie potrafię wytłumaczyć, czemu to robię, ale myślę, że powinnaś wiedzieć.

Zimne palce przepełzły po plecach Randi.

– Co takiego?

– Mamy kolejną ofiarę.

* * *

Willie obudził się zły zimnym potem.

Co to, do diabła, było?

„Odgłos” – pomyślał. „Gdzieś z końca holu”.

A może to tylko sen? Willie usiadł i spróbował wziąć się w garść. Noc była pełna dźwięków – może usłyszał holownik na rzece, samochód przejeżdżający pod oknem, cokolwiek. Wciąż jeszcze było mu głupio z powodu paniki, w jaką wpadł, gdy stwierdził, że drzwi były otwarte. Miał kupę szczęścia, że nie dźgnął Randi nożyczkami. Nie można pozwolić, żeby wyobraźnia zeżarła człowieka żywcem. Wsunął się z powrotem pod kołdrę, obrócił na brzuch, zamknął oczy.

Gdzieś na tym samym piętrze drzwi otworzyły się i zamknęły.

Teraz miał już wielkie oczy. Leżał absolutnie nieruchomo i nasłuchiwał. Powtarzał sobie, że po wyjściu Randi zamknął drzwi na wszystkie zamki, zatrask, łańcuch, podwójny zapadkowy, nawet założył blokadę policyjną. Po jej założeniu nikt nie mógłby dostać się do środka, bo drzwi były z litej stali. A tylne drzwi były tak przerdzewiałe i sztywne, że równie dobrze mogłyby być zaspawane. Gdyby ktoś wybił okno, na pewno usłyszałyby – nikt nie mógłby tu wejść, w żadnym razie. Po prostu mu się śniło.

Gałka u drzwi od sypialni obróciła się powoli i kliknęła. Rozległ się cichy, metaliczny grzechot, gdy ktoś naparł na drzwi. Zamek wytrzymał. Drugi raz nacisk był silniejszy, hałas głośniejszy.

Willie wyskoczył z łóżka. Noc była zimna, bokserki i podkoszulek niespecjalnie chroniły przed chłodem, ale on miał na głowie inne sprawy. Widział klucz, wciąż wystający z dziurki. Staroświecki klucz do stuletniego zamka. Dziurki od kluczy w biurowych pokojach browaru były idealne dla podglądaczy. Willie trzymał w nich klucze, żeby zapobiec przeciągom, ale nigdy ich nie zamykał... aż do dziś. Dziś nie wiadomo czemu przekręcił klucz, gdy szedł do

łóżka, i sam nie wiedział, dlaczego poczuł się lepiej, gdy usłyszał szcęk sprawnego mechanizmu. A teraz tylko ten zamek dzielił go od tego czegoś na korytarzu.

Tyłem podszedł do okna, wyjrzał na brukowany zaułek za browarem. Podnóże ściany okrywał gęsty, smolisty cień. Pamięć podsuwała obraz wielkiego, zielonego, metalowego kontenera na śmieci bezpośrednio pod oknem, ale teraz nie mógł go dostrzec.

Coś załomotało w drzwi, aż zatrzęsł się cały pokój.

Williemu zaparło dech. Inhalator leżał na komódce po drugiej stronie pokoju, tuż przy drzwiach. Czuł się, jakby jakiś gigant zamknął go w garści i wyciskał dech. Próbował wessać powietrze.

To coś na zewnątrz znów walnęło w drzwi. Drewno zaczynało pękać. Solidne drewno, stuletnie, a sypało się jak w nowomodnych, tandetnych, pustych w środku drzwiach.

Williego dopadły zawroty głowy. „To coś się bankowo wkurwi – pomyślał mgliście – jak wlezie tu do środka i zobaczy, że właśnie się przekręciłem na astmę”. Ściągnął podkoszulek i upuścił go na podłogę, kciukiem podważył gumkę bokserek.

Drzwi zatrzęsły się i rozsypały, w połowie wylatując z zawiasów. Kolejny cios złamał je w pół. Williemu z braku tlenu wszystko wirowało przed oczyma. Dał sobie spokój z bielizną i poświęcił się przemianie.

Kości, ciało, mięśnie wyły w udręce transformacji, ale tlen znów dotarł do płuc, zimna słodycz, i Willie znów mógł oddychać. Zadygotał z ulgi i dał temu wyraz, odrzucając łeb i wydając głos. Ten dźwięk mroził krew w żyłach, ale czarna sylwetka przeciskająca się przez roztrzaskane drzwi nawet nie zwolniła, zresztą tak jak Willie, który podkulił wszystkie łapy, sprężył się i skoczył. Odłamki szkła rozprysły się wokół, wirując w mrok, gdy rzucił się przez okno. Nie trafił w kontener, wylądował na czterech łapach, tyle że rozjechały się pod nim na śliskim bruku i przejechał jeszcze jard na brzuchu.

Gdy uniósł wzrok, dojrzał nad sobą sylwetkę, która wypełniała całe okno. Jej ręce poruszyły się i Willie dostrzegł straszliwy blask srebra. Więcej nie potrzebował. Zerwał się na równe łapy i pomknął ulicą szybciej niż kiedykolwiek przedtem.

* * *

Z taksówki wysiadła dwa domy wcześniej. Policja ustawiła zapory wokół budynku, do którego zmierzała, szacownej wiktoriańskiej rezydencji, zdecydowanie wymagającej remontu. Ciekawscy sąsiedzi, narzuciwszy grube płaszcze na piżamy i szlafroki, stali wzdłuż całej Grandview, poszeptując do siebie i zerkając na ten dom. Migające koguty radiowozów nadawały ich twarzom wyraz chorobliwego wścibstwa.

Randi mijala ich szybkim krokiem. Przy zaporze zatrzymał ją nieznaną jej z twarzy gliniarz z drogówki.

– Randi Wade – powiedziała mu. – Rogoff prosił, żebym przyjechała.

– Aha. – Pokazał kciukiem dom za swoimi plecami. – Jest w środku, rozmawia z jej siostrą.

Randi znalazła ich w salonie. Rogoff zauważył ją, kiwnął głową, gestem zabronił podchodzić i kontynuował przesłuchanie. Inni gliniarze popatrywali na nią ciekawie, ale żaden się nie odezwał. Siostra zabitej miała już czterdziestkę, ale wyglądała młodziej – szczupła, jasnoskóra, z potarganą grzywą czarnych włosów opadających na plecy. Siedziała na krawędzi sofy w białej, jedwabnej koszuli nocnej, która wyobraźni pozostawiała niewiele do roboty. Najwyraźniej chłodne, nocne powietrze wpływające przez otwarte drzwi obchodziło ją równie mało co nachalne spojrzenia policjantów.

Jeden z nich zdejmował odciski palców ze stojącego w narożniku czarnego, lśniącego fortepianu. Gdy skończył, Randi podeszła do instrumentu. Pudło było zastawione oprawionymi fotografiami. Jedna przedstawiała letni obrazek – gdzieś nad rzeką dwie ładne dziewczyny w dobranych kolorystycznie strojach kąpielowych, stojące po obu stronach dramatycznie wyglądającego młodego mężczyzny. Dziewczęta, wciąż wilgotne, śmiały się do fotografa, ich długie, czarne włosy przyklejone do twarzy przecinały szerokie uśmiechy. Mężczyzna, czy też chłopak, również miał na sobie kąpielówki, ale widać było, że jest suchy jak pieprz i blady. Jego błękitne oczy wpatrzone w obiektyw były tak całkowicie pozbawione wyrazu, że to aż niepokoiło. Dziewczęta mogły mieć po osiemnaście, dwadzieścia lat. Jedną z nich przesłuchiwał właśnie Rogoff, ale Randi nie byłaby w stanie powiedzieć którą – były bliźniaczkami. Spojrzała na resztę fotografii, z lekką obawą że znajdzie zdjęcie Williego. Większości twarzy nie poznawała, ale wciąż przypatrywała się im, gdy podszedł do niej Rogoff.

– Koroner jest na górze, przy zwłokach – powiedział. – Jeśli masz mocny żołądek, możemy tam podejść.

Randi odwróciła się od fortepianu i skinęła głową.

– Dowiedziałeś się czegoś od siostry?

– Przyśnił się jej koszmar – odpowiedział i ruszył w górę po wąskich schodach, a Randi tuż za nim. – Mówi, że od kiedy pamięta, zawsze, gdy miała złe sny, szła na drugą stronę korytarza i wchodziła do łóżka Zoe. – Dotarli na piętro. Rogoff położył dłoń na szklanej gałce drzwi, po czym zatrzymał się na moment. – To, co znalazła, gdy tym razem przeszła przez korytarz, da jej zapas koszmarów na całe lata.

Otworzył drzwi i wszedł, Randi za nim.

Jedynym źródłem światła była lampka nocna, ale policyjny fotograf krążył po pokoju, robiąc zdjęcia poskręcane, czerwonemu przedmiotowi na łóżku. Błysk flesza sprawiał, że cienie skokowo rosły i pląsały, a kotłowanina w żołądku Randi dotrzymywała im kroku. Odór krwi obezwładniał. Pamiętała letnie dni, dawno temu, gdy w lipcowym upale wiatr wiał od południa i smród z ubojni zawisał nad miastem. Ta woń była jednak tysiąckroć gorsza.

Fotograf chodził, błyskał, chodził, błyskał. Szary świat na moment stawał się czerwony, by znów wrócić do szarości. Pani koroner pochylała się nad zwłokami, jej ruchy wydawały się gwałtowne i nierealne w stroboskopowych rozbłyskach flesza. Z sufitu biło białe światło lampy, Randi uniosła wzrok i zobaczyła zainstalowane tam lustro. Usta martwej kobiety rozwierały się szeroko w bezgłośnym krzyku. Morderca wraz ze skórą odciął jej wargi, ale wewnątrz ust nie było czerwieniejsze od tego, co na zewnątrz. Znikła jej twarz, nie pozostało nic poza lśnącymi sznurami mięśni, tu i tam blado prześwitywała kość, ale pozostawił oczy. Wielkie, ciemne oczy, piękne, zmysłowe jak oczy siostry na parterze. Były szeroko otwarte, wpatrzone w przerażeniu w lustro na suficie. Mogła widzieć ze szczegółami wszystko to, co jej uczyniono. Cóż ujrzała w oczach swego odbicia? Cierpienie, przerażenie, rozpacz? Ponieważ całe życie spędziła z siostrą-bliźniaczką, może znalazła jakiś rodzaj pociechy w widoku swego odbicia, nawet wtedy, gdy odcinano jej skórę, odbierano twarz i człowieczeństwo.

Flesz znów błysnął i Randi dostrzegła błysk metalu u nadgarstków i kostek. Na chwilę zamknęła oczy, uspokoiła oddech i podeszła do stóp łóżka, gdzie koroner rozmawiała z Rogoffem.

– Takie same łańcuchy? – spytał policjant.

– Właśnie. A przyjrzyj się jeszcze temu. – Koroner Cooney wyjęła z ust niezapalone cygaro i użyła go jako wskaźnika.

Pętla łańcucha zaciskała się mocno wokół kostki ofiary. Gdy znów błysnął flesz, Randi zobaczyła inny łańcuch kółeczek, ciemne, wręcz czarne linie, odcinające się od odsłoniętych mięśni i nerwów. Od samego patrzenia poczuła ból.

– Szarpała się – podsunął Rogoff. – Łańcuch otarł jej ciało.

– Otarcia spowodowałyby rany i krwawienie – odparła Cooney. – Przy tym, co jej zrobiono, nawet nie dostrzegłbyś otarć. To poparzenia, Rogoff, oparzenia trzeciego stopnia. Oba nadgarstki, obie kostki stóp, wszędzie, gdzie dotknął ją metal. To samo miała Sorenson. Jak gdyby morderca rozpalil te łańcuchy do czerwoności, ale teraz są już zupełnie zimne. Śmiało, dotknij.

– Nie, dzięki, wierzę ci na słowo – odpowiedział policjant.

– Chwileczkę – wtrąciła Randi.

Wyglądało na to, że koroner dopiero teraz ją zauważyła.

– A co ta tu robi? – spytała.

– To długa historia – odparł Rogoff. – Randi, to oficjalne policyjne śledztwo, lepiej nie...

Randi zignorowała go.

– Joan Sorenson miała takie same oparzenia? – zwróciła się do Cooney. – Na nadgarstkach i kostkach, gdzie łańcuchy dotykały ciała?

– Zgadza się – usłyszała. – Co z tego?

– Właśnie, do czego zmierzasz? – spytał Rogoff.

Spojrzała na niego.

– Joan Sorenson była kaleką. Nie miała władzy w nogach, w ogóle była pozbawiona czucia poniżej pasa. Po co więc ktoś wiązałby jej kostki łańcuchem?

Rogoff wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, po czym pokręcił głową i spojrzał na Cooney. Ta wzruszyła ramionami.

– Fakt. Ciekawa sprawa, ale co to nam daje?

Randi nie miała odpowiedzi. Odwróciła wzrok z powrotem ku łożu, na obdartą ze skóry, poskręcaną okaleczoną rzecz, która niegdyś była piękną kobietą.

Fotograf zmienił kąt ujęcia, zwolnił migawkę. Znow błysnął flesz. Łańcuch załśnił w jego świetle. Randi leciutko musnęła metal koniuszkiem palca. Nie poczuła ciepła. Tylko chłodny, lekki dotyk srebra.

* * *

Noc była pełna zapachów i dźwięków.

Willie biegł jak szalony, na oślep – był szarym cieniem, który mknął po czarnych, śliskich od deszczu ulicach, wyciskał z siebie więcej niż kiedykolwiek, nie patrzył, dokąd zmierza, byle dalej od mieszkania i tego czegoś, co czekało tam ze śmiercią zaciśniętą w dłoni. Pędził zaśmieconymi zaułkami, przebiegał pod rampami załadowniczymi, przeskakiwał niskie płoty z siatki. Gdzieś po drodze napotkał mur z pustaków, który prawie go zatrzymał, trzy kolejne skoki nie przeniosły go nad przeszkodą, ale za czwartym razem zahaczył przednimi łapami o szczyt, a zadnie skrobały, wierzgały, aż przepchnęły go na drugą stronę. Zwalił się w mokrą trawę, przetoczył w piach, a potem znow zerwał się i pędził dalej. Na ulicach prawie nie było samochodów, ale raz, gdy gnał przez szeroki bulwar, znikąd wystrzelił rozpędzony pikap i schwycił go w światła reflektorów. Nagła jasność zaskoczyła Williego, który zastygł na dłuższy moment pośrodku ulicy; dojrzał szok i przerażenie na twarzy kierowcy. Ryknął klakson, pikap zaczął hamować, wpadł w poślizg, zarzucił, wpadł na linię rozdzielającą pasy.

Williego już tam nie było.

Znajdował się teraz w dzielnicy mieszkalnej, biegł cichymi uliczkami, wzdłuż których stały zadbane dwupiętrowe budynki. W wąskich podjazdach stały samochody, lekko trzepotały tabliczki przy nieruchomościach wystawionych na sprzedaż, ale jedyne światło dawały latarnie... i czasami, gdy na chwilę rozstąpiły się chmury, blade kółko księżyca. Z niektórych podwojek docierał doń zapach psów, czasami słyszał dzikie, gorączkowe ujadanie i wiedział, że one też go wyczuły. Niekiedy szczekanie budziło mieszkańców i ich sąsiadów, a wtedy w cichych domach zapalały się światła, trzaskały drzwi, lecz Willie był już wówczas całe przecznice dalej i wciąż pędził przed siebie.

W końcu, gdy rozbolały go łapy, serce łomotało, a czerwony jęzor zwieszał się z pyska, Willie przebiegł przez tory kolejowe, sforsował stromy nasyp i wpadł na płot z siatki wysokości dziesięciu stóp, zwieńczony drutem kolczastym. Za siatką był duży, otwarty plac, a za nim niski, wielki, pozbawiony okien budynek z cegły, ciemny nawet w świetle księżyca. Zastarzały zapach krwi był słaby, ale nie do pomylenia z innymi, i nagle Willie wiedział już, gdzie jest.

Stara rzeźnia, paczkarnia, jak ją nazywano, po prawie dwóch latach od bankructwa była już zupełnie opuszczona. Niezły dystans pokonał. Wreszcie pozwolił sobie na zatrzymanie, złapanie oddechu. Sapał, a gdy osunął się na ziemię pod płotem, zaczął dygotać – poczuł chłód, doskwierający mimo kudłatego futra.

Gdy już trochę odpoczął, zauważył, że wciąż jest w bokserkach. Roześmiałby się, gdyby obecna budowa krtani mu na to pozwoliła. Wspomniał kierowcę pikapa, zastanawiając się, co ten mógł sobie pomyśleć, gdy w świetle reflektorów zobaczył Williego – chudą szarą zjawę w białych gaciach, której czerwone ślepie gorzały jak ognie piekieł.

Wygiął się w pałąk i schwycił gumkę zębami. Szarpnął ją, warcząc w głębi gardła, i po krótkiej walce zdołał zerwać z siebie bieliznę. Odrzucił bokserki na bok i opadł na wilgotną glebę, zadnie nogi spoczęły na przednich, pysk był półotwarty, oczy czujne, na straży. Pozwolił sobie wytchnąć. W oddali słyszał samochody, psa szczekającego pół mili stąd, czuł zapach rdzy i pleśni, odór dieslowskich spalin, zimny aromat metalu. Pod tym wszystkim trzymał się smród rzeźni, zwietrzały, ale wciąż obecny. Wciąż szepczący o krwi i śmierci. Budził odczucia, które powinny raczej spać i w brzuchu Williego rozpałił się głód.

Nie mógł go zignorować, nie do końca, ale dziś w nocy miał inne sprawy na głowie – strach był ważniejszy od głodu. Do świtu zostało raptem parę godzin, a on nie miał gdzie pójść. Dom odpadał, póki nie będzie pewien, że znów jest tam bezpiecznie, póki nie podejmie kroków, by się zabezpieczyć. Bez kluczy, ubrania, pieniędzy nie mógł też dostać się do agencji. Musiał gdzieś pójść, komuś zaufać.

Pomyślał o Blackstone, o Jonathanie siedzącym przy kominku, o martwych, niebieskich oczach Stevena i jego poblźnionych dłoniach, o starej wieży, sterczącej w niebo jak zbutwiały, czarny pal. Może Jonathan zdoła go ochronić, Jonathan ze swoimi grubymi murami i najeżonym szpikulcami płotem i gadką o krwi i żelazie.

Jednak gdy okiem wyobraźni ujrzał Harmona, długie, białe włosy, gałkę laski – złoty łeb wilka, poskręcane artretyzmem dłonie, zaciskające się na niej, warknięcie samo wyrwało się z jego gardła. Wiedział już, że Blackstone to żadna odpowiedź.

Joanie nie żyła, a on nie znał innych na tyle dobrze, w wielu wypadkach nie znał nawet ich nazwisk i wcale nie miał ochoty na bliższe poznanie.

Więc w końcu, czy mu się to podobało, czy nie, pozostawała tylko Randi.

Willie podniósł się, zmęczony, ledwie stojąc na nogach. Wiatr zmienił kierunek, omiół budynek rzeźni i zagrody, szepcząc o krwi, aż zadrżały mu nozdrza. Willie odrzucił w tył łeb i

zawył. Długi, rozedrgany, samotny zew wznosił się i opadał, przesywając ciemność nocy tak długo, aż w promieniu wielu przecznic zaczęły ujadać psy. Wtedy znów puścił się biegiem.

* * *

Rogoff podwiózł ją do domu. Właśnie zaczynało świtać, gdy podjechał swoim starym, czarnym fordem pod jej czynszówkę. Gdy otwierała drzwi, wrzucił luz i spojrzał na nią.

– Teraz nie będę nalegał, ale może się okazać, że przyda mi się nazwisko twojego klienta. Prześpij się z tym. Może jednak zdecydujesz się je podać?

– A może nie mogę – odparła. – Przywilej adwokata, pamiętasz?

Rogoff obdarzył ją zmęczonym uśmiechem.

– Gdy posłałaś mnie do archiwum sądowego, sprawdziłem też twoje akta. Nie skończyłaś studiów prawniczych.

– Nie? – odpowiedziała mu uśmiechem. – Ale chciałam, a to chyba też się liczy? – Wzruszyła ramionami. – Pomyślę o tym. Może jutro pogadamy. – Wysiadła, zamknęła drzwi, odeszła od samochodu.

Rogoff wrzucił bieg, ale nim zdążył odjechać, Randi odwróciła się znów ku niemu.

– Hej, Rogoff, a masz w ogóle jakieś imię?

– Mike – odparł.

– Do jutra, Mike.

Skinał głową i odjechał, zanim zaczęły gasnąć latarnie. Randi weszła na ganek, szukając w torebce kluczy.

– Randi!

Zatrzymała się, rozejrzała.

– Kto to?

– Willie. – Tym razem głos był silniejszy. – Tu, na dole, koło śmietników.

Randi pochyliła się z ganku i zobaczyła go. Kulił się w dole, otoczony kubłami na śmieci, dygocząc w chłodzie poranka.

– Jesteś nagi – stwierdziła.

– Tej nocy ktoś próbował mnie zabić. Udało mi się zwać z domu, ale ciuchy nie zdążyły. Jestem tu od godziny, nie, żeby narzekać, uważasz, ale jądra zamarły mi na sople, chyba złapałem też zapalenie płuc. Już nigdy nie będę mógł mieć dzieci. Gdzieś ty się, kurwa, podziewała?

– Było kolejne morderstwo. Ten sam *modus operandi*.

Willie zatrząsł się tak gwałtownie, że aż załomotały kubły na śmieci.

– O Jezu – powiedział nagle osłabłym głosem. – Kto?

– Nazywała się Zoe Anders.

Willie skulił się.

– Kurwa, kurwa, kurwa. – Spojrzał z powrotem na Randi. Widziała lęk w jego oczach, ale i tak zapytał: – A co z Amy?

– To siostra? – upewniła się. Przytaknęła. – W szoku, ale cała. Miała koszmarne sen. – Urwała. – Więc znałeś Zoe. Tak jak Sorenson?

– Nie. Nie tak jak Joanie. – Uniósł ku niej zmęczoną twarz. – Możemy wejść?

Skinęła głową i otworzyła drzwi. Willie wyglądał na tak wdzięcznego, że miała wrażenie, iż zaraz polize jej dłoń.

* * *

Bielizna została po jej byłym i okazała się przyduża. Różowa podomka należała do Randi i okazała się zbyt mała. Jednak kawa była w sam raz, w mieszkaniu było ciepło, a Willie był przemarznięty aż do szpiku kości i nerwowy, ale cieszył się, że żyje, szczególnie gdy Randi postawiła przed nim talerz. Zrobiła jajecnicę z cheddarem, cebulą i smażonym boczkiem i zapach był po prostu niebiański. Łapczywie rzucił się na jedzenie.

– Chyba coś sobie wykoncypowałam – oznajmiła. Usiadła naprzeciw niego.

– Super – odparł. – Mam na myśli jajecnicę. A w ogóle, cokolwiek udało ci się rozwikłać, to też świetnie, ale, Jezu drogi, jak ja potrzebowałem tej jajecnicy. Nawet nie wiesz, jak się człowiek robi głodny... – urwał nagle, spojrzał na jajecnicę i uświadomił sobie, jaki z niego kretyn, ale Randi nic nie zauważyła. Złapał pasemko bekonu, odgryzł kawałek. – Chrupki. Super.

– Opowiem ci – ciągnęła, jak gdyby w ogóle się nie odzywał. – Komuś muszę, a ciebie znam na tyle długo, że nie sądzę, że zadzwonisz po ekipę z psychiatryka. Może będziesz się śmiać. – Skrzywiła się. – Spróbuj, a wylądujesz na ulicy. Bez bokserów i podomki.

– Nie będę się śmiać – zapewnił Willie. Był niemal pewien, że nie będzie miał problemów z zachowaniem powagi. Pomału zaczął się bać. Przestał jeść.

Randi wzięła głęboki wdech i spojrzała mu prosto w oczy. „Ma piękne oczy” – pomyślał Willie.

– Myślę, że mojego ojca zabił wilkołak – oznajmiła poważnie, bez zmrużenia oka.

– O Jezu – powiedział Willie. Nie śmiał się. Niewidzialna anakonda, naprawdę duża, owinęła się wokół jego klatki piersiowej i zaczęła ją miażdżyć. – Ja – wydusił – ja, ja, ja... – Ani wdechu, ani wydechu.

Odepchnął się od stołu, przewracając krzesło, i pognął do łazienki. Zamknął drzwi na zamek i puścił wodę z prysznica, do oporu odkręcając kurek z gorącą. Łazienka zaczęła wypełniać się parą. Daleko temu było do dawki z inhalatora, ale uduszenie jest jeszcze mniej przyjemne. Zanim para się porządnie zageściła, Willie był już na czworakach, rżąc jak ktoś, kto próbuje wessać słonia przez słomkę. W końcu znów zaczął oddychać.

Jeszcze długo został w parterze, aż w końcu woda z prysznica przemoczyła mu podomkę i bieliznę, a do twarzy uderzyła krew. Wtedy porachkował po terakocie, zakręcił kurek i niepewnie wstał. Lustro nad umywalką było całkiem zaparowane. Willie przetarł je ręcznikiem i przyjrzał się sobie. Wyglądał jak kupa gówna. Mokrego gówna. Gorące, mokre gówno. Czuł się jeszcze gorzej. Próbował się wytrzeć, ale para wodna przesiąkła wszystko w łazience i ręczniki były równie wilgotne co on sam. Słyszał, jak Randi porusza się na zewnątrz, otwierając i zamykając szuflady. Chciał wyjść i stawić jej czoło, ale nie w tym stanie. Czym byłby mężczyzna pozbawiony godności? Przez chwilę pragnął tylko być w domu, w łóżku, z inhalatorem na stoliku, ale przypomniał sobie, że kiedy był tam ostatni raz, do sypialni zawitał nieproszony gość.

– Wyjdiesz wreszcie? – zawołała Randi.

– Tak – odparł, ale głos miał tak słaby, że wątpił, czy go usłyszała. Wyprostował się, poprawił obszytą koronkami podomkę. T-shirt pod spodem wyglądał tak, jak gdyby Willie startował w konkursie na Mistra Mokrego Podkoszulka. Westchnął ciężko, otworzył drzwi i wyszedł. Od chłodnego powietrza dostał gęziej skórki.

Randi znów siedziała przy stole. Willie wrócił do swojego talerza.

– Atak astmy. Wybacz.

– Zauważyłam – odparła. – To wskutek stresu, prawda?

– Czasami.

– Skończ jajecznicę, bo stygnie – ponagliła.

– Racja – zgodził się Willie, rozumując, że równie dobrze może coś zjeść, kiedy będzie obmyślał, co takiego jej powiedzieć. Chwycił widelec.

Kiedyś złapał brudny garnek, który stał na kuchence od poprzedniego wieczoru, dopiero poniewczasie zdając sobie sprawę, że jej w ogóle nie wyłączył. Teraz było podobnie. Willie zawył, upuścił widelec, który upadł na stół i odbił się od blatu raz, drugi, trzeci, lądując przed Randi. Zaczął ssać palce. Już robiły się czerwone. Randi, patrząc na niego bardzo spokojnie, podniosła widelec. Trzymała go, pocierała kciukiem, w zamyśleniu przytknęła jego zęby do wargi.

– Gdy byłeś w łazience, wyjęłam najlepszą zastawę – powiedziała. – Kute srebro. W rodzinie od pokoleń.

– Jezus Maria. – Palce bolały go jak jasna cholera. – Masz trochę masła? Może być margaryna, smalec, cokolwiek, nieważne co...

Urwał, gdy jej dłoń opadła pod stół i wynurzyła się znowu, zaciśnięta na rewolwerze. Z punktu widzenia Williego rewolwer wyglądał na naprawdę wielki.

– Skup się, Willie. Na twoim miejscu palcami przejmowałabym się najmniej. Zdaję sobie sprawę, że cierpisz, więc dam ci minutę albo dwie, żebyś się wziął w garść i powiedział mi, czemu nie powinnam rozwalić ciebie tu i teraz. – Kciukiem odciągnęła kurek.

* * *

Willie po prostu gapił się na nią. Wyglądał żałośnie, jak niedotopione szczenię. Przez jedną straszliwą chwilę Randi myślała, że złapał go kolejny atak astmy. Czowała dziwny spokój, ani śladu gniewu, lęku czy choćby nerwowości, ale nie sądziła, żeby była zdolna strzelić w plecy człowiekowi biegnącemu do łazienki. Nawet jeśli był wilkołakiem.

Na szczęście Willie oszczędził jej podejmowania tej decyzji.

– Nie opłaca ci się mnie zabijać – powiedział ze zdumiewającym tupetem, biorąc pod uwagę okoliczności. – Strzelanie do przyjaciół to objaw braku manier. Poza tym miałabyś dziurę w podomce.

– I tak jej nigdy nie lubiłam. Nienawidzę rózu.

– Skoro naprawdę tak bardzo chcesz mnie zabić, z widelcem miałabyś większe szanse.

– Więc przyznajesz, że jesteś wilkołakiem?

– Likantropem – poprawił Willie. Znowu posłał poparzone palce i spojrzał na nią z ukosa.

– Chcesz mnie pozwać? To schorzenie. Mam astmę, mam alergię, problemy z kręgosłupem i likantropię – i co, to moja wina? Nie zabiłem twojego ojca. W życiu nikogo nie zabiłem. Raz zeżarłem pół pitbulla, ale czy można mieć o to pretensje? – Zaczął użalać się nad sobą. – Jak chcesz mnie zastrzelić, śmiało, życzę szczęścia. A w ogóle to od kiedy chodzisz z bronią? Zawsze mi się wydawało, że wszystkie te hocki-klocki o prywatnych detektywach z kością pod pachą to wymysł telewizji.

– Mówi się „z gnatem”, Willie, i to jest wymysł telewizji. Ja tam wyciągam swój tylko na szczególne okazje. Mój ojciec miał go tej nocy, gdy zginął.

– Niespecjalnie mu to pomogło, prawda? – spytał cicho.

Randi zastanowiła się nad tym przez chwilę.

– A co by się stało, gdybym pociągnęła za spust? – Coraz mocniej czuła ciężar rewolweru, ale jej dłoń ani drgnęła.

– Spróbowałbym przemiany. Wątpię, czy bym zdążył, ale musiałbym spróbować. Parę kul w łeb z tej odległości, kiedy wciąż jestem człowiekiem, no, to powinno wystarczyć. Ale nie radziłbym pudłować, a zdecydowanie odradzam tylko zranienie mnie. Po przemianie poziom trudności radykalnie wzrasta.

– Mój ojciec opróżnił bębenek tej nocy, kiedy zginął – powiedziała z namysłem.

Willie przyjrzał się swojej dłoni i skrzywił się.

– Aj, kurwa, będę miał bąbla.

Randi odłożyła pistolet na stół i poszła do kuchni po kawałek masła. Przyjął dar z wdzięcznością. Podczas gdy smarował oparzeliny, ona spojrzała na okno.

– Wzeszło słońce – stwierdziła. – Myślałam, że wilkołaki zmieniają się tylko nocą, przy pełni księżyca?

– Likantropy – powtórzył Willie. Zgiął palce, westchnął. – Te pierdoły z pełnią księżyca wymyślił jakiś scenarzysta dla Universalu. Sprawdź w literaturze, zmieniamy się, kiedy chcemy, w dzień, w nocy, w pełni, w nowiu, nie ma żadnej różnicy. Czasami faktycznie mam ochotę przemienić się w czasie pełni, to coś z hormonami, ale raczej jak napalenie niż okres. – Złapał swój kubek z kawą. Zawartość już wystygła, ale i tak opróżnił go jednym haustem. – Kurwa, Randi, w ogóle nie powinienem ci o tym opowiadać, przecież cię lubię, jesteśmy przyjaciółmi, obchodzi mnie twój los, powinnaś po prostu zapomnieć o całym tym poranku, uwierz mi, tak będzie lepiej.

– Czemu? – zapytała wprost. Nie miała zamiaru o niczym zapominać. – A co mi się stanie, jeśli nie zapomnę? Wyrwiesz mi tchawicę? Mam też zapomnieć o Joan Sorenson i Zoe Anders? O Royu Helanderze i wszystkich zaginionych dzieciakach? MAM ZAPOMNIEĆ, CO SIĘ STAŁO Z MOIM OJCEM? – Urwała na moment, potem mówiła ciszej. – Przeszedłeś do mnie po pomoc, Willie, i wybaczone, ale coś mi się widzi, że wciąż jej potrzebujesz.

Willie patrzył na nią z drugiej strony stołu ze zdecydowanie nieszczęśliwą miną na pociągłej facjacie.

– Nie wiem, na co mam większą ochotę, pocałować cię, czy ci przylać – przyznał w końcu. – Szlag, masz rację, i tak już zbyt dużo wiesz. – Wstał. – Muszę się przebrać we własne ciuchy, w tych mokrych gaciach zaraz złapię zapalenie płuc. Wezwij taksówkę, pojedziemy sprawdzić mój dom, pogadamy. Masz jakiś płaszcz?

– Weź ten w kratę – odparła. – Jest w szafie.

Jemu do wypełnienia tego płaszcza brakowało jeszcze więcej niż Randi, ale wołał to od różowego szlafrocza. Gdy wychodził z garderoby, mocując się z paskiem, wyglądał niemal człekokształtnie. Randi szukała czegoś w szufladzie ze srebrnymi sztuccami. W końcu znalazła wielki nóż, którego jej dziadek używał do krojenia indyka na Święto Dziękczynienia, i zatknęła go sobie za pasek spodni. Willie przyglądał mu się nerwowo.

– Dobry pomysł – powiedział – ale weź też rewolwer.

* * *

Taryfiarz był z tych milkliwych. Jazda na przełaj przez miasto upłynęła w niezręcznej ciszy. Randi płaciła za kurs, gdy Willie już wysiadł i zabrał się za sprawdzanie drzwi. Był wietrzny, zachmurzony dzień. Szary nurt rzeki pokrył się falkami, które tłukły o pomost.

Willie w przystępie irytacji kopnął w drzwi wejściowe i znikł w zaułku prowadzącym na zaplecze browaru. Randi czekała przy pomoście, śledząc wzrokiem odjeżdżającą taksówkę. Po paru minutach Willie wrócił z niesmakiem wypisanym na twarzy.

– To już śmieszne – powiedział. – Tylne drzwi nie otwierano od lat, przydałby się młot i dłuto tylko po to, żeby przedrzeć się przez rdzę. Wrota na rampę załadunkową są zamknięte,

ściągnięte łańcuchami, a na nich wisi kłódka jak krowa. A drzwi wejściowe... w samochodzie mam zapasowy komplet kluczy, ale nawet gdybyśmy się do nich dobrali, to zasuwę policyjną da się otworzyć tylko od środka. No więc jak toto tam weszło, he?

Randi przyjrzała się zerodowanym murom browaru. Wydawały się jej całkiem solidne, a okna pierwszego piętra od poziomu ulicy dzieliło dobre dwadzieścia stóp. Obeszła budynek, żeby przyjrzeć mu się od strony zaułka.

– Masz tu wybite okno – powiedziała.

– To się stało, jak wychodziłem – odparł Willie – a nie jak mój nocny gość wchodził.

Randi już to sobie sama wykalkulowała, widząc rozsypane na bruku kawałki szkła.

– Teraz bardziej mnie interesuje, jak my tam wejdziemy. Gdybyśmy przesunęli ten kontener kilka stóp w lewo i ja bym na niego weszła, a ty na mnie, to może dałbyś radę wspiąć się przez to okno. – Wskazała palcem, o co jej chodzi.

Willie rozważył sprawę.

– A jeśli to wciąż tam jest?

– Co takiego?

– No, to, co chciało mnie dorwać w nocy. Gdybym nie wyskoczył przez okno, to mnie by dziś rano znaleziono bez skóry, a wierz mi, i bez tego marzną. – Spojrzał na okno, na kontener, znów na okno. – Chuj, nie będziemy tu tak stali do nocy. Mam lepszy pomysł. Pomóż mi trochę odsunąć ten kontener od ściany.

Randi nie miała pojęcia, o co mu chodzi, ale współpracowała. Ustawili kontener pośrodku zaułka, dokładnie pod wybitym oknem. Willie kiwnął głową i zaczął rozplątywać pasek pożyczanego płaszcza.

– Odwróć się tyłem – powiedział. – Nie chcę, żeby ci nerwy puściły. Muszę się rozebrać do naga, a twoje rozpasane cielesne apetyty mogą się okazać silniejsze od przyzwoitości.

Odwróciła się. Pokusa, by obejrzeć się przez ramię, była nie do przewyciężenia. Usłyszała, jak płaszcz upada na ziemię, a potem coś innego – ciche uderzenia łap, jakby psich. Odwróciła się z powrotem. Zobaczyła, że Willie zawrócił prawie do wylotu zaułka. Stara bielizna jej byłego leżała w nieładzie na porzuconym płaszczu. Willie pędził w stronę browaru, nabierając szybkości. Zauważyła, że nie był szczególnie okazałym wilkiem. Sierść miał brudnoszarobrazową, jakby sparszywiałą, zad chyba przyduży, a łapy zbyt chude, jego bieg też nie był najzgrabniejszy. Na koniec jeszcze przyspieszył, wskoczył na kontener, odbił się od metalowej pokrywy i przeleciał przez wybite okno, strącając kolejne odłamki szkła. Z sypialni rozległ się głośny łomot.

Przeszła z powrotem do frontowych drzwi. Po paru chwilach rozległ się szcęk otwieranych zamków, jednego po drugim, i Willie otworzył ciężkie, stalowe drzwi. Miał na sobie własny szlafrok, flanelowy, czerwony, w kratę, i trzymał w dłoni pęk kluczy.

– Wchodź – powiedział. – Ani śladu gości. Nastawiłem wodę na herbatę.

* * *

– Chyba skurwysyn wylazł ze sracza – powiedział Willie. – Innego sposobu nie widzę.

Randi stała przed szczątkami drzwi do jego sypialni. Przyjrzała się rozszczepionemu drewnu, leciutko przeciągnęła palcem po jednym z postrzępionych kawałków, uklękła, by przypatrzeć się podłodze.

– Cokolwiek to było, miało krzepę. Zobacz te rysy w drewnie, jakie są ostre, wyraźne. Tego się nie zrobi pięścią. Może szponami. Prędeż jakimś nożem. A spójrz jeszcze na to. – Dłonią wskazała mosięzną klamkę, leżącą na podłodze pośród przerobionych na opał drzwi.

Willie pochylił się, żeby ją podnieść.

– Nie dotykaj – powiedziała, łapiąc go za ramię. – Tylko patrz.

Przykląkł na jedno kolano. Z początku nic nie zauważył. Gdy jednak pochylił się niżej, dostrzegł, że na mosiądzu zostały otarcia i zadrapania.

– Coś ostrego i twardego – powiedziała Randi i wstała. – Gdy po raz pierwszy usłyszałeś hałas, to z której strony dobiegał?

Willie zastanowił się przez chwilę.

– Trudno powiedzieć. Wydaje mi się, że od tyłu.

Randi poszła tam. Wszystkie drzwi wzdłuż korytarza były zamknięte. Przyjrzała się poręczy na szczycie schodów, po czym ruszyła przed siebie, otwierając i zamykając kolejne pokoje.

– Chodź tu – powiedziała przy czwartych drzwiach.

Willie truchtem dobiegł do niej. Randi trzymała drzwi otwarte na oścież. Klamka od strony korytarza była nietknięta. Ta od strony wewnętrznej miała takie same otarcia co ta w sypialni. Willie pobrał.

– Ale to męska toaleta – powiedział. – Znaczy, że naprawdę wylazł ze sracza? Już w życiu nie siądę na klopie.

– To coś wyszło z tego pomieszczenia – odparła Randi. – Nic nie mówiłam o muszli. – Weszła do środka i rozejrzała się. Nie było specjalnie na co patrzeć. Dwie kabiny toaletowe, dwa pisuary, dwie umywalki, nad nimi długie lustro, przy kranach staroświeckie, mosiężne dozowniki do mydła, maszyna z papierowymi ręcznikami. Ręczniki i przybory toaletowe Williego. Żadnych okien, nawet malutkiego lufcika z matową szybą. Żadnych.

W salonie odezwał się czajnik. Gdy tam wracali, Randi wyglądała na zamyśloną.

– Joan Sorenson zginęła za zamkniętymi drzwiami. Morderca dopadł Zoe Anders, nie budząc jej siostry śpiącej po drugiej stronie korytarza.

– To kurewstwo może włązić i wylązić, którędy zechce – powiedział Willie.

Od myślenia o tym dostawał dreszczy. Gdy wyciągał herbatę ekspresową, miał oczy dokoła głowy, ale poza nim i Randi nie było w pokoju nikogo.

– No, niezupełnie. Przy Sorenson i Anders nie było żadnych śladów włamania, żadnych uszkodzeń, tylko zwłoki. W twoim wypadku mordercę zatrzymały zwykłe zamknięte drzwi.

– Nie zatrzymały – sprostował Willie. – Tylko trochę zwolnił. – Opanował dygot i przyniósł herbatę do stolika.

– Czy dopadł właściwą siostrę Anders?

– Że jak? – Willie przez moment stał jak jełop z imbrykiem zawieszonym nad filiżankami.

– W jednym domu mieszkają bliźniaczki. Załóżmy, że zabójca nigdy wcześniej nie był w tym domu. Jakoś udaje mu się wejść, skrępować łańcuchami, zamordować i obdrzeć ze skóry tylko jedną z nich, nie budząc tej drugiej. – Randi uśmiechnęła się do niego słodko. – Na pierwszy rzut oka nie da się ich odróżnić, on pewnie nie wie, w czyjej jest sypialni, więc pozostaje pytanie: czy na pewno zabił wilkołaka?

Miło było wiedzieć, że nie jest nieomylna.

– I tak, i nie – odpowiedział. – Były bliźniaczkami. Dwie likantropki. – Zaskoczenie na jej twarzy wyglądało na szczere. – Skąd wiedziałaś?

– Wiesz, łańcuchy – odrzekła beztrąsko. Jej umysł błąkał się gdzieś daleko, próbując rozgryźć zagadkę. – Srebrne łańcuchy. Paliły jej ciało wszędzie tam, gdzie go dotknęły. Rzecz jasna, Joan Sorenson też była wilkołakiem. Zgoda, była kaleką... ale tylko w ludzkim ciele, nie po przemianie. To dlatego jej nogi też były związane, żeby utrzymać ją na uwięzi, gdyby się przemieniła. – Spojrzała na niego, wyraźnie czegoś nie pojmując. – To nie ma sensu. Czemu zabijać jedną i nie ruszyć drugiej? Jesteś pewien, że Amy Anders też jest wilkołakiem?

– Likantropem – powiedział. – Tak. Bez wątplenia. Jako wilczyce były jeszcze trudniejsze do odróżnienia. W ludzkiej postaci przynajmniej ubierały się inaczej. Amy lubiła białe koronki, falbanki, inne takie, a Zoe gustowała w skórach. – Na stoliku stała popielnica z kryształą, wypełnioną ulubioną imprezową mieszanką Williego: aspiryna, środki przeciwuczuleniowe i coś na żołądek. Wziął garść pigułek i połknął na sucho.

– Słuchaj, zanim pójdziemy dalej, musisz odkryć jedną kartę – powiedziała.

Choć raz wyprzedzał ją o krok.

– Gdybym wiedział, kto zabił twojego ojca, to bym ci powiedział, ale nie wiem, więc nie powiem. W wojsku byłem, w Europie. Pamiętam, że coś tam i pisali w „Kurierze”, ale powiem ci szczerze: zupełnie wyleciało mi to z głowy, aż rzuciłaś się z tym na mnie tej nocy. To co ci mam powiedzieć? – Wzruszył ramionami.

– Nie pierdol, Willie. Mojego ojca zabił wilkołak. Ty też jesteś wilkołakiem. Musisz coś wiedzieć.

– Wiesz co? Zamiast „wilkołak” wstaw „Żyd”, „cukrzyk” albo „łysy facet”. Na to samo wyjdzie. Nie mówię, że się mylisz w sprawie ojca, bo to pasuje, wszystko pasuje, od stanu

zwłok do pustego bębena, ale nawet jeśli przyjmiemy te fakty, to i tak pozostaje pytanie, który to był wilkołak.

– To ilu was w końcu jest? – zapytała z niedowierzaniem.

– Żeby, cholera, wiedział – odparł. – A coś ty myślała, że w każdą pełnię księżyca mamy zbiórkę zastępu? Tych czystej krwi nie ma zbyt wielu, bo, cholera, przez ostatnie parę pokoleń sfera mocno się przerzedziła. Ale jest masa kundli takich jak ja, półkwi, ćwierćkwi, co tylko chcesz – stare rody dochowały się hordy bękartów. Jedni potrafią się zmieniać, inni nie. Słyszałem o takich, którym udało się przemiana w jedną stronę, ale z powrotem już nie. I to tylko licząc stare rody, a przecież są też tacy jak Joanie.

– Czyli co, ona była inna?

Willie z oporami przytaknął.

– Widziałas filmy. Ktoś ugryziony przez wilkołaka sam się w niego zmienia. Pod warunkiem, że zostało zeń na tyle dużo, że nie zamieni się w świeże zwłoki. – Kiwnęła głową a on ciągnął: – No, to się zgadza, przynajmniej po części. Teraz zdarza się rzadziej niż kiedyś. Teraz, jak ktoś zostanie pogryziony, to od razu pędzi do lekarza, dostaje zastrzyki od wściekliczy, tężca, pełen tyłek penicyliny i chuj wie co jeszcze. I nic mu nie jest. Cuda nowoczesnej medycyny.

Willie zawahał się na moment, patrząc w jej piękne oczy i zastanawiając się, czy ona zdoła to zrozumieć, aż wreszcie rzucił się na głęboką wodę.

– Joanie była tak wspaniała, że serce mi pękało, kiedy widziałem ją na wózku. Pewnej nocy powiedziała mi, że najcięższa w tym wszystkim była świadomość, że nigdy nie pozna seksu. Tej nocy, kiedy zderzyli się z ciężarówką, ona wciąż jeszcze była dziewicą. Wypiliśmy po parę drinków, ona się rozplakała, a ja... nie dałem rady. Powiedziałem jej, kim jestem, co mogę dla niej zrobić, a ona nie uwierzyła nawet w jedno słowo. Więc musiałem jej pokazać. Ugryzłem ją w nogę, tam i tak nie miała czucia, więc ją ugryzłem i szarpałem mięso przez dłuższą chwilę, żeby na pewno się udało. Potem sam ją kurowałem. Żadnych lekarzy, żadnych szpitali, szczepionek, nic. A to nie jest jakieś tam dupowate zakażenie, przez dzień czy dwa miała tak wysoką temperaturę, że bałem się, iż ją zabiłem. Noga prawie jej szerniała, widać było, jak to paskudztwo sunie wzdłuż arterii. Powiem szczerze, rzygać się chciało i nie mam specjalnej ochoty znów próbować, ale podziałało. Nastąpiło przesilenie gorączki i Joanie mogła się zmieniać.

– Nie byliście tylko przyjaciółmi – stwierdziła Randi. – Byliście kochankami.

– Owszem. W wilczej skórze. Pewnie z kłakami jestem bardziej seksowny. Tyle że nie byłem w stanie za nią nadążyć. Joanie była bardzo aktywną wilczycą. Właściwie niemal noc w noc.

– W ludzkim ciele wciąż była kaleką – powiedziała Randi.

Willie przytaknął i uniósł dłoń.

– Widzisz? – Oparzenia nie znikły, na palcu wskazującym pojawił się pęcherz surowicy.
– Ze dwa razy przemiana ocaliła mi życie, w atakach astmy tak ciężkich, że myślałem, iż nie przeżyję. Takie rzeczy nie przechodzą w drugą postać, ale i tak, cholera, czekają na człowieka po powrocie. Czasami niespodzianki bywają dość paskudne. Postrzelą cię jako wilka, drobiazg, ukłucie, pląsniecie, zaraz się zagoi, ale można za to zapłacić po powrocie w ludzkie ciało. Szczególnie jeśli przemiana nastąpi zbyt wcześnie i wda się zakażenie. A srebro pali jak skurwysyn niezależnie od postaci, w jakiej jesteś. Za to właśnie kocham prezydenta Johnsona. Wymiana ćwierćdolarówek ze srebrnych na miedzionikłowe – po prostu bomba.

Randi wstała.

– Trochę za dużo naraz. PODOBA ci się bycie wilkołakiem?

– Likantropem. – Willie wzruszył ramionami. – Bo ja wiem? A ty lubisz być kobietą? Jestem tym, kim jestem.

Randi podeszła do okna i zapatrzyła się w obraz za szybą.

– Mam totalny zamęt w głowie – powiedziała. – Patrzę na ciebie i widzę mojego kumpla Williego. Znamy się od lat. Tyle że teraz wiem, iż jesteś też wilkołakiem. Od dwunastego roku życia wmawiam sobie, że wilkołaki nie istnieją, aż tu dowiaduję się, że w mieście aż się od nich roi. A ktoś zaczął je zabijać, obdzierać ze skóry. Powinno mnie to obchodzić? Niby czemu? – Przeczesła palcami splecione włosy. – Oboje wiemy, że to nie Roy Helander zabił tamte dzieciaki. Mój ojciec też wiedział. Cisnął, drażył, aż pewnej nocy wywabiono go do zagród dla bydła, gdzie jakaś bestia rozszarpała mu gardło. Gdy tylko o tym myślę, wydaje mi się, że powinnam odszukać tego łowcę wilkołaków i zaoferować pomoc. Wtedy znów na ciebie patrzę. – Obróciła się i spojrzała na niego. – A ty wciąż, cholera, jesteś moim przyjacielem.

Wyglądało na to, że zaraz się rozplacze. Willie jeszcze nigdy nie widział jej ze łzami w oczach i nie chciał jej na tym złapać. Nie cierpiał zapłakanych ludzi.

– Pamiętasz, jak pierwszy raz zaoferowałem ci robotę, a ty nie chciałaś jej przyjąć, bo uważałaś, że wszyscy egzekutorzy długów to kutasy?

Przytaknęła.

– Likantropy zmieniają skórę. Zmieniamy się w wilki. Zgadłaś, jesteśmy mięsożerni, w sforze nie znajdziesz zbyt wielu jaroszy, ale są różne rodzaje mięsa. W porównaniu z innymi miastami tej wielkości nasze ma o wiele mniej szcurów. Chodzi mi o to, że skóra może się zmienić, ale i tak wszystko zależy od osoby, która jest pod nią. Przestań więc myśleć o wilkołakach i łowcach wilkołaków, a zacznij o mordercach, bo to z nimi mamy do czynienia.

Randi wróciła do stołu i usiadła.

– Szlag mnie trafia, ale to, co mówisz, ma sens.

– W łóżku też jestem niezły – oznajmił z szerokim uśmiechem.

– Pierdol się – odparła ze słabym uśmiechem.

– Tak sam? A jaką nosisz bieliznę?

– Zostawmy moją bieliznę. Masz jakieś pomysły odnośnie do tych morderców? Dawnych czy nowych?

Randi potrafiła mieć wręcz wyjątkowo jednokierunkowy umysł, pomyślał Willie. Szkoda tylko, że ten kierunek nigdy nie prowadził do łóżka.

– Jonathan wspomniał mi o dawnej legendzie – powiedział.

– Jonathan?

– Tak, Jonathan Harmon, nie kto inny, stara krew i żelazo, „Kurier”, Blackstone, paczkarnia, z rodu założycieli, cały on.

– Jeden moment. On też jest wilko... likantropem?

Przytaknął.

– Owszem, przywódcą sfory, bo...

– I to jest dziedziczne? – uprzedziła go Randi.

Widział, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Owszem, ale...

– Steven Harmon ma zaburzenia umysłowe – przerwała mu. – Rodzina chroni go przed dziennikarzami, ale nie są w stanie powstrzymać plotek. Okresy przemocy, nietutejsi lekarze odwiedzający Blackstone, terapie wstrząsowe. Zdaje się, że lubi zadawać sobie ból, nie?

– Owszem – westchnął Willie. – Widziałeś kiedyś jego dłonie? Ich wnętrza i palce są całe w bliznach po srebrze. Kiedyś widziałem, jak zacisnął pięść wokół srebrnego dolara i trzymał, póki spomiędzy palców nie poszedł dym. Wypaliło mu wielką okrągłą dziurę pośrodku dłoni.

– Zadygotał. – Zgoda, Steven to czubek, ma dość pary, żeby wyrwać ci rękę ze stawu i zatłuc cię nią na śmierć, ale to nie on zabił twojego ojca. Wykluczone.

– To ty tak twierdzisz.

– I nie on zabił Joanie ani Zoe. To nie były zwykłe morderstwa. Z nich zdarto skóry. Tu znowu wracamy do legendy. Mówi się o nas, że „zmieniamy skórę”, pamiętasz? A może moc przemiany leży właśnie w skórze? Więc trzeba by złapać wilkołaka, obdrzeć go ze skóry, okryć się krwawym runem... i zmienić.

Randi patrzyła na niego z obrzydzeniem.

– To by naprawdę zadziałało?

– Ktoś najwyraźniej tak myśli.

– Kto taki?

– Człowiek, który od dawna myśli o wilkołakach. U którego obsesja na ich punkcie przeszła już dawno w psychopatię. Któremu się zdaje, że kiedyś ujrzał wilkołaka, że wilkołaki wyrządziły mu krzywdę, ktoś, kto ich nienawidzi, pragnie, by cierpiały, chce zemsty... ale może w głębi duszy także ktoś, kto chciałby wiedzieć, jak to jest być wilkiem.

– Roy Helander – powiedziała.

– Gdyby udało nam się znaleźć tę jego cholerną kryjówkę w lasach, może zdołalibyśmy się upewnić.

Randi wstała.

– Całymi godzinami łamałam sobie nad tym głowę. Moglibyśmy trochę powęszyć wokół parków miejskich, ale nie sądzę, żeby to coś dało. Nie. Chcę wiedzieć więcej o tych legendach, chcę zobaczyć Stevena na własne oczy. Idź po samochód, Willie. Odwiedzimy rezydencję Blackstone.

Bał się, że coś takiego przyjdzie jej do głowy. Capnął kolejną garść swojej medycznej mieszanki.

– Dobry Jezu – powiedział, przeżuując pigułki. – Wiesz, to nie jest rodzina Addamsów. Jonathan żyje naprawdę.

– Ja też – odparła Randi i Willie wiedział, że nic nie wskórał.

* * *

Zanim dojechali do Courier Square, znów zaczęło padać. Willie czekał w samochodzie, a Randi odwiedziła rusznikarza. Gdy dwadzieścia minut później wróciła do samochodu, chrapał już za kierownicą. Przynajmniej był na tyle przytomny, żeby zablokować drzwi do tego swojego mamuta. Zastukała w szybę. Siadł prosto jak strzała, ale przez dłuższą chwilę patrzył na nią nieprzytomnie. Potem ocknął się, przechylił i odblokował drzwi po stronie pasażera. Randi wsunęła się na sąsiedni fotel.

– Jak poszło?

– Nie mają zbyt częstych zamówień na srebrne kule, ale znają gościa poza miastem, który robi różne rzeczy dla kolekcjonerów – odparła z wyraźnym niesmakiem.

– Jakoś nie wyglądasz na zadowoloną.

– Bo nie jestem. Wiesz, ile zabułę za pudełko srebrnych naboji? I w dodatku mam czekać dwa tygodnie. Miał być miesiąc, ale podniosłam stawkę. – Patrzyła spode łba przez zalaną deszczem szybę. Rynsztokiem płynął rwący strumień mętnej wody, niosący flotyllę niedopałków i strzępy starych gazet.

– Dwa tygodnie? – Willie obrócił kluczyk w stacyjce i wrzucił bieg. – Za dwa tygodnie będziemy już pewnie gryźć ziemię. Może i lepiej, nawet jako pomysł srebrne kule przyprowadzają mnie o gęsią skórkę.

Odjechali z placu, mijając fronton kina Castle i budynek „Kuriera”, i ruszyli Central Street. Wycieraczki pracowały rytmicznie. Willie skręcił w lewo w Trzynastą w stronę urwiska, a Randi wyjęła rewolwer po ojcu, odchyliła bębenek i sprawdziła, czy broń jest załadowana. Willie obserwował ją kątem oka, skupiając się na prowadzeniu.

– Tracisz czas – powiedział. – Pistolet nie zabije wilkołaka. Inny wilkołak i owszem.

– Likantrop – przypomniała mu.

Uśmiechnął się szeroko i przez moment wyglądał prawie jak jej dawny chlebobawca.

Im bliżej byli urwiska, tym bardziej w obojgu narastało napięcie. Szerokie opony cadillaca rozbryzgiwały kałuże. Do końca ulicy pozostała jeszcze jedna przecznica, gdy Randi dostrzegła zjeżdżający z góry wagonik, którego biel odcinała się od ciemnych skał, a chwilę później – czerwone i niebieskie rozbłyśki kogutów.

Willie też to zobaczył. Stanął na hamulcu, cadillac stracił przyczepność i tylko wariacka walka z kierownicą ocaliła ich od wpadnięcia na zaparkowany samochód. Gdy wreszcie auto zatrzymało się, na czole Williego perlił się pot i Randi była pewna, że to nie dlatego, iż ledwie uniknęli wypadku.

– Jezu, o Jezu – odezwał się. – Nie Harmon, w to już nie uwierzę.

Zaczął rzeźić, kopać po kieszeniach w poszukiwaniu inhalatora.

– Poczekaj tu, ja zobaczę – powiedziała.

Wyszła z samochodu, postawiła kołnierz płaszcza i przeszła resztę drogi do ślepego końca Trzynastej, dokładnie przy ścianie urwiska. Pomiedzy trzema radiowozami stał tam też ambulans koronera. Randi dotarła tam równo z wagonikiem. Pierwszy wysiadł Rogoff, za nim Cooney, fotograf i dwóch mundurowych, obarczonych workiem na zwłoki. Musiało być dosyć tłoczno.

– To ty. – Rogoff był najwyraźniej zaskoczony, widząc ją tutaj. Deszcz przykleił mu do czoła pasma czarnych włosów.

– To ja – zgodziła się. Plastikowy worek był mokry i śliski, mundurowi mieli poważne problemy z niesieniem go. Jeden z nich poślizgnął się, wychodząc z wagonika, i wewnątrz worka coś się przemieściło. – To nie pasuje do wzorca – powiedziała Rogoffowi. – Wszystkich pozostałych morderstw dokonano nocą.

Detektyw ujął ją pod ramię i odprowadził na bok, łagodnie, lecz stanowczo.

– Nie chcesz tego oglądać, Randi.

W jego głosie było coś takiego, że przeszła go spojrzeniem.

– A czemu nie? Przecież nie może być gorzej niż z Zoe Anders, prawda? Kogo macie w worku, Rogoff? Ojca czy syna?

– Dwa razy pudło – odparł. Spojrzał przez ramię za siebie, ku szczytowi urwiska, i Randi stwierdziła, że też tam patrzy. Widoczny był tylko płot z kutego żelaza, który otaczał całą posiadłość. – Tym razem mu się nie poszczęściło. Dopadły go psy. Cooney twierdzi, że to zapach krwi z... no, z tego, co miał na sobie... w każdym razie, musiał rozwścieczyć psy. Rozerwały go na strzępy, Randi. – Położył dłoń na jej ramieniu, jakby chciał ją pocieszyć.

– Nie – powiedziała. Czowała się otepiała, oszołomiona.

– Tak – nalegał. – Już po wszystkim. I wierz mi, to nie jest coś, co chciałabyś zobaczyć.

Cofnęła się przed nim. Ciało ładowano właśnie do ambulansu. Sylvia Cooney nadzorowała przebieg tej operacji, paląc w deszczu cygaro. Rogoff spróbował znów dotknąć Randi, ale wymknęła mu się i pobięła w stronę wozu koronera.

– Halo! – zawołała Cooney.

Worek leżał na podłodze ambulansu, do połowy wystając jeszcze na zewnątrz. Randi złapała za suwak. Jeden z gliniarzy chwycił ją za ramię. Odepchnęła go i rozpięła worek. Zwłokom brakowało połowy twarzy. Prawy policzek, ucho i część żuchwy były wyrwane, pożarte wraz z kośćmi. Pozostałe rysy twarzy zakrywała krew.

Ktoś próbował odciągnąć ją od drzwi ambulansu. Obróciła się na pięcie i poczęstowała go kopniakiem w jaja, po czym znów odwróciła się do ciała, złapała je pod pachami i pociągnęła. Wnętrze worka było śliskie od krwi. Zwłoki wystrzeliły z plastikowej osłony jak banan ze skórki i upadły na bruk. Obmył je deszcz, zabarwiając płynącą rynsztokiem strugę najpierw na różowo, potem na czerwono. Dłoń, czy jej część, wypadła z worka nieco później, jakby się zagapiła. Jednej ręki praktycznie nie było, Randi widziała prześwietlające kości i miejsca, w których z torsu, ud, barków wyrwano wielkie kawały mięsa. Mężczyzna był nagi, pomiędzy jego nogami w miejscu genitaliów widniała wielka, krwawa rana.

Coś opasywało jego szyję, zasupłane pod podbródkiem. Chyba jakiś długi, pokręcony płaszcz, który zupełnie się zamotał przy upadku z ambulansu. Randi próbowała to rozłożyć, gdy złapano ją za obie ręce i odciągnięto siłą.

– Nie! – mówiła wściekle. – Co on miał na sobie? No co takiego, niech was szlag! Muszę zobaczyć!

Nikt nie odpowiedział. Rogoff uwięził jej prawe ramię w stalowym uścisku. Walczyła z nim zajadle, kopiąc i krzycząc, ale przytrzymał ją aż histeria ustąpiła, i jeszcze przez jakiś czas, gdy szlochała, wtulona w jego pierś.

Nie zauważyła, kiedy podszedł Willie, ale znienacka był już obok. Poprowadził ją od Rogoffa z powrotem do cadillaca. Siedzieli w środku, milcząc, gdy odjeżdżał najpierw samochód koronera, a po nim kolejno trzy radiowozy. Była cała we krwi. Willie podał jej parę aspiryn z fiolki, którą miał w schowku na rękawiczki. Próbowała połknąć je na sucho, ale gardło miała tak obolałe, że wykrztusiła pigułki z powrotem.

– Już dobrze – powtarzał jej raz za razem. – To nie był twój ojciec, Randi. Słuchaj mnie, proszę, to nie był twój ojciec!

– To był Roy Helander – powiedziała mu w końcu. – Ubrany w skórę Joanie.

* * *

Willie odwiózł ją do domu. W tym stanie nie mogłaby stawić oporu Jonathanowi ani komukolwiek innemu. Uspokoiła się, ale histeria wciąż czała się tuż pod powierzchnią, słyszał to w jej głosie, widział w jej oczach. Zresztą jakby tego było mało, w kółko powtarzała mu: „To był Roy Helander ubrany w skórę Joanie”, tak jakby sam nie wiedział.

Znalazł klucze i zaprowadził ją na górę, do mieszkania. Na miejscu podał jej parę pigułek nasennych z apteczki na wszelkie okazje, którą woził w schowku na rękawiczki, po czym posłał łóżko i rozebrał ją. Sądził, że jeśli cokolwiek zdoła przywrócić ją do przytomności, to

na pewno dotyk jego palców na guzikach jej bluzki. Nic z tego, uśmiechnęła się tylko do niego, nieobecna, rozmarzona, i powiedziała mu, że to był Roy Helander ubrany w skórę Joanie. Zatrzymał go ten wielki, srebrny nóż, zatknięty za szlufki paska. W końcu rozpiął jej rozporek, odpiął klamrę pasa i ściągnął dzinsy wraz z nożem i resztą dodatków. Nie miała na sobie majtek. Zawsze ją o to posądzał.

Gdy już grzecznie spała w łóżku, wrócił do jej łazienki i zwymiotował.

Potem zrobił sobie dzin z tonikiem, żeby wypłukać z ust posmak żółci, i samotnie siadł w salonie, w jednym z foteli obitych czerwonym aksamitem. Przez te ostatnie parę nocy spał nawet mniej niż Randi, więc miał wrażenie, że lada chwila odpłynie. Skądś jednak wiedział, że nie powinien. To był Roy Helander ubrany w skórę Joanie. A więc sprawa skończona, teraz już nic mu nie groziło.

Wspominał swoje drzwi, wstrząsane zeszłej nocy, choć przecież z twardego drewna, rozłupane jak tandetna sklejką. Za nimi było coś potężnego, coś, co zostawiało rysy na mosiężnych klamkach i potrafiło dostać się w miejsca, do których nie było dostępu. Jakoś nie pasowało mu to wszystko do chudej, zmarnowanej, na wpół pożartej parodii człowieka, którą widział na Trzynastej. Ma uwierzyć, że Roy Helander był jego nocnym gościem? Równie prawdopodobnie brzmiało to, że faktycznie rozszarpały go psy. PSY! Jak długo Jonathan miał zamiar wyłgiwać się takimi bzdurami? Z drugiej strony, któż mógłby go winić – Zoe i Joanie nie żyły, a Helander próbował wślizgnąć się do Blackstone odziany w ludzką skórę.

„...czyhają ci, którzy polują na łowców”.

Willie podniósł słuchawkę i wybrał numer do Blackstone.

– Halo – głos w słuchawce był bezbarwny, pozbawiony uczuć jak głos człowieka, który nie dbał o to, co może się stać z kimkolwiek i czymkolwiek, włącznie z nim samym.

– Witaj, Steven – odpowiedział cicho. Już chciał poprosić do telefonu Jonathana, ale nagle owładnęło nim dziwne szaleństwo i usłyszał słowa płynące z własnych ust: – Patrzyłeś? Widziałeś, Steven, co Jonathan mu zrobił? Podnieciłeś się?

Cisza na drugim końcu linii trwała całe wieki. Zdarzało się już, że Steven zapominał, jak się mówi. Jednak nie tym razem.

– To nie Jonathan go zdjął. To ja. Było łatwo. Czulem jego zapach, gdy podchodził lasem. Nawet mnie nie zauważył. Zaszedłem go od tyłu, przycisnąłem do ziemi i odgryzłem ucho. Zupełnie nie miał siły. Po chwili zmienił się w człowieka i wtedy był cały śliski, ale to nie przeszkadzało, bo...

Ktoś przejął słuchawkę.

– Halo, kto mówi? – usłyszał głos Jonathana.

Willie rozłączył się. Zawsze może zadzwonić później. Niech Jonathan podenerwuje się trochę, zastanawiając się, z kim rozmawiał jego syn.

– Po chwili zmienił się w człowieka – powtórzył na głos. Steven sam to zrobił. Steven nie mógł zrobić tego sam. A może mógł? O Jezusie.

* * *

Gdzieś w oddali dzwonił telefon.

Randi przewróciła się na drugi bok.

– Skóra Joanie – wymamrotała nieprzytomnie, na wpół połykając sylaby. Była naga, okręcona kocami. W pokoju panowała zupełna ciemność. Telefon znów zadzwonił. Usiadła z prześcieradłem zamotanym wokół szyi. W pokoju było zimno, w głowie łupało. Zerwała z siebie prześcieradło i odrzuciła na bok. Czemu była naga? Co tu się dzieje, do cholery? Kolejny dzwonek i włączyła się sekretarka:

– Tu AAA-Wade, Agencja Detektywistyczna, mówi Randi Wade. Nie mogę teraz odebrać, ale proszę zostawić wiadomość po sygnale, później oddzwonię.

Randi sięgnęła po słuchawkę i podniosła ją w samą porę, by „biiip” sygnału poszło jej prosto w ucho. Skrzywiła się.

– To ja – powiedziała. – Jestem tu. Która godzina? Kto mówi?

– Randi, wszystko w porządku? Tu wujek Joe. – Basowy pomruk Joego Urquharta przynosił ulgę. – Rogoff opowiedział mi, co się stało, i naprawdę martwiłem się o ciebie. Już od paru godzin usiłuję się do ciebie dodzwonić.

– Godzin? – spojrzała na zegar. Minęła północ. – Spałam. Chyba. – Wspomnienia kończyły się w dzień, na jeździe z Williem Trzynastą do Blackstone...

To był Roy Helander ubrany w skórę Joanie.

– Randi, co się stało? Na pewno wszystko w porządku? Twój głos nie brzmi najlepiej. No powiedzże coś, cholera.

– Jestem – mruknęła. Odgarnęła włosy z oczu. Ktoś otworzył okno i świeże powietrze mroziło jej nagą skórę. – Wszystko w porządku. Po prostu... spałam. To był szok, i tyle. Pozbieram się.

– Skoro tak mówisz – powiedział bez przekonania.

Doszła do wniosku, że Willie musiał przywieźć ją do domu i położyć do łóżka. Więc gdzie teraz był? Nie uwierzyłyby, że po prostu zostawiłby ją tutaj i zmył się. To nie byłoby w jego stylu.

– Słuchaj uważnie – burknął Joe. – W ogóle słyszałaś coś z tego, co powiedziałem?

Nie słyszała.

– Przepraszam. Po prostu jestem... rozkojarzona. To nie był zwyczajny dzień.

– Muszę się z tobą spotkać – powiedział. W jego głosie znienacka pojawiła się nuta nacisku. – Natychmiast. Przeglądałem raporty na temat Roya Helandera i jego ofiar. Coś tam nie pasuje, coś, co mnie martwi. Im dłużej patrzę na te akta i raport z autopsji od Cooney, tym więcej myślę o Franku, o tym, co się stało tamtej nocy. – Zawahał się. – Nie wiem, jak ci to

powiedzieć. Przez wszystkie te lata... chciałem tylko twojego dobra, ale nie... nie byłem z tobą zupełnie szczery.

– Mów – natychmiast otrzeźwiała.

– To nie na telefon. Musimy się spotkać twarzą w twarz, żebym mógł ci pokazać. Podjadę po ciebie, pojedziemy. Będziesz gotowa za kwadrans?

– Dziesięć minut – odparła.

Rozłączyła się, wyskoczyła z łóżka i otworzyła drzwi sypialni.

– Willie? – zawołała. Bez odpowiedzi. – Willie! – powtórzyła głośniej. Nic. Włączyła światło, przebiegła boso przez hol, spodziewając się, że znajdzie go na sofie, chrapiącego. Jednak w salonie nikogo nie było.

Dłonie miała szorstkie jak papier ścierny. Gdy się im przyjrzała, zobaczyła, że pokrywa je zaschnięta krew. Żołądek podjechał jej do gardła. Części ubrania znalazła rzucone w stos na podłodze sypialni. Również były pokryte brązowymi, sztywnymi plamami krwi. Uruchomiła prysznic i stała w strumieniach wody przez dobrych pięć minut, wody tak gorącej, że parzyła chyba podobnie jak srebrny widelec w dłoni Williego. Krew zmyła się, spływająca woda zabarwiła się leciutko różem. Randi wytarła się dokładnie, znalazła ciepłą flanelową koszulę i czyste dżinsy. Włosami się nie przejmowała, deszcz wkrótce znów by je przemoczył. Upewniła się jednak, że ma rewolwer ojca, za szlufki paska wetknęła długi srebrny nóż.

Gdy schylała się po nóż, dostrzegła prostokąt papieru leżący na podłodze przy nocnym stoliku. Musiała go rzucić, sięgając po słuchawkę.

Podniosła kartkę, rozłożyła. Całą pokrywało znajome pismo Williego, pospieszne, gęste gryzmoły. „Muszę iść, ty nie jesteś w stanie” – czytała. „Nigdzie nie wychodź, z nikim nie rozmawiaj. Roy Helander nie zakradł się do Blackstone, żeby zabić Harmona, w końcu to rozgryzłem. Ta cholerna rodzinna tajemnica Harmonów to żadna tajemnica, już dawno powinienem był zajarzyć, Steven...”

Dotarła tylko do tego miejsca, gdy przerwał jej dzwonek do drzwi.

* * *

Willie tulił się do skał w dwóch trzecich wysokości urwiska. Wokół lały się strugi deszczu, a serce waliło mu gwałtownie, gdy tak wisiał uczepiony szyn kolejki. Kiedy jechało się w wagoniku, nie wiadomo czemu zbrocze nie wydawało się aż tak strome. Zerknął za siebie i daleko w dole ujrzał Trzynastą Ulicę. Zakręciło mu się w głowie. Gdyby nie szyny, nie dotarłby aż tak daleko. Kiedy zbrocze stawało się niemal pionowe, mógł się wspinać z podkładu na podkład, jak po szczeblach drabiny. Miał w dłoniach mnóstwo drzazg, ale i tak lepsze to niż wspinaczka po mokrych skałach i czepianie się kosodrzewiny, żeby nie skończyć ekspresem na dole.

Oczywiście mógłby się przeobrazić i znaleźć się na górze w ciągu paru minut, ale jakoś nie wydawało mu się, żeby to był taki fajny pomysł. Steven powiedział: „Czułem jego zapach, jak podchodził”. Zapach jednego człowieka w mieście pełnym ludzi nie był aż tak natrętny. Musiał zakładać, że Steven i Jonathan siedzą w Nowym Dworze, że zamknęli się na noc. Jednak nawet gdyby grasowali po okolicy, Willie sądził, że w ludzkiej skórze ma cień szansy.

Wystarczy odpoczynku. Zadarł głowę do góry, ku wysokiemu płotowi z żelaza, który ciągnął się wzdłuż szczytu urwiska, próbując ustalić, ile mu jeszcze zostało. Potem poczęstował się solidną porcją z inhalatora, zacisnął zęby, aż zgrzytnęło, i ruszył w górę, do kolejnego podkładu.

* * *

Wycieraczki niemal bezgłośnie omiatały szybę. Długi, ciemny samochód przecinał noc. Szyby zabarwione były na ciemny, niemal czarny odcień szarości. Urquhart nie miał na sobie uniformu: flanelowa koszula w czerwono-czarną kratę, ciemne, wełniane spodnie, pokaźna puchowa kurtka. Jedyne ukłonem w stronę przepisów mundurowych była policyjna czapka. Wpatrywał się w mrok prosto przed sobą.

– Fatalnie wyglądasz – powiedziała.

– A czuję się jeszcze gorzej. – Przemknęli pod wiaduktem i długą rampą wyjechali na drogę wzdłuż rzeki. – Czuję się staro, Randi. Jak to miasto. Ono całe, cholera, jest stare i zgniłe.

– Dokąd jedziemy? – zapytała. O tej porze nocy na drodze nie było innych samochodów. Rzeka z lewej strony była obszarem totalnej czerni. Po prawej w aureolach deszczu przesuwały się kolejne latarnie, podczas gdy oni, jedna zimna, pusta przecznica po drugiej, zbliżali się ku wzgórzom.

– Do paczkarni – odparł. – Tam, gdzie to się stało...

Grzejnik samochodu emitował stały strumień gorącego powietrza, ale Randi zniemacka zrobiło się potwornie zimno. Wsunęła dłoń pod płaszcz, zaciskając ją na rękojeści noża. Srebro przynosiło komfort, pociechę.

– No fajnie – powiedziała, wyciągnęła nóż zza paska i położyła na siedzeniu pomiędzy nimi.

Urquhart obrzucił nóż spojrzeniem. Randi obserwowała go bacznie.

– A to co? – zapytał.

– Srebro – odparła. – Podnieś.

Zerknął na nią.

– Że jak?

– Słyszałeś. Podnieś.

Popatrzył na drogę, na jej twarz, znów na drogę. Nie podnosił noża.

– Nie żartuję – oświadczyła. Odsunęła się od niego, na prawą stronę siedzenia, i zaparła plecami o drzwi. Gdy znów na nią spojrzął, trzymała w dłoniach rewolwer wymierzony prosto między jego oczy.

– Podnieś – powiedziała głośno i wyraźnie.

Zbladł jak ściana. Próbował coś odrzec, ale ona tylko pokręciła głową. Oblizął nerwowo wargi, zdjął dłoń z kierownicy i podniósł nóż.

– Proszę bardzo – oznajmił, trzymając go niezgrabnie i jedną ręką prowadząc samochód.

– Podniosłem. I co teraz mam z nim zrobić?

Randi odprężyła się widocznie.

– Odłóż go – powiedziała z ulgą w głosie.

Tylko na nią spojrzął.

* * *

Przez dłuższy czas odpoczywał w krzakach na szczycie urwiska i wsłuchiwał się w padający deszcz, lękając się wszelkich innych dźwięków. Wciąż wyobrażał sobie skradające się od tyłu ciche stąpanie, raz wydawało mu się, że po prawej rozległo się głucho warczenie. Czuł, że jeżą mu się włosy – ale Willie zawsze był nerwowy. Otaczała go zimna, czarna i pusta noc.

Kiedy wreszcie mógł znów normalnie oddychać, zaczął się przekradać obok Nowego Dworu, chwytając się krzewów i unikając okien. Tylko w paru paliły się światła, a poza tym nie było żadnych innych oznak życia mieszkańców. Może wszyscy już poszli spać. Miał taką nadzieję.

Poruszał się powoli i ostrożnie, usiłując robić jak najmniej hałasu. Patrzył, gdzie stawia nogi, a co parę kroków zatrzymywał się i nasłuchiwał. Gdyby usłyszał kogoś... lub coś... zbliżającego się w jego stronę, mógłby dokonać natychmiastowej przemiany. Nie wiedział, czy lepiej by na tym wyszedł, ale może dałoby mu to dodatkową szansę.

Strasznie ciążył mu płaszcz, jak przesiąknięta wodą druga skóra. Buty przemokły na wylot i ciamkały przy każdym kroku. Willie oddalił się od Dworu, zapuścił głębiej między drzewa, aż wreszcie za zakrętem stracił z oczu światła z okien. Dopiero wtedy, zerknąwszy na obie strony, aby się upewnić, czy nikt nie nadchodzi, przebiegł na drugą stronę drogi.

Tam zapuścił się jeszcze głębiej w las i poruszał się nieco szybciej, mniej ostrożnie. Zastanawiał się, gdzie był Roy Helander, kiedy dopadł go Steven. Gdzieś tu, jak sądził, gdzieś w tym mrocznym, dziewiczym lesie, wśród starodrzewu, gdzie w ziemi pod stopami od stuleci rozkładał się mech, liście i szczątki żywych istot.

Im dalej był od urwiska, od miasta, tym gęstszy stawał się las, aż wreszcie drzewa stały tak ciasno, że ich korony odcięły go od nieba i krople deszczu przestały tłuc go w głowę. Tu

było niemal sucho. Wyżej deszcz nieustępliwie młócił w dach listowia. Willie był przemoknięty do suchej nitki i na chwilę stracił orientację, jakby zabłąkał się do jakiejś straszliwej jaskini głęboko pod ziemią, pępnego, zimnego miejsca, które nigdy nie zaznało światła.

Potem, potykając się, wszedł między dwa stare, wielkie, pokręcone dęby i znów poczuł na twarzy wiatr i deszcz. Uniósł głowę i cel wędrówki był tuż przed nim – wybite okna, które gapiły się ze ścian jak dziesiątki ślepych oczu, ścian wyciosanych w litej skale, ponurej jak noc, która pochłania wszelkie światło i nadzieję. Po prawej majaczyła wieża, monstualna erekcja godząca w pokryte burzowymi chmurami niebo.

Willie stracił oddech, po omacku odszukał inhalator, upuścił go, podniósł. Ustnik był cały wymazany próchnicą. Wylał go rękawem, wepchnął w usta i pompował: raz, drugi, trzeci, aż wreszcie gardło znów przepuściło powietrze.

Rozejrzył się wokół, ale usłyszał tylko deszcz, nie dostrzegł nikogo. Ruszył więc ku wieży. W stronę tajnej kryjówki Roya Helandera.

* * *

Od dwóch lat wielka, dwuskrzydłowa brama w wysokim płocie z siatki była zamknięta na kłódkę, ale tej nocy ktoś ją otworzył i Joe przejechał, nawet nie zwalniając. Randi zastanawiała się, czy dla jej ojca też ją otwarto. Podejrzewała, że i owszem.

Joe zaparkował pod jedną z ramp załadowniczych, w cieniu starej murowanej rzeźni. Budynek dawał pewną ochronę od deszczu, ale Randi i tak zadygotała z zimna, gdy wyszła z samochodu.

– Tutaj? – zapytała. – To tu go znalazłeś?

Urquhart stał zapatrzony w wybieg dla bydła. Był to wielki plac, z tuzinem mniejszych zagród wydzielonych wzdłuż bocznic kolejowej. Od nich do rzeźni ciągnął się labirynt sięgających piersi płotków, tak zwanych „ścieżek”, dzięki którym krowy posuwały się naprzód pojedynczo, aż do rzeźni, gdzie na końcu ścieżki czekał mężczyzna w poplamionym krwią kitlu, z młotem w dłoni.

– Tutaj – odpowiedział, nie patrząc na nią.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Randi wydawało się, że gdzieś w oddali usłyszała słabe, dzikie wycie, ale może był to tylko wiatr i deszcz.

– Wierzysz w duchy? – zapytała.

– Duchy? – komendant sprawiał wrażenie nieobecnego.

– Bo czuję się... – zadygotała – jakby on tu był, Joe. Jakby po tylu latach on wciąż tu był i pilnował, żeby nie stała mi się krzywda.

Joe Urquhart odwrócił się do niej. Twarz miał mokrą od deszczu, a może od łez?

– Ja ciebie pilnowałem – powiedział. – Poprosił mnie, żebym się o ciebie troszczył i troszczyłem się, jak umiałem.

Randi usłyszała pośród mroku jakiś odgłos. Obróciła głowę, marszcząc brwi, i nasłuchiwała. Chrząst żwiru pod oponami, błysk reflektorów za ogrodzeniem. Przyjechał kolejny samochód.

– Odziedziczyłaś po ojcu dużo cech – powiedział Joe ze znużeniem. – Upór. Nikogo nigdy nie chcieliście słuchać. Opiekowałem się tobą, co, może coś było nie tak? Przecież wiesz, mam własne dzieciaki, ale ty nigdy nic nie chciałaś, nie? Więc czemu, do cholery, nigdy mnie nie słuchałaś?

Wtedy Randi zrozumiała. Nie była specjalnie zaskoczona. Miała wrażenie, że już dawno o tym wiedziała.

– Tamtej nocy był tylko jeden telefon – stwierdziła. – To ty zadzwoniłeś po posiłki, nie tata.

Urquhart skinął głową. Na chwilę złapały go reflektory nadjeżdżającego samochodu i widziała, jak pracują mięśnie żuchwy Joego, gdy usiłował wydobyć z siebie kolejne słowa.

– Zajrzyj do schowka na rękawiczki – polecił.

Randi otworzyła drzwi samochodu, siadła na krawędzi fotela i zrobiła, o co ją prosił. Schowek nie był zamknięty. Wewnątrz znajdowała się fiolka aspiryny, miernik ciśnienia opon, parę map i pudełko naboji. Gdy Randi wysypała je sobie na dłoń, zaśniły blado i zimno w słabym świetle podsufitowej lampki samochodu. Zostawiła pudełko na siedzeniu, wysiadła i kopniakiem zamknęła drzwi.

– Moje srebrne kule – powiedziała. – Aż tak szybko się ich nie spodziewałam.

– Te akurat zamówił Frank osiemnaście lat temu. Po jego pogrzebie zaszedłem do rusznikarza i odebrałem towar. Jak już mówiłem, jesteś bardzo podobna do ojca.

Drugi samochód zatrzymał się, przygważdżając ją długimi światłami reflektorów. Przesłoniła ramieniem oczy i usłyszała, jak otwierają się i zamykają drzwi samochodu.

W głosie Urquharta był autentyczny ból.

– Cholera, mówiłem ci, żebyś nie mieszała się do tej sprawy! Mówiłem! Nie rozumiesz? To miasto należy do nich!

– Ma rację. Trzeba było słuchać – powiedział Rogoff, wchodząc w światła.

* * *

Willie po omacku brnął przez długi, ciemny korytarz, trzymając jedną dłoń na ścianie i ostrożnie przestawiając stopy. Kamienny mur był tak gruby, że nawet nie było słychać deszczu. Willie słyszał tylko echo własnych kroków i łoskot tętna w uszach. Głęboka cisza panująca w Starym Dworze działała mu na nerwy, a i z murami było coś nie tak. Mimo zimna głazy, których dotykał, były wilgotne i dziwnie ciepłe. Willie cieszył się, że nic nie widzi.

W końcu dotarł do podnóża wieży. Pasy słabego, mętnego światła padały na ciasne, wąskie schodki, które wznosiły się spiralą w górę. Zaczął się wspinać. Z początku liczył stopnie, ale gdzieś około dwustu pogubił się i przestał. Reszta wspinaczki była długotrwałą męczarnią którą wytrzymał w zupełnej ciszy. Nieraz rozważał możliwość przemiany. Oparł się pokusie.

Gdy dotarł na szczyt, miał już obolałe z wysiłku nogi. Na chwilę usiadł na schodach, opierając się o śliski mur. Ciężko dyszał, ale okazało się, że nie ma inhalatora. Zapewne zgubił go w lesie. Panika boleśnie ścisnęła mu płuca.

Wstał.

W pokoju unosił się odór krwi i moczu, i jeszcze czegoś, co wymykało się identyfikacji, a zarazem przyprawiało o dreszcze. Pomieszczenie nie miało dachu, ale deszcz przestał padać. Willie podniósł wzrok i chmury rozstały się, a błądy księżyc spojrzął w dół.

A wszędzie dookoła rozbłysły nowe księżyce, odbijając się w wysokich, pustych lustrach, którymi obstawiony był cały pokój. Zwierciadła przedstawiały obraz nieba i siebie nawzajem, całą serię księżyców, aż kontury pokoju zafalowały srebrzyście w świetle z powielonych odbić.

Willie obrócił się powoli dookoła i pół tuzina odbić obróciło się wraz z nim. Oświetlone księżycem lustra były wysmarowane zaschniętą krwią. Nad nimi ze ściany sterczał szereg paskudnie wyglądających, stalowych haków. Z jednego z nich zwieszała się ludzka skóra, kołysząca się powoli w podmuchach, których on jakoś nie czuł – w świetle księżycy wydawało się, że ulega ona stałym przemianom: kobieta – wilk – kobieta, zarazem jedno i drugie, tak naprawdę ani jedno, ani drugie. I wtedy Willie usłyszał kroki na schodach.

* * *

– Srebrne kule to nie był najlepszy pomysł – powiedział Rogoff. – Mamy tu taki własny przepis. Policja zostaje zawiadomiona, gdy ktoś składa zamówienie na specjalną amunicję. Twój ojciec popełnił ten sam błąd. Sfora nie jest uszczęśliwiona, gdy ktoś zamawia srebrne kule.

O dziwo, Randi poczuła ulgę. Przez moment sądziła, że Willie ją zdradził, że tak naprawdę zawsze był z nimi w zмовie, i ta myśl zatruwała jej duszę. W palcach wciąż zaciskała tuzin naboń. Spojrzała na nie teraz – tak bliskie, a jednak nieosiągalne.

– Nawet jeśli wciąż nadają się do użytku, i tak nie zdążysz przeladować broni – powiedział Rogoff.

– Nie potrzebujesz ich – dodał Urquhart. – On tylko chce porozmawiać. Kochanie, obiecali mi, że nikomu nie stanie się krzywda.

Randi rozchyliła palce. Naboje upadły na ziemię. Obróciła się do Joego.

– Byłeś najlepszym przyjacielem mojego ojca. Mówił, że jesteś najtwardszy ze wszystkich ludzi, jakich znał.

– Oni nie dają wyboru – powiedział Urquhart. – Miałem własne dzieci. Powiedzieli, że jeśli wrobimy Helandera, żadne inne dziecko nie zostanie porwane, obiecali, że tego dopilnują ale jeśli będziemy naciskać, to zniknie jedno z moich. Tak to już działa w tym mieście. Wszystko byłoby w porządku, ale Frank nie chciał zostawić sprawy.

– Zabijamy tylko w samoobronie – odezwał się Rogoff. – W ludzkim mięsie jest słodycz, owszem, niezaprzeczalna moc, ale nie jest warte ryzyka.

– A dzieci? – zapytała. – Je też zabijaliście w samoobronie?

– To było dawno temu – odparł Rogoff.

Joe stał ze spuszczoną głową. Randi ujrzała pokonanego człowieka i zdała sobie sprawę, że już od dawna był przegrany. Ściany obwiesił trofeami, ale była pewna, że przestał polować od nocy, kiedy zginął jej ojciec.

– To był jego syn – mruknął cicho Joe, a głos miał przepojony wstydem. – Steven zawsze miał nie po kolei, to wszyscy wiedzą. On zabijał te dzieci, ZJADAŁ je. To było straszne. Sam Harmon nam to powiedział, ale i tak nie zamierzał wydać nam syna. Obiecał, że... że poskromi... apetyt Stevena... jeśli tylko zamkniemy sprawę. I dotrzymał słowa, kiedy zaczął aplikować mu leki, morderstwa ustały.

Zdała sobie sprawę, że powinna nienawidzić Joego, ale czuła tylko litość. Minęło tyle lat, a on wciąż nic nie rozumiał.

– Joe, on skłamał. To nie była robota Stevena.

– Ależ skąd – upierał się Urquhart. – To musiał być Steven, przecież to szaleniec. Wszyscy pozostali... z nimi można się dogadać, Randi, posłuchaj mnie, możesz się z nimi porozumieć.

– Jak ty. Albo Barry Schumacher.

– Zgadza się – przytaknął. – Oni są tacy sami, jak my, mają swoją porcję wariatów, ale nie wszyscy są źli. Nie możesz mieć do nich pretensji o to, że dbają o swoje sprawy, prawda? My robimy to samo. Spójrz na Mike'a, to dobry gliniarz.

– O tak, świetny glina, który lada minuta zmieni się w wilka i przegryzie mi tchawicę – odparła.

– Randi, skarbie, posłuchaj – perswadował Urquhart – wcale nie musi tak być. Możesz stąd wyjść, wystarczy, że się dogadamy. Możesz wstąpić do policji, załatwię to, pomożesz nam... zachowywać pokój. Twój ojciec nie żyje, nie przywrócisz mu życia, a młody Helander zasłużył na to, co mu się stało, przecież on je zabijał, żywcem zdierał z nich skórę, to była samoobrona. Steven jest chory, zawsze był...

Rogoff obserwował ją spod swojej czarnej czupryny.

– On wciąż nie rozumie – powiedziała i obróciła się znów do Joego. – Ze Stevenem jest gorzej, niż myślisz. Czegoś zabrakło. Może to skutek krzyżowania wsobnego. Zastanów się

tylko. Andersowie, Rochmontowie, Harmonowie i Flambeaux – cztery wielkie rody założycieli miasta, same wilkołaki, od pokoleń żeniące się tylko między sobą, żeby zachować czystość krwi. Od ilu stuleci? I owszem, krew faktycznie została czysta. Tyle że w końcu wyhodowali sobie Stevena. To nie on zabił te dzieci. Roy Helander widział wilka, który niósł ciało jego siostrzyczki, a Steven nie może zmienić postaci. Łaknie krwi, ma nieludzką siłę, pali go dotyk srebra, ale to wszystko. Ostatni z wilkołaków czystej krwi nie potrafi się zmieniać!

– Ona ma rację – odezwał się cicho Rogoff.

– Jak myślisz, czemu nigdy nie znaleźliście żadnych szczątków? – spytała. – Jego ojciec zabierał je na górę, do Blackstone.

– Staremu strzeliło do głowy, że jeśli Steven zje odpowiednio dużo ludzkiego mięsa, może to go wyleczy, uczyni z niego sprawnego wilkołaka – rzekł Rogoff.

– Nie wyszło – powiedziała. Wyjęła z kieszeni list od Williego, pozwoliła kartce opaść na ziemię. Skończyła lekturę, zanim zeszła wpuścić Joego. Córeczki Franka Wade’a nikt nie robił w konia.

– Nie wyszło – powtórzył Rogoff – ale wtedy Jonathan już zdążył sam zasmakować. Kiedy raz się zacznie, trudno przestać. – Przez dłuższą chwilę patrzył na Randi, jakby coś rozważał, po czym zaczął...

* * *

...przemianę. Płuca wypełniło rozkoszne, chłodne powietrze, mięśnie i kości stanęły w ogniu transformacji. Zrzucił z siebie spodnie i płaszcz, usłyszał, jak reszta ubrania drze się na strzępy, podczas gdy ciało skręcało się, popłynęło jak wosk, żeby ukształtować się na nowo.

Teraz faktycznie widział, słyszał, czuł. Pokój na szczycie wieży jarzył się księżycowym blaskiem, każdy szczegół był wyraźny jak w samo południe, a wśród nocy rozbrzmiewały setki dźwięków – wiatr, deszcz, szelesty nietoperzy w lesie wokół Dworu, odgłosy ruchu ulicznego i syreny z miasta w dole. Rozpierała go żywotność i moc, a coś pięło się po schodach. Wspinało się powoli, niezmordowanie, wypełniając powietrze swoimi zapachami. Otaczał je odór krwi, nieco słabszy był zapach wody kolońskiej, maskujący smród niemytego ciała, na którym zasechł pot i sperma, we włosach utrzymywał się mocny aromat drzewnego dymu, a pod tym wszystkim tkwiła chora nuta, słodycz rozkładu, jak na cmentarzu.

Willie cofnął się pod przeciwną ścianę pokoju, wpatrzony w łukowato sklepione odrzwia; w gardle wzbierał mu warkot. Obnażył długie, poźółkłe zęby, spośród których pociekła ślina.

Steven zatrzymał się w drzwiach i spojrzał na niego. Płonące, czerwone ślepia wilka zmierzyły się z zimnym błękitem jego oczu. Przez chwilę Willie myślał, że Steven nie do końca rozumie sytuację. Ale wtedy ten uśmiechnął się i sięgnął po wiszącą nad nim na haku skórę.

Willie skoczył.

Wylądował wysoko na plecach Stevena i powalił go na ziemię, ale on wciąż jeszcze ścisnął w pięści skórę Zoe. Przez moment gardło Stevena było odsłonięte, ale Willie zawahał się i przegapił sprawę. Steven złapał jedną dłonią jego przednią łapę i złamał ją tak łatwo, jak zwykły człowiek poradziłby sobie z patykiem. Ból był potworny. Potem Steven uniósł go i odrzucił. Willie uderzył w jedno z luster, poczuł, jak szkło się rozpryskuje. Ostre odłamki rozleciały się wokół jak noże, a jeden z nich wbił się w jego bok.

Willie odtoczył się trochę i pod jego ciężarem szklane ostrze pękło. Zaskowyczał. Po drugiej stronie pokoju Steven zbierał się na nogi, podpierając się jedną ręką.

Willie też się podniósł. Złamana łapa już się zrastała, choć bolało, gdy na niej stawał. Przy każdym kroku czuł ocierające się w mięśniach kawałki szkła. „Też mi, kurwa, wilkołak” – pomyślał.

Steven poprawiał swój upiorny płaszcz, naciągając na twarz płaty skóry. Aha, obrót skórą, mętnie zaświtało w głowie Williego, a za chwilę Steven za pomocą tej cholernej, zdartej z człowieka skóry dokona tego, czego nie potrafił zrobić sam. Przekształci się i przerobi Williego na mielone.

Rzucił się więc na Harmona z szeroko rozwartym pyskiem, ale był zbyt powolny. Stopa Stevena wystrzeliła w dół, uderzyła tak mocno, że zaparło mu dech w piersiach, i przygwoździła go do podłogi. Willie próbował się wyslizgnąć, ale Steven był zbyt silny. Naciskał, chcąc go zmiażdżyć. Nagle Williemu przypomniała się tamta scena sprzed lat, ze zbłąkanym psem.

Zgiął się prawie wpół i wyrwał wielki kawał mięśnia z łydki Stevena.

Krew wypełniła mu pysk, eksplodowała wewnątrz. Steven zatoczył się do tyłu. Willie poderwał się, doskoczył, znów ugryzł. Tym razem wbił zęby głęboko i trzymał porządnie, szarpiąc ciało. Puls w jego głowie łomotał jak grzmot. Wypełniała go potęga, czuł, jak od wewnątrz wciąż jej przybywa. Nagle zrozumiał, że mógłby rozerwać Stevena na strzępy, czuł słodycz jego mięsa przy samych kościach, słyszał muzykę jego wrzasków, mógł sobie wyobrazić, jak to będzie, gdy schwyci go w szczęki i będzie tarmosić jak szmacianą lalkę, aż poczuje, jak tamtego w nagłym, oszłamiającym momencie opuści życie. To uczucie oładnęło nim i pijany krwią gryzł, gryzł, gryzł, wyrrywając kolejne porcje ciała.

Nagle jak przez mgłę usłyszał wrzask Stevena, wysoki, piskliwy, jak głos małego chłopca:

– Nie, tatusiu – skowyczał tamten raz za razem – nie, proszę, nie gryź mnie już, tatusiu, już nie gryź...

Willie wypuścił go i cofnął się.

Steven siedział na podłodze i szlochał. Krwawił jak jasna cholera. Na udach, łydkach, ramionach, stopach ziały rany po wyrwanym mięsie. Nogi miał zalane krwią. U prawej dłoni brakowało trzech palców. Policzki także pokrywała posoka.

Willie przeraził się.

Przez chwilę nie rozumiał czemu. Pokonał Stevena, to było jasne; czy rozerwie mu gardło, czy nie, na jedno wychodzi, sprawa skończona. Ale coś wciąż było nie tak, coś tu strasznie, potwornie nie grało. Miał wrażenie, że zniecka zrobiło się o pięćdziesiąt stopni chłodniej, a każdy włos na ciele jeżył się, stroszył. O co tu chodzi, do diabła? Zawarczał gardłowo i zaczął się cofać ku drzwiom, ostrożnie obserwując Stevena.

Ten zachichotał.

– Ale teraz dostaniesz – powiedział. – Przywołałeś go. Krew padła na lustro. Znow go przywołałeś.

Willie miał wrażenie, że pokój zawirował. Blask księżyca pędził od lustro do lustro z oszałamiającą prędkością. A może to nie był blask księżyca?

Willie spojrzał w lustro.

Znikły wszystkie odbicia. Willie, Steven, księżyc – wszystko przepadło. Na lustrach była krew i wypełniała je mgła, srebrzysta, jasna mgła, migocząca i ruchoma.

W tej mgle coś się poruszało, prześlizgując się od lustro do lustro, zataczając koła. Coś głodnego, co chciało się wydostać.

Spostrzegł to coś, potem znikło i znow je ujrzał. Było przed nim, za nim, z boku. Ogar, wychudzony i straszliwy; wąż, łuskowaty i oślizły; człowiek, z oczyma jak bezdenne otchłanie i nożami zamiast palców. Ta istota nie potrafiła chyba zostać w miejscu, jej kształt zmieniał się za każdym razem, gdy ją dostrzegł, a każdy kolejny obraz był straszniejszy od poprzedniego, bardziej pokręcony i odrażający, ale zawsze, w każdym szczególe wygłodzony i okrutny. Palce istoty były ostre, tak ostre, że Willie od samego patrzenia czuł, jak ich pieszczota wślizguje się pod jego skórę i pełźnie wzdłuż nerwów, pozostawiając za sobą ból, krew, płomień. To coś było czarne, czarniejsze od czerni, tak czarne, że na zawsze pochłaniało wszelkie światło, a jednocześnie całe kapało się w lśniącym srebrze. To był koszmar, ożywiony w lustrze z wesołego miasteczka, istota, która poluje na myśliwych.

Czuł zło pulsujące po drugiej stronie szkła.

– Oprawco! – zawołał Steven.

Powierzchnie luster jak gdyby zafalowały, wybrzuszyły się, niczym fala załamująca się na morzu rてci. Willie z nagłym przerażeniem zdał sobie sprawę, że mgła rzednie, że może wyraźniej dojrzeć stwora – i że stwór widzi jego. I wtedy Willie Flambeaux uświadomił sobie, co się dzieje, wiedział, że gdy mgła zupełnie zniknie, zwierciadła staną się wrotami, drzwiami, przez które przejdzie Oprawca...

* * *

...sunąc naprzód, przez strzępy własnego ubrania, a zwężone ślepia żarzyły się jak węgle znad smolistoczarneho pyska. Ten wydawał się o połowę większy od Williego, jego czarna sierść była gęsta i kudłata, a gdy otworzył pysk, zęby załśniły jak kość słoniowa.

Randi powoli cofała się wzdłuż samochodu. W dłoni ścisnęła nóż, światło księżyca opływało jego srebrną klingę, ale nagle odniosła wrażenie, że niewiele będzie z niego pożytku. Wielki, czarny wilk zbliżał się z jęczorem zwisającym pomiędzy zębów, a ona zaparła się plecami o drzwi samochodu i przygotowała na jego skok.

Joe Urquhart wszedł pomiędzy nich.

– Nie – powiedział. – Nie ją. Tyle jesteś mi winien. Porozmawiaj z nią daj jej szansę. Wytłumacz jej, jak to jest.

Wilk warknął ostrzegawczo.

Urquhart ani drgnął, ale trzymał już swój rewolwer w rozdygotanych dłoniach i mierzył w Rogoffa.

– Stój. Nie żartuję. Ona nie miała czasu, żeby nabić swój cholerny pistolet srebrem, ale ja miałem na to, kurwa, osiemnaście lat. Jestem, kurwa, komendantem policji w tym popierdolonym mieście i aresztuję cię.

Randi dotknęła klamki drzwi i łagodnie je uchyliła. Przez moment wilk zastygł w miejscu, wpatrując się w Joego mrocznymi ślepiami – miała nadzieję, że jednak im się uda. Pamiętała środowe pokerowe noce ojca. Zawsze mówił, że w odróżnieniu do Barry'ego Schumachera Joe świetnie blefował.

Wtedy wilk odchylił łeb i zawył, a z niej odpłynęła cała krew. Znała ten dźwięk. Tysiąc razy słyszała go w snach. Miała go we krwi, echo odległych czasów i miejsc, gdy świat był lasem, a nadzy ludzie w panice uciekali przed polującą sforą. Wycie odbiło się echem od ściany rzeźni i rozbrzmiało nad miastem – chyba było je słychać na całych nadrzecznych równinach. Ludzie w domach nerwowo wyglądali przez okna, sprawdzali zamki w drzwiach i podkręcali głośność telewizorów.

Randi szerzej otworzyła drzwi i była już jedną nogą w środku, gdy wilk skoczył.

Słyszała strzał Urquharta, i następny, ale potem wilk wpadł na jego pierś i cisnął go na samochód. Randi była już prawie cała w środku, ale drzwi zamknęły się z impetem, ze straszliwą siłą zgniatając jej lewą stopę. Usłyszała, jak pęka kość, i wrzasnęła w nagłym rozbłysku bólu. Na zewnątrz Urquhart strzelił jeszcze raz, a potem i on wrzeszczał. Słychać było odgłosy darcia, krzyki, na jej kostkę chlapnęło coś mokrego.

Noga uwięzła jej w drzwiach, a szamotanina na zewnątrz co i raz sprawiała, że zamykały się one na jej ciele. Każdy cios był jak mała eksplozja, strzaskane kości ocierały się o siebie i o nagie końcówki nerwów. Joe wrzeszczał, a kropelki krwi zrosiły przyciemnione szyby samochodu niczym deszcz. Kręciło się jej w głowie. Randi przez moment myślała, że zemdleje z bólu, ale całą wagą ciała wparła się w drzwi i zdołała je uchylić na tyle, by

wciągnąć stopę do środka. Gdy znów uderzyły w nie splecione ciała, drzwi zatrzasnęły się głośno, a Randi wcisnęła guzik zamka.

Oparła się o kierownicę i niemal zwymiotowała. Joe przestał już krzyżeć, ale wciąż słyszała, jak wilk szarpie ciało, wyrrywając kawałki. „Kiedy raz się zacznie, trudno przestać” – przemknęła przez głowę histeryczna myśl. Wyciągnęła trzydziestkę ósemkę, roztrzęsionymi dłońmi odchyliła bębenek, wysypała naboje. Potem po omacku obszukała siedzenie obok. Znalazła pudełko, wysypała zawartość, chwyciła garść srebra.

Na zewnątrz zapadła cisza. Randi zamarła, uniosła wzrok.

Wilk był na masce samochodu.

* * *

Willie ZMIENIŁ SIĘ.

Teraz jechał na autopilocie, nie wiedział, czemu to zrobił, ale zrobił i już. Ból przyszedł wraz z człowieczeństwem, wiedział, że tak będzie. Cierpienie hulało po nim jak sztorm, posłało go, szlochającego, na podłogę. Czuł odłamek szkła tkwiący pod żebrami, niebezpiecznie blisko płuca. Lewe ramię zginało się obrzydliwie w dół w miejscu, gdzie nie było stawu, a gdy spróbował nim ruszyć, wrzasnął, ugryzł się w język i poczuł, jak usta wypełnia mu krew.

Z mgły pozostał już tylko rzadki, blady opar, a najbliższe mu lustro wybrzusiło się w jego stronę, pulsując jak żywa istota.

Steven siedział pod ścianą. W jego błękitnych oczach gorzała ciekawość. Ssał własną krew z kikutów palców.

– Przemiana ci nie pomoże – powiedział tym swoim dziwnie beznamiętnym głosem. – Oprawca ma to gdzieś. Wie, czym jesteś. Raz przyzwany, bez skóry nie odejdziesz. – Wzrok Williego mąciły łzy, ale znów dostrzegł stwora w lustrze za plecami Stevena, jak napiera na rzędną mgłę, wciąż i wciąż, usiłując się przedostać.

Zdołał stanąć. Ból ryczał w jego głowie. Przytulił złamaną rękę do ciała, zrobił krok w stronę schodów i poczuł zgrzytające pod bosymi stopami tłuczone szkło. Spojrzał w dół. Wszędzie wały się kawałki stłuczonego lustra.

Nagle poderwał głowę. Gwałtownie rozejrzał się i liczył mimo zawrotów głowy. Sześć, siedem, osiem, dziewięć... Dziesiąte stłuczone. Więc dziewięć. Rzucił się naprzód, wałąc całym ciałem w najbliższe lustro. Rozpadło się pod ciosem, rozsypało na tysiąc kawałków. Największe z nich zmiażdżył pod stopami, deptając, aż z pięt pociekła krew. Poruszał się bez świadomości. Obijał się dokoła pokoju, używając własnego ciała jak pocisku, słysząc rozkoszne dzwonienie sypiących się odłamków. Świat przesłoniła czerwona mgła bólu, zewsząd dęgały go tysiące nożyków, zaczął się zastanawiać, czy w ogóle poczuje różnicę, gdy dorwie go Oprawca.

A potem, kuśtykając, odchodził od kolejnego lustra, a z każdym krokiem w stopy dźgały go setki rozpalonych igiełek, aż ogień ogarniał łydki. Potknął się i runął na podłogę. Odłamki luster pocięły mu twarz, krew zalała oczy.

Zamrugnął, otarł krew zdrową ręką. Pod sobą miał swój stary płaszcz przesiąknięty krwią pokryty okruchami i większymi kawałkami szkła. Nad nim stał i przypatrywał mu się Steven, a za nim było lustro. A może drzwi?

– Jedno ominałeś – oznajmił Steven beznamiętnie.

Willie zdał sobie sprawę, że coś uwiera go w brzuch. Wsunął dłoń pod siebie, w kieszeń płaszcza, zacisnął ją na chłodnej stali.

– Oprawca właśnie po ciebie idzie – powiedział Steven.

Willie nic nie widział. Krew znów zalała mu oczy. Jednak wciąż czuł. Przełożył palce przez oczka uchwytów, przetoczył się i wyrzucił rękę w górę, szybko i gwałtownie, z całą siłą jaka mu jeszcze została. Pan Nożyczki wbił się prosto w krocze Stevena. Ostatnim, co usłyszał, był jego wrzask i brzęk tłuczonego szkła.

* * *

„Spokojnie – pomyślała Randi – spokojnie”, ale przerażenie, które ją ogarnęło, było czymś więcej niż zwykłym lękiem. Szczęki wilka oblepiała krew, a jego ślepie patrzyły na nią przez szybę, jarząc się ohydną złowieszczą czerwienią. Szybko odwróciła wzrok, spróbowała włożyć nabój do bębena trzęsącymi się dłońmi. Kula wyslizgnęła się z palców i upadła na podłogę. Nie szukała jej, złapała kolejny nabój.

Wilk zawył, odwrócił się, uciekł w mrok. Przez chwilę straciła go z oczu. Kręciła nerwowo głową rozglądając się w ciemności. Zerknęła we wsteczne lustro, ale było całe zaparowane, bezużyteczne. Zadygotała, tyleż z zimna, co ze strachu. „Gdzie on jest?” – pomyślała w panice.

Wtedy zobaczyła, jak pędzi w stronę samochodu.

Randi opuściła wzrok, włożyła nabój do bębena, wzięła kolejny, gdy wilk przeleciał nad maską i walnął w przednią szybę. Z jej środka strzeliła pajęczyna pęknięć. Wilk warknął. Na szybie rozmazały się ślina i krew. Potem znów uderzył. I jeszcze raz. I jeszcze. Każdy cios podrywał Randi z fotela. Na szybie pojawiały się kolejne pęknięcia, aż w końcu duży kawał w środku zrobił się mleczny, nieprzejrzysty.

Miała już w bębenu dwa naboje. Włożyła trzeci. Dłonie trzęsły się jej ze strachu i zimna. W samochodzie było lodowato. Wyrzała w mrok przez mgłę pęknięć i rozmazanej krwi, załadowała czwarty nabój i właśnie zamykała magazynek, gdy Rogoff znów uderzył w szybę i wpadł razem z nią do środka.

Przed chwilą miała rewolwer, lecz teraz gdzieś znikł. Czowała ciężar wilka na piersiach, a nietłukąca szyba, potraskana na miliony kawałków, lecz wciąż w jednym arkuszu, oblepiła

jej twarz jak całun. Potem szkło zostało zerwane szarpnięciem, a tuż przed nią były zalane krwią szczęki i rozpalone czerwienią oczy.

Wilk rozchylił pysk i poczuła piekielne gorąco jego oddechu, ohydny smród drapieżcy.

– Ty skurwysynu! – wrzasnęła i nieomal roześmiała się, bo nie były to najbardziej oryginalne ostatnie słowa.

Coś ostrego, lśniącego srebrem wychynęło z głębi jego gardła.

Wszystko stało się tak szybko, że Randi nie rozumiała, co się właściwie dzieje. Rogoff zresztą też nie. Nagle z rubinowych ślepi znikła żądza mordy, wypełniło je cierpienie i szok, a w końcu ból, ona zaś dostrzegła, że przez jego gardło przemyka więcej srebrnych ostrzy, nim z pyska buchnęła krew. Wtedy wielkie, porośnięte czarną sierścią cielsko zadygotało, zaczęło się szarpać, tłukąc łapami o przednie siedzenie, podczas gdy coś ściągało Rogoffa z Randi. Czuć było zapach jakby płonącej sierści. Gdy wilk zaczął wyć, brzmiało to niemal jak ludzki krzyk.

Randi wypchnęła z głowy własne cierpienie, napała z impetem na drzwi i odrzuciła na bok to, co pozostało z Joego. Będąc na wpół poza samochodem, zajrzała jeszcze do środka.

Dłoń, powykręcana i zabójcza, zamiast palców miała długie, jaśniejące srebrem brzytwy, zimne i ostre jak wszyscy diabli. Niczym pięć długich przegubowych noży palce zanurzyły się w karku wilka, znalazły uchwyt i zaczęły ciągnąć. Teraz krew chlustała z pyska wielkimi bryzgami, a łapy już ledwie się poruszały. Wtedy stwór szarpnął i usłyszała przyprawiający o mdłości odgłos miażdżenia, kiedy zaczął przeciągać wilka na drugą stronę przez wsteczne lustro z niepowstrzymaną niewyobrażalną siłą TAM – cokolwiek TAM było. Wielkie czarne cielsko przez moment jakby zafalowało, wilczy pysk nabrał niemal ludzkich rysów.

Gdy spotkał się ich wzrok, z oczu znikło mu już czerwone światło, teraz było tam tylko cierpienie i błaganie.

Na imię miał Mike, przypomniała sobie.

Spojrzała na podłogę samochodu. Leżał tam jej rewolwer.

Podniosła broń, sprawdziła bębenek, zamknęła go, docisnęła lufę do kudłatego łba i cztery razy pociągnęła za spust.

Gdy wysiadła z samochodu i ciężar ciała spoczął na strzaskanej kostce, zalały ją oceaniczne fale bólu. Randi zwała się na czworaki. Wymiotowała, gdy usłyszała syreny radiowozów.

* * *

– ...jakieś zwierzę – powiedziała.

Policjant z wydziału zabójstw patrzył na nią długo, z kwaśną miną, wreszcie zamknął notes.

– To tyle, co może mi pani powiedzieć? Że komendanta Urquharta zabiło jakieś zwierzę?

Randi chciała mu już wygarnąć, ale od środków przeciwbólowych miała napięprzone w głowie. Musieli wstawić jej w kostkę dwa druty i wciąż bolało jak skurwysyn, a jeszcze jej powiedzieli, że musi tu zostać przez tydzień.

– A co mam panu powiedzieć? – odparła słabo. – Tyle właśnie widziałam, jakieś zwierzę, chyba wilka.

– Dobra – policjant pokręcił głową. – Więc komendanta zabiło jakieś zwierzę, chyba wilk. No to gdzie jest Rogoff? Stał tam jego samochód, całe wnętrze wozu komendanta było w jego krwi, więc niech usłyszę, GDZIE, DO CHUJA PANA, JEST ROGOFF?

Randi zamknęła oczy, udając, że to z bólu.

– Nie wiem – odpowiedziała.

– Jeszcze wróć – rzucił detektyw, wychodząc.

Przez chwilę leżała z zamkniętymi oczami, myśląc, że może znów uda się jej zasnąć, ale usłyszała odgłos otwieranych i zamykanych drzwi.

– Nie wróci – rozbrzmiał czyjś cichy głos. – Dopilnujemy tego.

Randi rozchyliła powieki. U stóp łóżka stał stary mężczyzna o długich, siwych włosach, wsparty na lasce ze złotą wilczą głową. Miał na sobie czarny, żałobny garnitur, a włosy opadały mu na barki.

– Nazywam się Jonathan Harmon – powiedział.

– Widziałam pańskie zdjęcie. Wiem, kim pan jest. I czym – odparła. – Likantropem.

– Ależ proszę – skrzywił się. – Wilkołakiem.

– Willie... co się stało z Williem?

– Steven nie żyje – oznajmił Jonathan Harmon.

– Świetnie – wyrzuciła z siebie. – Willie powiedział, że Steven i Roy robili to razem. Żeby mieć skóry. Steven nienawidził innych, bo nie mógł się zmieniać tak jak oni. Ale kiedy już miał swoją skórę, nie potrzebował Helandera, prawda?

– Nie powiem, żebym go wielce żałował. Steven nie był potomkiem, jakiego mógłbym sobie wymarzyć. – Podeszedł do okna, rozchylił zasłony i wyjrzał na zewnątrz. – Wie pani, niegdyś to było wielkie miasto, miasto krwi i żelaza. Teraz została tylko rdza.

– I chuj. Co z Williem?

– Szkoda Zoe, ale gdy się już wezwie Oprawcę, będzie polował, lustro po lustrze, aż znajdzie sobie skórę. Zna nasz zapach, ale nie lubi zbytnio oddalać się od swoich bram. Nie wiem, jak twój skundlony przyjaciel zdołał mu się dwukrotnie wymknąć... ale udało mu się, a to stało się przyczyną nieszczęścia Zoe i Michaela. – Odwrócił się i spojrzał na nią. – Pani nie będzie miała tyle szczęścia. Nie ma pani powodów, żeby sobie zbyt ochoczo gratulować, moje dziecko. Sfora troszczy się o swoich. Lekarz, który wypisze pani kolejną receptę, aptekarz, który ją zrealizuje, chłopiec na posyłki, który przyniesie leki do pani domu... każdy może być jednym z nas. Nie zapominamy naszych wrogów, panno Wade. Byłoby dobrze, gdyby pani rodzina to zapamiętała.

– To ty – powiedziała z nagłą pewnością. – Ty byłeś w rzeźni tej nocy, gdy mój ojciec...

Jonathan krótko skinął głową.

– Świetnie strzelał, to muszę mu przyznać. Trafił mnie sześć razy. Cóż, hm, moje wojenne rany. Wciąż je widać na zdjęciach rentgenowskich, ale moi lekarze nauczyli się dyskrecji.

– Zabiję cię.

– Nie wydaje mi się – pochylił się nad łóżkiem. – Może sam pewnej nocy po panią przyjdę. Powinna mnie pani ujrzyć, panno Wade. Moja sierść jest teraz biała niczym śnieg, ale postura, majestat, moc wciąż są we mnie. Michael był półkrwi wilkiem, a Willie niewiele różni się od psa. Czysta krew... to coś więcej. To my jesteśmy wielkimi wilkami, koszmarami ze wspomnień waszej rasy, mrocznymi kształtami, które wiecznie krążą tuż poza zasięgiem światła waszych ognisk.

Uśmiechnął się do niej, odwrócił się i odszedł. Przy drzwiach zatrzymał się na chwilę.

– Miłych snów – powiedział.

Randi nie mogła zasnąć, nawet wtedy, gdy zapadła noc i przyszła pielęgniarka, która mimo jej błagań zgasiła światło. Leżała w mroku i patrzyła w sufit, czując się bardziej opuszczona niż kiedykolwiek. „On nie żyje” – pomyślała. Willie jest martwy i trzeba zacząć oswajać się z tą myślą. Sama w ciemności izolatki w końcu zaczęła cichutko płakać.

Płakała długo, za Williem, za Joan Sorenson, Joem Urquhartem i w końcu, po wszystkich tych latach, za Frankiem Wade'em. Zabrakło jej łez, ale płakała dalej, dygocząc w spazmach suchego szlochu. Wciąż się trzęsła, gdy drzwi otworzyły się cicho i do pokoju wsunęło się cienkie ostrze światła.

– Kto tam? – wychrypiała. – Mów, bo zacznę wrzeszczeć!

Drzwi zamknęły się cicho.

– Psst. Cicho, bo usłyszą – odezwała się kobieta, młoda, trochę wystraszona. – Pielęgniarka mówiła, że już jest po godzinach odwiedzin, że nie wolno wchodzić, ale on chciał, żebym zaraz do ciebie ruszała. – Podeszła bliżej do łóżka.

Randi włączyła nocną lampkę. Jej gość nerwowo zerknął w stronę drzwi. Ciemna karnacja skóry, ładna, góra dwadzieścia lat, z piegowatym nosem.

– Jestem Betsy Juddiker – szepnęła dziewczyna. – Willie powiedział, że mam ci przekazać wiadomość, ale to same wariactwa...

Na moment serce Randi przestało bić.

– Willie?! Mów! Nieważne, jak wariacko to brzmi, po prostu mów.

– Mówił, że sam nie może do ciebie zadzwonić, bo sfera pewnie podsłuchuje, że mocno oberwał, ale jest w porządku, znalazł sobie na północy weterynarza, który się nim porządnie zajął. Wiem, że to głupie z tym weterynarzem, ale to on tak powiedział.

– Mówił coś jeszcze?

Betsy kiwnęła głową.

– Głos miał taki obolały, kiedy dzwonił, i mówił, że nie może się teraz... zmieniać, chyba że na parę minut, żeby zadzwonić, bo ból zawsze na niego czeka. Ale kazał przekazać, że weterynarz wyjął większość szkieł i nastawił mu nogę i wszystko będzie dobrze. I jeszcze powiedział, że tej nocy, gdy odchodził, zostawił coś przy moim domu, i że mam to znaleźć i tu przynieść. – Zaczęła szperać w torebce. – Było w krzakach przy skrzynce pocztowej, mój mały to znalazł. – Podała jej odszukany przedmiot.

Randi zobaczyła kawałek rozbitego lustra, długości i szerokości jej palca. Przez chwilę trzymała go w dłoni, ogarnięta zamętem i niepewnością. Szkło było zimne w dotyku i zdawało się jeszcze stygnąć, im dłużej je trzymała.

– Ostrożnie, naprawdę ostry – przestrzegła Betsy. – Jeszcze jedno, ja tego zupełnie nie rozumiem, ale Willie mówił, że to ważne. Powiedział, że tam, gdzie jest, nie ma luster, ani jednego, ale jak ostatnio był w Blackstone, to tam było ich naprawdę sporo.

Randi przytaknęła, wciąż nie do końca pojmując. W zamyśleniu przeciągnęła palcem po lśniąącym odłamku szkła.

– Ojej, no popatrz – jęknęła Betsy. – Mówiłam, żebyś uważała, to się wzięłaś i zacięłaś.

Przełożył Tomasz S. Gałzka

Słabe warianty

Po zjeździe z autostrady międzystanowej znaleźli się na wąskiej, dwupasmowej szosie, która wiała się wśród gór seria serpentyn, każda z nich bardziej stroma od poprzedniej. Wokół piętrzyły się góry, porośnięte sosnowym lasem, a wyżej pokryte śniegiem i lodem. Z obu stron co jakiś czas migwały zimne, wartkie wodospady. Niebo miało kolor jaskrawego błękitu. Widok zapierał dech w piersiach, ale w niczym nie poprawiało to nastroju Petera. Skupiał się wyłącznie na szosie, zatapiając się w odruchowym, bezmyślnym prowadzeniu.

W miarę jak góry stawały się wyższe, radio odbierało coraz słabiej. Fala zanikała z każdym zakrętem, aż wreszcie nie mogli już złapać żadnej stacji. Kathy przeszukała całą skalę w jedną stronę, a potem w drugą. W końcu wyłączyła z niesmakiem radio.

– Chyba będziesz musiał ze mną rozmawiać – stwierdziła.

Peter nawet na nią nie spojrzał, wystarczyło, że słyszał ostry ton, gorzką nutę sarkazmu, która dawno już zastąpiła czułość w jej głosie. Wiedział, że Kathy szuka pretekstu do kłótni. Była zła z powodu radia i miała do niego pretensje o to, że wyciągnął ją na tę wycieczkę, a przede wszystkim o to, że za niego wyszła. Chwilami, gdy było mu bardzo żal samego siebie, nawet ją rozumiał. Nie okazał się zbyt dobrym mężem: nie sprawdził się jako pisarz, nie sprawdził się jako dziennikarz i nie sprawdzał się jako biznesmen, był przygnębiony i przygnębiający. Ale nadal pozostawał świetnym partnerem do kłótni. Być może właśnie dlatego tak często starała się je prowokować. Gdy już popłynęła krew, któreś z nich zaczęło płakać. Potem najczęściej kochali się i przez godzinę albo dwie życie znowu było przyjemne. To było właściwie wszystko, co im zostało.

Ale dzisiaj nic z tego nie będzie. Peterowi brakowało energii, a jego umysł skupiał się na innych problemach.

– O czym chcesz rozmawiać? – zapytał miłym tonem, nie spuszczać spojrzenia z szosy.

– Opowiedz mi o tych głąbach, których mamy odwiedzić – zażądała.

– Już to robiłem. To moi koledzy z drużyny szachowej Northwestern College.

– Odkąd to szachy są sportem drużynowym? – zdziwiła się Kathy. – Jak to robicie, głosujecie nad każdym ruchem?

– Nie. W szachach drużynowy mecz to po prostu kilka indywidualnych partii. Na ogół na czterech albo pięciu szachownicach, przynajmniej na uniwersyteckim poziomie. Nie ma żadnych konsultacji ani nic w tym rodzaju. Drużyna, która odniesie więcej zwycięstw w indywidualnych partiach, wygrywa mecz. Liczy się...

– Rozumiem – przerwała mu ostrym tonem. – Może i nie gram w szachy, ale nie jestem głupia. To znaczy, że razem z tymi trzema facetami tworzyłeś reprezentację Northwestern College?

– I tak, i nie – odparł Peter.

Toyota miała trudności. Nie była przyzwyczajona do tak stromych podjazdów, a przed wyjazdem z Chicago nie przystosował jej do jazdy na większej wysokości. Prowadził ostrożnie. Dotarli już tak wysoko, że niektóre odcinki szosy były oblodzone albo pokryte naniesionym przez wiatr śniegiem.

– I tak, i nie – powtórzyła sarkastycznym tonem Kathy. – Co to właściwie znaczy?

– Northwestern College miało wówczas wielki klub szachowy. Startowaliśmy w całej kupie turniejów: lokalnych, stanowych i ogólnokrajowych. Czasami wystawialiśmy więcej niż jedną drużynę, więc skład w każdym turnieju był inny, zależnie od tego, kto mógł akurat grać, a kto nie, kto miał egzamin w połowie semestru, kto grał w poprzednim meczu. Od kupy różnych rzeczy. W Międzyuczelnianych Drużynowych Mistrzostwach Ameryki Północnej nasza czwórka była drużyną B Northwestern College. W tym tygodniu mija dziesięć lat. Byliśmy gospodarzami, więc nie tylko grałem, ale również kierowałem turniejem.

– Co to znaczy „drużyna B”?

Peter odchrząknął i pokonał ostry zakręt. Gdy jedno z kół zawadziło o pobocze, o spód samochodu zabębnił żwir.

– Każda szkoła mogła wystawić kilka drużyn – wyjaśnił. – Jeśli tylko starczyło pieniędzy i chętnych do gry. Czterej najlepsi gracze byli drużyną A, tą która walczyła o najwyższą lokatę. Druga czwórka była drużyną B i tak dalej. – Przerwał na chwilę. – Mistrzostwa organizowane w Northwestern były największe w historii – kontynuował z lekką nutą dumy w głosie – choć oczywiście od tego czasu ów rekord już poprawiono. Ale pobiliśmy też inny, który przetrwał do dziś. Ponieważ byliśmy gospodarzami, mieliśmy na miejscu mnóstwo graczy. Wystawiliśmy aż sześć drużyn. Żadna uczelnia, przedtem ani potem, nie wystawiła więcej niż cztery.

Wciąż jeszcze uśmiechał się na myśl o tym rekordzie. Może nie było to zbyt wiele, ale to był jedyny rekord, jaki w życiu ustanowił. Pomyślał, że są ludzie, którzy przez całe życie nie pobili żadnego rekordu. Może powinien powiedzieć Kathy, żeby napisała na jego grobowcu: TU LEŻY PETER K. NORTEN, WYSTAWIŁ SZEŚĆ DRUŻYN.

Zachichotał.

– Co cię tak śmieszy?

– Nic.

Kathy nie drażyła tematu.

– Mówisz, że organizowałeś ten turniej?

– Byłem prezesem klubu i lokalnego komitetu. Nie kierowałem przebiegiem turnieju, ale to ja przygotowałem prezentację, dzięki której mistrzostwa trafiły do Evanston. Zmontowałem też sześć naszych drużyn, zdecydowałem, kto będzie grał w każdej z nich, wyznaczyłem kapitanów. Ale podczas samego turnieju byłem tylko kapitanem drużyny B.

Roześmiała się.

– To znaczy, że byłeś czołowym graczem w drugiej lidze. No jasne. To historia twojego życia.

Peter przełknął ostrą ripostę. Nie powiedział nic. Toyota pokonała następny zakręt i rozpostarła się przed nimi szeroka panorama gór Colorado. On jednak pozostał dziwnie obojętny.

– Kiedy przestałeś grać w szachy? – zapytała Kathy.

– Dałem sobie z tym spokój po ukończeniu college'u. To nie była świadoma decyzja. Po prostu nie miałem już na to ochoty. Nie uczestniczyłem w turnieju od prawie dziewięciu lat. Pewnie wyszedłem już z wprawy, ale wtedy byłem całkiem niezły.

– A co to znaczy całkiem niezły?

– Należałem do klasy A, tak samo jak wszyscy w drużynie B.

– A co to znaczy?

– To, że w rankingu USCF znalazłem się zdecydowanie wyżej niż większość turniejowych graczy w kraju – wyjaśnił. – A turniejowi gracze są z reguły znacznie lepsi od tych, którzy przesuwają figury w barach i kawiarniach. Ranking sięga w dół aż do klasy E. Powyżej są eksperci, mistrzowie i na szczycie arcymistrzowie, ale tych jest niewielu.

– Trzy klasy ponad tobą?

– Tak.

– To znaczy, że nawet w swoich najlepszych czasach byłeś tylko czwartorzędnym graczem.

Tym razem Peter na nią spojrzał. Opierała się wygodnie na siedzeniu z głupawym uśmiechem na twarzy.

– Suka – syknął. Nagle ogarnął go gniew.

– Patrz na drogę! – warknęła Kathy.

Zakręcił z całej siły kierownicą pokonując kolejny zakręt, i nacisnął pedał gazu. Kathy nie znosiła, kiedy szybko prowadził.

– Nie wiem, po jaką cholerę w ogóle z tobą rozmawiam – stwierdził.

– Mój wspaniały mąż. – Parsknęła śmiechem. – Czwartorzędny szachista grający w rezerwowej drużynie uczelnianej. I do tego kierowca piątej kategorii.

– Zamknij się – wybuchnął Peter. – Nie masz pojęcia, o czym gadasz. Może i byliśmy tylko drużyną B, ale byliśmy dobrzy. Wypadliśmy lepiej, niż ktokolwiek miał prawo się

spodziewać. Skończyliśmy turniej zaledwie pół punktu za drużyną A. I o mało nie staliśmy się sprawcami jednej z największych niespodzianek w historii.

– Opowiedz mi o tym.

Peter zawahał się, już w tej chwili żałując swych słów. To było dla niego ważne, prawie tak samo ważne, jak ten głupi rekord. Wiedział, co to znaczy, wiedział, jak blisko byli. Ale Kathy tego nie zrozumie. Dla niej będzie to tylko kolejna porażka, powód do śmiechu. Nie trzeba było o tym wspominać.

– Słucham? – naciskała. – Co to za wielka niespodzianka, kochanie? Opowiedz mi o tym.

Peter uświadomił sobie, że jest już za późno. Nie pozwoli mu zmienić tematu. Nie da mu spokoju, dopóki jej nie opowie.

– W tym tygodniu minie dziesięć lat – zaczął z westchnieniem. – Mistrzostwa zawsze rozgrywano między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem, kiedy wszyscy mają wolne. Ośmiorundowy turniej drużynowy, po dwie rundy każdego dnia. Wszystkim naszym drużynom poszło nieźle. Drużyna A uplasowała się w sumie na siódmym miejscu.

– Ty byłeś w drużynie B, mój drogi.

Peter wykrzywił twarz.

– Tak. I do pewnego czasu spisywaliśmy się najlepiej ze wszystkich. W drugiej części turnieju udało nam się zrobić parę niezłych niespodzianek. Znaleźliśmy się dzięki temu w dziwnej sytuacji. Przed ostatnią rundą samodzielnym liderem był Uniwersytet Chicago z punktacją 6:1. Pokonali między innymi naszą drużynę A i byli obrońcami tytułu. Za nimi były trzy inne uczelnie z punktacją 5,5:1,5 – Berkeley, Uniwersytet Massachusetts i... nie pamiętam kto jeszcze, to nieważne. Liczyło się to, że wszystkie te drużyny grały już z UC. Potem była cała masa drużyn z punktacją 5:2, w tym również nasze drużyny A i B. Jedna z nich musiała grać w ostatniej turze z Chicago i jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności padło na nas. Wszyscy uważali, że sprawa zwycięstwa jest już przesądzona. To naprawdę była nierówna rywalizacja. Oni bronili tytułu i mieli znakomity zespół. Trzech mistrzów i jeden ekspert, o ile dobrze pamiętam. W sumie mieli kilkaset punktów rankingowych więcej od nas. To powinien być dla nich łatwy mecz. Ale nie był. Mecze między UC a Northwestern nigdy nie były łatwe. W moich studenckich latach byliśmy dwiema wielkimi szachowymi potęgami Środkowego Zachodu, odwiecznymi rywalami. Ich kapitan, Hal Winslow, był moim dobrym przyjacielem, ale często przyprawiałem go o ból głowy. Zawsze mieli silniejszą drużynę od nas, a mimo to potrafiliśmy napędzić im strachu. Graliśmy z nimi w Chicagowskiej Lidze Międzyuczelnianej, w turniejach stanowych i regionalnych, a kilka razy również w ogólnokrajowych. UC wygrał większość meczów, ale nie wszystkie. Raz udało nam się odebrać im mistrzostwo miasta. W paru innych przypadkach też zrobiliśmy niespodziankę. A wtedy, w mistrzostwach kraju, byliśmy tak blisko... – uniół dwa ledwie od siebie odsunięte palce – ...największej sensacji w naszej karierze.

Położył dłoń z powrotem na kierownicy, marszcząc ze złością czoło.

– Mów dalej – zażądała. – Zapiera mi dech w piersiach z ciekawości.

Peter zignorował jej sarkazm.

– Po godzinie meczu połowa uczestników turnieju zgromadziła się wokół naszych stołów. Wszyscy widzieli, że drużyna UC ma kłopoty. Na dwóch szachownicach mieliśmy wyraźnie lepsze pozycje, a na pozostałych dwóch gra była wyrównana. Potem robiło się coraz lepiej. Ja grałem z Halem Winslowem na trzeciej szachownicy. Mieliśmy wyrównaną pozycję, która nie rokowała nic ciekawego, więc zgodziliśmy się na remis. A na czwartej szachownicy E. C. powoli dał się zepchnąć do defensywy i w końcu poddał partię w beznadziejnej sytuacji.

– E. C.?

– Edward Colin Stuart. Wszyscy mówiliśmy na niego E. C. To był niesamowity facet. Poznasz go u Bunnisha.

– Przegrał?

– Tak.

– To mi nie wygląda na rewelacyjną sensację – zauważyła z przekąsem. – Choć może jak dla ciebie to triumf.

– E. C. przegrał – przyznał Peter – ale tymczasem Delmario kompletnie rozbił przeciwnika na drugiej szachownicy. Tamten facet przeciągał sprawę, ale w końcu dał za wygraną. Mieliśmy remis 1,5:1,5, a jedna partia jeszcze trwała. I wygrywaliśmy tę partię. To było niewiarygodne. U nas na pierwszej szachownicy grał Bruce Bunnish. Kawał głąba, ale całkiem niezły szachista. Był graczem klasy A, ale miał niewiarygodną pamięć. Fotograficzną. Znał na pamięć wszystkie otwarcia. Miał przeciwko sobie wielkiego szachistę z UC. – Peter uśmiechnął się z przekąsem. – Wielkiego nie tylko w jednym sensie. To był mistrz nazwiskiem Robinson Vesselere. Cholernie mocny gracz. Ważył chyba ze czterysta funtów. Siedział podczas partii zupełnie nieruchomo z rękami złożonymi na brzuchu, a małe oczka wlepił w szachownicę. Miażdżył przeciwników. Powinien zmiażdżyć Bunnisha z łatwością. Do diabła, w rankingu miał więcej o czterysta punktów. Ale tak się nie stało. Dzięki swojej pamięci Bunnish zdołał jakoś wymanewrować Vesselere'a w mało znanym wariantcie obrony sycylijskiej. Przypuścił walny atak. To było niewiarygodne. Nigdy w życiu nie widziałem bardziej skomplikowanej pozycji. Była niezwykle wyrazista i dawała wiele możliwości taktycznych. Vesselere kontratakował na skrzydle hetmańskim i udało mu się zagrozić przeciwnikowi, ale jego pozycja była znacznie słabsza niż pozycja Bunnisha na skrzydle królewskim. Partia była wygrana. Wszyscy byliśmy tego pewni.

– To znaczy, że o mało nie zdobyliście mistrzostwa?

– Nie – zaprzeczył Peter. – Nie o to chodzi. Gdybyśmy wygrali, mielibyśmy sześć punktów, razem z kilkoma innymi drużynami, ale mistrzostwo przypadłoby jakiejś drużynie, która miałaby sześć i pół. Może Berkeley albo Massachussetts. Chcieliśmy po prostu stać się sprawcami sensacji. To byłoby niewiarygodne. Graliśmy z najlepszą uczelnianą drużyną w

kraju, a nie byliśmy nawet najlepsi w naszym college'u. Gdybyśmy ich pokonali, to by była prawdziwa sensacja. Byliśmy tak blisko.

– I co się stało?

– Bunnish spięprzył sprawę – wyjaśnił skwaszonym tonem Peter. – Miał krytyczną pozycję. Musiał poświęcić dwie bierki, rozumiesz? To dużo, ale w ten sposób rozbiłby królewskie skrzydło Vesselere'a i wyciągnął jego króla na otwartą przestrzeń. Ale zabrakło mu odwagi. Cały czas patrzył tylko na atak Vesselere'a na skrzydle hetmańskim i wreszcie wykonał jakiś słaby ruch obronny. Vesselere przesunął kolejną figurę na skrzydło hetmańskie i Bunnish znowu próbował się bronić. Zamiast wykorzystać przewagę, wykonał całą serię obronnych ruchów, aż w końcu jego atak się rozproszył. Potem Vesselere go oczywiście wykończył. – Choć minęło już dziesięć lat, Peter czuł, że narasta w nim niezadowolenie. – Przegraliśmy mecz 1,5:2,5 i Chicago zdobyło kolejny tytuł. Nawet Vesselere przyznawał później, że byłoby po nim, gdyby Brucie zagrał w krytycznym momencie skoczek bije piona. Niech to szlag.

– Przegraliście. Do tego się to sprowadza. Przegraliście.

– Ale byliśmy blisko.

– Blisko liczy się tylko w przypadku podków i granatów – odparła Kathy. – Przegraliście. Już wtedy byłeś nieudacznikiem, kochanie. Szkoda, że nie wiedziałam o tym przedtem.

– Bunnish przegrał, do cholery – sprzeciwił się Peter. – To był cały on. Był graczem klasy A i miał rewelacyjną pamięć, ale jako członek drużyny był bezwartościowy. Nie masz pojęcia, ile meczów zawałił. W trudnej sytuacji Bunnish zawsze zawodził. Ale ta partia z Vesselere'em była najgorsza ze wszystkich. Mógłbym go wtedy zabić. Do tego był też aroganckim dupkiem.

Kathy parsknęła śmiechem.

– I to tego aroganckiego dupka zamierzamy odwiedzić?

– Minęło dziesięć lat. Może się zmienił. A nawet jeśli się nie zmienił, to ten dupek jest teraz multimilionerem. Zrobił majątek na elektronice. Poza tym chcę się znowu zobaczyć z E. C. i Steve'em, a Bunnish zapewnia, że oni też przyjadą.

– Cudownie – mruknęła Kathy. – No to pędź. Nie chciałabym, żeby mnie to ominęło. To może być dla mnie jedyna okazja spędzenia czterech dni z dupkiem multimilionerem i trzema nieudacznikami.

Peter nie odpowiedział, nacisnął tylko gaz. Toyota mknęła górską szosą coraz szybciej, grzechocząc przy nabieraniu prędkości. „Cały czas w dół” – pomyślał. „Całkiem jak moje cholerne życie”.

* * *

Gdy pokonali już cztery mile prywatną szosą Bunnisha, ujrzeli w końcu jego dom. Peterowi, który wciąż marzył o kupnie własnego domu po dziesięcioleciu życia w tanich mieszkaniach, wystarczyło jedno spojrzenie, by sobie uświadomić, że ma przed oczyma nieruchomość wartą ze trzy miliony dolarów. Budynek miał kilka pięter, a wszystkie wtapiały się w górski stok tak znakomicie, że trudno było je zauważyć. Zbudowano go z drewna, miejscowego kamienia i barwionego szkła. Najbardziej rzucającym się w oczy elementem była wielka szklarnia. Poniżej znajdował się garaż na cztery samochody, wpuszczony głęboko w skałę.

Peter wjechał na ostatnie wolne miejsce między nowiutkim, srebrnym cadillakiem seville, który z pewnością był własnością Bunnisha, i starym, zardzewiałym garbusem, który niewątpliwie należał do kogoś innego. Gdy wyciągnął kluczyk ze stacyjki, drzwi zamknęły się automatycznie z głośnym metalicznym brzękiem, zasłaniając światło dnia i widok na góry.

– Ktoś wie, że tu jesteśmy – zauważyła Kathy.

– Bierz walizki – warknął Peter.

Na końcu garażu znaleźli windę i Peter nacisnął wyżej położony z dwóch przycisków. Gdy drzwi windy otworzyły się znowu, ujrzeli przed sobą wielki salon. Peter wyszedł pierwszy, spoglądając na gąszcz roślin doniczkowych krzewiący się pod kopulastym świetlikiem, na grube brązowe dywany, piękną boazerię, regały zastawione oprawnymi w skórę woluminami, ogromny kominek oraz Edwarda Colina Stuarta, który na ich widok podniósł się z obitego skórą fotela na drugim końcu pokoju.

– E. C. – przywitał go z uśmiechem Peter, odstawiając walizkę.

– Cześć, Peter – odparł E. C., podchodząc do nich szybko. Uścisnęli sobie dłonie.

– W ogóle się nie zmieniłeś przez te dziesięć lat – zauważył Peter. To była prawda. E. C. nadal był szczupły i muskularny, miał gęstą rudoblond czuprynę i wspaniałe, podkręcone do góry wąsy. Ubrany był w dzinsy, fioletową, zwężaną koszulę i czarną kamizelkę. Wyglądał tak samo jak przed dziesięciu laty: dziarski, zadbany i sprawny. – Ani trochę – dodał Peter.

– Wielka szkoda – zmartwił się E. C. – Wydaje mi się, że człowiek powinien się zmieniać. – Z jego niebieskich oczu jak zwykle nie sposób było nic wyczytać. Spojrzał na Kathy. – Jestem E. C. Stuart – przedstawił się.

– Przepraszam – odezwał się Peter. – To moja żona Kathy.

– Miło mi pana poznać – oznajmiła Kathy, ściskając z uśmiechem dłoń E. C.

– Gdzie Steve? – zapytał Peter. – Widziałem w garażu jego volkswagena. Zatkąło mnie z wrażenia. Jak długo już jeździ tym gratem? Piętnaście lat?

– Trochę mniej – odparł E. C. – Gdzieś tu się kręci. Pewno coś popija.

Lekki grymas jego ust powiedział Peterowi więcej niż słowa.

– A Bunnish?

– Brucie jeszcze się nie pokazał. Chyba czekał na wasz przyjazd. Pewnie chcielibyście pójść do swoich pokojów.

– A jak je znajdziemy bez gospodarza? – zapytała spokojnie Kathy.

– Ach – odparł E. C. – Nie zaznajomiliście się jeszcze z cudami Królestwa Bunnisha. Spójrzcie.

Wskazał na kominek.

Peter przysiągłby, że gdy weszli do pokoju, nad kominkiem wisiał obraz, jakiś surrealistyczny pejzaż. Teraz zastąpił go wielki prostokątny ekran. Na czarnym tle widniały jaskrawoczerwone litery: WITAJ, PETER. WITAJ, KATHY. WASZ APARTAMENT JEST NA PIERWSZYM PIĘTRZE. PIERWSZE DRZWI W KORYTARZU. ROZGOŚCIE SIĘ, PROSZE. Peter odwrócił się.

– Skąd...?

– Z pewnością uruchomiło go przybycie windy – wyjaśnił E. C. – Mnie spotkało takie samo przywitanie. Pamiętaj, że Brucie to elektroniczny geniusz. W domu jest pełno rozmaitych gadżetów i zabawek. Zwiedziłem już sporą jego część. – Wzruszył ramionami. – Czemu się nie rozpakujecie? Wróćcie potem tutaj. Nigdzie nie ucieknę.

Znaleźli apartament bez większych trudności. W wielkiej, wyłożonej kafelkami łazience znajdowało się umieszczone pod gołym niebem patio z wanną z hydromasażem. Apartament miał też własny salon i kominek. Nad kominkiem umieszczono abstrakcyjny obraz, który zniknął, gdy tylko Kathy zamknęła drzwi, ustępując miejsca napisowi: MAM NADZIEJĘ, ŻE JESTEŚCIE ZADOWOLENI.

– Spryciarz z tego naszego gospodarza – zauważyła Kathy, siadając na łóżku. – Mam nadzieję, że to nie są dwukierunkowe ekrany. Nie zamierzam urządzać przedstawień dla jakiegoś elektronicznego podglądacza.

Peter zmarszczył brwi.

– Wcale bym się nie dziwił, gdyby Bunnish założył tu pluskwy. Zawsze był dziwny.

– W jakim sensie?

– Trudno go było polubić – odparł Peter. – Uwielbiał się przechwalać, zawsze opowiadał, jaki to z niego świetny szachista, jaki jest inteligentny i tak dalej. Nikt mu właściwie nie wierzył. Miał dobre stopnie, ale poza tym sprawiał wrażenie przygłupa. E. C. lubi robić ludziom kawały i Bunnish był jego ulubioną ofiarą. Trudno zliczyć, ile razy ubawiliśmy się jego kosztem. Do tego Bunnish wyglądał jak matoł. Był pulchny, puciołowaty, miał obwisłe policzki jak chomik i strzygł się na jeża. Należał do Korpusu Szkolenia Oficerów Rezerwy. Nigdy nie widziałem nikogo, kto wyglądałby śmieszniej w mundurze. Nie spotykał się z dziewczynami.

– Był gejem?

– Nie. Powiedziałbym raczej, że był aseksualny. – Peter rozejrzał się wokół i potrząsnął głową – Nie potrafię pojąć, w jaki sposób zdobył taki majątek. To ostatni człowiek, po którym bym się tego spodziewał. – Otworzył z westchnieniem walizkę i zaczął się rozpakowywać. – Mógłbym uwierzyć, że Delmario zrobi karierę – ciągnął. – Steve i Bunnish

studiowali na wydziale technicznym, ale to Delmario zawsze robił wrażenie znacznie bystrzejszego. Uważaliśmy go za prawdziwego geniusza, a Bunnish wydawał się tylko arogancką miernotą.

– Oszukał was – zauważyła Kathy, uśmiechając się słodko. – Oczywiście, nie był jedynym, któremu udało się ciebie oszukać, prawda? Chociaż mógł być pierwszy.

– Dość tego – burknął Peter, zawieszając w ściennej szafie ostatnie koszule. – Chodź, zejdziemy na dół. Chcę pogadać z E. C.

Gdy tylko wyszli na korytarz, przywitał ich czyjś głos.

– Pete?

Peter odwrócił się. Wielki mężczyzna stojący w drzwiach sąsiedniego pokoju uśmiechnął się niewyraźnie.

– Nie poznajesz mnie, Peter?

– Steve? – zapytał zdziwiony Peter.

– Jasne. A myślałeś, że kto? – Wyszedł lekko chwiejnym krokiem z pokoju i zamknął za sobą drzwi. – To pewnie twoja żona, he? Mam rację?

– Masz – potwierdził Peter. – Kathy, to jest Steve Delmario. Steve, to Kathy.

Delmario podszedł do niej i uściśnął jej entuzjastycznie dłoń, klepnąwszy przedtem Petera w plecy. Peter wytrzeszczył oczy ze zdumienia. E. C. nie zmienił się przez te dziesięć lat prawie w ogóle, ale za to Steve nadrobił to z nawiązką. Peter nigdy nie poznałby starego kolegi na ulicy.

Dawny Steve Delmario żył szachami i elektroniką. Uwielbiał rywalizację na szachownicy i montowanie rozmaitych gadżetów, ale wykazywał frustrujący brak zainteresowania wszystkim, co wykraczało poza te wąskie pasje. Był wysokim, chudym młodzieńcem o niewiarygodnie skupionym spojrzeniu oczu spoglądających zza grubych soczewek w masywnej, czarnej oprawie. Czarne włosy zazwyczaj miał rozczochrane albo krótko obcięte w groteskowo nieudolny sposób (zawsze strzygł się sam). O ubiór również nie dbał. Z reguły nosił zupełnie niemodne ciuchy z Armii Zbawienia: brązowe workowate spodnie z mankietami, dziesięcioletnie koszule z wystrzępionymi kołnierzykami, szary, bezkształtny, zapinany na ekspres sweter, z którym nigdy się nie rozstawał. E. C. zauważył kiedyś, że Steve Delmario wygląda jak ostatni człowiek na Ziemi po atomowej zagładzie i potem przez prawie cały semestr wszyscy w klubie nazywali Delmaria „ostatnim człowiekiem na Ziemi”. Przyjmował to z humorem. Pomimo swych dziwactw był powszechnie lubiany.

Lata potraktowały go jednak okrutnie. Nadal nosił te same okulary, a jego ubranie było równie niedobre jak niegdyś – wytarte brązowe sztruksy, biała koszulka z krótkimi rękawami i trzema mazakami w kieszeni, wyblakła kamizelka zapięta na wszystkie guziki, stare zamszowe cichobiegi – ale cała reszta się zmieniła. Steve przybrał na wadze chyba z pięćdziesiąt funtów. Robił wrażenie obrzmiałego, opuchniętego. Był też niemal zupełnie łysy. Z rozczochranych czarnych włosów zostało tylko kilka wątych pasemek wokół uszu. Jego

oczy utraciły gorączkową intensywność. Przesłaniała je mgła, której widok wydał się Peterowi straszliwie niepokojący. Największym szokiem był jednak odór alkoholu w jego oddechu. E. C. napomknął, że Delmario pije, ale Peterowi nadal trudno było w to uwierzyć. W dawnych latach Steve Delmario zawsze ograniczał się do z rzadka wypijanego piwa.

– Cieszę się, że znowu cię widzę – przywitał go Peter, choć nie był pewien, czy to prawda. – Zejdziemy na dół? E. C. czeka.

Delmario pokiwał głową.

– Jasne, jasne, chodźmy. – Znowu klepnął Petera po plecach. – Widziałeś już Bunnisha? Niezły ma domek, co? Zauważyłeś te ekrany? Sprytne, cholernie sprytne. Nigdy bym nie pomyślał, że Bunnish zajdzie tak daleko, nie nasz stary Bunio, co? – Zachichotał. – No wiesz, przyglądałem się przez te lata niektórym z jego patentów. Bardzo pomysłowe. Naprawdę świetna robota. I to Bunnish to wszystko wymyślił. Nigdy nie wiadomo, czego się po kim spodziewać, prawda?

Gdy zeszli na dół po krętych schodach, salon wypełniały dźwięki muzyki klasycznej. Peter nie poznawał tego utworu, zawsze wolał rocka. Niemniej klasyczna muzyka była jedną z pasji E. C, który siedział teraz w fotelu z zamkniętymi oczyma i słuchał z uwagą.

– Drinki – mówił Delmario. – Zrobię nam jakieś drinki. Na pewno chce się wam pić. Bunio ma bar za schodami. Co wam przynieść?

– A jaki jest wybór? – zapytała Kathy.

– Cholera, on ma wszystko, o czym pani zamarzy.

– Niech będzie beefeater z martini – odparła. – Bardzo wytrawnym.

Delmario skinął głową.

– Pete?

– Hmm. – Peter wzruszył ramionami. – Najlepiej piwo.

Delmario poszedł za schody przygotować drinki. Kathy spojrzała na męża, unosząc brwi.

– Cóż za wyrafinowany gust – skrytykowała go. – Piwo!

Peter zignorował ją i usiadł obok E. C. Stuarta.

– Kurczę, jak znalazłeś gramofon? – zapytał. – Nigdzie go nie widzę.

Wydawało się, że muzyka płynie prosto ze ścian. E. C. otworzył oczy, rozciągnął usta w ironicznym uśmiešku i potarł palcem koniuszek wąsa.

– Ekran zdradził mi tajemnicę – wyjaśnił. – Kontrolki są wbudowane w ścianę... – wskazał głową – ...a sam sprzęt jest ukryty. Uruchamia się go głosem. Komputerowo. Po prostu powiedziałem, której płyty chcę posłuchać.

– To robi wrażenie – przyznał Peter. Podrapał się po głowie. – Czy Steve już w college'u nie zmontował gramofonu sterowanego ludzkim głosem?

– Twoje piwo – oznajmił Delmario.

Stał nad nimi z butelką schłodzonego heinekena. Peter wziął ją od niego i Delmario, który sobie również zrobił drinka, przysiadł obok na niskim ozdobnym stoliku.

– Zbudowałem takie urządzenie – przyznał. – Ale bardzo proste. Pamiętajcie, jak nabijaliście się ze mnie z tego powodu?

– O ile sobie przypominam, kupiłeś dobrą wkładkę adapterową – potwierdził E. C. – Ale musiałeś ją zamontować na ramieniu zrobionym z wygiętego wieszaka.

– Ale to działało – sprzeciwił się Delmario. – I było sterowane głosem, jak mówiłeś, tyle że bardzo prymitywnie. Można było je tylko włączać i wyłączać, a do tego trzeba było mówić naprawdę głośno. Miałem zamiar je ulepszyć, kiedy skończę szkołę, jednak nic z tego nie wyszło. – Wzruszył ramionami. – Ale nie ma porównania z tym, co zrobił Bunnish. To jest naprawdę zaawansowane urządzenie.

– Zauważyłem – potwierdził E. C. Uniósł lekko głowę. – Dziękuję, starczy mi już muzyki – oznajmił bardzo głośno i wyraźnie. Cisza, która zapadła, na moment wprawiła wszystkich w oszołomienie. Peter nie miał pojęcia, co powiedzieć.

Po chwili E. C. spojrzał na niego.

– W jaki sposób Bunnish skłonił cię do przyjazdu tutaj, Peter? – zapytał z powagą w głosie.

– Skłonił? – powtórzył zdziwiony Peter. – Po prostu nas zaprosił. Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– No wiesz, zapłacił za przyjazd Steve’a – wyjaśnił E. C. – A ja odrzuciłem zaproszenie. Pamiętaj, że nigdy nie przepadałem za Bruciem. Użył swoich wpływów, żeby skłonić mnie do zmiany zdania. Pracuję w agencji reklamowej w Nowym Jorku. Zamachał moim pracodawcom przed nosem swym wypchanym portfelem i oznajmili mi, że mam tu przyjechać, bo inaczej stracę robotę. Ciekawe, co?

Kathy siedziała na sofie ze znudzoną miną, popijając martini.

– Wygląda na to, że to spotkanie jest dla niego ważne – zauważyła.

E. C. wstał.

– Chodźcie – rzucił. – Chcę wam coś pokazać. – Wszyscy wstali posłusznie i podążyli za nim na drugi koniec pokoju. W zacienionym kącie otoczonym regałami stała szachownica z partią w toku. Planszę wykonano z kwadratów jasnego i ciemnego drewna, pieczołowicie wprawionych w piękny wiktoriański stół. Figury zrobiono z kości słoniowej i onyksu. – Przyjrzyjcie się temu – zażądał E. C.

– To piękne szachy – stwierdził z podziwem Peter. Wyciągnął rękę, chcąc podnieść czarną królową żeby obejrzyć ją dokładniej, i chrząknął z zaskoczenia. Figura nie chciała się poruszyć.

– Ciągnij śmiało – zachęcał go E. C. – To nic nie da. Figury są przyklejone. Wszystkie.

Steve Delmario obszedł szachownicę wkoło. Oczy mu błyszczały za grubymi szklami. Postawił drinka na stole i osunął się na krzesło gracza grającego białymi.

– Znam ten układ figur – oznajmił nieco bełkotliwym głosem.

E. C. Stuart uśmiechnął się półgębkiem i przyglądał wąsy.

– Peter – powiedział, wskazując głową na szachownicę. – Przyjrzyj się temu uważnie.

Peter wykonał polecenie i nagle go olśniło. Pozycja figur na szachownicy stała się dla niego równie znajoma, jak odbicie własnej twarzy w lustrze.

– To partia z mistrzostw kraju – stwierdził. – Krytyczna sytuacja z gry Bunnisha z Vesselere'em.

E. C. skinął głową.

– Tak myślałem, ale nie byłem pewien.

– Och, ja jestem pewien – oznajmił głośno Delmario. – Cholera, jak mógłbym w to wątpić? To jest właśnie ten moment, w którym Bunio spieprzył sprawę, pamiętacie? Zagrał królem, zamiast poświęcić figurę. To kosztowało nas mecz. Siedziałem obok niego i grałem najlepszą partię w życiu. Pokonałem mistrza i co to nam dało? Nic, do cholery. Przez Bunnisha. – Łypnął ze złością na szachownicę. – Skoczek bije piona, to wszystko, co musiał zagrać. Vesselere byłby zupełnie odsłonięty. Szach, szach, szach, szach, za którymś razem musiał być mat.

– Ale nigdy nie potrafiłeś do tego doprowadzić, Delmario – odezwał się stojący za ich plecami Bruce Bunnish.

Nikt z nich nie słyszał, gdy wchodził. Peter poderwał się nagle, jak włamywacz przyłapany na kradzieży rodzinnych sreber.

Ich gospodarz stał w drzwiach w odległości kilku jardów. Bunnish również się zmienił. Stracił na wadze od czasów college'u. Robił teraz wrażenie muskularnego i sprawnego fizycznie, choć nadal miał obwisłe policzki. Nie strzygł się też na jeża, lecz miał długie, brązowe włosy, pięknie strzyżone i modelowane. Nosił wielkie okulary z barwionymi szklami i drogie ubranie. Ale nadal pozostawał Bunnishem. Głos miał donośny i irytujący, jak za dawnych czasów.

Bunnish podszedł niedbałym krokiem do szachownicy.

– Analizowałeś potem tę sytuację całymi tygodniami, Delmario – stwierdził. – Ale nie znalazłeś drogi do mata.

Delmario wstał.

– Znalazłem ich kilkanaście – sprzeciwił się.

– To prawda – przyznał Bunnish – ale żaden z nich nie był wymuszony. Vesselere miał rangę mistrza. Nie dałby się zapędzić w żadną z tych twoich matowych pozycji.

Delmario zmarszczył brwi i pociągnął łyk. Chciał coś powiedzieć – Peter widział, jak szuka słów – lecz E. C. wstał i odebrał mu szansę.

– Bruce – odezwał się, wyciągając rękę. – Cieszę się, że znowu cię widzę. Ile to lat minęło?

Bunnish odwrócił się i uśmiechnął ze wzgardą.

– Czy to kolejny z twoich kawałów, E. C.? Wiesz, ile lat minęło, i ja też to wiem, więc dlaczego pytasz? Norton i Delmario również wiedzą. Może pytasz ze względu na panią Norton? – Spojrzał na Kathy. – Wie pani, ile lat minęło?

– Słyszałam o tym – odpowiedziała ze śmiechem.

– Ach – mruknął Bunnish, ponownie spoglądając na E. C. – Wszyscy to wiemy, co znaczy, że to kolejny z twoich kawałów. Dlatego ci nie odpowiem. Pamiętasz, jak dzwoniłeś do mnie o trzeciej rano, żeby zapytać, która godzina? A kiedy ci odpowiadałem, pytałeś, dlaczego dzwonię do ciebie o takiej porze?

E. C. zmarszczył brwi i opuścił rękę.

– Nie ma sensu stać tak nad tą głupią szachownicą – ciągnął Bunnish, mącąc pełną skrepowania ciszę, która nagle zapadła. – Lepiej usiądźmy wszyscy przy kominku i pogadajmy. – Wyciągnął rękę. – Proszę.

Ale gdy usiedli, znowu zapadła cisza. Peter pociągnął łyk piwa i uświadomił sobie, że to coś więcej niż zwykle skrepowanie. W powietrzu unosiło się niemal dotykalne napięcie.

– Masz niezły domek, Bruce – odezwał się, chcąc poprawić atmosferę.

Bunnish rozejrzał się wokół z zadowoleniem.

– Wiem – stwierdził. – Odniosłem cholernie wielki sukces. Cholernie wielki. Nie uwierzyłybyś, ile mam forsy. Nie bardzo wiem, co z nią robić. – Wyszczerył zęby w szerokim, głupkowskim uśmiechu. – A jak wam leci, przyjaciele? Znowu się przechwalam, a przecież powinienem słuchać, jak wy opowiadacie o swoich triumfach. – Popatrzył na Petera. – Ty pierwszy, Norton. W końcu jesteś kapitanem. Jak ci się powodzi?

– Nie najgorzej – odparł zażenowany Peter. – Właściwie to całkiem niezłe. Mam księgarnię.

– Księgarnię! Rewelacyjnie! Pamiętam, że zawsze chciałeś się zajmować książkami, ale sądziłem, że będziesz je pisał, nie sprzedawał. Co się stało z tymi powieściami, które miałeś napisać, Peter? Z twoją karierą pisarską?

Peterowi zaschło w ustach.

– Hm... ludzie się zmieniają, Bruce. Nie miałem za dużo czasu na pisanie.

Przemknęło mu przez głowę, że to bardzo marne usprawiedliwienie. Nagle zapragnął znaleźć się gdzie indziej.

– Ciągłe obiecuje, że się do tego weźmie – wtrąciła ostrym tonem Kamy. – Szkoda, że nie słyszał pan jego obietnic. Obiecuje, odkąd go znam. Nic nigdy nie pisze, ale ciągle obiecuje.

Bunnish wybuchnął śmiechem.

– Twoja żona jest bardzo dowcipna – poinformował Petera. – Jest prawie tak samo zabawna jak E. C. w czasach college'u. Na pewno jesteś z nią ogromnie szczęśliwy. Pamiętam, jak bardzo lubiłeś te jego kawały. – Przeniósł wzrok na E. C. – Czy nadal jesteś taki dowcipny, Stuart?

E. C. wyglądał na poirytowanego.

– Niesamowicie – potwierdził bezbarwnym głosem.

– To świetnie – ucieszył się Bunnish i spojrzął na Kathy. – Nie wiem, czy Peter opowiadał pani wszystkie historie o naszym kochanym E. C, ale on naprawdę splotał ludziom kilka zdumiewających figli. To niezwykle dowcipny człowiek. Kiedyś, gdy nasza uczelniana drużyna zdobyła mistrzostwo miasta, namówił swoją dziewczynę, żeby zadzwoniła do Petera i przedstawiła się jako dziennikarka z agencji Associated Press. Przeprowadzała z nim wywiad przez całą godzinę, nim wreszcie się połapał.

Kathy parsknęła śmiechem.

– Peter czasami bywa niezbyt bystry – przyznała.

– Och, to jeszcze nic. E. C. najbardziej lubił robić kawały mnie. Rozumie pani, ja rzadko obracałem się w towarzystwie. Śmiertelnie się bałem dziewczyn. Za to E. C. chodził z setką różnych i wszystkie były piękne. Pewnego razu ulitował się nade mną i zaproponował, że umówi mnie na randkę w ciemno. Zgodziłem się z radością. Kiedy dziewczyna pojawiła się na rogu, na którym mieliśmy się spotkać, okazało się, że ma ciemne okulary i białą laskę. Rozumie pani.

Steve Delmario parsknął śmiechem, a starając się go stłumić, zakrztusił się alkoholem.

– Przepraszam – wycharczał. – Przepraszam.

Bunnish machnął od niechcenia ręką.

– Proszę bardzo, śmieję się. To naprawdę było zabawne. Rozumiesz, dziewczyna wcale nie była ślepa. Studiowała w szkole aktorskiej i ćwiczyła do roli. Ale potrzebowałem całego wieczoru, żeby się zorientować. Byłem takim durniem. A to był tylko jeden z jego kawałów. Zrobił mi ich setki.

– To było dawno temu – stwierdził E. C. z powagą na twarzy. – Byliśmy dziećmi. Zostawiliśmy już to wszystko za sobą Bruce.

– Bruce? – powtórzył pełnym zaskoczenia tonem Bunnish. – Ależ Stuart, pierwszy raz w życiu tak mnie nazwał. Naprawdę się zmieniłeś. To ty pierwszy zacząłeś na mnie mówić Brucie. Boże, jak ja nienawidziłem tego przezwiska! Brucie, Brucie, Brucie. Nie znosiłem go. Ile razy prosiłem cię, żebyś mówił na mnie Bruce? Ile razy? Nie pamiętam. Ale przypominam sobie, że po trzech latach podszedłeś do mnie podczas jakiegoś spotkania i powiedziałeś, że przemyślałeś sprawę i doszedłeś do wniosku, iż miałem rację i Brucie to nie jest odpowiednie imię dla szachisty klasy A, dwudziestoletniego członka Korpusu Szkolenia Oficerów Rezerwy. Tak dokładnie powiedziałeś. Zapamiętałem cały twój tekst, E. C. Zaskoczyłeś mnie tak bardzo, że nie wiedziałem, jak zareagować. Odpowiedziałem tylko: „Świetnie, już najwyższy czas!”. A wtedy ty uśmiechnęłaś się i oznajmiłaś, że z Bruciem już koniec, nigdy więcej nie powiesz na mnie Brucie. Od dzisiaj będziesz mnie nazywał Bunio.

Kathy parsknęła śmiechem, a Delmario stłumił gwałtowny rechot, ale tylko Peter poczuł zimny dreszcz. Bunnish uśmiechał się miło, lecz gdy opowiadał o tym incydencie, jego głos był zimny jak lód i pełen jadu. E. C. również nie sprawiał wrażenia, by go to ubawiło. Peter

pociągnął łyk piwa, zastanawiając się nad czymś, co pozwoliłoby mu skierować rozmowę na inne tory.

– Czy któryś z was jeszcze gra? – usłyszał nagle własny głos.

Wszyscy popatrzyli na niego. Delmario wyglądał prawie na pijanego.

– Gra? – powtórzył, spoglądając na pustą szklanę.

– Nalej sobie – poradził mu Bunnish. – Wiesz, gdzie jest barek. – Gdy Delmario skierował się do baru, gospodarz uśmiechnął się do Petera. – Chodzi ci o szachy, oczywiście.

– O szachy – potwierdził Peter. – Pamiętacie szachy. To taka stara gra. Używa się do niej czarnych i białych bierek oraz mnóstwa zegarów z dwiema tarczami. – Rozejrzał się wokół. – Nie mówcie mi, że nikt z was już nie gra.

E. C. wzruszył ramionami.

– Jestem zbyt zajęty. Nie grałem w turniejach od czasu college’u.

Wrócił Delmario. W szklance pełnej burbona pobrzękiwały cicho kostki lodu.

– Ja trochę grałem po college’u – przyznał – ale pięć lat temu dałem sobie spokój. – Usiadł ciężko i wbił wzrok w zimny kominek. – To były dla mnie złe lata. Żona mnie rzuciła, parę razy straciłem robotę. Nasz Bunio ciągle mnie wyprzedzał. Gdy tylko wpadłem na jakiś pomysł, okazywało się, że on już go opatentował. Nie było ze mnie żadnego pożytku. Wtedy właśnie zacząłem pić. – Pociągnął z uśmiechem łyk. – Aha – dodał. – Wtedy. I przestałem grać w szachy. No wiecie, na szachownicy to wszystko wychodzi. Przegrywałem, przegrywałem kupę partii. Z pełnymi patałachami, Boże. Nie mogłem tego znieść. W rankingu spadłem do klasy B. – Delmario pociągnął kolejny łyk i spojrzał na Petera. – Żeby dobrze grać w szachy, trzeba mieć coś szczególnego, kapujesz, o czym mówię? Taką... cholera, nie wiem... arogancję. Pewność siebie. Wszystko opiera się na ego i tak dalej, a ja już tego nie miałem, jakkolwiek to znać. Kiedyś to miałem, ale straciłem. Przytrafiła mi się pechowa seria i pewnego dnia rozejrzałem się i stwierdziłem, że straciłem to coś, a razem z tym umiejętność gry w szachy. Dlatego dałem sobie spokój. – Uniósł szklanę do ust, zawahał się i osuszył ją do dna. – Dałem sobie spokój – powtórzył. – Wycofałem się. Skończyłem z tym. Uciekłem.

Zachichotał, wstał i znowu poszedł do barku.

– Ja gram – oznajmił z naciskiem Bunnish. – Jestem teraz mistrzem.

Delmario zatrzymał się wpół kroku i przeszył Bunnisha spojrzeniem pełnym nienawiści tak przemożnej, że mogłaby zabić. Peter zauważył, że dłoń Steve’a drży.

– Bardzo się cieszę z tego powodu, Bruce – oznajmił E. C. Stuart. – Życzę ci wiele radości z twojego tytułu, forsy i Królestwa Bunnisha. – Wstał i z zaszępiłą miną poprawił kamizelkę. – Ale tymczasem już cię opuszczę.

– Opuścisz? – zdziwił się Bunnish. – Doprawdy, E. C, tak szybko? Czy musisz?

– Bunnish – odparł E. C. – Jeśli chcesz, możesz poświęcić następne cztery dni na dręczenie Steve’a i Petera, ale obawiam się, że mnie to nie bawi. Zawsze miałeś szambo

zamiast mózgu, a ja mam ciekawsze zajęcia, niż siedzieć tu i patrzeć, jak wypływa nagromadzony przez dziesięć lat gnój. Czy to jasne?

– Och, absolutnie – odrzekł Bunnish.

– To świetnie – ucieszył się E. C. Popatrzył na pozostałych. – Kathy, miło było panią poznać. Szkoda, że nie spotkaliśmy się w przyjemniejszych okolicznościach. Peter, Steve, jeśli w najbliższej przyszłości będziecie w Nowym Jorku, to mam nadzieję, że do mnie wpadniecie. Jestem w książce telefonicznej.

– E. C, czy nie... – zaczął Peter, ale wiedział, że to nic nie da. Już w dawnych czasach E. C. Stuart służył z uporu. Nigdy nie można go było przekonać do zmiany zdania.

– Do widzenia – rzucił E. C., przerywając Peterowi. Potem szybko poszedł do windy i zamknęły się za nim obite drewnianymi płytami drzwi.

– Wróci – zapewnił Bunnish, gdy winda już odjechała.

– Nie sądzę – odparł Peter.

Bunnish wstał, uśmiechając się szeroko. Na jego wielkich, wydatnych policzkach pojawiły się głębokie dołeczki.

– Och, z pewnością wróci, Norten. Rozumiesz, teraz na mnie przyszła kolej robienia kawałów. E. C. wkrótce się o tym przekona.

– Co takiego? – zdziwił się Delmario.

– Nie przejmuj się, niebawem wszystko zrozumiesz – odparł Bunnish. – Tymczasem muszę was na chwilę przeprosić. Pora pomyśleć o kolacji. Na pewno jesteście głodni jak wilki. No wiecie, muszę sam przyrządzać posiłki. Odesłałem służbę, żeby nie przeszkadzała nam w miłym, prywatnym spotkaniu. – Spojrzał na masywny, złoty, szwajcarski zegarek. – Spotkajmy się w jadalni, powiedzmy, za godzinę. Wszystko powinno być już wtedy gotowe. Będziemy mogli jeszcze trochę pogadać. O życiu. I o szachach.

Uśmiechnął się i wyszedł.

Kathy również się uśmiechała.

– Wiesz co – powiedziała do Petera, gdy Bunnish opuścił pokój – to jest znacznie zabawniejsze, niż się spodziewałam. Czuję się, jakbym znalazła się w sztuce Harolda Pintera.

– A kto to jest? – zapytał Delmario, siadając z powrotem na fotelu.

Peter zignorował go.

– Mnie to się też nie podoba – przyznał. – Co to za kawał, o którym mówił Bunnish?

Nie musiał długo czekać na odpowiedź. Gdy Kathy poszła nalać sobie drugie martini, usłyszeli windę. Wrócił E. C. Miał zasepioną minę.

– Gdzie on jest? – zapytał ostrym tonem.

– Poszedł przygotować kolację – wyjaśnił Peter. – Co się stało? Mówił coś o jakimś kawale...

– Drzwi garażu nie chciały się otworzyć – odparł E. C. – Nie mogłem wyjechać, a bez samochodu nigdzie się tu nie dotrze. Jesteśmy pewnie z pięćdziesiąt mil od cywilizacji.

– Zejdę na dół i rozwalę drzwi volkswagenem – zaproponował Delmario. – Jak w filmach.

– Nie gadaj bzdur – sprzeciwił się E. C. – Są z nierdzewnej stali. Nie masz szans ich rozbić. – Skrzywił się wściekle i podkręcił wąża. – Za to możemy rozkwasić nos Bruciemu. To znacznie lepszy pomysł. Gdzie jest ta cholerna kuchnia?

Peter westchnął.

– Na twoim miejscu bym tego nie robił, E. C. – ostrzegł. – Wszystko wskazuje na to, że Bunnish z rozkoszą wsadziłby cię do paki. Jeśli tylko go dotkniesz, oskarży cię o napasć.

– Zadzwońmy na policję – zasugerowała Kathy.

Peter rozejrzał się wokół.

– Skoro już o tym mowa, to nigdzie nie widzę telefonu. A wy? – Odpowiedziała mu cisza. – W naszym apartamencie też go nie było, o ile sobie przypominam.

– Hej! – zawołał Delmario. – Rzeczywiście. Masz rację, Pete.

E. C. usiadł.

– Chyba dał nam mata – stwierdził.

– Trafnie dobrane słowo – zgodził się Peter. – Dla niego to jest jakaś gra. Sam tak powiedział. Chce nam zrobić kawał.

– Ha, ha – odezwał się E. C. – I co twoim zdaniem mamy zrobić? Śmiać się?

Peter wzruszył ramionami.

– Zjeść kolację, porozmawiać z nim i dowiedzieć się, czego, do cholery, od nas chce.

– Musimy wygrać tę partię, koledzy – oznajmił Delmario.

E. C. wbił w niego wzrok.

– A co to właściwie znaczy, do licha?

Delmario pociągnął z uśmiechem łyk burbona.

– Peter powiedział, że Bunio w coś z nami gra, zgadza się? Dobra. No to grajmy. Pokonajmy go w tej cholernej rozgrywce. – Zachichotał. – Hej, koledzy, w końcu to jest Bunio. Może i jest teraz mistrzem, ale guzik mnie to obchodzi, bo zawsze znajdzie sposób, żeby w końcu przegrać. Wiecie, jak to było. Bunnish zawsze przegrywał ważne partie. Tę również przegra.

– No, nie wiem – mruknął Peter. – No, nie wiem.

* * *

Peter zabrał do apartamentu następną butelkę heinekena i siedział teraz w leżaku na patio, popijając piwo, podczas gdy Kathy wypróbowywała wannę z hydromasażem.

– To jest fajne! – zawołała do niego. – Relaksujące. Nawet zmysłowe. Czemu nie wejdiesz ze mną?

– Nie, dziękuję – odparł Peter.

– Powinniśmy sobie kupić coś takiego.

– Jasne. Ustawimy to w salonie. Sąsiedzi z dołu będą zachwyceni.

Pociągnął kolejny łyk piwa i potrząsnął głową.

– O czym myślisz? – zapytała Kathy.

Peter uśmiechnął się z przygnębieniem.

– Pewnie mi nie uwierzysz, ale o szachach.

– Tak? Opowiedz mi.

– Życie jest podobne do szachów.

Roześmiała się.

– Naprawdę? Jakoś tego nie zauważyłam.

Peter nie pozwolił się sprowokować.

– Wszystko jest kwestią wyboru. Każdy ruch jest decyzją a każda decyzja prowadzi do odmiennych wariantów. Ścieżka wciąż się rozgałęzia i czasem wariant, który wybierzemy, nie jest taki korzystny, jak nam się zdawało, nie prowadzi do sukcesu. Ale dowiadujemy się o tym dopiero po zakończeniu partii.

– Mam nadzieję, że powtórzysz mi to, jak już wyjdę z wanny – stwierdziła Kathy. – Muszę to zapisać dla potomności.

– Pamiętam, że w college’u życie wydawało mi się pełne niezliczonych możliwości. Oczywiście, wiedziałem, że w rzeczywistości będę mógł podążyć tylko jedną z wymarzonych dróg, ale przez te kilka lat wszystkie warianty, wszystkie rozgałęzienia były dla mnie dostępne. Jednego dnia marzyłem o tym, że zostanę powieściopisarzem, następnego dziennikarzem pracującym w Waszyngtonie, a jeszcze następnego... och, nie wiem, politykiem, nauczycielem, kimkolwiek. To były moje wymarzone warianty. Pełne wyśnionego bogactwa i upragnionych kobiet. Miałem dokonać tak wielu rzeczy, odwiedzić tak wiele miejsc. Oczywiście, te warianty wykluczały się wzajemnie, ale skoro żaden z nich jeszcze się nie spełnił, w pewnym sensie wszystkie były realne. Podobna sytuacja jest wtedy, gdy patrzy się na szachownicę przed rozpoczęciem partii, nie wiedząc jeszcze, jakie otwarcie będzie grane. Może to będzie obrona francuska, może sycylijska, a może Ruy Lopez. Wszystkie warianty współistnieją ze sobą dopóki nie zacznie się wykonywać ruchów. Każdy gracz marzy o zwycięstwie, bez względu na to, jaką taktykę wybierze, ale warianty są... różne. – Znowu pociągnął łyk piwa. – A gdy gra już się zacznie, gama możliwości wciąż się zawęża, inne warianty rozplywają się w pustce, aż w końcu graczowi zostaje pozycja stworzona w połowie przez niego, a w połowie przez przypadek w osobie przeciwnika. Może jego pozycja jest silna, a może ma kłopoty, ale tak czy inaczej została mu tylko jedna możliwość wyboru. Inne zniknęły.

Kathy wygramoliła się z wanny i zaczęła się wycierać. Spowijały ją obłoki buchającej z wody pary. Peter popatrzył na żonę z uczuciem bliskim czułości, co nie zdarzyło mu się już od dawna. Potem Kathy się odezwała i wszystko zepsuła.

– Minałeś się z powołaniem – stwierdziła, wycierając się energicznie ręcznikiem. – Powinieneś pisać hasła na plakatach. Masz dar do plakatowej głębi. No wiesz: „Nie przyszedłem na świat po to, by spełniać oczę...”

– Przestań – warknął Peter. – Ile jeszcze krwi musisz przelać, do cholery?

Kathy ucichła i przyjrzała mu się z zasepioną miną.

– Jesteś naprawdę zdolowany, co? – zapytała.

Peter patrzył na góry. Nie raczył jej odpowiedzieć.

Troska zniknęła z jej głosu równie szybko, jak się zjawiała.

– Kolejna depresja, tak? Może wypij jeszcze jedno piwko. Poużalaj się nad sobą jeszcze trochę. Do północy powinieneś się zdrowo popłakać. No jazda.

– Wciąż myślę o tym meczu – mruknął Peter.

– O meczu?

– Na mistrzostwach. Z drużyną UC. To dziwne, ale ciągle mam osobliwe wrażenie, że... że właśnie wtedy wszystko zaczęło się psuć. Mieliliśmy szansę dokonać czegoś wielkiego, czegoś niezwykłego. Ale ta szansa nam umknęła i od tej pory wszystko było nie tak. To był słaby wariant, Kathy. Wybraliśmy słaby wariant i od tej pory wszyscy przegrywamy. Wszyscy.

Kathy przysiadła na brzegu wanny.

– Wszyscy?

Peter skinął głową.

– Przyjrzyj się nam. Nie sprawdziłem się jako powieściopisarz ani jako dziennikarz, a teraz nie sprawdzam się jako właściciel księgarni. Nie wspominając już o fakcie, że mam żonę jędzę. Steve jest pijakiem, którego nawet nie stać na przyjazd tutaj. A E. C. to starzejący się księgowy bez szczególnych osiągnięć zawodowych, który nie zrobi już żadnej kariery. Wszyscy jesteśmy nieudacznikami, tak jak powiedziałaś w samochodzie.

– A co z naszym gospodarzem? – zapytała z uśmiechem. – Bunnish poniósł wtedy największą porażkę, a wygląda na to, że od tamtej pory bez przerwy odnosi sukcesy.

– Hmm – mruknął Peter, popijając z namysłem kolejny łyk. – Nie jestem pewien. Jest bogaty, muszę to przyznać. Ale trzyma w pokoju szachownicę z bierkami przyklejonymi na stałe i codziennie gapi się na sytuację, w której popełnił błąd w partii rozegranej dziesięć lat temu. Tak nie zachowuje się człowiek sukcesu.

Kathy wstała i potrząsnęła włosami. Były długie, kasztanowate i pięknie opadały jej na ramiona. Peter przypomniał sobie słodką kobietę, którą poślubił przed ośmiu laty, gdy był młodym, pełnym nadziei pisarzem pracującym nad pierwszą powieścią.

– Ładnie wyglądasz – skomplementował ją z uśmiechem.

– Naprawdę musisz mieć podły nastrój – stwierdziła zdumiona Kathy. – Jesteś pewien, że nie masz gorączki?

– To nie gorączka. Tylko wspomnienia i mnóstwo żalów.

– Aha – odparła i ruszyła w stronę sypialni, rzucając mu po drodze ręcznik. – Zbieraj się, kapitanie. Twoja drużyna czeka, a ja od tego całego filozofowania poczułam się głodna.

* * *

Jedzenie było smaczne, ale nastrój podczas kolacji fatalny.

Zjedli grube płaty krwistych żeberek z wielkimi pieczonymi ziemniakami i mnóstwem świeżych jarzyn. Wino wyglądało na drogie i było bardzo dobre. Potem mieli do wyboru trzy różne desery ze świeżo zmieloną kawą oraz kilkoma pysznymi likierami. Mimo to podczas posiłku panował nerwowy, nieprzyjemny nastrój. Steve Delmario był już w kiepskim stanie, zanim usiadł do stołu, a później złapał wino jak wodę i z każdą chwilą robił się coraz głośniejszy i bardziej bełkotliwy. E. C. Stuart był zimny i spokojny, krył furię za maską niewzruszonego opanowania. A Bunnish blokował wszystkie próby Petera, który chciał skierować rozmowę na bezpieczniejsze tematy.

Zza maski jowialnej wylewności co chwila wynurzał się mściwy triumf. Gdy tylko Peter przypominał jakąś zabawną nieszkodliwą historię, Bunnish kontrował ją taką, która śmierdziała bólem i odrzuceniem.

Wreszcie, przy kawie, E. C. miał już tego dość.

– Gnój – rzekł głośno, przerywając gospodarzowi. To było może trzecie słowo, jakie wypowiedział w ciągu całego posiłku. – Wszystko to gnój. O co ci chodzi, Bunnish? Sprowadziłeś nas tutaj i uwięziłeś razem ze sobą. Po co? Chcesz udowodnić, że w college’u podle cię traktowaliśmy? To jest twój cel? Jeśli tak, w porządku. Udało ci się. Faktycznie traktowaliśmy cię podle. Wstydzę się tego. Jestem winny. Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa. A teraz zapomnijmy o tym. To już przeszłość.

– Przeszłość? – powtórzył z uśmiechem Bunnish. – Może i tak. Widzę, że się zmieniłeś, E. C. W czasach, gdy byłem ofiarą twoich kawałów, wspominałeś je całymi tygodniami. Wtedy nie mówiłeś, że to przeszłość, prawda? A co z moją partią z Vesselere’em na mistrzostwach? Kiedy się skończyła, czy o niej zapomnieliśmy? O nie, bynajmniej. To było w grudniu, jak pamiętasz. A słyszałem o tym aż do maja, kiedy skończyłem college. Przy każdym spotkaniu. Ta partia nigdy nie stała się dla mnie przeszłością. Delmario przy każdej okazji pokazywał mi kolejną drogę do mata. Nasz drogi kapitan aż do końca roku nie wystawił mnie już w żadnym meczu ligowym. A ty, E. C, lubiłeś mnie witać słowami: „Hej, Bunio, poniosłeś ostatnio jakąś spektakularną porażkę?”. Wydrukowałeś nawet tę partię w naszej klubowej gazecie i wysłałeś ją do „Chess Life”. Z pewnością wydaje ci się, że to już dawne dzieje. Ale ja mam tę sprytną pamięć i nie potrafię tak łatwo zapominać. Pamiętam wszystko. Pamiętam, jak Vesselere siedział zupełnie bez ruchu z rękami złożonymi na brzuszysku i gapił się na mnie tymi swoimi ślipkami. Pamiętam, jak przesuwiał bierki, bardzo ostrożnie i delikatnie, unosząc każdą między kciukiem a palcem wskazującym. Pamiętam, jak

wyszedłem na korytarz w przerwie między ruchami, żeby napić się wody, i zobaczyłem Nortena, który siedział pod tabelami wiszącymi na ścianach, rozmawiając z Mavorą z drużyny A. Wiesz, co mówił? Wymachiwał rękami, mocno podekscytowany, i powtarzał: „On to spieprzy, cholera, on to spieprzy!”. Zgadza się, Peter? A Les spojrzał na mnie, kiedy przechodziłem, i mruknął: „Jeśli przegrasz, masz przesrane, Bunio!”. Z niego też był bombowy gość. Pamiętam, jak wszyscy przychodzili popatrzeć na moją partię. Pamiętam, jak Norten stał w kącie z Halem Winslowem. Dwaj wielcy kapitanowie rozmawiali ze sobą z ożywieniem. Winslow był rozczochrany i nieogolony, miał też swój notatnik. Próbował się zorientować, kto wyładuje na którym miejscu, jeśli wygramy, zremisujemy albo przegramy. Pamiętam, jak wszyscy zareagowali, kiedy przewróciłem króla. Pamiętam, jak Delmario zaczął kopać ścianę, E. C. wzruszył ramionami i spojrzał na sufit, a Peter podszedł do mnie, powiedział: „Bunnish!” i potrząsnął głową. Widzicie? Moja sprytna pamięć jest równie dobra jak zawsze. O niczym nie zapomniałem, a już przede wszystkim nie zapomniałem tej gry. Mogę wam wyrecytować z pamięci wszystkie ruchy, jeśli chcecie.

– Cholera – warknął Steve Delmario. – Wystarczy wyrecytować jeden ważny ruch, Bunio. Skoczek bije piona, to jest ruch, który powinieneś wyrecytować. Ofiara, prowadząca do zwycięstwa. Nie pamiętam już, jaki głupi ruch wykonałeś wtedy, ale na pewno nie ten.

– To był król na bl – przypomniał mu z uśmiechem Bunnish. – Musiałem osłaniać piona w kolumnie a. Zagrałem długą rozsadę i Vesselere mógł go zaraz załatwić.

– Piona, szmiona – mruknął Delmario. – Miałeś go w ręku. Ta ofiara pozwoliłaby ci wypruć wielorybowi flaki i nikt by nawet nie pisnął. To by dopiero była kupa śmiechu. Chomik pokonał wieloryba. Nasz drogi Hal Winslow wypuściłby notes z wrażenia. Ale ty spieprzyłeś sprawę, bo chciałeś osłaniać jakiegoś małego, nic nieznaczącego piona. To twoja wina.

– Tak mi mówiliście – zgodził się Bunnish. – Powtarzaliście mi to kupę razy.

– Posłuchaj – wtrącił Peter. – Nie ma sensu ciągle do tego wracać. Steve jest pijany, Bruce. Przecież to widzisz. Nie wie, co mówi.

– Doskonale wie, co mówi, Norten – sprzeciwił się Bunnish.

Uśmiechnął się półgębkiem i zdjął okulary. Peterem wstrząsnął wyraz jego oczu. Błyszcząca w nich nienawiść była niemal dotykalna, ale widziało się tam coś jeszcze. Coś, co było stare i zgorzkniałe, a również w jakiś sposób uwięzione. Oczy przesunęły się lekko po Kathy, która siedziała spokojnie pośrodku całej tej zastarzałej wrogości, a potem zatrzymały się kolejno na Stevie Delmario, Peterze Nortenie i E. C. Stuarcie z potężną dawką jadu połączonego z równie potężną wesołością.

– Starczy już tego – powiedział Peter niemal błagalnym tonem.

– NIE! – ryknął Delmario. Alkohol wprawił go w wojowniczy nastrój. – Nie starczy. Tego nigdy nie będzie za wiele, do cholery. Wyjmuj szachownicę, Bunio! No, jazda. Przeanalizujemy tę partię, każdy ruch po kolei, i pokażę ci, jak przesrałeś sprawę.

Podniósł się z krzesła.

– Mam lepszy pomysł – odparł Bunnish. – Siadaj, Delmario.

Steve zamrugał niepewnie powiekami i osunął się z powrotem na krzesło.

– Świetnie – ucieszył się Bunnish. – Do tego pomysłu przejdziemy za chwilę. Najpierw opowiem wam historię. Jak kiedyś stwierdził Archie Bunker, zemsta to najlepszy sposób, żeby się na kims odegrać. Ale nie ma prawdziwej zemsty, jeśli ofiara o niczym nie wie. Dlatego o wszystkim wam opowiem. Opowiem wam ze szczegółami, jak zniszczyłem wasze życie.

– Nie gadaj głupot! – obruszył się E. C.

– Nigdy nie lubiłeś słuchać historii, E. C. – zauważył Bunnish. – Wiesz dlaczego? Dlatego, że ten, kto je opowiada, jest w centrum uwagi, a ty zawsze chciałeś, żeby cała uwaga skupiała się na tobie, w każdym miejscu i czasie. Ale w tej chwili nie jesteś w żadnym centrum. Jak się czujesz w roli człowieka pozbawionego znaczenia?

E. C. potrzęsnał z niesmakiem głową i nalał sobie kolejną kawę.

– No to gadaj, Bunnish. Opowiedz tę swoją historię. Masz pilnych słuchaczy.

– Faktycznie mam, prawda? – zapytał z uśmiechem Bunnish. – No dobra. Wszystko zaczęło się od tej partii, którą grałem z Vesselere'em. Nie spieprzyłem sprawy. Partia była nie do wygrania.

Delmario prychnął pogardliwie.

– Teraz to wiem – ciągnął ze spokojem Bunnish. – Ale wtedy nie wiedziałem. Myślałem, że mieliście rację. Że wypuściłem z ręki pewną wygraną. Nie przestawało mnie to gryźć. Gryzło mnie to latami, nie uwierzylibyście jak długo. Co noc kładłem się spać, po raz kolejny rozgrywając w myślach tę partię. Stała się ona przekleństwem mojego życia. Przerodziła się w obsesję. Pragnąłem tylko jednego: drugiej szansy. Chciałem w jakiś sposób tam wrócić, wykonać inne ruchy i w rezultacie wygrać. Wybrałem niewłaściwy wariant, to wszystko. Wiedziałem, że jeśli dostanę drugą szansę, spiszę się lepiej. Przez z górą pięćdziesiąt lat trudziłem się z myślą o tym jednym celu.

Peter przełknął pośpiesznie łyk zimnej kawy.

– Ile? – zapytał. – Pięćdziesiąt? Chyba chciałeś powiedzieć pięć?

– Pięćdziesiąt – powtórzył Bunnish.

– Masz świra – stwierdził E. C.

– Nie – zaprzeczył Bunnish. – Jestem geniuszem. Słyszeliście kiedyś o podróżach w czasie?

– Podróże w czasie są niemożliwe – sprzeciwił się Peter. – Paradoksy...

Bunnish uciszył go skinieniem dłoni.

– Masz rację, a zarazem jej nie masz, Norten. Są możliwe, lecz tylko w ograniczonym zakresie. Ale to wystarczy. Nie będę was nudził matematyką, której żadne z was nie zrozumie. Łatwiej posłużyć się analogią. Mówi się, że czas jest czwartym wymiarem, ale

różni się on od pozostałych trzech jednym istotnym szczegółem. Nasza świadomość przesuwana się wzdłuż jego osi. Niestety, tylko od przeszłości do teraźniejszości. Sam czas nie płynie, nie w większym stopniu niż, na przykład, szerokość. To nasze umysły przeskakują od jednego momentu do następnego. Ta analogia stała się dla mnie punktem wyjścia. Doszedłem do wniosku, że jeśli świadomość może się przemieszczać w jednym kierunku, to równie dobrze można ją przesunąć w przeciwnym. Potrzebowałem pięćdziesięciu lat, żeby dopracować wszystkie szczegóły i uczynić możliwym to, co nazwałem podróżą wsteczną. To było moje pierwsze życie, panowie, wypełnione niepowodzeniami, śmiesznością i nędzą. Zajmowałem się swoją obsesją i robiłem, co mogłem, żeby tylko nie zginąć z głodu. Nienawidziłem też każdego z was przez każdy moment tych pięćdziesięciu lat. Moja gorycz rosła, gdy patrzyłem, jak wy odnosicie sukcesy, a wszystkie moje wysiłki nie prowadzą do niczego. Widziałem się z Nortem dwadzieścia lat po ukończeniu college'u, na spotkaniu autorskim. Potraktowałeś mnie okropnie protekcyjnie. Wtedy właśnie postanowiłem, że zniszczę was wszystkich. I zrobiłem to. Cóż więcej można powiedzieć? Doprowadziłem swe urządzenie do doskonałości, mając siedemdziesiąt jeden lat. Materii nie da się przenieść w przeszłość, ale umysł... umysł to co innego. To urządzenie mogło przenieść mój umysł w dowolnie wybrany punkt mojego życia, nałożyć moją świadomość ze wszystkimi wspomnieniami na świadomość poprzedniej wersji mojej osoby. Oczywiście, nie mogłem nic ze sobą zabrać. – Bunnish uśmiechnął się i postukał znacząco palcem w skroń. – Ale wciąż miałem swą fotograficzną pamięć: to wystarczyło z nawiązką. Zapamiętałem wszystko, co miało być mi potrzebne w nowym życiu, i wróciłem do czasów młodości. Otrzymałem drugą szansę, szansę wykonania innych ruchów w grze życia. I wykorzystałem ją.

Steve Delmario zamrugnął powiekami.

– A twoje ciało? – wybełkotał. – Co się stało z twoim ciałem, he?

– To interesujące pytanie. Wstrząs związany z podróżą wsteczną zabija kandydata na czasowego wędrowca. To znaczy jego ciało. Ale linia czasowa trwa dalej. Na to przynajmniej wskazują moje równania. Niestety, nie miałem okazji przekonać się o tym naocznie. Jednocześnie zmiana, która zaszła w przeszłości, tworzy nową, wariantywną linię czasową.

– Aha, historie alternatywne. – Delmario skinął głową. – Zgadza się.

Kathy parsknęła śmiechem.

– Nie potrafię uwierzyć, że siedzę tu i słucham tego wszystkiego. I że on... – wskazała na Delmaria – ...traktuje to poważnie.

E. C. Stuart, który do tej pory gapił się od niechcenia na sufit ze znudzonym, lekko tolerancyjnym wyrazem twarzy, wyprostował się nagle.

– Zgadza się z panią – powiedział do Kathy. – Nie jestem taki łatwowerny jak ty w dawnych czasach, Bruce – oznajmił Bunnishowi – a jeśli chcesz z nas zadrwić, wciskając nam taki kit, zapewniam cię, że nic z tego nie wyjdzie.

Bunnish spojrzał na Petera.

– A na co ty głosujesz, kapitanie?

– No cóż – odparł Peter – wszystko to nie brzmi zbyt wiarygodnie. Mówiłeś, że ta partia stała się twoją obsesją, Bruce, i myślę, że to przynajmniej jest prawdą. Uważam, że powinieneś o tym porozmawiać ze specjalistą nie z nami.

– Ze specjalistą od czego? – zapytał Bunnish.

Peter poruszył się nerwowo.

– Przecież wiesz. Z psychoanalitykiem albo psychologiem.

Bunnish zachichotał.

– Przegrane życie nie oduczyło cię protekcjonalności – stwierdził. – Tak samo zachowywałeś się w księgarni w tej linii czasowej, w której zostałeś znanym powieściopisarzem.

– Bruce, czy nie widzisz, jak żałosne są te twoje urojenia? – zapytał z westchnieniem Peter. – Nie ulega wątpliwości, że odniosłeś spory sukces i żadnemu z nas nie powiodło się tak dobrze jak tobie, ale nawet to ci nie wystarczyło. Musiałeś stworzyć skomplikowane fantazje, by uzasadnić, że to ty jesteś odpowiedzialny za nasze rozmaite niepowodzenia. Wyimaginowana zemsta z drugiej ręki.

– Ani wyimaginowana, ani z drugiej ręki, Norten – warknął Bunnish. – Mogę ci opowiedzieć ze szczegółami, jak to zrobiłem.

– Pozwól mu na to, Peter – zasugerował E. C. – Może wtedy wypuści nas z tego wariatkowa.

– Serdecznie dziękuję, E. C. – rzekł Bunnish. Popatrzył na wszystkich siedzących przy stole z pełną zadowolenia miną jak człowiek, który wie, że za chwilę spełni się to, o czym marzył przez bardzo długi czas. W końcu zatrzymał spojrzenie na Stevie Delmario. – Zacznę od ciebie – oznajmił. – Bo w rzeczywistości też właśnie od ciebie zacząłem. Łatwo cię było zniszczyć, Delmario, ponieważ zawsze byłeś człowiekiem o ograniczonych zainteresowaniach. W oryginalnej linii czasowej byłeś tak samo bogaty jak ja w tej. Podczas gdy ja udoskonalałem swoje urządzenie służące do podróży wstecznych, ty zbijałeś wielką fortunę. Zacząłeś od elektronicznych gier, a potem przerzuciłeś się na bardziej podstawowe sprawy, komputery domowe i tak dalej. Urodziłeś się do tego. Byłeś najlepszy w branży, natchniony i pomysłowy. Po podróży wstecznej po prostu zająłem twoje miejsce. Zanim użyłem swojego urządzenia, przestudiowałem wszystkie twoje wczesne gry, twoje najlepsze pomysły i podstawowe patenty, dzięki którym zbiłeś fortunę. Zapamiętałem je wszystkie, łącznie z datami ogłoszenia przez ciebie wyników swych prac. Gdy znalazłem się w przeszłości uzbrojony w tę wiedzę, uprzedzenie cię było dziecinnie łatwym zadaniem. Robiłem to za każdym razem. Delmario, czy w tych pierwszych latach nie wydawało ci się dziwne, że udało mi się przewidzieć każdy z twoich małych pomysłów? Żyję twoim życiem, Delmario.

Ręka Delmaria drżała. Jego twarz wydawała się zupełnie martwa.

– Niech cię piekło pochłonie – wyszeptał. – Niech cię piekło pochłonie.

– Nie daj się wyprowadzić z równowagi, Steve – wtrącił E. C. – On to wszystko wymyślił, żeby nas dręczyć. To czysty absurd, nic więcej.

– Ale to prawda! – zawył Delmario, przenosząc wzrok z E. C. na Bunnisha, a potem, z wyraźną bezradnością, na Petera. Jego widoczne za grubymi soczewkami oczy miały szalony wyraz. – Peter, to, co on mówił... wszystkie moje pomysły... zawsze mnie wyprzedzał, mówiłem ci o tym, on...

– Tak – przerwał mu stanowczo Peter – i Bruce’owi też o tym mówiłeś, kiedy przedtem rozmawialiśmy. Po prostu wykorzystuje twoje obawy przeciwko tobie.

Delmario otworzył usta, ale nie chciały z nich wyjść żadne słowa.

– Nalej sobie jeszcze – zasugerował Bunnish.

Delmario spojrzał na gospodarza, jakby miał ochotę rzucić się na niego i go udusić. Peter napiął mięśnie, gotowy interweniować. Delmario jednak sięgnął tylko po opróżnioną do połowy butelkę wina i napełnił niezgrabnie kieliszek.

– To było podłe, Bruce – stwierdził E. C.

Bunnish spojrzał na niego.

– Delmaria łatwo było doprowadzić do spektakularnej ruiny – ciągnął. – Ty byłeś trudniejszym zadaniem, Stuart. On nie miał w życiu nic poza pracą a kiedy mu ją odebrałem, po prostu się załamał. Wystarczyło, żebym uprzedził go kilka razy, a utracił całą wiarę w siebie. Resztę zrobił sam. Ale ty, E. C, byłeś bardziej odporny.

– Opowiadaj dalej swoje bajeczki, Bunnish – powiedział E. C. pełnym cierpliwości tonem.

– Dzięki pomysłom Delmaria stałem się bogaty – kontynuował Bunnish – i wykorzystałem te pieniądze przeciwko tobie. Twój upadek był mniej gwałtowny niż Delmaria i nie sprawił mi takiej satysfakcji. On runął ze szczytów na sam dół. Ty odniosłeś tylko umiarkowany sukces i musiałem się zadowolić obróceniem go w umiarkowaną porażkę. Udało mi się to jednak. Dzięki zakulisowym działaniom pozbawiłem cię kilku dużych umów. Kiedy pracowałeś dla Foote, Cone & Belding, spowodowałem, że inna agencja podkupiła wam autora tekstów nazwiskiem Allerd na krótko przed tym, nim wpadł na pomysł kampanii, za którą przypisano by ci zasługę. A czy pamiętasz, jak opuściłeś tę firmę, żeby przyjąć lepiej płatną robotę w zupełnie nowej agencji? Przypominasz sobie, jak szybko ta agencja padła, zostawiając cię bez pracy? To też była moja zasługa. Rzuciłem ci pod nogi ze dwadzieścia albo trzydzieści takich małych kłód. Czy zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego większość twoich profesjonalnych posunięć okazywała się błędna, Stuart? Dlaczego masz takiego pecha?

– Nie zastanawiałem się – odparł E. C. – Radzę sobie całkiem nieźle.

– Zrobiłem ci też inny kawał – ciągnął z uśmiechem Bunnish. – To mnie możesz podziękować za tego herpesa, którego złapałeś w zeszłym roku. Dobrze opłaciłem kobietę, która cię zaraziła. Szukałem jej kilka lat, nim wreszcie trafiłem na odpowiednią kombinację:

bezrobotna aktorka, młoda, piękna i dokładnie w twoim typie, a do tego dostatecznie zdesperowana, żeby zgodzić się na wszystko, i pobłogosławiona nieuleczalną chorobą weneryczną. Jak ci się podobała, Stuart? No wiesz, to była twoja wina. Ja tylko postawiłem ją na twojej drodze, resztę zrobiłeś sam. Pomyślałem sobie, że to będzie znakomity rewanż za tę randkę w ciemno.

Twarz E. C. nie zmieniła wyrazu.

– Jeśli myślisz, że w ten sposób doprowadzisz mnie do załamania albo spowodujesz, że ci uwierzę, to grubo się mylisz. Wszystko to dowodzi jedynie, że zebrałeś o mnie informacje i udało ci się wygrzebać trochę brudów.

– Zawsze byłeś sceptykiem, Stuart – zauważył Bunnish. – Bałeś się, że jeśli w coś uwierzysz, wyjdiesz na dumia. Nieładnie. – Spojrzał na Petera. – A teraz ty, Norten. Nasz nieustraszony przywódca. Ty byłeś najtrudniejszym zadaniem.

Peter popatrzył mu w oczy, nie odzywając się ani słowem.

– Czytałem twoją powieść – rzucił od niechcienia Bunnish.

– Nie wydałem żadnej powieści.

– Och, ależ wydałeś! W oryginalnej linii czasowej. Odniosłeś spory sukces. Krytycy byli zachwyceni. Książka pojawiła się nawet na chwilę na końcu listy bestsellerów „New York Timesa”.

Na Peterze nie zrobiło to wrażenia.

– To takie żalodne i łatwe do przejrzenia – stwierdził.

– Mam wrażenie, że nazywała się *Bestie w klatce* – dodał Bunnish.

Peter, który do tej pory słuchał ze wzgardą wynurzeń nieszczęsnego, chorego człowieka, wyprostował się nagle, jak uderzony.

Usłyszał, że Kathy wciągnęła gwałtownie powietrze w płuca.

– O mój Boże – wyszeptała.

– Peter? – zapytał zdziwiony E. C. – Co się stało? Wyglądasz, jakby...

– Nikt nie słyszał o tej książce. Skąd, do diabła, o niej wiesz? – zapytał Peter. – Na pewno wyciągnąłeś ten tytuł od mojego dawnego agenta. Zgadza się? Tak?

– Nie – odparł Bunnish z zadowolonym uśmiechem.

– Kłamiesz!

– Co się stało, Peter? – powtórzył E. C. – Co cię tak zdenerwowało?

Peter spojrzał na niego.

– Moja książka – odparł. – *Bestie w klatce*... to była...

– Ta książka istniała?

– Tak – potwierdził Peter. Przelknął nerwowo ślinę, czując złość i dezorientację. – Istniała. Po college'u... moja pierwsza powieść... – Roześmiał się nerwowo. – Myślałem, że będzie pierwsza. Wiązałem... wiązałem z nią wielkie nadzieje. To była ambitna, poważna książka o cyrku, ale uważałem, że może też odnieść sukces komercyjny. Wiesz, że cyrk

zawsze mnie fascynował. To metafora życia, tak uważałem, bardzo barwna, i śmierci również, bo to umierająca instytucja. Byłem przekonany, że potrafię napisać wielką powieść o cyrku. Po ukończeniu college'u przez rok jeździłem z cyrkiem Ringling Brothers' Blue Show, żeby zebrać informacje. Byłem rzeźnikiem... no wiesz, tak nazywają tych, którzy sprzedają słodycze w budkach. Rok zbierania informacji, a potem dwa lata pisania powieści. Głównym bohaterem był chłopak pracujący z wielkimi kotami. Kiedy skończyłem książkę, wysłałem ją agentowi, który po niespełna trzech tygodniach odesłał mi ją z powrotem. Nie... nie...

Nie był w stanie skończyć.

Jednakże E. C. wszystko zrozumiał. Zmarszczył brwi.

– Ten bestseller o cyrku? Jak on się nazywał?

– *Blue Show* – odparł Peter z goryczą. – Napisał go Donald Hastings Sullivan, stary chałturnik, autor pięćdziesięciu powieści gotyckich i kilkunastu sztampowych westernów wydawanych pod pseudonimami. Tego rodzaju pisarz napisał taką książkę. Nikt nie potrafił w to uwierzyć, E. C. Ja również nie. To była moja powieść, tylko pod innym tytułem. Och, nie słowo w słowo. *Bestie w klatce* były znacznie lepiej napisane. Ale fabuła, miejsce akcji, wydarzenia, a nawet nazwiska kilku postaci... to było przerażające. Mój agent nie proponował nikomu tej książki. Powiedział, że za bardzo przypomina *Blue Show*, by można ją było opublikować, że nikt nie zechciałby jej tknąć. Ostrzegł mnie też, że nawet gdyby udało się ją wydać, w najlepszym razie uznano by ją za wtórną, a w najgorszym za plagiat. Stwierdził, że książka wygląda na imitację. Poświęciłem na nią trzy lata życia, a on nazwał mnie imitatorem. Wymieniliśmy ostre słowa. Wywalił mnie i nie mogłem znaleźć drugiego agenta. Nigdy już nic nie napisałem. Pierwsza książka kosztowała mnie zbyt wiele. – Spojrzał na Bunnisha. – Zniszczyłem maszynopis, wszystkie egzemplarze. Nikt nie wiedział o tej książce poza mną, moim agentem i Kathy. Jak zdołałeś się o niej dowiedzieć?

– Już ci mówiłem – odparł Bunnish. – Czytałem ją.

– Ty cholerny kłamco! – wrzasnął Peter.

Złapał w nagłym gniewie kieliszek i cisnął nim w uśmiechniętą twarz Bunnisha, pragnąc raz na zawsze zniszczyć ten uśmiech, zamienić go w krwawą miazgę. Ale Bunnish uchylił się tylko i kieliszek rozbił się o ścianę.

– Spokojnie, Peter – odezwał się E. C.

Delmario mrugał powiekami z głupią miną, spowity w alkoholową mgłę. Kathy ścisnęła krawędź blatu, tak mocno, że kostki jej dłoni pobielaly.

– Nasz kapitan zanadto się sprzeciwia – stwierdził Bunnish. Na jego policzkach pokazały się dołeczki. – Wiesz, że mówię prawdę, Nortem. Czytałem twoją powieść. Mogę ci wyrecytować całą fabułę, żeby to udowodnić. – Wzruszył ramionami. – Raz już ją wyrecytowałem. Donaldowi Hastingsowi Sullivanowi, który napisał *Blue Show* za moje pieniądze. Zrobiłbym to sam, ale nie mam talentu do pisarstwa. Sully ucieszył się z tej szansy. Dostał ode mnie niezłą sumkę, a potem podzieliliśmy się honorariami, które były spore.

– Ty sukinsynu – wydyszał Peter, ale w jego głosie nie było już wściekłości. Czuł, że gniew z niego odplywa, pozostawiając po sobie jedynie świadomość nieuchronnej klęski. Czuł się oszukany i bezradny. Uświadomił sobie nagle, że wierzy Bunnishowi, wierzy w każde słowo jego nedorzecznej opowieści.

– To prawda, tak? – zapytał. – Wszystko to prawda. Ty mi to zrobiłeś. Ty. Ukradłeś moje słowa, moje marzenia, wszystko.

Bunnish milczał.

– Są jeszcze inne niepowodzenia – ciągnął Peter. – To wszystko też byłeś ty, zgadza się? Po tej aferze z *Blue Show*, kiedy zająłem się dziennikarstwem... ta wielka bomba, która nagle się rozplynęła, moi informatorzy wszystkiemu zaprzeczyli albo zniknęli. Wyglądało to tak, jakbym wszystko sam wymyślił. Odwołane zlecenia, procesy, oskarżenia o plagiat, pogwałcenie prywatności, zniesławienie; gdzie tylko się zwróciłem, zaraz ktoś mnie podawał do sądu. Minęły dwa lata, nim w końcu udało się przegnać mnie z zawodu. Ale to nie był pech, prawda? To byłeś ty. Ukradłeś moje życie.

– Powinieneś czuć się zaszczycony, Norten. Musiałem cię złamać dwa razy. Za pierwszym razem udało mi się zniszczyć twoją karierę literacką dzięki *Blue Show*, ale tymczasem, za moimi plecami, zdołałeś zostać piekielnie popularnym dziennikarzem. Zdobywałeś nagrody, byłeś powszechnie znany i tak dalej. Było już za późno, żebym mógł na to cokolwiek poradzić. Musiałem wrócić jeszcze raz, żeby cię załatwić, zrobić wszystko od początku.

– Powiniennem cię zabić, Bunnish – usłyszał własne słowa Peter.

E. C. potrząsnął głową.

– Peter – odezwał się tonem człowieka wyjaśniającego jakieś zagadnienie kompletnemu kretynowi – wszystko to tylko wymyślny kawał. Nie traktuj Bunia poważnie.

Peter przeniósł wzrok na dawnego kolegę z drużyny.

– Nie, E. C. To prawda. Wszystko to prawda. Przestań się przejmować myślą o tym, że padłeś ofiarą kawału, i zastanów się spokojnie. To ma sens. Tłumaczy wszystko, co nas spotkało.

E. C. Stuart mruknął z niesmakiem, zmarszczył brwi i dotknął koniuszka wąsa.

– Posłuchaj kapitana, Stuart – powiedział Bunnish.

Peter popatrzył znów na niego.

– Dlaczego? Chcę się dowiedzieć dlaczego. Dlatego, że robiliśmy sobie z ciebie żarty? Śmialiśmy się z ciebie? Nie wiem, może i postępowaliśmy podle, ale wtedy to nie wydawało się takie okropne. Zresztą w znacznej mierze sam byłeś sobie winny. Ale bez względu na to, jak cię potraktowaliśmy, nie zasłużyliśmy na to. Byliśmy twoimi kolegami z drużyny, przyjaciółmi.

Uśmiech Bunnisha zwarzył się nagle. Dołeczki zniknęły.

– Nigdy nie byliście moimi przyjaciółmi.

Steve Delmario pokiwał z wigorem głową.

– Nie jesteś moim przyjacielem, Bunio. To prawda. Wiesz kim jesteś? Jesteś oferma. Zawsze byłeś cholernym oferma i dlatego nikt cię nie lubił. Ostrzyżonym na jeża nieudacznikiem. Cholera, wydaje ci się, że tylko z ciebie robiono żarty? A co z kawałami, które E. C. płatał Pete’owi, Lesowi i innym? – Pociągnął łyk. – A teraz kazałeś nam tu przyjechać, jak prawdziwy oferma. Jesteś tym samym Buniem co zawsze. Nie wystarczyło ci, że coś zrobiłeś, zawsze musiałeś się tym pochwalić, żeby wszyscy wiedzieli. A jeśli coś poszło źle, to nigdy nie była twoja wina, prawda? Zawsze przegrywałeś dlatego, że był za wielki hałas, złe oświetlenie albo coś w tym rodzaju. – Delmario wstał. – Rzygać mi się chce, jak na ciebie patrzę. No dobra, może i zniszczyłeś nam życie, a teraz nam o tym opowiedziałeś. Brawo, Bunio. Zabawiłeś się naszym kosztem, jak przystało ofermie, to teraz nas stąd wypuść.

– Popieram tę propozycję – rzekł E. C.

– Ależ nawet by mi to nie przyszło do głowy – zaprotestował Bunnish. – Jeszcze nie w tej chwili. Musimy jeszcze zagrać w szachy. Kilka partyjek, żeby wspomnieć dawne czasy.

Delmario zamrugał powiekami i zachwiał się lekko, trzymając się oparcia krzesła.

– Twoja partia – mruknął, przypominając sobie o wyzwaniu, które rzucił Bunnishowi przed kilkoma minutami. – Mieliśmy jeszcze raz przeanalizować tę partię.

Bunnish złożył zgrabnie dłonie przed sobą na blacie.

– Możemy zrobić coś lepszego – oznajmił. – Widzicie, jestem bardzo sprawiedliwy. Żaden z was nie dał mi szansy, ale ja dam ją wszystkim trzem. Ukradłem wam życie. Czy nie tak powiedziałaś, Norten? No cóż, przyjaciele, dam wam szansę, byście mogli je odzyskać. Zagrajmy w szachy. Powtórzmy tę partię, zaczynając od krytycznej pozycji. Ja wezmę bierki Vesselere’a, a wy moje. Możecie się ze sobą naradzać albo mogę grać z każdym z was osobno, wszystko mi jedno. Musicie tylko mnie pokonać, wygrać partię, jak waszym zdaniem powinienem był to zrobić, a wypuszczę was i dam wam wszystko, czego zechcecie. Pieniądze, nieruchomości, pracę, co chcecie.

– Idź do diabła, oferma – warknął Delmario. – Niepotrzebna mi twoja forsa.

Bunnish podniósł ze stołu swoje kieliszki i odwrócił je do góry dnem, uśmiechając się szeroko.

– Albo – dodał – jeśli wolicie, możecie wygrać szansę skorzystania z mojego urzędnictwa do podróży wstecznych. Będziecie mogli wrócić, ubiec mnie, zacząć wszystko od nowa, odzyskać życie, które było wam przeznaczone przed moją ingerencją. Zastanówcie się dobrze. Najlepsza szansa, jaką będziecie kiedykolwiek mieli. Do tego to takie łatwe. Musicie tylko wygrać wygraną partię.

– Wygrać wygraną partię to jedno z najtrudniejszych zadań w szachach – zauważył ponurym tonem Peter.

Jego umysł pracował już jednak jak opętany, a głęboko w trzewiach czuł ucisk podniecenia. Pomyślał, że ma szansę, szansę odbudowy z ruin swego życia, naprawienia wszystkiego. Uniknięcia błędnych posunięć, skosztowania smaku sukcesu zamiast goryczy porażki, wyzwolenia się od parodii, jaką stało się małżeństwo z Kathy. Martwe nadzieje ożyły na podobieństwo duchów i znowu zatańczyły na cmentarzu jego marzeń. Wiedział, że musi spróbować. Musi.

Upowiedział go jednak Steve Delmario.

– Potrafię wygrać tę partię – zagrział pijackim głosem. – Mógłbym to zrobić z zamkniętymi oczyma. Umowa stoi, Bunio. Dawaj szachownicę, skurczybyku!

Bunnish podniósł się z gromkim śmiechem, rozpościerając wielkie dłonie na blacie, żeby wesprzeć na nich swój ciężar.

– O, nie, Delmario. Nie będziesz się mógł potem tłumaczyć, że przegrałeś, bo byłeś pijany. Zmiażdżę cię, kiedy będziesz trzeźwy. Jutro. Zagram z tobą jutro.

Delmario zamrugał ze złością powiekami.

– Jutro – powtórzył.

* * *

Później, gdy byli sami w pokoju, Kathy naskoczyła na niego.

– Peter – zażądała – wyjedźmy stąd. Dzisiaj. Natychmiast.

Peter siedział przy kominku. W najwyższej szufladzie stojącego przy łóżku stolika znalazł małą szachownicę i ustawił na niej krytyczną pozycję z partii Vesselere-Bunnish, żeby ją przestudiować. Skrzywił się, niezadowolony, że żona mu przeszkadza.

– Wyjedźmy? – powtórzył. – A jak niby mamy to zrobić? Nasz samochód jest zamknięty w garażu.

– Gdzieś tu musi być telefon. Moglibyśmy go znaleźć i zadzwonić po pomoc. Albo po prostu pójść na piechotę.

– Jest grudzień, a my znajdujemy się w górach, wiele mil od ludzkich domostw. Gdybyśmy próbowali dojść gdziekolwiek na piechotę, zamarzlibyśmy na śmierć. Nie.

Ponownie spojrzął na szachownicę, próbując się skoncentrować.

– Peter – powiedziała gniewnym tonem Kathy.

Uniósł wzrok.

– Co znowu? – warknął. – Nie widzisz, że jestem zajęty?

– Musimy coś zrobić. To czysty oblęd. Bunnisha powinno się zamknąć w wariatkowie.

– On mówił prawdę – odparł Peter.

Twarz Kathy złagodniała. Na moment pojawiło się na niej coś podobnego do smutku.

– Wiem – rzekła cicho.

– Wiesz – powtórzył gwałtownie. – Wiesz, tak? A czy wiesz, jak się z tym czuję? Skurwysyn za to zapłaci. To on jest odpowiedzialny za wszystko, co złe w moim życiu. Kto wie, może nawet jest odpowiedzialny za ciebie.

Kathy poruszyła lekko ustami, ale jej oczy nawet nie drgnęły. Smutek i współczucie zniknęły z jej twarzy i Peter ujrzał znajome politowanie połączone z dojmującą pogardą.

– On tylko zmiążdży cię po raz kolejny – oznajmiła zimnym tonem. – Chce, żebyś pragnął tej szansy, ponieważ ma zamiar cię jej pozbawić. On cię pokona, Peter. Jak to ci się spodoba? Jak będziesz potem z tym żył?

Peter wbił wzrok w szachowe bierki.

– Tak, to właśnie zamierza zrobić. Ale to kretyn. To jest wygrana pozycja. Trzeba tylko znaleźć odpowiedni wariant. Do tego otrzymamy trzy szanse. Steve zagra pierwszy. Jeśli przegra, E. C. i ja będziemy mogli uczyć się na jego błędach. Ja nie przegram. Być może przegrałem wszystko inne, ale tym razem wygram. Zobaczysz.

– Tak jest, zobaczę – zgodziła się Kathy. – Ty żalosny sukinsynu.

Peter zignorował ją i poruszył bierkę. Skoczek bije piona.

* * *

Rano Kathy postanowiła zostać w apartamencie.

– Idź rozegrać tę cholerną partię, jeśli chcesz – oznajmiła Peterowi. – Ja wolę pomoczyć się w wannie i poczytać. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

– Jak sobie życzysz – odparł Peter.

Zatrzasnął za sobą drzwi, po raz kolejny myśląc, z jaką to wredną jędrzą się ożenił.

Na dole, w wielkim salonie, Bunnish ustawiał już bierki. Szachy, które wybrał, nie przypominały drogiego, ozdobnego kompletu z przyklejonymi bierkami, który stał w rogu. Takie figury ładnie wyglądały, ale nieszczególnie się nadawały do poważnej gry. Bunnish przesunął drewniany stół na środek pokoju i przyniósł typowe szachy turniejowe: winylową szachownicę z zielonymi i białymi polami, którą ostrożnie rozwinął, oraz wysłużone figury Staunton firmy Drueke, odlane z czarnego i białego plastiku, z ołowianymi ciężarkami u podstawy, nad filcem, żeby nie były za lekkie. Rozstawił z pamięci wszystkie bierki na odpowiednich pozycjach, ani razu nie spoglądając na szachownicę stojącą w kącie. Potem zaczął nastawiać zegar szachowy.

– No wiecie, nie można grać bez zegara – wyjaśnił z uśmiechem. – Nastawię go dokładnie tak samo, jak wtedy w Evanston.

Gdy już wszystko było przygotowane, Bunnish popatrzył z satysfakcją na szachownicę i usiadł na pozycji Vesselere'a.

– Gotowy? – zapytał.

Steve Delmario zasiadł naprzeciwko niego. Był blady i wyglądał na straszliwie skacowanego. Trzymał w dłoni wielką szklanę soku pomarańczowego, a jego oczy poruszały się nerwowo za grubymi szklami.

– Aha – potwierdził. – Możemy zaczynać.

Bunnish nacisnął przycisk uruchamiający zegar Delmaria.

Delmario bardzo szybko wyciągnął rękę i zagrał skoczek bije piona – bierki stuknęły lekko o siebie w momencie bicia – a potem nacisnął guzik zabitym pionem, zatrzymując własny zegar i uruchamiając zegar Bunnisha.

– Poświęcenie – zauważył Bunnish. – Cóż za niespodzianka.

Zabił skoczka.

Delmario zagrał goniec bije piona, poświęcając kolejną figurę. Bunnish był zmuszony pobić ją królem. Nie sprawiał wrażenia, by się tym przejął. Uśmiechał się blado, na jego wielkich policzkach zaznaczały się płytkie dołeczki, a widoczne za barwionymi szklami oczy były czyste, bystre i radosne.

Steve Delmario pochylił się nad szachownicą. Jego ciemne oczy przesuwają się raz po raz to w tę, to w tamtą, jakby chciał się upewnić, że wszystkie bierki faktycznie są tam, gdzie powinny. Skrzyżował nogi i znowu je rozprostował. Stojący za nim Peter niemalże wyczuwał bijące od niego fale napięcia. E. C. Stuart, który siedział w wygodnym fotelu w odległości kilku stóp, również wpatrywał się z uwagą w szachownicę. Zegar tykał cicho. Delmario uniósł rękę, by poruszyć hetmana, ale zawahał się z palcami zwisającymi nad figurą. Dłoń mu drżała.

– O co chodzi, Steve? – zapytał Bunnish. Złożył dłonie w piramidkę pod brodą i uśmiechnął się, gdy Delmario spojrzał na niego. – Wahasz się? Nie wiesz, że ten, kto się waha, musi przegrać? Nagle ogarnęły cię wątpliwości? Z pewnością to niemożliwe. Zawsze byłeś taki pewny siebie. Ile matów mi dałeś? No, ile?

Delmario zamrugnął powiekami, marszcząc brwi.

– Dam ci jeszcze jednego, Bunio – zapowiedział ze złością. Wziął w palce hetmana i przesunął go na drugi koniec szachownicy.

– Szach.

– Tak – mruknął Bunnish.

Peter przyjrzał się pozycji. Poświęcenie dwóch figur oczyściło z pionów przedpole czarnego króla, a szach hetmanem nie pozwalał na odwrót. Bunnish przesunął króla w stronę środka szachownicy, ku czekającej tam armii białych. Z pewnością musiał przegrać. Wszyscy jego obrońcy byli na skrzydle hetmańskim, a nieprzyjaciół otaczał go zewsząd. Bunnish nie sprawiał jednak wrażenia zaniepokojonego.

Delmario przyjrzał się pozycji, pociągnął łyk soku pomarańczowego i przesunął się niespokojnie na krześle. Bunnish ziewnął, po czym uśmiechnął się drwiąco.

– Wtedy wygrałeś, Delmario. Pokonałeś mistrza. Byłeś jedynym zwycięzcą w naszej drużynie. Czy teraz nie widzisz drogi do zwycięstwa? Gdzie są te wszystkie maty, he?

– Jest ich tyle, że nie wiem, który wybrać, Bunio – odparł Steve. – A teraz zamknij się, do cholery. Chcę się zastanowić.

– Aha – odparł Bunnish. – Przepraszam.

Delmario wykorzystał całe dziesięć minut, nim wreszcie wykonał ruch ocalałym skoczkiem.

– Szach.

Bunnish ponownie przestawił króla do przodu.

Delmario oblizał wargi i przesunął hetmana.

– Szach.

Bunnish uciekł królem w bok, w kierunku bezpiecznego skrzydła hetmańskiego.

Delmario przesunął naprzód piona.

– Szach.

Bunnish musiał bić. Zabił królem bezczelnego piona, uśmiechając się z zadowoleniem.

Droga się otworzyła i Delmario mógł uruchomić wieże. Poruszył jedną z nich.

– Szach.

Ścigany król Bunnisha znowu uciekł.

Delmario ruszył wieżą do przodu, zatrzymując się tuż obok nieprzyjacielskiego króla.

– Szach! – oznajmił głośno.

Peter mimo woli wciągnął gwałtownie powietrze w płuca. Wieża była nieosłonięta! Bunnish mógł ją po prostu zabić. Przyjrzał się uważnie szachownicy nad plecami Delmaria. Tak, Bunnish mógłby zabić wieżę królem, ale wtedy do akcji włączyłaby się druga wieża, a kiedy hetman przesunąłby się o jedno pole... tak, ten wariant prowadził do zbyt wielu pozycji grożących matem. Czarne miały wiele możliwości, lecz wszystkie one prowadziły do katastrofy. Ale jeśli Bunnish zabije skoczkiem zamiast królem, zostawiając pole bez osłony... hmm... hmm... szach hetmanem, król jedno pole w górę, goniec na pole... nie, ta droga prowadziła do jeszcze szybszego mata.

Delmario dopił sok i odstawił pustą szklankę z pełną zadowolenia miną.

Bunnish przesunął króla skośnie do przodu. Peter pomyślał, że to był jedyny możliwy ruch. Delmario pochylił się nad szachownicą. Stojący za jego plecami Peter zrobił to samo. Białe bierki osaczyły osamotnionego czarnego króla, ale jak zacieśnić sieć, by spowodować mata? Steve miał trzy różne możliwości szacha. Nie, cztery, bo mógł zrobić jeszcze to... Peter patrzył na szachownicę, analizując bezgłośnie pozycję. Szach wieżą do niczego nie prowadził. Król po prostu się wycofa, a kolejne szachy zapędzą go w bezpieczne miejsce. Goniec? Nie, Bunnish mógł sobie pozwolić na wymianę, zabić go wieżą. W końcu miał dwie figury przewagi. Od dwóch szachów hetmanem prowadziło kilka różnych subwariantów. Peter nadal próbował się zorientować, dokąd one zmierzają, gdy Delmario wyciągnął nagle

rękę i przesunął o dwa pola piona stojącego przed jego królem. Walnął nim mocno o szachownicę i wyłączył zegar.

– Twój ruch, Bunio – oznajmił.

Peter nadal przyglądał się szachownicy. Ostatni ruch Delmaria nie prowadził do szacha, ale odcinał ważną drogę odwrotu. Zagrożający szach wieżą nie wyglądał już tak niewinnie. Zamiast ucieczki w bezpieczne miejsce czarnego króla czekał mat w trzech posunięciach. Oczywiście, teraz był ruch Bunnisha, który mógł ściągnąć jakiegoś obrońcę. Jego hetman mógłby... nie, szach hetmanem, król pole do tyłu, szach wieżą i strata czarnego hetmana... może gońcem... nie, szach i mat w jednym posunięciu, nie do obrony. Im dłużej Peter przyglądał się szachownicy, tym mniej widział szans dla czarnych. Bunnish mógł odwlekać porażkę, ale nie był w stanie jej powstrzymać. Był rozbity!

Ale nie wyglądał na rozbitego. Wziął bardzo spokojnie skoczkę w rękę i przesunął go na b6.

– Szach – powiedział cicho.

Delmario wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Peter również. E. C. Stuart wstał z fotela i podszedł bliżej, głaszcząc palcem wąsy. Peter pomyślał, że ten szach to tylko strata czasu. Delmario mógł pobić skoczkę jednym z dwóch pionów albo po prostu przesunąć króla. Tyle że... Peter skrzywił się wściekle... jeśli białe pobiją pionem, czarne zaszachują hetmanem, król przesunie się na b1, hetman bije piona i szachuje, król... nie, niedobrze. Białe dostają wymuszonego mata. Drugi wariant wydawał się prowadzić do jeszcze szybszego mata, po szachu hetmanem z ostatniego rzędu.

Delmario przesunął króla naprzód.

Bunnish wykonał ruch gońcem.

– Szach.

Steve'owi został tylko jeden ruch. Ponownie przesunął króla do przodu. Białe naciskały, ale sieć czarnych pozostała nienaruszona i mógł do niej wrócić, gdy tylko skończy się seria szachów.

Bunnish przesunął skoczkę do tyłu, co doprowadziło do kolejnego szacha.

Delmario mrugał nerwowo, poruszając nogami pod stołem. Peter zauważył, że jeśli Steve cofnie króla, czeka go seria szachów prowadząca do mata... ale czarnego skoczkę można było teraz zbić wieżą albo hetmanem... Delmario zrobił to wieżą.

Bunnish zbił wysuniętego do przodu piona białych, usuwając jeden z narożników otaczającej jego króla sieci. Teraz Delmario mógł zagrać hetman bije hetmana, ale w takim przypadku straciłby własnego hetmana, a po następnych wymianach, do których by doszło, jego pozycja stałaby się beznadziejna. Dlatego cofnął się królem.

Bunnish cmoknął i zabił białego skoczkę hetmanem, po raz kolejny prowokując Delmaria, żeby go zbił. Po stracie skoczkę i piona szanse na mata właściwie się rozwiały, a jeśli białe pobiją czarnego hetmana, nastąpi szach, związanie, bicie, bicie, bicie i... Peter

zazgrzytał zębami... i białe nagle znajdują się w końcu słabsze o figurę. Ich sytuacja stanie się beznadziejna. Nie. Musiało być jakieś lepsze wyjście. Ta pozycja nadal oferowała szerokie możliwości. Peter nie odrywał wzroku od szachownicy, analizując warianty.

Steve Delmario również gapił się na szachownicę. Jego zegar tykał. To był jeden z tych nowomodnych zegarów z licznikiem ruchów. Pokazywał, że Delmario musi jeszcze wykonać siedem posunięć przed osiągnięciem limitu czasu. Zostało mu niespełna piętnaście minut. Popadał w lekki niedoczas, ale nie było to nic poważnego.

Tyle że Delmario siedział nieruchomo, przesuwając spojrzeniem po szachownicy. Zdjął okulary i wytarł je metodycznie o połę koszuli. Kiedy włożył je z powrotem, sytuacja się nie zmieniła. Wbił wzrok w czarnego króla, jakby chciał go przewrócić siłą spojrzenia. Wreszcie zaczął się podnosić.

– Muszę się napić – oznajmił.

– Przyniosę ci – warknął Peter. – Siadaj. Zostało ci tylko osiem minut.

– Aha – zgodził się Delmario i usiadł.

Peter poszedł do barku i nalał mu wódki z sokiem pomarańczowym. Steve wypił jednym haustem połowę szklanki, ani na moment nie odrywając spojrzenia od szachownicy.

Peter zerknął na E. C. Stuarda. E. C. potrząsnął głową i popatrzył na sufit. Nie odezwał się ani słowem, ale Peter zrozumiał, co chciał mu powiedzieć: „Zapomnij o tym”.

Steve Delmario z każdą chwilą stawał się coraz bardziej podekscytowany. Na zegarze zostały mu tylko trzy minuty. Wyciągnął rękę, ale zmienił zdanie i cofnął ją. Przesunął się nerwowo, podciągnął nogi, pochylił bliżej nad szachownicą aż jego nos dzieliło od figur zaledwie parę cali. Jego zegar nadal tykał.

Delmario ciągle gapił się na szachownicę, gdy Bunnish oznajmił z uśmiechem:

– Twoja chorągiewka opadła.

Steve podniósł spojrzenie, zamrugał i rozdziawił szeroko usta.

– Czas – sprzeciwił się z nerwowością w głosie. – Potrzebuję trochę czasu, żeby znaleźć zwycięski ruch. On musi gdzieś być, wszystkie te szachy...

Bunnish wstał.

– Czas minął, Delmario. To już nie ma znaczenia. Przegrałeś.

– NIE! Nie przegrałem, do cholery, to można wygrać...

Peter położył dłoń na jego ramieniu.

– Spokojnie, Steve – powiedział. – Przykro mi, ale Bruce ma rację. Przegrałeś.

– Nie – upierał się Delmario. – Wiem, że zwycięska kombinacja istnieje, muszę tylko... muszę tylko... tylko...

Jego prawa dłoń, wisząca nad szachownicą, zaczęła drżeć gwałtownie. Przewrócił własnego króla.

Na policzkach Bunnisha pojawiły się dołeczki.

– Posłuchaj kapitana, zwycięzco – powiedział.

Potem odwrócił wzrok od Delmaria i spojrzał na E. C., który przyglądał się temu spodoba.

– Kolej na ciebie, Stuart. Jutro, w tym samym czasie i miejscu.

– A jeśli nie zechcę grać? – zapytał E. C. ze wzgardą w głosie.

Bunnish wzruszył ramionami.

– Jak sobie życzysz – odparł. – Ja przyjdę i szachownica będzie czekała. Włączę twój zegar o czasie. Możesz przegrać na szachownicy albo walkowerem. Tak czy inaczej, przegrasz.

– A ja? – zapytał Peter.

– Ciebie zostawiłem sobie na koniec, kapitanie – wyjaśnił Bunnish.

* * *

Steve Delmario był zdruzgotany. Nie chciał odejść od szachownicy. Wstawał z krzesła tylko po to, żeby zrobić sobie kolejnego drinka. Przez resztę poranka i większą część popołudnia pozostawał przyklejony do miejsca. Pił niczym smok i przesuwiał szachowe bierki jak opętany, raz po raz rozgrywając tę samą partię. Około południa pożarł parę kanapek, które zrobił mu Peter, ale nie sposób było do niego przemówić, uspokoić go. Delmario pochłaniał alkohol z niewiarygodną szybkością i wszystko wskazywało na to, że za jakąś godzinę upije się do nieprzytomności.

Po pewnym czasie Peter i E. C. zostawili Delmaria samego i poszli na górę. Peter zapukał do drzwi ich apartamentu.

– Jesteś ubrana, Kathy? Jest ze mną E. C.

Otworzyła drzwi. Miała na sobie dzinsy i t-shirt.

– Można powiedzieć, że ubrana – stwierdziła. – Wejdźcie. I jak udała się wielka gra?

– Delmario przegrał – przyznał Peter. – Ale niewiele brakowało. Przez chwilę myślałem, że go mamy.

Kathy prychnęła pogardliwie.

– I co teraz? – zapytał E. C.

– Będziesz jutro grał?

Wzruszył ramionami.

– Równie dobrze mogę zagrać. Nie mam nic do stracenia.

– Świetnie – ucieszył się Peter. – Możesz go pokonać. Steve był bliski zwycięstwa, a wszyscy widzimy, w jakim jest stanie. Musimy przeanalizować partię, zorientować się, w którym miejscu popełnił błąd.

E. C. dotknął palcami wąsów. Miał spokojną zamyśloną minę.

– Ten ruch pionem – zasugerował. – Ten, po którym nie było szacha. To naraziło białe na kontratak.

– Ale także pozwoliło zamknąć się – sprzeciwił się Peter. Obejrzał się za siebie i zobaczył, że Kathy stoi obok ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami. – Mogłabyś przynieść szachownicę z sypialni? – zapytał. Kiedy wyszła, spojrzał z powrotem na E. C. – Myślę, że Steve był już pokonany w chwili, gdy wykonał ten ruch pionem. To było jego jedyne dobre posunięcie. Stworzył mnóstwo zagrożeń. Wszystkie inne szanse rozplywały się po kilku szachach. Wydaje mi się, że popełnił błąd wcześniej.

– Wszystkie te szachy – zastanawiał się E. C. – Być może był o jeden za wiele?

– W rzeczy samej – zgodził się Peter. – Zamiast wymusić mata, Steve zapędził Bunia w bezpieczne miejsce. Musisz być w tym punkcie ostrożny.

– Zgadzam się.

Kathy przyniosła szachownicę i położyła ją na niskim stoliku między nimi. Peter pośpiesznie ustawił krytyczną pozycję, a Kathy usiadła ze skrzyżowanymi nogami na podłodze. Gdy jednak zaczęli analizę, szybko się znudziła i wstała z pełnym niesmakiem mruknięciem.

– Obaj macie świra – oznajmiła. – Pójdę po coś do jedzenia.

– Przynieś też coś dla nas, dobra? – poprosił Peter. – I parę piw.

Ale gdy postawiła obok nich tacę, ledwie to zauważył. Siedzieli nad szachownicą jeszcze długo po zmierzchu. Tylko Kathy zeszła na kolację z Bunnishem.

– On jest obrzydliwy – oznajmiła po powrocie z emfazą tak wielką, że Peter aż oderwał wzrok od szachownicy. Ale tylko na chwilę.

– Spróbuj tego – zaproponował E. C., ruszając skoczkiem, i Peter znowu zajął się grą.

* * *

– Widzę, że zdecydowałeś się grać, Stuart – odezwał się następnego ranka Bunnish.

E. C. był świeży i wypoczęty, rudoblond włosy miał starannie wyczesane i wyszczotkowane, a w dłoni trzymał kubek z gorącą, czarną kawą. Skinął energicznie głową.

– Jesteś bystry jak zawsze, Brucie.

Bunnish zachichotał.

– Jest jeszcze jedna sprawa – ciągnął E. C., unosząc palec. – Nadal nie wierzę w tę twoją bzdurną historyjkę o podróżach w czasie. Owszem, zagramy, ale o forszę, a nie o żadne tam podróże wsteczne. Jasne?

– Wy, żartownisie, jesteście bardzo podejrzliwi – zauważył z westchnieniem Bunnish. – Jak sobie życzysz, oczywiście. Chcesz pieniędzy, niech będą pieniądze.

– Milion dolarów.

Bunnish uśmiechnął się szeroko.

– To dla mnie drobiazg. Ale zgoda. Jeśli mnie pokonasz, wyjedziesz stąd z milionem dolarów. Mam nadzieję, że przyjmiesz czek.

– Potwierdzony – odparł E. C. i spojrzął na Petera. – Będziesz moim świadkiem.

Peter skinął głową. Byli tu dziś tylko we trzech. Kathy wykazała stanowczy brak zainteresowania, a Delmario odsypiał w pokoju pijaństwo.

– Gotowy? – zapytał Bunnish.

– Zaczynaj.

Bunnish włączył zegar. E. C. wyciągnął rękę i zagrał skoczek bije piona. Poruszał się szybko i ekonomicznie. Bunnish zabił skoczka i E. C. bez chwili wahania poświęcił gońca. Bunnish wykonał drugie bicie i przełączył zegar.

E. C. Stuart potarł wąsy, wyciągnął rękę i wykonał ruch pionem. Bez szacha.

– Ach – odezwał się Bunnish. – Tak lepiej. Masz coś w zanadrzu, prawda? No pewnie. E. C. Stuart zawsze ma coś w zanadrzu. Wesoły, nieprzewidywalny E. C. Stuart. Cóż za poczucie humoru. Cóż za wyobraźnia.

– Graj w szachy, Brucie – warknął E. C.

– Oczywiście.

Gdy Bunnish studiował pozycję, Peter podszedł bliżej do szachownicy. Wczoraj wielokrotnie analizowali partię i w końcu doszli do wniosku, że szach hetmanem, który zagrał Delmario po podwójnej ofercie, był błędem. Ta pozycja oferowała kilka innych szachów, ale po wielogodzinnej analizie odrzucili je wszystkie. Każdy z nich tworzył wiele możliwości pułapek i matów, gdyby czarne popełniły błąd, ale przeciwko poprawnej grze żaden z tych wariantów nie wydawał się skuteczny, a musieli przyjąć założenie, że Bunnish będzie grał poprawnie.

Ruch pionem był bardziej obiecujący. Subtelniejszy. Silniejszy. Otwierał przed białymi bierkami linie ataku i tworzył kolejną barierę między czarnym królem a bezpiecznym skrzydłem hetmańskim. Białe mogły teraz stworzyć wiele zagrożeń. Bunnish miał się nad czym zastanawiać.

Ale nie zastanawiał się nawet w przybliżeniu tak długo, jak spodziewał się tego Peter. Przyglądał się pozycji tylko przez parę minut, a potem wziął w rękę hetmana i zbił niebronionego białego piona w kolumnie a. Schował zbitego piona w dłoni, ziewnął i rozwalił się niedbale na krześle, jakby niczym się nie przejmował.

E. C. Stuart łypnął na niego przelotnie, przyglądając się pozycji. Peter również był zaniepokojony. Przemknęło mu przez głowę, że ten ruch powinien mocniej przestraszyć Bunnisha. Białe mogły stworzyć tak wiele zagrożeń... ostatniej nocy przeanalizowali dokładnie wszystkie możliwości, rozgrywając kolejne warianty i subwarianty, aż w końcu byli pewni, że znaleźli zwycięską kombinację. Peter położył się spać z uczuciem bliskim triumfu. Bunnish miał kilkanaście możliwości obrony przed ich atakiem pionem. Nie mieli pojęcia, którą z nich wybierze, więc musieli się upewnić, że wszystkie prowadzą do porażki.

Okazało się jednak, że Bunnish ich wymanewrował. Nie zagrał żadnej z przewidywanych przez nich kombinacji. Po prostu zignorował groźbę mata ze strony E. C. i spokojnie zbił

piona, jak zupełny patałach. Czyżby coś przeoczyli? Gdy E. C. zastanawiał się nad najlepszym kontrposunięciem, Peter przysunął krzesło do szachownicy, żeby w spokoju przeanalizować pozycję.

„Nic się nie zmieniło” – pomyślał. Bunnish mógł w następnym posunięciu zaszachować białego króla, jeśli zechce, przesuwając hetmana do ostatniego rzędu. To jednak nie miało znaczenia. E. C. nie osłabił swojego skrzydła hetmańskiego, tak jak wczoraj Steve, który za bardzo śpieszył się do mata. Jeśli Bunnish go zaszachuje, Stuart po prostu cofnie króla na d2. Wtedy czarny hetman będzie zagrożony przez wieżę i będzie zmuszony się wycofać albo zabić kolejnego bezwartościowego piona. A tymczasem Bunnish dostanie mata pośrodku szachownicy. Im dłużej Peter analizował warianty, tym silniej był przekonany, że Bunnish nie ma szans na kontratak podobny do tego, jakim rozbił Steve’a Delmario.

E. C. przyglądał się szachownicy dłużej i uważnie, aż wreszcie najwyraźniej doszedł do tego samego wniosku. Wyciągnął spokojnie rękę i poruszył skoczkiem, na dobre zamykając sieć wokół osamotnionego króla przeciwnika. Teraz szach hetmanem doprowadzi do mata w jednym posunięciu. Bunnish mógł zabić dominującego gońca, ale wtedy E. C. zrewanżuje się wieżą i mat nastąpi szybko, bez względu na wysiłki czarnych.

Bunnish uśmiechnął się do przeciwnika i leniwym ruchem przesunął hetmana o jedno pole, do ostatniego rzędu.

– Szach – oznajmił.

E. C. poprawił wąsy, wzruszył ramionami, przesunął króla do przodu i przełączył zamaszystym ruchem zegar.

– Przegrałeś – oznajmił bez ogródek.

Peter był skłonny się zgodzić. Ten ostatni szach do niczego nie doprowadził. W gruncie rzeczy wydawało się, że jeszcze pogorszył położenie czarnych. Zagrożenie matem nie zniknęło, było równie niepowstrzymane jak przedtem, a teraz czarny hetman też był wystawiony na atak. Mógł się rzecz jasna wycofać, ale i tak nie zdąży pomóc w obronie. Bunnish powinien być nerwowy i przygnębiony.

On jednak uśmiechał się tak szeroko, że wydawało się, iż jego tłuste policzki zaraz rozszczepią się na dwoje.

– Przegrałem? – powtórzył. – Ach, Stuart, tym razem to ja zrobię ci kawał! – Zachichotał jak nastolatka i przesunął hetmana wzdłuż ostatniego rzędu, zabijając białą wieżę. – Szach!

Peter Norton nie grał turniejowej partii już od bardzo dawna, ale wciąż jeszcze pamiętał, jakie to uczucie, gdy przeciwnik nagle wykona nieoczekiwany ruch, który zmienia przebieg partii: najpierw krótka chwila dezorientacji, pytanie „co jest grane?”, a potem panika, gdy gracz uświadamia sobie siłę niespodziewanego posunięcia, straszliwe poczucie klęski, które narasta, w miarę jak wypróbowuje w głowie kolejne nie przynoszące zwycięstwa warianty. To najgorsze chwile w grze w szachy.

Tak właśnie czuł się teraz Peter.

Przeoczyli to całkowicie. Bunnish poświęcał hetmana, zamieniał go na wieżę. W normalnej sytuacji takie poświęcenie byłoby nie do pomyślenia, ale nie w tej pozycji. E. C. musiał bić. Peter uświadomił sobie z przerażającą jasnością że jeśli Stuart zrobi to królem, czarne będą miały zwycięską kombinację. To znaczyło, że musi użyć wieży, odciągając ją od kluczowej obrony skoczka w centrum, a wtedy... o cholera!

E. C. próbował znaleźć inne wyjście przez ponad piętnaście minut, ale innego wyjścia nie było. Zagrał wieża bije hetmana. Bunnish szybko zabił własną wieżę skoczka, który przed zaledwie dwoma posunięciami zajął tak groźną pozycję. Potem Bunnish z bezlitosną precyzją zaczął wymuszać następne wymiany, upraszczając sytuację i usuwając kolejne zagrożenia. Nagle przeszli do końcówki. E. C. miał hetmana i pięć pionów, Bunnish zaś wieżę, dwa gońce, skoczka i cztery piony, a – o ironio – jego jeszcze niedawno zagrożony król zajmował teraz potężną pozycję pośrodku szachownicy.

Partia ciągnęła się jeszcze godzinami. E. C. uparcie dawał szacha za szachem swym osamotnionym hetmanem, licząc na to, że zabije jakąś niechronioną bierkę albo może wymusi remis przez powtórzenie. Bunnish był jednak za dobrym graczem, by ulec takiej desperackiej taktyce. To była wyłącznie kwestia techniki. W końcu E. C. przewrócił króla.

– Myślałem, że sprawdziliśmy wszystkie możliwe warianty obrony – stwierdził odrętwiały Peter.

– Ależ, kapitanie – odparł radośnie Bunnish. – Każda próba obrony kończy się porażką. Broniące bierki blokują drogę ucieczki albo po prostu przeszkadzają. Dlaczego miałbym wam pomagać w daniu mi mata? Wolałbym, żebyście spróbowali zrobić to sami.

– Zrobię to – zapowiedział gniewnie Peter. – Jutro.

Bunnish zatarł dłonie.

– Nie mogę się doczekać!

* * *

Tym razem sekcję przeprowadzili w apartamencie E. C. Kathy – która przywitała złe wieści słowami „a nie mówiłam” i pogardliwym uśmiechem – oznajmiła, że nie chce, żeby siedzieli pół nocy nad szachownicą w jej obecności. Powiedziała Peterowi, że zachowuje się jak dziecko. Wymienili gniewne słowa i wzburzony Peter wyszedł.

Kiedy przeszedł do E. C., ten analizował poranną porażkę w towarzystwie Delmaria. Steve miał okropnie przekrwione oczy, ale wyglądał na trzeźwego, choć raczej wycieńczonego. Popijał kawę.

– I jak to wygląda? – zapytał Peter, przyciągając sobie krzesło.

– Źle – odparł E. C.

Delmario skinął głową.

– Cholera, gorzej niż źle. Zaczyna wyglądać na to, że to cholerne poświęcenie to jednak słaby wariant. Nie mogę w to uwierzyć, po prostu nie mogę. To wygląda bardzo obiecująco. Musi być jakaś droga prowadząca do zwycięstwa. Musi. Ale za cholere nie potrafię jej znaleźć.

– Ruch, którym nas dzisiaj zaskoczył, grozi nam w wielu różnych wariantach – dodał E. C. – Nie zapominaj, że musimy oddać dwie figury, żeby osiągnąć tę pozycję, a to, niestety, oznacza, że Brucie może sobie z łatwością pozwolić na poświęcenie części swoich bierek, żeby wydostać się z tej kabały. I tak ma potem przewagę i wygrywa końcówkę. Znaleźliśmy parę udoskonaleń tego, co zagrałem dziś rano...

– Ten skoczek nie musi paść – wtrącił Delmario.

– ...ale one nie są przekonujące – dokończył E. C.

– Zastanawiałeś się kiedyś, czy Bunio jednak nie miał racji? – zapytał Delmario. – Może to poświęcenie nie jest dobrym ruchem, może ta partia wcale nie była wygrana?

W jego głosie dało się słyszeć nutę smętnego niedowierzania.

– Jest z tym jeden kłopot – zauważył Peter.

– Tak?

– Dziesięć lat temu, kiedy Bunnish przepieprzył partię i mecz, Robinson Vesselere przyznał, że był pokonany.

– To prawda – potwierdził E. C. z zamyśloną miną. – Zapomniałem o tym.

– Vesselere był bliski stopnia arcymistrza. Na pewno wiedział, co mówi. Zwycięska kombinacja istnieje i zamierzam ją znaleźć.

Delmario splótł dłonie i wrzasnął radośnie:

– Cholera, Pete, masz rację! Ruszajmy!

* * *

– Marnotrawny mąż wreszcie powrócił – powiedziała z nutą ironii Kathy, gdy Peter wszedł do apartamentu. – Masz może pojęcie, która godzina?

Kathy siedziała na krześle przy kominku, choć pozostały w nim już tylko popioły i węgielki. Miała na sobie ciemny szlafrok, a koniec papierosa, którego paliła, był jasnym punkcikiem w mroku. Peter wszedł do pokoju z uśmiechem na ustach, ale teraz zmarszczył brwi. Kathy kiedyś paliła bardzo dużo, lecz skończyła z tym już przed laty. Teraz sięgała po papierosa, tylko gdy była bardzo zdenerwowana, a to z reguły oznaczało, że czeka ich paskudna kłótnia.

– Jest późno – przyznał Peter. – Nie wiem, jak późno. Co to ma za znaczenie? – Spędził z E. C. i Steve'em większą część nocy, ale było warto. Znaleźli to, czego szukali. Peter był zmęczony, ale podekscytowany. Spodziewał się, że jego żona już śpi. Nie miał nastroju na żale. – Mniejsza o czas – powiedział, starając się ją udobruchać. – Znaleźliśmy to, Kath.

Zgasła metodycznie papierosa.

– Co znaleźliście? Jakiś nowy ruch, który waszym zdaniem pozwoli pokonać naszego psychopatycznego gospodarza? Nie rozumiesz, że nic mnie nie obchodzi ta głupia gra? Nie słuchasz, co do ciebie mówię? Czekałam na ciebie pół nocy, Peter. Jest już prawie trzecia rano. Chcę porozmawiać.

– Tak? – warknął Peter, poirytowany jej tonem. – A czy przyszło ci kiedyś do głowy, że może nie chcę cię słuchać? No to niech ci przyjdzie. Mam jutro grać ważną partię. Muszę się wyspać. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby wydzierać się na ciebie aż do świtu. Rozumiesz? Dlaczego raptem zachciało ci się rozmawiać? Co masz mi do powiedzenia, czego jeszcze nie słyszałem?

Kathy roześmiała się złośliwie.

– Mogłabym ci opowiedzieć parę rzeczy o twoim starym kumplu Bunnishu, których jeszcze nie słyszałeś.

– Bardzo w to wątpię.

– Tak? A czy wiesz, że od dwóch dni stara się zaciągnąć mnie do łóżka?

Wypowiedziała te słowa drwiącym tonem, cisnęła mu je w twarz. Peter poczuł się jak uderzony.

– Co takiego?

– Siadaj i słuchaj – warknęła.

Otępiały Peter wykonał polecenie.

– Zrobiłaś to? – zapytał, patrząc na jej sylwetkę w ciemności, na ledwie widoczną złowieszczą postać, która była jego żoną.

– Czy to zrobiłam? Chodzi ci o to, czy z nim spałam? Jezu, Peter, jak możesz o to pytać? Czy aż tak bardzo mną gardzisz? Prędzej bym się przespała z karaluchem. Zresztą on mi przypomina karalucha. – Zachichotała smętnie. – Nie jest przy tym zbyt wyrafinowanym uwodzicielem. Zaoferował mi pieniądze.

– Dlaczego mi o tym opowiadasz?

– Chcę ci wbić do głowy odrobinę rozsądku! Nie widzisz, że Bunnish próbuje cię zniszczyć, próbuje zniszczyć was wszystkich wszelkimi dostępnymi sposobami? Nie chodziło mu o mnie. Chciał po prostu skrzywdzić w ten sposób ciebie. A ty dajesz mu się wodzić za nos, razem z tymi swoimi kretyńskimi kumplami. Ulegasz obsesji na punkcie tej idiotycznej partii szachów, tak samo jak on. – Pochyliła się nad nim. Dostrzegał niewyraźnie rysy jej twarzy. – Peter – ciągnęła niemal błagalnym tonem. – Nie graj z nim. On cię pokona, kochanie, tak jak pokonał tamtych dwóch.

– Nie sądzę, kochanie – wyszczał Peter przez zaciśnięte zęby. Czułe słowo stało się w jego ustach epitetem. – Czemu zawsze tak chętnie przepowiadasz moją porażkę, co? Czy nie możesz być dla mnie oparciem, chociaż na cholerną chwilkę? A jeśli nie chcesz mi pomóc, to czemu po prostu się nie odchrzanisz? Mam cię już po dziurki w nosie, niech to szlag. Zawsze

tylko mnie umniejszasz, drwisz ze mnie. Nigdy we mnie nie wierzyłaś. Nie wiem, po jaką cholere za mnie wyszłaś, jeśli zależy ci tylko na tym, żeby zamieniać moje życie w piekło. Daj mi wreszcie spokój!

Po wybuchu Petera na długą chwilę zapadła cisza. Siedział niedaleko od niej w ciemnym pokoju i niemalże czuł, jak narasta w niej wściekłość. Był przekonany że Kathy zaraz zacznie krzyczeć. Wtedy on odpowie tym samym, ona coś potłucze, on ją złapie i oboje wyciągną noże. Zamknął oczy, drżał. Czuł, że jest bliski łez. Pomyślał, że nie chce tego. Naprawdę nie chce.

Kathy jednak go zaskoczyła. Kiedy się odezwała, jej głos brzmiał niespodziewanie delikatnie.

– Och, Peter – powiedziała. – Nigdy nie chciałam cię skrzywdzić. Proszę. Ja cię kocham.

To go zdumiało.

– Kochasz mnie? – powtórzył ze zdziwieniem.

– Wysłuchaj mnie, proszę. Jeśli coś nas jeszcze łączy, to wysłuchaj mnie chociaż przez kilka minut. Proszę.

– Dobra – zgodził się.

– Peter, kiedyś w ciebie wierzyłam. Z pewnością pamiętasz, jak dobrze nam się układało na początku? Wtedy byłam dla ciebie wsparciem, prawda? Przez kilka pierwszych lat, kiedy pisałeś swoją powieść? Pracowałam, dbałam, żebyśmy mieli co jeść. Dałam ci czas na pisanie.

– Tak, tak – potwierdził. Do jego głosu wracał powoli gniew. Kathy wypominała mu to już przedtem, powtarzała z naciskiem, że utrzymywała ich przez dwa lata, podczas gdy on pisał książkę, która okazała się makulaturą. – Oszczędź mi swoich wyrzutów, dobrze? To nie była moja wina, że nikt nie chciał wydać tej książki. Słyszałaś, co powiedział Bunnish.

– Nie robię ci wyrzutów, do cholery! – warknęła. – Dlaczego zawsze doszukujesz się krytyki we wszystkim, co mówię? – Potrząsnęła głową i odzyskała panowanie nad sobą. – Proszę, Peter, nie utrudniaj mi zadania. Musimy przezwyciężyć wiele lat bólu, uleczyć wiele ran. Wysłuchaj mnie. Mówiłam, że kiedyś w ciebie wierzyłam. Nawet po powieści... po tym, jak ją spaliłeś... nawet wtedy. Ale utrudniałeś mi to. Nie uważałam cię za nieudacznika, ale ty tak o sobie myślałeś, i to cię zmieniło, Peter. Poddałeś się temu uczuciu. Zrezygnowałeś z pisarstwa, zamiast zacisnąć zęby i napisać drugą książkę.

– Tak, wiem, że nie byłem wystarczająco twardy – przyznał. – Słabeusz. Mięczak.

– Zamknij się! – zawołała poirytowana. – Ty to powiedziałeś, nie ja. Kiedy zająłeś się dziennikarstwem, nadal w ciebie wierzyłam. Ale wszystko poszło źle. Wylali cię, potem przysły procesy i kompromitacja. Przyjaciele zaczęli się od nas odwracać. A ty cały czas uparcie twierdziłeś, że to nie twoja wina. Straciłeś resztę wiary w siebie. O niczym już nie marzyłeś. Tylko bez przerwy narzekałeś z goryczą na pecha.

– Ale ty mi nie pomogłaś.

– Może i nie pomogłam – przyznała Kathy. – Z początku próbowałam, ale wciąż było gorzej i gorzej. Nie potrafiłam sobie z tym poradzić. Nie byłeś już marzycielem, za którego wyszłam. Trudno mi było pamiętać, jak bardzo cię podziwiałam i szanowałam jeszcze kilka lat temu. Peter, gardziłeś sobą tak bardzo, że część tej pogardy po prostu musiała spłynąć na mnie.

– Do czego zmierzasz, Kathy? – zapytał Peter.

– Nie opuściłam cię, Peter – odpowiedziała. – A przecież mogłam. A nawet chciałam. Zostałam z tobą, zniosłam wszystkie twoje porażki i całe uzalanie się nad sobą. Czy to ci nic nie mówi?

– Że jesteś masochistką – warknął. – Albo może sadystką.

Tego już było dla niej za wiele. Zaczęła mu odpowiadać, ale głos jej się załamał i załapała się łzami. Peter siedział bez ruchu, słuchając jej płaczu. Wreszcie łzy przestały płynąć.

– Niech cię szlag – powiedziała cicho. – Niech cię szlag. Nienawidzę cię.

– A myślałam, że mnie kochasz. Zdecyduj się.

– Ty dupku. Ty pozbawiona wrażliwości świni. Czy nic nie rozumiałeś, Peter?

– Co miałem zrozumieć? – spytał niecierpliwie. – Prosiłaś, żebym cię wysłuchał, więc to zrobiłem, ale ty tylko powtarzasz te same stare żale, wyliczasz wszystkie moje niedoskonałości. Już to słyszałem.

– Peter, czy nie widzisz, że to, co się tu wydarzyło, wszystko zmienia? Gdybyś tylko przestał na moment nienawidzić mnie i siebie samego, może byś to rozumiał. Znowu mamy szansę. Musimy tylko spróbować. Proszę.

– Nie rozumiem, co właściwie się zmieniło. Mam jutro zagrać ważną partię. Wiesz, jak wiele to znaczy dla mnie i dla mojej wiary w siebie, ale to cię po prostu nie obchodzi. Nie obchodzi cię, czy wygram, czy przegram. Powtarzasz mi, że na pewno przegram. Pomagasz mi przegrać, kłócąc się ze mną, kiedy powinienem spać. To co się zmieniło, do diabła? Jesteś tą samą cholerną jędzą którą byłaś od lat.

– Powiem ci, co się zmieniło – oznajmiła. – Peter, jeszcze przed kilkoma dniami oboje uważaliśmy, że jesteś nieudacznikiem. Ale to nieprawda! Nic z tego nie było twoją winą. To nie był pech, jak ciągle powtarzasz, ani nie rezultat twoich braków, jak naprawdę sądziłeś. To była robota Bunnisha. Czy nie widzisz, że to wszystko zmienia? Nigdy nie miałeś szans, Peter, ale teraz wreszcie je masz. Nie ma powodu, żebyś nie wierzył w siebie. Oboje wiemy, że możesz dokonać wielkich rzeczy! Bunnish sam to przyznał. Możemy stąd wyjechać i zacząć wszystko od nowa. Możesz napisać nową powieść albo sztukę teatralną co tylko zechcesz. Masz talent. Zawsze go miałeś. Możemy znowu marzyć, znowu wierzyć, znowu się kochać. Nie rozumiesz? Bunnish musiał się chełpić swą zemstą, żeby miała dla niego smak, ale w ten sposób zwrócił ci wolność!

Peter siedział zupełnie nieruchomo w ciemnym pokoju, na przemian zaciskając i rozluźniając dłoń na poręczu fotela. Słowa Kathy docierały do niego powoli. Partia szachów

zaabsorbowała go całkowicie, obsesja Bunnisha stała się również jego obsesją. Dlatego w ogóle tego nie zauważył. „To nie była moja wina” – pomyślał zdumiony. „Przez wszystkie te lata to nie była moja wina”.

– To prawda – przyznał cichym głosem.

– Peter? – spytała zaniepokojona Kathy.

Usłyszał w jej głosie troskę, a także coś więcej. Usłyszał miłość. Pomyślał, że tak wielu ludzi składa wspaniałe obietnice, lepsze albo gorsze, bogatsze albo uboższe, a potem wycofuje się, gdy tylko w związku zaczyna się coś psuć. Ale Kathy została z nim, bez względu na wszystko, na niepowodzenia, kompromitację, okrutne słowa i zatrute myśli, cotygodniowe klótnie i biedę. Została.

– Kathy – powiedział. Następne słowa sprawiły mu wielką trudność. – Ja również cię kocham.

Wstał, podszedł do niej i rozplakał się.

* * *

Rankiem zeszli na dół spóźnieni. Wzięli razem prysznic i Peter ubrał się z niezwykłą starannością. Z jakiegoś powodu uważał, że powinien wyglądać jak najlepiej. W końcu to był nowy początek. Kathy mu towarzyszyła. Weszli do salonu, trzymając się za ręce. Bunnish zasiadł już za szachownicą, a zegar Petera tykał. Pozostali również już zeszli. E. C. siedział cierpliwie na krześle, a Delmario spacerował po pokoju.

– Pospiesz się – ponaglił Delmario, gdy Peter zszedł ze schodów. – Straciłeś już pięć minut.

– Spokojnie, Steve – odparł z uśmiechem Peter. Podszedł do stołu i usiadł przed białymi bierkami. Kathy stanęła za jego plecami. Wyglądała dziś rano ślicznie.

– Twój ruch, kapitanie – oznajmił Bunnish z nieprzyjemnym uśmiechem.

– Wiem – odparł Peter. Nie wykonał jednak ruchu, prawie w ogóle nie patrzył na szachownicę. – Bruce, dlaczego mnie nienawidzisz? Zastanawiałem się nad tym i chciałbym poznać odpowiedź. Potrafię zrozumieć, co masz przeciwko Steve’owi i E. C. Steve miał czelność wygrać, kiedy ty przegrałeś, a do tego wypominał ci później tę porażkę. E. C. ciągle robił ci kawały. Ale dlaczego ja? Co ja ci zrobiłem?

Bunnish przez chwilę sprawiał wrażenie zdezorientowanego. Potem rysy jego twarzy zastygły w twardym wyrazie.

– Ty byłeś najgorszy ze wszystkich.

– Przecież nigdy... – zaprotestował zdumiony Peter.

– Wielki kapitan – ciągnął z sarkazmem Bunnish. – Wtedy, przed dziesięciu laty, w ogóle nawet nie próbowałeś. Zgodziłeś się na szybki arcymistrzowski remis ze swoim starym kumplem Halem Winslowem. Mogłeś grać dalej, próbować wygrać, ale tego nie zrobiłeś. Nie,

nie. Nic cię nie obchodziło, że w ten sposób zwiększasz presję na pozostałych. A kiedy przegraliśmy, nie wzięłaś nawet najmniejszej części winy na siebie, mimo że oddałaś pół punktu. To wszystko musiała być moja wina. Na tym jednak nie koniec. Dlaczego ja grałem na pierwszej szachownicy, Norten? Wszyscy w drużynie B zajmowaliśmy podobne miejsca w rankingu. Dlaczego akurat mnie przypadł zaszczyt występu na pierwszej szachownicy?

Peter zastanawiał się przez chwilę, starając się przypomnieć sobie motywy, które kierowały wówczas jego strategią. Wreszcie skinął głową.

– Zawsze przegrywałeś ważne partie, Bruce. Dlatego miało sens wystawić cię na pierwszej szachownicy, gdzie grałbyś z najsilniejszymi graczami przeciwnych zespołów, którzy zapewne pokonaliby każdego z nas. W ten sposób na pozostałych szachownicach mieliśmy pewniejszych graczy, na których mogliśmy liczyć w trudnej sytuacji.

– Innymi słowy, spisałeś mnie na straty – stwierdził Bunnish. – Spodziewałeś się, że przegram, podczas gdy wy będziecie wygrywać partie na pozostałych szachownicach.

– Tak – przyznał Peter. – Przykro mi.

– Przykro ci – zadrwił Bunnish. – Byłeś sprawcą mojej porażki, spodziewałeś się jej, potem dręczyłeś mnie z jej powodu, a teraz ci przykro. Nie grałeś wtedy w szachy. Szachy nigdy cię nie interesowały. To była większa gra, między tobą a Winslowem z UC. Członkowie drużyny byli twoimi bierkami, a mnie zdecydowałeś się poświęcić. To był gambit, nic więcej. Ale i tak ci się nie udało. Winslow cię pokonał. Przegrałeś.

– Masz rację – potwierdził Peter. – Przegrałem. Chyba już rozumiem, dlaczego to wszystko zrobiłeś.

– I teraz też przegrasz – zapowiedział Bunnish. – Ruszaj się, bo zaraz zabraknie ci czasu.

Wskazał głową na szachownicę, na skomplikowany gąszcz czarnych i białych bierek.

Peter zerknął na to bez zainteresowania.

– Analizowaliśmy tę sytuację we trzech aż do trzeciej nad ranem. Miałem przygotowany nowy wariant. Pojedyncza ofiara zamiast podwójnej. Gram skoczek bije piona, ale nie oddaję gońca, tylko ruszam hetmanem. To wyglądało całkiem nieźle, ale to słaby wariant, prawda?

Bunnish wbił w niego wzrok.

– Graj, to się przekonasz!

– Nie – odparł Peter. – Nie będę grał.

– Pete! – zawołał skonsternowany Delmario. – Co ty gadasz? Musisz grać. Pokonaj tego skurwysyna.

Peter zerknął na niego.

– Nic z tego nie będzie, Steve.

Zapadła cisza.

– Jesteś tchórzem, Norten – oznajmił wreszcie Bunnish. – Tchórzem, nieudacznikiem i mięczakiem. Graj.

– Nie interesuje mnie ta partia, Bruce. Powiedz mi. Ten wariant jest słaby?

Bunnish chrząknął z niesmakiem.

– Tak, tak – warknął. – Jest słaby. Mogę go powstrzymać własną ofiarą. Oddaję wieżę, żeby zablokować twoje szanse mata, ale po kilku posunięciach nadrabiam stratę figury.

– Wszystkie warianty są słabe, zgadza się? – zapytał Peter.

Bunnish uśmiechnął się półgębkiem.

– Białe wcale nie miały wygranej gry – stwierdził Peter. – Myliliśmy się przez te wszystkie lata. Wcale nie wypuściłeś z ręki zwycięstwa. Nie miałeś szans na zwycięstwo. Tylko pozycję, która z pozoru wyglądała dobrze, ale do niczego nie prowadziła.

– Wreszcie osiągnąłeś mądrość – zauważył Bunnish. – Wydrukowałem na komputerach wszystkie możliwe warianty. To trwało wieki, ale miałem więcej niż jedno życie. Podczas podróży wstecznych – a nie masz pojęcia, ile ich było, ile nowych pomysłów wypróbowałem – zawsze wracałem do tego samego punktu, tego dnia w Evanston i partii z Vesselere'em. Próbowalem każdego ruchu, którego można spróbować w tej pozycji, każdego szalonego pomysłu. Ale to nic nie zmieniało. Vesselere zawsze wygrywał. Wszystkie warianty są słabe.

– Przecież Vesselere sam powiedział, że miał przegraną partię – zaprotestował Delmario ze zdumieniem na twarzy. – Tak powiedział!

Bunnish popatrzył na niego z pogardą.

– Zmusiłem go do wielkiego wysiłku w partii, którą powinien był wygrać z łatwością. Po prostu chciał się na mnie odegrać. Był mściwym człowiekiem i wiedział, że w ten sposób uczyni porażkę znacznie bolesniejszą dla mnie. – Uśmiechnął się szyderczo. – No wiesz, z nim też się policzyłem.

E. C. Stuart wstał z krzesła i poprawił kamizelkę.

– Jeśli już skończyliśmy, Brucie, to może byłbyś tak uprzejmy i wypuścił nas z Królestwa Bunnisha?

– Ty możesz sobie pojechać – odparł Bunnish. – I ten pijak też. Ale nie Peter. – Na jego policzkach pokazały się dołeczki. – Można powiedzieć, że jemu prawie udało się wygrać. Dlatego będę szczodry. Wiesz, co zrobię, kapitanie? Pozwolę ci skorzystać z urzędnika do podróży wstecznych.

– Dziękuję, ale nie mam ochoty – odrzekł Peter.

Bunnish wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

– Jak to nie masz ochoty? Nie rozumiesz, co ci oferuję? Możesz wymazać wszystkie swoje niepowodzenia, zacząć od nowa i wykonać inne ruchy. Odnieść sukces w innej linii czasowej.

– Wiem o tym. Oczywiście, to by znaczyło, że w tej linii czasowej zostawiłbym Kathy z trupem, prawda? A ciebie z satysfakcją, że doprowadziłeś mnie do czegoś niesamowicie przypominającego samobójstwo. Nie. Wybiorę przyszłość, nie przeszłość. Wybiorę Kathy.

Bunnish rozdziawił szeroko usta.

– A co cię obchodzi Kathy? Ona cię nienawidzi. Lepiej dla niej będzie, jeśli umrzesz. Jej wypłacą ubezpieczenie, a ty znajdziesz sobie kogoś lepszego, kogoś, komu będzie na tobie zależało.

– Ale mnie na nim zależy – sprzeciwiła się Kathy. Położyła dłoń na ramieniu Petera, a on uniósł rękę i dotknął jej z uśmiechem.

– Ty też jesteś głupia! – zawołał Bunnish. – On jest nikim, nigdy nic nie osiągnie. Dopilnuję tego.

Peter wstał z krzesła.

– Z jakiegoś powodu w to wątpię. Sądzę, że już nie zdołasz nas skrzywdzić. Żadnego z nas. – Popatrzył na pozostałych. – Co wy na to, koledzy?

E. C. uniósł głowę z zamyśloną miną i przesunął palcem wzdłuż wąsów.

– Wiesz co – powiedział. – Chyba masz rację.

Delmario miał jeszcze przez chwilę zdziwioną minę, ale nagle na jego twarzy rozbłysło zrozumienie. Uśmiechnął się szeroko.

– Nie możesz mi ukraść pomysłów, na które jeszcze nie wpadłem, prawda? – zapytał Bunnisha. – Przynajmniej nie w tej linii czasowej. – Krzyknął głośno z radości, podszedł do szachownicy, wyciągnął rękę i zatrzymał zegar. – Mat – oznajmił. – Mat, mat, mat!

* * *

Po niespełna dwóch tygodniach Kathy zapukała cicho do drzwi gabinetu.

– Chwileczkę! – zawołał Peter. Napisał jeszcze jedno zdanie, a potem wyłączył maszynę i obrócił się na krześle. – Wejdz.

Otworzyła drzwi i uśmiechnęła się do niego.

– Zrobiłam sałatkę z tuńczykiem, jeśli masz ochotę na przerwę na lunch. I jak ci idzie książka?

– Dobrze – odparł Peter. – Jeśli się przyłożę, powinienem dziś skończyć drugi rozdział. – Zauważył, że Kathy trzyma w ręku gazetę. – Co się stało?

– Tak sobie pomyślałam, że powinieneś to zobaczyć – oznajmiła, wręczając mu dziennik.

Był otwarty na nekrologach. Peter wziął go do ręki i przeczytał, że milionera i genialnego elektronika Bruce'a Bunnisha znaleziono martwego w jego domu w Colorado. Był podłączony do jakiegoś dziwnego urządzenia, które najwyraźniej doprowadziło do jego śmierci przez porażenie prądem. Peter westchnął.

– Spróbuj jeszcze raz, prawda? – zapytała Kathy.

Peter odłożył gazetę.

– Biedny skurczybyk. Nic nie zrozumiał.

– Czego nie zrozumiał?

Uściskał jej dłoń.

– Wszystkie warianty są słabe.

Wypełnił go smutek, ale po lunchu szybko o tym zapomniał i wrócił do pracy.

Przełożył Michał Jakuszewski

Szklany kwiat

Kiedyś, gdy byłam młodą dziewczyną, w pierwszym rozkwicie mojej prawdziwej młodości, pewien chłopak dał mi szklany kwiat jako symbol swej miłości.

To był wspaniały, niezwykle chłopak, choć przyznaję, że dawno już zapomniałam, jak miał na imię. Kwiat również był wspaniały i niezwykle. Na światach ze stali i plastiku, na których spędziłam swe życia, starożytna sztuka dmuchania szkła dawno już popadła w zapomnienie, ale nieznaną artystą, który stworzył mój kwiat, pamiętał ją dobrze. Kwiat miał długą delikatną łodyżkę, zakrzywioną i wdzięczną, wykonaną z pięknego, delikatnego szkła. Z tej wątlej podstawy eksploduje korona kwiatu, wielka jak moja pięść i oddana niewiarygodnie wiernie. Widać każdy szczegół, uwięziony w kryształach na wieki; wielkie i małe płatki nachodzą na siebie, wyrastając z centrum w powolnej, przezroczystej orgii, otoczone kielichem z sześciu wielkich, zwisających liści. Każdy z nich ma nienaruszoną sieć żyłek i każdy jest niepowtarzalny. Wygląda to tak, jakby pewnego dnia przez ogród przechodził alchemik i dla zabawy zamienił szczególnie wielki i piękny kwiat w szkło.

Jedyne, czego mu brakuje, to życie.

Zachowałam ten kwiat przez blisko dwieście lat, długo po tym, gdy opuściłam chłopaka, który mi go dał, i świat, na którym to uczynił. Na wszystkich etapach mojego życia szklany kwiat zawsze był blisko mnie. Dla żartu umieszczałam go w wazonie z gładzonego drewna i stawiałam przy oknie. Czasami liście i płatki na mgnienie oka rozbłyskiwały jasnym płomieniem w blasku słońca, a kiedy indziej filtrowały i rozszczepiały światło, rzucając na moją podłogę niewyraźne tęcze. Przed zmierzchem, gdy na świecie robiło się ciemniej, kwiat przestawał być widzialny i mogłam się gapić na pusty wazon. Rankiem jednak wracał. Nigdy mnie nie zawiódł.

Szklany kwiat był straszliwie kruchy, ale nigdy nie uległ uszkodzeniu. Dbałam o niego być może lepiej niż o cokolwiek czy kogokolwiek innego. Przetrwiał kilkunastu moich kochanków, jeszcze więcej karier zawodowych oraz tylu przyjaciół i tyle światów, że nie zdołam wszystkich wymienić. Był ze mną w latach mojej młodości na Ash, Erikanie i Shamdizarze, później na Nadziei Wyrzutka i Vagabondzie, i jeszcze później, gdy się

zestarzałam, na Dam Tullianie, Lilith i Gulliverze. A gdy w końcu opuściłam na dobre ludzką przestrzeń, zostawiłam za sobą przeszłe życia i światy ludzi, by znowu stać się młodą, szklany kwiat wciąż był ze mną.

I wreszcie, w moim zamku na palach, w moim domu bólu i odrodzenia, gdzie rozgrywa się gra umysłu, pośród bagien i smrodów Croan'dhenni, daleko od wszystkich ludzi poza garstką zagubionych dusz, które mnie tam odnajdują – mój szklany kwiat był również.

Dnia, gdy przybył Kleronomas.

* * *

– Joachim Kleronomas – powtórzyłam.

– Tak.

Są cyborgi i cyborgi. Istnieje tak wiele światów, tak wiele różnych kultur, tak wiele systemów wartości i poziomów rozwoju technologicznego. Niektórzy cyberfachowcy są w połowie organiczni, inni w większym albo mniejszym stopniu. Jeszcze inni mają tylko jedną metalową rękę, a reszta ich cybernetycznych części pozostaje sprytnie ukryta pod osłoną ciała. Niektóre cyborgi używają syntetycznej skóry nieodróżnialnej od ludzkiej – co nie jest zbyt wielką sztuką biorąc pod uwagę, jak wiele różnych odcieni skóry widuje się na tysiącu światów. Niektóre ukrywają metal i eksponują ciało, a inne postępują dokładnie na odwrót.

Człowiek zwący siebie Kleronomasem nie miał ciała, które mógłby eksponować albo ukrywać. Twierdził, że jest cyborgiem, i tak też mówiły o nim legendy narosłe wokół jego imienia, ale gdy stał przede mną, wyglądał raczej na robota. Miał za mało organicznych części, by uznać go choćby za androida.

Był nagi, jeśli można tak powiedzieć o maszynie z metalu i plastiku. Piers miał zupełnie czarną z jakiegoś błyszczącego stopu albo może gładkiego tworzywa sztucznego, nie byłam tego pewna. Ręce i nogi były wykonane z przezroczystej stali plastycznej. Pod tą fałszywą skórą widziałam ciemny metal kości z ultratwardego stopu, silnikowe pręty i zginacze pełniące funkcje mięśni oraz ścięgien, mikromotory i komputery zmysłowe, skomplikowany taniec światła przemykających po trasach nadprzewodzącego układu nerwowego. Palce miał ze stali. Gdy zaciskał prawą pięść, z kostek dłoni wysuwały się długie, srebrne pazury.

Patrzył na mnie. Jego oczy były krystalicznymi soczewkami wprawionymi w metalowe oczodoły, poruszającymi się w jakimś zielonym, półprzezroczystym żelu. Nie było widać źrenic. Za karmazynowymi tęczęwkami żarzyły się słabe światła, nasycające jego spojrzenie złowrogą, czerwonałą poświatą.

– Czy jestem aż tak fascynujący? – zapytał. Jego głos brzmiał zaskakująco naturalnie. Był niski i dźwięczny, nie słyszało się w nim metalicznych ech, które zepsułyby ludzką intonację.

– Kleronomas – powtórzyłam po raz kolejny. – To z pewnością fascynujące nazwisko. Bardzo dawno temu żył człowiek, który tak się nazywał, cyborg, który stał się legendą. Ale ty

oczywiście o tym wiesz. Założyciel Zwiadu Kleronomasa i Akademii Ludzkiej Wiedzy na Avalonie. To twój przodek? Może ten metal to cecha rodzinna?

– Nie – zaprzeczył cyborg. – To ja. Ja jestem Joachim Kleronomas.

Uśmiechnęłam się do niego.

– A ja jestem Jezus Chrystus. Chciałbyś poznać moich apostołów?

– Wątpisz w moje słowa, mądrości?

– Kleronomas umarł tysiąc lat temu na Avalonie.

– Nieprawda. Stoi teraz przed tobą.

– Cyborgu – odparłam – jesteśmy na Croan'dhenni. Nie przybyłbyś tu, gdybyś nie pragnął powtórnych narodzin, nowego życia zdobytego w grze umysłu. Ostrzegam cię. W tej grze wszystkie kłamstwa z ciebie opadną. Twoje ciało, twój metal i twoje złudzenia, odbierzemy ci to wszystko, a na koniec zostaniesz tylko ty, tak nagi i samotny, że nie potrafisz nawet tego sobie wyobrazić. Dlatego nie marnuj mojego czasu. Czas to najcenniejsze, co mam. Kim jesteś, cyborgu?

– Jestem Kleronomas – powtórzył. Czyżbym słyszała w jego głosie nutę drwiny? Nie potrafiłam tego określić. Jego twarz nie była przystosowana do uśmiechów. – A jak ty się nazywasz? – zapytał.

– Mam kilka różnych imion – odparłam.

– A którego używasz?

– Gracze nazywają mnie mądrością.

– To tytuł, nie imię – zauważył.

– Widzę, że wiele podróżowałaś – stwierdziłam z uśmiechem. – Jak prawdziwy Kleronomas. To dobrze. Po urodzeniu nazwano mnie Cyrain i chyba do tego imienia jestem najbardziej przyzwyczajona. Nosłam je przez pięćdziesiąt pierwszych lat życia, zanim przybyłam na Dam Tullian, gdzie studiowałam, by zostać mądrością. Razem z tym tytułem przyjąłam nowe imię.

– Cyrain – powtórzył. – To wszystko?

– Tak.

– A na jakim świecie się urodziłaś?

– Na Ash.

– Ile masz lat, Cyrain z Ash? – zapytał.

– Standardowych?

– Oczywiście.

Wzruszyłam ramionami.

– Prawie dwieście. Straciłam rachubę.

– A wyglądasz jak dziecko, dziewczynka na krótko przed osiągnięciem dojrzałości.

– Jestem starsza niż moje ciało.

– Ja również. Przekleństwo cyborgów polega na tym, mądrości, że części można wymieniać.

– To znaczy, że jesteś nieśmiertelny? – zapytałam.

– W pewnym, prostym sensie.

– To ciekawe – zauważyłam. – Widzę tu sprzeczność. Przybyłeś do mnie, do Artefaktu z Croan'dhenni, by stanąć do gry umysłu. Po co? W tę grę grają umierający, którzy marzą o nowym życiu, cyborgu. Rzadko oglądamy tu nieśmiertelnych.

– Ja pragnę innej wygranej – oznajmił cyborg.

– A mianowicie jakiej?

– Śmierci – odparł. – Życie. Śmierć. Życie.

– To dwie różne rzeczy. Przeciwności. Wrogowie.

– Nie – sprzeciwił się cyborg. – Są jednym i tym samym.

* * *

Sześćset standardowych lat temu istota zwana w legendach Białym wylądowała na Croan'dhenni w pierwszym gwiazdolocie, jaki tu oglądano. Jeśli wierzyć opisom zachowanym w folklorze Croan'dhiców, Biały nie należał do żadnego z gatunków, jakie w życiu spotkałam, czy choćby o nich słyszałam, mimo że odbyłam wiele podróży. Nie zaskakuje mnie to jednak. Królestwo ludzi i jego tysiąc światów (może jest ich dwa razy więcej, a może mniej, któż mógłby je zliczyć?), rozproszone imperia Fyndiich, Damooshów, g'vhernów, N'or Talushów oraz wszystkich innych rozumnych gatunków, które znamy albo o których słyszeliśmy pogłoski, wszystkie one razem wzięte, wszystkie te lądy, gwiazdy i istnienia zabarwione przez pasję, krew i historię, rozciągające się dumnie na przestrzeni wielu lat świetlnych, ponad czarnymi otchłaniami naprawdę znanymi wyłącznie volcrynom, cały ten nasz mały wszechświat... jest zaledwie wysepką światła, otoczoną nieporównanie większym obszarem szarości i mitów, który przechodzi stopniowo w czerń całkowitej niewiedzy. A to jest tylko jedna mała galaktyka, której najdalszych krańców nigdy nie poznamy, choćbyśmy nawet przetrwali miliard lat. Na koniec pokona nas sam rozmiar wszechrzeczy, bez względu na wszystkie nasze wysiłki i protesty. Tej jednej prawdy jestem pewna.

Ale mnie niełatwo jest pokonać. Jestem z tego dumna, to mój jedyny i ostatni powód do dumy. To niewiele, gdy trzeba stawić czoło ciemności, ale zawsze to coś. Gdy nadejdzie kres, przywitam go buntem.

Biały był pod tym względem podobny do mnie. Był żabą z innego stawu, miejsca ukrytego w szarości, gdzie nasze słabe światła nie padły jeszcze na mroczną powierzchnię wód. Jakiegokolwiek rodzaju był istotą i jakiegokolwiek brzemiona historii i ewolucji nosił w genach, był mi bliski. Oboje byliśmy gniewnymi jętkami, przemierzającymi się

niespokojnie od gwiazdy do gwiazdy, ponieważ jako jedyni spośród naszych pobratymców wiedzieliśmy, jak krótki jest przypisany nam dzień. Oboje też znaleźliśmy na bagnach Croan'dhenni coś, co można nazwać naszym przeznaczeniem.

Biały przybył tu zupełnie sam, wylądował w swym małym gwiazdlocie (widziałam jego szczątki: ten statek to drobiazg, zabawka, o zarysach kadłuba tak całkowicie obcych, że ich widok przeszywa mnie rozkosznym dreszczem) i, badając planetę, natknął się na coś.

Na coś starszego i bardziej niezwykłego niż on.

Na Artefakt.

Nie wiem, jakie tajemnicze instrumenty posiadał, jaką sekretną obcą wiedzą dysponował, czy jaki instynkt nakazał mu wejść do środka. Wszystko to pokryła już niepamięć i zresztą to nieważne. Biały wiedział, wiedział coś, czego tubylcy nigdy się nie domyślili. Znał cel Artefaktu, wiedział, jak można go uruchomić. Po raz pierwszy – od tysiąca lat? od miliona? od bardzo dawna – zagrano w grę umysłu. I Biały zmienił się, wyszedł z Artefaktu jako ktoś inny. Pierwszy władca umysłu. Pierwszy pan życia i śmierci. Pierwszy władca bólu. Pierwszy władca życia. Tytuły się rodzą, nosi się je, a potem odrzuca i zapomina o nich. One również nie mają znaczenia.

Kimkolwiek jestem, to Biały stał się tym pierwszym.

* * *

Gdyby cyborg wyraził chęć poznania moich apostołów, nie rozczarowałabym go. Zwołałam ich, kiedy wyszedł.

– Nowy gracz każe się zwać Kleronomasem – poinformowałam ich. – Chcę się dowiedzieć, kim i czym jest, a także, co ma nadzieję zyskać. Sprawdźcie to dla mnie.

Czułam ich chciwość i strach. Apostołowie są użytecznym narzędziem, ale lojalność nie należy do ich cnót. Zgromadziłam wokół siebie dwunastu Judaszy Iskariotów i każdy z nich pragnie judaszowego pocałunku.

– Zrobię mu pełen skan – zasugerował doktor Lyman, kierując na mnie spojrzenie jasnych, krótkowzrocznych oczu. Jego rozciągnięte w uśmiechu pochlebcy usta drżały.

– Czy zgodzi się na styk? – zapytał Deish Green-9, mój osobisty cyberfachowiec. Prawą dłoń, poparzoną słońcem na czerwono-czarny kolor, zaciskał mocno w pięść. Jego lewa dłoń była srebrną kulą, która otworzyła się nagle, odsłaniając gniazdo tańczących metalowych witek. Pod masywnym czołem o krzaczastych brwiach, gdzie powinny być oczy, biegnie gładki pas zwierciadlanego szkła wprawiony w czaszkę. Kazał też sobie pochromować zęby, dzięki czemu uśmiechał się wyjątkowo promiennie.

– Przekonamy się – odpowiedziałam.

Sebastian Cayle unosił się w swym zbiorniku: wypaczony embrion o wielkiej, monstrialnej głowie. Poruszał leniwie płetwami, a wielkie, ślepe oczy wpatrywały się we

mnie poprzez poruszający się ospale zielonkawy płyn. Wokół jego nagiego, bladego ciała unosiły się w górę bąbelki. „To kłamca – rozległ się szept w mojej głowie. – Dowiem się dla ciebie prawdy, mądrości”.

– Znakomicie – ucieszyłam się.

Tr’k’nn’r, mój umysłowo niemy Fyndii, zaśpiewał do mnie wysokim, przenikliwym tonem na krawędzi ludzkiej zdolności słyszenia. Górował nad całą resztą jak człowiek z patyków na dzieciennym rysunku, człowiek z patyków wysoki na trzy metry, wyposażony w nadmierną liczbę stawów zginających się w nieodpowiednich miejscach pod nieodpowiednimi kątami, zbudowany ze starych kości, którym jakiś pradawny pożar nadał szarą barwę popiołu. Jednakże gdy śpiewał, w jego krystalicznych oczach ukrytych w cieniu wałów nadoczodołowych gorzał żarliwy płomień, a z dołu pionowych, bezwargich ust skapywał wonny, czarny płyn. Pieśń mówiła o bólu, krzyku i płonących nerwach, o odkrytych tajemnicach, o krwawiącej, buchającej parą prawdzie wyrwanej ze wszystkich ukrytych szczelin.

– Nie – odparłam. – On jest cyborgiem. Jeśli nawet czuje ból, to tylko dlatego, że tego chce. Wyłączyłby receptory i odciąłby się od ciebie, samotniku. Twoja pieśń obróciłaby się w ciszę.

Neurokurwa Shayalla Loethen uśmiechnęła się z rezygnacją.

– Czy to znaczy, że nie mam żadnego punktu zaczepienia, mądrości?

– Nie jestem pewna – przyznałam. – On nie ma widocznych genitaliów, ale jeśli zostało w nim coś organicznego, ośrodki przyjemności mogą być nienaruszone. Twierdzi, że był mężczyzną. Niewykluczone, że jego instynkty przetrwały. Sprawdź to.

Skinęła głową. Jej ciało jest miękkie i białe jak śnieg, czasami też zimne jak lód, a czasami rozżarzone do białości, w zależności od tego, czego w danej chwili pragnie Shayalla. Rozciągnięte w niecierpliwym uśmiechu usta były karmazynowe i pełne życia, strój, którym zakreśliła wokół siebie, zmienił na moich oczach kształt i kolor, a na koniuszkach jej palców zatańczyły iskry, biegnące wzdłuż długich, malowanych paznokci.

– Prochy? – zapytała Braje, mój biomed, geninżynier i trucicielka. Siedziała pogrążona w zamyśleniu, żując jakiś uspokajacz własnej roboty. Jej otyłe ciało było miękkie i wilgotne jak otaczające nas bagna. – Prawdziwek? Agonina? Esperon?

– Wątpię – odparłam.

– Choroba – zasugerowała. – Manthrax albo gangrena. Powolna zaraza, a my mamy na nią lekarstwo?

Zachichotała.

I tak to szło. Wszyscy mieli jakieś sugestie, jakieś sposoby na dowiedzenie się tego, co chciałam wiedzieć, wszyscy pragnęli okazać się dla mnie użyteczni, zasłużyć na moją wdzięczność. Tacy są moi apostołowie. Wysłuchałam ich, pozwoliłam unieść się fali ich

gadania, rozważyłam starannie sprawę, wydałam rozkazy i na koniec odesłałam wszystkich poza jednym.

To Khar Dorian będzie tym, który mnie pocałuje, gdy wreszcie nadejdzie ów dzień. By domyślić się tej prawdy, nie trzeba być mądrością.

Każde z pozostałych czegoś ode mnie chce. Kiedy to dostaną odejdą. Pragnienie Khara dawno już się spełniło, a on mimo to wciąż wraca na mój świat i do mojego łóżka. To nie miłość go tu przyciąga, nie piękno młodego ciała, które noszę, ani nic tak prostego jak bogactwo, które tu zdobywa. Ma dalej sięgające plany.

– Przyleciał tu z tobą – mówię. – Aż z Lilith. Kim jest?

– Graczem – odpowiada Dorian, prowokując mnie przekornym uśmiechem. Jest nieprawdopodobnie piękny. Szczupły, muskularny i sprawny, emanuje arogancją i szorstką męską seksualnością zdrowego, silnego i nasyconego hormonami trzydziestolatka. Ma blond włosy, długie i rozczochrane, gładką silną żuchwę, prosty, niezłamany nos i oczy barwy zdrowego, pełnego życia błękitu. Ale za tymi oczami kryje się coś starego. Starego, cynicznego i złowrogięgo.

– Dorian – ostrzegam go – nie próbuj ze mną takich gier. To ktoś znacznie więcej niż zwykły gracz. Kim on jest?

Khar Dorian wstał, przeciągnął się leniwie, ziewnął i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Tym, za kogo się podaje – oznajmił mój dostarczyciel niewolników. – Kleronomasem.

* * *

Moralność jest ciasnym kostiumem, który musi krępować mocno, jeśli ma krępować w ogóle, ale ogromne przestrzenie między gwiazdami prują go, dzielą na wiele odrębnych pasm. Każde z nich ma piękny, jaskrawy kolor, ale wszystkie razem nie układają się w żaden sensowny wzór. Modnie ubrany mieszkaniec Vagabonda jest wywołującym sensację wieśniakiem na Cathadayu, Ymirianin poci się na Vess, Vessman zamarza na Ymirze, a tańczące światła, których Fellanei używają zamiast ubrań, na kilku różnych światach sprowokowałyby gwałt, morderstwo i zamieszki. Z moralnością jest tak samo. Dobro nie jest bardziej niezmiennie niż krój kłap żakietu; postanowienie o odebraniu życia rozumnej istocie nie waży więcej niż decyzja, czy obnażyć piersi, czy je ukryć.

Istnieją światy, na których uznano by mnie za potwora. Dawno już przestało mnie to obchodzić. Przybyłam na Croan'dhenni z własnym wyobrażeniem o modzie i nie przejmuję się estetycznymi upodobaniami innych.

Khar Dorian twierdzi, że jest handlarzem niewolników, i często mi przypomina, że w rzeczy samej handlujemy ludźmi. Może o sobie mówić, jak chce. Nie handluję niewolnikami i ten zarzut mnie obraża. Handlarz niewolników sprzedaje swe ofiary na służbę i niewolę, pozbawia je wolności, swobody ruchu i czasu. Wszystko to są cenne rzeczy. Ja nie robię nic

w tym rodzaju. Jestem tylko złodziejką. Khar i jego podwładni przyprowadzają do mnie ludzi z tłocznych miast Lilith, z niegościnnych gór i zimnych pustkowi Dam Tullianu, z pełnych zgnilizny domów czynszowych nad kanałami Vess, z barów w kosmoportach Fellanory, Cymeranthu i Shrike, ze wszystkich miejsc, gdzie tylko może ich znaleźć. On sprowadza ich do mnie, a ja ich okradam i puszczam wolno.

Ale wielu z nich nie chce odejść.

Mieszkają pod murami mojego zamku, w mieście, które sami zbudowali, wykrzykują moje imię i błagają mnie o różne łaski. Pozostawiłam im wolność, swobodę ruchu i czas, a oni marnotrawią to wszystko w nadziei, że odzyskają to, co im ukradłam.

Odebrałam im ciała, ale dusze tracą sami.

Być może jestem dla siebie zbyt surowa, mówiąc, że jestem złodziejką. Ofiary, które dostarcza tu Khar, są mimowolnymi graczami w grze umysłu, pozostają jednak graczami. Inni płacą wielkie sumy i podejmują ogromne ryzyko w zamian za ten sam przywilej. Jednych nazywamy graczami, a drugich nagrodami, ale gdy nadchodzi ból i zaczyna się gra umysłu, wszyscy jesteśmy tacy sami, nadzy i samotni, odarci z bogactw, zdrowia i statusu, uzbrojeni tylko w siłę, która jest w nas samych. Zwycięstwo albo porażka, życie albo śmierć, wszystko to zależy wyłącznie od nas.

Daję im szansę. Kilku z nich udało się nawet wygrać. Co prawda, było ich bardzo niewiele, ale ilu złodziei daje swym ofiarom choć tyle?

Stalowi Aniołowie, których światy leżą daleko od Croan'dhenni, po drugiej stronie ludzkiej przestrzeni, uczą swe dzieci, że siła jest jedyną cnotą, a słabość jedynym grzechem. Zapewniają że prawda ich wiary jest wypisana wielkimi literami na powierzchni samego wszechświata. Trudno jest dyskutować z tym przekonaniem. Zgodnie z ich wiarą mam moralne prawo do ciał, które kradnę, ponieważ jestem silniejsza, a w związku z tym lepsza i świętsza od tych, którzy się z nimi urodzili.

Niestety, dziewczynka, która przyszła na świat z moim obecnym ciałem, nie była Stalowym Aniołem.

* * *

– Trzech to już kompania – mówię – nawet jeśli ten trzeci jest zrobiony z metalu oraz plastiku i używa imienia rodem z legendy.

– Hmm?

Rannar patrzy na mnie bez zrozumienia. Nie podróżował tak wiele jak ja i aluzja, którą wygrzebałam ze wspomnień zapomnianej młodości na jakimś obcym dlań świecie, umyka mu całkowicie. Na jego pociągłej, skwaszonej twarzy pojawia się wyraz cierpliwego zdziwienia.

– Mamy już trzech graczy – wyjaśniam mu z uwagą. – Możemy grać w grę umysłu.

Tyle przynajmniej Rannar zrozumiał.

– Ach, tak, oczywiście. Zajmę się tym natychmiast, mądrości.

Pierwszym graczem był Craimur Delhune, niemal dorównujący mi wiekiem starzec, który jednak przeżył wszystkie te lata w tym samym drobnym ciele. Nic dziwnego, że było zużyte. Był bezwłosy i zasuszony, charcząca, półślepa parodia człowieka. Miał pełno implantów z metalu i alloplastu, które pracowały bez chwili przerwy, by utrzymać go przy życiu. Nie będą już mogły robić tego zbyt długo, ale Craimur Delhune nie miał jeszcze dość życia. Dlatego przybył na Croan'dhenni, by zapłacić za ciało i zacząć od nowa. Czekał już prawie pół standardowego roku.

Rieseën Jay była dziwniejszym przypadkiem. Miała niespełna pięćdziesiąt lat i cieszyła się niezłym zdrowiem, choć jej ciało naznaczyło już parę blizn. Rieseën czuła się znudzona. Zaznała wszystkich przyjemności, jakie można znaleźć na Lilith, a można ich tam znaleźć bardzo wiele. Poznała smak wszystkich potraw, dała się ponieść wszystkim narkotykom, uprawiała seks z mężczyznami, kobietami, obcymi i zwierzętami, ryzykowała życie, zjeżdżając na nartach z lodowców albo szczując norowe smoki, walczyła też w wojnach lataczy ku zachwytowi holofanów na licznych światach. Uważała, że nowe ciało doda życiu smaku. Może zostanie mężczyzną albo jakimś nieco sprośnym obcym. Miewamy czasem i takich klientów.

Trzeci był Joachim Kleronomas.

W grze umysłu są miejsca dla siedmiu uczestników. Trzech graczy, trzech nagród i mnie.

Rannar wręczył mi grubą teczkę, pełną fotografii i opisów nagród niedawno przybyłych na statkach Khara Dorian, „Jasnym Feniksie”, „Drugiej Szansie”, „Nowym Początku” albo „Rozkoszy Ciała” (Khar zawsze miał upodobanie do czarnego humoru). Majordomus zatrzymał się tuż koło mnie, chętny do pomocy, gdy przewracałam stronicę, by dokonać wyboru.

– Jest zachwycająca – powiedział, kiedy zatrzymałam spojrzenie na szczupłej dziewczynie z Vess o pełnych strachu żółtych oczach, sugerujących hybrydową genetykę. – Jest bardzo silny i zdrowy – poinformował mnie później, gdy zastanawiałam się nad potężnie umięśnionym młodzieńcem o zielonych oczach i czarnych włosach związanych w opadający do pasa warkocz. Zignorowałam go. Zawsze go ignoruję.

– On – powiedziałam, wyjmując dokumenty szczupłego jak sztylet chłopaka o rumianej skórze pokrytej tatuażami.

Khar kupił go od władz na Shrike, gdzie skazano go za zabójstwo innego szesnastolatka. Na większości światów nazwisko Khara Dorian, osławionego wolnego kupca, przemysłowca, pirata i handlarza niewolników, było symbolem zła i rodzice straszili nim dzieci. Na Shrike był szanowanym obywatelem, który wyświadczał społeczeństwu wielką przysługę, skupując śmieci z więzień.

– Ona – ciągnęłam, odkładając na bok drugą fotografię, przedstawiającą pulchną kobietę w wieku około trzydziestu standardowych lat, której wielkie zielone oczy miały raczej nieobecny wyraz.

Dokumenty mówiły, że pochodzi z Cymeranthu. Khar wylądował jednym ze swych pirackich statków w ośrodku hibernacyjnym dla upośledzonych umysłowo i zagarnął trochę młodych, zdrowych i atrakcyjnych ciał. To było miękkie i tłuste, ale sytuacja się zmieni, gdy znowu będzie je nosił aktywny umysł. Oryginalna właścicielka wessała zbyt wiele pyłu snów.

– I ono – zakończyłam.

Trzecim wybranym było g'vhermskie pisklę, posępnie wyglądający osobnik o nadocznych grzebieniach intensywnego koloru fuksji oraz wielkich nietoperzowych skrzydłach lśniących od opalizujących olejków. Przeznaczyłam je dla Rieseena Jay, która miała ochotę spróbować niehumanoidalnego ciała. O ile potrafi je zdobyć.

– Bardzo dobrze, mądrości – rzekł z aprobatą Rannar.

Zawsze aprobuję moje decyzje. Gdy przybył na Croan'dhenni, jego ciało było groteskowo okaleczone. Przyłapano go w łóżku z córką pracodawcy, rycerza krwi z Vloru. Karą było zakrojone na szeroką skalę rytualne okaleczenie. Miał za mało pieniędzy, by zapłacić za grę, ale dwóch graczy czekało już prawie rok, a jeden z nich umierał na manthrax, gdy więc Rannar zaoferował mi dziesięć lat wiernej służby w zamian za brakującą sumę, zgodziłam się.

Czasami zdarzało mi się tego żałować. Czułam jego spojrzenie na moim ciele, wyczuwałam, jak zdejmuję ze mnie w myślach miękką zbroję ubrania, by przysnąć się niczym pijawka do małych, pączkujących piersi. Dziewczynka, z którą go złapali, była nieco młodsza niż ciało, które teraz noszę.

* * *

Mój zamek jest zbudowany z obsydianu.

Na północ stąd, daleko na północ, na zasnutych dymem polarnych pustkowiach, gdzie na tle fioletowego nieba płoną wieczne ognie, czarne wulkaniczne szkło leży na ziemi jak zwykle kamienie. Tysiące croan'dhickich górników trudziły się przez dziewięć standardowych lat, by zebrać potrzebną mi ilość obsydianu i przetransportować go na bagna poprzez bezkresne pustkowie. Setki rzemieślników cięły i szlifowały obsydian przez następne sześć lat, by złożyć go w ciemną migotliwą mozaikę, która jest moim domem. Mój zamek błyszczący. Jest piękny, surowy i nieprzystępny, spogląda z góry na slumsy, które wyrosły wokół niego. Pokonani, odrzuceni i wydziedziczeni wiodą w nich pozbawioną nadziei egzystencję w pływających chatkach z trzciny, butwiejących domach na drzewach oraz rozpadających się ruderach wzniesionych na przegniłych palach. Obsydian przemawia do mojego poczucia estetyki. Jego symbolizm pasuje do tego domu bólu i ponownych narodzin.

Życie rodzi się w żarze seksualnej namiętności, tak jak obsydian rodzi się w wulkanicznym ogniu. Przez jego czern przebija się niekiedy czysta prawda światła, piękno ledwie widoczne przez zasłonę mroku. Tak samo jak życie jest też straszliwie kruchy, a jego krawędzie potrafią być niebezpiecznie ostre.

W moim zamku są niezliczone pokoje. Niektóre z nich mają ściany wyłożone boazerią z wonnych gatunków miejscowego drewna, a podłogi pokryte futrami i grubymi dywanami, inne zaś są nagie i czarne – obrzędowe komnaty, gdzie w lustrzanych ścianach widać mroczne odbicia, a kroki stukają głucho na szklanej podłodze. Pośrodku, na samym szczycie, wznosi się cebulasta obsydianowa wieża, wzmocniona stalowymi prętami. Pod jej kopułą znajduje się komnata.

To ja rozkazałam wybudować zamek, który zastąpił starszy i znacznie nędzniejszy budynek, i ja kazałam przenieść Artefakt do tej komnaty.

W niej właśnie odbywa się gra umysłu.

Mój apartament jest usytuowany u podstawy wieży. To również ma symboliczne znaczenie. Nikt nie osiągnie ponownych narodzin, nie przechodząc najpierw przeze mnie.

Jadłam w łóżku śniadanie złożone z maślanego owocu, surowej ryby i czarnej kawy, a Khar Dorian wylegiwał się obok mnie, leniwie i bezczelnie, gdy Alta-k-Nahr, która jest moją uczoną przysłała złożyć raport.

Zatrzymała się u stóp mojego łóżka. Choroba wykrzywiła jej plecy w wielki znak zapytania, pociągła twarz na stałe zamarła w grymasie niesmaku, a pokrywające skórę szerokie żyły wyglądały jak wielkie, niebieskie robaki. Niepotrzebnie cichym głosem opowiedziała mi, czego się dowiedziała o historycznym Kleronomasie.

– Jego pełne nazwisko brzmiało Joachim Charle Kleronomas – zaczęła. – Urodził się na Nowej Aleksandrii, kolonii pierwszej generacji, odległej niespełna siedemdziesiąt lat świetlnych od Starej Ziemi. Zapiski dotyczące jego narodzin, dzieciństwa oraz lat młodzieńczych są fragmentaryczne i pełne sprzeczności. Najpopularniejsze legendy twierdzą, że jego matka była oficerem wysokiej rangi na okręcie wojennym Trzynastej Floty Ludzkiej, służyła pod rozkazami Stephena Cobalta Northstara i Kleronomas spotkał ją tylko dwa razy w życiu. Urodziła go wynajęta matka zastępcza, a wychowywał ojciec, mało znany uczonej pracujący w bibliotece na Nowej Aleksandrii. Osobiście uważam, że ta opowieść nieco zbyt elegancko wyjaśnia, jak to się stało, że Kleronomas łączył w sobie tradycję naukową i militarną. Dlatego powątpiewam w jej wiarygodność. Pewniejszy jest fakt, że zaciągnął się do wojska w bardzo młodym wieku, w ostatnich latach tysiącletniej wojny. Początkowo służył jako technik systemowy na okręcie klasy „Wyjec” w Siedemnastej Flocie Ludzkiej, wyróżnił się podczas starć w głębokiej przestrzeni pod El Dorado i Arturiusem oraz ataków na Hrag Druun, dzięki czemu awansowano go do stopnia kadeta i skierowano na szkolenie dowódcze. Siedemnasta Flota przeniosła się wówczas ze swej pierwotnej bazy na Fenrisie na pomniejszą stolicę sektora o nazwie Avalon. Tam Kleronomas również się wyróżnił i został drugim

oficerem na okręcie desantowym „Hannibal”. Jednakże podczas ataku na Hruun Czternaście „Hannibal” uległ ciężkim uszkodzeniom od ostrzału hrangańskich obrońców i w końcu porzucono go tam. Wyjciec, na którym ewakuował się Kleronomas, również został uszkodzony przez nieprzyjacielski ogień i rozbił się na planecie. Wszyscy poza Kleronomasem zginęli. Kolejny wyjciec uratował to, co z niego zostało, ale Kleronomas był bliski śmierci, tak poważnie okaleczony, że natychmiast wsadzono go do hibernatora. Zabrano go na Avalon, lecz zasoby były skąpe, a potrzeby ogromne, więc nikt nie zwracał sobie głowy przywracaniem go do życia. Spędził w hibernatorze wiele lat. Tymczasem trwał już upadek. Właściwie trwał on przez całe życie Kleronomasa, ale komunikacja w dawnym Imperium Federalnym była tak powolna, że nikt jeszcze o tym nie wiedział. Niemniej w ciągu tego samego dziesięciolecia Thor się zbuntował, Piętnasta Flota Ludzka rozpadła się całkowicie, a Stara Ziemia próbowała pozbawić Stephena Cobalta Northstara dowództwa Trzynastej, co w efekcie doprowadziło do secesji Newholme oraz większości innych kolonii pierwszej generacji, zniszczenia Wellingtona przez Northstara, wojny domowej, powstania oderwanych kolonii i zapomnianych światów, czwartej wielkiej ekspansji, legendy o piekielnej flocie, a w końcu do odizolowania się Starej Ziemi i niemal całkowitego zaprzestania komercyjnych lotów międzygwiazdnych na całe pokolenie. Na niektórych bardziej odległych światach trwało to dłużej, znacznie dłużej. Wiele z nich upadło do poziomu bliskiego barbarzyństwa albo rozwinęły się na nich dziwne, wariantywne kultury. Avalon odczuł na własnej skórze skutki upadku, gdy Rajeen Tober, dowódca Siedemnastej Floty, odmówił posłuszeństwa władzom cywilnym i zabrał swoje okręty w głąb Welonu Kusicielki, by założyć tam własne imperium, bezpieczne przed zemstą Hrangan i ludzi. Odejście Siedemnastej Floty uczyniło Avalon de facto bezbronnym. Jedyne okręty, jakie pozostały w sektorze, były stare gwiazdoloty Piątej Floty Ludzkiej, które uczestniczyły w działaniach wojennych siedemset lat wcześniej, gdy Avalon był bardzo daleko wysuniętą bazą wypadową w wojnie przeciwko Hranganom. Na orbicie wokół Avalonu pozostało kilkanaście ciężkich okrętów oraz trzydzieści parę mniejszych. Większość wymagała kapitalnego remontu, a wszystkie były przestarzałe. To jednak była jedyna broń, jaką dysponował przerażony świat, postanowiono więc przywrócić je do służby. W poszukiwaniu załóg dla tych muzealnych zabytków Avalon zwrócił się ku swym hibernacyjnym przechowalniom. Odmrożono wszystkich weteranów, w tym również Joachima Kleronomasa. Jego ciało było poważnie uszkodzone, ale Avalon rozpaczliwie potrzebował ludzi. Dlatego właśnie Kleronomas powrócił bardziej jako maszyna niż człowiek. Jako cyborg.

Pochyliłam się w stronę Alty, by przerwać jej recytację.

– Czy zachowały się jakieś jego zdjęcia z tamtego okresu? – zapytałam.

– Tak. Zrobione przed hibernacją i po niej. Kleronomas był potężnym mężczyzną o granatowoczarnej skórze, masywnej, wystającej zuchwie, szarych oczach i długich, czysto białych włosach. Po operacji zuchwa zniknęła, razem z dolną połową twarzy,

zastąpiona gładką metalową płytą. Nie miał ust ani nosa. Odżywiał się dożylnie. Stracił też jedno oko, które zastąpił krystaliczny czujnik o paśmie sięgającym od podczerwieni do nadfioletu. Również prawa ręka i cała prawa połowa piersi były cybernetyczne: stalowa płyta, siatka z ultraodpornego stopu, plastik. Jedną trzecią narządów wewnętrznych zastąpiły syntetyki. Oczywiście, dali mu też styk i wbudowali mały komputer. Kleronomas od samego początku gardził kosmetyką. Chciał wyglądać na tego, kim był.

– Ale nadal miał w sobie znacznie więcej żywego ciała niż nasz nowy gość? – zapytałam z uśmiechem.

– To prawda – przyznała uczona. – Dalszy ciąg historii jest lepiej znany. Wśród ożywionych nie było zbyt wielu oficerów. Dlatego Kleronomasowi powierzono dowództwo nad małym statkiem kurierskim. Służył przez dziesięć lat, oddając się jednocześnie studiom nad historią i antropologią, które były jego osobistą pasją. Zajmował coraz wyższą pozycję w hierarchii floty, podczas gdy Avalon czekał na gwiazdne okręty, które nigdy nie wróciły, a jednocześnie budował coraz więcej własnych. Nie było handlu ani ataków. Nadeszło interregnum. Wreszcie śmielszy, cywilny rząd postanowił zaryzykować wyprawę kilku gwiazdolotów, żeby sprawdzić, jak powodzi się reszcie ludzkiej cywilizacji. Sześć starych pancerników Piątej Floty przerobiono na statki badawcze i wysłano na zwiad. Kleronomasowi powierzono dowództwo nad jednym z nich. Dwa zaginęły podczas misji, a trzy wróciły przed upływem dwóch lat, przynosząc tylko minimum informacji o garstce najbliższych położonych kolonii. Skłoniło to Avalończyków do wznowienia lotów międzygwiazdnych na bardzo ograniczoną, lokalną skalę. Kleronomasa uznano za zaginionego. Ale on nie zaginął. Po zrealizowaniu ograniczonych celów zwiadu postanowił lecieć dalej, zamiast wracać na Avalon. Jego obsesją stała się następna gwiazda, a potem jeszcze następna i tak dalej. Nie przerywał lotu. Doszło do buntów i dezercji, czekało na niego wiele zagrożeń, ale on poradził sobie z tym wszystkim. Jako cyborg żył bardzo długo. Legendy mówią, że z upływem lat miał w sobie coraz więcej metalu, a na Eris odkrył kryształ matrycowy i zwiększył swe możliwości intelektualne o kilka rzędów wielkości, wzbogacając swą konstrukcję o pierwszy kryształowo-matrycowy komputer. Ta opowieść zgadza się z charakterem Kleronomasa. Jego obsesją było nie tylko zdobywanie wiedzy, lecz również jej zachowanie. Po przebudowie nie mógł niczego zapomnieć. Gdy wreszcie wrócił na Avalon, minęło z górą sto standardowych lat. Z tych, którzy wyruszyli w podróż, przy życiu pozostał tylko sam Kleronomas. Towarzyszyli mu potomkowie oryginalnej załogi oraz rekruci zwerbowani przez niego na odwiedzonych światach. Zdołał zbadać czterysta czterdzieści dziewięć planet oraz tyle planetoid, komet i satelitów, że nikt nie uznałby tego za możliwe. Zdobyte przez niego informacje były fundamentem, na którym zbudowano Akademię Wiedzy Ludzkiej, a krystaliczne próbki wmontowane w istniejące systemy stały się środkiem przechowywania wiedzy i z czasem przerodziły się w potężne sztuczne inteligencje akademii oraz legendarne kryształowe wieże Avalonu. Wkrótce potem wznowiono loty międzygwiazdne na wielką

skalę i to był prawdziwy koniec interregnum. Kleronomas objął stanowisko pierwszego administratora akademii i piastował je aż do śmierci, która ponoć nastąpiła w roku 42 p.i., czyli czterdzieści dwa standardowe lata po jego powrocie.

Roześmiałam się.

– Znakomicie – pochwaliłam Altę-k-Nahr. – To znaczy, że mamy do czynienia z oszustem. Kleronomas nie żyje od co najmniej siedmiuset lat. – Popatrzyłam na Khara Doriana, który żuł piętke chleba na miodzie, a jego długie piękne włosy leżały rozrzucone na poduszce. – Opuszczasz się, Khar. Dałeś się oszukać.

Khar przełknął chleb i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Skoro tak mówisz, mądrości – odparł tonem dalekim od skruchy. – Mam go zabić dla ciebie?

– Nie – zaprzeczyłam. – Jest graczem. W grze umysłu nie ma oszustów. Pozwólmy mu grać. Pozwólmy mu grać.

* * *

Po wielu dniach, gdy wyznaczyłam już termin gry, wezwałam do siebie cyborga. Spotkałam się z nim w gabinecie, wielkim pomieszczeniu, gdzie na podłodze leży szkarłatny dywan, a mój szklany kwiat stoi pod wielkim oknem wychodzącym na blanki i na miasto zbudowane na bagnach poniżej.

Twarz Kleronomasa nie wyrażała zupełnie nic. To oczywiste.

– Wzywałaś mnie, Cyrain z Ash.

– Wyznaczyłam termin gry – poinformowałam go. – Za cztery dni.

– Cieszę się z tego.

– Chciałbyś zobaczyć nagrody?

Pokazałam mu teczkę chłopaka, dziewczyny i pisklęcia.

Spojrzał na nie pobieżnie, bez zainteresowania.

– Powiedziano mi – ciągnęłam – że spędzałeś ostatnio wiele czasu na wędrówkach. Po moim pałacu, po mieście i po bagnach.

– To prawda – przyznał. – Nigdy nie sypiam. Wiedza jest dla mnie rozrywką i nałogiem. Chciałem się dowiedzieć, jakie jest to miejsce.

– I jakie ono jest, cyborgu? – zapytałam z uśmiechem.

On nie mógł się uśmiechnąć ani zmarszczyć brwi. Jego głos brzmiał spokojnie i uprzejmie.

– Ohydne – ocenił. – To miejsce rozpaczy i upodlenia.

– Miejsce wiecznej, nigdy nieumierającej nadziei – sprzeciwiłam się.

– Miejsce choroby ciała i umysłu.

– Miejsce, gdzie chorzy zdrowieją.

- A zdrowi stają się chorzy – odrzekł cyborg. – Miejsce śmierci.
- Miejsce życia – skontrowałam. – Czyż nie po to tu przybyłeś? Po życie?
- I po śmierć – przypomniał. – Mówiłem ci już, że są jednym i tym samym.

Pochyliłam się nad blatem.

– A ja ci mówiłam, że są czymś zupełnie różnym. Jesteś skłonny do surowych osądów, cyborgu. Po maszynie można się spodziewać sztywności, ale ta wydelikaccona moralna wrażliwość niespecjalnie do ciebie pasuje.

- Tylko moje ciało jest maszyną – sprzeciwił się.

Wzięłam w rękę jego akta.

– Moje informacje sugerują co innego. Czy twoje zasady moralne obejmują kłamstwo? Zwłaszcza tak łatwe do przejrzenia? – Otworzyłam teczkę na biurku. – Doktor Lyman zrobił ci pełen skan. Stwierdził, że jesteś nadzwyczaj pomysłowym urządzeniem, wykonanym całkowicie z plastiku i metalu. Nie ma w tobie nic organicznego, cyborgu. Czy może raczej „robotcie”. Zastanawiam się, czy komputery mogą grać w grę umysłu. Wkrótce się o tym przekonamy. Widzę, że masz ich w sobie trzy. Jeden, mały, tam, gdzie powinien być mózg. Kieruje funkcjami motorycznymi, analizuje dane dostarczane przez zmysły oraz monitoruje procesy wewnętrzne. Drugi to duża jednostka biblioteczna, zajmująca większą część dolnej połowy tułowia, a trzeci to kryształowa matryca w piersi. – Uniosłam spojrzenie. – To twoje serce, cyborgu?

– Mój umysł – wyjaśnił. – Zapytaj doktora Lymana, a opowie ci o takich przypadkach jak mój. Co składa się na ludzki umysł? Wspomnienia. Wspomnienia to dane. Charakter, osobowość, indywidualna wola, wszystko to jest oprogramowanie. Można zapisać cały ludzki umysł w kryształowo-matrycowym komputerze.

- I uwięzić duszę w kryształach? – zapytałam. – Wierzysz w istnienie duszy?

– A ty? – odpowiedział pytaniem.

– Muszę w nie wierzyć. Jestem mistrzynią gry umysłu. Tego się ode mnie wymaga, jak sądzę. – Przeszłam do raportów innych apostołów na temat maszyny, która nazywała siebie Kleronomasem. – Deish Green-9 połączył się z tobą przez styk. Mówi, że masz niewiarygodnie skomplikowany system, a prędkość twoich obwodów znacznie prześciga ludzką myśl, że twoja biblioteka zawiera o wiele więcej informacji, niż mógłby pomieścić jakikolwiek organiczny mózg, nawet gdyby wykorzystał swą pojemność w stu procentach. Zapewnia też, że umysł i wspomnienia zamknięte w kryształowej matrycy należą do niejakiego Joachima Kleronomasa. Przysięga, że to prawda.

Cyborg milczał. Być może uśmiechnąłby się w tej chwili, gdyby tylko potrafił.

– Z drugiej strony – kontynuowałam – moja uczona, Alta-k-Nahr, zapewnia mnie, że Kleronomas nie żyje od siedmiuset lat. To komu mam wierzyć?

- Komu zechcesz – odparł obojętnie.

– Mogłabym cię tu zatrzymać i wysłać kogoś na Avalon z prośbą o potwierdzenie – zauważyłam z uśmiechem. – Trzydzieści lat drogi w jedną stronę, a potem trzydzieści z powrotem. Dodajmy jeszcze jakiś rok na zbadanie sprawy. Czy jesteś skłonny poczekać na grę sześćdziesiąt jeden lat, cyborgu?

– Zaczekam tak długo, jak długo będzie trzeba – odparł.

– Shayalla mówi, że jesteś całkowicie aseksualny.

– Tę zdolność utraciłem już w chwili przebudowy – potwierdził. – Zainteresowanie tematem utrzymywało się jeszcze przez kilka stuleci, ale w końcu ono również zanikło. Gdybym zechciał, mógłbym przywołać pełen zakres erotycznych wspomnień z czasów, gdy jeszcze nosiłem organiczne ciało. Wszystkie one pozostają równie świeże jak w dniu, gdy zapisałem je w swym komputerze. Raz zamknięte w kryształach wspomnienia nie mogą zaniknąć, jak dzieje się to w ludzkim mózgu. Są tam i czekają, aż do nich sięgnę, ale już od stuleci nie czułem na to ochoty.

Zaintrygowały mnie jego słowa.

– Nie możesz nic zapomnieć? – zapytałam.

– Mogę coś wymazać – odparł. – Postanowić, że nie chcę o tym pamiętać.

– Jeśli znajdziesz się wśród zwycięzców naszej małej gry umysłu, odzyskasz seksualność.

– Zdaję sobie z tego sprawę. To będzie interesujące doświadczenie. Być może wtedy zdecyduję się sięgnąć do tych pradawnych wspomnień.

– Tak jest – skonkludowałam zachwycona. – Zechcesz z nich skorzystać dokładnie w tej samej chwili, gdy zaczną zanikać. Oto strata równie wielka jak twój zysk, cyborgu.

– Zysk albo strata. Życie i śmierć. Mówiłem ci już, że nie można ich od siebie oddzielić.

– Nie zgadzam się z tobą – zaprotestowałam. To kłóciło się ze wszystkim, w co wierzę, ze wszystkim, czym jestem. Poirytował mnie, powtarzając to kłamstwo.

– Braje pisze, że farmaceutyki ani choroby nie mają na ciebie wpływu. To oczywiste. Można cię jednak rozmontować. Kilku moich apostołów proponowało, że pozbędzie się ciebie na mój rozkaz. Szczególnie krwiożerczy okazali się moi obcy.

– Ja nie mam krwi – zauważył. Z ironią? A może to była tylko siła sugestii?

– Mogą im wystarczyć twoje smary – odparłam z powagą. – Tr'k'nn'r chciałby sprawdzić twoją odporność na ból. A AanTerg Sięgający Księżyca, mój g'vherński lotnik, zaproponował, że zrzuci cię na ziemię z wielkiej wysokości.

– Według gniazdowych standardów byłaby to niewybaczalna zbrodnia.

– I tak, i nie – odparłam. – Urodzony w gnieździe g'vherm byłby przerażony sugestią podobnej profanacji lotu. Ale mojego apostoła bardziej by oburzyła sugestia kontroli urodzin. Tymi oleistymi nietoperzowymi skrzydłami porusza umysł na wpół obłąkanego kaleki z Nowego Rzymu. Jesteś na Croan'dhenni. Nikt z nas nie jest tym, kim się wydaje.

– Na to wygląda.

– Jonas również zaproponował, że cię zniszczy, w mniej dramatyczny, ale równie skuteczny sposób. Jest najbardziej wyrośniętym z moich apostołów. Zdeformowało go działanie gruczołów, które wyrwały się spod kontroli. To święty patron nowoczesnej broni maszynowej i szef mojej ochrony.

– Nie ulega wątpliwości, że nie skorzystałaś z tych ofert – zauważył cyborg.

Znowu oparłam się wygodnie.

– Faktycznie nie ulega – potwierdziłam – choć zawsze zastrzegam sobie prawo do zmiany zdania.

– Jestem graczem – oznajmił. – Zapłaciłem Kharowi Dorianowi, przekupiłem croan'dhickich strażników w kosmoporcie, zapłaciłem twojemu majordomusowi i tobie. Blżej środka, na Lilith, Cymerancie, Shrike i innych światach, gdy wspominają o tym czarnym pałacu i jego na wpół mitycznej pani, zawsze mówią, że traktujesz swych graczy uczciwie.

– Są w błędzie – odparłam. – Nigdy nie jestem uczciwa, cyborgu. Czasami bywam sprawiedliwa, jeśli nachodzi mnie taka ochota.

– Czy wszystkim graczom grozisz tak jak mnie? – zapytał.

– Nie – przyznałam. – W twoim przypadku zrobiłam wyjątek.

– Dlaczego?

– Dlatego, że jesteś niebezpieczny – odparłam z uśmiechem. Wreszcie dotarliśmy do sedna sprawy. Przerzuciłam swe apostołskie bulle i wydobyłam ostatnią i najważniejszą z nich. – Przynajmniej jednego z moich apostołów nigdy nie spotkałeś, ale on cię zna, cyborgu, zna cię lepiej, niż ci się śniło.

Cyborg milczał.

– To mój prywatny telepata – wyjaśniłam. – Sebastian Cayle. Jest ślepy, wypaczony i trzymam go w wielkim słoju, ale bywa niezwykle przydatny. Jego talent przenika ściany. Cayle dotknął kryształów twojego umysłu, przyjacielu, i zbił z tropu cyfrowe synapsy twojego id. Jego raport jest raczej mętny, ale za to cudownie zwięzły.

Podsunęłam go cyborgowi do przeczytania.

„Nawiedzany labirynt myśli. Stalowy duch. Prawda ukrywa się w kłamstwie, życie w śmierci, a śmierć w życiu. On odbierze ci wszystko, jeśli zdoła. Zabij go natychmiast”.

– Postanowiłaś zignorować jego radę – stwierdził cyborg.

– Tak – przyznałam.

– Dlaczego?

– Dlatego, że jesteś zagadką którą zamierzam rozwiązać podczas gry umysłu. Dlatego, że jesteś wyzwaniem, a mnie od dawna nikt nie rzucił wyzwania. Dlatego, że śmiesz mnie

osądzać i marzyć o tym, iż mnie zniszczysz, a minęły wieki, odkąd ktokolwiek odważył się na jedną z tych rzeczy.

* * *

Odbicia w obsydianie są mroczne i zniekształcone, ale mnie odpowiada takie lustro. Przez całe życie uznajemy swe odbicia za coś oczywistego, aż wreszcie nadchodzi godzina, gdy nasze oczy szukają znajomych rysów i odnajdują obraz obcego. Człowiek nie wie, co to groza albo fascynacja, dopóki nie napotka po raz pierwszy tego długiego spojrzenia nieznajomych oczu, nie uniesie nieznajomej dłoni, by dotknąć policzka obcego, i nie poczuje, jak te palce, lekkie, chłodne i bojaźliwe, dotykają jego skóry.

Gdy przybyłam na Croan'dhenni, przed z górą stuleciem, byłam już obca. Znałam dobrze swoją twarz i nic w tym dziwnego, bo nosiłam ją prawie dziewięćdziesiąt lat. To było oblicze twardej, silnej kobiety, z głębokimi bruzdami od spoglądania na obce słońca wokół szarych oczu, o szerokich, nie pozbawionych zmysłowości ustach, nosie, który kiedyś był złamany i już nigdy nie zrósł się prosto, oraz krótkich, brązowych, wiecznie rozczochranych włosach. To była przyjemna twarz i ongiś darzyłam ją pewną sympatią. Straciłam ją gdzieś jednak, być może podczas lat spędzonych na Gulliverze. Straciłam ją i byłam zbyt zajęta, żeby to zauważyć. Kiedy dotarłam na Lilith, z luster zaczęła mnie straszyć pierwsza nieznajoma. To była stara kobieta, stara i pomarszczona. Jej szare, zaropiałe oczy zaczynały już tracić blask, włosy były białe i przerzedzone, a tu i ówdzie przeświecały przez nie skrawki różowawej skóry. Kąciki ust drżały, na nosie widać było pęknięte naczynka, a pod podbródkiem kilka fałd miękkiej, szarej skóry, przypominającej korale u drobiu. Skórę miała miękką i obwisłą podczas gdy moja zawsze była elastyczna i błyszcząca zdrowiem. Było też coś jeszcze, czego nie zobaczy się w lustrze – odór choroby, który otaczał ją jak tanie perfumy podstarzałą kurtyzane, feromony śmierci.

Nie znałam jej, tej chorowitej staruchy, i nie podobało mi się jej towarzystwo. Na światach takich jak Avalon, Newholme i Prometeusz starość i choroby przychodzą ponoć wolniej, a legendy mówią, że na Starej Ziemi, za jej błyszczącymi murami, śmierć nie przychodzi już w ogóle. Ale Avalon, Newholme i Prometeusz leżą daleko stąd, a Stara Ziemia jest zamknięta i niedostępna dla nas. Byłam na Lilith sama w towarzystwie nieznajomej z lustra. Dlatego opuściłam królestwo ludzi, uciekłam poza zasięg ludzkich rąk, do wilgotnego półmroku Croan'dhenni, gdyż szeptano, że można tam zdobyć nowe życie. Chciałam znowu odnaleźć w lustrze dawną przyjaciółkę, którą utraciłam.

Ale znalazłam tylko kolejnych nieznajomych.

Pierwszym z nich był sam władca bólu, władca umysłu, władca życia, pan życia i śmierci. Gdy tu przybyłam, władał już od czterdziestu kilku lat. Był Croan'dhikiem, tubylcem, wielkim, niezgrabnym stworem o wyłupiastych oczach i cętkowanej, niebiesko-zielonej

skórce, groteskową parodią ropuchy o smukłych, wyposażonych w dwa stawy ramionach oraz trzech długich, pionowych paszczach, przypominających wilgotne czarne rany w jego woniejącym ciele. Kiedy na niego patrzyłam, czułam jego słabość. Był straszliwie otyły, morze tłuszczu cuchnącego zgniłymi jajami, podczas gdy jego croan'dhiccy strażnicy i słudzy byli twardzi i dobrze umięśnieni. Jednakże, aby obalić władcę umysłu, trzeba samemu się nim stać. Podczas gry odebrałam mu życie i ocknęłam się w jego ohydny ciele.

Ludzkiemu umysłowi niełatwo jest nosić skórę obcego. Dniem i nocą czułam się zagubiona w tym odrażającym cielsku, starałam się cokolwiek zrozumieć z obrazów, dźwięków i zapachów, które miały dla mnie równie mało sensu, co wizje w koszmarze. Krzyczałam, rozpaczliwie starając się odzyskać panowanie nad sobą i zdrowe zmysły. Ale przeżyłam. To był triumf ducha nad ciałem. Kiedy byłam gotowa, urządzono następną grę umysłu i tym razem zakończyłam ją w ciele, które sama sobie wybrałam.

To była ludzka kobieta. Miała trzydzieści dziewięć lat według jej rachuby, nieładną twarz, ale mocne, zdrowe ciało. Była zawodową hazardzistką która przybyła na Croan'dhenni, by stanąć do najniebezpieczniejszej z gier. Miała długie, rudobrązowe włosy, a niebieskozielony kolor jej oczu przypominał mi morza Gullivera. Była silna, ale niewystarczająco. W tych dawnych dniach, przed pojawieniem się Khara Doriana i jego floty handlarzy niewolników, tylko nieliczni ludzie trafiali na Croan'dhenni. Miałam ograniczony wybór i wybrałam ją.

Następnaj nocy znowu spojrzałam w lustro. To nadal była obca twarz. Za długie włosy, oczy o niewłaściwym odcieniu, nos prosty jak klinga noża, zaciśnięte usta, na których zbyt rzadko gościł uśmiech.

Po wielu latach, gdy to ciało zaczęło kasłać krwią z powodu jakiejś piekielnej zarazy z bagien Croan'dhenni, kazałam zbudować pokój z obsydianowymi lustrami, w których witałam każdą nową nieznaną. Lata mijają tak szybko, że wolę o tym nie myśleć, a ten pokój długo pozostaje zamknięty i niedostępny, ale w końcu zawsze nadchodzi chwila, gdy uświadamiam sobie, że wkrótce znowu go odwiedzę. Moi słudzy wspinają się wówczas na schody i czyszczą lustra, nadając im piękny, mroczny połysk, a gdy gra umysłu się kończy, wchodzę tam sama, zdejmuję ubranie, stoję przed lustrami i obracam się powoli, tańcząc z odbiciami.

Wysoko ustawione, ostro zarysowane kości policzkowe i ciemne oczy osadzone w głębokich oczodołach. Twarz w kształcie serca otoczona nimbem rozczochranych, czarnych włosów. Wielkie, jasne piersi o ciemnych sutkach.

Szczupłe, sprężyste mięśnie poruszające się pod naoliwioną, czerwobrązową skórą, długie paznokcie ostre niczym szpony, wąski, ostro zakończony podbródek, brązowe, twarde jak drut włosy przesywające nagą skórę czaszki wąskim, wysokim pasem sięgającym do połowy pleców, gorąca woń seksu między jej udami. Moimi udami? Na tysiącu światów ludzkość zmienia się na tysiąc różnych sposobów.

Masywna, koścista głowa spoglądająca na świat z wysokości blisko trzech metrów, broda i włosy łączące się ze sobą w lwią grzywę barwy kutego złota, siła emanująca z każdej kości i każdego ścięgna, szeroka, płaska pierś o bezużytecznych czerwonych sutkach, dziwne uczucie długiego miękkiego penisa zwisającego między nogami. To było dla mnie zbyt niezwykle. Penis pozostawał miękki przez wszystkie miesiące, gdy nosiłam to ciało, i tamtego roku pokój luster otworzył swe podwoje dwa razy.

Twarz bardzo podobna do tej, którą pamiętam. Jak dobrze ją jednak zapamiętałam? Minęło już całe stulecie, a ja nie przechowuję obrazów twarzy, które nosiłam. Z czasów mojej pierwszej młodości ocalał jedynie szklany kwiat. Ona jednak miała krótkie brązowe włosy, uśmiechnięte usta i szarzielone oczy. Jej szyja była zbyt długa, a piersi być może za małe. Mimo to była blisko, bardzo blisko. W końcu jednak się zestarzała i znowu zobaczyłam w zamkowych ścianach odbicie nieznajomej.

I teraz to udręczone dziecko. W lustrach wygląda jak córka z moich marzeń, córka, którą mogłabym urodzić, gdybym była znacznie ładniejsza. Przywiózł mi ją Khar. Powiedział, że to dar, najpiękniejszy dar w zamian za to, że uczyniłam go młodym i przystojnym. Kiedy go znalazłam, był posiwiłym impotentem o ochrypłym głosie i naznaczonej bliznami twarzy.

Dziewczynka ma może z jedenaście lat, najwyżej dwanaście. Jej ciało jest chude i niezgrabne, ale widać w nim urodę, która dopiero zaczyna rozkwitać. Piersi uwydatniają się już nieco, a krew popłynęła po raz pierwszy niespełna pół roku temu. Włosy ma srebrnozłote. Długie i proste, opadają kaskadą prawie do pięt. Oczy, ogromne w drobnej twarzy, mają barwę najgłębszego, najczystszonego fioletu. Jej rysy są dziełem genetycznych rzeźbiarzy. Nie ulega wątpliwości, że ten wygląd to efekt świadomej hodowli, genetycznej inżynierii, która uczyniła magnatów handlowych ze Shrike oraz bogatych mieszkańców Lilith i Fellanory tak oszałamiająco pięknymi.

Gdy Khar mi ją przywiózł, miała niespełna siedem lat i jej umysł był już zniszczony. Była tylko przerażonym zwierzątkiem, krzyczącym w zamkniętym, ciemnym pokoju ukrytym wewnątrz jej czaszki. Khar zapewnia, że była już taka, kiedy ją kupił. To ponoć pozbawiona dziedzictwa córka fellanejskiego barona-rabusia. Obalono go i stracono za zbrodnie polityczne, a jego rodzinę, przyjaciół i służbę zabito razem z nim albo obrócono w bezmyślne seksualne zabawki dla jego zwycięskich wrogów. Tak właśnie mówi Khar, a na ogół mu wierzę.

Nie pamiętam, bym kiedykolwiek dotąd była tak młoda i piękna, nawet w latach mojej pierwszej młodości na Ash, gdy bezimienny chłopak dał mi szklany kwiat. Mam nadzieję, że będę nosiła to słodkie ciało równie długo jak to, z którym się urodziłam. A jeśli spędzę tu wystarczająco dużo czasu, być może nadejdzie dzień, gdy znowu ujrzę w mrocznym lustrze własną twarz.

* * *

Przychodzili do mnie jedno po drugim. Przez mądrość do powtórnych narodzin; taką przynajmniej mieli nadzieję.

Wysoko nad bagnami, zamknięta w swej wieży, przygotowałam się na ich przyjęcie w komnacie zmian, nieopodal mojego niezbyt imponującego tronu. Artefakt nie robi zbyt wielkiego wrażenia: prosto ukształtowana miska z jakiegoś miękkiego, obcego stopu, ciemnoszara i lekko ciepła w dotyku. Wokół jej obwodu umieszczono w równych odstępach sześć nisz. To siedzenia – ciasne, twarde i niewygodne. Zaprojektowano je z myślą o nieludzkich ciałach, ale zawsze to siedzenia. Z dna misy wyrasta smukła kolumna kończąca się kolejnym siedzeniem, niewygodnym pucharem, który jest tronem... wybierzcie tytuł, jaki podoba się wam najbardziej. Władcy bólu, władcy umysłu, władcy życia, dawcy i biorcy, operatora, inicjatora, mistrza. Wszystkie te tytuły opisują mnie. I innych, którzy byli przede mną, grzechoczący łańcuch sięgający aż do Białego i być może dalej, ku konstruktorom, nieznanym istotom, które stworzyły tę maszynę w mroku odległych eonów.

Jeśli w komnacie można znaleźć dramatyzm, jest on wyłącznie moim dziełem. Łukowate ściany i kopulasty sufit skrzętnie wyłożono tysiącami odłamków gładzonego obsydianu. Niektóre z nich są bardzo cienkie i przebija się przez nie szare światło croan'dhickiego słońca. Inne natomiast są tak grube, że prawie nieprzezroczyste. Komnata ma jeden kolor, ale tysiąc odcieni, a ci, którzy są wystarczająco bystrzy, by to zauważyć, ujrzą w niej wielką mozaikę życia i śmierci, snów i koszmarów, bólu i ekstazy, nadmiaru i pustki, wszystkiego i niczego. Przeciwności te przechodzą w siebie bez końca, tworząc krąg, cykl, robaka, który bezustannie pożera własny ogon. Każdy odprysk jest odrębny, łamliwy i ma ostre brzegi, i każdy też stanowi element większego obrazu, który jest ogromny, czarny i kruchy.

Rozebrałam się i wręczyłam ubranie Rannarowi, który złożył starannie każdą jego część. Puchar jest otwarty i ma kształt jaja. Weszłam do niego i podwinęłam nogi pod siebie w pozycji lotosu. To najlepszy możliwy kompromis między kształtem Artefaktu a budową ludzkiego ciała. Wewnętrzne ściany maszyny zaczęły krwawić, szary metal jaja pokryły błyszczące, czerwionoczarne kropelki. Każda z nich stawała się coraz większa i cięższa, aż wreszcie pękała. Po gładkich, łukowatych ścianach spływały strumyki, ciecz zaczynała się gromadzić na dnie, parząc moją nagą skórę w miejscu, gdzie jej dotknęła. Z każdą chwilą było jej coraz więcej, moje ciało powoli ogarniał ogień. Wkrótce byłam już zanurzona do połowy.

– Wpuść ich – poleciłam Rannarowi. Ile razy wypowiadałam już te słowa? Straciłam rachubę.

Najpierw wprowadzono nagrody. Wytatuowanego chłopaka eskortował Khar Dorian.

– Tutaj – rzucił od niechcenia Khar, wskazując na siedzenie.

Jednocześnie uśmiechnął się do mnie lubieżnie, a twarde młodzieniec, zabójca, szalony, krwawy zbir skulił się trwożnie przed swym strażnikiem i zajął wskazane miejsce. Kobieta

przyprowadziła Braje, mój biomed. One również były do siebie podobne: blade, miękkie i tłuste. Braje zachichotała, zamykając kajdany na zachowującej się biernie podopiecznej. Pisklę stawiało opór, napinało żylaste mięśnie, tłukło wielkimi skrzydłami z dramatycznym, ale nieskutecznym łopotem. Potężny, łypiący spode łba Jonas wepchnął je do niszy przy pomocy swoich ludzi. Gdy zakuli je w kajdany, Khar Dorian uśmiechnął się, a g'vhern wydał z siebie wysoki, przenikliwy gwizd, od którego bolały uszy.

Craimura Delhune'a musieli przynieść jego pomocnicy i wynajęci przez nich ludzie.

– Tutaj – powiedziała im, wskazując jedną z nisz, i wepchnęli go niezgrabnie do niej.

Skierował ku mnie pomarszczoną, zgrzybiałą twarz, jego półślepe oczy poruszały się nerwowo jak małe drapieżne zwierzątka, a usta wsysały chciwie powietrze, jakby miał już za sobą powtórne narodziny i szukał piersi matki. Nie potrafił dostrzec mozaiki. Dla niego było to tylko ciemne pomieszczenie o czarnych, szklanych ścianach.

Rieseem Jay weszła do środka dumnym krokiem, znudzona moją komnatą nim jeszcze ją zobaczyła. Zauważyła mozaikę, ale obrzuciła ją tylko pobieżnym spojrzeniem, uznając ją za coś niegodnego uwagi, wymagającego zbyt wielkiego wysiłku. Zamiast tego obeszła powoli pomieszczenie, przyglądając się kolejno każdej z nagród, jak rzeźnik poddający oględzinom mięso. Najdłużej zatrzymała się przed pisklęciem. Wydawało się, że zachwyca ją jego szarpanina, jego widoczny strach, to, jak syczało na nią i gwizdało, łypiąc jaskrawymi, gorejącymi oczyma. Wyciągnęła rękę, by dotknąć jego skrzydła, i cofnęła ją ze śmiechem, gdy pisklę spróbowało ją ugryźć. W końcu podeszła do siedzenia i rozparła się na nim leniwie, czekając na rozpoczęcie gry.

Ostatni wszedł Kleronomas.

On natychmiast zauważył mozaikę. Zatrzymał się i uniósł wzrok. Przesunął powoli po pomieszczeniu spojrzeniem krystalicznych oczu, zatrzymując je tu i ówdzie na jakimś interesującym szczególe. Stał tam tak długo, że Rieseem Jay straciła cierpliwość i warknęła na niego, żeby zajął miejsce. Cyborg popatrzył na nią. Z jego metalowej twarzy nie sposób było nic wyczytać.

– Proszę o ciszę – powiedziałam.

Kleronomas dokończył oględziny kopuły, nie śpiesząc się zbytnio, i dopiero potem usiadł w ostatniej wolnej niszy. Zachowywał się przy tym tak, jakby wszystkie miejsca były puste i sam dokonał wyboru.

– Opuśćcie komnatę – poleciłam.

Rannar pokłonił się i gestem nakazał wszystkim wyjść. Ostatni w drzwiach był Khar Dorian, który pożegnał mnie jakimś gestem. Co to miało znaczyć? Życzył mi szczęścia? Być może. Usłyszałam, że Rannar zamknął drzwi.

– I co? – zapytała Rieseem Jay.

Uciszyłam ją piorunującym spojrzeniem.

– Wszyscy siedzicie na Niebezpiecznym Miejscu – oznajmiłam. Zawsze zaczynam tymi słowami. Nikt nigdy ich nie zrozumiał. Tym razem... być może Kleronomas. Przyglądałam się masce jego twarzy i zauważyłam lekkie poruszenie krystalicznych oczu. Starłam się coś z tego wyczytać. – W grze umysłu nie ma żadnych reguł, wprowadziłam jednak pewne zasady dotyczące tego, co wydarzy się później, gdy wrócicie do mojej domeny. Ci z was, którzy są tu niedobrowolnie: jeśli okażecie się wystarczająco silni, by utrzymać swe ciało, stanie się ono waszą własnością na zawsze. Oddam je wam za darmo. Żadna nagroda nie gra więcej niż raz. Trzymajcie się mocno ciała, z którym się urodziście, a Khar Dorian przewiezie was z powrotem na świat, na którym was znalazł, i wypuści was tam wolno z tysiącem standardów w kieszeni. Ci z graczy, którzy przejdą dziś ponowne narodziny, którzy po zakończeniu gry znajdą się w obcym ciele: pamiętajcie, że wyłącznie wy odpowiadacie za to, co zdobyliście bądź straciliście, i oszczędźcie mi swych pretensji oraz zarzutów. Jeśli będziecie niezadowoleni z wyniku gry, możecie spróbować jeszcze raz. O ile stać was na zapłatę. Ostatnie ostrzeżenie. Dla wszystkich. To będzie bolało. Będzie bolało bardziej niż wszystko, co jesteście sobie w stanie wyobrazić.

Tymi słowami zaczęłam grę umysłu.

Po raz kolejny.

* * *

Cóż można powiedzieć o bólu?

Słowa są zaledwie cieniem prawdy o nim. Rzeczywistość gwałtownego, ostrego cierpienia nie przypomina niczego innego i wykracza poza język. Świata jest dla nas za wiele, we dnie i w nocy, ale kiedy nas boli, kiedy nas naprawdę boli, świat rozpuszcza się i znika, staje się duchem, bladym wspomnieniem, czymś głupim i nieważnym. Wszystkie ideały, marzenia, miłości, obawy i myśli tracą całkowicie znaczenie. Zostajemy sam na sam z bólem, jest on jedyną siłą w kosmosie, jedynym, co realne, jedynym, co ma znaczenie. Jeśli jest wystarczająco silny i trwa dostatecznie długo, rozprasza się w nim całe nasze człowieczeństwo i dumny, skomplikowany komputer, jakim jest ludzki mózg, staje się zdolny do tylko jednej myśli: „Niech to się wreszcie skończy, niech to się wreszcie skończy!”.

Z upływem czasu ból rzeczywiście się kończy i umysł, który go doświadczył, nie jest już w stanie go pojąć, nie potrafi nawet sobie przypomnieć, jak bardzo źle było, opisać go w jakiś sposób zbliżający się do straszliwej prawdy o tym, jaki był, gdy jeszcze trwał.

Cierpienie wywoływane przez pole bólu w grze umysłu nie przypomina żadnego innego. Nie przypomina niczego, czego kiedykolwiek doświadczyłam.

Pole bólu nie uszkadza ciała, nie zostawia żadnych śladów, blizn, ran ani znamion. Dotyka bezpośrednio umysłu, powodując agonię, jakiej nie jestem w stanie opisać. Jak długo

to trwa? To pytanie dla relatywistów. Najdrobniejszy ułamek mikrosekundy, a zarazem całą wieczność.

Mądrości z Dam Tullianu są mistrzami setki różnych dyscyplin umysłu i ciała. Nauczają swych akolitów metody izolowania bólu, odłączenia się od niego, odepchnięcia go i wyjścia poza jego granicę. Gdy po raz pierwszy stanęłam do gry umysłu, byłam mądrością przez połowę życia. Wykorzystałam wszystko, czego mnie nauczono, wszystkie sztuczki i prawdy, które opanowałam i na których nauczyłam się polegać. Okazały się one całkowicie bezużyteczne. Ten ból nie dotykał ciała, nie biegł po włóknach nerwowych, wypełniał umysł w tak całkowity, porażający sposób, że nie została nawet najdrobniejsza cząstka, która byłaby w stanie myśleć, układać plany albo medytować. Ból był mną i ja byłam bólem. Nie pozostało nic, co mogłoby się od niego odłączyć, nie było żadnego chłodnego azylu myśli, do którego mogłabym się wycofać.

Pole bólu było wieczne i nieskończone, a ulgę od nieustannej, niewyobrażalnej agonii mogło dać tylko jedno. Stary i pewny lek, ten sam, który od początku czasu przynosił wytchnienie miliardom mężczyzn i kobiet, a nawet najdrobniejszych zwierząt. Mroczny władca bólu. Mój wróg, mój kochanek. Znowu, po raz kolejny, umknęłam w jego czarne objęcia, pragnąc jedynie końca cierpienia.

Śmierć mnie przyjęła i ból zniknął.

Czekałam na pozostałych na ogromnej, pełnej ech równinie, która leży w miejscu poza życiem.

* * *

Mgły skupiają się w niewyraźne cienie. Cztery, pięć, tak jest. Czyżbyśmy kogoś stracili? To by mnie nie zaskoczyło. W trzech grach na cztery któryś z graczy znajduje swą prawdę w śmierci i nie szuka już dalej. Ale nie tym razem. Widzę, jak szósty cień wyłania się ze skłębionej mgły, jesteśmy wszyscy na miejscu, rozglądam się wokół siebie jeszcze raz i liczę: trzy, cztery, pięć, sześć, siedem i ja, osiem.

Osiem?

Coś tu jest nie w porządku, bardzo nie w porządku. Jestem zdezorientowana, kręci mi się w głowie. W pobliżu ktoś krzyczy. Mała dziewczynka o słodkiej, niewinnej buzi, odziana w pastelowe ubranko i przystrojona pięknymi klejnotami. Nie wie, jak się tu znalazła, nic nie rozumie, jej oczy są dziecinne, zagubione i stanowczo zbyt ufne. Ból obudził ją z wywołanej pyłem snów drzemki i znalazła się w obcym kraju pełnym strachu.

Unoszę drobną, silną dłoń, patrzę na grube brązowe palce, stwardniały odcisk na kciuku, szerokie, tępo zakończone paznokcie przycięte do żywego. Zaciskam pięść w znajomym geście i w mojej dłoni pojawia się lustro, zrodzone z żelaza mojej woli i rtęci mojego pragnienia. W lśniącej głębi zwierciadła dostrzegam twarz. To oblicze twardej, silnej kobiety,

z głębokimi brzdami od spoglądania na obce słońca wokół szarych oczu, o szerokich, nie pozbawionych zmysłowości ustach, nosie, który kiedyś był złamany i już nigdy nie zrósł się prosto, oraz krótkich, brązowych, wiecznie rozczochranych włosach. Przyjemna twarz, której widok przynosi mi pocieszenie.

Lustro znika, zamienia się w dym. Ziemia i niebo są tu zmienne, niepewne. Słodka dziewczynka nie przestaje krzyczeć, wołając tatę. Niektórzy z pozostałych spoglądają na mnie, nie wiedząc, co robić. Jest tu młody mężczyzna o nieładnej twarzy. Czarne włosy ma zaczesane do tyłu i upstrzone kolorowymi plamkami w stylu, który na Gulliverze wyszedł z mody przed stuleciem. Jego ciało wygląda na miękkie, ale w oczach dostrzegam twarde błysk, który przywodzi mi na myśl Khara Doriana. Rieseën Jay robi wrażenie oszołomionej, nieufnej i wystraszonej, ale nadal pozostaje sobą. Cokolwiek by o niej powiedzieć, ma silne poczucie tego, kim jest. Być może to wystarczy. G'vherm majaczy tuż obok niej. Wydaje się znacznie większy niż przedtem, a jego ciało błyszczy od oleju. Obcy rozpościera demoniczne skrzydła i zaczyna kroić nimi mgłę na długie szare wstęgi. W grze umysłu nie nosi kajdan. Rieseën Jay przygląda mu się przez dłuższy czas i wreszcie odsuwa się trwożnie. To samo robi kolejny gracz, słaba, szara sylwetka pokryta licznymi tatuażami. Jego twarz jest bladą plamą pozbawioną celu i definicji. Dziewczynka nie przestaje krzyczeć. Odwracam się od nich, pozostawiając ich samym sobie, i spoglądam na ostatniego z graczy.

To potężny mężczyzna o skórze koloru polerowanego hebanu z wyraźną nutą granatu. Przeciąga się, napinając długie mięśnie. Jest nagi. Ma masywną, kwadratową sterczącą do przodu żuchwę. Długie włosy opadają mu poniżej ramion, białe i czyste jak świeża pościel, jak dziewicze śniegi świata nietkniętego ludzką stopą. Kiedy na niego patrzę, jego gruby, czarny penis porusza się i prostuje we wzwodzie. Mężczyzna uśmiecha się do mnie.

– Mądrości – mówi.

Nagle ja również jestem naga.

Marszczę brwi i okrywa mnie zdobna zbroja zrobiona z zachodzących na siebie, połączonych płyt z ultraodpornego stopu, pokryta filigranem ochronnych run. Pod pachą trzymam antyczny hełm ozdobiony jaskrawym pióropuszem.

– Joachimie Kleronomas – odpowiadam.

Jego penis staje się coraz dłuższy i grubszy, aż wreszcie przeradza się w niedorzeczną, obrzękłą laskę wciskającą mu się w twarde brzuch. Ubieram mężczyznę w mundur z podręczników historii, czarny i srebrny, z niebiesko-zielonym globem Starej Ziemi wyszytym na prawym rękawie i dwiema srebrnymi spiralami galaktyk na kołnierzu.

– Nie – sprzeciwia się z uśmiechem. – Nie dosłużyłem się takiego stopnia. – Galaktyki znikają zastąpione przez krąg sześciu srebrnych gwiazd. – I przez większą część życia służyłem Avalonowi, nie Ziemi, mądrości. – Jego mundur staje się mniej ceremonialny, bardziej funkcjonalny, przeradza się w prosty szarozielony kombinezon z pasem z czarnej

tkaniny i pełną pisaków kieszenią. Tylko srebrny krąg gwiazd pozostaje niezmienny. – Proszę – mówi Kleronomas.

– Nie tak – odpowiadam. – Nadal nie tak.

Kiedy kończę mówić, zostaje tylko mundur. Okryte nim ciało znika, ustępując miejsca parodii człowieka wykonanej ze srebrnego metalu, błyszczącej, bezdusznej maszynie z opiekaczem zamiast głowy. Ale tylko na chwilę. Potem mężczyzna powraca, marszcząc z niezadowolaniem brwi.

– To było okrutne – mówi mi.

Stwardniały penis rozciąga mu tkaninę w kroku.

Za jego plecami stoi ósmy gracz, duch, którego nie powinno tu być. Muszę przyglądać się bardzo uważnie, żeby w ogóle go zauważyć. Jest znacznie drobniejszy od Kleronomasa, robi wrażenie starego i wątego, choć jego ciało jest tak rzadkie, tak niematerialne, że trudno być tego pewnym. Mógłby być wizją wywołaną przez przypadkowe poruszenia mgły, echem odzianym w wyblakłą biel, ale jego oczy błyszczą i migoczą. Widać w nich strach, poczucie uwięzienia. Próbuje ku mnie sięgnąć. Jego dłoń to stare, poszarzałe kości obleczone w półprzezroczyste ciało.

Odsuwam się niepewnie. W grze umysłu nawet najlżejszy dotyk może się okazać straszliwie realny.

Za moimi plecami rozlega się kolejny krzyk, przeraźliwy, dziki wrzask kogoś pogrążonego w ekstazie strachu. Odwracam się.

Zaczął się na dobre. Gracze szukają ofiar. Craimur Delhune, młody, witalny i znacznie silniej umięśniony niż jeszcze przed chwilą trzyma w jednej ręce płonący miecz i uderza nim od niechcienia w wytatuowanego chłopaka. Ten klęczy obok niego, krzyczy, próbuje osłonić się uniesionymi ramionami, ale miecz Delhune'a bez trudu przenika szare cieniocioło i wbija się w błyszczące tatuaże. Delhune zdejmuje je z chłopaka chirurgicznie, cięcie za cięciem, a one unoszą się w górę w mglistym powietrzu – połyskliwe obrazy życia odcięte od szarej skóry, na której były uwięzione. Delhune łapie je, gdy przepływają obok niego, i połyka w całości. Z jego nozdrzy i otwartych ust bucha dym. Chłopak krzyczy i kuli się trwożnie. Wkrótce nie zostanie z niego nic oprócz cienia.

Pisklę wzbija się w powietrze. Krąży nad nami z głośnym łopotem skrzydeł, zawodząc swym wysokim, przenikliwym głosem.

Wygląda na to, że Riesen Jay zmieniła zdanie. Kobieta stoi nad płaczącą dziewczynką która z każdą chwilą staje się trochę większa. To Jay ją zmienia. Dziewczynka jest teraz starsza i tłustsza, jej oczy mają równie przerażony, ale znacznie mniej inteligentny wyraz. Dokądkolwiek zwróci głowę, pojawiają się tam lustra, w których tłuste, wilgotne usta wyśpiewują szydercze słowa. Jej ciało wciąż zwiększa objętość, rozdzierając biedne, wytarte ubranie. Po brodzie spływa wąska strużka śliny. Dziewczynka wyciera ją z płaczem, ale ślina

spływa coraz szybciej i robi się teraz różowa od krwi. Dziewczynka stała się opasłą, obrzydliwa, wstrętna.

– To jesteś ty – mówią lustra. – Nie odwracaj wzroku. Popatrz na siebie. Nie jesteś małą dziewczynką. Popatrz, popatrz, popatrz. Czy nie jesteś ładna? Czyż nie jesteś słodka? Popatrz na siebie, popatrz na siebie.

Rieseem Jay krzyżuje ramiona i uśmiecha się z satysfakcją.

Kleronomas spogląda na mnie z zimnym osądem na twarzy. Na moich oczach pojawia się czarna opaska. Mrugam, sprawiam, że materiał znika, i spoglądam ze złością na cyborga.

– Nie jestem ślepa – mówię. – Widzę ich. To nie moja walka.

Gruba kobieta osiągnęła już rozmiary ciężarówki. Jest blada i miękka jak czerw, naga i ogromna, a z każdym mrugnięciem Jay staje się coraz bardziej monstrualna. Z jej twarzy, dłoni i ud wyrastają nagle gigantyczne białe piersi, ich brązowe, mięsiste sutki otwierają usta i zaczynają śpiewać. Nad jej pochwą pojawia się gruby, zielony penis, który wygina się w dół i wchodzi w nią. Na skórze uwidaczniają się guzy przypominające pole ciemnych kwiatów. Lustra są wszędzie, rozbłyskują i znikają, bezlitośnie pokazując jej wszystko, czym jest, dokumentując każdą groteskową wizję urzeczywistnianą przez Jay. Gruba kobieta ledwie zasługuje na miano człowieka. Z jej ust, wielkich jak moja głowa, pozbawionych dziąseł i krwawiących, wydobywa się dźwięk przywodzący na myśl zawodzenie potępionych. Jej ciało zaczyna drżeć. Bucha z niego dym.

Cyborg wyciąga rękę. Wszystkie lustra eksplodują.

We mgłę jest pełno sztyletów, odprysków posrebrzanego szkła, które mkną we wszystkie strony. Jeden z nich leci prosto na mnie i każe mi zniknąć. Ale inne, inne... zakręcają jak samonaprowadzające się pociski, stają się powietrzną flotyllą i atakują, przeszywając Rieseem Jay w tysiącu różnych miejsc. Z jej oczu, piersi i otwartych ust skapuje krew. Potwór z powrotem zamienia się w płaczącą dziewczynkę.

– Jesteś moralistą – oskarżam go.

Ignoruje mnie, zwraca się w stronę Craimura Delhune'a i widmowego chłopaka. Tatuże na skórze młodzieńca rozjarzają się nowym życiem. W jego dłoni pojawia się miecz, który ogarniają płomienie. Zaniepokojony Delhune cofa się o krok.

– Altruistą który niesie pomoc słabym – dodaję.

Kleronomas odwraca się.

– Nie zwykłem tolerować rzezi.

Wybucham śmiechem.

– Być może chcesz ich zachować dla siebie, cyborgu. Jeśli nie, to lepiej szybko zaopatrzyć się w skrzydła, zanim twoja nagroda odleci.

Jego twarz jest zimna.

– Moja nagroda stoi przede mną – mówi.

– Skądś o tym wiedziałam – odpowiadam, wkładając ozdobiony pióropuszem hełm. Moja zbroja jarzy się złotymi światłami, a miecz jest świetlistą kolumną.

Moja zbroja jest czarna jak otchłań, a zdobiące ją rysunki, czarne na czarnym tle, przedstawiają pająki, węże, ludzkie czaszki i wykrzywione bólem twarze. Mój długi srebrny miecz zmienia się w obsydianowe okropieństwo pełne haków, zadziórów i okrutnych kolców. Temu cholernemu cyborgowi nie brak poczucia dramatyzmu.

– Nie – odpowiadam. – Nie dam się obsadzić w roli czarnego charakteru. – Znowu jestem złota, srebrna i błyszcząca, a mój pióropusz jest czerwono-niebieski. – Sam noś tę zbroję, jeśli tak ją lubisz.

Staje naprzeciwko mnie, czarny i ohydny. Pod otwartym hełmem widać uśmiechniętą czaszkę. Kleronomas pozbywa się tego wszystkiego.

– Nie potrzebuję rekwizytów – mówi. Szarobiały duch unosi się u jego boku, ciągnąc go za rękę. Kim jest? – zastanawiam się po raz kolejny.

– Proszę bardzo – zgadzam się. – Obejdziemy się bez symboli.

Moja zbroja znika.

Wyciągam nagę, otwartą dłoń.

– Dotknij mnie – mówię. – Dotknij mnie, cyborgu.

Gdy wyciąga do mnie rękę, jego długie, ciemne palce przemieniają się w metal.

* * *

W grze umysłu w jeszcze większym stopniu niż w życiu obraz i metafora są wszystkim.

Miejsce poza czasem, bezkresna mglista równina, zimne niebo i niepewna ziemia pod stopami, nawet to jest iluzją. To ja ukształtowałam tę arenę – nieziemską i surrealistyczną – na której gracze mogą odgrywać swe tandetne dramaty dominacji i uległości, zdobywania i rozpacz, śmierci i odrodzenia, gwałtu ciała i gwałtu umysłu. Bez mojej wizji, czy wizji poprzednich władców bólu z minionych eonów, nie byłoby ziemi pod nimi ani nieba nad ich głowami, nie mieliby gdzie postawić stóp i samych stóp też by nie mieli. Rzeczywistość nie oferuje nawet skąpego pocieszenia, jakim jest ukształtowany przeze mnie jałowy krajobraz. Rzeczywistość to niemożliwy do zniesienia chaos, który leży poza przestrzenią i czasem. Nie ma w nim materii ani energii, nie ma żadnych miar i dlatego jest przerażająco nieskończony, a zarazem dławiąco klaustrofobiczny, straszliwie wieczny i boleśnie krótkotrwały. W takiej właśnie rzeczywistości są uwięzieni gracze, siedem umysłów połączonych w telepatycznym związku tak ściśłym, że większość nie jest w stanie go znieść. Dlatego wycofują się trwożnie i pierwszym, co tworzymy w miejscu, gdzie jesteśmy bogami (albo diabłami, albo i jednym, i drugim), są ciała, które zostawiliśmy w realnym świecie. Stają się one naszym azylem i wychodząc od nich, próbujemy zaprowadzić porządek w chaosie.

Krew ma smak soli, ale tu nie ma krwi, tylko iluzja. W pucharze jest czarny, gorzki napój, ale nie ma żadnego pucharu, to tylko obraz. Otwarte rany krwawią ociekając bólem, ale nie ma żadnych ran, nie ma ciała, które można by zranić, to tylko metafora, symbol, zaklęcie. Nic tu nie jest realne, ale wszystko może zranić, zabić albo wpędzić w trwałą obłąd.

Żeby przetrwać, gracze muszą być odporni, zdyscyplinowani, zrównoważeni i bezlitośni, potrzebują żywej wyobraźni, bogatej biblioteki symboli oraz odrobiny psychologicznej intuicji. Muszą odnaleźć słaby punkt przeciwnika oraz starannie ukryć własne fobie. Zasady są proste. Wierz we wszystko, nie wierz w nic. Z całych sił trzymaj się siebie i zdrowych zmysłów.

Nawet jeśli cię zabiją to nie ma znaczenia, chyba że uwierzysz we własną śmierć.

Na tej równinie iluzji, gdzie aż nazbyt zmienne ciała płasają i walczą w banalnej pawanie, jaką oglądałam już tysiąc razy, wyczarowując z niczego miecze, lustra i potwory, które następnie rzucają do walki niczym obłąkani żonglerzy, największe przerażenie budzi prosty dotyk.

Jego symbolizm jest bezpośredni, znaczenie nieskomplikowane. Ciało styka się z ciałem. Odarte z metafor, osłon i masek. Umysł przeciwko umysłowi. Kiedy się dotykamy, mury padają.

W grze umysłu nawet czas jest iluzją. Biegnie tak szybko albo tak powoli, jak tego zapagniemy.

Jestem Cyrain, powtarzam sobie. Urodziłam się na Ash, wiele podróżowałam, jestem mądrością z Dam Tullianu, mistrzynią gry umysłu, panią obsydianowego zamku, władczynią Croan'dhenni, władcą umysłu, władcą bólu, władcą życia. Jestem kompletna, nieśmiertelna i niezwyciężona. Wejdz we mnie.

Jego palce są chłodne i twarde.

* * *

Grałam już przedtem w grę umysłu, ścisłałam ręce innych, którym wydawało się, że są silni. Ujrzałam w nich, w ich umysłach i duszach, rozmaite rzeczy. W mrocznych, szarych tunelach odkryłam graffiti ich pradawnych ran. Ruchome piaski ich obaw wsysały moje buty. Czułam ostry odór ich lęków, ogromnych bestii bytujących w dotykanej, żywej ciemności. Poparzyłam sobie palce o gorące ciało żądź, których imion nie chcieli wypowiedzieć. Zrywałam zasłony z ich cichych, skrywanych tajemnic. A potem odebrałam im wszystko, stałam się nimi, żyłam ich życiem, piłam zimny napój ich wiedzy, grzebałam w ich wspomnieniach. Urodziłam się kilkanaście razy, ssalam kilkanaście różnych piersi, kilkanaście razy straciłam cnotę, czy to jako mężczyzna, czy jako kobieta.

Z Kleronomasem było inaczej.

Znalazłam się w wielkiej, pełnej światła jaskini. Ściany, podłogę i sufit wykonano tu z półprzezroczystego kryształu. Wszędzie wokół ku górze wznosiły się wieże, stożki i powyginane wstążki, jaskrawoczerwone i twarde, zimne w dotyku, ale żywe. Po wszystkich przemykały iskry duszy. Kryształowe miasto z bajki ukryte w jaskini. Dotknęłam najbliższej wyniosłości i załały mnie wspomnienia, wiedza równie czysta, ostra i pewna jak w dniu, gdy ją wytrawiono. Odwróciłam się i rozejrzałam wokół nowymi oczyma, postrzegając sztywny porządek tam, gdzie z początku widziałam jedynie chaotyczne piękno. Widok tej klarowności zaparł mi dech w piersiach. Rozglądałam się dokoła w poszukiwaniu słabości, drzwi ze zżartego gangreną ciała, kałuż krwi, nieczystego, powłóczącego nogami stwora, który musiał żyć w jego wnętrzu, ale nie znalazłam nic, nic, nic, tylko doskonałość, tylko czysty, ostry kryształ, tak bardzo czerwony, rozświetlony od wewnątrz, rosnący i zmieniający się, ale wieczny. Dotknęłam go raz jeszcze, zaciskając dłoń na wyniosłości, która wznosiła się przede mną na podobieństwo stalagmitu. Wiedza należała do mnie. Zaczęłam spacerować, dotykać, dotykać, wypijać wszystko. Wszędzie rozkwitały szklane kwiaty o fantastycznej szkarłatnej barwie, kruche i piękne. Wzięłam jeden z nich do ręki i powąchałam go, ale nie miał żadnego zapachu. Cała ta perfekcja pozbawiała mnie odwagi. Gdzie była jego słabość? Gdzie w tym diamencie ukrywała się skaza, która pozwoli mi rozbić go jednym mocnym uderzeniem?

Nie było tu rozkładu.

Nie było tu miejsca dla śmierci.

Nie było tu nic żywego.

Czułam się tu jak w domu.

Nagle przede mną ukształtował się duch, szary, chudy i niepewny. Gdy jego bose stopy stapały lekko po błyszczących kryształach, wydobywały się z nich smużki dymu. Poczulałam woń palonego mięsa. Uśmiechnęłam się. W kryształowym labiryncie straszło widmo, ale wszelki dotyk oznaczał ból i zniszczenie.

– Chodź tu – zażądałam.

Duch spojrział na mnie. Przez mgielkę jego niematerialnego ciała dostrzegałam światła na drugim końcu jaskini. Podszedł do mnie, a ja rozpostarłam ramiona, weszłam w niego i zawiądnęłam nim.

* * *

Siedziałam na balkonie w najwyższej wieży swego zamku, popijając z małej filiżanki aromatyczną czarną kawę z brandy. Bagna zniknęły. Patrzyłam na góry, twarde, zimne i czyste. Niebieskobiałe turnie otaczały mnie ze wszystkich stron, a najwyższy szczyt zdobił pióropusz kryształków śniegu niesionych wiecznie dmącym wiatrem. Wicher był zimny, ale prawie go nie czułam. Byłam sama i radowałam się spokojem. Kawa mi smakowała, a śmierć

była daleko. Kleronomas wszedł na balkon i usiadł na jednej z balustrad w niedbalej, beczelnej, pewnej siebie pozie.

– Znam cię – stwierdził. To była najstraszniejsza z gróźb.

Ale ja się nie bałam.

– Ja też cię znam – odparłam. – Czy mam przywołać twojego ducha?

– Wkrótce sam się tu zjawi. Nigdy nie oddała się zbyt ode mnie.

– Być może – mruknęłam i popiłam kawę, pozwalając mu czekać. – Jestem silniejsza od ciebie – oznajmiłam po chwili. – Mogę wygrać tę grę, cyborgu. Popełniłeś błąd, rzucając mi wyzwanie.

Nie odpowiedział.

Odstawiłam pustą filiżankę, przesunęłam nad nią dłonią i uśmiechnęłam się, gdy szklany kwiat rozpostarł bezbarwne, przezroczyste płatki. Na blacie pojawiła się złamana tęcza.

Kleronomas zmarszczył brwi. Na mój kwiat wpełzły kolory, a on sam stał się miękki i obwisły. Tęcza zniknęła.

– Tamten nie był rzeczywisty – rzekł cyborg. – Szklany kwiat nie żyje.

Uniosłam jego różę, wskazując na złamaną łodygę.

– Ten kwiat umiera – stwierdziłam. W moich rękach znowu stał się szkłem. – Szklany kwiat jest wieczny.

Kleronomas ponownie przeobraził szkło w żywe tkanki. Muszę przyznać, że nie brakowało mu uporu.

– Nawet umierając, żyje.

– Spójrz na jego niedoskonałości. – Zaczęłam je wskazywać, jedną po drugiej. – Tutaj nadgryzł go jakiś owad. Ten płatek jest nieprawidłowo ukształtowany, te ciemne plamki to zaraza, tutaj wygiął go wiatr. A teraz popatrz, co mogę z nim zrobić. – Ujęłam największy i najładniejszy płatek między kciuk a palec wskazujący, urwałam go i rzuciłam na wiatr. – Piękno nie jest ochroną. Życie jest straszliwie bezbronne. I prędzej czy później zawsze kończy się tak.

Kwiat w mojej dłoni stał się brązowy i suchy, a potem zaczął gnić. Przez chwilę roilo się w nim robactwo i skapywały z niego obrzydliwe, czarne płyny. Później obrócił się w proch. Zgniotłam go, zdmuchnęłam i zza ucha wyciągnęłam drugi kwiat. Szklany.

– Szkło jest twarde – zauważył cyborg. – I zimne.

– Ciepło jest ubocznym produktem rozkładu, pasierbem entropii – skontrolowałam.

Być może coś by mi na to odpowiedział, ale nie byliśmy już sami. Przez blanki balustrady na balkon wlał duch, podciągając się w górę na wątych, szarobiałych dłoniach, które brukały czystość mojego kamienia krwawymi plamami. Gapił się na nas bez słowa, półprzezroczysty cień w bieli. Kleronomas odwrócił wzrok.

– Kim on jest? – zapytałam.

Cyborg nie był w stanie mi odpowiedzieć.

– Czy chociaż pamiętasz jego nazwisko? – Odpowiedziała mi cisza i wyśmiałam obu. – Cyborgu, próbowałeś mnie osądzać, stwierdziłeś, że moja moralność jest podejrzana, a moje czyny nieczyste, ale cokolwiek można mi zarzucić, wszystko to drobiazg w porównaniu z tobą. Ja kradnę ciała. Ty pozbawiłeś go umysłu. Mam rację? Mam rację?

– Nie chciałem tego zrobić – odpowiedział.

– Joachim Kleronomas umarł na Avalonie siedemset lat temu, tak jak o nim mówią. Mógł nosić stal i plastik, ale wewnątrz nadal ukrywało się gnijące ciało, nawet pod sam koniec, a dla każdego ciała nadchodzi chwila, gdy komórki umierają. Cienka, płaska linia w maszynie, świecąca w ciemności, i pusta metalowa skorupa. Koniec legendy. I co wtedy zrobili? Wyjęli mózg i pochowali go pod jakimś przesadnie wielkim pomnikiem? Z pewnością. – Kawa była mocna i słodka. W tym miejscu nigdy nie robiła się letnia, gdyż nie pozwalała na to moja wola. – Ale maszyny nie pochowali, prawda? Tego potężnego, nowoczesnego cybernetycznego organizmu, komputera bibliotecznego z bogactwem wiedzy, krystalicznej matrycy z zamrożonymi wspomnieniami. Wszystko to było zbyt cenne, żeby to wyrzucić. Dobrzy uczeni z Avalonu podłączyli to do głównego systemu Akademii, mam rację? Ile stuleci minęło, nim któryś z nich postanowił przywdziać ciało cyborga, by powstrzymać własną śmierć?

– Nawet nie jedno – odparł cyborg. – Niespełna pięćdziesiąt standardowych lat.

– Powinien był cię skasować – stwierdziłam. – Ale czemu miałby to zrobić? W końcu to jego mózg miał kierować maszyną. Dlaczego miałby odmawiać sobie dostępu do całej tej cudownej wiedzy, do tych krystalicznych wspomnień? Mógł przecież się nimi radować. Znacznie lepiej byłoby zyskać całe drugie życie, zdobyć dostęp do wiedzy, na którą nie zasłużył, móc sobie przypomnieć miejsca, w których nigdy nie był, i ludzi, których nigdy nie spotkał. – Wzruszyłam ramionami i spojrzałam na ducha. – Biedny głuptasie. Gdybyś grał kiedyś w grę umysłu, zrozumiałbyś, czym to grozi.

Z czego składa się umysł, jeśli nie ze wspomnień? Kim w końcu jesteśmy? Tylko tym, za kogo się uważamy, nikim więcej i nikim mniej.

Wspomnienia można zapisać w diamencie albo w kawale gnijącego mięsa. To jedyny wybór. Ciało musi umierać, fragment po fragmencie, ustępując miejsca metalowi. Przeżywają wyłącznie wspomnienia zapisane w diamencie. Na koniec po żywym ciele pozostają tylko echa utraconych wspomnień, widmowe rysy na powierzchni kryształu.

– Zapomniał, kim był – wyjaśnił cyborg. – Czy raczej ja zapomniałem, kim byłem. Zacząłem się uważać za... on zaczął się uważać za mnie. – Spojrzał mi prosto w oczy. Jego oczy były czerwonymi kryształami, a w ich wnętrzu widziałam blask. Jego skóra powoli robiła się twarda i srebrna. Tym razem sam zmieniał własny wygląd. – Ty również masz pewne słabości – stwierdził, wyciągając rękę.

Moja zaciśnięta na uchwycie filiżanki dłoń zaczęła czernieć. Pokryły ją plamki zgnilizny. Czulałam smród rozkładu. Ciało złuszczało się powoli i ujrzałam pod nim krwawiącą kość,

która szybko blakła, przybierając złowrogi biały kolor. Śmierć wpełzała niepowstrzymanie na moje nagie ramię. Zapewne miało to napełnić mnie grozą, ale wywołało tylko niesmak.

– Nie – zaprotestowałam. Moje ciało znowu stało się całe i zdrowe. – Nie – powtórzyłam i przerodziło się w metal, srebrny, błyszczący i nieśmiertelny. Oczy wyglądały jak opale, a w platynowe włosy wplotłam sobie szklane kwiaty. Widziałam swe odbicie w polerowanej czerni jego piersi. Byłam piękna. Być może on również ujrzał siebie w moim chromowanym zwierciadle, odwrócił bowiem wzrok.

Wydawał się bardzo silny, ale na Croan'dhenni, w moim obsydianowym zamku, w tym domu bólu i ponownych narodzin, gdzie toczy się gra umysłu, nie wszystko jest takie, jakim się wydaje.

– Przegrałeś, cyborgu – powiedziałam.

– Inni gracze... – zaczął.

– Nie – przerwałam mu. – On stanie między tobą a każdą ofiarą jaką mógłbyś sobie wybrać. Twój duch. Twoje poczucie winy. On na to nie pozwoli. Ty na to nie pozwolisz.

Nie mógł na mnie patrzeć.

– Tak – przyznał głosem skażonym nutą metalu i skorodowanym od rozpacz.

– Będziesz żył wiecznie.

– Nie. Będę trwał wiecznie. To co innego, mądrości. Mogę ci podać dokładną temperaturę każdego środowiska, w jakim się znajduję, ale nie czuję ciepła ani zimna. Widzę w podczerwieni i ultrafiolecie, potrafię powiększyć postrzegany przez siebie obraz, tak by policzyć pory na twojej skórze, ale jestem ślepy na to, co z pewnością jest twoją urodą. Pragnę życia, prawdziwego życia, w którym wyrasta niepowstrzymanie ziarno śmierci, nadając mu sens.

– Proszę bardzo – zgodziłam się usatysfakcjonowana.

W końcu spojrzał na mnie. W błyszczącej metalowej twarzy było uwięzione dwoje jasnych, zagubionych, ludzkich oczu.

– Proszę bardzo?

– Sama nadaję sobie znaczenie, cyborgu. Życie jest wrogiem śmierci, nie jej matką. Gratulacje. Wygrałeś. I ja też wygrałam.

Wstałam, wyciągnęłam rękę nad stołem, zatopiłam dłoń w zimnej czarnej piersi i wyrwałam z niej krystaliczne serce. Uniosłam je w górę. Błyszczało coraz jaśniej i jaśniej, a dobywające się z niego szkarłatne promienie tańczyły olśniewająco na zimnych, czarnych górach mojego umysłu.

* * *

Otworzyłam oczy.

Nie, nie tak; ponownie aktywowałam sensory i komnata zmian pojawiła się przede mną z ostrością i wyrazistością, jakiej nigdy dotąd nie doświadczyłam. Moja obsydianowa mozaika, czern na tle czerni, miała teraz sto różnych odcieni, każdy z nich inny od pozostałych, a jej wzór był wyraźnie widoczny. Siedziałam w niszy na obwodzie; w pucharze pośrodku kobieta-dziecko uchyliła powieki wielkich fioletowych oczu. Drzwi otworzyły się i podeszli do niej: Rannar był zatroskany, Khar Dorian wyniosły, próbował ukryć ciekawość, a Braje chichotała, robiąc jej zastrzyki.

– Nie – powiedziała do nich. Mój głos był za niski, brzmiał nazbyt męsko. Poprawiłam go. – Nie. Jestem tutaj.

Ich spojrzenia były jak uderzenia biczów.

* * *

W grze umysłu są zwyczajcy i pokonani.

Ingerencja cyborga mogła odnieść pewien skutek. A może nie, być może ostateczne rezultaty i tak wyglądałyby tak samo. Craimur Delhune nie żyje. Wczoraj wieczorem pochowano jego zwłoki na bagnach. Ale z oczu młodej, uzależnionej kobiety zniknął nieobecny wyraz. Rozpoczęła już dietę i ćwiczenia, a kiedy Khar Dorian odleci, zabierze ją do posiadłości Delhune'ów na Gulliverze.

Rieseem Jay skarży się, że ją oszukano. Sądzę, że zostanie tu, w mieście przeklętych. Z pewnością wyleczy ją to z nudy. G'vhern próbuje mówić i wymalował na swych skrzydłach ozdobne symbole. Wytatuowany chłopak kilka godzin po powrocie skoczył z murów zamku i nadział się na wyszczerbione obsydianowe kolce na dole. Aż do ostatniej chwili wymachiwał rozpaczliwie ramionami. Skrzydła i pełne ognia spojrzenie nie oznaczają jeszcze siły.

Nowa władczyni umysłu rozpoczęła rządy. Rozkazała wznieść nowy zamek, budynek z żywego drewna, o fundamentach wbitych głęboko w bagna. Jego ściany mają pokrywać pnącza, kwiaty i inne żywe rośliny.

– Będziesz tam miała insekty – ostrzegłam ją – pasożyty i kąśliwe muchy, robaki drążące tunele w drewnie, zarazę w fundamentach, zgniliznę w ścianach. Będziesz musiała spać z siatką nad łóżkiem. Będziesz musiała bez ustanku zabijać, we dnie i w nocy. Twój drewniany zamek spowiją miazmaty małych śmierci, a po kilku latach nocą w korytarzach będą straszyły duchy milionów owadów.

– Ale mój dom będzie ciepły i żywy – powtarza – podczas gdy twój był zimny i kruchy.

Pewnie wszyscy mamy swoje prywatne symbole.

I prywatne obawy.

– Wykasuj go – ostrzegła mnie. – Wyzeruj kryształ, bo w przeciwnym razie on cię pochłonie i staniesz się kolejnym duchem w maszynie.

– Miałabym go wykasować? – Mogłabym się roześmiać, gdyby mechanizm pozwalał na śmiech. Widzę przez nią na wskroś. Jej dusza jest wypisana na miękkiej, kruchej twarzy. Mogę policzyć pory na jej skórze i dostrzegam każdy błysk z wątpienia w fioletowych oczach.

– W ten sposób wykasowałabym samą siebie. Kryształ jest domem dla nas obojga, dziecko. Poza tym, nie boję się go. Nie rozumiesz, w czym rzecz. Kleronomas był z kryształu, a duch z organicznego mięsa. Rezultat był nieunikniony. W moim przypadku sytuacja jest inna. Jestem z kryształu, tak samo jak on. Oboje jesteśmy wieczni.

– Mądrości... – zaczęła.

– Nie tak.

– Cyrain, jeśli wolisz...

– Znowu nie tak. Mów mi Kleronomas.

W swych licznych i zróżnicowanych życiach doświadczyłam niejednego, ale nigdy dotąd nie byłam legendą. To miało swoją klasę.

Dziewczynka spojrzała na mnie.

– Ja jestem Kleronomas – sprzeciwiła się wysokim, słodkim głosem. W jej oczach pojawiło się zdziwienie.

– I tak, i nie – odparłam. – W tej chwili obie nim jesteśmy. Przeżyliśmy te same życia, dokonaliśmy tego samego, zachowałyśmy te same wspomnienia. Ale od dzisiaj nasze drogi się rozchodzą. Ja jestem stalą i kryształem, a ty dziecięcym ciałem. Mówiłaś, że pragniesz życia. Raduj się nim, jest twoje. A także wszystko, co się z nim wiąże. Twoje ciało jest młode i zdrowe, dopiero zaczyna rozkwitać. Masz przed sobą wiele pełnych wrażeń lat. Dzisiaj wciąż uważasz się za Kleronomasa, ale jutro? Jutro znowu poznasz żądzę, otworzysz drobne uda przed Kharem Dorianem, będziesz drżała i krzyczała z rokoszy, kiedy doprowadzi cię do orgazmu. Jutro urodzisz dzieci we krwi i w bólu, będziesz patrzyła, jak dorastają starzej się, wydają na świat własne dzieci i umierają. Jutro będziesz jechała przez bagna, a wydziedziczeni będą ci rzucali dary, przeklinali cię, wychwalali i modlili się do ciebie. Przybędą statki Khara z nowym transportem nagród i wszystkie twoje moralne pewniki będą raz po raz poddawane próbie, aż wreszcie wypaczą się, przybierając nową postać. Jutro Khar, Jonas albo Sebastian Cayle zdecydują, że czekali już wystarczająco długo, poznasz słodki jak miód smak zdradzieckiego pocałunku i być może wygrasz, a być może przegrasz. Nic nie jest pewne. Ale jedno mogę ci obiecać. Kiedyś w przyszłości, za wiele lat, choć gdy już miną, będzie ci się wydawało, że to trwało bardzo krótko, zrodzi się w tobie śmierć. Jej nasienie już zasadzono. Być może będzie to jakaś choroba, która rozkwitnie w jednej z tych słodkich piersi, które Rannar tak bardzo pragnąłby possać, a może cienki drut zaciśnięty wokół twojego gardła, gdy będziesz spała, albo nagły rozbłysk słoneczny, który zabije wszystko na planecie. Ta chwila nadejdzie, i to szybciej, niż ci się zdaje.

– Akceptuję to – odparła. Uśmiechnęła się, wypowiadając te słowa. Sądzę, że naprawdę w nie wierzyła. – Wszystko. Życie i śmierć. Istniałam bez tego przez bardzo długi czas, mąd... Kleronomas.

– Już zapominasz niektóre rzeczy – zauważyłam. – A z każdym dniem będziesz ich traciła więcej. Dzisiaj obie pamiętamy. Pamiętamy kryształowe jaskinie na Eris, pierwszy statek, na którym służyłyśmy, rysy twarzy naszego ojca. Pamiętamy, co powiedział Tomas Chung, gdy zdecydowałyśmy, że nie zawrócimy na Avalon, a także inne słowa, które wypowiedział, umierając. Pamiętamy ostatnią kobietę, z którą się kochałyśmy, jej kształty i zapach, smak jej piersi, dźwięki, jakie wydawała, gdy sprawiałaśmy jej rozkosz. Umarła osiemset lat temu, ale nadal żyje w naszej pamięci. Tyle że w twojej już umiera, prawda? Dzisiaj jesteś Kleronomasem. Ale ja również nim jestem i jestem też Cyrain z Ash, a jakaś mała część mnie nadal jest naszym duchem, tym smutnym biedakiem. Ale gdy nadejdzie jutro, ja zachowam wszystko, czym jestem, a ty, ty albo będziesz władcą umysłu, albo seksualną niewolnicą w jakimś perfumowanym burdelu na Cymerancie, albo uczoną na Avalonie. W każdym razie kimś innym niż teraz.

Rozumiała to i akceptowała.

– A więc będziesz wiecznie grała w grę umysłu i dzięki temu nigdy nie umrę.

– Ty umrzesz z całą pewnością – przypomniałam. – Kleronomas jest nieśmiertelny.

– I Cyrain z Ash.

– Tak, ona też.

– I co będziesz teraz robić? – zapytała.

Podeszłam do okna. Szklany kwiat stał tam w swym prostym drewnianym wazonie. W jego płatkach odbijało się światło. Uniosłam spojrzenie ku jego źródłu, jasnemu słońcu Croan'dhenni, które gorzało na czystym niebie. Mogłam teraz patrzeć prosto w jego żar, skupiać wzrok na plamach słonecznych albo na płomiennych protuberancjach. Świadomym aktem woli zmieniałam wrażliwość krystalicznych soczewek i puste niebo wypełniły gwiazdy, więcej gwiazd, niż kiedykolwiek dotąd widziałam, więcej, niż mogłabym sobie wyobrazić.

– Co będę robić? – powtórzyłam, gapiąc się na ukryte gwiazdne pola, niewidoczne dla nikogo poza mną. Przywodziły mi na myśl moją obsydianową mozaikę. – Są światy, na których nigdy nie byłam – oznajmiłam mojej bliźniaczej siostrze, ojcu, córce, wrogowi, zwierciadlanemu odbiciu, kimkolwiek była. – Są rzeczy, których nie wiem. Gwiazdy, których nawet teraz nie widzę. Co będę robić? Wszystko. Na początek wszystko.

Nagle przez otwarte okno wleciał gruby, pasiasty owad. Unosił się na sześciu delikatnych jak pajęczyna skrzydłach, które przesywały powietrze zbyt szybko dla ludzkich oczu. Ja jednak mogłabym policzyć każdy ospały ruch, gdybym tylko zechciała. Wylądował na chwilę na szklanym kwiecie, nie znalazł zapachu ani pyłku i umknął na zewnątrz. Śledziłam go wzrokiem, gdy zniknął w oddali, coraz mniejszy i mniejszy, aż wreszcie nastawiłam wzrok na

maksymalne powiększenie i małe, umierające stworzonko roztopiło się pośród bagien i gwiazd.

Przełożył Michał Jakuszewski

Wędrowny rycerz

Po wiosennych deszczach ziemia rozmiękła i Dunk nie miał kłopotów z wykopaniem grobu. Wybrał miejsce na zachodnim stoku niewysokiego wzgórza, jako że staruszek zawsze lubił podziwiać zachody słońca.

– Ano, minął kolejny dzień – mawiał z westchnieniem. – Kto wie, co też przyniesie nam jutro, he, Dunk?

No cóż, któryś z dni przyniósł deszcze, które przemoczyły ich do kości, następny wilgotne, porywiste wiatry, jeszcze następny zaś chłód. Czwartego dnia stary zrobił się tak słaby, że nie był w stanie dosiąść konia. Kopiąc grób, przygnębiony Dunk myślał, że jeszcze przed kilkoma dniami jego towarzysz nucił po drodze powszechnie znaną piosenkę o podróży do Gulltown na spotkanie z piękną panną tyle że nazwę Gulltown zastępował Ashford. „Do Ashford, by piękną pannę zobaczyć, hej-ho, hej-ho”.

Gdy dół był już wystarczająco głęboki, Dunk uniósł w ramionach ciało staruszka i zaniósł je do grobu. Zmarły był niski i szczupły. Kiedy młodzieniec zdjął mu kolczugę, hełm i pas, wydawało się, że waży nie więcej niż torba liści. Dunk był okropnie wysoki jak na swój wiek: niezgrabny, kudłaty, grubokościsty szesnasto – albo siedemnastolatek (nikt nie był tego pewien), o wzroście bliższym siedmiu niż sześciu stóp, dopiero zaczynający nabierać mięśni. Staruszek często chwalił jego siłę. Nigdy nie skąpił Dunkowi pochwał. Nie miał mu nic innego do zaoferowania.

Chłopak złożył ciało na dnie grobu i stał nad nim przez pewien czas. W powietrzu znowu unosiła się woń deszczu i wiedział, że powinien zasypać dół, nim zacznie lać, ale trudno mu było zdobyć się na to, by sypać ziemię na starą, znużoną twarz. „Przydałby się septon, żeby odmówić parę modlitw, ale on ma tylko mnie”. Staruszek nauczył Dunka wszystkiego, co wiedział o mieczach, tarczach i kopianach, ale nigdy nie radził sobie z uczeniem go słów.

– Zostawiłbym ci miecz, ale w ziemi pożarłaby go rdza – odezwał się wreszcie młodzieniec przeproszającym tonem. – Bogowie pewnie dadzą ci nowy. Żałuję, że umarłeś, ser. – Przerwał, niepewny, co jeszcze mógłby powiedzieć. Nie znał żadnych modlitw, przynajmniej nie w całości, gdyż staruszek modlił się raczej rzadko. – Byłeś prawdziwym

rycerzem i nigdy mnie nie biłeś, jeśli na to nie zasłużyłem – zdołał wreszcie wykrztusić – poza tym jednym razem, w Stawie Dziewic. To chłopak karczmarza zeżarł wdowie ten pasztet, nie ja. Mówiłem ci. Ale teraz to już nieważne. Niech bogowie mają cię w swej opiece, ser.

Wrzucił nogami trochę ziemi do grobu, a potem zaczął go metodycznie wypełniać, nie patrząc na to, co leżało na dnie. „Żył bardzo długo” – pomyślał. „Na pewno był bliższy sześćdziesiątki niż pięćdziesiątki. Jak wielu ludziom to się udaje?”. Staruszek przynajmniej doczekał kolejnej wiosny.

Gdy Dunk nakarmił konie, słońce chyliło się już ku zachodowi. Miał trzy wierzchowce: swoją łękowatą chabetę, klaczkę starego oraz Groma, jego rumaka, którego dosiadał tylko podczas turniejów i bitew. Wielki, kasztanowaty ogier nie był już taki szybki i silny jak ongiś, lecz oczy nadal mu błyszczały i był pełen werwy. Był najcenniejszą rzeczą jaką posiadał Dunk. „Gdybym sprzedał Groma i starą Kasztankę, razem z siodłami i uzdami, wystarczyłoby mi srebra, żeby...”. Dunk zmarszczył brwi. Znał tylko życie wędrownego rycerza, które polegało na podróżach od twierdzy do twierdzy, służbie to u tego, to u tamtego lorda, walczeniu w ich bitwach, jadaniu w ich salach, dopóki wojna się nie skończyła, a potem ruszaniu w dalszą drogę. Od czasu do czasu – choć rzadziej – zdarzały się również turnieje. Wiedział też, że niektórzy wędrowni rycerze podczas chudych zim zamieniają się w łupiących na traktach rabusiów, lecz staruszek nigdy tak nie postępował.

„Mógłbym znaleźć innego wędrownego rycerza, który potrzebuje giermka, by opiekował się jego zwierzętami i czyścił mu zbroje” – pomyślał. „Albo udać się do jakiegoś miasta, do Lannisportu, czy do Królewskiej Przystani, i wstąpić do Straży Miejskiej. Albo może...”.

Zgromadził cały dobytek staruszka pod dębem. W płóciennej sakiewce były trzy srebrne jelenie, dziewiętnaście miedzianych groszy oraz obłupany granat. Co dość typowe dla wędrownych rycerzy, większą część jego majątku stanowiły konie i broń. Dunk został teraz właścicielem kolczugi, którą chyba z tysiąc razy czyścił z rdzy. Żelaznego półhelmu z szerokim nosalem, wgniecionego nieco na lewej skroni. Pasa z popękanej, brązowej skóry oraz miecza w drewniano-skórzanej pochwie. Sztyletu, brzytwy i oselki. Nagolenników oraz naszyjnika zbroi. Kopii bojowej długości ośmiu stóp, wykonanej z jesionu i wyposażonej w ostry, żelazny grot, a także dębowej tarczy o porysowanym, metalowym okuciu, ozdobionej herbem ser Arlana z Pennytree: srebrnym skrzydlatym kielichem na brązowym tle.

Dunk przyjrzał się tarczy, uniósł pas do miecza i ponownie popatrzył na tarczę. Pas był zrobiony na chude biodra staruszka i nie nadawał się dla niego, podobnie jak kolczuga. Chłopak przywiązał pochwę do konopnego sznura, opasał sobie nim talię i wyciągnął miecz. Oręż był prosty i ciężki, zrobiony z dobrej, wykutej w zamku stali, miał drewniany uchwyt obity miękką skórą oraz gałkę z czarnego, polerowanego kamienia. Choć miecz był zwyczajny, Dunk czuł się świetnie, trzymając go w ręku. Wiedział też, że broń jest bardzo ostra, gdyż przez wiele wieczorów ostrzył ją przed położeniem się spać za pomocą oselki i

nasączonej olejem szmatki. „Pasuje mi do ręki równie dobrze jak jemu” – pomyślał. „A na Łąkach Ashford ma być turniej”.

* * *

Słodyczka trzęsła podczas jazdy mniej niż stara Kasztanka, lecz Dunk i tak był obolały i zmordowany, gdy wreszcie ujrzał gospodę, wysoki wiklinowo-drewniany budynek usytuowany nad strumieniem. Ciepłe, żółte światło bijące z jego okien robiło tak zachęcające wrażenie, że Dunk nie był w stanie go minąć. „Mam trzy srebrniki – powiedział sobie – to wystarczy na dobrą kolację i tyle *ale*, ile tylko zdołam wypić”.

Gdy zsiadł z konia, ze strumyka wyłonił się nagi chłopak, który zaczął się wycierać w brązowy płaszcz z samodziału.

– Jesteś chłopcem stajennym? – zapytał go Dunk. Dzieciak wyglądał na osiem, najwyżej dziewięć lat i był chudzielcem o ziemistej cerze, a bosa stopy aż po kostki oblepiało mu błoto. Najdziwniejsze jednak były jego włosy. W ogóle nie miał włosów. – Chcę, żebyś wyszczotkował klaczkę. I dał wszystkim koniom owsa. Dasz radę to zrobić?

Chłopiec spojrzał na niego buńczucznie.

– Dałbym, gdybym zechciał.

Dunk zmarszczył brwi.

– Nie pyskuj. Powinieneś wiedzieć, że jestem rycerzem.

– Nie wyglądasz na rycerza.

– A czy wszyscy rycerze wyglądają tak samo?

– Nie, ale żaden z nich nie przypomina ciebie. Zamiast pasa do miecza masz sznurek.

– Dopóki pochwa nie zlatuje, jest w sam raz. A teraz zajmij się końmi. Jeśli dobrze się sprawisz, dostaniesz miedziaka, a jeśli źle, oberwiesz w ucho.

Dunk nie czekał, by sprawdzić, jak chłopiec stajenny przyjmie te słowa. Odwrócił się i wszedł do gospody.

Spodziewał się, że o tej porze zastanie tu tłok, ale okazało się, że w środku jest prawie zupełnie pusto. Przy jednym ze stolików pochrapywał cicho młody paniczyk w pięknej, adamaszkowej opończy. Twarz miał wtuloną w kałużę rozlanego wina. Poza nim nie było tu nikogo. Dunk rozejrzał się wokół niepewnie. Z kuchni wypadła tęga, niewysoka kobieta o bladej cerze.

– Siadaj, gdzie chcesz – zawołała. – *Ale* czy kolację?

– Jedno i drugie.

Dunk zajął krzesło pod oknem, daleko od śpiącego mężczyzny.

– Jest dobre jagnię, pieczone w ziołach, i parę kaczek, które ustrzelił mój syn. Co wolisz?

Nie jadł w gospodzie od pół roku albo i dłużej.

– Jedno i drugie.

– Wyglądasz na takiego, który da radę to zmieścić – stwierdziła ze śmiechem kobieta. Wypełniła kufel *ale* i postawiła go przed nim. – Chcesz też pokój na noc?

– Nie. – Dunk z ochotą przespisałby się pod dachem, na miękkim, słomianym materacu, nie chciał jednak zbyt szastać pieniędzmi. – Najem się i napiję, a potem ruszam do Ashford. Czy to daleko?

– Dzień jazdy. Na rozstajach przy spalonym młynie musisz skrócić na północ. Czy mój chłopak zajął się twoimi końmi, czy znowu uciekł?

– Nie, jest na miejscu – uspokoił ją Dunk. – Chyba nie masz dziś za dużo gości.

– Połowa miasteczka wybrała się obejrzeć turniej. Moje dzieciaki też by tam były, gdybym im pozwoliła. Kiedy mnie nie stanie, odziedziczą tę gospodę, ale chłopak woli wałęsać się z żołnierzami, a dziewczyna wzdycha i chichocze, gdy tylko przejeżdża tędy rycerz. Przysięgam, że nie mam pojęcia dlaczego. Rycerze są zbudowani tak samo jak inni mężczyźni. Turnieje zaczynają się i kończą a jajka od tego nie tanieją. – Popatrzyła z ciekawością na Dunka. Miecz i tarcza sugerowały jedno, a sznurek zamiast pasa i bluza z samodziału coś całkiem innego. – Ty też wybierasz się na turniej?

Zanim jej odpowiedział, pociągnął łyk *ale*. Było gęste i miało orzechową barwę, takie lubił najbardziej.

– Tak – potwierdził. – Zamierzam w nim zwyciężyć.

– Naprawdę? – zapytała uprzejmie oberżystka.

Siedzący na drugim końcu izby paniczek uniósł nagle głowę z kałuży wina. Miał żółtą niezdrową cerę i skołtunione, rudobrazowe włosy, a jego podbródek porastała jasna szczecina. Mężczyzna otarł usta dłonią i spojrzał, mrugając, na Dunka.

– Śniłeś mi się – stwierdził, wskazując nań drżącym palcem. – Nie zbliżaj się do mnie, słyszysz? Ani mi się waż zbliżać.

Dunk spojrzał na niego niepewnie.

– Panie?

Oberżystka pochyliła się nad nim.

– Nie zwracaj na niego uwagi, ser. Ciągle tylko żłopie i gędzi o swoich smach. Pójdę po kolację.

Oddaliła się pośpiesznie.

– Kolację? – W ustach paniczka zabrzmiało to jak nieprzyzwoite słowo. Mężczyzna podniósł się chwiejnie, trzymając się jedną ręką stołu, żeby się nie przewrócić. – Będę rzygał – oznajmił. Z przodu bluzy miał mnóstwo starych, czerwonych plam od wina. – Chciałem kurwę, ale żadna tu nie została. Wszystkie są na Łakach Ashford. Dobrzy bogowie, dajcie mi wina.

Mężczyzna opuścił, zataczając się, wspólną salę. Dunk słyszał, jak włązi na górę, podśpiewując pod nosem.

„Cóż za żalosna kreatura” – pomyślał młodzieniec. „Ale dlaczego uważał, że mnie zna?”. Zastanawiał się przez chwilę nad tym problemem, wpatrując się w *ale*.

Nigdy w życiu nie skosztował lepszego jagnięcia, a kaczka była jeszcze pyszniejsza, upieczona z wiśniami i cytrynami, a do tego wyjątkowo mało tłusta. Oberżystka przyniosła też groch z masłem oraz gorący, owsiany chleb, prosto z pieca. „To właśnie znaczy być rycerzem” – pomyślał Dunk, ogryzając do kości ostatni kawałek mięsa. „Dobre jedzenie i *ale*, gdy tylko mam na nie ochotę, i nikt nie bije mnie po głowie”. Wysączył do kolacji drugi kufel, a potem popił ją trzecim i czwartym, ponieważ nie było nikogo, kto mógłby mu tego zabronić. Na koniec zapłacił kobiecie srebrnym jeleniem i otrzymał garść miedziaków reszty.

Gdy Dunk opuścił gospodę, było już zupełnie ciemno. Żołądek miał pełny, a sakiewkę nieco lżejszą. Idąc ku stajniom, czuł się znakomicie. Nagle usłyszał przed sobą rzenie.

– Spokojnie, koniku – odezwał się dziecięcy głos.

Dunk przyśpieszył kroku, marszcząc brwi.

Chłopiec stajenny dosiadł Groma, odziany w zbroję starego. Kolczuga była dłuższa niż cały chłopak, a hełm musiał odchylić sobie do tyłu na łysej głowie, żeby nie zasłaniał mu oczu. Był straszliwie przejęty i wyglądał okropnie nedorzecznie. Dunk zatrzymał się w drzwiach stajni i wybuchnął śmiechem.

Chłopak spojrział na niego, zaczerwienił się i zeskoczył na ziemię.

– Panie, nie chciałem...

– Ty złodzieju – zaczął Dunk, starając się, by jego głos zabrzmiał srogo. – Ściągaj zbroję i ciesz się, że Grom nie kopnął cię w ten głupi łeb. To bojowy rumak, nie kucyk dla dzieci.

Chłopiec zdjął hełm i cisnął go na trawę.

– Mógłbym na nim jeździć nie gorzej od ciebie – odciął się. Z pewnością nie brakowało mu śmiałości.

– Zamknij gębę. Mam już dość twojej bezczelności. Kolczugę też ściągaj. Co ci właściwie przyszło do głowy?

– Jak mogę ci to powiedzieć z zamkniętą gębą?

Chłopak wysunął się z kolczugi, która spadła na klepisko.

– Możesz ją otworzyć, żeby mi odpowiedzieć – zgodził się Dunk. – A teraz podnieś kolczugę, wytrząśnij z niej piasek i połóż ją z powrotem tam, skąd wzięłeś. Czy nakarmiłeś konie, tak jak ci kazałem? I wyszczotkowałeś Słodyczkę?

– Wyszczotkowałem – zapewnił chłopak, wytrząsając z kolczugi żdźbła słomy. – Wybierasz się do Ashford, prawda? Zabierz mnie ze sobą ser.

Oberżystka ostrzegła go przed tym.

– A co powiedziałyby na to twoja matka?

– Moja matka? – Chłopiec zmarszczył czoło. – Ona nie żyje, więc nic by nie powiedziała.

Dunk był zaskoczony. Czy chłopak nie był synem oberżystki? Być może tylko przyjęła go jako ucznia. Trochę kręciło mu się w głowie od *ale*.

– Jesteś sierotą? – zapytał niepewnie.

– A ty? – odciął się dzieciak.

– Kiedyś byłem.

„Dopóki nie przyjął mnie stary”.

– Gdybyś zgodził się mnie zabrać, mógłbym zostać twoim giermkim.

– Nie potrzebuję giermka – odparł Dunk.

– Każdy rycerz go potrzebuje – sprzeciwił się chłopak. – A ty chyba bardziej niż inni.

Dunk uniósł rękę w geście groźby.

– A mnie się wydaje, że ty chcesz oberwać w ucho. Nasyp mi owsa do worków. Jadę do Ashford... sam.

Jeśli nawet chłopak się przestraszył, dobrze to ukrył. Przez chwilę stał jeszcze w wyzywającej pozie, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Gdy jednak Dunk ruszył w jego stronę, dzieciak odwrócił się i poszedł po owies.

Dunk poczuł ulgę. „Szkoda, że nie mogę... ale tu, w gospodzie, na pewno żyje mu się nieźle. Lepsze to, niż być giermkim wędrownego rycerza. Gdybym go stąd zabrał, wyrządziłbym mu tylko krzywdę”.

Czuł jednak rozczarowanie chłopaka. Gdy dosiadł Słodyczki i złapał za wodze Groma, doszedł do wniosku, że miedziak poprawi malcowi humor.

– Hej, chłopcze, to za twoją pomoc.

Rzucił mu z uśmiechem monetę, lecz chłopiec stajenny nawet się po nią nie schylił. Leżała sobie na ziemi, między jego bosymi stopami.

„Podniesie ją, gdy tylko odjadę” – powiedział sobie Dunk. Zawrócił klaczkę i odjechał z gospody, prowadząc za sobą dwa pozostałe konie. Drzewa lśniły w blasku księżyca, a niebo było bezchmurne i usiane gwiazdami. Gdy jednak ruszył traktem przed siebie, czuł na plecach spojrzenie milczącego, naburmuszonego chłopca stajennego.

* * *

Było popołudnie i cienie wydłużały się już, gdy Dunk ściągnął wreszcie wodze na skraju rozległych Łąk Ashford. Na trawiastych polach rozbito około sześćdziesięciu namiotów. Niektóre z nich były małe, inne duże; jedne kwadratowe, drugie okrągłe; jedne uszyte z płótna żaglowego, inne ze zwykłego, a jeszcze inne z jedwabiu; wszystkie jednak miały piękne kolory. Z ich centralnych tyczek zwisały długie chorągwie, jaskrawsze niż pole kwiatów – w barwie intensywnej czerwieni i słonecznej żółci, w niezliczonych odcieniach zieleni i błękitu, głęboko czarne, szare i fioletowe.

Stary walczył u boku niektórych z tych rycerzy, innych Dunk znał z opowieści powtarzanych w gospodach i przy ogniskach. Choć nie miał okazji nauczyć się czytać i pisać, ser Arian był nieublagany, gdy chodziło o naukę heraldyki. Często wbijał mu ją do głowy

podczas drogi. Słowiki należały do lorda Carona z Pogranicza, który władał stojącą harfą równie zręcznie jak kopią. Jeleń w koronie to był ser Lyonel Baratheon, Roześmiana Burza. Dunk wypatrzył myśliwego Tarlych, fioletową błyskawicę rodu Dondarrionów, czerwone jabłko Fossowayów. Tam ryczał lew Lannisterów, złoty na karmazynowym tle, a tam ciemnozielony żółw morski Estermontów płynął przez jasnozielone pole. Brązowy namiot ozdobiony chorągwią z czerwonym ogierem mógł należeć tylko do ser Otha Brackena, zwanego Bestią Brackenem po tym, jak przed trzema laty zabił lorda Quentyna Blackwooda podczas turnieju w Królewskiej Przystani. Dunk słyszał, że ser Otho tak mocno uderzył stepionym toporem, iż wgniół zasłonę hełmu lorda Blackwooda, miażdżąc okrytą nią twarz. Dunk zauważył też kilka chorągwi Blackwoodów, na zachodnim skraju łąki, tak daleko od ser Otha, jak to tylko możliwe. Marbrand, Mallister, Cargyll, Westerling, Swann, Mullendore, Hightower, Florent, Frey, Penrose, Stokeworth, Darry, Parren, Wylde – wydawało się, że każdy lordowski ród zachodu i południa przysłał po rycerzu albo nawet po trzech do Ashford, by zobaczyli piękną pannę i stanęli dla niej w szranki.

Choć namioty były piękne, Dunk wiedział, że nie ma w nich miejsca dla niego. Oslone przed nocnym chłodem zapewni mu wytarty, wełniany płaszcz. Lordowie i wielcy rycerze będą się raczyli pieczonymi kapłonami oraz prosiętami, on zaś zje na kolację twarde, żyłasty kawałek solonej wołowiny. Doskonale wiedział, że jeśli rozbije obóz na tym przepysznym polu, będzie musiał znosić zarówno milczącą wzgardę, jak i otwarte drwiny. Być może znajdzie się kilku takich, którzy potraktują go uprzejmie, lecz czasem bywa to gorsze od otwartych kpin.

Wędrowny rycerz musi mocno się trzymać swej dumy. Bez niej będzie tylko zwykłym najemnikiem. „Muszę sobie zasłużyć na miejsce w tym towarzystwie. Jeśli dobrze się sprawię w walce, jakiś lord może mnie przyjąć w poczet swych domowników. Będę wtedy służył w szlachetnej kompanii, co wieczór jadał mięso w zamkowej komnacie i rozbijał własny namiot na turniejach. Ale najpierw muszę dobrze się zaprezentować w walce”. Odwrócił się z zalem od turniejowych namiotów i poprowadził konie między drzewa.

Na skraju wielkiej łąki, dobre pół mili od miasteczka i zamku, Dunk znalazł miejsce, w którym zakole strumienia tworzyło głęboki staw. Jego brzegi porastała gęsta trzcina, a na jezioro cień rzucał potężny, wspaniale ulistniony wiąz. To było ładne miejsce i nikt jeszcze nie zgłosił do niego pretensji. „To będzie mój namiot” – pomyślał Dunk. „Namiot o dachu z listowia, zieleńszy niż chorągwie Tyrellów i Estermontów”.

Najpierw zajął się końmi. Gdy już je oporządził, rozebrał się i wszedł do stawu, by splukać z siebie pył wędrowki.

– Prawdziwy rycerz jest czysty i pobożny – powtarzał starszy, nalegając, by myli się od stóp do głów raz na cykl księżyca, bez względu na to, czy cuchnęli kwaśno, czy nie. Teraz, gdy Dunk został rycerzem, poprzysiągł, że będzie postępował tak samo.

Potem usiadł nago pod wiązem, żeby wyschnąć, radując się dotykiem ciepłego, wiosennego powietrza na skórze oraz widokiem ważki, która latała leniwie między trzciniami. „Dlaczego nazwano ją smoczą muchą?” – zastanawiał się. „W ogóle nie przypomina smoka”. Co prawda, Dunk nigdy w życiu nie widział smoka. Ale stary widział. Młodzieniec chyba z pięćdziesiąt razy słuchał historii o tym, jak ser Arian – gdy był jeszcze małym chłopcem – wybrał się z dziadkiem do Królewskiej Przystani i zobaczył tam ostatniego smoka, na rok przed jego śmiercią. To była zielona samica, mała i skarłowaciała, o nierozwiniętych skrzydłach. Z jej jaj nigdy nic się nie wykuło.

– Niektórzy powiadali, że król Aegon ją otruł – opowiadał staruszek. – To był trzeci Aegon, nie ojciec króla Daerona, ten, którego zwali Zgubą Smoków albo Aegonem Pechowym. Bał się smoków, bo widział, jak jedna z bestii należących do jego stryja pożarła jego własną matkę. Od śmierci ostatniego smoka lata stały się krótsze, a zimy dłuższe i bardziej srogie.

Gdy słońce skryło się za wierzchołkami drzew, zrobiło się chłodniej. Dunk poczuł, że ramiona pokrywa mu gęsia skórka, uderzył więc bluzą i spodniami o pień drzewa, by wytrzeć z nich choć część piasku, a potem ubrał się znowu. Rankiem odnajdzie mistrza gier, by zapisał jego imię, dziś w nocy powinien jednak załatwić parę innych spraw, jeśli ma rzucić komuś wyzwanie.

Nie musiał przyglądać się swemu odbiciu w wodzie, by wiedzieć, że nie przypomina zbytnio rycerza, dlatego zarzucił sobie na plecy tarczę ser Arlana, tak żeby było widać herb. Następnie spętał konie i zostawił je, żeby pasły się na gęstej, zielonej trawie pod wiązem, i ruszył na piechotę ku grantom turniejowym.

* * *

Na co dzień łąka służyła jako błonia mieszkańcom położonego na drugim brzegu rzeki miasteczka Ashford, teraz jednak przeobraziła się zupełnie. W jedną noc wyrosło na niej drugie miasteczko, z jedwabiu, nie z kamienia, większe i piękniejsze od swej starszej siostry. Na skraju pola stragany rozbiły dziesiątki kupców, którzy sprzedawali klejnoty i korzenie, pasy i pióra, skóry i sokoły, naczynia ceramiczne i cynowe, filce, owoce, buty i najrozmaitsze inne towary. Pośród tłumu krążyli żonglerzy, lalkarze i sztukmistrze... a także kurwy i rzeźmieszki. Dunk z uwagą trzymał dłoń na sakiewce.

Gdy poczuł woń kiełbasek piekących się na dymiącym ogniu, do ust podeszła mu ślinka. Wyjął z sakiewki miedziaka i kupił sobie jedną oraz róg *ale* do popicia. Jedząc, przyglądał się, jak malowany drewniany rycerz walczy z malowanym drewnianym smokiem. Lalkarka od smoka również przyciągała spojrzenie: była wysoka i miała oliwkową cerę oraz czarne włosy Dornijki. Była smukła jak kopia i prawie w ogóle nie miała piersi, ale Dunkowi podobała się jej twarz i to, jak smok wił się i kłapał paszczą, gdy poruszała zręcznie

sznurkami. Rzuciłby dziewczynie miedziaka, gdyby mógł sobie na to pozwolić, w tej chwili jednak potrzebował każdej monety.

Tak jak na to liczył, wśród kupców byli też płatnerze. Tyroshijczyk z rozwidloną, farbowaną na niebiesko brodą miał na sprzedaż zdobne hełmy, piękne i fantastyczne, ukształtowane na podobieństwo ptaków i zwierząt, inkrustowane złotem i srebrem. W innym miejscu Dunk znalazł rzemieślnika sprzedającego tanie, stalowe miecze, a potem drugiego, którego robota była znacznie lepsza. To jednak nie miecza potrzebował.

Człowieka, którego szukał, znalazł na końcu alejki. Na stole przed nim leżała piękna kolczuga oraz para stalowych rękawic. Dunk przyjrzał się im uważnie.

– Dobra robota – stwierdził.

– Nie znajdziesz lepszej – zapewnił rzemieślnik, kłocowaty mężczyzna, wysoki na nie więcej niż pięć stóp, lecz w barach i w piersi szeroki jak Dunk. Miał czarną brodę i wielkie dłonie, a w jego zachowaniu nie było śladu pokory.

– Potrzebuję zbroi na turniej – poinformował go Dunk. – Z porządną kolczugą, naszyjnikami, nagołennikami i pełnym hełmem.

Mógł wcisnąć na głowę półhełm starego, ale wolałby lepszą osłonę twarzy niż tylko sam nosal.

Płatnerz omiół go spojrzeniem od stóp do głów.

– Wielki z ciebie chłop, ale robiłem już zbroje dla większych. – Wyszedł zza stołu. – Klęknij, muszę ci zmierzyć te bary. Ehe, i tę grubą szyję też. – Dunk wykonał polecenie i płatnerz przyłożył mu do pleców kawałek zawiązanego w supły rzemienia. Chrząknął, sprawdził jeszcze obwód szyi i znowu chrząknął. – Unieś rękę. Nie tę, prawą. – Chrząknął po raz trzeci. – Możesz wstać. – Wewnętrzna strona nogi, grubość łydki oraz obwód w pasie wywołały kolejne chrząknięcia. – Mam w wozie parę kawałków, które mogą się dla ciebie nadać – stwierdził wreszcie mężczyzna. – Ale to nie będzie nic zdobionego złotem czy srebrem. Tylko porządna stal, mocna i pozbawiona ozdób. Robię hełmy, które wyglądają jak hełmy, nie jak skrzydlate świny albo dziwaczne owoce z dalekich stron. Ale jeśli oberwiesz kopią w gębę, mój hełm przysłuży ci się lepiej.

– To wszystko, czego potrzebuję – zgodził się Dunk. – Ile?

– Osiemset jeleni, bo jestem dziś w łaskawym nastroju.

– Osiemset? – To było więcej, niż oczekiwał. – Mógłbym... mógłbym ci dać w zamian starą zbroję, zrobioną dla mniejszego mężczyzny... półhełm, kolczugę...

– Stalowy Pate sprzedaje tylko własną robotę – oznajmił płatnerz – ale metal może mi się przydać. Jeśli nie przeżarła ich rdza, przyjmę je i będziesz mi winien sześćset.

Dunk mógłby błagać Pate'a, by sprzedał mu zbroję na kredyt, wiedział jednak, jaką odpowiedź zapewne usłyszy. Podróżował ze starym wystarczająco długo, by nauczyć się, że kupcy z zasady nie ufają wędrownym rycerzom, uważając, iż niektórzy z nich to zwykli rabusie.

– Dam ci teraz dwa srebrniki, a jutro zbroję i resztę sumy.

Płatnerz przypatrywał mu się przez chwilę.

– Za dwa srebrniki kupisz dzień. Potem sprzedam zbroję następnemu chętnemu.

Dunk wyjął jelenie z sakiewki i wsunął je w stwardniałą dłoń płatnerza.

– Dostaniesz wszystko. Zamierzam zwyciężyć w tym turnieju.

– Naprawdę? – Pate ugryzł jedną z monet. – A cała reszta pewnie przyjechała tu cię oklaskiwać?

* * *

Gdy Dunk wrócił pod więz, księżyc stał już wysoko na niebie. Za jego plecami Łąki Ashford gorzały blaskiem pochodni. Słysząc było dobiegające stamtąd śpiewy oraz śmiechy, lecz młodzieniec był w ponurym nastroju. Przychodził mu do głowy tylko jeden sposób zdobycia pieniędzy na zbroję. A jeśli przegra...

– Wystarczy mi jedno zwycięstwo – mruknął pod nosem. – Na tyle chyba mogę liczyć.

Stary jednak z pewnością nie ulegałby podobnym złudzeniom. Ser Arian nie stawał w szranki już od wielu lat, od dnia, gdy na turnieju w Końcu Burzy wysadził go z siodła księżę Smoczej Skały.

– Nie każdy może się pochwalić, że skruszył siedem kopii w walce z najwspanialszym rycerzem Siedmiu Królestw – powtarzał. – Wiem, że nigdy już nie sprawię się lepiej, po cóż więc miałbym próbować?

Dunk podejrzewał, że powodem był raczej wiek ser Arlana niż księżę Smoczej Skały, lecz nigdy nie ośmielił się powiedzieć tego głośno. „Zawsze mi mówił, że jestem szybki i silny. Co było prawdą dla niego, nie musi być prawdą dla mnie” – przekonywał sam siebie z uporem.

Gdy przedzierał się przez gęste zielsko, cały czas rozważając swe szanse, ujrzał nagle w chaszczach błysk ognia. „Co to?”. Dunk nie tracił czasu na rozmyślenia. Pomknął w tamtą stronę, ściskając w ręku miecz.

Wypadł z gęstwy, wykrzykując głośne przekleństwa, i stanął jak wryty na widok siedzącego przy ognisku chłopca.

– To ty! – Opuścił miecz. – Co tu robisz?

– Piekę rybę – wyjaśnił łysy chłopak. – Chcesz trochę?

– Chciałem zapytać, jak tu trafiłeś? Ukradłeś konia?

– Przyjechałem z tyłu wozu, razem z człowiekiem, który wiózł na zamek jagnięta na stół jego lordowskiej mości z Ashford.

– To lepiej sprawdź, czy już odjechał, albo poszukaj sobie drugiego. Nie pozwolę ci tu zostać.

– Nie możesz mnie wygonić – odparł buńczucznie chłopak. – Mam już po dziurki w nosie tej gospody.

– A ja mam po dziurki w nosie twojego pyskowania – ostrzegł go Dunk. – Powinienem przerzucić cię przez siodło i odwieźć do domu.

– To musiałbyś jechać aż do Królewskiej Przystani – odciął się chłopak. – Ominąłby cię turniej.

„Królewska Przystań”. Dunk zastanawiał się przez chwilę, czy chłopak z niego drwi. Nie mógł jednak wiedzieć, że on również pochodzi z tego miasta. „To pewnie kolejny nędzarcz z Zapchlonego Tyłka. Trudno się dziwić, że chciał stamtąd uciec”.

Czuł się głupio, stojąc tak z mieczem w ręku nad ośmioletnim sierotą. Schował oręż i łypnął spode łba na chłopaka, by mu zademonstrować, że nie pozwoli na żadne wygłupy. „Powinienem mu przynajmniej zdrowo złoić skórę” – pomyślał, ale dzieciak wyglądał tak żałośnie, że Dunk nie mógł się zdobyć na to, by go uderzyć. Rozejrzał się po swym obozie. Ognisko buzowało wesoło, otoczone równym kręgiem kamieni. Konie wyszczotkowano, a ubranie wisiało na gałęzi wiązu, susząc się nad ogniem.

– Co tam robią te łachy?

– Wyprałem je – wyjaśnił chłopak. – Oporządziłem też konie, rozpałem ognisko i złapałem rybę. Rozbiłem także twój namiot, ale nigdzie go nie znalazłem.

– To jest mój namiot.

Dunk uniósł rękę i zatoczył nią krąg, wskazując na majaczący nad nimi wysoki wiąz.

– To drzewo – odparł chłopak obojętnym tonem.

– Prawdziwy rycerz nie potrzebuje lepszej osłony. Wolę spać pod gwiazdami niż w jakimś zadymionym namiocie.

– A jeśli będzie lało?

– Drzewo mnie osłoni.

– Drzewa przeciekają.

Dunk parsknął śmiechem.

– Prawdę mówiąc, nie stać mnie na namiot. Lepiej odwróć tę rybę, bo inaczej od spodu będzie przypalona, a od góry surowa. Nie nadajesz się na kuchcika.

– Nadałbym się, gdybym zechciał – burknął chłopak, odwrócił jednak rybę.

– Co się stało z twoimi włosami? – zainteresował się Dunk.

– Maesterzy mi je zgolili.

Nagle zawstydzony malec postawił kaptur ciemnobrązowego płaszcza, zakrywając głowę.

Dunk słyszał, że czasami tak się robi, gdy ktoś ma wszy, liszaj albo zarazi się pewnymi chorobami.

– Jesteś chory?

– Nie – zaprzeczył chłopak. – Jak masz na imię?

– Dunk.

Rozpaskudzony dzieciak roześmiał się w głos, jakby nigdy w życiu nie słyszał nic zabawniejszego.

– Dunk? – powtórzył. – Ser Dunk? To nie imię dla rycerza. Czy to zdrobnienie od Duncan?

Czy tak było? Stary mówił na niego „Dunk”, odkąd sięgał pamięcią, a ze swego poprzedniego życia młodzieniec nie przypominał sobie zbyt wiele.

– Tak, Duncan – potwierdził. – Ser Duncan z...

Dunk nie miał żadnego nazwiska ani rodu. Gdy znalazł go ser Arian, był dzikim dzieckiem, pałętającym się po zamtuzach i zaułkach Zapchlonego Tyłka. Nie pamiętał ojca ani matki. Co miał powiedzieć? „Ser Duncan z Zapchlonego Tyłka” raczej nie brzmiało po rycersku. Mógł oznajmić, że pochodzi z Pennytree, ale co będzie, jeśli go zapytają, gdzie ono leży? Dunk nigdy tam nie był, a stary nie opowiadał zbyt wiele o swych rodzinnych stronach. Zamyślił się na chwilę, marszcząc brwi.

– Ser Duncan Wysoki – palnął wreszcie. Z pewnością był wysoki, nikt nie mógł temu zaprzeczyć, a imię brzmiało naprawdę dumnie.

Mały łobuziak był jednak innego zdania.

– Nigdy nie słyszałem o ser Duncanie Wysokim – oznajmił.

– A czy słyszałeś o wszystkich rycerzach w Siedmiu Królestwach?

Chłopak obrzucił go śmiałym spojrzeniem.

– O wszystkich dobrych.

– Ja też jestem dobry. Po turnieju wszyscy się o tym przekonają. A jak ty masz na imię, złodziejaszku?

– Jajo – odpowiedział malec po chwili wahania.

Dunk powstrzymał śmiech. „Jego głowa rzeczywiście wygląda jak jajo. Mali chłopcy potrafią być okrutni, i dorośli ludzie również”.

– Jajo – zaczął – powinienem cię stłuc na kwaśne jabłko i przepędzić na cztery wiatry, ale prawda wygląda tak, że nie mam namiotu ani giermka. Jeśli przysięgniesz, że będziesz robił wszystko, co ci każę, pozwolę, żebyś mi służył na czas turnieju. Później, hmm, zobaczymy. Jeśli dojdę do wniosku, że zapracowałeś na swoje utrzymanie, będziesz miał w co się ubrać i co jeść. Ubranie może być z samodziału, a posiłki będą się składały z solonej wołowiny i solonych ryb, i może od czasu do czasu dziczyzny, gdy w pobliżu nie będzie strażników leśnych, ale nie będziesz głodował. Obiecuję też, że nie będę cię bił, chyba że na to zasłużysz.

Jajo uśmiechnął się.

– Zgoda, panie.

– Ser – poprawił go Dunk. – Jestem tylko wędrownym rycerzem.

Zastanawiał się, czy staruszek spogląda na niego z góry. „Nauczę go walczyć, tak samo jak ty nauczyłeś mnie, ser. Wygląda na niezłego chłopaka, może któregoś dnia będzie z niego rycerz”.

Okazało się, że ryba była od spodu trochę niedopieczona, a do tego chłopak nie usunął z niej wszystkich ości, ale i tak smakowała o niebo lepiej od twardej, solonej wołowiny.

Po chwili Jajo spał już przy dogasającym ognisku. Dunk położył się na wznak obok niego, z głową wspartą na wielkich dłoniach, i wpatrzył się w nocne niebo. Słyszał muzykę dobiegającą z odległego o pół mili pola turniejowego. Wszędzie były gwiazdy, tysiące i tysiące gwiazd. Jedna z nich spadła na jego oczach, przesywając czarny przestwór intensywnie zieloną smugą, która po chwili zniknęła.

„Spadająca gwiazda przynosi szczęście tym, którzy ją zobaczą” – pomyślał Dunk. „Ale wszyscy poza mną siedzą teraz w namiotach i widzą jedwab zamiast nieba. To szczęście należy tylko do mnie”.

* * *

Rankiem obudziło go pianie koguta. Jajo spał jeszcze, zwinięty pod gorszym płaszczem starego. „Chłopak nie uciekł w nocy. To już coś”. Dunk trącił malca stopą, by go obudzić.

– Wstawaj. Robota czeka. – Chłopiec zerwał się szybko, pocierając oczy. – Pomóż mi osiodłać Słodyczkę – zażądał Dunk.

– A śniadanie?

– Mamy soloną wołowinę. Jak skończymy pracę.

– To już wolałbym zjeść konia – skwitował Jajo. – Ser – dodał pośpiesznie.

– Jak nie będziesz mnie słuchał, zjesz moją pięść. Łap za szczotki. Są w jukach. Tak, tam.

Wyszczotkowali wspólnie gniadą klaczkę, nałożyli jej na grzbiet najlepsze siodło ser Arlana i zaciągnęli mocno popręg. Dunk zauważył, że Jajo potrafi świetnie pracować, gdy tylko się przyłoży.

– Sądzę, że nie będzie mnie przez większość dnia – oznajmił chłopcu, dosiadając klaczki.

– Zostań tu i pilnuj porządku w obozie. Zwłaszcza uważaj, żeby nie kręcili się tu inni złodzieje.

– A czy mogę dostać miecz, żeby ich nim przeszyć? – zapytał Jajo. Miał niebieskie oczy, bardzo ciemne, prawie fioletowe. Łysa głowa z jakiegoś powodu sprawiała, że wydawały się niewiarygodnie duże.

– Nie – odparł Dunk. – Nóż ci wystarczy. I lepiej, żebyś tu był, kiedy wrócę, słyszysz? Jeśli mnie okradniesz i uciekniesz, dopadnę cię. Przysięgam, że to zrobię. Psami będę cię ścigał.

– Nie masz psów – odciął się Jajo.

– Znajdę kilka – zapowiedział Dunk. – Specjalnie na tę okazję.

Zwrócił głowę Słodyczki w stronę łąki i ruszył naprzód żwawym klusem, licząc na to, że groźba wystarczy, by skłonić małego łobuziaka do uczciwości. Poza ubraniem, które miał na sobie, wieszoną w worku zbroją i koniem, którego dosiadał, cały dobytek Dunka został w obozie. „Jestem wielkim durniem, że tak ufam chłopakowi, ale przecież stary to samo uczynił dla mnie” – pomyślał. „Na pewno Matka przysłała tego dzieciaka, żebym mógł spłacić dług”.

Gdy wjechał na pole, usłyszał dobiegający z rzeki stukot młotków. Cieśle ustawiali tam barierki i montowali wysoką trybunę. Rozbijano też kilka nowych namiotów. Rycerze, którzy przybyli wcześniej, odsypiali nocne hulanki albo jedli właśnie śniadanie. Dunk czuł woń dymu z ognisk, a także zapach boczku.

Na północ od łąki płynęła rzeka Cockleswent, dopływ potężnego Manderu. Za płytkim brodem rozłożyły się miasteczko i zamek. Dunk podczas wędrówek ze starym widział już wiele targowych miasteczek. To było ładniejsze niż większość z nich. Bielone, kryte strzechą domy wyglądały zachęcająco. Kiedy był mniejszy, nieraz się zastanawiał, jakby to było, gdyby mieszkał w takim miejscu, co noc zasypiał, mając dach nad głową a co rano po przebudzeniu widział te same ściany. „Być może wkrótce się tego dowiem. Ehe, i Jajo też”. To mogło się zdarzyć. Każdego dnia działy się dziwniejsze rzeczy.

Zamek Ashford był kamienną budowlą wzniesioną na planie trójkąta. W każdym narożniku miał okrągłe baszty, wysokie na trzydzieści stóp i połączone grubymi murami, nad których blankami powiewały pomarańczowe chorągwie, ozdobione białym słońcem i szewronem, herbem tutejszego lorda. Pod bramą stali zbrojni w halabardy strażnicy w pomarańczowo-białych szatach, którzy obserwowali przechodzących ludzi. Wydawało się jednak, że bardziej interesuje ich przekomarzenie się z ładną mleczarką niż pilnowanie wejścia. Dunk ściągnął wodze przed niskim, brodatym mężczyzną którego uznał za ich kapitana, i zapytał go o mistrza gier.

– Powinieneś porozmawiać z Plummerem. On jest tutaj zarządcą. Wskażę ci drogę.

Gdy Dunk wjechał na dziedziniec, chłopiec stajenny zajął się Słodyczką. Młodzieniec zawiesił sobie na plecach sfatygowaną tarczę ser Arlana i podążył za kapitanem straży za stajnie, do wieżyczki wpasowanej w załom muru kurtynowego. Strome, kamienne schody wiodły na szczyt tegoż muru.

– Przyszedłeś wpisać do rejestru imię swojego pana? – zapytał po drodze kapitan.

– Nie, to własne imię chcę wpisać.

– Naprawdę? – Czy kapitan uśmiechnął się drwiąco? Dunk nie był tego pewien. – Proszę. Za tymi drzwiami. Zostawię cię tu i wracam na posterunek.

Gdy Dunk otworzył drzwi, zarządca siedział za ustawionym na kozłach stołem, skrobiąc coś gęsim piórem na kawałku pergaminu. Miał siwe, rzadziejące włosy i wąską zapadniętą twarz.

– Słucham? – odezwał się, unosząc wzrok. – O co ci chodzi, dobry człowieku?

Dunk zamknął za sobą drzwi.

– To ty jesteś zarządca Plummer? Przyjechałem na turniej. Chcę wstąpić w szranki.

Plummer wydał wargi.

– W turnieju jego lordowskiej mości mogą brać udział tylko rycerze. Czy jesteś rycerzem?

Młodzieniec skinął głową, zastanawiając się, czy uszy mu się zaczerwieniły.

– Rycerzem, który ma może jakieś imię?

– Jestem Dunk. – Dlaczego to powiedział? – Ser Duncan Wysoki.

– A skąd do nas przybywasz, ser Duncanie Wysoki?

– Z różnych miejsc. Byłem giermkim ser Arlana z Pennytree od piątego albo szóstego roku życia. To jest jego tarcza. – Pokazał ją zarządcy. – Jechał na turniej, ale przeziębził się i umarł, więc przybyłem zamiast niego. Przed śmiercią pasował mnie własnym mieczem.

Dunk wy dobył broń z pochwy i położył ją na podrapanym drewnianym stole.

Mistrz gier zerknął tylko przelotnie na oręż.

– To zaiste miecz, ale nigdy nie słyszałem o tym Arianie z Pennytree. Powiadasz, że byłeś jego giermkim?

– Zawsze powtarzał, że chce, żebym został rycerzem, tak jak on. Kiedy zbliżała się śmierć, powiedział, żebym dał mu miecz, a potem kazał mi ukłęknać. Dotknął raz klingą mojego prawego barku, a potem lewego i wypowiedział jakieś słowa. Kiedy wstałem z klęczek, byłem już rycerzem.

– Hmmmf. – Mężczyzna zwany Plummerem potarł nos. – Każdy rycerz może pasować kogoś na rycerza, choć zwyczaj nakazuje, by przed złożeniem ślubów odbyć czuwanie i dać się namaścić septonowi. Czy przy tym pasowaniu byli jacyś świadkowie?

– Tylko rudzik siedzący na cierniowym drzewie. Słyszałem go, gdy stary wypowiadał słowa. Przykazał mi stać się dobrym, prawdziwym rycerzem, słuchać siedmiu bogów, bronić słabych i niewinnych, wiernie służyć mojemu lordowi i bronić królestwa ze wszystkich sił. Przysiągłem, że usłucham go we wszystkim.

– Nie wątpię w to. – Dunk nie mógł nie zauważyć, że Plummer nie zaszczycił go tytułem „ser”. – Będę musiał poradzić się lorda Ashforda. Czy któryś ze zgromadzonych tu dobrych rycerzy zna ciebie albo twego zmarłego pana?

Dunk zastanawiał się przez chwilę.

– Chyba widziałem namiot ozdobiony chorągwią Dondarrionów. Czarną z fioletową błyskawicą.

– To będzie ser Manfred z tego rodu.

– Ser Arian służył u jego ojca w Dorne przed trzema laty. Ser Manfred może mnie pamiętać.

– Radziłbym ci z nim porozmawiać. Jeśli zgodzi się za ciebie poręczyć, przyjdź tu z nim jutro o tej samej porze.

– Jak sobie życzysz, panie.

Dunk ruszył w stronę drzwi.

– Ser Duncanie! – zawołał zarządca.

Młodzieniec spojrzał na niego.

– Czy zdajesz sobie sprawę – zapytał Plummer – że pokonani w turnieju tracą broń, zbroję i konia na rzecz zwycięzcy i muszą zapłacić okup, by je odzyskać?

– Zdaję.

– A czy masz pieniądze na taki okup?

Tym razem Dunk wiedział, że jego uszy na pewno są czerwone.

– Nie będę ich potrzebował – odparł, modląc się, by okazało się to prawdą. „Wystarczy mi jedno zwycięstwo. Jeśli wygram w pierwszym starciu, zdobędę konia i zbroję przeciwnika albo jego złoto. Wtedy będę mógł sobie pozwolić na przegraną”.

Zszedł powoli na dół, z zalem myśląc o tym, co musi teraz uczynić. Na dziedzińcu złapał za kark jednego z chłopców stajennych.

– Muszę pogadać z koniuszym lorda Ashforda.

– Pójdę go poszukać.

W stajniach panowały chłód i półmrok. Niesforny ogier próbował ugryźć Dunka, gdy ten przechodził obok, ale Słodyczka tylko zarżała cicho i trąciła mu dłoń pyskiem, gdy podsunął jej rękę pod nos.

– Dobra z ciebie dziewczyna, co? – wyszeptał.

Stary zawsze mu powtarzał, że rycerz nie powinien zbyt kochać swego wierzchowca, albowiem z pewnością niejeden pod nim zginie. Sam jednak nigdy nie kierował się własną radą. Dunk nieraz widział, jak ser Arian wydawał ostatniego miedziaka na jabłko dla leciwej Kasztanki albo trochę owsa dla Słodyczki i Groma. Klaczka nosiła starego rycerza podczas podróży i pokonała z nim niestrudzenie tysiące mil, wędrując po całych Siedmiu Królestwach. Dunk czuł się tak, jakby zdradzał wiernego przyjaciela, jaki jednak miał wybór? Kasztanka była za stara, by mogła mieć większą wartość, a Grom będzie musiał nieść go w szrankach.

Minęło trochę czasu, nim koniuszy raczył się zjawić. W pewnej chwili Dunk usłyszał na murach sygnał odegrany na trąbach, a na dziedzińcu jakieś głosy. Zaciekawiony podprowadził Słodyczkę do wierzei stajni, by zobaczyć, co się dzieje. Do zamku wjeżdżała liczna grupa rycerzy i konnych łuczników, co najmniej setka ludzi. Dunk nigdy w życiu nie widział wspanialszych wierzchowców. „Przyjechał jakiś wielki lord”. Złapał za ramię przebiegającego obok chłopca stajennego.

– Co to za ludzie?

Chłopak spojrzał nań dziwnie.

– Nie widzisz chorągwi?

Wyrwał się i oddalił biegiem.

„Choraǳwie...”. Gdy Dunk odwrócił głowę, nagły powiew uniósł czarny proporzec na szczycie wysokiego drzewca. Wydawało się, że straszliwy trójgłowy smok rodu Targaryenów rozpostarł raptownie skrzydła, zionąc szkarłatnym ogniem. Choraǳiew niósł wysoki rycerz w białej łuskowej zbroi inkrustowanej złotem. Na ramionach miał nieskazitelnie biały płaszcz. Dwaj inni jeźdźcy również byli od stóp do głów zakuci w białe zbroje. „Rycerze Gwardii Królewskiej z choraǳwią rodu panującego”. Nic dziwnego, że lord Ashford i jego synowie wypadli nagle z drzwi donżonu. Towarzyszyła im młoda panna, niska dziewczyna o blond włosach i pyzatej, różowej twarzy. „Nie wydaje mi się zbyt piękna” – pomyślał Dunk. Lalkarka była ładniejsza.

– Chłopcze, zostaw tę szkapę i zajmij się moim koniem.

Jeden z jeźdźców zsunął się z siodła tuż przed stajnią. „Mówi do mnie” – uświadomił sobie Dunk.

– Nie jestem chłopcem stajennym, panie.

– Jesteś na to za głupi, co?

Przybysz był odziany w czarny płaszcz podszyty szkarłatnym aksamitem, lecz pod spodem nosił strój jaskrawy jak ogień, w barwach czerwieni, żółci i złota. Był szczupły i prosty jak trzcina, choć średniego wzrostu, mniej więcej w wieku Dunka. Srebrnozłote loki okalały władczą, rzeźbioną twarz o wysokim czole, ostrych kościach policzkowych i prostym nosie. Młodzieniec miał gładką, białą cerę bez najmniejszej skazy i ciemnofioletowe oczy.

– Jeśli nie potrafisz sobie poradzić z koniem, to znajdź mi trochę wina i ładną dziewczkę.

– Wy... wybacz, panie, ale nie jestem też służącym. Mam zaszczyt być rycerzem.

– Smutne czasy nastały dla rycerskiego stanu – stwierdziło książętko.

Na szczęście w tej samej chwili jeden z chłopców stajennych podbiegł do niego i przybysz wręczył mu wodze swej wspaniałej, czerwonogniadej klaczki. W mgnieniu oka zapomniał o Dunku, który skrył się z ulgą w stajni, by zaczekać na koniuszego. Czuł się nieswojo w towarzystwie lordów z ich pięknymi namiotami, a już z książętami z pewnością nie miał ochoty rozmawiać.

Nie ulegało zaś wątpliwości, że ten piękny niedorostek jest księciem. W żyłach Targaryenów płynęła krew zaginionej za morzami Valyrii. Srebrnozłote włosy i fioletowe oczy odróżniały ich od zwykłych ludzi. Dunk wiedział, że książę Baelor jest starszy, ale młodzieniec mógł być jednym z jego synów: Valarrem, którego często zwano „Młodym Księciem”, by odróżnić go od ojca, albo Matarysem, „Jeszcze Młodszym Księciem”, jak przezwał go kiedyś błazen starego lorda Swanna. Byli też inni książęta, kuzyni Valarra i Matarysa. Dobry król Daeron miał czterech dorosłych synów, a trzej z nich również już zdążyli spłodzić synów. Za czasów jego ojca dynastia smoczycy królów omal nie wymarła, powszechnie jednak mawiano, że Daeron II i jego synowie zapewnili jej trwałość po wsze czasy.

– Hej, ty. Człowieku. Chciałeś ze mną rozmawiać. – Koniuszy lorda Ashforda miał czerwoną twarz, której kolor podkreślała jeszcze pomarańczowa szata, i był szorstki w obejściu. – O co chodzi? Nie mam czasu...

– Chciałem sprzedać tę klaczkę – przerwał mu pośpiesznie Dunk, nim koniuszy zdążył go odesłać. – To dobry koń, pewnie stapa...

– Mówiłem ci, że nie mam czasu. – Mężczyzna obrzucił tylko Słodyczkę pobieżnym spojrzeniem. – Lord Ashford nie potrzebuje takich szkap. Zabierz ją do miasteczka, może Henly da ci za nią parę srebrników.

Odwrócił się, nie czekając na odpowiedź.

– Dziękuję, panie – rzekł Dunk, nim koniuszy zdążył odejść. – Panie, czy przyjechał król?

Koniuszy roześmiał się na te słowa.

– Nie, dzięki bogom. Ta plaga książąt wystarczająco daje się nam we znaki. Gdzie znajdę stajnie dla tylu zwierząt? I paszę?

Oddalił się, pokrzykując na chłopców stajennych.

Gdy Dunk opuścił stajnię, lord Ashford zdążył już odprowadzić swych książęcych gości do komnat, lecz dwaj rycerze Gwardii Królewskiej w białych zbrojach i śnieżnych płaszczach stali jeszcze na dziedzińcu, pogrążeni w rozmowie z kapitanem straży. Dunk zatrzymał się przed nimi.

– Szlachetni panowie, jestem ser Duncan Wysoki.

– Miło cię poznać, ser Duncanie – odparł wyższy z białych rycerzy. – Jestem ser Roland Crakehall, a to mój zaprzysiężony brat, ser Donnel z Duskendale.

Siedmiu rycerzy Gwardii Królewskiej było najpotężniejszymi wojownikami w całych Siedmiu Królestwach, być może z wyjątkiem samego następcy tronu, Baelora Złamanej Włóczni.

– Czy zamierzacie wstąpić w szranki? – spytał zaniepokojony Dunk.

– Nie godzi się nam stawać do walki z tymi, których przysięgliśmy bronić – odparł ser Donnel o rudych włosach i brodzie.

– Książę Valarr ma zaszczyt być jednym z obrońców lady Ashford – wyjaśnił ser Roland – a dwaj jego kuzyni również zamierzają wziąć udział w turnieju. Reszta naszego orszaku przyjechała tylko obejrzeć zmagania.

Dunk podziękował z ulgą białym rycerzom za ich uprzejmość i opuścił pośpiesznie zamek, by nie zaczepił go kolejny książę. „Trzy książątka” – pomyślał, kierując klaczkę ku ulicom miasteczka. Valarr był najstarszym synem księcia Baelora, drugim w linii sukcesji do Żelaznego Tronu, Dunk nie miał jednak pojęcia, czy odziedziczył po ojcu jego legendarną biegłość we władaniu mieczem i kopią. O pozostałych targaryeńskich książętach wiedział jeszcze mniej. „Co uczynię, jeśli przyjdzie mi się zmierzyć z księciem? Czy w ogóle pozwolą

mi wyzwąć kogoś tak wysoko urodzonego?”. Nie znał odpowiedzi na te pytania. Stary często mu mówił, że jest tępy jak buzdygan i tak właśnie Dunk czuł się w tej chwili.

* * *

Słodyczka przypadła do gustu Henly’emu, lecz tylko do chwili, gdy usłyszał, że Dunk ma zamiar ją sprzedać. Potem stajenny dostrzegł w niej tylko same wady. Zaproponował trzysta srebrników. Dunk rzekł mu na to, że musi dostać trzy tysiące. Po długiej kłótni urozmaiconej licznymi przekleństwami zgodzili się na siedemset pięćdziesiąt srebrnych jeleni. Cena była bliższa proponowanej początkowo przez Henly’ego niż tej, którą pragnął otrzymać Dunk, i młodzieniec czuł się pokonany w tym starciu, lecz stajenny nie chciał mu dać ani grosza więcej, nie pozostało mu więc nic poza kapitulacją. Druga sprzeczka zaczęła się, gdy Dunk oznajmił, że uzgodniona cena nie obejmowała siodła, natomiast Henly twierdził, że jest wręcz przeciwnie.

Wreszcie jednak doszli do porozumienia. Henly poszedł po pieniądze, a Dunk zaczął głaskać Słodyczkę po grzywie, mówiąc jej, że musi być dzielna.

– Jeśli wygram, obiecuję, że wrócę tu i odkupię cię.

Nie wątpił, że wszystkie wady klaczki znikną w ciągu paru dni i będzie wówczas warta dwukrotnie więcej niż dzisiaj.

Stajenny wręczył mu trzy złote monety i resztę sumy w srebrze. Dunk ugryzł jedną ze sztuk złota i uśmiechnął się. Nigdy jeszcze nie czuł smaku złota ani nawet nie trzymał go w ręku. Ludzie zwali te monety „smokami”, gdyż ich rewers zdobił trójgłowy smok rodu Targaryenów. Na awersie widniała podobizna panującego. Na dwóch monetach, które dostał od Henly’ego, zobaczył twarz króla Daerona; trzecia była starsza, wytarta i wybito na niej inne oblicze. Pod podobizną wypisano imię monarchy, ale Dunk nie potrafił odczytać liter. Zauważył też, że po brzegach obcięto trochę złota, i głośno zwrócił uwagę na ten fakt Henly’emu. Stajenny utyskiwał głośno, ale dołożył mu jeszcze kilka srebrników oraz garść miedziaków, żeby wyrównać różnicę. Dunk oddał mu kilka miedzianych monet i wskazał głową na Słodyczkę.

– To dla niej – poprosił. – Pamiętaj, żeby dostała dzisiaj owsa. I jabłko też.

Dunk ruszył pieszo przez skąpane w blasku słońca uliczki Ashford. Na ramieniu niósł tarczę, a na plecach worek ze starą zbroją. Czuł się dziwnie, mając tak wypchaną sakiewkę. Z jednej strony odczuwał uniesienie, a z drugiej – lęk. Stary nigdy nie dawał mu więcej niż jedną monetę, najwyżej dwie. Za takie mnóstwo pieniędzy mógłby przeżyć cały rok. „A co zrobię, kiedy mi się skończą? Sprzedam Groma?”. Jeśli wkroczy na tę drogę, szybko zostanie żebrakiem albo wyjętym spod prawa rozbójnikiem. „Taka szansa już się nie powtórzy. Muszę podjąć ryzyko”.

Gdy wrócił przez bród na południowy brzeg Cockleswentu, ranek już się niemal skończył i pole turniejowe ożyło na nowo. Wokół sprzedawców wina i kielbasy tłoczyły się tłumy chętnych, tańczący niedźwiedź powłóczył nogami w rytm muzyki swego pana, minstrel śpiewał pieśń o niedźwiedziu i dziewicy cud, żonglerzy żonglowali, a lalkarki właśnie kończyły pokazywać kolejną walkę.

Dunk zatrzymał się, by popatrzeć na zgładzenie drewnianego smoka. Gdy rycerz-marionetka uciął mu głowę i na trawę posypały się trociny, roześmiał się głośno i rzucił dziewczynie dwa miedziaki.

– Jeden jest za wczoraj! – zawołał.

Złapała monety w locie i nagrodziła go najśłodszym uśmiechem, jaki w życiu widział.

„Ale czy uśmiecha się do mnie, czy do monet?”. Dunk nigdy nie był z dziewczyną i czuł się niepewnie w ich towarzystwie. Kiedyś, ze trzy lata temu, gdy stary miał pełną sakiewkę po półrocznej służbie u ślepego lorda Florenta, oznajmił Dunkowi, że pora już zaprowadzić go do burdelu i zrobić z niego mężczyznę. Był jednak wówczas pijany, a kiedy wytrzeźwiał, niczego nie pamiętał. Dunk wstydził się mu o tym przypomnieć. Nie był zresztą pewien, czy chciałby kurwę. Jeśli nie mógł zdobyć szlachetnie urodzonej panny, jak rycerz godny tego miana, to wolałby przynajmniej taką dziewczynę, która lubiłaby go bardziej niż jego srebro.

– Chciałabyś wypić róg *ale*? – zapytał lalkarkę zajętą wsypywaniem trocinowej krwi z powrotem do wnętrza smoka. – To znaczy ze mną? A może wolisz kielbasę? Zjadłem wczoraj jedną i była bardzo dobra. Chyba wieprzowa.

– Dziękuję, panie, ale za chwilę mamy następne przedstawienie.

Dziewczyna wyprostowała się i podbiegła do groźnie wyglądającej grubej Dornijki, która kierowała ruchami rycerza. Dunk został na miejscu, czując się głupio. Podobało mu się jednak, jak biegła. „Ładna dziewczyna i do tego wysoka. Nie musiałbym klękać, żeby ją pocałować”. Umiał się całować. Nauczyła go tego w zeszłym roku dziewczyna z karczmy w Lannisporcie. Była jednak tak niska, że musiała usiąść na stole, by sięgnąć jego ust. Uszy zapłonęły mu od tego wspomnienia. Był z niego prawdziwy dureń. Powinien myśleć o turnieju, nie o całowaniu.

Cieśle lorda Ashforda bielili już sięgające Dunkowi do pasa drewniane barierki, mające oddzielać od siebie walczących rycerzy. Młodzieniec przyglądał się przez chwilę ich pracy. Wyznaczono pięć torów, biegnących z północy na południe, by żadnemu z walczących słońce nie świeciło w oczy. Po wschodniej stronie szranków wzniesiono trybunę o trzech kondygnacjach, nakrytą pomarańczowym baldachimem, który osłoni lordów i damy przed deszczem czy słońcem. Większość widzów miała siedzieć na ławach, lecz pośrodku podwyższenia ustawiono cztery krzesła o wysokich oparciach, przeznaczone dla lorda Ashforda, pięknej panny oraz dwóch przybyłych z wizytą książąt.

Na wschodnim skraju łąki stał słup ćwiczebny. Kilkunastu rycerzy trudziło się przy nim zapamiętane. Tyczka kręciła się jak szalona za każdym razem, gdy któryś z nich trafił w

popękaną tarczę umocowaną na jednym z końców poprzecznego drąga. Dunk patrzył, jak próbę podjął Bestia Bracken, a po nim lord Caron z Pogranicza. „Nie siedzę w siodle tak pewnie jak oni” – pomyślał zaniepokojony.

W innych miejscach ćwiczyli piesi, okładając się drewnianymi mieczami, podczas gdy giermkowie wykrzykiwali do nich pełne sprośnych conceptów rady. Dunk przyglądał się, jak barczysty młodzieniec odpiera ataki muskularnego rycerza, który wydawał się gibki i szybki jak górski kot. Obaj mieli wymalowane na tarczach czerwone jabłko Fossowayów, lecz herb na tarczy młodszego mężczyzny szybko został porąbany na kawałki.

– To jabłko jeszcze nie dojrzało – orzekł starszy mężczyzna, uderzając w hełm przeciwnika.

Gdy młody Fossoway się poddał, krwawił i był posiniaczony, a jego rywal ledwie się zdyszał. Zwycięzca uniósł zasłonę, rozejrzał się wkoło, zobaczył Dunka i zawołał:

– Hej, ty. Tak, ten wielki. Rycerz od skrzydlatego kielicha. Czy to prawdziwy miecz?

– Jest moją prawną własnością – bronił się Dunk. – Jestem ser Duncan Wysoki.

– A ja ser Steffon Fossoway. Zechciałbyś się ze mną spróbować, ser Duncanie Wysoki? Dobrze byłoby skrzyżować miecze z kimś nowym. Mój kuzyn nie jest jeszcze dojrzały, jak sam widziałeś.

– Do dzieła, ser Duncanie – zachęcił go pokonany Fossoway, zdejmując hełm. – Ja mogę być niedojrzały, ale mój dobry kuzyn jest do cna przegniły. Wybij z niego wszystkie nasiona.

Dunk potrząsnął głową. Dlaczego ci paniczycy chcieli go wciągnąć w swą kłótnię? Nie chciał się w nią mieszać.

– Dziękuję, ser, ale mam na głowie pilne sprawy.

Nie czuł się pewnie, mając przy sobie tak znaczny majątek. Im prędzej zapłaci Stalowemu Pate’owi i dostanie od niego zbroję, tym lepiej.

Ser Steffon popatrzył nań ze wzgardą.

– Wędrowny rycerz ma pilne sprawy? – Rozejrzał się wokół i wypatrzył w pobliżu innego kandydata. – Ser Grance, cieszę się, że cię widzę. Chodź się ze mną zmierzyć. Znam wszystkie żalosne sztuczki, które opanował mój kuzyn Raymun, a wygląda na to, że ser Duncan musi wracać do swych wędrowek. Chodź, chodź.

Dunk oddalił się z poczerwieniałą twarzą. Nie znał zbyt wielu sztuczek, żalosnych czy nie, i nie chciał, by ktokolwiek widział, jak walczy, przed rozpoczęciem turnieju. Stary zawsze powtarzał, że im lepiej zna się rywala, tym łatwiej jest go pokonać. Rycerze tacy jak ser Steffon mieli bystry wzrok i w mgnieniu oka potrafili wypatrzyć słabe punkty przeciwnika. Dunk był silny i szybki, sprzyjał mu również zasięg ramion, lecz ani przez chwilę nie wierzył, że umiejętnościami dorównuje pozostałym. Ser Arian wyszkolił go najlepiej, jak potrafił, ale nawet w młodości nie należał do wielkich rycerzy. Wielcy rycerze nie spędzali życia na wędrowce ani nie umierali na skraju błotnistego traktu. „Mnie nie spotka

taki los” – poprzysiągł Dunk. „Pokażę im, że potrafię stać się kimś więcej niż wędrownym rycerzem”.

– Ser Duncanie. – Młodszy Fossoway dogonił go biegiem. – Źle uczyniłem, zachęcając cię do walki z moim kuzynem. Rozwścieczyła mnie jego arogancja, a ty jesteś taki wysoki i pomyślałem, że... no cóż, to nie było rozsądne. Nie masz zbroi. Złamałby ci rękę, gdyby zdołał, albo kolano. Lubi obijać ludzi podczas ćwiczeń, żeby byli słabsi, gdy zmierzy się z nimi w szrankach.

– Tobie nic nie złamał.

– Tak, ale w naszych żyłach płynie ta sama krew, nawet jeśli jego gałąź jabłoni jest starsza, co ciągle mi wypomina. Jestem Raymun Fossoway.

– Miło mi cię poznać. Czy ty i twój kuzyn staniecie w szranki?

– On z pewnością. Ja również bym to zrobił, gdybym mógł, ale jestem tylko giermkim. Kuzyn obiecał mi pasować, ale ciągle powtarza, że nie jestem jeszcze dojrzały. – Raymun miał kwadratową twarz, zadarty nos i krótkie, wełniste włosy, ale uśmiechał się naprawdę ujmująco. – Wyglądasz mi na takiego, co chce rzucić wyzwanie. Czyją tarczę obrałeś sobie za cel?

– Wszystko mi jedno – odparł Dunk. Tak właśnie powinno się odpowiadać, choć w rzeczywistości sprawa miała olbrzymie znaczenie. – Wstąpię w szranki dopiero trzeciego dnia.

– Tak, wówczas niektórzy z mistrzów już odpadną – poparł go Raymun. – Niech Wojownik się do ciebie uśmiechnie, ser.

– I do ciebie.

„Jeśli on jest tylko giermkim, to jak ty możesz być rycerzem? Któryś z nas jest głupcem”. Srebro w sakiewce Dunka pobrzękiwało przy każdym kroku, wiedział jednak, że w jedno uderzenie serca może wszystko stracić. Nawet regulamin tego turnieju był przeciwko niemu, gdyż wydawało się bardzo mało prawdopodobne, by miał trafić na słabego bądź niedoświadczonego rywala.

Turniej mógł przybrać jedną z kilkunastu postaci, zależnie od kaprysu organizującego go lorda. Niektóre z nich były pozorowanymi bitwami między grupami rycerzy, inne dzikimi bijatykami, w których chwała przypadała w udziale ostatniemu uczestnikowi trzymającemu się na nogach. Gdy zasadą były indywidualne walki, pary czasami dobierano przez losowanie, a czasami robił to mistrz gier.

Lord Ashford urządził ten turniej dla uczczenia trzynastego dnia imienia swej córki. Piękna panna będzie siedziała u boku ojca jako panująca królowa miłości i piękna. Będzie jej broniło pięciu mistrzów, noszących jej wstążki. Wszyscy pozostali będą musieli rzucać im wyzwania, lecz każdy, kto zdoła pokonać mistrza, będzie mógł zająć jego miejsce aż do chwili, gdy sam poniesie porażkę. Po trzech dniach turnieju pięciu aktualnych mistrzów

rozstrzygnie między sobą czy piękna panna zachowa koronę królowej miłości i piękna, czy też będzie musiała oddać ją innej.

Dunk wpatrywał się w porośniętą trawą szranki i puste krzesła trybuny, rozważając swe szanse. Wystarczy mu jedno zwycięstwo. Będzie mógł wtedy nazwać się jednym z mistrzów z Łąk Ashford, choćby tylko przez godzinę. Stary żył prawie sześćdziesiąt lat i nigdy nie został mistrzem. „To nie jest niemożliwe, jeśli bogowie będą łaskawi”. Wrócił w myślach do wszystkich pieśni, które słyszał, pieśni o ślepym Symeonie Gwiedznookim, szlachetnym Serwynie od Zwierciadlanej Tarczy, księciu Aemonie Smoczym Rycerzu, ser Ryamie Redywnie i Florianie Błaźnie. Wszyscy oni zwyciężali wrogów nieporównanie straszliwszych od tych, z którymi on będzie się musiał zmierzyć. „Ale oni byli wielkimi bohaterami, byli odważni i szlachetnie urodzeni, oprócz Floriana. A kim ja jestem? Dunkiem z Zapchlonego Tyłka? Czy ser Duncanem Wysokim?”

Pewnie niedługo pozna odpowiedź na to pytanie. Uniósł worek ze zbroją i ruszył w stronę straganów, by odszukać tam Stalowego Pate’a.

* * *

Jajo trudził się w obozie bardzo skrzętnie. Dunk ucieszył się na ten widok. Trochę się bał, że jego giermek ucieknie.

– Dostałeś dobrą cenę za klaczkę? – zapytał chłopak.

– Skąd wiesz, że ją sprzedałem?

– Odjechałeś konno, a wróciłeś na piechotę. Gdyby ukradli ją rabusie, byłbyś w znacznie gorszym humorze.

– Kupiłem sobie za nią to. – Dunk wyjął nową zbroję, żeby pokazać ją chłopcu. – Jeśli masz zostać rycerzem, musisz się nauczyć odróżniać dobrą stal od kiepskiej. Popatrz, to jest dobra robota. To podwójna kolczuga łańcuszkowa. Widzisz, każde ogniwo jest połączone z dwoma innymi. Dzięki temu zapewnia lepszą osłonę niż pojedyncza warstwa. A teraz hełm. Pate zrobił okrągły szczyt, widzisz, jak się zakrzywia? Miecz albo topór ześliznie się po nim, podczas gdy płaski hełm mogłyby przebić na wylot. – Dunk założył hełm na głowę. – No i jak wygląda?

– Nie ma zasłony – wskazał Jajo.

– Ma otwory do oddychania. Zasłona to słaby punkt.

Usłyszał o tym od Stalowego Pate’a. Płatnerz tłumaczył mu: „Gdybyś wiedział, ilu rycerzy oberwało strzałą w oko, bo unieśli zasłonę, żeby odetchnąć świeżym powietrzem, nigdy byś o nią nie prosił”.

– Nie ma też grzebienia – nie ustępował Jajo. – Ani żadnych ozdób.

Dunk zdjął hełm.

– Dla takich jak ja jest w sam raz. Widzisz, jak świeci się stal? Twoim zadaniem będzie utrzymać ją w takim właśnie stanie. Wiesz, jak się czyści zbroję?

– W beczce z piaskiem – odpowiedział chłopak. – Ale ty nie masz beczki. Czy kupiłeś też namiot, ser?

– Aż tyle za Słodyczkę nie dostałem. – „Chłopak jest stanowczo zbyt śmiały. Powinienem oduczyć go tego laniem”. Wiedział jednak, że tego nie uczyni. Lubił śmiałość. Sam powinien być śmielszy. „Mój giermek jest odważniejszy ode mnie. I do tego bystrzejszy”.

– Dobrze się sprawiłeś, Jajo – pochwalił chłopca Dunk. – Jutro pójdziesz ze mną. Przyjrzymy się polu turniejowemu. Kupimy owsa dla koni i świeżego chleba dla siebie. I może też trochę sera. Na jednym straganie sprzedają dobry ser.

– Ale nie będę musiał iść do zamku?

– A czemu by nie? Pewnego dnia ja również zamierzam zamieszkać w zamku. Mam nadzieję, że zdobędę honorowe miejsce przy stole, zanim będę za stary.

Chłopiec nic nie odpowiedział. „Pewnie boi się wchodzić do lordowskich komnat” – pomyślał Dunk. „Nic w tym dziwnego. Z czasem z tego wyrośnie”. Ponownie zajął się podziwianiem zbroi. Zastanawiał się, jak długo będzie mógł ją nosić.

* * *

Ser Manfred był chudym mężczyzną o skwaszonej minie. Miał na sobie czarną opończę, przesyta fioletową błyskawicą rodu Dondarrionów, ale Dunk i tak by go poznał dzięki rozczochranej, rudozłotej czuprynie.

– Ser Arian służył twemu ojcu, gdy razem z lordem Caronem wykurzyli Sępiego Króla z Gór Czerwonych, ser – oznajmił, opadając na jedno kolano. – Byłem wtedy tylko chłopcem, ale służyłem mu już jako giermek. Zwał się ser Arian z Pennytree.

Ser Manfred skrzywił się.

– Nie. Nie znam go. Ani ciebie, chłopcze.

Dunk pokazał mu tarczę starego.

– To był jego herb, skrzydlaty kielich.

– Mój ojciec zabrał ze sobą w góry ośmiuset rycerzy i cztery tysiące pieszych. Jak mógłbym spamiętać wszystkie imiona i herby? Może i byłeś z nami, ale...

Ser Manfred wzruszył ramionami.

Dunk zaniemówił na chwilę. „Staruszek został ranny w twojej służbie. Jak mogłeś o nim zapomnieć?”

– Nie pozwolą mi rzucić wyzwania, jeśli jakiś rycerz albo lord za mnie nie poręczy.

– A co mi do tego? – zdziwił się ser Manfred. – Dość już czasu ci poświęciłem, ser.

Jeśli wróci do zamku bez ser Manfreda, wszystko będzie stracone. Dunk spojrzał na fioletową błyskawicę, wyhaftowaną na czarnej opończy rycerza.

– Pamiętam, jak twój ojciec opowiadał swym ludziom, skąd wziął się herb waszego rodu – zaczął. – Pewnej burzliwej nocy, gdy twój przodek niósł pilną wiadomość przez Dornijskie Pogranicze, koń pod nim padł, trafiony strzałą i rycerz zwałił się na ziemię. Z ciemności wypadło dwóch Dornijczyków zakutych w pierścieniowe kolczugi i hełmy z grzebieniami. Spadając, posłaniec złamał sobie miecz, pomyślał więc, że już po nim. Ale gdy wrogowie podeszli bliżej, z nieba uderzył piorun. Gorejąca, fioletowa błyskawica rozdzieliła się na dwoje, powalając obu obleczonych w stal napastników. Dzięki dostarczonej wiadomości król burzy odniósł zwycięstwo nad Dornijczykami i w podzięcie przyznał posłańcowi tytuł lordowski. Pierwszy lord Dondarrion wybrał sobie na herb rozwidloną fioletową błyskawicę na czarnym polu usianym gwiazdami.

Jeśli Dunk sądził, że swą opowieścią skłoni ser Manfreda do zmiany opinii, nie mógłby pomylić się bardziej.

– Każdy kuchcik i stajenny, który służy mojemu ojcu, prędzej czy później musi wysłuchać tej historii. To, że ją znasz, nie czyni cię jeszcze rycerzem. Idź już, ser.

* * *

Dunk poszedł z ciężkim sercem do zamku Ashford, zastanawiając się, co mógłby powiedzieć, by Plummer przyznał mu prawo stanięcia w szranki. Zarządcy nie było jednak w pokoju w wieżycze. Strażnik powiedział mu, że można go znaleźć w Wielkiej Komnacie.

– Mam tu zaczekać? – zapytał Dunk. – Kiedy wróci?

– Skąd mam wiedzieć? Rób, co chcesz.

Wielka Komnata nie była znowu taka wielka, ale zamek Ashford również był dosyć mały. Dunk wszedł do środka przez boczne drzwi i natychmiast wypatrzył zarządcę. Plummer stał na końcu komnaty w towarzystwie lorda Ashforda i kilkunastu innych ludzi. Dunk ruszył ku nim wzdłuż ściany obwieszanej wyszywanymi w owoce i kwiaty gobelinami.

– ...idę o zakład, że gdyby chodziło o twoich synów, czułbyś się bardziej zaniepokojony – mówił jakiś rozgniewany mężczyzna. Jego proste włosy i przystrzyżona w kanty broda były tak jasne, że w wypełniającym salę półmroku wydawały się białe, gdy jednak Dunk podszedł bliżej, zauważył, że w rzeczywistości są jasnosrebrzyste, upstrzone nitkami złota.

– Daeron nieraz już robił podobne rzeczy – uspokajał go inny, zasłonięty przed wzrokiem Dunka przez Plummera. – Niepotrzebnie rozkazałeś mu wstąpić w szranki. Nadaje się do występowania w turnieju równie kiepsko, jak Aerys albo Rhaegel.

– Chcesz powiedzieć, że woli dosiadać kurew niż koni – obruszył się pierwszy. Mocno zbudowany, potężny książę – bo z pewnością był to książę – miał na sobie skórzaną brygantynę wysadzaną srebrnymi ćwiekami oraz gruby, czarny płaszcz obszyty gronostajami. Na policzkach nosił ślady po francy, tylko częściowo zasłonięte przez srebrzystą brodę. – Nie musisz mi przypominać o słabościach mojego syna, bracie. Ma dopiero osiemnaście lat. Może

jeszcze się zmienić. I zmieni się, niech szlag trafi bogów, bo przysięgam, że inaczej marnie skończy.

– Nie bądź głupcem. Daeron jest taki, jaki jest, ale w jego żyłach płynie twoja krew. I moja również. Nie wątpię, że ser Roland go znajdzie i Aegona razem z nim.

– Pewnie dopiero po turnieju.

– Jest tu Aerion. On włada kopią lepiej od Daerona, jeśli to o turniej ci chodzi.

Dunk widział już mówiącego. Mężczyzna siedział na krześle z wysokim oparciem, trzymając w jednym ręku plik papierów. Lord Ashford przystanął u jego boku. Nawet siedząc, nieznajomy wydawał się o głowę wyższy od rozmówcy, sądząc po długich, prostych nogach, które wyciągnął przed siebie. Krótko przystrzyżone włosy miał ciemne, upstrzone plamkami siwizny, a twarz o mocno zarysowanej szczęce gładko wygoloną. Nos wyglądał tak, jakby złamano go już kilka dobrych razy. Choć mężczyzna odziany był bardzo prosto, w zielony wams, brązową opończę i znoszone buty, promieniował aurą władzy i pewności siebie.

Dunkowi przyszło do głowy, że stał się świadkiem rozmowy, której nie powinien był słyszeć. „Lepiej sobie pójść i wrócić, kiedy już skończą” – pomyślał. Było jednak za późno. Srebrnobrody księżę nagle go zauważył.

– Kim jesteś i czemu tu wtargnąłeś? – zapytał obcesowo.

– To rycerz, na którego czekał nasz dobry zarządca – wyjaśnił siedzący mężczyzna, uśmiechając się do Dunka w sposób sugerujący, że od początku zdawał sobie sprawę z jego obecności. – To my jesteśmy tu intruzami, bracie. Podejdź bliżej, ser.

Dunk wykonał polecenie, nie wiedząc, czego od niego oczekują. Zerknął na Plummera, lecz u niego nie znalazł pomocy. Zarządca o zapadniętej twarzy, który wczoraj był tak pewny siebie, teraz milczał, wbijając wzrok w kamienną posadzkę.

– Wielmożni panowie – zaczął młodzieniec – prosiłem ser Manfreda Dondarriona, by za mnie zaświadczył, co pozwoliłoby mi wstąpić w szranki, ale on odmówił. Twierdzi, że mnie nie zna. Ale przysięgam, że ser Arian mu służył. Mam jego miecz i tarczę...

– Miecz i tarcza nikogo nie czynią rycerzem – oznajmił lord Ashford, wysoki, łysy mężczyzna o okrągłej, czerwonej twarzy. – Plummer mówił mi o tobie. Nawet jeśli uwierzmy, że należały do ser Arlana z Pennytree, mogłeś znaleźć go martwego i po prostu je ukraść. Jeśli nie potrafisz przedstawić lepszego dowodu na prawdziwość swych słów, jakiegoś pisma albo...

– Pamiętam ser Arlana z Pennytree – odezwał się cichym głosem mężczyzna siedzący na krześle z wysokim oparciem. – O ile mi wiadomo, nigdy nie zwyciężył w turnieju, lecz nigdy również nie okrył się wstydem. Przed szesnastoma laty w Królewskiej Przystani powalił w walce zbiorowej lorda Stokewortha i bękartą z Harrenhal, a jeszcze sporo lat wcześniej wysadził w Lannisporcie z siodła samego Siwego Lwa. Co prawda, nie był on jeszcze wówczas taki siwy.

– Nieraz mi o tym opowiadał – odezwał się Dunk.

Wysoki mężczyzna przyjrzał się mu uważnie.

– W takim razie z pewnością pamiętasz, jak naprawdę zwię się Siwy Lew.

Przez chwilę Dunk czuł w głowie pustkę. „Stary powtarzał mi to tysiąc razy, tysiąc razy, lew, lew, nazywa się...”. Był już bliski rozpaczy, lecz nagle sobie przypomniał.

– Ser Damon Lannister! – zawołał. – Siwy Lew! Jest teraz lordem Casterly Rock.

– To prawda – zgodził się miłym głosem siwy mężczyzna. – Jutro wstępuje w szranki.

Potrząsnął trzymanym w dłoni plikiem papierów.

– Jak możesz pamiętać jakiegoś pozbawionego znaczenia wędrownego rycerza, który przed wielu laty przypadkiem wysadził z siodła Damona Lannistera? – zapytał srebrnobrody książę, marszcząc brwi.

– Zawsze staram się dowiedzieć wszystkiego o tych, z którymi mam walczyć.

– A dlaczego właściwie raczyłeś stanąć w szranki z wędrownym rycerzem?

– To było dziewięć lat temu, w Końcu Burzy. Lord Baratheon urządził turniej, by uczcić narodziny wnuka. Losowanie zrządziło, że moim przeciwnikiem był ser Arian. Skruszyliśmy cztery kopie, nim wreszcie zdołałem wysadzić go z siodła.

– Siedem – poprawił go Dunk – i to było w walce z księciem Smoczej Skały.

Gdy tylko te słowa wyszły mu z ust, natychmiast zapragnął je połknąć. „Dunk Przygłup, tępy jak buzdygan” – przypomniał sobie wyrzuty starego.

– Zaiste. – Książę ze złamanym nosem uśmiechnął się łagodnie. – Wiem, że opowieści zawsze rosna w miarę powtarzania. Nie myśl źle o swym starym mistrzu, ale obawiam się, że to były tylko cztery kopie.

Dunk cieszył się, że w komnacie jest ciemno. Wiedział, że uszy ma zupełnie czerwone.

– Panie. – „Nie, nie tak”. – Wasza Miłość. – Padł na kolana i opuścił głowę. – Tak jak powiedziałaś, cztery. Nie chciałem... ja nigdy... stary, ser Arian, zawsze mawiał, że jestem tępy jak buzdygan i powolny w myśleniu jak tur.

– I pewnie też silny jak tur, sądząc z wyglądu – rzekł Baelor Złamana Włócznia. – Nic się nie stało, ser. Wstań.

Dunk podniósł się z klęczek, zastanawiając się, czy powinien trzymać głowę zwieszoną, czy też wolno mu spojrzeć księciu w twarz. „Rozmawiam z Baelorem Złamaną Włócznią, księciem Smoczej Skały, królewskim namiestnikiem i dziedzicem Żelaznego Tronu Aegona Zdobywcy”. Co mógł wędrowny rycerz powiedzieć komuś tak znamienitemu?

– Pa... pamiętam, że oddałeś mu konia i zbroję, nie żądając okupu – wyjąkał. – Stary... ser Arian mówił mi, że jesteś wcieleniem rycerskości i pewnego dnia Siedem Królestw będzie bezpieczne w twoich rękach.

– Mam nadzieję, że stanie się to dopiero za wiele lat – odparł książę Baelor.

– Nie... – zaczął przerażony Dunk. O mało nie palnął: „Nie chciałem powiedzieć, że dobrze by było, gdyby król umarł”. Powstrzymał się jednak na czas. – Wybacz, panie. To znaczy, Wasza Miłość.

Z opóźnieniem zdał sobie sprawę, że barczysty mężczyzna o srebrnej brodzie nazwał księcia Baelora bratem. „On również jest z krwi smoka. Ależ ze mnie cholerny głupiec”. Przychodził mu do głowy tylko książę Maekar, najmłodszy z czterech synów króla Daerona. Książę Aerys był mołem książkowym, a książę Rhaegel był obłąkany, potulny i chorowity. Nie było prawdopodobne, by któryś z nich przemierzył pół kraju po to, by wystąpić w turnieju. Natomiast książę Maekar był ponoć znakomitym wojownikiem, choć pozostawał w cieniu najstarszego brata.

– Chcesz wstąpić w szranki, tak? – zapytał książę Baelor. – Decyzja w tej sprawie należy do mistrza gier, ale osobiście nie widzę powodów, by ci odmówić tego prawa.

Zarządca skłonił głowę.

– Jak sobie życzysz, panie.

Dunk spróbował wyjąkać słowa podziękowania, lecz książę Maekar nie dał mu dojść do głosu.

– Tak, tak, ser, jesteś wdzięczny. A teraz zostaw nas już.

– Musisz wybaczyć mojemu szlachetnemu bratu, ser – odezwał się książę Baelor. – Dwaj jego synowie zgubili się gdzieś po drodze tutaj i obawia się o ich bezpieczeństwo.

– Wiele strumieni wezbrało po wiosennych deszczach – odezwał się Dunk. – Może książęta po prostu się spóźnili.

– Nie przybyłem tu wysłuchiwać rad wędrownego rycerza – poskarżył się bratu książę Maekar.

– Możesz odejść, ser – oznajmił Dunkowi uprzejmym tonem następca tronu.

– Tak jest, panie.

Młodzieniec pokłonił się i odwrócił.

Nim jednak zdążył się oddalić, książę zawołał do niego:

– Ser. Jeszcze jedno. Nie jesteś krewnym ser Arłana?

– Tak, panie. To znaczy, nie. Nie jestem.

Książę wskazał głową na poobtłukiwaną tarczę Dunka i wymalowany na niej skrzydlaty kielich.

– Prawo mówi, że tylko prawowity syn rycerza może odziedziczyć jego herb. Musisz sobie znaleźć nowy, ser.

– Tak też uczynię – zapewnił Dunk. – Jeszcze raz dziękuję, Wasza Miłość. Zobaczysz, jak dzielnie się sprawię.

„Dzielnie jak Baelor Złamana Włócznia, jak zwykł mawiać stary”.

* * *

Sprzedawcy wina i kiełbasy nie mogli się uskarżać na brak klientów, a między straganami i namiotami przechadzały się bezwstydnie kurwy. Niektóre z nich były całkiem ładne, zwłaszcza jedna rudowłosa dziewczyna. Dunk nie mógł się powstrzymać przed gapieniem się na jej piersi, które poruszały się swobodnie pod luźnym gieżłem, gdy przechodziła niespiesznie obok. Pomyślał o srebrze, które miał w sakiewce. „Mógłbym ją mieć, gdybym zechciał. Na pewno spodobałby się jej brzęk moich srebrników. Mógłbym ją zabrać do obozu i spędzić z nią całą noc, gdybym tylko tego zapragnął”. Nigdy jeszcze nie był z kobietą a przecież z łatwością mógł postradać życie w pierwszej walce. Turnieje były niebezpieczne... ale kurwy również. Stary ostrzegał go przed nimi. „Mogłaby mnie okraść, kiedy bym zasnął, i co bym wtedy począł?”. Kiedy ruda dziewczyna spojrzała na niego przez ramię, Dunk potrząsnął głową i odszedł.

Znalazł Jajo przy teatrzyku lalkowym. Chłopak siedział na ziemi ze skrzyżowanymi nogami. Postawił kaptur płaszcza, żeby ukryć łysinę. Chłopiec bał się pójść do zamku. Dunk był przekonany, że winne temu są w jednakowej mierze nieśmiałość i wstyd. „Uważa, że nie jest godny spotykać się z lordami i damami, nie wspominając już o wielkich księżętach”. On zachowywał się tak samo, kiedy był mały. Świat poza granicami Zapchlonego Tyłka wydawał mu się przerażający i fascynujący zarazem. „Jajo potrzebuje czasu, to wszystko”. W tej chwili lepiej chyba było dać chłopakowi kilka miedziaków i pozwolić, żeby wałęsał się między straganami, niż wlec go na siłę do zamku.

Tym razem lalkarki przedstawiały opowieść o Florianie i Jonquil. Gruba Dornijka kierowała ruchami Floriana, odzianego w zbroję zrobioną z błazeńskiego stroju, natomiast wysoka dziewczyna trzymała sznurki Jonquil.

– Nie jesteś rycerzem – powiedziała, otwierając i zamykając usta marionetki. – Znam cię. Jesteś Florian Błazen.

– Jestem nim, pani – zapewniła druga marionetka, klękając. – Największym błaznem, jaki kiedykolwiek żył, i największym rycerzem też.

– Błazen i rycerz? – zdziwiła się Jonquil. – Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

– Słodka pani – odparł Florian – gdy idzie o kobiety, wszyscy mężczyźni są błaznami i wszyscy są rycerzami.

To było dobre przedstawienie, słodkie i smutne zarazem. Kończyło się zwawą walką na miecze z ładnie pomalowanym olbrzymem. Po zakończeniu gruba Dornijka weszła w tłum, by zbierać monety, natomiast dziewczyna spakowała marionetki.

Dunk zabrał ze sobą Jajo i podszedł do niej.

– Panie? – przywitała go, zerkając z ukosa i uśmiechając się półgębkiem. Była o głowę niższa od niego, lecz i tak przerastała wzrostem wszystkie dziewczęta, jakie w życiu widział.

– To było dobre – zachwycił się Jajo. – Zauważyłem, jak nimi poruszacie, Jonquil, smokiem i tak dalej. W zeszłym roku widziałem przedstawienie kukielkowe, ale wszystkie marionetki miały strasznie urywane ruchy. Wasze ruszają się znacznie płynniej.

– Dziękuję – odpowiedziała uprzejmie dziewczyna.

– Macie też pięknie wystrugane figurki – dołączył się do pochwał Dunk. – Zwłaszcza smoka. Ależ to przeraźliwa bestia. Sama je robisz?

Skinęła głową.

– Wuj struga je z drewna, a ja je maluję.

– A mogłabyś mi coś namalować? Mam pieniądze. Mogę ci zapłacić. – Zdjął tarczę z pleców i odwrócił ją by pokazać dziewczynie. – Muszę czymś zastąpić ten kielich.

Lalkarka zerknęła na tarczę, a potem na niego.

– A co to miałyby być?

Dunk nie zastanawiał się dotąd nad tą kwestią. Jeśli nie skrzydlaty kielich starego, to w takim razie co? Miał pustkę w głowie. „Dunk Przygłup, tępy jak buzdygan”.

– Nie... nie jestem pewien. – Zdał sobie z przygnębieniem sprawę, że znowu ma czerwone uszy. – Pewnie masz mnie za błazna.

Uśmiechnęła się.

– Wszyscy mężczyźni są błaznami i wszyscy są rycerzami.

– Jakie kolory farby masz w zapasie? – zapytał w nadziei, że to podsunie mu jakiś pomysł.

– Potrafię je wymieszać tak, żeby uzyskać dowolny kolor.

Brazowa barwa tarczy starego zawsze wydawała się Dunkowi mało ciekawa.

– Pole powinno mieć barwę zachodu słońca – oznajmił nagle. – Stary lubił patrzeć na zachodzące słońce. A herb...

– Wiąz – zaproponował Jajo. – Wielki wiąz, taki jak ten przy stawie, z brązowym pniem i zielonymi gałęziami.

– Aha – zgodził się Dunk. – To będzie w sam raz. Wiąz... ale ze spadającą gwiazdą na górze. Dasz radę to namalować?

Dziewczyna skinęła głową.

– Daj mi tarczę. W nocy ją pomaluję, a jutro będziesz mógł ją odebrać.

Dunk wręczył jej tarczę.

– Nazywam się ser Duncan Wysoki.

– Ja jestem Tanselle. – Roześmiała się. – Tanselle Za Wysoka, jak przezwali mnie chłopcy.

– Wcale nie jesteś za wysoka – palnął Dunk. – Jesteś w sam raz...

Uświadomił sobie, czego o mały włos nie powiedział, i zaczerwienił się wściekle.

– W sam raz do czego? – zapytała Tanselle, unosząc z zaciekawieniem głowę.

– Do przedstawień kukielkowych – zakończył skrępowany.

* * *

Pierwszego dnia turnieju ranek był pogodny i bezchmurny. Dunk kupił cały worek prowiantu, mieli więc na śniadanie gęsie jaja, pieczony chleb i boczek. Gdy jednak posiłek był już gotowy, Dunk przekonał się, że opuścił go apetyt. Brzuch miał twardy jak skała, mimo że wiedział, iż dziś nie stanie w szranki. Prawo pierwszego wyzwania przypadnie szlachetniej urodzonym, sławniejszym rycerzom, lordom, ich synom oraz zwycięzcom z innych turniejów.

Jajo przez całe śniadanie gadał o tym i o owym na temat przybyłych na turniej konkurentów, rozważając ich szanse. „Wcale ze mnie nie żartował, kiedy powiedział, że zna wszystkich dobrych rycerzy w Siedmiu Królestwach” – pomyślał z przygnębieniem Dunk. Czuł się upokorzony, wsłuchując się z tak wielką uwagą w słowa chuderlawego sieroty, wiedza Jaja mogła mu się jednak przydać, gdyby musiał stawić czoło któremuś z tych ludzi.

Na łące kłębił się gęsty tłum. Wszyscy próbowali przepchnąć się bliżej, żeby lepiej widzieć. Dunk też potrafił robić łokciami, a do tego przerastał prawie wszystkich wzrostem. Zdołał dopchać się do wzniesienia odległego sześć jardów od płotu. Gdy Jajo poskarżył się, że widzi tylko tyłki stojących przed nim widzów, Dunk wziął chłopaka na barana. Ustawiona po drugiej stronie pola trybuna wypełniała się już szlachetnie urodzonymi lordami i damami. Siedziała tam też garstka bogatych mieszczan oraz około dwudziestu rycerzy, którzy postanowili nie stawać dziś w szranki. Dunk nigdzie nie widział księcia Maekara, poznał jednak księcia Baelora, który zasiadł u boku lorda Ashforda. Słońce odbijało się złotym blaskiem w zapince jego płaszcza oraz cienkim diademie, który miał na skroniach. Poza tym jednak księżę był ubrany znacznie skromniej niż większość obecnych lordów. „Z tymi ciemnymi włosami właściwie nie wygląda na Targaryena”. Dunk powiedział Jaju coś w tym sensie.

– Powiadają że jest podobny do matki – przypomniał mu chłopak. – Ona była dornijską księżniczką.

Pięciu mistrzów rozbiło swe namioty na północnym krańcu szranków, tuż nad rzeką. Dwa najmniejsze były pomarańczowe, a na obu wiszących przed nimi tarczach widniały białe słońce i szewron. Z pewnością należały do synów lorda Ashforda, Androwa i Roberta, braci pięknej panny. Dunk nigdy nie słyszał, by inni rycerze wychwalali ich biegłość w walce, co znaczyło, że zapewne odpadną pierwsi.

Dalej rozbito znacznie większy namiot ciemnozielonej barwy. Powiewała nad nim złota róża, herb Wysogrodu. Taki sam znak zdobił wielką zieloną tarczę stojącą przed wejściem.

– To Leo Tyrell, lord Wysogrodu – poinformował go Jajo.

– Wiem – burknął poirytowany Dunk. – Służyliśmy ze starym w Wysogrodzie, zanim jeszcze się urodziłeś. – Sam niewiele pamiętał z tego roku, ale ser Arian często mu opowiadał o Leo Długim Cierniu, jak niekiedy go zwano. Ponoć nikt nie mógł mu dorównać we

władaniu kopią, mimo że miał już srebro we włosach. – To na pewno będzie lord Leo, ten szczupły siwobrody mężczyzna w zielono-złotym stroju, stojący obok namiotu.

– Tak – zgodził się Jajo. – Widziałem go kiedyś w Królewskiej Przystani. Jemu lepiej nie rzucaj wyzwania, ser.

– Chłopcze, nie będziesz mi radził, komu mam rzucić wyzwanie.

Czwarty namiot zszyto z romboidalnych skrawków tkaniny, na przemian czerwonych i białych. Dunk nie znał tych barw, ale Jajo wyjaśnił mu, że należą one do rycerza z Doliny Arrynów, zwanego ser Humfreyem Hardyngiem.

– W zeszłym roku zwyciężył w wielkiej walce zbiorowej w Stawie Dziewic, ser. Powalił ser Donnela z Duskendale oraz lordów Arryna i Royce’a.

Ostatni namiot należał do księcia Valarra. Uszyto go z czarnego jedwabiu, a ostro zakończone szkarłatne proporce zwisające z jego szczytu wyglądały jak długie, czerwone jęczory ognia. Wystawiona przed nim tarcza była czarna i lśniąca, ozdobiona trójgłowym smokiem rodu Targaryenów. Przed namiotem pełnił straż jeden z rycerzy Gwardii Królewskiej. Jego biała zbroja ostro kontrastowała z czarną tkaniną. Dunk zadał sobie pytanie, czy którykolwiek z rzucających wyzwanie ośmieli się dotknąć smoczej tarczy. W końcu Valarr był wnukiem króla i synem Baelora Złamanej Włóczni.

Niepotrzebnie się o to martwił. Gdy zagrały rogi, by oznajmić rozpoczęcie turnieju, wszystkich pięciu obrońców pięknej panny wezwano na pole. Dunk słyszał szept podniecenia, który rozległ się w tłumie, kiedy na południowym krańcu pola pojawili się jeden po drugim rzucający wyzwanie rycerze. Heroldzi wykrzykiwali gromkimi głosami imię każdego z nich. Potem kandydaci zatrzymywali się przed trybuną i pochylali kopie w wyrazie hołdu dla lorda Ashforda, księcia Baelora oraz pięknej panny. Następnie udawali się na północny koniec pola, żeby wybrać dla siebie przeciwników. Siwy Lew z Casterly Rock uderzył w tarczę lorda Tyrella, a jego złotowłosego dziedzic, ser Tybolt Lannister, rzucił wyzwanie najstarszemu synowi lorda Ashforda. Lord Tully z Riverrun wybrał ozdobioną rombami tarczę ser Humfrefya Hardynga, ser Abelar Hightower uderzył w tarczę Valarra, natomiast młodszego Ashforda wyzwał ser Lionel Baratheon, zwany Roześmianą Burzą.

Potem rycerze wrócili klusem na południowy koniec pola, by tam czekać na swych rywali. Ser Abelar był odziany w płaszcz koloru srebra i dymu, a na tarczy miał kamienną wieżę strażniczą ukoronowaną płomieniami; obaj Lannisterowie spowici byli w czerwień i walczyli pod złotym lwem Casterly Rock; Roześmiana Burza lśnił blaskiem złotogłowiu, na jego piersi i tarczy pysznił się czarny jeleń, a hełm zdobiło jelenie poroże z żelaza; lord Tully miał płaszcz w niebiesko-czerwone paski, na obu barkach przytrzymywany srebrnymi zapinkami w kształcie pstrągów. Wszyscy wzniesli ku niebu długie na dwanaście stóp kopie. Ich proporczyki powiewały gwałtownie na porywistym wietrze.

Na północnym krańcu pola giermkowie trzymali okryte pięknymi zbrojami konie, których mieli dosiąść mistrzowie. Wszyscy oni mieli już hełmy, kopie i tarcze. Splendorem

dorównywali rywalom: wydęte na wietrze pomarańczowe jedwabie Ashfordów, czerwono-białe romby ser Humfrefya, lord Leo na swym białym rumaku z zielonym, atlasowym rzędem ozdobionym złotymi różami, i oczywiście Valarr Targaryen. Wierzchowiec Młodego Księcia był czarny jak noc, tak samo jak jego zbroja, kopia, tarcza i rząd. Na szczycie hełmu przycupnął trójgłowy smok o rozpostartych skrzydłach, lśniący blaskiem ciemnoczerwonej emalii. Jego bliźniacze odbicie wymalowano na lśniącej, czarnej powierzchni tarczy. Każdy z obrońców otoczył sobie ramię pasemkiem pomarańczowego jedwabiu, wstążką pięknej panny.

Gdy mistrzowie wyjechali klusem na pozycje, Łąki Ashford zastygły w niemal całkowitym bezruchu. Potem zabrzmiał róg i w pół uderzenia serca spokój przerodził się w dziki tumult. Dziesięć par połączonych ostróg wbiło się w boki dziesięciu potężnych rumaków, tysiąc głosów zakrzyknęło donośnie, czterdzieści podkutych kopyt uderzyło o trawę, dziesięć kopii pochyliło się i znieruchomiło. Wydawało się, że całe pole się zatrzęsło, gdy obrońcy i ich przeciwnicy starli się ze sobą z trzaskiem drewna i stali. Jeźdźcy wyminęli się w jednej chwili i zawrócili do ponownego starcia. Lord Tully zachwiał się w siodle, ale zdołał się w nim utrzymać. Gdy widzowie zdali sobie sprawę, że wszystkie dziesięć kopii się złamało, rozległ się głośny ryk aprobaty. To był wspaniały omen, zapowiadający sukces turnieju, a także świadectwo umiejętności walczących.

Giermkowie podali rycerzom nowe kopie, by zastąpić skruszone, które odrzucono na bok. Ostrogi ponownie wbiły się w końskie ciała. Dunk czuł, jak ziemia trzęsie się pod podszwami jego stóp. Siedzący mu na ramionach Jajo krzyczał radośnie, wymachując cienkimi rączkami. Młody Książę przemknął tuż obok nich. Dunk zauważył, jak końcówka czarnej kopii pocałowała wieżę strażniczą na tarczy rywala, a potem ześliznęła się i uderzyła prosto w jego pierś. Kopia ser Abelara rozsypała się w drzazgi po uderzeniu o napierśnik Valarra. Siwy ogier w rzędzie barwy srebra i dymu stanął dęba na skutek siły uderzenia. Wyrzucony ze strzemion ser Abelar Hightower zwałił się gwałtownie na ziemię.

Lord Tully również leżał wysadzony z siodła przez ser Humfrefya Hardynga, lecz bezzwłocznie zerwał się na nogi, wyciągając miecz. Ser Humfrefy odrzucił kopie – która nie została złamana – i zsiadł z konia, by walczyć dalej na piechotę. Ser Abelar nie był aż tak dziarski. Giermek podbiegł do niego, zdjął mu hełm i zawołał o pomoc. Dwaj słudzy podnieśli oszołomionego rycerza za ramiona, by pomóc mu wrócić do namiotu. Sześciu walczących, którzy pozostali jeszcze w siodłach, zaczęło trzeci przejazd. Pękły kolejne kopie. Tym razem lord Leo Tyrell wycelował swoją tak dokładnie, że zerwał Siwemu Lwu hełm z głowy. Pozbawiony osłony lord Casterly Rock uniósł rękę w salucie i zsiadł z konia, uznając się za pokonanego. Tymczasem ser Humfrefy zmusił już lorda Tully'ego do kapitulacji. Okazało się, że władza mieczem równie biegle jak kopią.

Tybolt Lannister i Androw Ashford ruszali na siebie jeszcze trzykrotnie, aż wreszcie ser Androw stracił tarczę, zwałił się z konia i został pokonany. Młodszy Ashford bronił się

dłużej, krusząc aż dziewięć kopii w walce z ser Lyonelem Baratheonem, Roześmianą Burzą. Podczas dziesiątego przejazdu obaj rycerze zostali wysadzeni z siodła, lecz podnieśli się natychmiast i kontynuowali walkę na piechotę, miecz przeciw buzdyganowi. W końcu poobijany ser Robert Ashford uznał się za pokonanego. Jego siedzący na trybunie ojciec nie miał jednak zbyt zmartwionej miny. Co prawda, obaj jego synowie wypadli z szeregów mistrzów, ale sprawili się dzielnie w walce z dwoma rycerzami, którzy należeli do najlepszych w Siedmiu Królestwach.

„Ale ja muszę sprawić się jeszcze lepiej” – pomyślał Dunk, przyglądając się, jak zwycięzca i pokonany padli sobie w objęcia i zeszli razem z pola. „Nie wystarczy, że będę walczył dobrze i przegram. Muszę zwyciężyć przynajmniej w pierwszej walce, bo inaczej stracę wszystko”.

Ser Tybolt Lannister i Roześmiana Burza mieli teraz zająć miejsce wśród mistrzów, zastępując tych, których pokonali. Zwijano już pomarańczowe namioty. Kilka stóp dalej Młody Książę siedział swobodnie na składanym krześle obozowym przed swym wielkim, czarnym namiotem. Zdjął hełm. Miał ciemne włosy, tak jak ojciec, ale biegła przez nie jasna smużka. Służący przyniósł mu puchar i książę pociągnął z niego łyk. „Jeśli jest rozsądny, to woda” – pomyślał Dunk. „A wino, jeśli taki nie jest”. Zadał sobie pytanie, czy Valarr rzeczywiście odziedziczył część biegleści ojca, czy też po prostu los przydzielił mu najsłabszego przeciwnika.

Fanfary oznajmiły, że w szranki wstąpili trzej kolejni zawodnicy. Heroldzi ogłosili ich imiona.

– Ser Pearse z rodu Caronów, lord Pogranicza.

Tarczę rycerza zdobiła srebrna harfa, choć opończę miał wyszywaną w słowiki.

– Ser Joseth z rodu Mallisterów, z Seagardu.

Ser Joseth miał skrzydlaty hełm, a na jego tarczy widniał srebrny orzeł, lecący na tle nieba barwy indygo.

– Ser Gawen z rodu Swannów, lord Stonehelm z Przylądka Gniewu.

Na jego tarczy walczyły ze sobą zaciekle dwa łabędzie, jeden czarny, a drugi biały. Płaszcz, zbroję i rząd konia lorda Gawena również pokrywały plamy czerni i bieli, łącznie z paskami na pochwie miecza i kopii.

Lord Caron, sławny harfiarz, minstrel i rycerz, dotknął czubkiem swej kopii róży lorda Tyrella. Ser Joseth stuknął kopią w romby ser Humfrefya Hardynga. Czarno-biały rycerz, lord Gawen Swann, wyzwał czarnego rycerza, którego strzegł biały strażnik. Dunk potarł podbródek. Lord Gawen był jeszcze starszy od starego, a stary już nie żył.

– Jajo, który z tych kandydatów jest najmniej groźny? – zapytał siedzącego na jego ramionach chłopca, który wydawał się wiedzieć bardzo dużo o wszystkich tych rycerzach.

– Lord Gawen – odpowiedział natychmiast malec. – Rywal Valarra.

– Księcia Valarra – poprawił go Dunk. – Giermek musi wystawiać się uprzejmie, chłopcze.

Trzej nowi kandydaci zajęli miejsca w szrankach, a trzej mistrzowie dosiedli koni. Widzowie zawierali zakłady i wykrzykiwali słowa zachęty pod adresem swych faworytów, ale Dunk patrzył tylko na księcia. Za pierwszym razem Valarr trafił z ukosa w tarczę ser Gawena. Stępiony czubek kopii ześliznął się w bok, tak jak podczas walki z ser Abelarem Hightowerem, ale tym razem odbił się w drugą stronę, w pustkę. Kopia lorda Gawena złamała się na piersi księcia. Przez chwilę wydawało się, że Valarr spadnie na ziemię, zdołał jednak utrzymać się w siodle.

Podczas drugiego przejazdu Valarr skierował lancę w lewo, celując w pierś rywala, lecz trafił go tylko w bark. Ten cios jednak wystarczył, by starszy rycerz wypuścił kopię. Lord Gawen zamachał rozpaczliwie jedną ręką, próbując odzyskać równowagę, a potem runął na ziemię. Młody Książę zeskoczył z siodła i wyciągnął miecz, ale leżący machnął ręką unosząc zasłonę hełmu.

– Poddaję się, Wasza Miłość! – zawołał. – Dobra walka.

– Dobra walka! Dobra walka! – powtórzyli za nim echem lordowie na trybunie. Valarr uklęknął, by pomóc siwowłosemu lordowi wstać.

– Wcale nie była dobra – poskarżył się Jajo.

– Siedz cicho albo wrócisz do obozu.

Nieco dalej z pola znoszono nieprzytomnego ser Josetha Mallistera, a lord od harfy i lord od róży okładali się z zapalem stępionymi toporami, ku zachwytowi ryczącego głośno tłumu. Dunk tak mocno się skupił na Valarze Targaryenie, że prawie w ogóle ich nie widział. „Jest niezłym rycerzem, ale wcale nie nadzwyczajnym” – myślał. „Miałbym z nim szansę. Jeśli bogowie będą łaskawi, może nawet uda mi się go wysadzić z siodła, a gdy znajdziemy się na ziemi, mój ciężar i siła rozstrzygną sprawę”.

– Załatw go! – wrzasnął radośnie Jajo, przesuając się w swym podnieceniu na ramionach Dunka. – Załatw go! Wal go! Tak! Jest tutaj, jest tutaj!

Wydawało się, że chłopak dopinguje lorda Carona. Harfiarz grał teraz inną muzykę, spychając lorda Leo do tyłu przy akompaniamencie stali dźwięczącej o stal. Tłum wydawał się mniej więcej równo podzielony na zwolenników obu walczących i radosne okrzyki oraz przekleństwa mieszały się ze sobą swobodnie w porannym powietrzu. Z tarczy lorda Leo sypały się odpryski drewna i farby, gdy lord Pearse obtłukiwał kolejno wszystkie płatki złotej róży. Wreszcie tarcza pękła i rozszczępiła się na dwoje. Głownia topora ugrzęzła jednak w drewnie... i w tej samej chwili topór lorda Leo uderzył w rękojeść broni rywala, łamiąc ją w odległości niespełna stopy od jego dłoni. Tyrell odrzucił pękniętą tarczę i nagle to on przeszedł do ataku. Wkrótce harfiarz klęczał już na jednym kolanie, śpiewając pieśń poddania.

Reszta poranka i większa część popołudnia wyglądała mniej więcej tak samo. Kolejni zawodnicy wyjeżdżali na pole dwójkami i trójkami, a czasami również piątkami. Grały trąby, heroldzi wykrzykiwali imiona, rumaki ruszały do szarży, tłum zagrzewał walczących do boju, kopie pękały jak gałązki, a miecze uderzały z brzękiem o hełmy i zbroje. Zarówno prostaczkowie, jak i wielcy lordowie zgadzali się, że był to bardzo udany dzień. Ser Humfrey Hardyng i ser Humfrey Beesbury, młody, śmiały rycerz w opończy w czarno-żółte paski, który miał na tarczy trzy ule, skruszyli nie mniej niż po tuzinie kopii w epickiej walce, którą pospólstwo wkrótce przezwąło „bitwą Humfreyów”. Ser Tybolt Lannister został wysadzony z konia przez ser Jona Penrose’a i złamał swój miecz podczas upadku, ale walczył dalej samą tarczą, zwyciężył i utrzymał pozycję mistrza. Jednooki ser Robyn Rhysling, stary, posiwiaty rycerz z czarną upstrzoną pasmami siwizny brodą stracił hełm po uderzeniu kopią lorda Leo już przy pierwszym przejeździe, ale nie chciał się poddać. Obaj rycerze ruszali przeciwko sobie jeszcze trzykrotnie. Włosy ser Robyna powiewały na wietrze, a drzazgi połamanych kopii przemykały obok jego nieosłoniętej twarzy niczym drewniane noże. Dunk zadziwił się jeszcze bardziej, gdy Jajo powiedział mu, że ser Robyn przed niespełna pięciu laty stracił oko właśnie wskutek uderzenia takim odłamkiem. Leo Tyrell był zbyt rycerski, by celować w pozbawioną osłony głowę rywala, lecz mimo to Dunk był zdumiony upartą odwagą (czy może szaleństwem?) Rhyslinga. Wreszcie lord Wysogrodu trafił z głośnym łoskotem w napierśnik przeciwnika tuż nad sercem i ser Robyn zwałił się na ziemię.

Ser Lionel Baratheon również stoczył kilka godnych uwagi walk. W starciach z mniej groźnymi rywalami często wybuchał gromkim śmiechem, gdy tylko dotknęli jego tarczy, i nie przestawał się śmiać, kiedy dosiadał konia, ruszał do szarży i wysadzał ich ze strzemion. Jeśli przeciwnicy mieli na hełmach grzebienie, ser Lionel strącał im je z głów i rzucał nimi w tłum. Ozdoby te zwykle robiono z drewna lub ze skóry, lecz czasami były one pozłacane i pokryte emalią lub nawet kute z czystego srebra. Dlatego pokonanym ten zwyczaj ser Lyonela nie podobał się zbyt, choć czynił go on ulubieńcem gapiów. Wkrótce wyzywali go już tylko rycerze z gładkimi hełmami. Choć jednak ser Lionel wiele walk kwitował gromkim śmiechem, Dunk uważał, że laur najlepszego powinien dziś przypaść ser Humfreyowi Hardyngowi, który upokorzył czternastu rycerzy, bez wyjątku znamienitych.

Tymczasem Młody Książę siedział przed swym namiotem, popijając coś ze srebrnego pucharu. Od czasu do czasu podnosił się i dosiadał konia, by zwyciężyć kolejnego słabowitego rywala. Odnosił dziewięć zwycięstw, ale Dunk miał wrażenie, że są one mało warte. „Pokonał starszków i przedwcześnie pasowanych giermków, a także paru wysoko urodzonych, lecz niewiele umięjących lordów. Naprawdę groźni rycerze omijają jego tarczę, jakby jej nie widzieli”.

Późnym popołudniem głośne fanfary oznajmiły wstąpienie w szranki kolejnego rycerza. Dosiadał on wielkiego, rdzawokasztanowatego rumaka, którego czarną zbroję przeszywały szczeliny, odsłaniające żółtą, czerwoną i pomarańczową tkaninę. Gdy nowy zawodnik

podjechał do trybuny i oddał honory, Dunk zobaczył twarz pod uniesioną zasłoną i poznał księcia, którego spotkał w stajniach lorda Ashforda.

Jajo zacisnął nagle nogi na jego szyi.

– Przestań – warknął Dunk, rozchylając je siłą. – Chcesz mnie udusić?

– Książę Aerion Jasny Płomień! – zawołał herold. – Z Czerwonej Twierdzy w Królewskiej Przystani, syn Maekara, księcia Summerhall z rodu Targaryenów, wnuk Daerona Dobrego, Drugiego Tego Imienia, króla Andalów, Rhoynarów i Pierwszych Ludzi, władcy Siedmiu Królestw.

Aerion miał na tarczy trójgłowego smoka, którego jednak wyobrażono w kolorach jaskrawszych niż godło Valarra. Jedna głowa była pomarańczowa, druga żółta, a trzecia czerwona, buchający z paszcz ogień miał zaś połysk złotego liścia. Wzór na opończy księcia przypominał skłębiony dym pomieszany z płomieniami, a pocerniany hełm zdobił grzebień w kształcie czerwonych, emaliowanych języków ognia.

Aerion zatrzymał się, by pochylić kopię przed księciem Baelorem, na chwilę tak krótką że wyglądało to niemal lekceważąco, po czym popędził cwałem na północny koniec pola, mijając namioty lorda Leo i Roześmianej Burzy. Zwolnił dopiero wtedy, gdy dotarł do namiotu księcia Valarra. Młody Książę podniósł się i stanął sztywno za swoją tarczą. Przez chwilę Dunk był pewien, że Aerion zamierza w nią uderzyć... on jednak roześmiał się tylko i pojechał kłusem dalej, stukając mocno czubkiem kopii w pokrytą rombami tarczę Humfrefya Hardynga.

– Wychodź, wychodź, mały rycerzu – zaśpiewał czystym, donośnym głosem. – Pora się zmierzyć ze smokiem.

Gdy wyprowadzono jego rumaka, ser Humfrefy pokłonił się sztywno swemu rywalowi, lecz potem ignorował go całkowicie. Dosiadł konia, umocował hełm, wziął kopię i tarczę. Gdy obaj rycerze zajęli pozycje, widzowie umilkli. Dunk usłyszał brzdęk opuszczanej zasłony hełmu księcia Aeriona. Zagrał róg.

Ser Humfrefy ruszył naprzód powoli, stopniowo nabierając szybkości, lecz jego przeciwnik mocno spiął rdzawokasztanowatego rumaka ostrogami. Jajo znowu zacisnął nogi.

– Zabij go! – zawołał nagle. – Zabij go, tu go masz, zabij go, zabij, zabij!

Dunk nie był pewien, do którego z rycerzy krzyczy chłopak.

Kopia księcia Aeriona, o złotym czubku, pomalowana w czerwone, pomarańczowe i żółte paski, opuściła się nagle. „Za nisko” – pomyślał Dunk na ten widok. „W ten sposób nie trafi w ser Humfrefya, ale w jego konia. Musi ją unieść wyżej”. Wtem ogarnęło go przerażenie. Zaczął podejrzewać, że Aerion nie zamierza uczynić nic w tym rodzaju. „Z pewnością nie chce...”.

W ostatniej chwili ogier ser Humfrefya wybałuszył oczy z przerażenia i stanął dęba, próbując umknąć przed wymierzoną weń bronią, było już jednak za późno. Kopia Aeriona trafiła zwierzę tuż nad osłaniającą mostek zbroją i wyszła na zewnątrz z drugiej strony szyi.

Trysnęła fontanna krwi. Koń zwałił się na bok z głośnym kwikiem, rozbijając na kawałki drewnianą barierkę. Ser Humfrey próbował zeskoczyć na ziemię, lecz stopa uwięzła mu w strzemieniu. Rycerz krzyknął z bólu, gdy jego noga znalazła się między barierką i padającym rumakiem.

Łąki Ashford wypełniły głośnie krzyki. Ludzie wbiegli na pole, by uwolnić ser Humfrefya, ale konający w straszliwym bólu ogier próbował ich kopać, gdy się zbliżali. Aerion beztrzesko ominął krwawiące zwierzę, pomknął do końca szranków, zawrócił konia i pocwałował z powrotem. On również coś krzyczał, lecz Dunk nie rozumiał słów, gdyż zagłuszał je niemal ludzki głos konającego rumaka. Aerion zeskoczył z siodła, wyciągnął miecz i ruszył na leżącego na ziemi rywala. Musieli go odciągać jego własni giermkowie, wspierani przez jednego z giermków ser Humfrefya. Jajo poruszył się niespokojnie na ramionach Dunka.

– Zsadź mnie – poprosił chłopiec. – Biedny koń. Zsadź mnie.

Dunka również dopadły mdłości. „Co bym począł, gdyby taki los spotkał Groma?”. Halabardnik dobił ogiera ser Humfrefya, kładąc kres przerażającym kwikom. Dunk odwrócił się i przepchnął przez tłum. Po wyjściu na otwartą przestrzeń zdjął Jajo z ramion. Kaptur opadł chłopakowi na plecy. Mały miał zupełnie czerwone oczy.

– Ehe, to okropny widok – powiedział mu Dunk – ale giermek musi być silny. Obawiam się, że na innych turniejach zobaczysz gorsze wypadki.

– To nie był wypadek – sprzeciwił się Jajo z drzeniem ust. – Aerion zrobił to celowo. Sam widziałeś.

Dunk zmarszczył brwi. Sam również odniósł podobne wrażenie, trudno mu jednak było uwierzyć, by jakikolwiek rycerz mógł postąpić tak niegodnie, a już zwłaszcza taki, w którego żyłach płynęła krew smoka.

– Widziałem zielonego jak letnia trawa rycerza, który stracił panowanie nad kopią – upierał się – i nie chcę już więcej o tym słyszeć. Na dziś chyba koniec turnieju. Chodźmy, chłopcze.

* * *

Dunk miał rację. Rzeczywiście była to ostatnia walka. Gdy posprzątało bałagan, słońce wisiało już nisko na zachodzie i lord Ashford zarządził przerwę.

Na łąkę wypełzły wieczorne cienie i na alei straganów zapalono setkę pochodni. Dunk kupił róg *ale* dla siebie i połowę rogu dla chłopca, żeby poprawić mu nastrój. Przez pewien czas kręcili się po polu. Wysłuchali żwawej melodii, granej na bębnach i piszczałkach, a potem obejrzeni przedstawienie kukielkowe o Nymerii, królowej-wojownicze i jej dziesięciu tysiącach okrętów. Lalkarki miały tylko dwa okręty, lecz mimo to zdołały odegrać wspaniałą bitwę morską. Dunk chciał zapytać Tanselle, czy już pomalowała mu tarczę, widział jednak,

że dziewczyna jest zajęta. „Zaczekam, aż zapadnie noc i będzie wolna” – postanowił. „Może poczuje się spragniona”.

– Ser Duncanie! – zawołał ktoś za jego plecami. – Ser Duncanie – rozległo się ponownie. Dunk uświadomił sobie nagle, że chodzi o niego. – Widziałem cię dziś między prostaczkami – oznajmił Raymun Fossoway, uśmiechając się szeroko. – Trudno byłoby was obu nie zauważyć.

– Chłopak jest moim giermkim. Jajo, to jest Raymun Fossoway.

Dunk musiał popchnąć chłopaka do przodu, a i tak Jajo opuścił głowę i, mamrocząc słowa przywitania, wlepił wzrok w buty Raymuna.

– Miło cię poznać, chłopcze – rzucił swobodnym tonem Fossoway. – Ser Duncanie, czemu nie przyszedłeś na galerię? Wszyscy rycerze mają tam prawo wstępu.

Dunk czuł się swobodnie między prostaczkami i służącymi. Na myśl o zajęciu miejsca pośród lordów, dam i rycerzy na włościach ogarnęło go skrepowanie.

– Tej ostatniej walki wolałbym z bliska nie oglądać.

Raymun skrzywił się.

– Ja również. Lord Ashford ogłosił ser Humfrefya zwycięzcą i przyznał mu w nagrodę rumaka księcia Aeriona, ale biedak i tak nie będzie już mógł walczyć. Złamał sobie nogę w dwóch miejscach. Książę Baelor przysłał mu własnego maestra.

– Czy miejsce ser Humfrefya zajmie inny mistrz?

– Lord Ashford chciał przyznać to miejsce lordowi Caronowi albo może drugiemu Humfrefyowi, temu, który tak wspaniale walczył z Hardyngiem, ale książę Baelor przekonał go, że w tej sytuacji nie godziłoby się usuwać z pola tarczy i namiotu ser Humfrefya. Sądzę, że od tej chwili turniej będzie miał tylko czterech mistrzów.

„Czterech” – pomyślał Dunk. „Leo Tyrell, Lyonel Baratheon, Tybolt Lannister i książę Valarr”. Zobaczył pierwszego dnia wystarczająco wiele, by wiedzieć, jak niewielkie szanse miałby w starciu z pierwszymi trzema. Został mu tylko...

„Wędrowny rycerz nie może wyzwąć księcia. Valarr jest drugi w linii sukcesji do Żelaznego Tronu. To syn Baelora Złamanej Włóczni, w jego żyłach płynie krew Aegona Zdobywcy, Młodego Smoka i księcia Aemona Smoczego Rycerza. Ja jestem tylko przybłądą którego stary znalazł za garkuchnią w Zapchlonym Tyłku”.

Głowa go rozbolała od samego myślenia o tym.

– Kogo chce wyzwąć twój kuzyn? – zapytał Raymuna.

– Ser Tybolta, jeśli nic się nie zmieni. To najodpowiedniejszy przeciwnik dla niego. Ale Steffon uważnie obserwuje wszystkie walki. Gdyby ktoś został jutro ranny albo okazał słabość bądź zmęczenie, możesz być pewien, że mój kuzyn natychmiast uderzy w jego tarczę. Nikt go nigdy nie oskarżył o nadmiar rycerskości. – Roześmiał się, jakby chciał złagodzić wymowę swych słów. – Ser Duncanie, czy wypijesz ze mną kielich wina?

– Mam pilną sprawę – odparł Dunk, skrepowany myślą o przyjęciu poczęstunku, za który nie będzie się mógł odwdziaczyć.

– Mogę tu poczekać – zaproponował Jajo. – Przyniosę ci tarczę, kiedy przedstawienie się skończy. Mają jeszcze pokazać Symeona Gwiazdnookiego, a potem znowu walkę ze smokiem.

– No widzisz, twoja sprawa załatwiona – stwierdził Raymun. – Wino czeka. I to z Arbor. Jak możesz mi odmówić?

Dunkowi zabrakło wymówek. Nie widząc innego wyboru, poszedł za Raymunem, zostawiając Jajo przy szopie lalkarzy. Nad złotym namiotem, który Raymun dzielił ze swym kuzynem, powiewała chorągiew z jabłkiem rodu Fossowayów. Z tyłu dwóch służących piekło nad małym ogniskiem kozę, polewając ją miodem z ziołami.

– Jeśli jesteś głodny, mamy też co jeść – rzucił niedbale Raymun, unosząc przed Dunkiem połę namiotu. Wnętrze oświetlały żarzące się w piecyku węgle, dzięki którym w namiocie panowało przyjemne ciepło. – Ponoć Aerion wściekł się na lorda Ashforda za to, że oddał jego rumaka ser Humfreyowi – dorzucił, nalewając trunek – ale idę o zakład, że to stryj księcia udzielił Ashfordowi takiej rady.

Wręczył kielich Dunkowi.

– Książę Baelor to człowiek honoru.

– A Jasny Książę nim nie jest? – Raymun wybuchnął śmiechem. – Nie obawiaj się, ser Duncanie, jesteśmy tu tylko my dwaj. To nie tajemnica, że Aerion jest wredną gnidą. Całe szczęście, że znajduje się dość daleko w linii sukcesji.

– Naprawdę wierzysz, że celowo zabił tego konia?

– Czy można w to wątpić? Zapewniam cię, że gdyby książę Maekar był obecny, sprawy wyglądałyby inaczej. Jeśli wierzyć opowieściom, to gdy ojciec jest w pobliżu, Aerion jest pełnym uśmiechów wzorem rycerskości, ale kiedy go nie ma...

– Zauważyłem, że krzesło księcia Maekara było puste.

– Opuścił Ashford, by poszukać swych synów, razem z Ronaldem Crakehallem z Gwardii Królewskiej. Krążą szalone opowieści o grasujących w okolicy rycerzach-rabusiach, ale idę o zakład, że młody książę po prostu znowu się schlał.

Wino było znakomite, miało owocowy posmak. Dunk nigdy w życiu nie pił lepszego. Wyplukał nim usta, zanim przełknął pierwszy łyk.

– O którym księciu mówisz?

– O dziedzicu Maekara. Dano mu na imię Daeron, na cześć króla. Zwał go Daeronem Pijanym, choć tylko wtedy, gdy ojciec nie słyszy. Był z nim też najmłodszy chłopak. Opuścili razem Summerhall, ale nie dotarli do Ashford. – Raymun osuszył kielich i odstawił go na bok. – Biedny Maekar.

– Biedny? – zdumiał się Dunk. – Jest królewskim synem!

– Czwartym synem – wskazał Raymun. – Nie jest tak śmiały, jak książe Baelor, tak bystry, jak książe Aerys, ani tak łagodny, jak książe Rhaegel. A teraz cierpi jeszcze bardziej, widząc, jak synowie brata przyćmiewają jego synów. Daeron to moczymorda, Aerion jest próżny i okrutny, trzeci syn był tak mało obiecujący, że odesłali go do Cytadeli, żeby się wykształcił na maestera, a najmłodszy...

– Ser! Ser Duncanie! – Do namiotu wpadł zdyszany Jajo. Kaptur mu się zsunął, a wielkie, ciemne oczy lśniły w blasku ognia. – Biegnij, szybko biegnij! On chce ją skrzywdzić!

Zdziwiony Dunk podniósł się ciężko.

– Skrzywdzić? Kto?

– Aerion! – krzyknął chłopiec. – On ją krzywdzi. Dziewczynę od lalek. Szybko!

Odwrócił się i popędził z powrotem w noc.

Dunk ruszył za nim, lecz Raymun złapał go za ramię.

– Ser Duncanie, on powiedział „Aerion”. To książe krwi. Bądź ostrożny.

Dunk wiedział, że to rozsądna rada. Stary powiedziałby mu to samo. Nie mógł jej jednak posłuchać. Wyrwał się Raymunowi i wypadł z namiotu. Od strony straganów dobiegały krzyki. Jajo już niemal zniknął mu z oczu. Dunk pognął za nim. Miał znacznie dłuższe nogi od chłopaka i wkrótce go dogonił.

Stragan lalkarzy zwartym murem otaczali gapie. Dunk przepchnął się przez tłum, ignorując przekleństwa. Zbrojny w królewskich barwach spróbował zastąpić mu drogę, lecz Dunk złapał go wielką łapą za pierś i popchnął z całej siły. Mężczyzna zatoczył się do tyłu i zwałił na siedzenie.

Szopę przewrócono na bok. Gruba Dornijka leżała na ziemi i płakała. Jeden zbrojny unosił wysoko marionetki Floriana i Jonquil, a drugi podpalał je pochodnią. Trzej inni mężczyźni otwierali skrzynie, wysypując kolejne lalki na ziemię i depcząc je. Kawałki smoka walały się wokół nich, tu złamane skrzydło, ówdzie głowa, w jeszcze innym miejscu trzy fragmenty ogona. Pośrodku tego wszystkiego stał książe Aerion we wspaniałym wamsie z czerwonego aksamitu, z długimi, rozciętymi rękawami. Wykręcał rękę Tanselle, trzymając ją w obu dłoniach. Dziewczyna padła na kolana, błagając go o łaskę, lecz Aerion ignorował jej słowa. Otworzył dłoń Tanselle i złapał jeden z palców. Dunk zatrzymał się jak głupi, nie wierząc własnym oczom. Potem rozległ się trzask i dziewczyna krzyknęła.

Jeden z ludzi Aeriona próbował powstrzymać Dunka, ale ten cisnął nim na bok. Trzy długie kroki i młodzieniec złapał księcia za ramię. Następnie odwrócił go brutalnie. Zapomniał o mieczu i sztylcie, o wszystkim, czego uczył go stary. Jednym uderzeniem pięści zwałił Aeriona z nóg, po czym kopnął go szpicem buta w brzuch. Książe sięgnął po nóż, lecz Dunk nadepnął mu na nadgarstek i kopnął go raz jeszcze, prosto w usta. Mógłby go wtedy skatować na śmierć, ale ludzie księżątka rzucili się na niego. Dwóch unieruchomiło mu ramiona, a trzeci skoczył na plecy. Gdy tylko wyrwał się jednemu z nich, zaatakowało go dwóch następnych.

W końcu zdołali obalić Dunka na ziemię, trzymając go za ręce i nogi. Z ust księcia płynęła krew. Wsadził sobie do nich palec.

– Obruszyłeś mi ząb – poskarżył się – więc na początek wybijemy ci wszystkie. – Odgarnął sobie włosy z oczu. – Skądś cię znam.

– Wziąłeś mnie za chłopca stajennego.

Aerion rozciągnął w uśmiechu okrwawione usta.

– Pamiętam. Nie chciałeś się zająć moim koniem. Po co zaprzepaściłeś życie? Dla tej kurwy? – Tanselle leżała zwinięta na ziemi, ściskając okaleczoną dłoń. Aerion trącił ją czubkiem buta. – Nie jest tego warta. To zdrajczynie. Smok nigdy nie powinien przegrywać.

„Jest obłąkany – pomyślał Dunk – ale to syn księcia i zamierza mnie zabić”. Mógłby odmówić modlitwę, gdyby znał ją do końca, ale nie było na to czasu. Właściwie nie miał nawet czasu się bać.

– Nie masz nic więcej do powiedzenia? – zapytał Aerion. – Nudzisz mnie, ser. – Raz jeszcze wsadził palec w okrwawione usta. – Weź młot i wybij mu wszystkie zęby, Wate – rozkazał. – Potem rozprujemy mu brzuch, żeby zobaczył kolor własnych trzewi.

– Nie! – rozległ się chłopięcy głos. – Zostawcie go!

„Bogowie bądźcie łaskawi, chłopiec, odważny, głupi chłopiec” – pomyślał Dunk. Spróbował się wyrwać przytrzymującym go mężczyznom, lecz nadaremnie.

– Trzymaj język za zębami, głupi chłopcze! Uciekaj, bo zrobią ci krzywdę!

– Nie zrobią. – Jajo podszedł bliżej. – Bo inaczej odpowiedzą przed moim ojcem. I przed stryjem też. Puście go. Wate, Yorkel, znacie mnie. Róbcie, co wam każę.

Dłonie trzymające go za lewe ramię cofnęły się, a w ślad za nimi następne. Dunk nie rozumiał, co się dzieje. Zbrojni odsunęli się. Jeden nawet padł na kolana. Potem tłum rozstał się i pojawił się Raymun Fossoway. Wdział kolczugę i hełm, a dłoń trzymał na rękojeści miecza. Jego kuzyn, ser Steffon, który szedł tuż za nim, wyciągnął już broń. Towarzyszyło im sześciu zbrojnych z czerwonym jabłkiem wyszytym na piersiach.

Księżę Aerion nie zwracał na nich uwagi.

– Ty bezczelny bachorze – warknął do Jaja, spluwając krwią pod jego stopy. – Co się stało z twoimi włosami?

– Ściąłem je, bracie – odparł chłopiec. – Nie chciałem być podobny do ciebie.

* * *

Drugiego dnia turnieju niebo było zachmurzone, a z zachodu dął porywisty wiatr. „Przy takiej pogodzie tłumy na pewno będą mniejsze” – pomyślał Dunk. Łatwiej byłoby im znaleźć miejsce przy płocie, by móc przyglądać się walkom z bliska. „Jajo mógłby sobie usiąść na poręczu, a ja stałbym za nim”.

Jajo jednak z pewnością siedział teraz wygodnie na trybunie, odziany w jedwabie i futra, a Dunk oglądał tylko cztery ściany celi w wieży, w której zamknęli go ludzie lorda Ashforda. Było tu okienko, ale wychodziło na niewłaściwą stronę. Mimo to gdy wzeszło słońce, Dunk wepchnął się na ławeczkę w oknie wykuszowym i wyglądał z przygnębieniem na miasteczko, pole oraz las. Zabrali mu konopny pas do miecza, razem z samym mieczem i sztyletem, a także całe srebro. Miał nadzieję, że Jajo albo Raymun będą pamiętać o Kasztance i Gromie.

– Jajo – mruknął cicho pod nosem. Jego giermek, biedny ulicznik z Królewskiej Przystani. Czy był kiedyś rycerz, który zrobił z siebie większego durnia? „Dunk Przygłup, tępy jak buzdygan i powolny w myśleniu jak tur”.

Od chwili, gdy żołnierze lorda Ashforda zabrali ich wszystkich spod straganu lalkarzy, nie pozwolono mu porozmawiać z Jajem. Ani z Raymunem, Tanselle czy z kimkolwiek innym, nawet z samym lordem Ashfordem. Zastanawiał się, czy jeszcze kogoś z nich zobaczy. Równie dobrze mogli go trzymać w tej ciasnej celi aż do śmierci. „A czego się spodziewałem?” – zapytał sam siebie z goryczą. „Uderzyłem syna księcia, a potem kopnąłem go w twarz”.

Pod szarym niebem piękne, powłóczyście szaty szlachetnie urodzonych lordów oraz wielkich rycerzy nie będą już wyglądały tak wspaniale jak wczoraj. Ukryte za chmurami słońce nie obdarzy ich stalowych hełmów swym blaskiem, a złote i srebrne ozdoby zbroi nie będą się jarzyły radośnie. Mimo to Dunk żałował, że nie może oglądać turnieju razem z tłumem. To będzie dobry dzień dla wędrownych rycerzy, dla ludzi w prostych zbrojach, dosiadających pozbawionych czapraków koni.

Dobrze, że chociaż coś słyszał. Do jego celi docierały dźwięki rogów, a od czasu do czasu również ryk tłumu, mówiący mu, że ktoś właśnie padł, wstał albo dokonał jakiegoś szczególnie śmiałego czynu. Uszu Dunka dobiegał także słaby tętent kopyt, a z rzadka brzęk mieczy albo trzask pękającej kopii. Gdy słyszał ten ostatni dźwięk, zawsze krzywił się boleśnie, gdyż przypominał mu on chrzęst, który rozległ się, gdy Aerion złamał palec Tanselle. Słysząc też było inne, bliższe dźwięki: stukot kroków w korytarzu pod drzwiami celi, tętent kopyt na dziedzińcu, krzyki i głosy ludzi stojących na murach zamku. Czasami nawet zagłuszały one odgłosy turnieju. Młodzieniec doszedł do wniosku, że tak pewnie jest lepiej.

– Wędrowny rycerz jest najprawdziwszym rycerzem, Dunk – powiedział mu kiedyś, dawno temu stary. – Inni rycerze służą lordom, którzy troszczą się o ich utrzymanie albo którzy nadali im ziemię, my zaś służymy tylko tym, którym pragniemy służyć, tym, w których sprawę wierzymy. Każdy rycerz ślubuje, że będzie bronił słabych i niewinnych, ale uważam, że to my najwierniej przestrzegamy tej przysięgi.

To dziwne, jak świeże wydało mu się nagle owo wspomnienie. Dunk zdążył już niemal zapomnieć o tych słowach. Być może pod koniec stary również o nich zapomniał.

Wreszcie ranek przeszedł w popołudnie. Odległe odgłosy turnieju ucichły stopniowo. Celę powoli wypełniał mrok, lecz Dunk nadal siedział na ławeczce w oknie wykuszowym, wpatrując się w gęstniejącą ciemność i starając się zapomnieć o pustce w brzuchu.

Wtem usłyszał kroki i brzęk żelaznych kluczy. Wyprostował się i wstał. Drzwi się otworzyły i do środka weszło dwóch strażników. Jeden z nich niósł lampę oliwną. Za nimi szedł służący z tacą zastawioną jedzeniem, a z tyłu Jajo.

– Postawcie lampę i tacę na podłodze i wyjdźcie – rozkazał im chłopiec.

Wykonali polecenie, choć Dunk zauważył, że zostawili ciężkie, drewniane drzwi niedomknięte. Gdy poczuł zapach jedzenia, uświadomił sobie, że jest głodny jak wilk. Był tam ciepły chleb z miodem, miska przecieru z grochu, nadziane na rożen pieczone cebule oraz kawałki przypalonego mięsa. Usiadł obok tacy, rozerwał chleb rękami i wsadził sobie spory kęs do ust.

– Nie ma noża – zauważył. – Czyżby myśleli, że cię nim zakłuję, chłopcze?

– Nie mówili mi, co myślą. – Jajo miał na sobie obcisły, ściągnięty w pasie wams z czarnej wełny o długich rękawach podszytych czerwonym atłasem. Na piersiach miał wyszytego trójgłowego smoka rodu Targaryenów. – Stryj mówi, że muszę cię pokornie błagać o wybaczenie za to, że cię okłamałem.

– Twój stryj? To będzie książę Baelor – zauważył Dunk.

– Nie chciałem cię okłamać – zapewnił chłopiec z przygnębioną miną.

– Ale to zrobiłeś. Nie powiedziałaś mi prawdy o niczym, zaczynając od twego imienia. Nigdy nie słyszałem o księciu Jaju.

– To zdrobnienie od Aegon. Tak mnie przezwał mój brat Aemon. Jest teraz w Cytadeli, uczy się na maestra. Daeron też mnie tak czasem nazywa, i siostry również.

Dunk uniósł szpikulec do ust i odgryzł kęs mięsa. Było kozie, upieczone z jakąś lordowską przyprawą, której nigdy w życiu nie kosztował. Tłuszcz spłynął mu po podbródku.

– Aegon – powtórzył. – No jasne. Tak jak Aegon Smok. Ilu było królów o tym imieniu?

– Czterech – odparł chłopiec. – Było czterech Aegonów.

Dunk przeżuł i przełknął mięso, a potem urwał sobie jeszcze trochę chleba.

– Dlaczego to zrobiłeś? Czy to miał być żart? Chciałeś zrobić durnia z głupiego wędrownego rycerza?

– Nie. – Oczy chłopca zaszyły łzami, zachował się jednak dzielnie i nie uciekł. – Miałem zostać giermkim Daerona. To mój najstarszy brat. Nauczyłem się wszystkiego, co jest potrzebne, żeby być dobrym giermkim, ale Daeron wcale nie jest dobrym rycerzem. Nie chciał wystąpić w turnieju, więc gdy tylko opuściliśmy Summerhall, wymknął się eskortcie, ale zamiast zawrócić, pojechał prosto do Ashford, sądząc, że tam na pewno nie będą nas szukać. To on ogolił mi głowę. Wiedział, że ojciec z pewnością wyśle za nami ludzi. Daeron ma zwyczajne włosy, jasnobrązowe, nie rzucające się w oczy, ale moje są takie jak Aeriona i ojca.

– Krew smoka – mruknął Dunk. – Srebrnozłote włosy i fioletowe oczy, wszyscy to wiedzą.

Dunk tępy jak buzdygan.

– Tak. Dlatego Daeron mi je zgolił. Chciał, żebyśmy się ukryli aż do chwili zakończenia turnieju. Ale wtedy wziąłeś mnie za chłopca stajennego i... – Spuścił wzrok. – Nie obchodziło mnie, czy Daeron będzie walczył, czy nie, ale chciałem być czymś giermkim. Przepraszam, ser. Szczerze przepraszam.

Dunk przyjrzał mu się w zamyśleniu. Wiedział, co to znaczy pragnąć czegoś tak bardzo, że człowiek nie cofnie się nawet przed straszliwym kłamstwem, żeby tylko zbliżyć się do celu.

– Myślałem, że jesteś podobny do mnie – stwierdził. – Może to i prawda. Ale nie w takim sensie, o jaki mi chodziło.

– Obaj jesteśmy z Królewskiej Przystani – wskazał chłopiec z nadzieją w głosie.

Dunk musiał się roześmiać.

– Tak, ale ty mieszkałeś na szczycie Wzgórza Aegona, a ja u jego podnóża.

– To nie tak znowu daleko, ser.

Dunk ugryzł kawałek cebuli.

– Czy muszę się do ciebie zwracać „panie”, „Wasza Miłość” albo coś w tym rodzaju?

– Na dworze tak – przyznał chłopiec. – Ale gdzie indziej możesz nadal mówić na mnie „Jajo”, jeśli sobie życzysz, ser.

– Co ze mną zrobią Jajo?

– Mój stryj chce się z tobą zobaczyć. Jak skończysz posiłek, ser.

Dunk odsunął tacę na bok i wstał.

– W takim razie już skończyłem. Jednego księcia kopnąłem w usta, nie chcę drugiemu kazać czekać.

* * *

Lord Ashford odstąpił swe komnaty księciu Baelorowi na okres jego pobytu, więc Jajo – nie, Aegon, Dunk musiał się do tego przyzwyczaić – zaprowadził go do lordowskiej samotni. Baelor czytał list w blasku woskowej świecy. Dunk uklęknął przed nim.

– Wstań – rozkazał książę. – Napijesz się wina?

– Jak sobie życzysz, Wasza Miłość.

– Nalej ser Duncanowi kielich słodkiego czerwonego dornijskiego, Aegonie – rozkazał książę. – Postaraj się go nim nie oblać. I tak już wyrzuciłeś mu wystarczającą krzywdę.

– On nie rozleje wina, Wasza Miłość – zapewnił Dunk. – To dobry chłopak. Dobry giermek. I wiem, że nie chciał mnie skrzywdzić.

– Nie zawsze wyrządza się krzywdę celowo. Aegon powinien był popędzić do mnie, kiedy zobaczył, co jego brat robi tym lalkarkom, ale przybiegł do ciebie. Nie wyświadczył ci w ten sposób przysługi. To, co uczyniłeś, ser... no cóż, na twoim miejscu postąpiłbym pewnie tak samo, ale ja jestem księciem królestwa, nie wędrownym rycerzem. Nigdy nie jest rozsądnie uderzyć wnuka króla w gniewie, bez względu na powód.

Dunk skinął głową z ponurą miną. Jajo podał mu srebrny puchar, wypełniony po brzegi winem. Przyjął go i pociągnął długi łyk.

– Nienawidzę Aeriona – oznajmił gwałtownie Jajo. – I musiałem pobiec po ser Duncana, stryju. Zamek był za daleko.

– Aerion jest twoim bratem – skarcił go ze stanowczością w głosie stryj – a septonowie mówią nam, że musimy kochać braci. Aegonie, zostaw nas teraz. Chcę porozmawiać z ser Duncanem na osobności.

Chłopiec odstawił dzban wina i pokłonił się sztywno.

– Jak sobie życzysz, Wasza Miłość.

Opuścił samotnie, zamykając cicho za sobą drzwi.

Baelor Złamana Włócznia przez długą chwilę patrzył Dunkowi prosto w oczy.

– Ser Duncanie, pozwól, że cię o coś zapytam. Czy jesteś dobrym rycerzem? Czy biegle władasz bronią?

Dunk nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Ser Arian nauczył mnie posługiwać się mieczem i tarczą a także trafiać kopią w pierścień i w manekin do ćwiczeń.

Książę Baelor był wyraźnie zakłopotany tą odpowiedzią.

– Przed kilkoma godzinami wrócił do zamku mój brat Maekar. Znalazł swojego pijanego dziedzica w gospodzie, dzień drogi na południe stąd. Maekar nigdy by się do tego nie przyznał, ale jestem przekonany, iż żywił sekretną nadzieję, że jego synowie przyćmią w turnieju moich synów. Ale obaj okryli go wstydem i cóż może teraz począć? Są krwią z jego krwi. Maekar jest wściekły i musi znaleźć jakiś cel dla swego gniewu. Wybrał ciebie.

– Mnie? – zapytał przygnębiony Dunk.

– Aerion wypełnił już uszy ojca kłamstwami. A Daeron również ci nie pomógł. By usprawiedliwić własne tchórzostwo, powiedział mojemu bratu, że Aegona porwał wielki rycerz-rabuś, którego przypadkowo spotkali na trakcie. Obawiam się, że zostałeś obsadzony w roli tego rycerza-rabusia, ser. Według opowieści Daerona, spędził parę dni na pościgu za tobą, chcąc odzyskać brata.

– Ale Jajo na pewno powie ojcu prawdę. To znaczy Aegon.

– Nie wątpię, że powie – przyznał książę Baelor – ale chłopak nieraz już kłamał. Sam z pewnością świetnie o tym pamiętasz. Któremu ze swych synów uwierzy mój brat? A jeśli chodzi o te lalkarki, Aerion tak wypaczy prawdę, że ich postępek okaże się zdradą stanu. Smok jest herbem królewskiego rodu. Przedstawiać zabicie smoka i trocinową krew sypiącą

się z jego szyi... no cóż, z pewnością nie miały na myśli nic zdrożnego, ale to nie było rozsądne. Aerion twierdzi, że to był zakamuflowany atak na ród Targaryenów, wezwanie do buntu. Maekar zapewne się z nim zgodzi. Mój brat jest drażliwy z natury i wszystkie swe nadzieje ulokował teraz w Aerionie, ponieważ Daeron straszliwie go zawiódł. – Książę pociągnął łyk wina i odstawił puchar. – Bez względu na to, w co mój brat uwierzy albo nie uwierzy, jedna prawda nie podlega dyspacji. Podniosłeś rękę na krew smoka. Za tę zbrodnię czeka cię sąd i kara.

– Kara?

Dunkowi nie spodobało się brzmienie tego słowa.

– Aerion chciałby dostać twoją głowę, z zębami czy bez. Obiecuję ci, że tak się nie stanie, ale nie mogę odmówić mu prawa do wytoczenia ci procesu. Ponieważ mój królewski ojciec przebywa setki mil stąd, twoimi sędziami będziemy ja i mój brat, a także lord Ashford, na którego ziemiach to się wydarzyło, oraz lord Tyrell z Wysogrodu, jego senior. Poprzednim razem winnego uderzenia człowieka z królewskiego rodu skazano na ucięcie ręki.

– Utną mi rękę? – zapytał przerażony Dunk.

– I nogę również. Przecież także go kopnąłeś, prawda?

Dunkowi odebrało mowę.

– Rzecz jasna, spróbuję skłonić sędziów do okazania ci łaski. Jestem królewskim namiestnikiem i następcą tronu, więc moje słowo ma pewną wagę. Ale słowo mojego brata również. Istnieje ryzyko.

– Ale... – zaczął Dunk. – Ale... Wasza Miłość...

Chciał powiedzieć: „Nie było w tym żadnej zdrady, to był tylko drewniany smok, nie miał przedstawiać księcia krwi”, lecz zupełnie zabrakło mu słów. Zawsze kiepsko sobie radził ze słowami.

– Masz też jednak inny wybór – kontynuował cicho książę Baelor. – Nie potrafię ci powiedzieć, czy to będzie dla ciebie lepiej, czy gorzej, ale przypominam ci, że każdy rycerz oskarżony o zbrodnię ma prawo zażądać próby walki. Dlatego pytam cię po raz drugi, ser Duncanie Wysoki. Czy jesteś dobrym rycerzem? Odpowiedz szczerze.

* * *

– Próba siedmiu – oznajmił z uśmiechem książę Aerion. – Sądzę, że mam do tego prawo.

Książę Baelor zabębnił palcami o blat stołu, marszcząc brwi. Siedzący po jego lewej stronie lord Ashford skinął powoli głową.

– Dlaczego? – zapytał książę Maekar, pochylając się ku synowi. – Czy boisz się zmierzyć z tym wędrownym rycerzem w pojedynkę i pozwolić, żeby bogowie rozstrzygnęły, kto mówi prawdę?

– Boję się? – powtórzył Aerion. – Takiego jak on? Nie opowiadaj głupstw, ojcze. Chodzi mi o mojego umiłowanego brata. Ten cały ser Duncan skrzywdził również Daerona i mój brat ma także prawo do jego krwi. Próba siedmiu pozwoli nam obu stawić mu czoło.

– Nie prosiłem cię o żadne przysługi, bracie – mruknął Daeron Targaryen. Najstarszy syn księcia Maekara prezentował się jeszcze gorzej niż wtedy, gdy Dunk spotkał go w gospodzie. Tym razem wyglądał na trzeźwego, a na jego czerwono-czarnym wamsie nie było plam wina, ale oczy miał przekrwione, czoło zaś pokrywała mu warstewka potu. – Z radością będę cię zagrzewał do walki, kiedy będziesz zabijał tego łotrzyka.

– Jesteś zbyt uprzejmy, słodki bracie – odparł książę Aerion, uśmiechając się szeroko. – Postąpiłbym samolubnie, gdybym odmówił ci prawa udowodnienia prawdziwości twych słów za cenę narażenia ciała na niebezpieczeństwo. Muszę nalegać na próbę siedmiu.

Dunk nic z tego nie pojmował.

– Wasza Miłość, szlachetni panowie – zwrócił się do sędziów. – Nie rozumiem tego. Co to takiego próba siedmiu?

Książę Baelor poruszył się nerwowo na krześle.

– To inna postać próby walki. Starożytna i rzadko stosowana. Przybyła zza wąskiego morza razem z Andalami i ich siedmioma bogami. W każdej formie próby walki oskarżyciel i oskarżony zwracają się do bogów, prosząc ich, by rozstrzygnęli spór między nimi. Andalowie wierzyli, że gdy po każdej ze stron walczy siedmiu szermierzy, uhonorowani w ten sposób bogowie chętniej objawiają swą wolę i zsyłają sprawiedliwe rozstrzygnięcie.

– A może po prostu lubią szcęk mieczy – wtrącił lord Leo Tyrell, rozciągając usta w cynicznym uśmiešku. – Tak czy inaczej, ser Aerion jest w prawie. To będzie musiała być próba siedmiu.

– To znaczy, że mam walczyć z siedmioma rycerzami? – zapytał pozbawiony nadziei Dunk.

– Nie w pojedynkę, ser – rzucił niecierpliwie książę Maekar. – Nie udawaj głupca, bo to ci w niczym nie pomoże. To będzie siedmiu przeciw siedmiu. Musisz znaleźć innych rycerzy, którzy zgodzą się walczyć u twego boku.

„Sześciu rycerzy” – pomyślał Dunk. Równie dobrze mogliby mu kazać znaleźć sześć tysięcy. Nie miał braci, kuzynów ani starych towarzyszy, którzy stali u jego boku podczas bitwy. Dlaczego sześciu obcych miałoby ryzykować życie, by bronić wędrownego rycerza przed dwoma książętami królewskiej krwi?

– Wasze Miłości, szlachetni panowie, co będzie, jeśli nikt nie zechce stanąć po mojej stronie?

Maekar Targaryen spojrział na niego zimno.

– Jeżeli sprawa jest sprawiedliwa, dobrzy ludzie zgodzą się za nią walczyć. Jeśli nie potrafisz znaleźć obrońców, to będzie znaczyło, że jesteś winny. Czyż to nie oczywiste?

* * *

Dunk nigdy w życiu nie czuł się tak samotny jak w chwili, gdy wyszedł z zamku Ashford i usłyszał za sobą grzechot opuszczanej kraty. Siąpił lekki deszczyk. Był delikatny niczym rosa, lecz mimo to młodzieniec zadrżał. Na drugim brzegu rzeki nieliczne namioty, przed którymi płonęły jeszcze ogniska, otaczały kolorowe pierścienie. Pomyślał, że pewnie minęła już połowa nocy. Za kilka godzin nadejdzie świt. „A razem ze świtem śmierć”.

Oddali mu miecz i srebro, lecz przechodząc rzekę w bród, był w ponurym nastroju. Zadał sobie pytanie, czy spodziewają się, że osiodła konia i ucieknie. Mógłby to zrobić, gdyby chciał. Z pewnością oznaczałoby to jednak dla niego koniec z rycerstwem. Od tej chwili byłby tylko wyjętym spod prawa banitą aż wreszcie jakiś lord dopadłby go i ściął mu głowę. „Lepiej zginąć jak rycerz niż żyć w ten sposób” – powtarzał sobie uparcie. Mokry po kolana, włókł się przez opustoszałe szranki. W większości namiotów było ciemno. Ich właściciele dawno już zasnęli. Tu i ówdzie jednak paliły się jeszcze świece. Dunk usłyszał ciche jęki i krzyki rozkoszy dobiegające z jednego z namiotów. Nasunęło mu to pytanie, czy zginie, nie zaznawszy miłości kobiety.

Wtem usłyszał parsknięcie konia i rozpoznał Groma. Odwrócił się i pobiegł w tamtą stronę. Jego rumak i Kasztanka stały przywiązane przed okrągłym namiotem, rozświetlonym od wewnątrz słabą, złocistą łuną. Na centralnej tyczce wisiała chorągiew. Choć doszczętnie przemokła, Dunk rozpoznał ciemną krzywiznę jabłka Fossowayów. Wyglądała jak nadzieja.

* * *

– Próba walki – rzekł przygnębionym tonem Raymun. – Bogowie, bądźcie łaskawi, Duncanie, to oznacza kopie bojowe, morgenszterny, topory... miecze nie będą stępione, rozumiesz?

– Raymun Niechętny – zadrwił jego kuzyn ser Steffon. Do złotego, wełnianego płaszcza miał przypiętą broszę w kształcie jabłka ze złota i granatów. – Nie musisz się obawiać, kuzynie, to będzie rycerska walka. A skoro nie jesteś rycerzem, twoja skóra nie będzie narażona. Ser Duncanie, masz przynajmniej jednego Fossowaya. Dojrzałego. Widziałem, co Aerion zrobił z tymi lalkarkami i jestem z tobą.

– Ja też – warknął gniewnie Raymun. – Chciałem tylko...

– Kto jeszcze walczy po naszej stronie, ser Duncanie? – przerwał mu kuzyn.

Dunk rozpostarł bezradnie ręce.

– Nie znam tu nikogo więcej. No, oprócz ser Manfreda Dondarriona, ale on nie chciał nawet poświadczyć, że jestem rycerzem, więc z pewnością nie zaryzykuje dla mnie życia.

Ser Steffon nie przejął się tym zbytnio.

– To znaczy, że potrzebujemy pięciu dobrych ludzi. Na szczęście mam więcej niż pięciu przyjaciół. Leo Długi Cierń, Roześmiana Burza, lord Caron, Lannisterowie, ser Otho Bracken... tak jest, a także Blackwoodowie, choć nigdy nie zobaczycie Blackwooda i Brackena po tej samej stronie w walce zbiorowej. Pójdę porozmawiać z niektórymi z nich.

– Nie ucieszą się, jeśli ich teraz obudzisz – ostrzegł go kuzyn.

– To znakomicie – stwierdził ser Steffon. – Jeśli się wściekną, będą walczyli zawzięciej. Możesz na mnie polegać, ser Duncanie. Kuzynie, jeśli nie wrócę, weź moją tarczę i dopilnuj, żeby Gniew był osiodłany i gotowy do walki. Spotkam się z wami na wybiegu dla kandydatów. – Roześmiał się. – Ten dzień na długo zapisze się w pamięci wszystkich.

Wychodząc z namiotu, wyglądał niemal na szczęśliwego.

Raymun nie podzielał jego radości.

– Pięciu rycerzy – mruknął ponurym tonem, gdy jego kuzyn już sobie poszedł. – Duncanie, nie chcę pozbawiać cię nadziei, ale...

– Jeśli twój kuzyn przyprowadzi ludzi, o których mówił...

– Leo Długiego Ciernia? Bestię Brackena? Roześmianą Burzę? – Raymun wstał. – Nie wątpię, że zna ich wszystkich, ale nie jestem taki pewien, czy któryś z nich zna jego. Steffon widzi w tym tylko szansę zdobycia chwały, ale tobie idzie o życie. Powinieneś znaleźć własnych ludzi. Pomogę ci. Lepiej żebyś miał zbyt wielu rycerzy niż za mało. – Raymun odwrócił głowę, słysząc nagły hałas na zewnątrz namiotu. – Kto idzie? – zapytał.

Do środka wszedł chłopiec, a za nim chudy mężczyzna w ociekającym wodą czarnym płaszczu.

– Jajo? – Dunk wstał. – Co ty tu robisz?

– Jestem twoim giermkim – przypomniał mu chłopak. – Będziesz potrzebował kogoś, kto poda ci broń, ser.

– A czy twój ojciec wie, że opuściłeś zamek?

– Bogowie, bądźcie łaskawi, mam nadzieję, że nie.

Daeron Targaryen rozpiął zapinkę płaszcza, który osunął się z jego chudych ramion.

– To ty? Czemu tu przyszedłeś? Oszalałeś? – Dunk wyciągnął nóż z pochwy. – Powinienem ci to wsadzić w brzuch.

– Zapewne tak – przyznał książę Daeron. – Chociaż wolałbym, żebyś mi nalał kielich wina. Popatrz na moje ręce.

Uniósł jedną z nich, żeby wszyscy zobaczyli, jak się trzęsie.

Dunk podszedł bliżej, łypiąc na niego ze złością.

– Co mnie obchodzą twoje ręce? Oskarżyłeś mnie fałszywie.

– Musiałem przecież coś powiedzieć, kiedy ojciec mnie zapytał, gdzie się podział mój młodszy brat – odparł książę i usiadł, ignorując Dunka oraz jego nóż. – Prawdę mówiąc, nawet nie wiedziałem, że Jajo gdzieś zniknął. Nie było go na dnie mojego kielicha, a nigdzie indziej nie patrzyłem, więc...

Westchnął.

– Ser, mój ojciec przyłączy się do siedmiu oskarżycieli – odezwał się Jajo. – Błagałem go, żeby tego nie robił, ale nie chciał mnie słuchać. Mówi, że tylko w ten sposób Aerion i Daeron będą mogli odzyskać honor.

– Nie prosiłem go o pomoc w odzyskaniu honoru – oznajmił kwaśnym tonem ksiązę Daeron. – Ten, kto go obecnie ma, może go sobie zatrzymać. Ale co się stało, to się nie odstanie. Nie wiem, czy to cię pocieszy, ale raczej nie musisz się mnie obawiać, ser Duncanie. Miecze są jedyną rzeczą, której nienawidzę bardziej od koni. Są ciężkie i pierońsko ostre. Zrobię, co będę mógł, żeby podczas pierwszej szarży wyglądać możliwie po rycersku, ale potem... może mógłbyś zadać mi zgrabny cios w bok hełmu? Postaraj się, żeby zadźwięczało, ale nie za głośno, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Bracia przewyższają mnie w walce i w tańcu, w myśleniu i w czytaniu ksiąg, ale żaden z nich mi nie dorówna, gdy idzie o leżenie bez czucia w błocie.

Dunk wytrzeszczył tylko oczy. Zastanawiał się, czy książątko nie robi z niego dumnia.

– Dlaczego tu przyszedłeś?

– Żeby cię ostrzec – odparł Daeron. – Mój ojciec rozkazał Gwardii Królewskiej, by towarzyszyła mu w walce.

– Gwardii Królewskiej? – powtórzył przerażony Dunk.

– Tym trzem gwardzistom, którzy są tu z nami. Dzięki bogom stryj Baelor zostawił pozostałych czterech w Królewskiej Przystani, z naszym królewskim dziadkiem.

– To ser Roland Crakehall, ser Donnel z Duskendale i ser Willem Wylde – wymienił imiona Jajo.

– Nie mieli w tej sprawie wielkiego wyboru – wyjaśnił Daeron. – Przysięgli bronić życia króla i członków jego rodziny, a ja i moi bracia to krew smoka, niech nam bogowie pomogą.

Dunk policzył na palcach.

– To sześciu. Kto będzie siódmy?

Książę Daeron wzruszył ramionami.

– Aerion kogoś znajdzie. Jeśli będzie trzeba, kupi sobie jakiegoś rycerza. Nie brakuje mu złota.

– A kogo ty masz? – zapytał Jajo.

– Kuzyna Raymuna, ser Steffona.

Daeron skrzywił się.

– Tylko jednego?

– Ser Steffon poszedł odwołać się do swych przyjaciół.

– Mogę ci przyprowadzić ludzi – obiecał Jajo. – Rycerzy.

– Jajo – ostrzegł go Dunk. – Będę walczył z twoimi braćmi.

– Ale Daeronowi nie zrobisz krzywdy – odrzekł chłopiec. – Powiedział ci, że spadnie z konia. Jeśli zaś chodzi o Aeriona... jak byłem mały, przychodził nocami do mojej sypialni i

wpychał mi nóż między nogi. Mówił, że ma za dużo braci i może którejs nocy zrobi ze mnie swoją siostrę. Wtedy mógłby się ze mną ożenić. I wrzucił też mojego kota do studni. Mówi, że tego nie zrobił, ale on zawsze kłamie.

Książę Daeron wzruszył ramionami w geście znużenia.

– Jajo mówi prawdę. Aerion to prawdziwy potwór. No wiesz, uważa się za smoka w ludzkiej postaci. Dlatego tak się wściekł na to przedstawienie. Szkoda, że nie urodził się Fossowayem. Wtedy myślałby, że jest jabłkiem i wszystkim nam żyłoby się znacznie bezpieczniej. – Pochylił się, podniósł z ziemi płaszcz i strząsnął z niego wodę. – Muszę wracać na zamek, zanim mój ojciec zacznie się zastanawiać, dlaczego tak długo ostrzę miecz, ale zanim odejdę, chciałbym zamienić z tobą słówko na osobności, ser Duncanie. Zechcesz mi przez chwilę towarzyszyć?

Dunk popatrzył podejrzliwie na książętko.

– Jak sobie życzysz, Wasza Miłość. – Schował sztylet. – Muszę też pójść po tarczę.

– Jajo i ja poszukamy rycerzy – obiecał Raymun.

Książę Daeron zawiązał sobie płaszcz pod szyją i postawił kaptur. Dunk podążył za nim w siąpiący deszczyk. Ruszyli w stronę kupieckich wozów.

– Śniłeś mi się – oznajmił książę.

– Mówiłeś już o tym w gospodzie.

– Naprawdę? Nie skłamałem. Moje sny nie przypominają twoich, ser Duncanie. One się sprawdzają. To mnie przeraża. Ty mnie przerażasz. Rozumiesz, śniłem o tobie i o martwym smoku. To była wielka bestia, ogromna, skrzydła miała tak potężne, że nakryłyby całą tę łąkę. Spadła prosto na ciebie, ale ty przeżyłeś, a smok zginął.

– Czy to ja go zabiłem?

– Tego nie potrafię powiedzieć. Byłeś tam jednak i bestia również. My, Targaryenowie, byliśmy ongiś władcami smoków. Teraz one już wymarły, ale my żyjemy dalej. Nie chcę dziś zginąć. Tylko bogowie wiedzą dlaczego, ale nie chcę. Zrób mi przysługę, jeśli łaska, i zabij mojego brata Aeriona, a nie mnie.

– Ja również nie chcę zginąć – wskazał Dunk.

– No cóż, ja cię nie zabiję, ser. Wycofałbym też swe oskarżenie, ale to w niczym ci nie pomoże, chyba że Aerion uczyni to samo. – Westchnął. – Być może zabiłem cię swym kłamstwem. Jeśli tak, to przykro mi z tego powodu. Wiem, że jestem skazany na jakieś piekło. Zapewne takie, w którym nie ma wina.

Zadrżał na tę okropną myśl i rozstali się w lekkim, chłodnym deszczu.

* * *

Kupcy ustawili swe wozy na zachodnim skraju łąki, nieopodal zagajnika brzoź i jesionów. Dunk przystanął pod drzewami i spojrzął bezradnie na puste miejsce, w którym

jeszcze niedawno stał wóz lalkarzy. „Odjechali”. Bał się, że tak może się stać. „Ja też bym uciekł, gdybym nie był tępy jak buzdygan”. Zastanawiał się, skąd teraz weźmie tarczę. Pewnie wystarczy mu srebra, żeby ją kupić, jeśli tylko znajdzie gdzieś sprzedawcę...

– Ser Duncanie – dobiegł go z ciemności czyjś głos. Dunk odwrócił się i zobaczył Stalowego Pate’a, który stał za nim, trzymając w ręku żelazną lampę. Pod krótkim skórzanym płaszczem płatnerz był nagi do pasa. Jego szeroką pierś i grube ramiona porastały czarne, kręcone włosy. – Jeśli przyszedłeś po tarczę, to dziewczyna zostawiła ją u mnie. – Obrzucił Dunka spojrzeniem od stóp do głów. – Widzę, że nadal masz dwie ręce i dwie nogi. To znaczy, że będzie próba walki, co?

– Próba siedmiu. Jak się tego domyśliłeś?

– No więc, mogli cię pocałować i zrobić lordem, ale to nie wydawało się zbyt prawdopodobne, a gdyby wynik był inny, brakowałoby ci paru części ciała. Chodź ze mną.

Wóz Pate’a łatwo było poznać, gdyż z boku miał wymalowany miecz i kowadło. Dunk wszedł za płatnerzem do środka. Rzemieślnik zawiesił lampę na haku, zrzucił z siebie mokry płaszcz i wciągnął przez głowę bluzę z samodziału. Opuszczana na zawiasach deska służyła jako stół.

– Siadaj – powiedział, podsuwając Dunkowi niski zydel.

Młodzieniec usiadł.

– Dokąd pojechała? – zapytał.

– Do Dorne. Jej wuj to niegłupi człowiek. Co z oczu, to i z głowy. Gdyby tu zostali, przyciągaliby spojrzenia i smok mógłby sobie o nich przypomnieć. Poza tym jej wuj uważał, że lepiej, by nie widziała, jak giniesz. – Pate przeszedł na drugi koniec wozu, grzebał przez chwilę w leżących tam przedmiotach i wrócił z tarczą. – Okucie miałeś ze starej, taniej stali, kruche i przerdzewiałe. Zrobiłem ci nowe – wyjaśnił – dwa razy grubsze, i wzmocniłem ją też od tyłu paroma prętami. Jest teraz cięższa, ale również mocniejsza. Dziewczyna ją pomalowała.

Zrobiła to lepiej, niż Dunk się spodziewał. Nawet w świetle lampy widać było, że zachód słońca jest jaskrawy i piękny, a drzewo wysokie, silne i szlachetne. Spadająca gwiazda była jasną kreską farby, przecinającą dębowe niebo. Gdy jednak Dunk wziął tarczę do ręki, nagle wydało mu się, że to nie był zbyt dobry pomysł. W końcu to była spadająca gwiazda. Cóż to miał być za herb? Czy jego czekał równie szybki upadek? A zachód słońca zwiastował nadejście nocy.

– Trzeba było zostać przy kielichu – stwierdził przygnębiony młodzieniec. – On przynajmniej miał skrzydła i mógł odlecieć, a ser Arian mówił też, że jego czasa jest pełna wiary, przyjaźni i dobrych napojów. Ta tarcza wygląda jak zapowiedź śmierci.

– Wiąz jest żywy – wskazał Pate. – Widzisz, jak się zieleni? To na pewno są letnie liście. Zresztą widziałem już tarcze ozdobione czaszkami, wilkami i krukami, a nawet wisielcami i okrwawionymi głowami. Wszystkie jednak dobrze służyły swym właścicielom, tak jak ta

będzie służyła tobie. Znasz ten stary wierszyk o tarczy? „Dębino i żelazo, otoczą mnie opieką...”

– „...bo inaczej zginę i piekło mnie czeka” – dokończył Dunk. Już od wielu lat nie myślał o tej rymowance. Stary nauczył go jej bardzo dawno temu. – Ile chcesz za to nowe okucie i całą resztę? – zapytał.

– Od ciebie? – Pate podrapał się po głowie. – Miedziaka.

* * *

Gdy na wschodzie pojawiło się pierwsze blade światło jutrzeńki, deszcz niemal przestał już padać, choć wykonał swą robotę. Ludzie lorda Ashforda usunęli barierki wokół pola turniejowego, które zamieniło się w jedno wielkie bagnisko, pokryte szarobrazowym błotem i zdeptaną trawą. Kiedy Dunk zmierzał ku szrankom w towarzystwie Stalowego Pate’a, nad ziemią unosiły się kosmyki mgły, przypominające białe węże.

Trybuna zaczęła się już wypełniać. Lordowie i damy opatulili się szczelnie płaszczami, by się osłonić przed porannym chłodem. Na pole napływali również prostaczkowie. Wzdłuż płotu ustawiły się setki gapiów. „Tak wielu ludzi przyszło obejrzyć moją śmierć” – pomyślał z goryczą Dunk. Źle ich jednak ocenił.

– Niech ci szczęście sprzyja! – zawołała jakaś kobieta, gdy tylko przeszedł kilka kroków.

Potem zbliżył się do niego staruszek, który uścisnął mu dłoń.

– Niech bogowie dadzą ci siłę, ser – rzekł.

Chwilę później zebrzący brat pobłogosławił jego miecz, a dziewczyna pocałowała go w policzek. „Przyszli tu dla mnie”.

– Dlaczego to robią? – zapytał Pate’a. – Kim dla nich jestem?

– Rycerzem, który pamięta o swych ślubach – odparł płatnerz.

Znaleźli Raymuna przed wybiegiem dla kandydatów, na południowym końcu szranków. Młody Fossoway przyprowadził dwa rumaki. Pierwszy był własnością jego kuzyna, drugi zaś należał do Dunka. Grom podrzucał niespokojnie łbem. Ogier miał na sobie nagłówek, przedpiersień oraz ciężką zbroję. Pate obejrzał ją i orzekł, że robota jest porządna, nawet jeśli wykonał ją ktoś inny. Dunk cieszył się ze zbroi, skądkolwiek się wzięła.

Potem zobaczył pozostałych: jednookiego mężczyznę o czarnej, upstrzonej plamkami siwizny brodzie, młodego rycerza w opończy w żółto-czarne paski i z ulami na tarczy. „Robyn Rhysling i Humfrey Beesbury” – pomyślał zdumiony. „I ser Humfrey Hardyng również”. Ten ostatni dosiadał rdzawokasztanowatego rumaka Aeriona, teraz nakrytego czaprakiem w czerwono-białe romby.

Dunk podszedł do nich.

– Panowie, jestem waszym dłużnikiem.

– To Aerion ma dług do spłacenia – odparł ser Humfrey Hardyng – i zamierzamy go odeń odebrać.

– Słyszałem, że złamałeś nogę, ser.

– To prawda – przyznał Hardyng. – Nie mogę chodzić. Ale dopóki potrafię utrzymać się w siodle, dam radę walczyć.

Raymun odprowadził Dunka na bok.

– Miałem nadzieję, że Hardyng będzie chciał się zemścić na Aerionie i nie przeliczyłem się. Tak się składa, że ten drugi Humfrey jest jego bratem przez małżeństwo. Jaju zawdzięczamy ser Robyna, którego zna z poprzednich turniejów. Masz więc pięciu.

– Sześciu – sprostował Dunk ze zdumieniem w głosie, wyciągając rękę. Na wybieg wkroczył wysoki rycerz. Giermek prowadził za nim rumaka. – Roześmiana Burza.

Ser Lyonel był o głowę wyższy od ser Raymuna i niemal dorównywał wzrostem Dunkowi. Miał na sobie utkaną ze złotogłowiu opończę z wyszytym na niej jeleniem w koronie, herbem rodu Baratheonów. Pod pachą niósł ozdobiony porożem hełm. Dunk wyciągnął do niego rękę.

– Ser Lyonelu, nie wiem, jak ci dziękować za to, że zechciałeś przybyć, ani ser Steffonowi za to, że cię do tego nakłonił.

– Jakiemu ser Steffonowi? – zapytał zdziwiony rycerz. – To twój giermek do mnie przyszedł, mały Aegon. Mój chłopak próbował go przegnać, ale on przemknął się mu między nogami, i wylał mi dzban wina na głowę. – Ser Lyonel parsknął śmiechem. – Próby siedmiu nie urządzano od z górą stu lat. Wiedziałeś o tym? Nie chciałem przepuścić szansy zmierzenia się z rycerzami Gwardii Królewskiej i przy okazji utarcia nosa księciu Maekarowi.

– Sześciu – poinformował Dunk z nadzieją w głosie Raymuna Fossowaya, gdy ser Lyonel dołączył do pozostałych. – Twój kuzyn z pewnością uzupełni listę.

W tłumie rozległ się ryk. Na północnym końcu łąki pojawiła się kolumna rycerzy, którzy wypadli klusem z nadrzecznej mgły. Przodem zierdzali trzej gwardziści królewscy. Wyglądali jak duchy w swych lśniących białą emalią zbrojach oraz białych płaszczach, które powiewały za nimi. Nawet ich tarcze były białe i pozbawione ozdób, czyste jak pole świeżo spadłego śniegu. Za nimi jechał książę Maekar z synami. Aerion dosiadał siwojabłkowego wierzchowca. Przy każdym kroku w szczelinach końskiego czapraka połyskiwała pomarańczowa i czerwona tkanina. Rumak jego brata był mniejszym gniadoszem, zakutym w zbroję z nachodzących na siebie czarnych i złotych łusek. Za hełmem Daerona ciągnął się zielony, jedwabny proporzec. To ich ojciec wyglądał jednak najbardziej przerażająco. Wzdłuż grzebienia jego hełmu biegł szereg czarnych, zakrzywionych smoczycich zębów, który potem opadał w dół pleców. Przy siodle miał przymocowaną potężną kolczastą maczugę. Dunk nigdy w życiu nie widział groźniej się prezentującej broni.

– Sześciu! – zawołał nagle Raymun. – Jest ich tylko sześciu.

Dunk zorientował się, że to prawda. „Trzech czarnych rycerzy i trzech białych. Im również brakuje jednego”. Czy to możliwe, by Aerionowi nie udało się znaleźć siódmego reprezentanta? Co to oznaczało? Czy będą walczyć sześciu przeciw sześciu? Gdy Dunk rozważał tę kwestię, podszedł do niego Jajo.

– Ser, czas już, byś przywdział zbroję.

– Dziękuję, giermku. Czy byłbyś tak łaskawy?

Stalowy Pate pomógł chłopakowi w tym zadaniu. Kolczuga i naszyjnik, nagolenniki i rękawice, czepiec i osłona podbrzusza, stopniowo zakuwali go w stal, trzykrotnie sprawdzając każdą sprzączkę i zapinkę. Ser Lyonel ostrzył miecz osędką, Humfreyowie rozmawiali ze sobą cicho, ser Robyn się modlił, a Raymun spacerował nerwowo, zastanawiając się, gdzie podział się jego kuzyn.

Gdy ser Steffon wreszcie się pojawił, Dunk był już całkowicie zakuty w zbroję.

– Raymunie! – zawołał przybyły. – Przynies moją zbroję, jeśli łaska.

Przebrał się w wyściełany kubrak, który zakładano pod pancerz.

– Ser Steffonie – zapytał Dunk – gdzie twoi przyjaciele? Potrzebujemy jeszcze jednego rycerza.

– Obawiam się, że potrzebujecie dwóch – odparł ser Steffon, gdy Raymun zaciągał sznurówki jego kolczugi.

– Dwóch, panie? – zapytał zdziwiony Dunk.

Ser Steffon podniósł piękną stalową rękawicę i wsunął w nią dłoń, zginając palce.

– Widzę tu pięciu – stwierdził, gdy Raymun zapinał mu pas. – Beesbury, Rhysling, Hardyng, Baratheon i ty.

– I ty – wskazał Dunk. – Ty jesteś szósty.

– Jestem siódmy – odparł z uśmiechem ser Steffon – ale dla drugiej strony. Będę walczył dla księcia Aeriona i oskarżycieli.

Raymun miał właśnie wręczyć kuzynowi hełm. Nagle zatrzymał się jak uderzony.

– Nie!

– Tak. – Ser Steffon wzruszył ramionami. – Jestem pewien, że ser Duncan to zrozumie. Mam obowiązki wobec swego księcia.

– Powiedziałeś mi, że może na tobie polegać.

Raymun był zupełnie blady.

– Naprawdę? – Ser Steffon wziął hełm z rąk kuzyna. – Z pewnością w owej chwili byłem szczery. Przyrowadź mi konia.

– Sam go sobie przyrowadź – warknął rozwścieczony Raymun. – Jeśli myślisz, że przyłożę do tego ręki, to jesteś tak samo głupi, jak podły.

– Podły? – Ser Steffon cmoknął językiem. – Uważaj, co mówisz, Raymunie. Obaj jesteśmy jabłkami z tego samego drzewa. A ty jesteś moim giermkiem. Czyżbyś zapomniał o swych ślubach?

– Nie. To ty zapomniałeś o swoich. Przysięgałeś, że będziesz rycerzem.

– Nim dzisiejszy dzień dobiegnie końca, będę kimś więcej. Lordem Fossoway. Czyż to nie brzmi pięknie?

Uśmiechnął się, włożył drugą rękawicę, odwrócił się i poszedł po konia. Choć pozostali obrońcy patrzyli na niego z pogardą nikt nie próbował go zatrzymać.

Dunk śledził wzrokiem ser Steffona, gdy ten odprowadzał rumaka. Zacisnął ręce w pięści, lecz nie zdołał wykrztusić ani słowa. „Zresztą na takiego jak on słowa nie wpłyną”.

– Pasuj mnie. – Raymun położył dłoń na ramieniu Dunka i odwrócił go w swoją stronę. – Zajmę miejsce kuzyna. Ser Duncanie, pasuj mnie na rycerza.

Opadł na jedno kolano.

Dunk zmarszczył brwi i przesunął dłoń ku rękojeści miecza. Zawahał się jednak.

– Raymunie, nie... nie powinienem tego robić.

– Musisz. Beze mnie będzie was tylko pięciu.

– Chłopak ma rację – odezwał się ser Lyonel Baratheon. – Zrób to, ser Duncanie. Każdy rycerz może pasować rycerza.

– Wątpisz w moją odwagę? – zapytał Raymun.

– Nie – zaprzeczył Dunk. – Nie wątpię, ale...

Ciągle się wahał.

W mglistym porannym powietrzu zabrzmiały fanfary. Jajo podbiegł do rycerzy.

– Ser, wzywa cię lord Ashford.

Roześmiana Burza potrząsnął niecierpliwie głową.

– Idź do niego. Ja pasuję giermka Raymuna na rycerza. – Wysunął miecz z pochwy i odepchnął Dunka na bok. – Raymunie z rodu Fossowayów – zaczął z namaszczeniem, dotykając klingą miecza jego prawego barku – w imię Wojownika nakazuję ci być odważnym. – Miecz przesunął się z prawego ramienia na lewe. – W imię Ojca nakazuję ci być sprawiedliwym. – Znowu prawy bark. – W imię Matki nakazuję ci bronić młodych i niewinnych. – Lewy. – W imię Dziewicy nakazuję ci bronić wszystkich kobiet...

Dunk zostawił ich tam z ulgą pomieszaną z poczuciem winy. „Nadal brakuje nam jednego” – pomyślał, gdy Jajo przyprowadził mu Groma. „Gdzie znajdę siódmego rycerza?”. Zawrócił rumaka i ruszył powoli w stronę trybuny, na której czekał lord Ashford. Z północnego końca szranków zmierzał mu na spotkanie książę Aerion.

– Ser Duncanie! – zawołał radosnym głosem. – Wygląda na to, że masz tylko pięciu obrońców.

– Sześciu – poprawił go Dunk. – Ser Lyonel właśnie pasuje Raymuna Fossowaya. Będziemy walczyć w sześciu przeciw siedmiu.

Wiedział, że tak niewielka przewaga liczebna jeszcze niczego nie rozstrzyga.

Lord Ashford potrząsnął jednak głową.

– To nie jest dozwolone, ser. Jeśli nie potrafisz znaleźć siódmego rycerza, który opowiedziałby się po twojej stronie, musisz zostać uznany za winnego zbrodni, o które cię oskarżono.

„Winny” – pomyślał Dunk. „Jestem winny obruszenia zęba i muszę za to zapłacić życiem”.

– Daj mi jeszcze chwilę, panie.

– Proszę bardzo.

Dunk ruszył powoli wzdłuż płotu. Na trybunie było pełno rycerzy.

– Szlachetni panowie! – zawołał do nich. – Czy nikt z was nie pamięta ser Arłana z Pennytree? Byłem jego giermkim. Służyliśmy wielu spośród was. Jedliśmy przy waszych stołach i spaliliśmy w waszych zamkach. – Wypatrzył ser Manfreda Dondarriona, który siedział w najwyższym rzędzie. – Ser Arian został ranny w służbie twego ojca. – Rycerz powiedział coś do siedzącej obok damy, nie zwracając na niego uwagi. Dunk był zmuszony ruszyć dalej. – Lordzie Lannister, ser Arian wysadził cię kiedyś z siodła na turnieju. – Siwy Lew wlepił spojrzenie w swe urękawiczone dłonie, nie chcąc patrzeć na Dunka. – To był dobry człowiek i nauczył mnie, jak być rycerzem. Nie tylko walki na miecze i kopie, lecz również honoru. Mówił mi, że rycerz ma bronić niewinnych. To właśnie uczyniłem. Potrzebuję jeszcze jednego rycerza, który walczyłby u mojego boku. Tylko jednego. Lordzie Caron? Lordzie Swann?

Lord Swann roześmiał się cicho, gdy lord Caron szepnął mu coś do ucha.

Dunk ściągnął wodze przed ser Otho Brackenem i rzekł cichym głosem:

– Ser Otho, wszyscy wiedzą, że jesteś wielkim rycerzem. Przyłącz się do nas, błagam cię w imię starych bogów i nowych. Moja sprawa jest słuszna.

– Może i tak – przyznał Bestia Bracken, który przynajmniej raczył mu odpowiedzieć. – Ale to twoja sprawa, nie moja. Nie znam cię, chłopcze.

Przygnębiony Dunk zawrócił Groma i przemknął w tę i z powrotem przed szeregiem bladych, zimnych ludzi. Rozpacz kazała mu krzyknąć:

– Czy nie ma wśród was prawdziwych rycerzy?

Odpowiedziała mu tylko cisza.

Czekający po drugiej stronie pola księżę Aerion wybuchnął śmiechem.

– Smok nie pozwoli z siebie drwić! – zawołał.

– Ja przyłączę się do ser Duncana! – rozległ się nagle czyjś głos.

Z nadrzecznej mgły wyłonił się kary ogier, którego dosiadał czarny rycerz. Dunk zobaczył ozdobioną smokiem tarczę oraz czerwony, emaliowany grzebień hełmu z trzema smoczymi głowami. „Młody Księżę. Bogowie bądźcie łaskawi, czy to naprawdę on?”.

Lord Ashford popełnił tę samą pomyłkę.

– Księżę Valarr?

– Nie. – Czarny rycerz uniósł zasłonegą hełmu. – Nie zamierzałem wstępować w Ashford w szranki, więc nie przywożem ze sobą zbroi. Mój syn był tak uprzejmy, że użyczył mi swojej.

Książę Baelor uśmiechnął się ze smutkiem. Dunk zauważył, że wśród oskarżycieli zapanowało zamieszanie.

Książę Maekar spiął konia i podjechał bliżej.

– Bracie, czyś postradał zmysły? – Uniósł zakuty w stal palec i wskazał nim na Dunka. – Ten człowiek zaatakował mojego syna.

– Ten człowiek bronił słabych, co winien czynić każdy prawdziwy rycerz – odparł książę Baelor. – Niech bogowie rozstrzygną, czy postąpił słusznie.

Szarpnął wodze, zawrócił potężnego czarnego rumaka, który należał do jego syna, i pokłusował na południowy koniec pola.

Dunk zatrzymał Groma obok niego. Wokół nich zgromadzili się pozostali obrońcy: Robyn Rhysling, ser Lyonel i Humfreyowie.

„Wszystko to dobrzy rycerze, ale czy okażą się wystarczająco dobrzy?”.

– Gdzie jest Raymun?

– Ser Raymun, jeśli łaska. – Młody Fossoway podjechał do nich galopem. Na twarzy skrytej w cieniu ozdobionego grzebieniem hełmu malował się posępny uśmiech. – Wybaczcie, panowie. Musiałem dokonać drobnej zmiany w swym herbie, żeby nikt mnie nie wziął za mego pozbawionego honoru kuzyna. – Pokazał im tarczę. Lśniące złote pole wyglądało tak samo, ale namalowane na nim jabłko Fossowayów było zielone, nie czerwone. – Obawiam się, że nie jestem jeszcze dojrzały... ale lepsza zieleń niż robaki, he?

Ser Lyonel wybuchnął śmiechem i Dunk również uśmiechnął się mimo woli. Nawet książę Baelor wyglądał na zadowolonego.

Przed trybunę wystąpił septon lorda Ashforda, który uniósł swój kryształ, by wezwać tłum do modlitwy.

– Słuchajcie wszyscy – rozkazał cicho Baelor. – Oskarżyciele ruszą do pierwszej szarży uzbrojeni w ciężkie kopie bojowe, zrobione z jesionowego drewna, długie na osiem stóp, z metalowymi okuciami, żeby się nie rozszczepiały, i zakończone metalowymi grotami, dzięki czemu, wsparte impetem rumaka, mogą przebijać zbroję.

– My weźmiemy takie same – stwierdził ser Humfrey Beesbury. Za jego plecami septon wzywał Siedmiu, by spojrzeli z góry, rozstrzygnęli spór i przyznali zwycięstwo tej stronie, której sprawa jest słuszna.

– Nie – sprzeciwił się Baelor. – Weźmiemy kopie turniejowe.

– One się rozszczepiają – zaprotestował Raymun.

– Ale za to mają dwanaście stóp długości. Jeśli trafimy celnie, ich kopie nie będą mogły nas dosięgnąć. Celujcie w hełm albo w pierś. W czasie turnieju złamanie kopii o tarczę przeciwnika jest dowodem rycerskości, ale tutaj może się zakończyć śmiercią. Jeśli zdołamy wysadzić ich z siodła, a sami się na nich utrzymamy, przewaga będzie po naszej stronie. –

Zerknął na Dunka. – Jeśli ser Duncan zginie, będzie to oznaczało, że bogowie uznali go za winnego, i walka będzie skończona, podobnie jak wtedy, gdy obaj jego oskarżyciele polegą lub wycofają zarzuty. Jeśli do tego nie dojdzie, próba skończy się dopiero wtedy, gdy wszystkich siedmiu walczących po jednej ze stron postrada życie albo się podda.

– Książę Daeron nie będzie walczył – wtrącił Dunk.

– Przynajmniej nie dobrze – dodał ze śmiechem ser Lyonel. – Ale za to mamy przeciwko sobie trzy Białe Miecze.

Baelor przyjął to ze spokojem.

– Mój brat popełnił błąd, żądając, by królewscy gwardziści walczyli za jego syna. Złożona przysięga zabrania im skrzywdzić księcia krwi, a tak się szczęśliwie składa, że ja również nim jestem. – Uśmiechnął się do nich blado. – Utrzymajcie innych z dala ode mnie, a ja zajmę się Gwardią Królewską.

– Mości książę, czy to po rycersku? – zaniepokoił się ser Lyonel Baratheon, gdy septon kończył swą inwokację.

– Bogowie odpowiedzą nam na to pytanie – stwierdził Baelor Złamana Włócznia.

* * *

Nad Łąką Ashford zapadła głęboka, pełna oczekiwania cisza. W odległości osiemdziesięciu jardów siwy ogier Aeriona parskał niecierpliwie i uderzał kopytami w błotnisty grunt. W porównaniu z nim Grom zachowywał się spokojnie. Był starszym koniem, weteranem kilkudziesięciu walk, i wiedział, czego od niego oczekują. Jajo wręczył Dunkowi tarczę.

– Niech bogowie będą z tobą ser – rzekł mu.

Widok wiązu i spadającej gwiazdy podniósł młodzieńca na duchu. Dunk wsunął lewe ramię w rzemienną pętlę i zacisnął palce na uchwycie. „Dębino i żelazo, otoczcie mnie opieką bo inaczej zginę i piekło mnie czeka”. Kopię przyniósł mu Stalowy Pate, ale Jajo uparł się, że to on musi ją włożyć Dunkowi w dłoń.

Po obu stronach jego towarzysze mieli już w rękach kopie i rozciągnęli się w długą linię. Po prawej miał księcia Baelora, a po lewej ser Lyonela, lecz wąska wizura hełmu pozwalała Dunkowi widzieć tylko to, co znajdowało się bezpośrednio przed nim. Trybuna zniknęła mu z oczu, podobnie jak tłoczący się za płotem prostaczkowie. Zostało tylko błotniste pole, blade kosmyki mgły, rzeka, miasteczko i zamek na północy oraz dosiadające siwego rumaka książątka z płomieniami na hełmie i smokiem na tarczy. Giermek wręczył Aerionowi bojową kopię, długą na osiem stóp i czarną jak noc. „Przebije mi nią serce, jeśli zdoła”.

Zabrzmiął róg.

Przez jedno uderzenie serca Dunk siedział nieruchomo jak mucha w bursztynie, choć wszystkie konie ruszyły z kopyta. Ogarnęła go panika. „Zapomniałem” – myślał jak szalony. „Zapomniałem, czego mnie uczono. Okryję się hańbą i stracę wszystko”.

Uratował go Grom. Wielki, kasztanowaty ogier wiedział, co trzeba robić, nawet jeśli nie wiedział tego jego pan. Ruszył naprzód powolnym kłusem. Dunk przypomniał sobie nauki starego. Spiął lekko rumaka ostrogami i pochylił kopię. W tej samej chwili uniósł tarczę, osłaniając nią większą część lewej połowy ciała. Trzymał ją pod kątem, by odbijała ciosy. „Dębino i żelazo, otoczenie mnie opieką bo inaczej zginę i piekło mnie czeka”.

Krzyki tłumu przypominały łoskot odległych fal. Grom przeszedł w cwał. Zęby Dunka uderzyły nagle o siebie wskutek gwałtownego wstrząsu. Zacisnął ze wszystkich sił nogi, pozwalając, by jego ciało stało się jednym z ruchem konia. „Ja jestem Gromem, a on jest mną, jesteśmy jedną istotą połączoną w całość”. Pod hełmem zrobiło się tak gorąco, że ledwie mógł oddychać.

W walce turniejowej miałby przeciwnika z lewej strony, za barierką. Musiałby wtedy przełożyć kopię nad szyją Groma. Przy uderzeniu pod kątem drewno łatwiej się rozszepiało. Dzisiaj jednak toczyli inny, bardziej morderczy bój. Nie dzieliły ich barierki i rumaki szarżowały prosto na siebie. Potężny karosz księcia Baelora był dużo szybszy od Groma i Dunk zauważył kącikiem oka, że już go znacznie wyprzedził. Pozostałych nie tyle widział, ile wyczuwał. „Oni się nie liczą. Ważny jest tylko Aerion, tylko on”.

Wbił wzrok w zbliżającego się smoka. Spod kopyt siwka księcia Aeriona tryskało błoto. Dunk zauważył, że koń przeciwnika rozwarł chrapy. Czarna kopia nadal była uniesiona ku górze. Rycerz, który trzyma kopię w ten sposób i pochyla ją dopiero w ostatniej chwili, ryzykuje, że opuści ją za nisko. Tak tłumaczył mu to stary. Dunk wycelował kopię w sam środek piersi książątka. „Kopia jest przedłużeniem mojej ręki” – powtarzał sobie. „Jest moim palcem, drewnianym palcem. Muszę tylko dotknąć go długim, drewnianym palcem”.

Starł się nie patrzeć na ostry grot na końcu czarnej kopii Aeriona, który z każdym krokiem stawał się większy. „Smok, patrz na smoka” – myślał. Wielka, trójgłowa bestia obejmowała całą tarczę księcia swymi czerwonymi skrzydłami i złotym ogniem. „Nie, patrz tylko w miejsce, w które chcesz uderzyć” – przypomniał sobie nagle. Jego kopia zaczęła się już jednak przesuwając w bok. Dunk próbował ją wyprostować, ale było na to za późno. Jej koniec uderzył w tarczę Aeriona, między dwoma smoczymi głowami, zostawiając głęboką rysę w malowanym płomieniu. Rozległ się głuchy trzask i Grom zadrżał pod jeźdźcem wskutek nagłego wstrząsu. Pół uderzenia serca później coś trafiło Dunka w bok ze straszliwą siłą. Konie starły się gwałtownie ze sobą z trzaskiem i szcękaniem zbroi. Grom się potknął i kopia wypadła Dunkowi z rąk. Potem minął przeciwnika, rozpaczliwie usiłując utrzymać się w siodle. Grom pośliznął się na błocie i Dunk poczuł, że tylne nogi jego wierzchowca się uginają. Pomknęli, wirując w bok, aż wreszcie zad rumaka klapnął ciężko o ziemię.

– Podnieś się! – ryknął Dunk, spinając go ostrogami. – Podnieś się, Grom.

Jakimś cudem stare konisko zdołało się dźwignąć.

Dunk czuł pod żebrem ostry ból. Lewa ręka mu opadała. Kopia Aeriona przebiła dębiny, welnę i stal. Z boku młodzieńca sterczały trzy stopy złamanego jesionu i ostrego żelaza. Dunk złapał prawą ręką drzewce kopii tuż za grotem, zacisnął zęby i wyszarpnął je jednym, gwałtownym ruchem. Z rany popłynęła krew, która przesączała się przez kolczugę, barwiąc oponczę na czerwono. Świat zawirował i Dunk omal nie spadł. Słabo, przez zasłonę bólu, słyszał głosy wołające go po imieniu. Jego piękna tarcza była teraz całkowicie bezużyteczna. Odrzucił ją na bok, wiąż i spadającą gwiazdę razem ze złamaną kopią po czym wyciągnął miecz. Ból był jednak tak straszliwy, że Dunk nie wiedział, czy będzie w stanie zadawać ciosy.

Zawrócił Groma, zataczając ciasny krąg, i spróbował się zorientować, co się dzieje na polu walki. Ser Humfrey Hardyng trzymał się szyi wierzchowca, niewątpliwie ranny. Drugi ser Humfrey leżał bez ruchu w zmieszonym z krwią błocie, a z krocza sterczała mu złamana kopia. Książę Baelor pomknął cwałem dalej. Jego kopia była nietknięta i udało mu się wysadzić z siodła jednego z gwardzistów królewskich. Inny z białych rycerzy również padł już na ziemię, podobnie jak książę Maekar. Trzeci rycerz Gwardii Królewskiej odpierał ataki ser Robyna Rhyslinga.

„Aerion, gdzie jest Aerion?”. Dunk odwrócił gwałtownie głowę, słysząc za plecami tętent kopyt. Grom zarżał i stanął dęba, tłukąc bezsilnie kopytami, gdy siwy ogier księcia uderzył weń w pełnym cwale.

Tym razem Dunk nie miał szans utrzymać się w siodle. Miecz wypadł mu z dłoni, a ziemia pomknęła na spotkanie. Runął na nią z gwałtownym wstrząsem, który targnął jego kośćmi i pozbawił go tchu. Ból był tak ostry, że przez chwilę młodzieniec leżał tylko i łkał. Usta wypełnił mu smak krwi. „Dunk Przygłup, myślał, że może zostać rycerzem”. Wiedział, że musi wstać, bo inaczej zginie. Podźwignął się z jękiem na ręce i kolana. Nie mógł oddychać, nic nie widział. Wizurę hełmu zatkało błoto. Dunk podniósł się na oślep, wydrapując mokrą ziemię opancerzonym palcem. „W porządku, już...”.

Zobaczył między palcami unoszącego się w powietrzu smoka i kolczastą kulę morgenszternu, wirującą na łańcuchu. Gdy spadła, Dunkowi wydało się, że głowa pęka mu na kawałki.

Kiedy otworzył oczy, leżał na wznak na ziemi. Cios strząsnął błoto z jego hełmu, ale teraz jedno oko zalewała mu krew. Nad sobą nie widział nic poza ciemnoszarym niebem. Jego twarz ogarnął pulsujący ból. Na policzku i skroni czuł dotyk zimnego, mokrego metalu. „Rozbił mi głowę i umieram”. Co gorsza, inni zginą razem z nim. Raymun, książę Baelor i cała reszta. „Zawiodłem ich. Nie jestem mistrzem. Nie jestem nawet wędrownym rycerzem. Jestem niczym”. Przypomniał sobie, jak wcześniej książę Daeron przechwalał się, że nikt nie potrafi leżeć bez czucia w błocie lepiej od niego. „Ale nigdy nie widział Dunka Przygłupa, prawda?”. Wstyd był gorszy od bólu.

Nagle ujrzał nad sobą smoka.

Miał trzy głowy i skrzydła jaskrawe jak płomień, czerwone, żółte i pomarańczowe. Śmiał się.

– Już cię zabiłem, wędrowny rycerzu? – zapytał. – Proś o łaskę i przyznaj się do winy, a może zadowolę się dłonią i stopą. Aha, i jeszcze zębami, ale cóż znaczy kilka zębów? Człowiek taki jak ty może przeżyć długie lata na przecierze z grochu. – Smok znowu się roześmiał. – Nie? No to zjedz to.

Kolczasta kula zawirowała na niebie i pomknęła w dół z szybkością spadającej gwiazdy.

Dunk przetoczył się w bok.

Znalazł gdzieś siłę, nie wiedział gdzie. Uderzył w nogi Aeriona, otoczył jego udo zakutym w stal ramieniem, obalił go z przekleństwem na ziemię i przygniół własnym ciężarem. „Niech teraz spróbuje się zamachnąć tym cholernym morgenszternem”. Księżę uderzył Dunka w głowę brzegiem tarczy, lecz poobijany hełm młodzieńca wytrzymał cios. Aerionowi nie brakowało siły, ale Dunk był od niego silniejszy, większy i cięższy. Złapał tarczę obiema dłońmi i nie przestawał ciągnąć, aż wreszcie rzemienie pękły. Potem zaczął tłuc nią w głowę książątka, raz za razem, roztrzaskując emaliowane płomienie. Ta tarcza była grubsza od należącej do Dunka, zrobiona z solidnej dębiny wzmocnionej żelazem. Jeden płomień odpadł, później drugi. Księżciu zabrakło płomieni dużo wcześniej, nim Dunkowi zabrakło sił do zadawania ciosów.

Aerion wypuścił wreszcie z rąk bezużyteczny morgensztern i sięgnął po puginał, który miał u pasa. Zdołał go wysunąć z pochwy, ale gdy Dunk zdzielił go w dłoń tarczą nóż poleciał w błoto.

„Mógł zwyciężyć ser Duncana Wysokiego, ale nie Dunka z Zapchlonego Tyłka”. Stary nauczył go posługiwać się kopią i mieczem, lecz ten sposób walki Dunk opanował znacznie wcześniej, w mrocznych zakamarkach i ciemnych zaułkach za szynkami miasta. Odrzucił na bok poobtłukiwaną tarczę i siłą uniósł zasłone hełmu Aeriona. „Zasłona to słaby punkt” – przypomniał sobie słowa Stalowego Pate’a. Księżę właściwie już przestał się opierać. Jego fioletowe oczy wypełniło przerażenie. Dunk poczuł nagłe pragnienie, by wyrwać jedno z nich i zmiażdżyć niczym winogrono między stalowymi palcami. To jednak nie byłby rycerski postępek.

– PODDAJ SIĘ! – krzyknął.

– Poddaję się – wyszeptał smok, ledwie poruszając pobladłymi wargami. Dunk zamrugał powiekami. Przez chwilę niemal nie wierzył własnym uszom. „Czy to już koniec?”. Pokręcił powoli głową w obie strony, starając się coś zobaczyć. Wizurę miał częściowo zamkniętą przez cios, który zmiażdżył lewą część jego hełmu. Zauważył księcia Maekara, który starał się przebić do syna z maczugą w rękę. Powstrzymał go Baelor Złamana Włócznia.

Dunk podźwignął się ciężko, wlokąc za sobą księcia Aeriona. Szarpnął za rzemienie hełmu, zerwał go z głowy i odrzucił na bok. Natychmiast zalały go widoki i dźwięki;

stęknienia i przekleństwa, krzyki tłumu; jeden ogier kwiczał głośno, a drugi gnał bez jeźdźca przez pole. Wszędzie wokół stal dzwięczała o stal. Raymun i jego kuzyn okładali się mieczami przed trybuną. Obaj walczyli pieszo. Ich tarcze popękały i porozszczepiały się pod ciosami oręża, a z zielonego oraz czerwonego jabłka zostały jedynie drzazgi. Jeden z rycerzy Gwardii Królewskiej znosił z pola rannego brata. W swych białych płaszczach i zbrojach wszyscy wyglądali tak samo. Trzeci z białych rycerzy padł i Roześmiana Burza przyłączył się do księcia Baelora w walce z księciem Maekarem. Maczuga, topór i miecz uderzały z brzękiem o siebie, odbijały się od tarcz i hełmów. Maekar otrzymywał trzy ciosy za każdy, który zadał, i Dunk widział, że walka nie potrwa już długo. „Muszę z tym skończyć, zanim zginie więcej ludzi”.

Wtem książę Aerion rzucił się w stronę morgenszternu. Dunk kopnął go w plecy i obalił na ziemię twarzą w dół, a potem złapał za nogę i pociągnął za sobą przez pole. Gdy dotarł do trybuny, na której siedział lord Ashford, Jasny Książę zrobił się brązowy jak wychodek. Dunk postawił go na nogi i potrząsnął nim mocno, opryskując przy tym błotem lorda Ashforda i piękną pannę.

– Powiedz mu to!

Aerion Jasny Płomień wypluł garść trawy i ziemi.

– Wycofuję oskarżenie – oznajmił.

* * *

Dunk nie potrafiłby później powiedzieć, czy zszedł z pola o własnych siłach, czy też potrzebował pomocy. Wszędzie go bolało, w niektórych miejscach mocniej niż w innych. Pamiętał, że zadawał sobie pytanie: „Czy zostałem teraz prawdziwym rycerzem? Czy zostałem mistrzem?”.

Nagolenniki i naszyjnik pomógł mu zdjąć Jajo, na spólkę z Raymunem, a nawet Stalowym Pate'em. Młodzieniec był zbyt oszołomiony, by mógł ich od siebie odróżnić. Byli tylko palcami u rąk oraz głosami. Dunk wiedział jednak, że to Pate jest tym, który utyskuje.

– Patrzcie, co on zrobił z moją zbroją – skarżył się płatnerz. – Cała jest powgniatana, porysowana i podrapana. Ech, powiedzcie mi, po co właściwie się trudzę? Chyba będę musiał przeciąć tę kolczugę.

– Raymunie – odezwał się Dunk, chwytając nerwowo dłonie przyjaciela. – Co z innymi? Jak im się powiodło? – Musiał się tego dowiedzieć. – Czy ktoś zginął?

– Beesbury – odpowiedział młody Fossoway. – Donnel z Duskendale zabił go już podczas pierwszej szarży. Ser Humfrey również został ciężko ranny. Pozostali są tylko posiniaczeni i trochę krwawią. Oprócz ciebie.

– A oni? Oskarżyciele?

– Ser Willema Wylda z Gwardii Królewskiej zniesiono z pola nieprzytomnego. Chyba też złamałem kuzynowi kilka żeber. Przynajmniej mam taką nadzieję.

– A księżę Daeron? – zapytał Dunk. – Czy żyje?

– Od chwili, gdy ser Robyn wysadził go z siodła, leżał na ziemi i nie ruszał się z miejsca. Może mieć złamaną stopę, bo nadepnął go własny koń, biegając swobodnie po polu.

Choć Dunk wciąż jeszcze był oszołomiony, poczuł przemożną ulgę.

– To znaczy, że jego sen się nie sprawdził. Ten o martwym smoku. Chyba że Aerion zginął. Ale on żyje, prawda?

– Żyje – potwierdził Jajo. – Oszczędziłeś go. Nie pamiętasz?

– Chyba pamiętam. – Jego wspomnienia o walce zaczynały się już zacierać. – W jednej chwili czuję się jak pijany, a w następnej boli mnie tak, jakbym miał za chwilę umrzeć.

Położyli go na plecach i mówili do niego cały czas, gdy wpatrywał się w zachmurzone, szare niebo. Dunkowi wydawało się, że jest jeszcze rano. Zadał sobie pytanie, jak długo trwała walka.

– Bogowie, bądźcie łaskawi, grot kopii wbił mu kolczugę głęboko w ciało – usłyszał głos Raymuna. – Rana będzie się paskudziła, jeśli nie...

– Upijcie go i zalejcie ją gotującym olejem – poradził ktoś. – Tak właśnie robią maesterzy.

– Winem. – Głos miał głuche, metaliczne brzmienie. – Nie olejem, bo to by go zabiło. Winem. Przyślę maestra Yormwella, żeby się nim zajął, kiedy już opatry mojego brata.

Stał nad nim wysoki rycerz, którego czarną zbroję powgniatały i porysowały liczne ciosy. „Księżę Baelor”. Szkarłatny smok na jego hełmie stracił głowę, oba skrzydła i większą część ogona.

– Wasza Miłość – odezwał się Dunk. – Jestem twoim sługą. Proszę. Twoim.

– Moim sługą. – Czarny rycerz wsparł się dłonią o ramię Raymuna. – Potrzebuję dobrych ludzi. Królestwo...

Jego głos był dziwnie niewyraźny. Być może księżę ugryzł się w język.

Dunk był bardzo zmęczony. Trudno mu było zachować przytomność.

– Twoim sługą – wyszeptał raz jeszcze.

Księżę pokręcił powoli głową.

– Ser Raymunie... mój hełm, jeśli łaska. Zasłona... zasłona pękła, a palce... palce mam jak z drewna...

– Natychmiast, Wasza Miłość. – Raymun ujął hełm księcia w obie dłonie i stęknął głośno.

– Kumotrze Pate, pomóż mi...

Stalowy Pate przyniósł ze sobą stółek.

– Hełm wgniótł się z tyłu, Wasza Miłość, po lewej stronie. Wbił się w naszyjnik. To dobra stal, skoro zatrzymała taki cios.

– To na pewno była maczuga brata – wybełkotał Baelor. – On jest silny. – Wzdrygnął się nagle. – Dziwnie... dziwnie się czuję...

– Już idzie. – Pate uniósł wgnieciony hełm. – Dobrzy bogowie. Och, bogowie, bogowie, bogowie, ratujcie...

Dunk zobaczył coś mokrego i czerwonego, co wypadło z hełmu. Ktoś krzyczał, strasznym, przenikliwym głosem. Na tle szarego nieba chwiała się sylwetka wysokiego księcia w czarnej zbroi. Miał tylko połowę czaszki. Dunk widział czerwoną krew i białą kość pod nią, a także coś innego, coś miękkiego i niebieskoszarego. Twarz Baelora Złamanej Włóczni przybrała na chwilę dziwny, zakłopotany wyraz, jakby chmura przesłoniła nagle słońce. Książę uniósł dłoń i dotknął leciutko swej potylicy dwoma palcami. A potem upadł.

Dunk zdążył go złapać. Mówili mu potem, że wołał: „Podnieś się, podnieś”, tak jak do Groma podczas walki, ale on tego nie pamiętał, a książę już nie wstał.

* * *

Baelora z rodu Targaryenów, księcia Smoczej Skały, królewskiego namiestnika, protektora królestwa i dziedzica Żelaznego Tronu Siedmiu Królestw Westeros oddano płomieniom na dziedzińcu zamku Ashford, na północnym brzegu Cockleswentu. Inne wielkie rody mogły grzebać swych zmarłych w czarnej ziemi albo topić w zimnym, zielonym morzu, ale Targaryenowie byli krwią smoka i u kresu życia czekał ich ogień.

Baelor był najwspanialszym rycerzem swej epoki i niektórzy twierdzili, że powinien pójść na spotkanie ciemności w zbroi i z mieczem w ręku. W końcu jednak przeważało życzenie jego królewskiego ojca, a Daeron II miał pokojową naturę. Gdy Dunk przechodził obok mar księcia, zobaczył, że Baelor ma na sobie czarną aksamitną bluzę z trójgłowym smokiem wyhaftowanym szkarłatną nicią na piersi. Na szyi miał ciężki, złoty łańcuch. Miecz leżał w pochwie u jego boku, ale na głowę włożono mu paradny hełm, cienki i złoty. Zastłonę uniesiono, by ludzie widzieli jego twarz.

Valarr, Młody Książę, pełnił straż u podnóża mar, na których złożono jego ojca. Był jego młodszą, szczuplejszą i przystojniejszą wersją nie miał też złamanego w dwóch miejscach nosa, który nadawał Baelorowi bardziej ludzki niż królewski wygląd. Włosy Valarra były brązowe, lecz przebiegało przez nie jasne srebrnozłote pasmo. Ten widok przywiódł Dunkowi na myśl Aeriona, wiedział jednak, że nie jest sprawiedliwy. Odrastające włosy Jaja były jasne jak u jego brata, a Jajo był porządnym chłopakiem, jak na księcia.

Gdy zatrzymał się, by złożyć nieskładne kondolencje, gęsto usiane podziękowaniami, książę Valarr zamrugał tylko powiekami zimnych, niebieskich oczu.

– Mój ojciec miał trzydzieści dziewięć lat i zadatki na wielkiego króla, największego od czasów Aegona Smoka. Dlaczego bogowie zabrali jego, a zostawili ciebie? – Potrząsnął głową. – Idź już, ser Duncanie. Idź już.

Dunk opuścił bez słowa zamek i pokuśtykał do swego obozu nad zielonym stawem. Nie potrafił odpowiedzieć na pytanie Valarra. Ani na te, które zadawał sobie sam. Maesterzy i ich gotujące wino wykonali swe zadanie i jego rana goiła się czysto, choć między lewym ramieniem a brodawką sutkową miała mu zostać głęboka, pomarszczona blizna. Gdy patrzył na tę ranę, musiał myśleć o Baelorze. „Raz uratował mnie swym mieczem, a drugi raz słowem, choć był już wówczas właściwie trupem”. Na świecie zabrakło sensu, jeśli wielki książę ginął po to, by wędrowny rycerz mógł żyć. Dunk usiadł pod więzaniem, wpatrując się z przygnębieniem we własne stopy.

* * *

Gdy wieczorem do obozu przybyło czterech zbrojnych w królewskich barwach, Dunk był pewien, że postanowili jednak go zabić. Siedział i czekał, opierając się plecami o więzanie, zbyt słaby i znudzony, żeby wydobyć miecz.

– Nasz książę uprasza o chwilę rozmowy na osobności.

– Który książę? – zapytał nieufnie Dunk.

– Ten książę – odezwał się szorstki głos, nim kapitan zbrojnych zdążył odpowiedzieć. Zza więzania wyszedł Maekar Targaryen.

Dunk wstał powoli. „A czegoż on może ode mnie chcieć?”

Maekar skinął głową i zbrojni zniknęli równie nagle, jak się pojawili. Książę przyglądał się Dunkowi przez długą chwilę, po czym odwrócił się i oddalił o kilka kroków. Zatrzymał się przed stawem i wpatrzył w swe odbicie w wodzie.

– Wysłałem Aeriona do Lys – oznajmił nagle. – Może kilka lat w Wolnych Miastach zmieni go na lepsze.

Dunk nigdy nie był w Wolnych Miastach, nie wiedział więc, co na to powiedzieć. Cieszył się, że Aerion opuścił Siedem Królestw, i miał nadzieję, że nigdy tu nie wróci, ale czegoś takiego raczej nie mówiło się ojcu o jego synu. Dlatego milczał.

Książę Maekar zwrócił się ku niemu.

– Niektórzy będą mówili, że celowo zabiłem brata. Bogowie wiedzą że to łgarstwo, ale będę słyszał takie szeptaki aż do samej śmierci. To moja maczuga zadała śmiertelny cios, nie wątpię w to nawet przez chwilę. Poza mną walczył tylko z trzema rycerzami Gwardii Królewskiej, a im złożone śluby pozwalały jedynie się bronić. To musiałem być ja. Co dziwne, nawet nie pamiętam ciosu, który roztrzaskał mu czaszkę. Czy to łaska, czy przekleństwo? Zapewne jedno i drugie po trosze.

Sądząc z tego, jak książę patrzył na Dunka, zapewne spodziewał się odpowiedzi.

– Nie potrafię ci tego powiedzieć, Wasza Miłość. – Być może powinien nienawidzić Maekara, lecz zamiast tego darzył go dziwnym współczuciem. – Ty zadałeś cios maczugą

panie, ale to dla mnie zginął książe Baelor. To znaczy, że ja również go zabiłem, tak samo jak ty.

– To prawda – przyznał książe. – Ty również usłyszysz takie szept. Król jest stary. Kiedy umrze, Valarr zasiądzie na Żelaznym Tronie zamiast ojca i gdy tylko zdarzy się przegrana bitwa albo nieurodzaj, głupcy będą powtarzali: „Baelor by do tego nie dopuścił, ale zabił go wędrowny rycerz”.

Dunk dostrzegł prawdę w tych słowach.

– Gdybym nie stanął do walki, kazałbyś mi uciąć rękę i stopę. Kiedy tak sobie siedziałem pod drzewem, czasami spoglądałem na swe stopy i zadawałem sobie pytanie, czy rzeczywiście nie mógłbym jednej poświęcić. Jak moja stopa może być warta życia księcia? I obu Humfreyów też. Oni również byli dobrymi rycerzami.

Ser Humfrey Hardyng zmarł od ran ostatniej nocy.

– I jaką odpowiedź dało ci drzewo?

– Nie usłyszałem żadnej. Ale stary, ser Arian, zawsze pod wieczór mawiał: „Kto wie, co też przyniesie nam jutro?”. Nie wiedział tego, nikt z nas tego nie wie. Ale może kiedyś nadejdzie taki dzień, że będę potrzebował obu stóp? Że królestwo będzie potrzebowało tej stopy bardziej niż życia księcia?

Maekar zastanawiał się nad tym przez chwilę, zaciskając usta skryte pod srebrnobiałą brodą, która nadawała jego twarzy kwadratowy kształt.

– Bardzo w to wątpię – rzekł wreszcie ochryłym głosem. – Wędrownych rycerzy jest w królestwie tyle co wróbli i wszyscy mają po dwie stopy.

– Jeśli Wasza Miłość zna lepszą odpowiedź, to z chęcią ją usłyszę.

Maekar zmarszczył brwi.

– Być może bogowie lubują się w okrutnych żartach. Albo może nie ma żadnych bogów. Być może nic w ogóle nie ma sensu. Zapytałbym o to wielkiego septona, ale kiedy ostatnio z nim mówiłem, usłyszałem od niego, że nikt z nas nie potrafi w pełni zrozumieć bożych wyroków. Być może powinien spróbować spania pod drzewem. – Książe się skrzywił. – Mój najmłodszy syn czemuś cię polubił, ser. Czas już, by został giermkim, ale mówi mi, że nie będzie służył żadnemu rycerzowi oprócz ciebie. To niesforny chłopiec, jak sam z pewnością zauważyłeś. Czy zgodzisz się go przyjąć?

– Ja? – Dunk otworzył usta, zamknął je, a potem znowu otworzył. – Jajo... to znaczy Aegon... to dobry chłopak, ale, Wasza Miłość, wiem, że to dla mnie zaszczyt, ale... jestem tylko wędrownym rycerzem.

– To można zmienić – stwierdził Maekar. – Aegon ma wrócić do mojego zamku w Summerhall. Jeśli pragniesz, znajdzie się tam miejsce i dla ciebie. Zostaniesz jednym z moich domowych rycerzy. Przysięgniesz mi służbę i Aegon będzie mógł zostać twoim giermkim. A kiedy będziesz go szkolił, mój dowódca zbrojnych dokończy twego szkolenia. – Książe

spojrzał nań z ukosa. – Nie wątpię, że twój ser Arian zrobił, co tylko mógł, ale musisz się jeszcze wiele nauczyć.

– Wiem o tym, panie. – Dunk rozejrzał się wokół. Spojrzał na zieloną trawę, wysoki wiaź, zmarszczki tańczące po tafli stawu skąpanego w blasku słońca. Nad powierzchnią wody leciała druga ważka, a może to była ta sama. „Co wybierasz, Dunk?” – zapytał sam siebie. „Ważki czy smoki?”. Przed kilkoma dniami odpowiedziałby na to pytanie bez chwili zastanowienia. To był szczyt jego marzeń. Teraz jednak, gdy ta perspektywa stała się realna, ogarnął go lęk. – Tuż przed śmiercią księcia Baelora poprzysiągłem, że będę jego sługą.

– To spora zarozumiałość z twojej strony – zauważył Maekar. – I co ci na to rzekł?

– Że królestwo potrzebuje dobrych ludzi.

– To z pewnością prawda. Jak więc będzie?

– Przyjmę twego syna na giermka, Wasza Miłość, ale nie w Summerhall. Jeszcze nie przez rok albo dwa. Zgodzę się tylko pod warunkiem, że będzie mi towarzyszył na szlaku. – Wskazał na starą Kasztankę. – Będzie jeździł na mojej chabecie, nosił mój stary płaszcz, ostrzył mi miecz i czyścił kolczugę. Będziemy sypiali w gospodach i stajniach, od czasu do czasu również w zamku jakiegoś rycerza na włościach albo pomniejszego lorda, a kiedy będziemy musieli, być może też pod drzewami.

Książę Maekar popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– Człowieku, czy od próby walki pomieszało ci się w głowie? Aegon jest księciem królestwa. Krwią smoka. Książęta nie są stworzeni do spania w rowach i jadań twardej, solonej wołowiny. – Nagle zobaczył, że Dunk się zawahał. – Widzę, że boisz mi się coś powiedzieć. Mów śmiało, ser.

– Idę o zakład, że Daeron nigdy nie spał w rowie – rzekł bardzo cicho Dunk – a wołowina, którą jadł Aerion, zawsze była świeża, krwista i dobrze przyrządzona.

Maekar Targaryen, książę Summerhall, przez długą chwilę przyglądał się Dunkowi z Zapchlonego Tyłka, bezgłośnie poruszając zuchwą porośniętą srebrzystą brodą. Wreszcie odwrócił się i odszedł, nie odzywając się ani słowem. Dunk słyszał, jak odjeżdża ze swymi ludźmi. Gdy już się oddalili, nie było słyhać nic oprócz brzęczenia skrzydełek sunącej nad wodą ważki.

* * *

Chłopiec zjawił się następnego ranka, ze wschodem słońca. Miał na sobie znoszone buty, brązowe portki, wełnianą bluzę tego samego koloru oraz stary podróżny płaszcz.

– Ojciec powiedział mi, że mam ci służyć.

– Że mam ci służyć, ser – przypomniał mu Dunk. – Możesz zacząć od osiodłania koni. Kasztanka należy do ciebie, traktuj ją dobrze. Nie chcę cię widzieć na grzbiecie Groma, chyba że sam cię tam posadzę.

Jajo poszedł po siodła.

– Dokąd jedziemy, ser?

Dunk zastanawiał się przez chwilę.

– Nigdy jeszcze nie byłem za Górami Czerwonymi. Chciałbyś zobaczyć Dorne?

Jajo uśmiechnął się szeroko.

– Słyszałem, że mają tam dobre przedstawienia kukielkowe.

Przełożył Michał Jakuszewski

Portrety jego dzieci

Richard Cantling znalazł paczkę opartą o drzwi frontowe pewnego późnopaździernikowego wieczoru, kiedy wybierał się na spacer. Poirytowało go to. Wielokrotnie powtarzał listonoszowi, żeby dzwonił, jeśli przynosi coś, co nie mieści się w otworze w drzwiach, ten jednak uparcie zostawiał paczki na ganku, skąd mógł je sobie zabrać każdy przechodzień. Co prawda dom Cantlinga stał z dala od innych, na nadrzecznych urwiskach u końca ślepego zaułka, a od strony ulicy niemal całkowicie zasłaniały go drzewa, przesyłki mogły też jednak ucierpieć od deszczu, wiatru lub śniegu.

Niezadowolenie Cantlinga trwało tylko chwilę. Owinięta w gruby, brązowy papier i starannie zabezpieczona taśmą paczka miała charakterystyczny kształt. To mógł być jedynie obraz. Adres wypisano drukowanymi literami, grubym zielonym markerem. Z pewnością skreśliła go ręka Michelle. Nowy autoportret. Widocznie czuła skruchę.

Nie chciał przyznać, nawet przed samym sobą jak bardzo go to zaskoczyło. Zawsze był uparty. Pamiętał urazy przez lata, nawet dziesięciolecia, i bardzo trudno mu było uznać swój błąd. Michelle, jego jedyne dziecko, odziedziczyła po nim wszystkie te cechy. Nie spodziewał się z jej strony takiego gestu. To było... hmm, słodkie.

Odstawił na bok łaskę, by wnieść paczkę do środka, gdzie wilgoć i porywisty październikowy wiatr nie będą mu przeszkadzały w jej rozpakowaniu. Obraz miał około trzech stóp wysokości i był nadspodziewanie ciężki. Cantling uniósł go niezgrabnie, zamknął za sobą drzwi stopą i ruszył długim korytarzem w stronę swego zacisza. Brązowe kotary były szczelnie zasunięte, a mroczny pokój wypełniała intensywna woń kurzu. Musiał odstawić pakunek, żeby zapalić światło.

Od owej nocy przed dwoma miesiącami, gdy wzburzona Michelle wybiegła, trzaskając drzwiami, rzadko korzystał z zacisza. Jej autoportret nadal wisiał nad szerokim, łupkowym obramowaniem kominka. Sam kominek stanowczo wymagał czyszczenia, a na wbudowanych w ściany regałach wałały się zakurzone powieści napisane przez Cantlinga, wszystkie oprawne w piękną ciemną skórę. Na widok starego obrazu Cantling poczuł ponowny przypływ gniewu, po którym przyszło przygnębienie. Michelle postąpiła bardzo złośliwie.

Szczerze mówiąc, portret był całkiem niezły. Podobał mu się znacznie bardziej niż udreżone abstrakcje, które tworzyła dla przyjemności, czy banalne okładki paperbacków, z których żyła. Namalowała go, gdy miała dwadzieścia lat, jako prezent urodzinowy. Cantling zawsze go lubił. Portret przedstawiał oblicze jego córki tak, jak nigdy nie uczyniła tego żadna fotografia, nie tylko rysy twarzy, wysoko ustawione, wydatne kości policzkowe, niebieskie oczy i rozczochrane popielatoblond włosy, lecz również ukrytą wewnątrz osobowość. Michelle była na nim młoda, świeża i pewna siebie, a jej uśmiech bardzo przypominał mu Helen, która uśmiechała się tak w dzień ich ślubu. Niejeden raz powtarzał Michelle, jak bardzo mu się podoba ten uśmiech.

No i oczywiście zaczęła właśnie od niego. Wzięła zabytkowy sztylet z jego kolekcji i wycięła usta czterema nierównymi pociągnięciami. Potem wylupiła wielkie, niebieskie oczy, jakby chciała oślepić portret. Kiedy wpadł do pokoju, kroila płótno na paski długimi, gniewnymi, krzywymi cięciami. Cantling nie potrafił zapomnieć tej chwili. To było odrażające. Nie potrafił pojąć, jak można zrobić coś takiego z własnym dziełem. Próbował sobie wyobrazić, jak sam kaleczy którąś z własnych książek, starał się zrozumieć, co mogłoby pchnąć człowieka do podobnego uczynku, lecz jego wysiłki skończyły się całkowitym niepowodzeniem. To było niepojęte, przekraczało granice wyobraźni.

Zmasakrowany portret wciąż wisiał na dawnym miejscu. Cantling był zbyt uparty, żeby go zdjąć, ale nie był też w stanie na niego patrzeć. Dlatego zaczął unikać zacisza. Nie sprawiało mu to trudności. Stary dom był wielki i zbudowany bez jednolitego planu. Było w nim więcej pokoi, niż mógł ich kiedykolwiek potrzebować. W końcu żył samotnie. Budynek wzniesiono przed stuleciem, gdy Perrot było kwitnącym nadrzecznym miastem. Podobno w domu tym mieszkało wielu kapitanów parowców. Z pewnością jego architektura w stylu parowcowego gotyku z tandetnymi ozdóbkami przywoływała wizję dni chwały rzeki, a z okien na drugim piętrze i z tarasu rozciągał się wspaniały widok na Missisipi. Po tym incydencie Cantling przesunął biurko z maszyną do pisania do jednej z nieużywanych sypialni i zamieszkał w niej, zdecydowany pozostawić zacisze w takim stanie, w jakim opuściła je Michelle, dopóki nie doczeka się jej przeprosin.

Nie spodziewał się jednak, że stanie się to tak szybko, i nie w takiej formie. Łzawy telefon, tak jest, ale nie nowy portret. Ten gest wydał mu się jednak sympatyczniejszy, bardziej osobisty. Stanowił pierwszy krok ku pojednaniu. Richard Cantling aż za dobrze wiedział, że sam nigdy nie potrafi postawić tego kroku, bez względu na to, jak bardzo dokuczy mu samotność. Przenosząc się do tego miasteczka w Iowa, opuścił wszystkich nowojorskich przyjaciół, a tu nie nawiązał żadnych nowych przyjaźni, które by mu ich zastąpiły. Nie była to żadna nowość. Nigdy nie był zbyt towarzyski. Miał w sobie pewną nieśmiałość, która kazała mu się trzymać na dystans, nawet w stosunku do nielicznych przyjaciół. Szczerze mówiąc, nawet w stosunku do rodziny. Helen często zarzucała mu, że bardziej go obchodzą postacie z jego książek niż żywi ludzie. Michelle przejęła od niej tę

opinię jeszcze jako nastolatka. Helen również zniknęła z jego życia. Rozwiodła się z nim przed dziesięcioma laty i zmarła pięć lat później. Choć Michelle nieraz doprowadzała go do szału, była wszystkim, co mu zostało. Tęsknił za nią. Brakowało mu nawet ich kłótni.

Myślał o córce, rozrywając zwykły, pakowy papier. Zadzwoń do niej oczywiście. Zadzwoń do niej i powie, że nowy portret jest wyjątkowo piękny i bardzo mu się podoba. Powie jej, że za nią tęsknił, zaprosi ją na Święto Dziękczynienia. Tak jest, właśnie tak to rozegra. Nie wspomni ani słowem o kłótni. Nie chciał wszczynać jej od nowa, a ani on, ani jego córka nie umieli ustępować. Ta uparta, zawzięta duma była cechą rodzinną przekazywaną genetycznie tak samo, jak wysoko ustawione kości policzkowe i kwadratowa szczęka. Dziedzictwo Cantlingów.

Zobaczył, że rama jest zabytkowa. Drewniana, bogato rzeźbiona i bardzo ciężka. Takie właśnie podobały mu się najbardziej. Będzie pasowała do wiktoriańskiego wnętrza znacznie lepiej niż cienka, mosiężna ramka starego portretu. Zrywał papier, niecierpliwie pragnąc ujrzeć, co namalowała jego córka. Zbliżała się już do trzydziestki. A może ją ukończyła? Nigdy nie pamiętał, ile miała lat, a nawet kiedy obchodziła urodziny. Tak czy inaczej, była teraz znacznie lepszą malarką niż jako dwudziestolatka. Nowy portret powinien być znakomity. Zerwał resztę papieru i odwrócił płótno.

Jego pierwszą myślą było, że to naprawdę świetny obraz, być może najlepszy z tych, jakie Michelle Cantling do tej pory namalowała.

Po chwili jednak podziw zniknął, ustępując miejsca gniewowi. To nie była ona. Nie Michelle. A to oznaczało, że obraz nie miał zastąpić portretu, który z premedytacją zniszczyła. To było... coś innego.

Ktoś inny.

Nigdy w życiu nie widział tej twarzy, lecz rozpoznał ją z taką łatwością jakby patrzył na nią po raz tysięczny. Och, tak.

Mężczyzna na portrecie był młody. Miał dwadzieścia lat, może nawet mniej, choć jego brązowe, kędzierzawe włosy upstrzyły już liczne nitki siwizny. Włosy były rozczochrane, jakby młodzieniec dopiero przed chwilą się obudził, i opadały mu na oczy, jasnozielone oczy o leniwym wyrazie, w których lśniła jakaś sekretna wesołość. Miał wysoko ustawione kości policzkowe Cantlingów, lecz zarys żuchwy świadczył, że nie jest ich kuzynem. Nos miał szeroki i płaski, a uśmiech zaprawiony sarkazmem. W całej jego posturze było coś wyzywającego. Ubrany był w spłowiałe, drelichowe spodnie i wystrzępioną bluzę od dresu z napisem WMCA, a w jednym ręku trzymał na wpół zjedzoną surową cebulę. W tle widać było ceglany mur pokryty graffiti.

Cantling go stworzył.

Edward Donohue, Dunnahoo, jak mówili na niego przyjaciele i koledzy. Inne postacie z debiutanckiej powieści Richarda Cantlinga *Obiboki*. Dunnahoo był głównym bohaterem. Byстрыm, pyskatym inteligentnym chłopakiem. Spoglądając na portret, Cantling odnosił

wrażenie, że znał tę postać przez pół życia. W pewnym sensie rzeczywiście tak było. Znał tego chłopaka i, tak jest, kochał go, w ten szczególny sposób, w jaki pisarz może kochać niektóre ze swych postaci.

Michelle oddała go znakomicie. Gdy Cantling gapił się na obraz, wróciły do niego wszystkie wydarzenia, które tak dawno temu zrodziły się z jego krwawego trudu, wszyscy ludzie, których wymyślił i opisał starannie i z miłością. W jego pamięci ożyli Jocko, Squid, Nancy i pizzeria Ricciego, w której rozgrywała się znaczna część akcji (oczywiście wyobraźni widział ją bardzo wyraźnie), cała sprawa z Arthurem i motocyklem, a także kulminacyjna bójka na pizze. I Dunnahoo. Zwłaszcza on. Cwany, dorastający obibok. „Jeśli nie znają się na żartach, to niech spierdalają” – powiedział w książce. Pewnie z tuzin razy. To były ostatnie słowa powieści.

Przez chwilę Richard Cantling czuł, że wzbiera w nim dziwne, ciepłe uczucie, jakby spotkał starego, dawno niewidzianego przyjaciela.

Potem jednak przypomniał sobie wszystkie wstrętne słowa, którymi obrzucali się z Michelle owej nocy, i nagle zrozumiał. Twarz mu stężała.

– Suka – powiedział na głos. Odwrócił się, pełen bezradnego gniewu, którego nie miał na czym wyładować. – Suka – powtórzył, zatraskując za sobą drzwi zacisza.

* * *

– Ty suko! – zawołał do niej wtedy.

Odwróciła się, nie wypuszczając z ręki noża. Oczy miała zaczerwienione od łez. W drugiej dłoni trzymała uśmiech. Zmiała go w kulkę i rzuciła nim w niego.

– Masz, ty sukinsynu. Tak się zachwycałeś tym cholernym uśmiechem, to go sobie teraz weź.

Kulka odbiła się od policzka Cantlinga. Twarz mu poczerwieniała.

– Jesteś taka sama jak matka – powiedział. – Ona też zawsze wszystko niszczyła.

– Przy tobie miała powody, prawda?

Zignorował jej słowa.

– Co ci się stało, do licha? Co właściwie zamierzasz osiągnąć tym głupim, melodramatycznym gestem? To tylko kiepski melodramat. Wydaje ci się, że jesteś postacią ze sztuki Tennessee Williamsa? Daj spokój, Michelle. Gdybym umieścił podobną scenę w powieści, wszyscy by mnie wyśmiali.

– To nie jest cholerna powieść! – wrzasnęła. – To życie. Moje życie. Ja istnieję naprawdę, ty sukinsynu. Nie jestem postacią z jakiejś cholernej książki.

Odwróciła się błyskawicznie, uniosła nóż i znowu zaczęła ciąć.

Cantling przyglądał się jej spokojnie, krzyżując ramiona na piersi.

– Mam nadzieję, że ten bezsensowny wysiłek sprawia ci przyjemność.

– I to cholerną! – krzyknęła Michelle.

– To świetnie. Nie chciałbym, żeby tyle trudu poszło na marne. Wiesz co, to bardzo wiele o tobie mówi. W końcu kroisz własną twarz. Nie myślałem, że jest w tobie tyle nienawiści do siebie.

– A jeśli nawet jest, to wiemy, komu to zawdzięczam, prawda? – Skończyła i zwróciła się ku niemu, upuszczając nóż na podłogę. Znowu się rozplakała. Dyszała ciężko. – Odchodzę, ty sukinsynu. Mam nadzieję, że będziesz tu kurewsko szczęśliwy.

– Niczym sobie na to nie zasłużyłem – rzekł skrepowany Cantling.

Były to marne przeprosiny, nie najlepszy most ku porozumieniu, nie było go jednak stać na nic więcej. Przepraszanie zawsze przychodziło mu z trudnością.

– Zasłużyłeś na tysiąc razy więcej – darła się Michelle. Była bardzo ładną dziewczyną ale teraz wyglądała brzydko. Cały ten nonsens, że gniew czyni ludzi pięknymi, był okropnym banałem, i do tego nieprawdziwym. Cieszył się, że nigdy nic w tym rodzaju nie napisał. – Podobno jesteś moim ojcem – ciągnęła Michelle. – Podobno jesteś moim ojcem i zgwałciłeś mnie, ty sukinsynu.

* * *

Cantling zawsze spał płytko. Obudził się w środku nocy i usiadł rozdygotany na łóżku. Miał wrażenie, że coś tu nie gra.

W sypialni było ciemno i spokojnie. Co to było? Hałas? Był bardzo wrażliwy na dźwięki. Wysunął się spod pościeli i włożył kaptcie. Ogień, który rozniecił przed położeniem się spać, wypalił się już do węgielków, i w pokoju było zimno. Poszukał ręką szlafroka w szkocką kratę, który wisiał na słupku wielkiego, staromodnego łoża z baldachimem. Włożył szlafrok, zawiązał pasek i zbliżył się cicho do drzwi sypialni. Czasem lekko skrzypiały, otworzył je więc bardzo powoli i ostrożnie. Potem zaczął nasłuchiwać.

Na dole ktoś był. Słyszał odgłosy ruchu.

Poczuł w brzuchu skurcz strachu. Nie miał na górze pistoletu ani nic w tym rodzaju. Nie uznawał takich rzeczy. Zresztą tu podobno było bezpiecznie. To nie był Nowy Jork, a małe, staroświeckie miasteczko. Perrot w stanie Iowa. A mimo to w jego domu był włamywacz. Nic takiego nie zdarzyło mu się ani razu przez wszystkie lata, które spędził na Manhattanie. Co, do diabła, miał zrobić?

Policja, pomyślał. Zamknie drzwi na klucz i zadzwoni na policję. Wrócił do łóżka i sięgnął po telefon.

Który nagle zadzwonił.

Richard Cantling wytrzeszczył oczy. Miał dwa numery: służbowy, który był podłączony do automatycznej sekretarki, i zastrzeżony numer prywatny, który zdradzał tylko najbliższym

przyjaciołom. Palily się oba światełka, co znaczyło, że ktoś dzwonił na prywatny numer. Zawahał się, po czym podniósł słuchawkę.

– Halo.

– Drogi ojczy – odezwał się czyjś głos. – Tylko bez żadnych numerów, tatku. Chciałeś dzwonić po gliny, prawda? Głupio. To tylko ja. Zejdź na dół, to porozmawiamy.

Cantling poczuł nagle bolesny ucisk w gardle. Nigdy w życiu nie słyszał tego głosu, ale znał go, znał go.

– Kto mówi? – zapytał.

– Głupie pytanie – odparł głos. – Wiesz, kto mówi.

Wiedział.

– Kto? – powtórzył jednak.

– Dunnahoo.

To Cantling napisał mu ten tekst.

– To fikcyjna postać.

– Paru recenzentów też tak napisało. Pamiętam, jaki wtedy byłeś wkurzony.

– To fikcyjna postać – upierał się Cantling.

– Ale mi dogryzłeś – zadrwił Dunnahoo. – Jeśli jestem fikcyjny, to w końcu twoja wina, więc przestań się mnie czepiać, dobra? Podnieś dupsko z łóżka i złaż na dół, żebyśmy mogli pogadać.

Odłożył słuchawkę.

Światełka na telefonie zgasyły. Oszołomiony Richard Cantling przysiadł na krawędzi łóżka. Co miał o tym sądzić? Czy to sen? Z pewnością nie. Co mógł zrobić?

Zszedł na parter.

Dunnahoo rozpałił ogień na kominku w salonie i uwałił się na wielkim, skórzanym szezlongu Cantlinga, pijąc z butelki pabst blue ribbon. Gdy Cantling pojawił się w wejściu, młodzieniec uśmiechnął się leniwie.

– Drogi ojczy – odezwał się. – Wyglądasz na skonanego. Chcesz piwa?

– Kim, do diabła, jesteś? – zapytał Cantling.

– Hej, o tym już była mowa. Nie nudź mnie. Łap za piwo i siadaj z dupą przy kominku.

– Jesteś aktorem – wyraził przypuszczenie Cantling. – Jakimś cholernym aktorem. To pomysł Michelle, prawda?

Dunnahoo wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Aktorem? To by było kurewsko dziwne, co? Powiedz mi, czy umieściłbyś taką porąbaną scenę w swojej powieści? Nie ma mowy. Nigdy byś sobie na to nie pozwolił, a gdyby zrobił to ktoś inny na jednym z tych waszych warsztatów albo w książce, którą recenzowałeś, przerobiłbyś go na kurewską mielonkę.

Richard Cantling wszedł powoli do pokoju, wpatrując się w rozwalonego na szezlongu młodzieńca. To nie był aktor. To był Dunnahoo, chłopak z jego książki. Miał twarz z portretu. Cantling opadł na wysoki, wyściełany fotel, nie przestając się na niego gapić.

– To nie ma sensu – wymamrotał. – Czuję się jak w powieści Dickensa.

Dunnahoo wybuchnął śmiechem.

– To nie jest pierdolona *Opowieść wigilijna*, staruszkule, a ja na pewno nie jestem duchem minionego Bożego Narodzenia.

Cantling zmarszczył brwi. Kimkolwiek był jego rozmówca, ten tekst nie pasował do postaci.

– Coś tu nie gra – warknął. – Dunnahoo nie czytał Dickensa. Może Batmana i Robina, ale na pewno nie Dickensa.

– Widziałem film, tatusiu – odparł Dunnahoo. Uniósł butelkę piwa do ust i pociągnął zdrowy łyk.

– Czemu wciąż mówisz do mnie „tatusiu”? – zapytał Cantling. – To też się nie zgadza. To anachronizm. Dunnahoo był ulicznikiem, a nie beatnikiem.

– I ty mi to mówisz? Myślisz, że sam nie wiem? – Roześmiał się. – Kurwa, człowieku, jak inaczej mam na ciebie mówić? – Przesunął palcami po włosach, odgarniając je z oczu. – W końcu jestem twoim pieprzonym pierworodnym.

* * *

Gdyby urodził się chłopiec, chciała dać mu na imię Edward.

– Nie bądź śmieszna, Helen – sprzeciwił się.

– Myślałam, że lubisz to imię.

Nie miał pojęcia, po co przyszła do jego gabinetu. Pracował, czy raczej próbował pracować. Mówił jej, żeby nigdy tu nie przychodziła, kiedy siedzi przy maszynie. Zaraz po ślubie pilnie przestrzegała tej zasady, ale odkąd zaszła w ciążę, nie potrafił sobie z nią poradzić.

– Lubię – odparł, starając się zachować spokój. – Bardzo lubię imię Edward. Uwielbiam je, do cholery. Dlatego tak właśnie nazwałem bohatera mojej książki. Ma na imię Edward. Edward Donohue. I z tego właśnie powodu nie możemy nadać tego imienia dziecku. Już je wykorzystałem. Ile razy muszę ci to tłumaczyć?

– Ale nigdy nie używasz tego imienia w książce – sprzeciwiła się Helen.

Cantling zmarszczył brwi.

– Znowu ją czytałaś? Do diabła, Helen, mówiłem ci, że nie chcę, żebyś dotykała maszynopisu, dopóki nie skończę.

Nie dała się zbić z tropu.

– Nigdy nie nazywasz go Edwardem – upierała się.

– Masz rację – zgodził się. – Nie nazywam go Edwardem. Nazywam go Dunnahoo, ponieważ jest ulicznikiem i taką ma ksywkę. Nie lubi, jak mówią na niego Edward. Ale to nadal jego imię. Ma na imię Edward. Nie lubi go, ale tak ma, kurwa, na imię, a pod koniec mówi komuś, że ma na imię Edward, i to naprawdę jest cholernie ważne. Nie możemy nadać dziecku tego imienia, bo ono jest zajęte. Zmęczyła mnie już ta dyskusja. Jeśli urodzi się chłopak, możemy mu dać na imię Lawrence, po moim dziadku.

– Ale ja nie chcę, żeby miał na imię Lawrence – poskarżyła się. – To takie staromodne. Będą na niego mówili Larry, a ja nie cierpię tego imienia. Dlaczego nie możesz dać na imię Lawrence temu chłopakowi z książki?

– Dlatego, że on ma na imię Edward.

– To jest nasze dziecko – oznajmiła, kładąc rękę na wielkim brzuchu, jakby Cantlingowi potrzebne było wizualne przypomnienie.

Miał już dość sprzeczek. Dość dyskusji. Dość przeszkadzania mu w pracy. Odchylił się do tyłu na krześle.

– Jak długo chodzisz z nim w ciąży?

– Przecież wiesz – odparła ze zdziwioną miną. – Już siedem miesięcy. I tydzień.

Cantling pochylił się i walnął otwartą dłonią w stos leżących obok maszyny kartek.

– A ja noszę to dziecko od trzech cholernych lat. To jest, kurwa, czwarta wersja. I ostatnia. Miał na imię Edward w pierwszej wersji i w drugiej, i w trzeciej, i, do jasnej cholery, będzie miał na imię Edward, kiedy ta przekłeta powieść wreszcie się ukaże. Nosił imię Edward już kilka lat przed tą pamiętną nocą kiedy postanowiłaś mnie zaskoczyć, wyrzucając wkładkę i dając sobie zrobić dzieciaka.

– To nieuczciwe – poskarżyła się. – To tylko postać z książki, a ja mówię o naszym dziecku.

– Uczciwe? Chcesz uczciwości? Dobra. Proszę bardzo. Nasz pierworodny syn będzie miał na imię Edward. Zgadzasz się?

Mina Helen złagodniała. Kobieta uśmiechnęła się nieśmiało.

Uniosł rękę, nim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

– Oczywiście, ja skończę to cholerstwo za jakiś miesiąc, jeśli tylko przestaniesz mi wreszcie przerywać. Ty masz trochę dalej do celu. Ale to najuczciwsza propozycja, na jaką mnie stać. Jeśli się uwiniesz, nim napiszę KONIEC, imię jest twoje. W przeciwnym razie – znowu klepnął dłonią w maszynopis – to moje dziecko będzie pierworodnym.

– Nie możesz... – chciała zaprotestować.

Cantling zaczął stukać w klawisze.

* * *

– Mój pierworodny – rzekł Richard Cantling.

– We własnej osobie – przytaknął Dunnahoo. Uniósł butelkę piwa w toaście. – Za ojców i synów, hej! – zawołał.

Opróżnił butelkę jednym długim haustem i cisnął ją na drugi koniec pokoju. Rozbiła się w kominku.

– To tylko sen – stwierdził Cantling.

Dunnahoo cmoknął pogardliwie.

– Posłuchaj, staruszkule, jestem tutaj. Musisz się z tym pogodzić. – Zerwał się na nogi. – Syn marnotrawny wrócił – oznajmił z ukłonem. – Gdzie jest, kurwa, tuczny cielec i reszta tego syfu? Mógłbyś chociaż zamówić pizzę.

– Podejmę tę grę – ustąpił Cantling. – Czego ode mnie chcesz?

Dunnahoo uśmiechnął się.

– Chcę? Że niby ja? Kto to, kurwa, wie? Pamiętasz przecież, że nigdy nie wiedziałem, czego chcę. Nikt w tej pieprzonej książce tego nie wiedział.

– O to właśnie w niej chodziło – zauważył Cantling.

– Wiem – odparł Dunnahoo. – Nie jestem głupi. Chłopak starego Dicky’ego Cantlinga ma swój rozum, nie? – Ruszył w stronę kuchni. – W lodówce jest więcej piwa. Chcesz butelkę?

– Czemu by nie? – zastanowił się Cantling. – Nie co dzień odwiedza mnie pierworodny syn. Niech będzie dos equis z plasterkiem limony.

– Popijasz teraz drogie meksykańskie piwko, co? Cholera. A co się stało z pielsmem? Kiedyś złopałeś go na równi z największymi pijakami. – Zniknął w kuchennych drzwiach. Kiedy wrócił, niósł dwie butelki dos equis. Trzymał je za szyjki, a palce włożył w otwory. W drugiej ręce miał surową cebulę. Butelki stuknęły głośno o siebie. Podał jedną Cantlingowi. – Masz. Ja też się trochę ukulturalnię.

– Zapomniałeś o limonie – zauważył Cantling.

– Sam ją sobie, kurwa, weź – zaproponował Dunnahoo. – Co mi zrobisz, pojedziesz po premii? – Wyszczerył zęby w uśmiechu, podrzucił cebulę, złapał ją i ugryzł wielki kęs. – Cebula – poskarżył się. – To był wredny numer, tatku. Nie dosyć, że muszę żreć surową cebulę, to jeszcze, cholera, urządziłeś to tak, że nawet nie lubię tego kurewstwa. Sam tak napisałeś w tej cholerniej książce.

– Oczywiście – zgodził się Cantling. – Cebula pełniła dwie funkcje. Po pierwsze, musiałeś udowodnić, jaki jesteś twardy. Nikt inny z bywalców Ricciego nie potrafił tego zrobić. To ci dawało pewien status. Ale na głębszym poziomie, jedząc cebulę, wyrażałeś w symboliczny sposób swój głód życia, apetyt na wszystkie jego aspekty, nie tylko te słodkie, lecz również gorzkie i drażniące.

Dunnahoo ugryzł drugi kęs.

– Chrzanisz – rzucił. – A jakbyś tak ty wtrząchnął pieprzoną cebulę? Ciekawe, jak by ci smakowała.

Cantling pociągnął łyk piwa.

– Byłem młody. To była moja pierwsza powieść. Wydawało mi się wtedy, że to niezły pomysł.

– Zeżryj ją na surowo – poradził Dunnahoo, kończąc cebulę.

Richard Cantling doszedł do wniosku, że ta miła, domowa scena trwa już wystarczająco długo.

– Wiesz co, Dunnahoo, czy kim tam właściwie jesteś – zaczął swobodnym tonem. – Spodziewałem się, że będziesz inny.

– A właściwie jaki, staruszku?

Cantling wzruszył ramionami.

– Jesteś płodem mojego umysłu, nie nasienia, masz więc w sobie więcej ze mnie, niż mogłoby mieć biologiczne dziecko. Jesteś mną.

– Hej – sprzeciwił się Dunnahoo. – Nie przyznaję się. Za cholerę nie chciałbym być tobą.

– Nie masz wyboru. Twoja historia powstała z doświadczeń mojej młodości. Z pierwszymi powieściami zawsze tak jest. Pizzeria Ricciego to w rzeczywistości Pompeii Pizza w Newark. Twoi kumple byli moimi kumplami. A ty jesteś mną.

– Naprawdę? – zapytał Dunnahoo.

Richard Cantling skinął głową.

Młodzieniec wybuchnął śmiechem.

– Chyba ci się, kurwa, przyśniło, tatku.

– Nie rozumiem – warknął Cantling.

– Żyjesz w świecie marzeń, staruszku. Wiesz o tym? Może i lubisz udawać, że byłeś podobny do mnie, ale nie ma w tym za grosz prawdy. Ja u Ricciego byłem bossem, a ty w Pompeii Pizza byłeś tylko okularnikiem, który nie wysuwał nosa z za pinballa. Pisałeś, że waliłem się jak młody królik już w wieku szesnastu lat, a ty pierwszy raz zobaczyłeś goły cycek po dwudziestce, w tym swoim college'u. Potrzebowałeś tygodni, żeby wykombinować te błyskotliwe odzywki, którymi ja sypię na lewo i prawo przy każdej okazji. A jeśli chodzi o te szalone przygody, które przeżywam w książce, to niektóre z nich zdarzyły się Dutchowi, inne Joeyowi, a jeszcze inne nie zdarzyły się w ogóle, ale żadna z nich nie przytrafiła się tobie, staruszku, więc lepiej mnie nie rozśmieszaj.

Cantling zaczerwienił się lekko.

– To była fikcja literacka. To prawda, że za młodu byłem trochę nieprzystosowany, ale...

– Byłeś oferumą – stwierdził Dunnahoo. – Nie próbuj tego upiększać.

– Nie byłem oferumą – sprzeciwił się urażony Cantling. – W *Obibokach* opowiedziałem prawdę. Miało sens, żeby bohater zajmował bardziej centralną pozycję niż ta, którą ja zajmowałem w rzeczywistości. Sztuka czerpie z życia, ale musi je przekształcać, nadawać mu nowy kształt, interpretować je. Nie może go tylko kopiować. Tak właśnie zrobiłem.

– Nieprawda. Po prostu wyssałeś Dutcha, Joeya i całą resztę. Przywłaszczyłeś sobie część ich życia, tak żeby cała zasługa przypadła tobie. Strzeliło ci nawet do łba, że byłem

wzorowany na tobie, i powtarzałeś to sobie tak długo, aż sam w to uwierzyłeś. Jesteś pijawką tatku. Cholernym złodziejem.

Richarda Cantlinga ogarnęła wściekłość.

– Wynoś się! – krzyknął.

Dunnahoo wstał z szezlongu i przeciągnął się spokojnie.

– Kurewsko mnie zraniłeś. Wyrzucasz swojego synka na zimną iowańską noc, staruszku? Co się stało? Kiedy siedziałem w tej cholernej książce, to mnie lubiłeś, prawda? Kiedy panowałeś nad wszystkim, co mówiłem i robiłem? Ale rzeczywistość to coś całkiem innego. Na tym właśnie polega twój problem. Zawsze wolałeś książki od prawdziwego życia.

– Lubię życie – warknął Cantling.

Dunnahoo uśmiechnął się. Nagle wydał się wyblakły, niematerialny.

– Naprawdę? – zapytał. Jego głos brzmiał słabiej niż przedtem.

– Naprawdę! – zapewnił Cantling.

Dunnahoo zanikał już wyraźnie. Z jego ciała odpłynęły kolory. Wydawał się niemal przezroczysty.

– Udowodnij to – zaproponował. – Idź do kuchni i odgryź wielki kęs tej twojej pierdolonej surowej cebuli życia.

Odrzucił włosy z czoła i wybuchnął gromkim śmiechem, który nie umilkł, dopóki chłopak nie zniknął zupełnie.

Richard Cantling stał bez ruchu, wpatrując się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą był jego gość. W końcu, bardzo zmęczony, wrócił na górę i położył się do łóżka.

* * *

Rano przygotował sobie obfite śniadanie: sok pomarańczowy, świeżo parzoną kawę, gorące bułeczki z mnóstwem masła i jeżynowymi konfiturami, omlet z serem i sześć grubych plastrów boczku. Miało to mu pomóc w zapomnieniu o niedawnych wydarzeniach. Nic z tego. Cały czas myślał o Dunnahoo. To z pewnością był sen. Tak jest, jakiś niedorzeczny sen. Nie potrafił wytłumaczyć obecności stłuczonego szkła w kominku ani pustych butelek na podłodze salonu, w końcu jednak coś wymyślił. Doszedł do wniosku, że był to jakiś zwariowany rodzaj alkoholowego somnambulizmu. Winny był stres wywołany sporem z Michelle, zaostrowany przez potret, który mu przysłała. Być może powinien pójść z tym do lekarza, do psychologa albo gdzieś.

Po śniadaniu ruszył prosto do zacisza, zdecydowany stawić czoło problemowi i rozwiązać go. Uszkodzony portret Michelle nadal wisiał nad kominkiem. Pomyślał, że to właśnie jest ropiejąca rana, która go zakaziła, i że najwyższy czas się go pozbyć. Rozpalił ogień na kominku, a gdy buzował już jasno, zdjął zniszczony obraz, rozmontował metalową ramę – był przecież oszczędny – i spalił pocięte płótno. Tłusty dym przywrócił mu dobre samopoczucie.

Musiał teraz coś zrobić z portretem Dunnahoo. Zwrócił się w jego stronę. Obraz był naprawdę niezły. Michelle świetnie oddała postać. Mógłby go spalić, ale w ten sposób zgodziłby się uczestniczyć w jej destrukcyjnej grze. Sztuki nie powinno się niszczyć. Zasłynął w świecie jako twórca, nie niszczyciel, i był już za stary, żeby się zmienić. Portret Dunnahoo miał być okrutnym żartem, lecz Cantling zamierzał podjąć rękawicę i cisnąć ją córce w twarz. Uehonoruje obraz, zawiesi go, i to w widocznym miejscu. Wiedział już gdzie.

Na piętrze znajdował się długi pomost. Nad korytarzem i holem na parterze wznosiła się rzeźbiona, drewniana balustrada. Pomost miał piętnaście stóp długości, a tylna ściana była zupełnie pusta. Cantling uznał, że to miejsce świetnie się nadaje na galerię. Obraz będzie tam mógł zobaczyć każdy, kto wejdzie do domu, żeby zaś dotrzeć do pokojów na piętrze, trzeba będzie przejść tuż obok niego. Znalazł młotek i trochę gwoździ, po czym zawiesił Dunnahoo na honorowym miejscu. Kiedy Michelle wróci, żeby się z nim pojednać, zobaczy portret i z pewnością dojdzie do wniosku, że Cantling zupełnie nie zrozumiał wymowy jej podarunku. Musi pamiętać, żeby wylewnie jej podziękować za prezent.

Richard Cantling czuł się już znacznie lepiej. Nocna rozmowa stawała się tylko złym wspomnieniem. Stanowczo postanowił o niej zapomnieć i resztę dnia poświęcił na pisanie listów do agenta i wydawcy. Późnym popołudniem ogarnęło go przyjemne znużenie. Wypił filiżankę kawy i zjadł ciasto z kruszonką, które leżało w lodówce. Potem wybrał się na codzienny spacer i przez dobre półtorej godziny chodził po nadrzecznych urwiskach, a twarz owiewał mu rześki, chłodny wiatr.

Kiedy wrócił, na ganku stała już wielka, kwadratowa paczka.

* * *

Oparł płótno o fotel i położył się na szezlongu, by się mu przyjrzeć. Zaniepokoiło go. Nie ulegało wątpliwości, że robi wrażenie. Cantling czuł poruszenie w kroku, nieprzyjemny nacisk na spodnie.

Obraz miał charakter... hmm, otwarcie erotyczny.

Dziewczyna spoczywała w wielkim, staromodnym łożu z baldachimem, bardzo podobnym do jego własnego. Była naga. Leżała na wpół odwrócona i spoglądała przez prawe ramię. Widać było gładką linię kręgosłupa i krzywiznę prawej piersi, która była obfita, kształtna i bardzo ładna. Obwódkę miała jasnoróżową i bardzo wielką, a sutkę sterczącą. Wygniecioną kołdrę dziewczyna podciągnęła sobie pod brodę, lecz nie zakrywało jej to zbyt wiele. Włosy miała rudoblond, oczy zielone, a uśmiech figlarny. Jej młoda, gładka skóra była zaróżowiona, jakby dziewczyna przed chwilą skończyła się kochać. Wysoko na prawym pośladku miała wytatuowaną pacyfkę. Nie ulegało wątpliwości, że jest bardzo młoda. Richard Cantling wiedział jak bardzo. Miała osiemnaście lat. Kobieta-dziecko uchwyciona w

bezcennej chwili między niewinnością a doświadczeniem, gdy seks jest jedynie nową cudownie ekscytującą zabawką. Och, tak, wiedział o niej bardzo wiele. Znał ją dobrze.

Cissy.

Zawiesił jej portret obok portretu Dunnahoo.

* * *

Cantling chciał nadać książce tytuł *Zwiędłe kwiaty*, lecz wydawca zmienił go na *Czarne róże*. Uznał, że brzmi to bardziej sugestywnie, romantycznie i optymistycznie. Cantling sprzeciwiał się temu pomysłowi z powodów artystycznych, ale w końcu uległ. Potem, gdy powieść znalazła się na listach bestsellerów, potrafił przyznać, że nie miał racji. Wysłał nawet Brianowi butelkę jego ulubionego wina.

To była jego czwarta powieść i ostatnia szansa. *Obiboki* miały znakomite recenzje i sprzedały się nieźle, lecz dwie jego następne książki krytyka zjechała, a czytelnicy zignorowali. Musiał napisać coś innego i tak też zrobił. *Czarne róże* okazały się bardzo kontrowersyjną książką. Niektórzy recenzenci byli nią zachwyceni, a inni jej nie znosili, sprzedawała się jednak jak szalona i wpływy ze sprzedaży paperbacków oraz prawa do nakręcenia filmu (który w końcu nie powstał) po raz pierwszy w życiu pozwoliły Cantlingowi zapomnieć o kłopotach finansowych. Mogli wreszcie kupić dom, przenieść Michelle do prywatnej szkoły i założyć jej aparat korekcyjny. Resztę pieniędzy Cantling zainwestował najlepiej, jak potrafił. Był dumny z *Czarnych róż* i cieszył się ich sukcesem. Tej książce zawdzięczał sławę.

Helen nienawidziła jej pasjami.

W dniu, gdy powieść wreszcie spadła z ostatniej z list, nie była w stanie ukryć satysfakcji.

– Wiedziałam, że to nie będzie trwało wiecznie – stwierdziła.

Cantling cisnął gniewnie gazetą.

– Trwało wystarczająco długo. Co cię znowu ugryzło? Nie byłaś zadowolona, kiedy ledwie nam starczało na życie. Dziecko musi mieć aparat korekcyjny, dziecko musi iść do lepszej szkoły, dziecko powinno codziennie jeść cholerne kanapki z masłem orzechowym i dżemem. Teraz to wszystko już za nami, a ty jesteś jeszcze bardziej wkurzona niż przedtem. Chyba zasługuję na trochę uznania. Czyżbyś wolała być żoną nieudacznika?

– Wolałabym nie być żoną pornografa – warknęła Helen.

– Pieprzę cię – rzucił Cantling.

Uśmiechnęła się złośliwie.

– Niby kiedy? Nie dotknąłeś mnie od tygodni. Wolisz się pieprzyć ze swoją Cissy.

Cantling spojrział na nią zdumiony.

– Zwariowałaś, czy co? To tylko postać z mojej powieści.

– Idź do diabła – rzuciła rozwścieczona Helen. – Masz mnie za jakąś cholerną idiotkę? Myślisz, że nie umiem czytać? Myślisz, że nie wiem? Czytałam twoją głównianą książkę. Nie jestem kretynką. Ta żona, Marsha, głupia, niewykształcona, nudna Marsha, powoli myśląca, szara myszka Marsha, ta krowa, ta szkapa, ten upierdliwy babsztyl, to jestem ja. Myślisz, że o tym nie wiem? Ja to widzę i moi przyjaciele też. Wszystkim bardzo mnie żal. Kochasz mnie tak samo, jak Richardson kochał Marszę. Cissy to tylko postać, no jasne. Gówno prawda. – Rozpląkała się. – Kochasz się w niej, niech cię szlag. To twoje erotyczne marzenie. Gdyby w tej chwili pokazała się w drzwiach, rzuciłbyś mnie tak samo szybko, jak Richardson rzucił staruszkę Marszę. Powiedz mi, że to nieprawda. No powiedz, słucham!

Cantling z niedowierzaniem popatrzył na żonę.

– Nie wierzę własnym uszom. Jesteś zazdrosna o postać z powieści. O kogoś, kto nie istnieje.

– Istnieje w twojej głowie, a dla ciebie nie liczy się nic innego. To oczywiste, że chciałbyś się z nią pieprzyć. To oczywiste, że ta cholerna książka była bestsellerem. Wydaje ci się, że to dlatego, że jesteś takim świetnym pisarzem? Chodziło o seks. O nią!

– Seks jest ważną częścią życia – bronił się Cantling. – Sztuka ma pełne prawo go opisywać. Chcesz, żebym zasuwał zasłony za każdym razem, kiedy moje postacie idą do łóżka? *Czarne róże* mówią o pogodzeniu się z własną seksualnością. To oczywiste, że musiałem pisać o tych sprawach otwarcie. Sama byś to zrozumiała, gdybyś nie była tak cholernie pruderyjna.

– Nie jestem pruderyjna! – wrzasnęła Helen. – Nie waż się tak o mnie mówić. – Złapała jeden z talerzy i cisnęła nim w męża. Cantling uchylił się i naczynie rozbiło się o ścianę. – Nawet jeśli nie podoba mi się twoja cholerna, świńska książka, to jeszcze nie znaczy, że jestem pruderyjna.

– Powieść nie ma tu nic do rzeczy – odciął się Cantling. Skrzyżował ramiona na piersiach, lecz przemawiał spokojnym głosem. – Pruderyjną czyni cię to, co robisz w łóżku. A może raczej powinienem powiedzieć to, czego nie robisz? – dokończył z uśmiechem.

Cantling pomyślał, że Helen jest czerwona jak burak, odrzucił jednak to porównanie jako zbyt oklepany banał.

– Och, tak, ona to wszystko robi, prawda? – Jej głos ociekał jadem. – Cissy, twoja mała, piękna Cissy. Zrobi sobie seksowny tatuaż na tyłku, jeśli ją o to poprosisz, mam rację? Będzie to robiła na dworze, w różnych najdziwniejszych miejscach, gdzie jest pełno ludzi. Będzie nosiła seksowną bieliznę, bo myśli, że to fajne. Pozwoli ci się spuszczać w jej ustach, kiedy tylko będziesz miał ochotę. Zawsze jest gotowa, nie ma rozstępów, ma cycki osiemnastolatki i zawsze będzie miała cycki osiemnastolatki. Zgadza się? Jak, do licha, mam z nią konkurować, he? Jak? Jak? JAK?

Wściekłość Richarda Cantlinga była zimna, kontrolowana i pełna sarkazmu. Stawił czoło furii żony i uśmiechnął się słodko.

– Przeczytaj książkę i zrób sobie notatki – zaproponował.

* * *

Obudził się nagle w ciemności, czując na stopie delikatny dotyk nagiej skóry.

Cissy siedziała na szczycie podnóżka łoża, owinięta w czerwone atłasowe prześcieradło. Długą szczupłą nogę zapuściła pod jego koc. Bawiła się z nim w stópki i uśmiechała figlarnie.

– Cześć, tato – powiedziała.

Cantling bał się tego. Myślał o tym przez cały wieczór. Sen nie przyszedł łatwo. Cofnął nogę i usiadł z wysiłkiem.

Cissy wydeła usta.

– Nie chcesz się bawić?

– Nie wierzę w to – oznajmił. – To nie może się dziać.

– Ale może być fajne.

– Co ta Michelle ze mną wyprawia? Jak to w ogóle możliwe?

Wzruszyła ramionami. Prześcieradło osunęło się lekko, odsłaniając jedną nieskazitelną pierś o zaczerwienionej sutce.

– Nadal masz cycki osiemnastolatki – odezwał się Cantling odrętwiałym głosem. – Zawsze będziesz je miała.

Roześmiała się.

– No jasne. Możesz je sobie pożyczyć, jeśli chcesz, tato. Założę się, że wymyślisz dla nich jakieś ciekawe zastosowanie.

– Nie nazywaj mnie tatą – zaprotestował Cantling.

– Ale przecież jesteś moim tatą – zaszczebotała Cissy głosem małej dziewczynki.

– Przestań! – zawołał Cantling.

– Dlaczego? Przecież chcesz się pobawić ze swoją dziewczynką prawda, tato? – Mrugnęła znacząco. – Obce dziewczyny są słodkie jak maliny, ale własne córeczki są jak cukiereczki. Rodziny, które śpią razem, trzymają się razem. – Rozejrzała się. – Lubię łożka z baldachimem. Chcesz mnie związać, tato? To by było fajne.

– Nie – odparł Cantling.

Odsunął koc, wstał z łożka, po czym włożył kaptcie i szlafrok, czując bolesny wzwód. Musiał się trochę oddalić od Cissy, bo inaczej... nie chciał myśleć o tym, co by się wtedy stało. Zajął się rozpalaniem ognia.

– To mi się podoba – odezwała się Cissy, kiedy skończył. – Kominki są takie romantyczne.

Cantling odwrócił się i ponownie spojrzał na nią.

– Dlaczego ty? – zapytał, usiłując zachować spokój. – Głównym bohaterem *Czarnych róż* był Richardson, nie ty. I czemu przeskoczyła do czwartej powieści? Dlaczego nie ktoś z *Drzewa genealogicznego* albo *Deszczu*?

– Z tych gniotów? – zdziwiła się Cissy. – Tam nie ma nikogo realnego. Chyba nie chciałeś zobaczyć Richardсона, co? Ja jestem znacznie zabawniejsza. – Wstała i zrzuciła z siebie atlasowe prześcieradło. Gdy osunęło się u jej kostek, w jego lśniących fałdach odbijały się płomienie. Jej ciało było miękkie, słodkie i młode. Odkopnęła tkaninę i ruszyła w stronę Cantlinga.

– Dość tego, Cissy – warknął Cantling.

– Nie gryzę – zapewniła, chichocząc. – Chyba że masz na to ochotę. A może to ja powinnam związać ciebie?

Objęła go ramionami, przywarła do niego i uniosła twarz do pocałunku.

– Puść mnie – sprzeciwił się słabo. Uścisk był przyjemny. Jej dotyk był przyjemny. Przytuliła się do niego. Minęło już wiele czasu, odkąd Richard Cantling trzymał kobietę w ramionach. Wolał nie myśleć jak wiele. A nigdy nie miał takiej kobiety jak Cissy, nigdy, nigdy. Mimo to bał się. – Nie mogę tego zrobić – powtarzał. – Nie mogę. Nie chcę.

Cissy sięgnęła pod szlafrok, włożyła rękę w jego kalesony i ucisnęła go lekko.

– Kłamczuch – szepnęła. – Pragniesz mnie. Zawsze mnie pragnąłeś. Założę się, że opisując momenty, robiłeś sobie przerwy na trzepanie konia.

– Nie – zaprzeczył Cantling. – Nigdy.

– Nigdy? – Wydeła usta. Zaczęła poruszać dłoń w górę i w dół. – Ale założę się, że miałeś ochotę to zrobić. A przynajmniej ci stawał. Za każdym razem, kiedy mnie opisywałeś.

– To... – zaczął. Nie był w stanie zaprzeczyć jej słowom. – Cissy, proszę cię.

– Proszę – wyszeptwała, nadal poruszając ręką. – Tak, proszę. – Pociągnęła za jego kalesony, które osunęły się na podłogę. – Proszę – powtarzała. Rozwiązała szlafrok i pomogła mu się go pozbyć. – Proszę. – Jej dłoń powędrowała w górę i zaczęła pieścić jego sutki. Przynęła się bliżej i przycisnęła mocno piersi do jego ciała. – Proszę – powiedziała po raz kolejny i spojrzała na niego, oblizując wargi.

Richard Cantling z głośnym jękiem wziął ją w drżące ramiona.

Nie była podobna do żadnej kobiety, którą dotąd miał. Jej dotyk przypominał ogień, atlas i prąd, a tajemne miejsca były słodkie jak miód.

* * *

Rankiem zniknęła.

Cantling obudził się późno, zbyt wykończony, żeby zrobić sobie śniadanie. Ubrał się i poszedł do miasta, do małej kawiarenki w staromodnym, stuletnim budynku z cegieł,

wznoszącym się u podstawy urwisk. Zamówił kawę i naleśniki z jagodami, a potem próbował przemyśleć całą sprawę.

To nie miało sensu. Nic takiego nie mogło się dziać, a mimo to się działo. Przeczenie faktom nic mu nie da. Wsunął sobie do ust kawałek naleśnika domowej roboty, lecz czuł jedynie smak strachu. Bał się, że traci zmysły. Bał się, ponieważ nie rozumiał, co się dzieje. Nie chciał tego zrozumieć. Dręczył go też inny strach, głębszy i bardziej pierwotny.

Obawiał się tego, co jeszcze go czeka. Richard Cantling wydał dziewięć powieści.

Pomyślał o Michelle. Mógłby do niej zadzwonić, błagać ją, by przestała, nim wpedzi go w obłąd. Była jego córką, krwią z jego krwi. Z pewnością go wysłucha. Kochała go. Na pewno kochała. On również ją kochał, bez względu na to, co na ten temat sądziła. Cantling znał swe wady. Na kartach własnych książek niezliczoną ilość razy poddawał się analizie pod różnymi postaciami. Był nieznośnie uparty, samowolny i zawzięty. Potrafił być nieugięty i nieustępliwy. A także zimny. Mimo to uważał się za porządnego człowieka. Michelle... miała po nim sporo przewrotności, była na niego wściekła, nienawiść była bardzo bliska miłości, ale z pewnością nie chciała mu wyrządzić poważnej krzywdy.

Tak, mógłby zatelefonować do Michelle i poprosić ją, żeby przestała. Ale czy to coś da? Jeśli będzie ją błagał o wybaczenie, to może tak. Tego dnia, tego strasznego dnia, powiedziała, że nigdy mu nie wybaczy, nigdy, ale z pewnością nie była to prawda. Była jego jedynym dzieckiem. No, w każdym razie jedynym biologicznym.

Cantling odsunął pusty talerz i wyprostował się na krześle, zaciskając usta w wąską, nieruchomą linię. Błagać o zmiłowanie? To mu się nie podobało. Co takiego właściwie zrobił? Dlaczego nie potrafiły go zrozumieć? Helen nigdy go nie rozumiała, a Michelle była tak samo ślepa, jak jej matka. Pisarz musi żyć swą pracą. Czy uczynił coś aż tak okropnego? Coś, co wymagało wybaczenia? To Michelle powinna do niego zadzwonić.

Do diabła z tym, pomyślał. Nie pozwoli się zastraszyć. To on miał rację, a ona się myliła. Jeśli Michelle chce się z nim pogodzić, niech odezwie się pierwsza. Nie zmusi go do kapitulacji. Czego zresztą tak się bał? Niech mu przysyła portrety, tyle portretów, ile tylko zapragnie namalować. Powiesi je z dumą na ścianach (ostatecznie stanowiły hołd dla jego twórczości), a jeśli te cholerstwa uparcie będą nocą ożywać i łączyć po domu, no to trudno. To będą przyjemne wizyty. Cantling uśmiechnął się. Odwiedziny Cissy z pewnością sprawiły mu przyjemność. Jakaś częścią jaźni pragnął, by wróciła. I Dunnahoo też. Był z niego bezczelny chłopak, ale nikomu nie zrobiłby krzywdy. Po prostu lubił pyskować.

Kiedy się nad tym zastanowił, przyszło mu do głowy, że otwierające się przed nim możliwości kryją w sobie pewien narkotyczny urok. Nikt przed nim nie otrzymał podobnej szansy. Scott Fitzgerald nie był na żadnym ze sławnych przyjęć Gatsby'ego, Conan Doyle nigdy nie uciał sobie pogawędki z Holmesem i Watsonem, a Nabokov nie przerznął Lolity. Ciekawe, co też powiedzieliby na taki pomysł?

Im dłużej się zastanawiał, tym bardziej poprawiał mu się nastrój. Michelle próbowała dać mu nauczkę, zastraszyć go, ale w rzeczywistości okazało się to dla niego wspaniałym przeżyciem. Może zagra w szachy z cynicznym emigrantem Siergiejem Tederenką kombinatorem z *En Passant*. Albo podyskutuje o polityce z Frankiem Corwinem, działaczem związkowym z jego powieści z czasów kryzysu, *Czasy są ciężkie*. Może też poflirtować z piękną Beth McKenzie, wybrać się na tańce ze starą zwariowaną panną Aggie, uwieść bliźniaczki Danzinger, by zrealizować jedyną swą seksualną fantazję, której nie mogła zaspokoić Cissy, tak, no pewnie, czego, u licha, się bał? To on ich wszystkich stworzył. To były jego postacie, jego przyjaciele i rodzina.

Rzecz jasna, nie mógł zapominać o nowej powieści. Zmarszczył brwi. To była niepokojąca myśl. Michelle była jednak jego córką, kochała go i z pewnością nie posunie się tak daleko. Nie, oczywiście, że nie. Stanowczo odsunął na bok tę myśl i wy dobył czek.

* * *

Spodziewał się tego. Można niemal powiedzieć, że tego oczekiwał. Kiedy wrócił z wieczornej przechadzki, policzki miał zaczerwienione od wiatru, a serce waliło mu nieco szybciej z niecierpliwości. Czekał już na niego znajomy prostokąt zawinięty w pakowy papier. Richard Cantling wniósł go ostrożnie do środka. Zrobił sobie filiżankę kawy, po czym rozwinął powoli pakunek, przedłużając napięcie, napawając się chwilą, zachwycony myślą o tym, jak zręcznie obrócił mały, okrutny plan Michelle przeciw niej.

Dopił kawę, zrobił sobie drugą filiżankę i ją również wychylił. Pakunek stał w odległości kilku stóp od niego. Cantling urządził sobie zgadywanke, próbując przewidzieć, czyj portret znajdzie w środku. Cissy wspominała coś o tym, że żadna z postaci z *Drzewa genealogicznego* i *Deszczu* nie była wystarczająco realna. Cantling przypomniał sobie wszystkie swoje dzieła, zastanawiając się, które postacie wydają się najbardziej rzeczywiste. Snuć spekulacje było przyjemnie, nie zdołał jednak dojść do żadnych konkretnych wniosków. Wreszcie odstawił filiżankę na bok i zdjął papier.

Barry Leighton.

I tym razem portret był namalowany znakomicie. Leighton siedział w redakcji działu miejskiego, wsparty łokciem o szarą metalową obudowę starej, ręcznej maszyny do pisania. Miał na sobie wygnieciony brązowy garnitur, a biała, rozpięta pod szyją koszula przylgnęła mu do spoconego ciała. Kilkakrotnie już łamany nos zasłaniał większą część szerokiej, nieładnej, lecz z jakiegoś powodu budzącej zaufanie twarzy. Jego oczy miały senny wyraz. Był mężczyzną ze sporą nadwagą, miał liczne podbródki i szybko tracił włosy. Zdołał rzucić palenie, ale nie papierosy i z kącika ust zwisał mu niezapalony camel.

– Dopóki człowiek nie zapali tego cholerstwa, nic mu nie grozi – oznajmiał kilkakrotnie w powieści Cantlinga *Strona tytułowa*.

Książka nie sprzedawała się zbyt dobrze. Była przygnębiająca. Opisywała ostatni tydzień istnienia starego, zasłużonego dziennika, na który przyszły złe czasy. Było w niej jednak coś więcej. Cantlinga interesowali ludzie, nie gazety. Bankructwo dziennika było dla niego metaforą przegranego życia. Jego redaktor chciał, by wplótł w powieść jakiś efektowny, sensacyjny wątek, kazał Leightonowi i jego towarzyszom wpaść na trop jakiejś wielkiej afery, która stworzyłaby im szansę ratunku, ale Cantling odrzucił ten pomysł. Chciał napisać historię o małych ludziach, których w nieubłagany sposób miażdży czas i wiek, o tym, że samotność i klęska są nieuniknione. W rezultacie powstała powieść szara jak papier gazetowy. Był z niej bardzo dumny.

Ale nikt nie chciał jej czytać.

Cantling podźwignął portret i zaniósł go na górę, żeby zawiesić go obok Dunnahoo i Cissy. Pomyślał, że dzisiejsza noc z pewnością będzie interesująca. Barry Leighton nie był dzieciakiem, jak poprzednich dwoje, lecz mężczyzną w wieku Cantlinga. Bardzo inteligentnym i dojrzałym. Nosił w sobie rozgoryczenie, które Cantling dobrze znał, rozczarowanie tym, że życie dało mu tak mało, a o wszystkich jego artykułach z pierwszej strony i wielkich sensacjach zapomniano już następnego dnia. Reporter nie stracił jednak poczucia humoru i odstraszał wszystkie ścigające go demony zjadliwym dowcipem i niezapalonym camelem. Cantling podziwiał go i cieszył się na myśl o rozmowie z nim. Postanowił, że dzisiaj nie będzie się kładł do łóżka. Przygotował wielki dzbanek czarnej kawy, wyjął seagram's 7 i zaczął czekać.

* * *

Było już dobrze po północy, gdy pogrążony w lekturze swego oprawnego w skórę egzemplarza *Strony tytułowej* Cantling usłyszał w kuchni stukot kostek lodu.

– Nalej sobie, Barry! – zawołał.

Leighton wszedł do pokoju przez wahadłowe drzwi, trzymając w ręku szklanke.

– Już to zrobiłem – oznajmił. Popatrzył na Cantlinga spod opadających powiek, po czym prychnął cicho z lekceważeniem. – Wyglądasz tak staro, że mógłbyś być moim ojcem – stwierdził. – Nie przypuszczałem, że ludzie żyją tak długo.

Cantling zamknął książkę i odłożył ją na bok.

– Usiądź – zaproponował. – Pamiętam, że bolał cię nogi.

– Zawsze mnie bolały – zgodził się Leighton. Usiadł w fotelu i pociągnął łyk whisky. – Ach – mruknął. – Tak jest o wiele lepiej.

Cantling stuknął koniuszkiem palca w okładkę powieści.

– To moja ósma książka – stwierdził. – Michelle opuściła trzy powieści. Szkoda. Chętnie bym poznał niektórych z tych ludzi.

– Może chce przejść do sedna – zasugerował Leighton.

– Ale co jest tym sednem?

Leighton wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Jestem zwykłym dziennikarzem. Pytaj mnie o to kto, co, gdzie, kiedy, dlaczego i jak. Ty jesteś powieściopisarzem. Sedna to twoja specjalność.

– Moja dziewiąta powieść – zasugerował Cantling. – Ta nowa.

– Ostatnia? – zapytał Leighton.

– W żadnym wypadku. Tylko najnowsza. Pracuję już nad następną.

– Moje źródła twierdzą co innego – sprzeciwił się z uśmiechem Leighton.

– Tak? A właściwie co?

– Że jesteś starym człowiekiem, który czeka na śmierć – odparł dziennikarz. – I że umrzesz w samotności.

– Mam pięćdziesiąt dwa lata – wskazał Cantling. – To jeszcze nie starość.

– Kiedy na twoim torcie urodzinowym jest tyle świeczek, że nie możesz wszystkich zdmuchnąć, to znaczy, że jesteś już stary – zauważył oschłym tonem Leighton. – Helen była młodsza od ciebie, a nie żyje już od pięciu lat. To siedzi w głowie, Cantling. Znałem młodych osiemdziesięciolatków i starych niedorostków. A ty miałeś plamy wątrobowe na mózgu wcześniej niż włosy na jajach.

– To niesprawiedliwe – zaprotestował Cantling.

Leighton pociągnął kolejny łyk whisky.

– Niesprawiedliwe? – zapytał. – Jesteś już za stary, żeby wierzyć w sprawiedliwość, Cantling. Młodzi ludzie żyją pełnią życia, a starzy siedzą i ich obserwują. Ty urodziłeś się stary. Zawsze byłeś jednym z tych obserwujących, a nie żyjących pełnią. – Zmarszczył brwi. – Żyjących pełnią kurde, ale mi się powiedziało. Lepiej chyba żyć pełnią niż nowiem, ale ty nigdy nie miałeś w sobie nic nowego. Może żyłeś sierpem. No nie wiem, z sierpem nigdy cię nie widziałem, ale młot to zawsze był z ciebie tęgi.

– Posuwasz się za daleko, Barry – obruszył się Cantling. – Jestem pisarzem. Zawsze nim byłem. To moje życie. Pisarze obserwują życie po to, by potem je opisywać. Na tym polega ich zawód. Powinieneś to wiedzieć.

– Wiem – zapewnił Leighton. – Jestem reporterem, pamiętasz? Spędziłem wiele długich, smutnych lat na opisywaniu życia innych. O mnie nic się nie da napisać. Wiesz o tym doskonale, Cantling. Zobacz tylko, co ze mną zrobiłeś w *Stronie tytułowej*. „Courier” zdycha, postanawiam napisać pamiętniki i co się dzieje?

Cantling pamiętał.

– Dostajesz bloku. Piszesz na nowo stare artykuły sprzed dwudziestu, trzydziestu lat. Masz niewiarygodną pamięć. Przypominasz sobie wszystkich ludzi, o których pisałeś reportaże, daty, szczegóły, cytaty. Mógłbyś zacytować słowo w słowo swój pierwszy artykuł, ale nie pamiętasz imienia pierwszej dziewczyny, z którą spałeś, numeru telefonu byłej żony ani nawet... ani nawet...

Umilkł nagle.

– Nawet daty urodzin córki – dokończył dziennikarz. – Skąd bierzesz takie zwariowane pomysły, Cantling?

Odpowiedzią było milczenie.

– Może z życia? – zasugerował Leighton. – Byłem dobrym reporterem. To właściwie wszystko, co można o mnie powiedzieć. Może ty jesteś dobrym powieściopisarzem. To mogą ocenić tylko krytycy. Ja jestem jedynie spoconym dziennikarzyną, którego bolą nogi. Ale nawet jeśli jesteś dobrym powieściopisarzem, jednym z tych wielkich, to nie zmienia faktu, że byłeś złym mężem i beznadziejnym ojcem.

– Nie – sprzeciwił się Cantling. Jego protest zabrzmiał jednak słabo.

Leighton zakręcił szklanką. Kostki lodu zastukały głośno o siebie.

– Kiedy opuściła cię Helen? – zapytał.

– Nie pa... chyba jakieś dziesięć lat temu. Byłem właśnie w połowie ostatecznej wersji *En Passant*.

– A kiedy orzeczono wasz rozwód?

– Och, rok później. Próbowaliśmy się pogodzić, ale nic z tego nie wyszło. Michelle chodziła wtedy do szkoły. Pamiętam to. Pisałem właśnie *Czasy są ciężkie*.

– Przypominasz sobie jej przedstawienie z trzeciej klasy?

– Czy to było to, na którym nie byłem?

– To, na którym nie byłeś? Mówisz zupełnie jak Nixon. „Czy to było wtedy, kiedy skłamałem?”. To było przedstawienie, w którym grała główną rolę, Cantling.

– Nie mogłem nic na to poradzić – tłumaczył się Cantling. – Chciałem tam iść, ale właśnie dawali mi nagrodę. Nie opuszcza się kolacji Krajowego Stowarzyszenia Literatów. Po prostu nie.

– Oczywiście, że nie – zgodził się Leighton. – A kiedy umarła Helen?

– Kiedy pisałem *Stronę tytułową* – odparł Cantling.

– Masz ciekawy system datowania. Powinieneś wydać kalendarz.

Przełknął kolejny łyk whisky.

– No dobra – mówił Cantling. – Nie zamierzam przeczyć, że moja praca jest dla mnie ważna. Może zbyt ważna. Nie jestem pewien. To prawda, że pisarstwo stanowiło dla mnie centrum życia, ale jestem porządnym człowiekiem, Leighton, i zawsze starałem się ze wszystkich sił. To nie wyglądało tak, jak chcesz zasugerować. Helen i ja przeżyliśmy też dobre lata. Kiedyś się kochaliśmy. A Michelle... kochałem Michelle. Kiedy była małą dziewczynką, pisałem dla niej historyjki. Zabawne zwierzątka, kosmiczni piraci, bezsensowne wiersze. Tworzyłem je w wolnych chwilach i czytałem jej przed snem. To było coś, co robiłem tylko dla niej, z miłości.

– Jasne – rzucił cynicznie Leighton. – Nigdy nawet nie pomyślałeś o tym, żeby je wydać. Cantling wykrzywił twarz.

– To... co sugerujesz... to zniekształcenie faktów. Michelle okropnie się nimi zachwycała i pomyślałem, że innym dzieciakom może też się spodobać. To był tylko luźny pomysł. Nigdy nic w tej sprawie nie zrobiłem.

– Nigdy?

Cantling zawahał się.

– Posłuchaj, Bert był nie tylko moim agentem, lecz również przyjacielem. On też miał małą córkę. Pokazałem mu te opowiadania tylko raz. Tylko raz!

– Nie mogę być w ciąży – pisał Leighton. – Pieprzyłam się z nim tylko raz. Tylko raz!

– Zresztą wcale mu się nie spodobały – dodał Cantling.

– Szkoda – skwitował Leighton.

– Walisz we mnie jak w bęben, ale ja nie przyznaję się do winy. Z pewnością nie byłem ojcem roku, ale nie byłem też potworem. Mnóstwo razy zmieniałem jej pieluchy. Nim napisałem *Czarne róże*, Helen musiała pracować, a ja codziennie opiekowałem się dzieckiem od dziewiętej do piątej.

– Ale wściekałeś się, kiedy płakało i musiałeś odrywać się od maszyny.

– To prawda – przyznał Cantling. – Nigdy nie mogłem znieść, kiedy mi przerywano pracę. Bez względu na to, kto był tego powodem. Czy to, kurwa, taka zbrodnia? Czy to czyni ze mnie monstrum? Kiedy płakała, szedłem do niej. Nie podobało mi się to, byłem wściekły i miałem jej za złe, ale szedłem do niej.

– Kiedy ją słyszałeś – zauważył Leighton. – Kiedy nie byłeś w łóżku z Cissy, nie tańczyłeś z panną Aggie, nie biłeś łamistrajków z Frankiem Corwinem, kiedy głowy nie wypełniały ci ich głosy, to, tak jest, czasami ją słyszałeś, a kiedy ją słyszałeś, szedłeś do niej. Gratuluję, Cantling.

– Nauczyłem ją czytać – bronił się pisarz. – Przeczytałem jej *Wyspę skarbów*, *O czym szumią wierzy*, *Hobbita*, *Tomka Sawyera*, całą masę książek.

– Tylko te, do których i tak chciałeś wrócić – wskazał Leighton. – Prawdziwą nauką zajmowała się Helen, z Dickiem i Jane.

– Nie znoszę Dicka i Jane! – krzyknął Cantling.

– No i co z tego?

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz – stwierdził Richard Cantling. – Nie było cię tam. Michelle tam była. Kochała mnie. Nadal mnie kocha. Kiedy coś ją bolało, rozbiła sobie kolano, nos albo coś, zawsze biegła do mnie, nie do Helen. Przychodziła zapłakana, a ja ją przytulałem, osuszałem jej łzy i mówiłem jej... mówiłem jej...

Nie był w stanie tego z siebie wykrztusić. Sam był bliski płaczu. Czuł, że w kąciakach oczu zbierają mu się łzy.

– Wiem, co jej mówiłeś – powiedział Barry Leighton łagodnym, pełnym smutku głosem.

– Pamiętała o tym – ciągnął Cantling. – Pamiętała o tym przez wszystkie te lata. Prawo do opieki nad dzieckiem przyznano Helen i obie się wyprowadziły. Nie widywałem Michelle

zbyt często, ale ona o tym pamiętała, i kiedy dorosła, gdy Helen już nie było i Michelle musiała sobie radzić sama, kiedy ją skrzywdzono, to wtedy... wtedy...

– Tak – przerwał mu Leighton. – Wiem.

* * *

Zadzwoiła do niego policjantka. Nazywała się Joyce Brennan, nigdy nie zapomni tego nazwiska.

– Pan Cantling? – zapytała.

– Tak?

– Pan Richard Cantling?

– Tak – powtórzył. – Richard Cantling, pisarz. – Zdarzały mu się już dziwne telefony. – W czym mogę pani pomóc?

Przedstawiła mu się.

– Będzie pan musiał przyjechać do szpitala – powiedziała. – Chodzi o pana córkę, panie Cantling. Obawiam się, że ją napadnięto.

Nienawidził niedomówień i eufemizmów. Postacie w jego powieściach nigdy nie odchodziły, lecz umierały, nie puszczały wiatrów, ale pierdziały. A jego córkę...

– Napadnięto? – zapytał. – Chce pani powiedzieć, że ją napadnięto, czy że ją zgwałcono?

Na drugim końcu linii zapadła cisza.

– Zgwałcono – odparła po chwili kobieta. – Zgwałcono ją panie Cantling.

– Zaraz tam będę – rzucił.

W rzeczywistości została zgwałcona wiele razy, i to brutalnie. Michelle była równie uparta jak Helen, jak sam Cantling. Nie chciała jego pieniędzy, nie chciała jego rad, nie chciała przyjąć pomocy, jaką oferował jej za pośrednictwem swych kontaktów w świecie wydawców. Miała zamiar poradzić sobie sama. Pracowała jako kelnerka w kawiarni w Greenwich Village, a mieszkała nieopodal nabrzeża, w wielkim, walącym się magazynie, po którym hulał wiatr. To była okropna, niebezpieczna okolica. Cantling powtarzał jej to setki razy, ale Michelle nie chciała go słuchać. Nie zgodziła się nawet przyjąć pieniędzy na porządne zamki i alarm. Ucierpiała bardzo poważnie. Napastnik włamał się do jej mieszkania w piątek przed świtem. Michelle była sama. Wyrwał przewód telefoniczny ze ściany i więził ją tam aż do poniedziałkowej nocy. W końcu jeden z pomywaczy z kawiarni zaniepokoił się o nią i przyszedł do jej mieszkania. Gwałciciel uciekł przez wyjście pożarowe.

Kiedy Cantlingowi pozwolono zobaczyć córkę, jej twarz była jednym wielkim fioletowym siniakiem. Całe ciało pokrywały ślady po odgaszaniu petów, a trzy żebra były złamane. Przekroczyła granice hysterii. Krzyczała, kiedy próbowali jej dotykać lekarze albo pielęgniarki, ktokolwiek, krzyczała, gdy tylko ktoś się zbliżał. Pozwoliła jednak, żeby Cantling usiadł na brzegu łóżka, wziął ją w ramiona i przytulił. Łkała godzinami, aż wreszcie

zabrakło jej łez. W pewnej chwili powiedziała do niego „tato” stłumionym od płaczu głosem. To było jedyne słowo, jakie od niej usłyszał. Wydawało się, że utraciła zdolność mowy. W końcu dali jej coś na uspokojenie, żeby zasnęła.

Michelle spędziła w szpitalu dwa tygodnie, pogrążona w głębokim szoku. Histeria słabła jednak z dnia na dzień. Wreszcie dziewczyna uspokoiła się na tyle, że można jej było poprawiać pościel i prowadzić ją do łazienki. Ale nadal nie mogła czy może nie chciała mówić. Psycholog oznajmił Cantlingowi, że musi się liczyć z tym, iż jego córka nigdy już nie będzie mówiła.

– Nie pogodzę się z tym – odpowiedział Cantling.

Załatwił jej wypis ze szpitala i postanowił, że muszą oboje opuścić to piekielne miasto. Pamiętał, że Michelle zawsze kochała wielkie, stare, niesamowite domy i uwielbiała też wodę: morze, rzeki, jeziora. Cantling skonsultował się z pośrednikami handlu nieruchomościami, rozważał kupno wielkiego, nadmorskiego domu w Maine, w końcu jednak zdecydował się na starą posiadłość w stylu parowcowego gotyku, wzniesioną na nadrzecznych urwiskach w Perrot w stanie Iowa. Osobiście nadzorował każdy szczegół przeprowadzki.

Michelle zaczęła powoli wracać do zdrowia.

Przypominała teraz małe dziecko, ciekawe, niespokojne, pełne roszadzącej je energii. Nadal nie chciała mówić, ale wszędzie chodziła i zaglądała w każde miejsce. Wiosną spędzała długie godziny na tarasie, obserwując wielkie holowniki pływające po Missisipi. Co wieczór wybierali się na spacer na urwiska, trzymając się za ręce. Pewnego razu odwróciła się nagle i pocałowała go w policzek.

– Kocham cię, tato – powiedziała i uciekła od niego.

Cantling śledził ją wzrokiem. Widział piękną zranioną dwudziestokilkuletnią kobietę, a jednocześnie chudą patykowatą chłopczycę, którą była kiedyś.

Potem tama pękła. Michelle znowu zaczęła mówić. Z początku były to krótkie, dziecinne zdania, pełne dziecinnych obaw i dziecinnej naiwności. Dorastała jednak szybko i wkrótce dyskutowali już o polityce, książkach i sztuce. Podczas wieczornych spacerów odbyli wiele interesujących rozmów. Lecz nigdy nie mówiła o gwałcie. Nie wspomniała o nim ani słowem.

Po sześciu miesiącach już gotowała, pisała listy do przyjaciół w Nowym Jorku, pomagała w pracach domowych i robiła wspaniałe rzeczy w ogrodzie. Po ośmiu znowu zaczęła malować. To bardzo jej pomogło. Wydawało się, że z dnia na dzień rozkwita, staje się coraz bardziej promienna. Richard Cantling nie pojmował abstrakcji, które lubiła tworzyć jego córka. Wolał realistyczne malarstwo, a najbardziej podobał mu się autoportret, który namalowała dla niego, gdy jeszcze studiowała na wydziale humanistycznym w college’u. Mimo to wyczuwał w jej nowych płótnach ból, rozumiał, że mają być swego rodzaju egzorcyzmem, że Michelle próbuje wycisnąć ropę z głęboko ukrytej rany. Cieszyło go to. Dla niego pisanie nieraz stawało się balsamem na ból. Można nawet powiedzieć, że jej zazdrościł.

Richard Cantling od z górą trzech lat nie napisał ani słowa. Spektakularna komercyjna kłapa *Strony tytułowej*, jego najlepszej powieści, doprowadziła go do bloku, twórczej niemocy. Łudził się, że zmiana otoczenia pomoże mu, tak samo jak Michelle, lecz okazało się to próżną nadzieją. No, ale przynajmniej jedno z nich miało co robić.

Któregoś dnia, późnym wieczorem, kiedy Cantling poszedł już spać, drzwi się otworzyły i do sypialni weszła cicho Michelle. Przysiadła na krawędzi łóżka. Była bosa, ubrana we flanelową koszulę nocną w małe, różowe kwiatki.

– Tato – powiedziała bełkotliwym głosem.

Cantling obudził się, gdy uchyliła drzwi. Usiadł i uśmiechnął się do niej.

– Cześć – odezwał się. – Piłś.

Skinęła głową.

– Wracam – wyjaśniła. – Musiałam zebrać się na odwagę, żeby ci to powiedzieć.

– Wracasz? – zdziwił się Cantling. – Chyba nie do Nowego Jorku? Nie mówisz poważnie!

– Muszę – odparła. – Nie wściekaj się. Już mi lepiej.

– Zostań tu. Zostań ze mną. W Nowym Jorku nie da się żyć, Michelle.

– Wcale nie chcę tam wracać. Boję się. Muszę jednak to zrobić. Tam są moi przyjaciele. Moja praca. Tam jest moje życie, tato. Mój przyjaciel, Jimmy, pamiętasz Jimmy'ego, jest kierownikiem do spraw sztuki w małym wydawnictwie wydającym paperbacki. Mówi, że może mi załatwić zamówienia na parę okładek. Napisał do mnie. Nie będę już musiała być kelnerką.

– Nie wierzę własnym uszom – odparł Richard Cantling. – Jak możesz wracać do tego cholernego miasta po tym, co cię tam spotkało?

– Dlatego właśnie muszę tam wrócić – upierała się Michelle. – Ten facet, to, co zrobił... co mi zrobił... – Głos uwiązał jej w gardle. Wciągnęła powietrze w płuca i odzyskała panowanie nad sobą. – Jeśli nie wrócę, to będzie tak, jakby wypędził mnie z miasta, zabrał mi całe moje życie, przyjaciół, sztukę i całą resztę. Nie mogę do tego dopuścić. Nie pozwolę, żeby mnie zastraszył. Muszę wrócić i odzyskać to, co należy do mnie. Udowodnić, że już się nie boję.

Richard Cantling popatrzył bezradnie na córkę. Uniósł rękę i delikatnie dotknął jej długich, miękkich włosów. Wreszcie powiedziała coś, co był w stanie pojąć. Wiedział, że na jej miejscu postąpiłby tak samo.

– Rozumiem – rzekł. – Bez ciebie będę się tu czuł samotny, ale rozumiem.

– Boję się – powtórzyła Michelle. – Kupiłam bilety na samolot. Na jutro.

– Tak szybko?

– Chcę zrobić to jak najszybciej, zanim opuści mnie odwaga – wyjaśniła. – Chyba nigdy w życiu tak się nie bałam. Nawet... wtedy, kiedy to się działo. To śmieszne, co?

– Nie – zapewnił ją Cantling. – To ma sens.

– Tato, przytul mnie – poprosiła.

Wsunęła się w jego ramiona. Objął ją i poczuł, że jej ciało dygocze.

– Drżysz – zauważył.

Nie chciała go puścić.

– Pamiętasz, kiedy byłam malutka, często miewałam koszmary i przychodziłam z rykiem do sypialni w środku nocy, żeby wcisnąć się między ciebie a mamę?

Cantling uśmiechnął się.

– Pamiętam.

– Chcę dziś zostać tutaj – mówiła, przyciskając się mocniej do niego. – Jutro znów będę sama w Nowym Jorku. Dziś nie chcę być sama. Mogę zostać, tato?

Cantling odsunął się delikatnie i popatrzył jej w oczy.

– Jesteś pewna?

Skinęła głową leciutko, szybko i nieśmiało jak małe dziecko.

Uniósł narzuty, by wpuścić ją do łóżka.

– Nigdzie nie odchodź – prosiła. – Nawet do łazienki, dobrze? Bądź cały czas ze mną.

– Jestem – odpowiedział.

Objął ją ramionami, a Michelle wsunęła się pod koce i oparła głowę na jego ramieniu. Leżeli tak przez długi czas. Słyszał, jak bije jej serce. To był uspokajający dźwięk i wkrótce Cantling zaczął zapadać w sen.

– Tato? – wyszeptala obok jego piersi.

Otworzył oczy.

– Michelle?

– Tato, muszę się od tego uwolnić. To siedzi w moim wnętrzu jak trucizna. Nie chcę zabierać tego ze sobą. Muszę się od tego uwolnić.

Głaskał jej włosy długimi, powolnymi, spokojnymi ruchami. Nic nie mówił.

– Pamiętasz, jak byłam mała, kiedy się przewróciłam albo dostałam w nos, zawsze przybiegałam do ciebie ze łzami, żeby ci pokazać bebe. Tak właśnie mówiłam, kiedy coś mnie bolało, pamiętasz? Mówiłam, że mam bebe.

– Pamiętam – zapewnił.

– A ty zawsze mnie przytulałeś i mówiłeś: „Pokaż mi, gdzie boli”, a kiedy ci pokazywałam, całowałeś bolące miejsce i od razu było lepiej. Pamiętasz? Pokaż mi, gdzie boli.

Cantling skinął głową.

– Tak – powiedział.

Michelle popłakiwała cichutko. Czuł wilgoć wsiąkającą w pizamę.

– Nie mogę tego zabrać ze sobą, tato. Chcę ci pokazać, gdzie boli. Proszę. Proszę.

Pocałował ją w czubek głowy.

– Mów dalej.

Zacząła opowiadać urywanym szeptem.

Nie przestała, nawet gdy przez okna sypialni wpadło światło świtu. Nie spali ani minuty. Płakała bardzo długo, krzyczała raz czy dwa i często drżała mimo ciepłego okrycia. Richard Cantling nie wypuszczał jej ani na chwilę. Pokazała mu, gdzie boli.

* * *

Barry Leighton westchnął.

– To była zdecydowanie najlepsza rzecz, jaką w życiu zrobiłeś – stwierdził. – Gdybyś się wtedy zatrzymał, poprzestał na tym, nie posunął się dalej, wszystko byłoby dobrze. – Potrząsnął głową. – Nigdy nie wiedziałeś, kiedy przystopować, Cantling.

– Dlaczego? – zapytał. – Jesteś dobrym człowiekiem. Leighton, powiedz mi. Dlaczego mnie to spotyka, dlaczego?

Reporter wzruszył ramionami. Zaczynał już zanikać.

– Z tym pytaniem zawsze miałem najwięcej kłopotów – odparł znużonym głosem. – Znajdź sprawę i spuść mnie ze smyczy, a powiem ci kto, co, kiedy i gdzie, a nawet jak. Ale dlaczego... ach, Cantling, to ty jesteś powieściopisarzem, dlaczego to twoja specjalność, nie moja. Ja mogę ci najwyżej powiedzieć „dlatego”.

Kiedy zniknął, jego uśmiech utrzymywał się jeszcze przez dłuższy czas, jakby Leighton był kotem z Cheshire. Richard Cantling siedział wpatrzony w puste krzesło i porzuconą szklanke, w której kostki lodu topniały powoli w resztkę whisky.

* * *

Nie pamiętał, kiedy zasnął. Spędził noc na krześle i obudził się cały zeszywniały, obolały i zziębnięty. Jego sny były mroczne, bezkształtne i pełne strachu. Było już dobrze po południu. Przespał pół dnia. Zrobił sobie pozbawione smaku śniadanie, cały czas spowity w jakąś specyficzną mgłę. Miał wrażenie, że stracił łączność z własnym ciałem. Każdy jego ruch był powolny i niezgrabny. Kiedy kawa była gotowa, nalał sobie filiżankę, uniósł ją i wypuścił z rąk. Rozbiła się na tuzin kawałków. Cantling wpatrywał się tępo w strużki gorącej, brązowej cieczy spływające między kafelkami. Brakowało mu energii, by posprzątać. Wziął nową filiżankę, napelnił ją kawą i zdołał przełknąć kilka łyków.

Boczek był za słony, a jajecznica płynna i obrzydliwa. Cantling odsunął na bok niedojedzony posiłek i wypił jeszcze trochę gorzkiej, czarnej kawy. Czuł się tak, jakby miał kaca, wiedział jednak, że problemem nie jest alkohol.

„Dzisiaj” – pomyślał. „To skończy się dzisiaj, w ten albo inny sposób”. Michelle nie cofnie się w przeszłość. *Strona tytułowa* była jego ósmą powieścią. Przedostatnią. Dzisiaj pojawi się ostatni portret. Postać z jego dziewiątej książki. Ostatniej. I to będzie koniec.

Albo dopiero początek.

Jak mocno nienawidziła go Michelle? Jak bardzo ją skrzywdził? Dłoń Cantlinga zadrżała. Kawa wylała się z filiżanki, parząc mu palce. Skrzywił się i krzyknął głośno. Ból był taki nieartykułowany. Poparzenie. Pomyślał o tłących się papierosach, których koniuszki przypominały małe, czerwone oczka. Zebrało mu się na mdłości. Dźwignął się ciężko z fotela i pobiegł do łazienki. Zdążył akurat na czas i zwrócił śniadanie do miski klozetowej. Potem był tak słaby, że nie mógł się ruszyć. Leżał wsparty o białą, chłodną porcelanę. Kręciło mu się w głowie. Wyobraził sobie, że ktoś podszedł do niego od tyłu, złapał go za włosy, wsunął mu twarz do klozetu i spuścił wodę, cały czas się śmiejąc i mówiąc: jesteś brudny, muszę cię oczyścić, jesteś taki brudny. Ciągłe spuszczał wodę, która nie przestawała spływać, nie pozwalał mu podnieść głowy, toteż woda i wymioty wypełniły mu usta i nozdrza, aż ledwie mógł oddychać, a przed oczyma zrobiło mu się niemal zupełnie czarno; gdy kres był bliski, ten ktoś podnosił mu głowę, śmiał się, kiedy Cantling wciągał powietrze w płuca, po czym znowu pchał jego głowę do klozetu i spuszczał wodę, i znowu, i znowu, i znowu. To jednak był tylko wytwór wyobraźni. Nie było tu nikogo poza nim. Nikogo. Cantling był w łazience sam.

Nakazał sobie wstać. Jego twarz w lustrze była szara i stara, a włosy brudne i rozczochrane. Zza jego pleców wyglądała druga twarz. Uśmiechała się szyderczo. Męska twarz, blada i zapadnięta. Czarne włosy były zaczesane do tyłu, z przedziałkiem pośrodku. Za parą małych, okrągłych okularów kryły się oczy koloru brudnego lodu, oczy, które poruszały się nieustannie i gorączkowo niczym dzikie zwierzęta złapane w pułapkę. Były gotowe odgryźć własne kończyny, żeby tylko odzyskać wolność. Cantling zamrugał powiekami i twarz zniknęła. Odkręcił zimną wodę, nabrał jej w złożone dłonie i chlusnął sobie w twarz. Wymacał na niej zarost. Powinien się ogolić, ale nie miał na to czasu, to nie było ważne, musiał... musiał...

Musiał coś zrobić. Wydostać się stąd, znaleźć jakieś bezpieczne miejsce, gdzie jego dzieci go nie znajdą.

Wiedział jednak, że nie ma bezpiecznej kryjówki.

Musiał porozmawiać z Michelle, przekonać ją, ubłagać. Kochała go. Wybaczy mu, musi wybaczyć. Odwoła to wszystko, powie mu, co robić.

Pognał jak szalony do salonu i złapał za telefon. Nie pamiętał numeru Michelle. Rozejrzał się wkoło, znalazł notatnik i przerzucił gorączkowo jego kartki. Tutaj, tutaj. Naciskał guziki jak opętany.

Telefon zadzwonił cztery razy. Potem ktoś go odebrał.

– Michelle... – zaczął Cantling.

– Cześć – usłyszał głos. – Mówi Michelle Cantling. W tej chwili nie ma mnie w domu. Proszę podać nazwisko i numer po usłyszeniu sygnału, to oddzwonię po powrocie, chyba że to mówi jakiś akwizytor.

Zabrzmiął sygnał.

– Michelle, jesteś tam? – mówił Cantling. – Wiem, że czasami ukrywasz się za automatyczną sekretarką kiedy nie masz ochoty z nikim rozmawiać. To ja. Proszę cię, podnieś słuchawkę. Proszę.

Cisza.

– W takim razie zadzwoń do mnie – błagał. Chciał wyrazić wszystko jednocześnie i słowa zawadzały o siebie, by jak najszybciej wydostać się na zewnątrz. – Ja, ty, nie możesz tego zrobić, proszę, pozwól mi wyjaśnić, nie chciałem, nie chciałem, proszę...

Znowu rozległ się sygnał, a potem połączenie się przerwało. Cantling wbił wzrok w słuchawkę, po czym odłożył ją powoli. Zadzwoń do niego. Musi do niego zadzwonić, jest jego córką kochali się, musi dać mu szansę, pozwolić wszystko wytłumaczyć.

Rzecz jasna, próbował to zrobić już przedtem.

* * *

Miał staromodny dzwonek, mosiężny klucz, który sterczał z drzwi. Trzeba było obrócić go ręcznie, by usłyszeć głośny, niecierpliwy, metaliczny zgrzyt. Ktoś kręcił nim z wściekłością raz za razem. Cantling pobiegł ku drzwiom, całkowicie zbity z tropu. Nigdy nie nawiązywał przyjaźni łatwo, a teraz, gdy był już człowiekiem o głęboko zakorzenionych nawykach, stało się to jeszcze trudniejsze. Nie miał w Perrot prawdziwych przyjaciół, być może kilku znajomych, ale nikogo, kto mógłby zjawić się z niespodziewaną wizytą i kręcić dzwonkiem z tak wielką determinacją.

Odpiął łańcuch i otworzył szeroko drzwi, wrywając dzwonek z palców Michelle.

Miała na sobie przewiązany paskiem płaszcz przeciwdeszczowy oraz zrobione na drutach czapkę i szalik. Wiatr szarpał zawzięcie szalikiem i kilkoma sterczącymi spod czapki kosmykami włosów. Założyła długie, modne buty, a przez ramię przewieszoną miała dużą skórzaną torebkę. Wyglądała dobrze. Minał prawie rok, odkąd Cantling widział ją po raz ostatni, kiedy przyjechał do Nowego Jorku na Boże Narodzenie, a dwa lata od chwili, gdy wróciła na wschód.

– Michelle – odezwał się Cantling. – Nie wiedziałem... to niespodzianka. Przyjechałaś tu aż z Nowego Jorku i nawet mnie nie uprzedziłaś?

– Nie – warknęła. W jej głosie i oczach było coś dziwnego. – Nie chciałam cię ostrzec, ty sukinsynu. Ty mnie nie ostrzegłeś.

– Jesteś podenerwowana – zauważył Cantling. – Wejdz, to porozmawiamy.

– Jasne, że wejde. – Przepchnęła się obok niego i zatrzasnęła kopniakiem drzwi z taką siłą że dzwonek odezwał się znowu. Kiedy jej twarzy nie smagał wiatr, miała ona jeszcze surowszy wyraz. – Chcesz się dowiedzieć, dlaczego przyjechałam? Zamierzam ci powiedzieć, co o tobie myślę. Potem sobie pójdę, opuszczę ten dom i zniknę z twojego pierdolonego

życia, tak jak zrobiła to mama. To ona miała rację, nie ja. Ja byłam głupia, myślałam, że mnie kochasz. Że cię choć trochę obchodzę.

– Michelle, nie mów tak – sprzeciwił się Cantling. – Nic nie rozumiesz. Kocham cię. Jesteś moją córką i...

– Nie waż się! – wrzasnęła. Sięgnęła ręką do torebki. – Nazywasz to miłością ty cholerny zgniłku!

Wyciągnęła coś ze środka i rzuciła tym w niego.

Cantling nie był już taki szybki jak niegdyś. Próbował się uchylić, ale przedmiot trafił go boleśnie w bok szyi. Michelle cisnęła nim z całej siły, a to była wielka i ciężka książka w twardej oprawie. Tom upadł na dywan, trzepocząc kartkami. Cantling spojrzał na własną fotografię na tylnej stronie okładki.

– Jesteś taka sama jak matka – stwierdził, pocierając obolałą szyję. – Ona też zawsze wszystkim rzucała. Ale ty robisz to celniej.

Uśmiechnął się niepewnie.

– Nie interesują mnie twoje żarty – warknęła Michelle. – Nigdy ci nie wybaczę. Nigdy. Nigdy w życiu. Chcę się tylko dowiedzieć, jak mogłeś mi to zrobić. Powiedz mi to. Natychmiast.

– Hmm – zaczął Cantling. Rozpostarł dłonie w pełnym bezradności geście. – Posłuchaj... jesteś podenerwowana, może byśmy wypili kawę albo coś i porozmawiali o tym, kiedy się uspokoisz. Nie chcę żadnej wielkiej kłótni.

– Gówno mnie obchodzi, czego chcesz! – krzyknęła. – Mam zamiar pomówić o tym teraz!

Kopnęła leżącą książkę.

Richard Cantling poczuł, że narasta w nim gniew. Nie powinna tak na niego wrzeszczeć, nie zasłużył na tę napaść, nie zrobił nic złego. Starał się nic nie mówić w obawie, że powie coś niewłaściwego i tylko pogorszy sytuację. Ukłękł i podniósł własną książkę. Bez zastanowienia wygładził okładkę i obrócił tom w dłoniach niemal z czułością. Ujrzał przed sobą tytuł – jaskrawe, powykręcane czerwone litery na czarnym tle – oraz wykrzywioną twarz młodej, ładnej kobiety, otwierającej usta w bezgłośnym krzyku. *Pokaż mi, gdzie boli.*

– Obawiałem się, że przyjmiesz to niewłaściwie – przyznał.

– Niewłaściwie! – zawołała Michelle. Na jej twarzy pojawił się wyraz niedowierzania. – Myślałeś, że to mi się spodoba?

– Nie... nie byłem pewien – odpowiedział Cantling. – Miałem nadzieję... to znaczy, nie miałem pewności, jak zareagujesz. Dlatego uznałem, że lepiej będzie nie wspominać, nad czym pracuję, dopóki, hmm...

– Dopóki to kurewstwo nie pojawi się na wystawach księgarń – dokończyła za niego Michelle.

Cantling przerzucił parę stron.

– Popatrz – powiedział, podsuwając jej książkę. – Zadedykowałem ją tobie.

Pokazał jej dedykację:

Dla Michelle, która знаła ból.

Zamachnęła się i wytrąciła mu tom z rąk.

– Ty sukinsynu – powtórzyła. – Wydaje ci się, że to coś zmienia? Że twoja parszywa dedykacja cię usprawiedliwia? Tego nie można usprawiedliwić. Nigdy ci nie wybaczę.

Cantling cofnął się o krok przed jej furją.

– Nie zrobiłem nic złego – tłumaczył się uparcie. – Napisałem książkę. Powieść. Czy to zbrodnia?

– Jesteś moim ojcem! – wrzeszczała. – Wiedziałeś... wiedziałeś, ty sukinsynu, wiedziałeś, że nie potrafię o tym mówić, o tym, co mnie spotkało. Ani z moimi kochankami, ani z przyjaciółmi, ani nawet z terapeutą. Nie potrafię, po prostu nie potrafię. Nie mogę nawet o tym myśleć. Wiedziałeś o tym. Powiedziałam ci. Powiedziałam tylko tobie dlatego, że jesteś moim tatą, ufałam ci, musiałam to z siebie wyrzucić, powiedziałam ci, że to osobista sprawa, tylko między nami, i co zrobiłeś? Opisałeś to wszystko w cholernej książce i wydałeś ją żeby miliony ludzi mogły ją przeczytać! Niech cię szlag, niech cię szlag. Czy zaplanowałeś to od początku, ty sukinsynu? Tak? Czy tej nocy w łóżku starałeś się zapamiętać każde moje słowo?

– Nie – zaprzeczył Cantling. – Nie starałem się. Po prostu tak jakoś je zapamiętałem. Przyjmujesz to niewłaściwie, Michelle. Książka nie jest o tym, co przydarzyło się tobie. To prawda, że twoje przeżycia ją zainspirowały, ale to był jedynie punkt wyjścia. To jest fikcja literacka. Wszystko pozmieniałem, to tylko powieść.

– No jasne, tato, wszystko pozmieniałeś. To nie jest książka o Michelle Cantling, ale o Nicole Mitchell i ona nie jest malarką a projektantką mody, i jest też trochę głupawa, prawda? Czy to też była zmiana, czy naprawdę uważasz, że byłam głupia, że tam mieszkałam i pozwoliłam mu dostać się do środka? No pewnie, to wszystko tylko fikcja literacka. To czysty przypadek, że książka mówi o dziewczynie, którą uwięziono, gwałcono, torturowano, terroryzowano, potem znowu gwałcono, a ty masz córkę, którą uwięziono, gwałcono, torturowano, terroryzowano, potem znowu gwałcono, wszystko to po prostu pierdolony zbieg okoliczności!

– Nic nie rozumiesz – sprzeciwił się bezradnie Cantling.

– To ty nic nie rozumiesz. Nie rozumiesz, co to znaczy. To twój największy sukces od lat, prawda? Pierwsze miejsce na liście bestsellerów, nigdy jeszcze nie znalazłeś się na pierwszym miejscu, w ogóle nie było cię na listach, odkąd ukazały się *Czasy są ciężkie*, a może to były *Czarne róże*? Dlaczego by nie pierwsze miejsce, to nie jest nudna historyjka o upadającej gazecie, to książka o gwałcie, hej, co mogłoby być ciekawsze? Mnóstwo seksu, przemocy, tortur, pierdolenia i strachu, a do tego wszystko to zdarzyło się naprawdę. – Wykrzywiła drżące usta. – To była najgorsza rzecz, jaka spotkała mnie w życiu, suma

wszystkich koszmarów, jakie mnie kiedykolwiek dręczyły. Do dziś czasem budzę się w nocy z krzykiem, ale czułam się coraz lepiej, zostawiałam to już za sobą. A teraz patrzę na to w każdej księgarni, wszyscy moi przyjaciele o tym wiedzą, każdy o tym wie, nieznajomi podchodzą do mnie na przyjęciach i mówią mi, jak bardzo im przykro. – Stłumiła łkanie. Była w połowie drogi między gniewem a łzami. – A kiedy biorę do ręki tę książkę, tę twoją przeklętą gównianą książkę, widzę to samo, spisane czarno na białym. Jesteś kurewsko dobrym pisarzem, tato, i opisałeś wszystko bardzo realnie. Od tej książki nie można się oderwać. No, ja się od niej oderwałam, ale to nic mi nie pomogło, bo wszystko jest w niej spisane i nigdy już nie zginie, prawda? Każdego dnia ktoś na świecie przeczyta twoją powieść i znowu zostaną zgwałcona. To właśnie zrobiłeś, tato. Dokończyłeś jego dzieła. Zniewoliliś mnie, wziąłeś mnie bez mojej zgody, tak samo jak on. Zgwałciłeś mnie. Jesteś moim ojcem i zgwałciłeś mnie!

– To nieuczciwe – zaprotestował Cantling. – Nie chciałem cię skrzywdzić. Ta powieść... Nicole jest silna i inteligentna. To ten mężczyzna jest potworem. Używa tylu różnych imion, ponieważ strach ma tysiąc nazw, ale tylko jedną twarz, rozumiesz. On nie jest zwyczajnym facetem, ale ciemnością która stała się ciałem, bezmyślną przemocą, która czeka na nas wszystkich, bogami, którzy bawią się nami, jakbyśmy byli muchami, jest symbolem wszystkiego...

– Nie jest żadnym symbolem! Jest człowiekiem, który mnie zgwałcił!

Krzyknęła tak głośno, że Richard Cantling musiał się cofnąć przed jej wściekłością.

– Nie – powiedział. – To tylko postać. To... Michelle, wiem, że to sprawia ci ból, ale ludzie powinni wiedzieć o takich sprawach, powinni o nich myśleć, one są częścią życia. Zadaniem literatury, moim zadaniem, jest opisywać życie i nadawać mu sens. Ktoś musiał opowiedzieć twoją historię. Chciałem, żeby była prawdziwa, starałem się, jak...

Twarz jego córki, czerwona i mokra od łez, wydawała się w tej chwili niemal zwierzęca, nierozpoznawalna, nieludzka. Potem ogarnął ją dziwny spokój.

– Jedno było prawdą – stwierdziła. – Nicole nie miała ojca. Kiedy byłam małą, przychodziłam do ciebie z płaczem, tata mówił: pokaż mi, gdzie boli, i to było coś bardzo prywatnego, bardzo osobistego, ale w książce Nicole nie ma ojca, to on wypowiada te słowa, oddałeś je jemu, on mówi: pokaż mi, gdzie boli, powtarza to w kółko. Wykazałeś się wielką ironią. Wielką bystrością. Te słowa czynią go rzeczywistym. Bardziej rzeczywistym niż w rzeczywistości. Kiedy to pisałeś, miałeś rację. To właśnie mówi potwór. Pokaż mi, gdzie boli. To tekst potwora. Nicole nie ma ojca. Jej ojciec umarł. Tak, to również prawda. Nie mam ojca. Nie mam.

– Nie mów tak do mnie – obruszył się Richard Cantling. Wypełniały go strach i wstyd, lecz na zewnątrz wydostał się tylko gniew. – Nie będę tego tolerował, bez względu na to, przez co przeszłaś. Jestem twoim ojcem.

– Nie – zaprzeczyła Michelle. Odsunęła się od niego. Na jej twarzy pojawił się uśmiech szaleństwa. – Nie mam ojca, a ty nie masz dzieci, chyba że w swoich książkach. To są twoje dzieci, twoje jedyne dzieci. Te książki, te przekłete, pierdolone książki. To są twoje dzieci, to są twoje dzieci, to są twoje dzieci.

Odwróciła się przebiegła obok niego i wpadła do korytarza. Zatrzymała się przed drzwiami zacisza. Cantling bał się tego, co mogła uczynić. Pobiegł za nią.

Kiedy wpadł do pomieszczenia, Michelle znalazła już nóż i zabrała się do roboty.

* * *

Richard Cantling siedział przy milczącym telefonie, wpatrując się w zegar szafkowy, który odmierzał godziny dzielące go od zapadnięcia zmroku.

Dzwonił do Michelle o trzeciej, o czwartej i o piątej. Zawsze odpowiadała mu automatyczna sekretarka, parodia jej głosu. Wiadomości, które dla niej nagrywał, stawały się coraz bardziej rozpaczliwe. Na zewnątrz robiło się ciemno. Jego światło dogasało.

Cantling nie słyszał kroków na ganku, pukania w drzwi, zgrzytliwego tonu starego, mosiężnego dzwonka. Popołudnie było ciche jak grób. Gdy jednak nadszedł wieczór, wiedział już, co czeka na zewnątrz. Wielki, kwadratowy pakunek owinięty w brązowy papier i zaadresowany charakterem pisma, który dobrze znał. W środku był portret.

Nic naprawdę nie zrozumiał i musiała udzielić mu lekcji.

Zegar tykał. Było coraz ciemniej. Dom zdawało się wypełniać poczucie obecności czegoś, co czekało za drzwiami. Dręczący go strach narastał od godzin. Cantling siedział w fotelu z podkulonymi nogami i rozdziawionymi ustami. Myślał i wspominał. Słyszał okrutny śmiech. Widział w ciemności słabe, czerwone światełka papierosów, które zataczały powolne kręgi. Wyobrażał sobie ich małe, gorące pocałunki na swojej skórze. Czuł smak moczu, krwi, łez. Doznawał przemocy, gwałtu wszelkich możliwych rodzajów. Jego dłonie, jego głos, jego twarz, jego twarz, jego twarz. Postać używała tuzina imion, ale strach miał tylko jedną twarz. Najmłodsze z jego dzieci. Jego dziecko. Jego monstrualne dziecko.

Cantling pomyślał, że blok dręczył go od bardzo dawna. Gdyby tylko potrafił jej to wytłumaczyć. Niemożność pisania była jak impotencja. Był kiedyś pisarzem, ale to się skończyło. Był kiedyś mężem, ale jego żona umarła. Był kiedyś ojcem, ale jego córka poczuła się lepiej i wróciła do Nowego Jorku. Zostawiła go samego, ale ostatniej nocy, wtulona w jego ramiona, opowiedziała mu swą historię, pokazała mu, gdzie boli, podzieliła się z nim całym swym cierpieniem. Co miał z nim zrobić?

Nie potrafił zapomnieć jej opowieści. Myślał o niej nieustannie. Zaczął kształtować ją w głowie, szukać słów, scen, symboli, które nadałyby jej sens. Była odrażająca, ale takie było życie, twarde, surowe życie, ziarno dla młyna Cantlinga, to, czego potrzebował. Pokazała mu, gdzie boli, a on mógł pokazać to wszystkim. Próbował się opierać. Zaczął pisać opowiadanie,

esej, skończył kilka recenzji. Ale ten temat powracał. Towarzyszył mu każdej nocy. Nie potrafił się dłużej sprzeciwić.

Napisał książkę.

– Przyznaję się do winy – powiedział Cantling ciemniejącemu pokojowi.

Gdy wypowiedział te słowa, nadeszła akceptacja, która przegnała strach. Był winny. Uczynił to. W związku z tym pogodzi się z karą. To było sprawiedliwe.

Richard Cantling wstał i podszedł do drzwi.

Pakunek stał za nimi.

Wniósł go do środka bez odwijania, a potem wtaszczył na schody. Zawiesi portret obok pozostałych, obok Dunnahoo, Cissy i Barry’ego Leightona. Wszystkie będą wisiały w szeregu. Poszedł po młotek, wymierzył z uwagą odległość i wbił gwóźdź. Dopiero później odpakował portret i spojrzął na wyobrażoną na nim postać.

Portret przedstawiał jej oblicze tak, jak nigdy nie uczynił tego żaden artysta, nie tylko rysy twarzy, wysoko ustawione, wydatne kości policzkowe, niebieskie oczy i rozczochrane popielatoblond włosy, lecz również ukrytą wewnątrz osobowość. Była na nim młoda, świeża i pewna siebie. Dostrzegał jej siłę, odwagę i upór. Najbardziej jednak podobał mu się jej uśmiech. Był piękny i rozpromieniał całą twarz. Bardzo przypominał mu kogoś, kogo kiedyś znał. Nie pamiętał kogo.

Na krótką chwilę Richarda Cantlinga ogarnęła niezwykła ulga, po której nadeszło jeszcze silniejsze poczucie utraty, utraty tak straszliwej, całkowitej i nieodwracalnej, że wiedział, iż nie sposób wyrazić jej słowami.

Potem to wrażenie zniknęło.

Cantling cofnął się, skrzyżował ramiona i przyjrzał się czterem portretom. Obrazy były tak świetnie namalowane, że czuł niemal w domu obecność czworga osób.

Dunnahoo, jego pierwotnego, chłopaka, którym chciał być.

Cissy, jego prawdziwej miłości.

Barry’ego Leightona, jego mądrego, zmęczonego życiem alter ego.

Nicole, córki, której nigdy nie miał.

Należeli do niego. Byli jego postaciami. Jego dziećmi.

* * *

Po tygodniu dostarczono następną, znacznie mniejszą paczkę. W kartonie znajdowały się egzemplarze jego czterech powieści, rachunek i uprzejmy list od malarza, który pytał, czy będą jeszcze jakieś zamówienia.

Richard Cantling odpiisał, że nie, i zapłacił należność czekiem.

Przełożył Michał Jakuszcwski